

Robert
GODDARD



Ucieczka
Spod Obłoków



Wydanie I 1984 r.

Cena 25 zł



Goeffrey Staddon, kiedyś świetnie zapowiadający się architekt, dziś współwłaściciel biura projektów, dowiaduje się nagle z gazety, że kobieta, którą kochał, stanie przed sądem. Consuela Caswell z rezydencji Spod Obłoków jest oskarżona o otrucie kuzynki i zamach na życie męża. Goeffrey nie wierzy w jej winę. Ryzykując całą swą przyszłość, a może i życie, rozpoczyna śledztwo, by dowieść niewinności kobiety, którą niegdyś skrzywdził...

ISBN 83-7180-739-2



9 788371 807398 >

Robert Goddard

Ucieczka
Spod
Obłoków

przełożyła
Zofia Kierszys

Prószyński S-ka
Warszawa 1997

Tytuł oryginału angielskiego: „Take No Farewell”

Copyright © by Robert Goddard 1995

Projekt okładki:

Maria Komorowska

Fotografia na okładce:

Agencja fotograficzna BE&W

Redaktor prowadzący serię i opracowanie merytoryczne:

Ewa Rojewska-Olejarczuk

Redaktor techniczny:

Elżbieta Babińska

Łamanie:

Grażyna Janecka

Korekta:

Małgorzata Kołakowska

ISBN 83-7180-739-2

Biblioteczka Konesera Wydanie I

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa,

ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

Opolskie Zakłady Graficzne

Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

*Wyrażam wdzięczność
Christopherowi Bennettowi za rady,
jakich mi udzielał,
oraz za informacje o zawodzie
architekta.*

UWAGA PRAWNICZA

Od czasów, w których rozgrywa się akcja tej powieści, ustawy Anglii i Walii dotyczące kary śmierci, apelacji skazanych, dziedziczenia w przypadku braku testamentu, dziedziczenia jako takiego i obalania testamentu, zostały zrewidowane. Istotne reformy nastąpiły zwłaszcza po uchwaleniu ustaw: o zarządzaniu nieruchomościami, r. 1925, o prawie własności, r. 1925, o dziedziczeniu (zaopatrzeniu rodziny), r. 1938 oraz o morderstwie (zniesienie kary śmierci), r. 1965.

PROLOG

W nocy padał śnieg. Siedziałem tu, gdzie teraz stoję, patrzyłem, jak płatki śniegu wirują w aureolach latarń ulicznych, słuchałem, jak wiatr świszczę i jęczy, i dławi się wśród kominów. Od zmierzchu przez cały ostatni wieczór i całą ostatnią noc siedziałem tu, gdzie teraz stoję - i czekałem.

Teraz czekanie prawie się kończy. Słońce weszło, jest nisko na zimnym czystym niebie i dziwne półświatło bijące ze śnieżnej powłoki bruku powoli ogarnia sufit, sygnalizując, że jeszcze godzina do chwili, która dzisiaj, jak od dawna wiem, się dopełni. Godzina, może mniej do ponurego kresu mojej ucieczki przed samym sobą.

O czym ona myśli w zamurowanej, zatłoczonej samotności na drugim końcu miasta? Jak zegna tamtą nędzną cząstkę świata? Gdy czas nadejdzie, gdy godzina wybije, czym będę się jej wydawał? Czym będę się wydawał sobie?

W uliczkę skręciła taksówka. Przyjechała po mnie. Żebym stawił się na rozliczenie, chociaż wydawało mi się kiedyś, że rozliczenia uniknę. Kiedyś. Do tamtego dnia zeszłej jesieni, gdy po dwunastu latach ciszy znów zabrzmiało jej imię i wiedziałem, chociaż usiłowałem nie wiedzieć, że za dawne oszustwo wkrótce trzeba będzie zapłacić. Taksówka z poślizgiem się zatrzymuje, połyskliwe czarna na wyleniałym białym dywanie śniegu, a tamten dzień powraca. Żywo pamiętam również wszystkie dni następne.

I

- Caswellowie z Hereford. Czy to nie byli twoi klienci, Geoffrey?

Może zakłopotало mnie pytanie Angeli, może przeraziło. Prawdopodobnie jednak moja twarz nie zdradziła żadnej reakcji, gdy Angela bacznie mi się przyglądała. Już od kilku lat pomiędzy moją żoną i mną czaiła się dziwna, niczym nie usprawiedliwiona wrogość. Nawzajem sobą rozczarowani, wciąż czatowaliśmy na drobne przejawy lekceważenia, które można by podnieść do rangi dużej przykrości. Teraz więc zakładając, że Angela swoim zwyczajem próbuje mnie na czymś złapać, uniosłem brwi, jak gdybym nie dosłyszał.

- Caswellowie z Hereford, Geoffrey. Ściślej: Victor Caswell i jego żona Consuela. Czy to nie dla nich projektowałeś dom?

Zmarszczyłem brwi, postawiłem filiżankę na spodku tak pieczołowicie, że szczęknęła bardzo słabo. Starannie strzepnąłem z rękawa okruch grzanki i skierowałem wzrok za Angelę gdzieś w stronę okna. Piątek 25 września 1923 roku zgodnie z gazetą leżącą na stole przed moją żoną. Kwadrans po ósmej zgodnie ze stojącym na parapecie kominka niezbyt rzetelnym zegarem - prezentem od jej ciotki. Prognoza pogody: deszczowo z przejaśnieniami. Właśnie jedno z przejaśnień sprawiło, że blask słońca iskrzył się na marmoladzie i pięknie podświetlał z lekka pochyloną głowę Angeli. Jej włosom przywraçał złocistość, ale nie mógł odsączyć kwasu z jej tonu.

- Posiadłość Spod Obłoków niedaleko Hereford. Chyba słyszałam, jak mówiłeś o tym. Czy to nie było pierwsze duże zlecenie, jakie dostałeś?

Spod Obłoków. Tak, Angela dobrze to zapamiętała. Pierwsze i dlatego najcenniejsze, pierwsze i zarazem najmroczniejsze, co nie znaczy, żeby ten projekt i wykonanie były mroczne - nie, powód tkwił w czymś innym. Od dwunastu lat nie widziałem tego domu, którego każdy kamień, każdą szczelinę znałem tak, jak linie papilarne

własnej dłoni. Nawet nie patrzyłem na jego fotografię w starym numerze „Builder”, nigdy nieruszany z miejsca w moim gabinecie. Nie chciałem na nią spojrzeć nawet przelotnie, nie odważyłem się. Bo łączyła się z pewnym nazwiskiem. I właśnie Angela teraz wyciągnęła je z zatopionej, ale nie zapomnianej przeszłości. Caswellowie z Hereford. Victor i Consuela. Zwłaszcza to imię, Consuela.

Odchrząknąłem, przeniosłem wzrok na żonę. Jak się spodziewałem, wlepiała mnie swe szarozielone oczy z wyraźnym powątpiewaniem; uniosła wyskubane brwi, jedną trochę wyżej niż drugą, usta miała zaciśnięte, cienkie bruzdy - chyba przedtem ich nie było - znały się między szczękami i policzkami.

- Tak - potwierdziłem. - Zbudowałem Spod Obłoków dla Caswellowów. Dawno temu. Zanim ciebie poznałem. A bo co?

- Więc nie czytałeś tego? - Polakierowanym paznokciem stuknęła w gazetę. Słońce zniknęło, w pokoju zrobiło się chłodno.

- Nie. Tylko przerzuciłem stronicę.

Prawie mogłem podejrzewać, że Angela gotowa jest się uśmiechnąć. Jakoś drgnęły kąciki jej ust, coś mignęło w jej oczach. Ale zaraz przybrała ten fałszywie pusty, niby to szczery wyraz twarzy, który stał się maską, w jakiej najczęściej mi się pokazywała.

- Więc dobrze, że ja na to natrafiłam. Inaczej może byś się nie dowiedział...

- O czym?

- ... i mógłbyś się znaleźć w niezręcznej sytuacji - ciągnęła obłudnie - gdyby ktoś cię zapytał, czy myślisz, że ona jest zdolna do takich rzeczy.

- Do czego?

Spuściła wzrok na gazetę i zapewne chcąc mnie rozwścieczyć, przez kilka sekund ze zmarszczonymi brwiami udawała, że jeszcze raz czyta ową wiadomość. Potem z porcelanowej popielniczki wzięła swego dymiącego papierosa, zaciągnęła się i łagodnie odpowiedziała:

- Do morderstwa. - Pióropusz wypuszczonego dymu zaczął się wznosić pod żyrandol. - Nie wydaje się, żeby mogły być duże wątpliwości.

Trudno mi teraz sobie przypomnieć, co odczuwałem czytając ten zwięzły kategoriyczny akapit. Jeszcze trudniej przypomnieć sobie, jak zmieniłem temat, zanim powiedziałem, że och, już tak późno, a ktoś ma być dziś rano u mnie w biurze, więc muszę, naprawdę muszę

natychmiast tam jechać. Wykluczone, żeby Angela nabrała się na to. Z pewnością zobaczyła - tak, jak się spodziewała - że jestem treścią tej notatki nie tylko zdumiony, ale i wzburzony do głębi duszy. I wiedziała, że porzucenie gazety na stole nic nie znaczy. W kiosku odległym o pięć minut drogi od domu mogłem przecież kupić i kupiłem taką samą, i opierając się o jakąś poręcz, przeczytałem ponownie te krótkie, brzemienne, dzwoniące na trwogę zdania.

OTRUCIE W HEREFORD

W toku śledztwa prowadzonego w sprawie zamordowania Rosemary Caswell, bratanicy Victora Caswella, bogatego przemysłowca w hrabstwie Hereford, policja dokonała sensacyjnego odkrycia. O zamordowanie panny Caswell i usiłowanie otrucia pana Caswella w rezydencji Spod Obłoków w niedzielę 9 września została oskarżona jego pochodząca z Brazylii żona, Consuela Caswell. Aresztowano ją w piątek, gdy policja, przeprowadzając rewizję w rezydencji Spod Obłoków, znalazła wśród jej rzeczy osobistych i zabezpieczyła pewną ilość arszeniku oraz parę obciążających listów. Przed koronerem pani Caswell nie przyznała się do zarzuconych jej czynów. Odesłano ją z powrotem do aresztu na tydzień.

W kolei podziemnej ludzie tłoczyli się w ten poranek jeszcze bardziej niż zwykle, ale byłem zadowolony z tłoku, zadowolony z odosobnienia, jakie bezwiednie mi stworzyli, tak że mogłem raz po raz czytać jeden mały niepokazny prostokąt druku: OTRUCIE W HEREFORD, wetknięty bez ceremonii między niezliczone inne sprawy sądowe. Burdy pijackie. Domowe awantury. Włamania. Kradzieże. I morderstwo w Hereford. W rodzinie, którą znałem, w domu, który zbudowałem. Popelnione przez kobietę, którą... Czyż to możliwe?

- Pan coś mówi? - Jegomość siedzący przy mnie z lewej strony wybałuszał oczy za kryształowymi soczewkami okularów i krzywił się, zirytowany. Najwidoczniej myślałem głośno, więc zląkł się, że współpasażer niespełna rozumu nie da mu spokojnie rozwiązywać krzyżówki w „Daily Telegraph”. Już sobie wyobraziłem, jak opryskliwie będzie się uskarżał swojej schorowanej żonie w Ruislip na ten dzisiejszy świat, gdzie wciąż zdarzają się takie incydenty.

- Nic nie mówię - spróbowałem się uśmiechnąć. - Nic, a nic. Przepraszam.

- To dobrze. - Przyklepał gazetę na kolanie i zaczął wpisywać litery w kratki.

Dobrze? Ależ skąd, nie jest dobrze. Prawdę mówiąc, jest źle. Bardzo źle.

Kiedyś kochałem Consuelę Caswell. Kiedyś kochałem ją i ona mnie kochała. I wierzyłem, że nic nie może znaczyć więcej niż nasza miłość. Ale to trwało krótko i zostało w ciągu dwunastu lat zapomniane, chociaż niewybaczone. Teraz przecież nie było powodu logicznego czy rozsądnego - żeby taka wiadomość mnie poruszyła. A jednak, a jednak... W miarę jak lat nam przybywa, życie staje się coraz smutniejsze, zakwaszone wykroczeniami i żalem, obciążone przycażoną świadomością, że jesteśmy nic nie warci. Gdy ambicje karleją i nadzieja przygasa, człowiek ubolewa nad błędami, które popełnił. A w przypadku Consueli to było coś gorszego niż błąd: to była zdrada.

Tak pośpiesznie wyjechałem z Suffolk Terrace, że jeszcze miałem trochę wolnego, bardzo mi potrzebnego czasu. Wsiadłem z kolei podziemnej na stacji Charing Cross i resztę drogi do biura przeszedłem po Nabrzeżu i od Mostu Blackfriars labiryntem wąskich ulic. Przed katedrą Świętego Pawła zatrzymałem się i w zadziwieniu, jak nieraz, patrzyłem na majestatyczną budowlę Wrena, którą wznoszono przez trzydzieści cztery lata. A Wren, kiedy zaczynał, był starszy niż ja teraz, myślałem. Skąd czerpał energię, inspirację, odwagę, żeby porwać się na taki projekt? Dwanaście lat temu miałem komfortową pewność, że to jest możliwe, bo uważałem się za zdolnego do takich osiągnięć. Ale teraz już nie. Śmiałość zawodziła, oryginalności brakowało. Pewien dom na wsi, którego już nie oglądam. Hotel, który się spalił. Tandetne wille w podrabianym stylu Tudorów, funkcjonalne biurowce. Nieudane małżeństwo, obniżona poprzeczka na polu zawodowym. I to już wszystko po dwunastu latach ugodowości.

Tłum przewalał się po Cheapside, rozpychał się, przekrzykiwał hałasy na jezdni. Klaksony buczały i zgrzytały hamulce, gazeciarze wrzeszczeli, rozpadał się deszcz. Szedłem jak we śnie i właściwie śniłem. O tym, co może by mogło być, gdybym zdobył się na więcej odwagi, więcej zdecydowania i uchronił moją miłość do Consueli przed siłami egoizmu. Dlaczego się jej sprzeniewierzyłem? Każdy łatwo to zrozumie. Dla kariery.

W imię szacowności i dobrobytu. I z tego wszystkiego mam tylko - tak mi się w tamten poranek wydawało - rozplakaną szarą pustkę nad głową.

Biuro na Frederick Place 5 A jest ośrodkiem mojego życia zawodowego, odkąd Imry i ja założyliśmy firmę w 1907 roku. Ilekroć wchodzę po tych koślawych schodach, ilekroć czuję znów woń starych papierów i jeszcze starszego drewna, myślę o Imrym i o sobie takich, jakimi byliśmy wtedy: prawie bez pracy, prawie bez możliwości nie zalegania z czynszem, ale młodzi, energiczni, bogatsi niż teraz pod każdym względem z wyjątkiem pieniędzy, pełni determinacji, żeby popisać się przed światem, budować naprawdę dobrze i niechaj świat nas zna z tego, co budujemy. Bolą takie wspomnienia młodości, bo Imry już nigdy nie będzie skakać po tych schodach, ani ja już nigdy nie będę na niepotrzebnych kopertach szkicować wspaniałych projektów. Życie jest takie, jakim je czynimy, a wiek średni to czas, kiedy tego, cośmy uczynili, nie możemy ignorować.

W tamten poranek ostatniego dnia września z dziwnym obrzydzeniem popatrzyłem na mosiężną tabliczkę: Renshaw i Staddon, Biuro Projektów, Brytyjski Instytut Architektury i wchodząc na górę zastanawiałem się, jak przebrnąć przez tę czekającą mnie codzienność.

- Dzień dobry, panie Staddon - powitał mnie Reg Vimpany.
- Dzień dobry, Reg. Gdzie są wszyscy?
- Doris się spóźni. Coś z zębami, pamięta pan.
- Aha, tak, wiem - skłamałem.
- Kevin poszedł po mleko.
- Aha.
- A pan Newson - dokończył Reg z naciskiem - jeszcze nie przyszedł.

- Nie szkodzi. Przypomnij mi, co mamy dzisiaj.
- No, mam przejrzeć z panem oferty na Mannerdown. I ma pan zobaczyć się z Pargeterem po południu. I obiecał pan panu Harrisonowi przyjechać dzisiaj do Amberglade na teren budowy.

- Tak. Pan Harrison chyba będzie musiał poczekać. A co do tych ofert... powiedzmy o jedenastej?

- Dobrze, proszę pana.
- Dziękuję, Reg.

Wycofałem się do swego gabinetu wiedząc, że biedny Reg z dezaprobatą będzie potrząsał głową nad moim lenistwem. O piętnaście lat starszy ode mnie, był jedynym głównym asystentem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Odpowiedzialny, zrównoważony, najwyraźniej chętnie utrzymywał pewien ład w naszych sprawach, jakkolwiek niewiele okazywaliśmy mu wdzięczności.

Z chwilą gdy zamknąłem drzwi gabinetu, poczułem się w zamkniętym przed ludźmi schronieniu. Miałem czas i spokój potrzebny, żeby przemyśleć logicznie te skąpe informacje z gazety. Consuelę oskarżono o zamordowanie Rosemary Caswell. A Rosemary Caswell to bratanica jej męża. Nie mogłem sobie przypomnieć tej dziewczyny. Był bratanek, to na pewno, antypatyczny smarkacz ośmio- czy dziewięcioletni, który teraz musi mieć dwadzieścia parę lat. Ale bratanica? Przypuszczalnie siostra tego chłopca. Jak odnosiła się do Consueli? I dlaczego dodatkowe oskarżenie o usiłowanie morderstwa? Wiesząc kapelusz i płaszcz na wieszaku, wpatrując się przez okno w czerwone cegły bocznej ściany Dauntzey House, przede wszystkim wiedziałem, że wzmianki o połowicznej prawdzie zawsze są o wiele straszniejsze niż owa straszna cała prawda.

- Panie Staddon, nowina! - Teatralnie, ze szczęknięciem klamki, wkroczył do gabinetu Kevin Loader, nasz zuchwały goniec. Czasami podobała mi się jego kipiąca, zawadiacka, zarozumiała witalność, ale nie teraz. Sprężyście, na piętach podszedł do biurka, wrzucił plik poczty do drucianego koszyka i uraczył mnie krzywym uśmiechem.

- Jeden z pana domów dali w gazecie, widziałem, panie Staddon.

- Co?

- Spod Obłoków. I czytałem o tym w „Sketchu” dzisiaj w autobusie. Morderstwo takie, że coś okropnego. Pan nie czytał?

- Och tak, chyba tak... coś czytałem.

- I to fakt?

- Naprawdę nie mam pojęcia, Kevin.

- Akurat! Już pan to zna tę rodzinę.

- Znałem dawno. Przed wojną. Prawie ich nie pamiętam.

Podsunął się bliżej z uśmiechem nadal mającym maskować głód plotek.

- Ta Consuela. Niezła lalka, no nie? - Potrząsnąłem głową, mając nadzieję, że umilknie. - One zawsze takie, no nie?

- Kto, one?

- Morderczynie - syknął wesoło. - A szczególnie ta trucicielka.

Kazałem Kevinowi wyjść, usiadłem i wypaliłem papierosa, żeby się uspokoić. Nic mnie nie zobowiązywało do zabierania głosu na temat Caswellów, w jakichkolwiek znaleźli się okolicznościach. To znaczy nic, co by świat uznał za mój obowiązek. Tym bardziej nie miałem prawa się wtrącać. Wszelkie prawa, jakie mógłbym mieć, straciłem przed laty.

A przecież musiałem dowiedzieć się o tym wszystkim więcej. Z pewnością. Udawanie, że mnie to nie interesuje, czujne wypatrywanie dalszych doniesień o tej sprawie w sądzie, a jednocześnie zachowywanie postawy doskonale obojętnej przekraczało moje siły. Toteż pamiętając z dawnych bytności w Hereford nazwę miejscowej gazety, zatelefonowałem do redakcji i wymogłem, żeby mi przysłano wszystkie numery z ostatnich dwóch tygodni. Nie powiedziałem po co, zresztą takie pytanie nie padło. Tylko moje nieczyste sumienie szepotało mi, że mogliby się tam czegoś domyślać.

Jak wytropić, skąd wybiegają linie, które prowadzą dwoje ludzi do połączenia się w tym życiu? Gdzie w przeszłości jest początek ich zbieżnych przeznaczeń? Korzystając z przerwy pomiędzy odrzucaniem ofert Mannerdown i tolerowaniem perory niezmordowanego Pargotera o nowych kolorach farb emulsyjnych, wyciągnąłem najwcześniejsze biurowe terminarze i odnalazłem datę mojego pierwszego spotkania z Consuelą Caswell. To było w listopadzie 1908 roku, gdy już otrzymałem zamówienie na budowę domu Spod Obłoków, już wybrałem miejsca i przyjechałem do Hereford po raz drugi. W piątek 17 listopada, około godziny czwartej po południu - stwierdziłem teraz. Tak czy owak, w terminarzu widniał zapis: godz. czwarta - podwieczorek u państwa Caswell. Czyli że czeka mnie wizyta u bogatego klienta i jego żony. Ale ani na chwilę mnie to nie oszukało. Moje spotkanie z Consuelą nie było skutkiem zanotowanego naprędce w terminarzu spontanicznego zaproszenia. Było wynikiem niezliczonych zbiegów okoliczności, niezliczonych powiązań, rządzących życiem każdego z nas.

Można by, na przykład, zrzucić odpowiedzialność na Ernesta Gillowa, czarującego, tolerancyjnego człowieka, projektanta, u którego pracowałem po uzyskaniu dyplomu w Oksfordzie w 1903 roku.

Gillow, absolwent Cambridge, dał mi u siebie pracę przez grzeczność, bo często korzystał z usług maklerskich mojego ojca. Później miało się okazać, że jego kolegą w King's Cambridge był ni mniej, ni więcej tylko Mortimer Caswell, starszy syn założyciela firmy G.P. Caswell, wytwórni jabłecznika w Hereford. Gdy w swoim czasie młodszy brat Mortimera Caswella, Victor, wrócił po dziesięciu z górą latami z Ameryki Południowej z majątkiem zbitym na kauczuku w rękę i z żoną Brazylijką u ramienia, było oczywiste, że dla takiego potentata stosownym uwieńczeniem sukcesu będzie zbudowanie imponującego dworu na wsi. Mortimer poradził mu, żeby się zwrócił

do Gillowa, który z pewnością zarekomenduje jakiegoś architekta młodego i pełnego entuzjazmu, a Gillow pamiętając, że rok przedtem ukończyłem u niego praktykę, polecił mnie, przy czym niewątpliwie myślał, że robi mi dużą łaskę. I rzeczywiście łaskę mi zrobił w każdym chyba tego słowa znaczeniu, zrozumiałym dla niego.

21 października 1908 roku - tyle w terminarzu - pojechałem do Hereford, żeby z moim przyszłym klientem obejrzeć teren budowy Spod Obłoków. W Londynie była gęsta mgła, ale na zachód od Londynu wszystko zalewał blask słońca. Wcześniej po południu podjeżdżając do Hereford, z coraz większym zachwytem patrzyłem przez okno pociągu na zielone łąki i faliste wzgórza. Moje nadzieje rosły wysoko pod bezchmurne niebieskie niebo, bo przecież miałem przed sobą sposobność, o jakiej każdy młody architekt marzy. Szansę dopasowania stylu do miejsca, stworzenia czegoś, dzięki czemu raz na zawsze zostaną zapamiętany.

Przedtem już korespondowałem z Victorem Caswellem i rozmawiałem z nim przez telefon. Nie miałem więc wątpliwości, że to któryś z tych dwóch smukłych wysokich mężczyzn czekających przy barierce kontrolera na stacji kolejowej Hereford. Ale który z nich, nie wiedziałem. Na pozór niewiele się różnili, obaj mieli pociągłe twarze, wąsy. Jeden był w codziennym garniturze i cylindrze, drugi w pstrokatej zielonej marynarce z samodziału i szykownej sukiennej czapce. To właśnie ten drugi przedstawił mi się jako Victor Caswell.

- Mój brat, Mortimer - powiedział, gdy uścisnęliśmy sobie dłonie.
- Przyjechał, żeby nas wesprzeć swoją nieocenioną radą.

Dużo było ze strony Victora dobrodusznym dowcipów pod adresem brata, ale Mortimer nie bardzo się odzwajemniał. Wydawało się, że ich podobieństwo fizyczne ma rekompensować całkowitą odmienność charakterów. Victor chciał natychmiast pojechać na teren budowy i zniecierpliwilo go nawet to, że musieliśmy przedtem podjechać do hotelu i zamówić pokój dla mnie. Jego automobil, połyskliwy zielonozłoty turystyczny mercedes, chyba najwspanialszy samochód, jakim kiedykolwiek jeździłem, przyciągał pełną podziwu uwagę wszystkich w Hereford, przywykłych do pojazdów konnych. Potem na niebrukowanych wiejskich drogach na zachód od Hereford Victor prowadził tego mercedesa nieomal wściekle, ale zarazem przez ramię strzelał do mnie pytaniami: których architektów ja považam, które style szczególnie lubię, jakie materiały budowlane przedkładałam nad wszystkie inne. Był bardzo podekscytowany, dumny i zadowolony,

niecierpliwili się, żeby czym prędzej wszystko co osiągnął uwieńczyć wspaniałą rezydencją.

Mortimer natomiast siedział przy mnie na tylnym siedzeniu mercedesa zgarbiony, prawie się nie opierając o wyglansowane skórzane obicie i tylko zaciskał palce na rondzie swego cylindra. Zupełnie inny niż jego brat, wydawał mi się milczącym, ponurym pesymistą. Gdy spróbowałem zagaić rozmowę banalnym pytaniem o handel jabłecznikiem, skwitował to smętnie:

- Interes, młodzieńcze, jak każdy inny.

Przejechaliśmy na drugi brzeg rzeki, którą mylnie uznałem za Wye (dopiero później dowiedziałem się, że ta rzeka nazywa się Lugg), po czym zaczęliśmy wjeżdżać pod górę w zalesione okolice, akr po akrze zostawiając za sobą senną równinę hrabstwa Hereford. Wkrótce Victor zjechał z drogi przy jakimś pastwisku i wysiedliśmy z mercedesa. Przez otoczone lasem łąki na zboczu wzgórza doszliśmy do kołowrotu w żywopłocie i przystaliśmy, żeby podziwiać widok: łagodny spadek ku równinie nad rzeką Lugg i miasto Hereford po drugiej stronie rzeki.

- To właśnie jest ten teren poniżej - powiedział Victor, gdy Mortimer i ja stanęliśmy przy nim. - Te trzy pola i sad tam dalej, i farma pomiędzy nimi. Widać dach domu tego farmera. - Wskazał na pół ukrytą strzechę tworzącą klin w kotlinie. Dopiero teraz mi powiedział, że na terenie budowy stoi dom. Przewidując moje pytania, dodał: - Dzierżawca ma się wyprowadzić na Zwiastowanie. Więc niech pan się nie obawia żadnych komplikacji. Już na drugi dzień po Zwiastowaniu każę wszystko wyburzyć.

- Doakowie - powiedział Mortimer - uprawiają ziemię Spod Obłoków od sześciu pokoleń.

- Więc już czas, żeby przestali - uśmiechnął się Victor. - Tylko tę nazwę zostawimy: Spod Obłoków. Właśnie. Podoba mi się. A panu, panie Staddon?

- Moim zdaniem, bardzo ładna.

- I ten teren, widok, położenie. Jak pan sobie to wyobraża?

- Wszystko świetne. - Nie kłamałem. Ani nawet nie przesadzałem. To, co widziałem przed sobą wśród jesiennych już łąk, przybierało kształty rezydencji mającej ukoronować sukces Victora i być początkiem mojego sukcesu. - Mogę zbudować tutaj, panie Caswell, piękną siedzibę dla pana.

- Nie chcę, Staddon, żeby to była jakaś piramida, jakieś mauzoleum.

- Victor trzepnął rękawiczkami o kołowrót. - Chcę mieć dom, w którym można oddychać. Dom, którym można się chlubić. Coś najlepszego.

- Będzie pan to miał, panie Caswell. - Nagle jego zachłanność stała się również moją zachłannością i ambicja rozrosła się we mnie, bezgraniczna jak jego ambicja.

- O wiele za dużo płacisz Pastonowi za tę ziemię - odezwał się Mortimer, ale już wyczulem, że nie zdoła przygasić entuzjazmu brata.

- No to co? - zapytał Victor znów się uśmiechając. - Stać mnie.

- Tak interesów się nie załatwia.

- Przyznaję, tu jednak nie chodzi o interes. Tu chodzi o wizję.

Temat został chyba wyczerpany, Mortimer już milczał, Victor zapalił cygaro, a ja wspiąłem się na kołowrót, żeby się lepiej rozejrzeć. Farma Spod Obłoków była w kotlinie otwartej na południe i zachód, ale od północy i wschodu zamkniętej wzgórzem, na którym staliśmy. Z lasu po prawej stronie zbrocza pluskając płynął ku farmie strumień, za strumieniem rozciągała się nadzwyczajna panorama falistych łąk aż po Czarne Góry na dalekim zachodnim horyzoncie. Ujrzałem dom, wspaniały z krętą aleją wjazdową niedaleko strumienia, biegnącą od szosy w dole, dom na tle krajobrazu, osłonięty, a zewsząd widoczny. Wprost nie sposób sobie wyobrazić lepszą scenierię. Uśmiechało mi się to zadanie.

- No, Staddon? - zapytał Victor, gdy schodziliśmy ze wzgórza.

- Byłbym dumny, proszę pana, że mogę wybudować dom tutaj. - To była prawda. Nic innego w owej chwili nie potrafiłem powiedzieć.

- I zbudowałby pan dom, z którego ja też mógłbym być dumny?

- Och, tak. - Znów ogarnąłem wzrokiem ten widok. - Na pewno.

- Więc niech pan się zabiera do pracy. - Mocno uściśnęła mi rękę. - Do pracy z całym zapalem.

Mówiłem szczerze tamtego dnia, gdy w blasku październikowego słońca stałem z braćmi Caswell na omiatanym wiatrem wzgórzu powyżej farmy Spod Obłoków. Tamten dom stał się i nadal pozostaje najlepszym ze wszystkich moich projektów. Najlepszym też, w co głęboko wierzę, jaki wykonałby na tle takiego krajobrazu najzdolniejszy nawet architekt za bajońskie honorarium. Nazajutrz wróciłem do Londynu mając szkic prawie gotowy w głowie i połowę tego narysowaną na arkuszu hotelowego papieru listowego. Dom wytworny, a

przecież wiejski, nobliwy, a przecież w pełni oryginalny. Takie było moje zamierzenie i okazało się, w miarę jak je realizowałem, że nie przerasta moich możliwości. Szczęśliwie udało mi się połączyć wielkopański splendor z prostotą, wzniesić budowlę z miejscowych materiałów, wprost wtopioną w krajobraz, dom praktycznie odpowiadający potrzebom swoich lokatorów, a przecież dzięki zręcznemu wprowadzeniu pewnych akcentów będący bez żadnych ekstrawagancji czymś zupełnie nowym.

Victor Caswell, jak już wiedziałem, nie należał do tych, którzy targują się o pieniądze. Ponieważ moje rysunki mu się spodobały, gotów był ponosić wszelkie, nawet bardzo wysokie koszty budowy. Dzierżawa farmy Spod Obłoków wygasła za pięć miesięcy, toteż czasu miałem aż za dużo na opracowanie każdego szczegółu ku jego zadowoleniu. Dlatego w kilka tygodni po naszym pierwszym spotkaniu zaprosił mnie do Hereford, nadmieniając w liście, że chce mnie przedstawić swojej żonie, żebym wyjaśnił jej, jaką mam koncepcję, i wziął pod uwagę ewentualne jej życzenia w kwestii wystroju. Tak więc 17 listopada znów pojechałem do Hereford, pełen entuzjazmu wobec tego, co mnie czeka. Nie wiedziałem, że spotka mnie coś zupełnie innego niż przewiduję. Że to będzie Consuela.

Zamawiając poprzednie numery „Hereford Times”, podałem swój adres biurowy na Frederick Place, a nie domowy w Suffolk Terrace, bo nie chciałem przypominać Angeli tematu, który najwyraźniej już wieczorem wyleciał jej z pamięci. W czwartek dostałem paczkę, na której nie zaznaczono, co zawiera. Od razu wymyśliłem pretekst, żeby zamknąć się w gabinecie i te gazety przejrzeć.

Znalazłem informacje niespójne i niedostateczne. Znane mi nazwiska ludzi i nazwy miejsc wróciły jak z krainy snu, ale zabrakło jakiegokolwiek drogowskazu dla moich myśli. W numerze z 13 września była lakoniczna wiadomość, że przed trzema dniami umarła po nagłej chorobie panna Rosemary Caswell, córka Mortimera Caswella, szanowanego powszechnie właściciela wytwórni jabłecznika. Wszczęto śledztwo i zawieszono je do czasu uzyskania wyników sekcji zwłok. Ale 20 sierpnia sprawa przybrała sensacyjny obrót. Sir Bernard Spilsbury, słynny patolog sądowy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który prowadził tę sekcję orzekł, że śmierć nastąpiła wskutek zatrucia arsenikiem. Znów podjęte śledztwo wykazało, że matka panny Caswell i jej stryj Victor również zachorowali po tymże samym

podwieczorku w rezydencji Spod Obłoków w niedzielę 9 września, mając podobne objawy, chociaż w stopniu łagodniejszym. Koroner wydał orzeczenie: morderstwo z premedytacją popełnione przez nieznanego sprawcę, policja energicznie prowadzi śledztwo. Funkcjonariuszom miejscowym pomagają podobno inspektorzy ze Scotland Yardu, więc ufnie oczekuje się rychłego aresztowania.

Jak już wiedziałem, aresztowanie rzeczywiście nastąpiło. Ale dlaczego Consueli? Cóż to były za obciążające listy, o których przeczytałem w krótkiej relacji z przesłuchania jej w sądzie śledczym? I jakie, jeśli w ogóle, są dowody jej winy? Nadal wątek się rwał. Ale dopatryłem się przynajmniej jednej niezgodności. Jeżeli jednocześnie z Rosemary zachorowali Victor i jego bratowa, to dlaczego oskarżenie o usiłowanie morderstwa dotyczy tylko osoby Victora? Powróciłem pamięcią do dnia, w którym poznałem Consuelę, i wszystko, co z tamtego dnia sobie przypomniałem, zacząłem roztrząsać ze słabą nadzieją, że już wtedy było coś, co teraz świadczyłoby o jej winie czy niewinności.

Po przyjeździe z Ameryki Południowej, dopóki rezydencja Spod Obłoków nie została ukończona, Victor i Consuela mieszkali u Mortimera w jego ponurym, dużym wiktoriańskim domu zwanym Paprociarnią. Zgoła niebędący perłą architektury wznosił się ten dom jak sterta sztukaterii pośród zbyt wielu jodeł na wystawionym na wiatr wzgórzu przy wschodnim krańcu miasta. Właśnie tam w szarudze listopadowego dnia, jakże innego niż dzień mojej poprzedniej bytności w Hereford, poszedłem na podwieczorek o wyznaczonej godzinie, niosąc walizkę pełną rysunków perspektywicznych i planów poszczególnych pięter projektowanego domu. Dumny ze swoich propozycji, wprost żażośnie pragnąłem wszystkim dogodzić i okropnie się lękałem że jakiś aspekt nie uzyska aprobaty.

Od roku 1908 nastroje społeczne i moda bardzo się zmieniły, teraz więc mi się wydaje, że pierwszą wizytę u Caswellów złożyłem nie piętnaście lat temu, ale w jakiejś o wiele dawniejszej epoce. Może pół stulecia określiłoby lepiej metaforyczną odległość pomiędzy obecnymi czasami i atmosferą panującą w salonie Paprociarni w tamto czwartkowe popołudnie. Tylko Victora już znałem, Mortimer, jak mi wyjaśniono, był zajęty sprawami swego przedsiębiorstwa. Oczekiwały mnie siedząc półkolem w obitych brokatem fotelach cztery damy: pani Suzan Caswell, owdowiała po założycielu firmy Caswell i S-ka matka Mortimera i Victora, nerwowa wątła staruszka w faldzistej

szarej sukni; pani Marjorie Caswell, żona Mortimera, wyraźnie w tym gronie najważniejsza, o ostrych rysach twarzy, obleczona w surowe, ale kosztowne fiolety; panna Hermione Caswell, starsza siostra Mortimera i Victora, nie tak usztywniona jak tamte, sądząc po jej figlarnych minach i sukni beztrosko zdobnej w falbany, oraz pani Peto, żona brata Marjorie, w mojej pamięci nijaka, tyle że miała suknię koloru wyblakłego turkusku.

Victor, któremu oczy się kleiły - najwidoczniej takich rodzinnych podwieczorków nie zaliczał do swoich ulubionych rozrywek - powiedział, że jego żona zaraz przyjdzie, ponuro usiadł na krześle z boku i już się mną nie zajmował.

W rezultacie nieroztropnie rozkładałem wśród podwieczorkowych filiżanek za dużo planów i usiłowałem, co było wyczynem niemożliwym, odpowiadać na wszystkie pytania pań grzecznie i wyczerpująco. Stara pani Caswell zachowywała się przyzwoicie, częściej się uśmiechała niż zabierała głos, ale Marjorie i Hermione niepoohamowanie ze sobą współzawodnicząc ciągnęły mnie w wesoły płas po dżungli tego, co wiedziały, czy też wydawało im się, że wiedzą o architekturze i proporcjach. Popełniłem zasadniczy błąd, traktując te pytania i uwagi poważnie. Ich zainteresowanie ograniczało się przecież do przekrzykiwania się nawzajem. Dostyc zmieszany próbowałem uporać się zarówno z nimi, jak z kawałkiem tortu, gdy drzwi się otworzyły i weszła Consuela.

Usłyszałem za sobą szelest sukni, zobaczyłem, że Victor wstaje. Też więc wstałem i odwróciłem się do drzwi, które w tym momencie z cichym trzaskiem się zamknęły. I oto ona już stała przede mną. Consuela Evelina Manchaca de Pombalho, bo tak brzmiało jej pannieńskie nazwisko, szlachetnie urodzona o wiele powyżej sfer, do jakich kiedykolwiek mogliby się wznieść Caswellowie. Była w obcisłej sukni popołudniowej z atlasu brązowego jak kasztan, przybranej złotą koronką i tiulem, i w finezyjnym kapelusiku z kwiatami, zsuniętym na tył głowy. Sznur pereł, romboidalna broszka na piersi i ślubna obrączka stanowiły całą jej biżuterię, nie odciągając uwagi od twarzy o regularnych rysach, smukłej szyi, doskonałej figury. Mogłaby jednak uchodzić za jedną z nadzwyczaj pięknych Angielek, gdyby nie jej karnacja, ciemniejsza niż cór Albionu, jej włosy bardziej bujne, wargi pulchniejsze i żar w oczach.

- Pan Staddon, moja żona - przedstawił Victor. Wydawało mi się, że jakoś szczególnie dobitnie mówi „moja” i gdy po ucałowaniu jej

ręki znów na nią spojrziałem, zrozumiałem, dlaczego. Znalazł sobie to dzikie, kłopotliwe stworzenie, oswoił i poślubił, a teraz wprowadził do swojej rodziny, żeby paradowało na jedwabnym łańcuchu. Mruknałem coś kurtuazyjnie. Consuela spojrzała mi w oczy po raz pierwszy.

- Mąż - powiedziała - mówił mi, że pan ma dla nas zbudować dom, panie Staddon. - Jej angielszczyzna z bardzo lekkim obcym akcentem była doskonała, chociaż trochę uroczyście i nie tak wartka jak rodowitej Angielki. I jakże powściągliwa w przeciwieństwie do wymowności jej szwagierek.

- Tak, proszę pani. Będzie to zaszczyt dla mnie.

- Zaszczyt również dla nas, z pewnością.

- Co do tego...

- No, zobacz, Consuelo, projekty pana Staddona - odezwała się Marjorie zza moich pleców.

- Właśnie, zobacz - zawtórowała Hermione. - Są bardzo obiecujące, prawda, Victor?

- Zapowiada się dobrze. - Ale Victor powiedział to obojętnie. Niepojęta zmiana po entuzjazmie, jaki okazywał, gdyśmy byli na terenie budowy, i tylko pierwsza z różnych zmian nastroju, do których miałem przywyknąć w długim czasie naszej znajomości. Chciał mieć wspaniały dom, żeby w nim żyć, piękną żonę, żeby z nią żyć, i szacunek wszystkich wokoło, nieraz jednak podejrzewałem, że dla niego to po prostu rzeczy symbolizujące sukces, w swej treści wciąż nieuchwytny.

Consuela usiadła, dostała herbatę i z wielką uwagą zaczęła słuchać moich objaśnień. Marjorie i Hermione przerywały je tak często i nie-mądrze jak przedtem, ale obecność Consueli niespodziewanie mi to osładzała. Wydawało się, że ona instynktownie rozumie mój dosyć fachowy wykład i więcej wycucia jest w jej niewielu pytaniach niż w całym potoku pytań wszystkich pań razem wziętych.

Hermione jednak, gdy nie walczyła z Marjorie o prym w rozmowie, przejawiała bystrość, jakkolwiek starannie zawoalowaną. W jednym z przeblysków spod owego woalu powiedziała nad zarzuconym planami stolikiem:

- Jak pan widzi, panie Staddon, Consuela ma bardziej artystyczne podejście niż my.

Marjorie się obraziła, pani Peto zachichotała, stara pani Caswell uśmiechnęła się, a Consuela spuściła wzrok, ale podtekst był celny. Trafił wyraźniej niż słowa i wykryłem w tej ostrożnej, wrażliwej młodej

kobiecie sympatię do mnie. Wówczas uznałem, że przemawia przez nią tylko wysoce rozwinięty zmysł estetyczny i na razie się nad tym nie zastanawiałem.

- Oczywiście - wyjąkałem. - Ten projekt łatwiej ocenić, kiedy się widzi teren.

- Victor jeszcze mi nie pokazał Spod Obłoków - powiedziała Consuela.

- Będzie dość czasu na to - wtrącił się Victor - po zlikwidowaniu farmy.

- Wtedy z przyjemnością posłużę pani jako przewodnik - pośpieszyłem zapewnić.

- Bardzo pan uprzejmy, panie Staddon. Proszę o tym pamiętać.

- Oczywiście, proszę pani.

Gdy to powiedziałem, Consuela po raz pierwszy, odkąd weszła do salonu, uśmiechnęła się. Jej uśmiech uskrzydlił mi serce.

Nie minął tydzień od aresztowania Consueli, gdy się okazało, że w biurze nie tylko Kevin zauważył w gazecie nazwę Spod Obłoków. Na wzmiankę zwrócił uwagę także Giles Newsom, nasz asystent aspirujący do stanowiska współpracownika. Przystojny młody Newsom, elegant i łowca serc, miał zadatki na zdolnego architekta. Przyjęliśmy go do pracy za namową Imry'ego, gdy stało się jasne, że Imry nigdy nie wyzdrowieje dostatecznie, żeby podolać swojej połowie zadań w naszej spółce, i chociaż irytowała mnie zbyt duża jak na mój gust pewność siebie tego młokosa, on w ciągu czterech lat udowodnił, że Imry słusznie go polecał.

Nieudolności nigdy nie dałoby się Newsomowi zarzucić, ale jego nałogowym grzechem było lenistwo. Właśnie rozleniwiony siedział sam w biurze, gdy w tamten piątek wróciłem po południu - nogi na biurku, papieros w ustach - nad otwartym „Architect Journal”. Kiedy indziej może bym spróbował łagodnie go skarcić, tym razem w przygnębieniu nie zdobyłem się na taki wysiłek.

- Jeszcze tutaj, Giles?

- Nadrabiam lekturę, panie Staddon. - Uśmiechnął się, zsunął nogi z biurka, wcale niespieszony. - Zawsze się opłaca trzymać rękę na pulsie, nie sądzi pan? Nowe style, nowe projekty. Nowe koncepcje.

- Z pewnością masz rację.

- Co nie znaczy, że nie możemy czasami czerpać ze starych koncepcji.

- Nie znaczy? - Zaczynałem przypuszczać, że jego uwagi do czegoś zmierzają, więc lepiej byłoby nie rozwijać tego tematu.

- Stanowczo. Właśnie nie dalej niż przedwczoraj podziwiałem jeden z pana najdawniejszych projektów.

- Rzeczywiście? Który? - Jak gdybym musiał pytać!

- Spod Obłoków. Reg mi pokazał artykuł w starym numerze „Buildera”. A ja nawet nie wiedziałem, że mamy to w ewidencji.

- I co z tego?

- Co z tego? - Spojrzał na mnie zdumiony i rozbawiony. - No, po prostu to jest bardzo dobre. Proste, a przecież efektowne. Funkcjonalność i styl. Wyjątkowo doskonale połączenie. Pojęcia nie miałem, że...

- Ja tak potrafię!

- Ależ skąd! - Roześmiał się. - Na miłość boską, usiłuję panu powiedzieć komplement. To zharmonizowanie isticie zamkowego halu z salonem naprawdę świetne. Ten pięciokątny wykusz wzmacniający cztery szczyty na tyłach. I ten wał z kamienia płytowego wyprowadzony w sad. Jak o nim pisali? Moło na morzu zieleni. Wspaniałe. Rzeczywiście wspaniałe.

- Bardzo jesteś łaskaw.

- To przecież prawda. Szkoda tylko...

- Że co?

- Że takie zlecenia rzadko się zdarzają. Przed wojną pewnie było więcej klientów tego typu.

- Możliwe. - Pomyślałem o Victorze Caswellu. Takich jak on klientów nigdy nie było wielu, co zresztą dobrze. - Ale architektowi wystarczy jeden.

- Pozwoli pan, panie Staddon, że pana zapytam o coś w związku z tym domem Spod Obłoków?

- Proszę.

- Nie umniejszając pana innych dzieł, nie uważa pan, że to był pana najlepszy projekt w życiu?

Westchnąłem.

- Tak, Giles. Uważam, że tak.

Nazajutrz po podwieczorku u Caswellów w Paprociarni zdecydowałem się wrócić do Londynu dopiero wieczorem, żeby jeszcze raz zobaczyć teren budowy. Zjadłem śniadanie w hotelu i wyruszyłem tam dorożką. Wsiadłem na szosie nieopodal farmy i dorożkę

odpawilem. Zamierzałem przejść pieszo tych kilka mil do Hereford i z powrotem, gdy już należycie rozejrzę się w terenie.

Było słoneczniej niż poprzedniego dnia i ostry wiatr działał na mnie pobudzająco, gdy szedłem w dół przez łąkę w stronę sadu, który Victor pokazał mi tylko z daleka. Już zacząłem wysubtelniać moje pomysły tak, by przemawiały do wrażliwości Consueli, i zastanawiać się, jak można by we wszystkich stadiach tych prac uwzględnić jej życzenia i wygody. Już zależało mi na jej aprobacie bardziej niż powinno mi zależeć na aprobacie jakiegokolwiek żony jakiegokolwiek klienta.

Do sadu оголоconego chyba po zbiorach, prowadziła wąska furtka w żywopłocie. Za sadem, jak wiedziałem, rozciągała się farma, ale drzewa ją zasłaniały.

Otworzyłem furtkę zamkniętą na pętlę ze sznurka i wszedłem. Nagle o parę kroków przede mną, jak gdyby znikąd ukazał się wśród drzew człowiek nieduży, niemłody, w wyświechtanym samodzielu i płaskiej czapce, z przełamaną śrutówką pod lewą pachą.

Zaskoczony tym raptownym spotkaniem, w pierwszej chwili oniemiałem. Miał podejrzliwe małe oczy, pociągłą, bardzo kościstą twarz. Bez ceremonii wypluł coś, co żuł.

- Kto pan może być? - zapytał tonem świadczącym, że cokolwiek odpowiem, nie będę mile widziany.

- Nazywam się... Staddon. Jestem architektem.

- Łarchi-kektem? - Przyjrzał mi się w milczeniu, jak gdyby szacował możliwości owego plemienia. - A dla kogo pan tu jest łarchikektem, panie Staddon?

Uznałem, że nie ma sensu kręcić.

- Dla pana Victora Caswella - odrzekłem śmiało.

- Aa... Tyle to ja zmiarkowałem.

- Rozglądam się tylko. Mam nadzieję, że pan pozwoli.

- Na to samo by wyszło, gdybym nie pozwolił. No nie?

- Nie. Ścisłej mówiąc, pana pozwolenie jest mi rzeczywiście potrzebne, panie... hm... Doak, prawda?

- To od niego pan wie moje nazwisko?

- Pan Caswell wymienił je, owszem.

- Dziw, że zapamiętał.

- Więc nie będzie pan miał obiekcji co do tego, że... się rozejrzę?

- Łobiekcji? - Znowu splunął. - Przychodź, kiedy chcesz, chłopcze.

Poszedłem za nim przez sad i po raz pierwszy zobaczyłem to obejście. Lepianka pod spadzistą strzechą, otoczone murem podwórze

z walącą się stodołą z boku. Tutaj, tak jak w sadzie, widać było jakąś niezupełnie zastygłą martwość, coś, co świadczyło, że gospodarz po długim borykaniu się z biedą niedawno zaniechał wszelkich wysiłków.

- Pan tu mieszka sam, panie Doak?

- A jakże. Żona zmarła dwa lata temu.

- Nie ma pan dzieci?

- Mieliśmy syna, ale zmarł jeszcze przedtem. Więc może lżej panu będzie na sumieniu. Czy może pan jest bez sumienia? Jak ten pana pracodawca.

- No, ja...

- Zachowacie choć trochę z tego?

- Z czego?

- Z tego gospodarstwa, chłopcze, z tego gospodarstwa. - Wskazał obejście za drzewami. Wrota wymagały nowego zawieszenia, stodoła nowego stryszku. Na pięterku domu jedno okno było stłuczone, inne ledwie się trzymało na zawiasach.

- Nie, nie sądzę. Z wyjątkiem...

- Z jakim wyjątkiem? - Omiótł mnie ponurym spojrzeniem.

- Nazwy. Panu Caswellowi ta nazwa się podoba. Nadal to będzie się nazywało Spod Obłoków.

- Teraz?

Doszliśmy do drugiego końca sadu. Doak przystanął, oparł się o łożynowy płot. Wyjął z kieszeni manierkę, pociągnął z niej łyk i machnął nią zapraszająco. Potrząsnąłem głową.

- Caswell załatwił ze swoim bratem, żeby mnie wziął do pracy przy jableczniku zaraz po Zwiastowaniu. Mówił panu?

- Nie.

- Tylko dlatego nie uciekłem stąd, aż by się kurzyło. Niech popracuję u rodziny, co kiedyś u nas pracowała. Niech... - Splunął za płot. - Moja rodzina miała kiedyś tę ziemię. Całą.

- I co się stało?

- Ciężkie czasy, chłopcze, ciężkie czasy. - Prychnął. - Tylko nie dla Caswellów na tym padole.

- Bardzo przykro będzie to zostawić. Wyobrażam sobie.

Spojrzał na mnie z pogardą, jak gdybym w żadnym razie nie mógł zrozumieć, czym będzie odejście Spod Obłoków.

- Doakowie mieli i uprawiali tę ziemię, kiedy Caswellowie wygrzebywali z błota świńskie jabłka. Więc ja mam się dobrze czuć, kiedy jeden z Caswellów wykupuje mi ją przed nosem.

Nie było odpowiedzi, żadnej odpowiedzi, która nie wydawałaby się zdawkowa albo impertynencka. Zakłopotany odwróciłem wzrok.

- Nie mogłem nic zrobić, żeby Caswell nie kupił Spod Obłoków - ciągnął Doak. - Ma pieniądze, myśli, że ma prawo. Ale ja ci powiem, chłopcze, powiem nie na wiatr. Może on sobie mieć Spod Obłoków, ale nie może być tutaj szczęśliwy. Może tu mieszkać, ale nie może czuć się tu dobrze. Przyjdzie czas, kiedy Victor Caswell pożałuje, że mu się zachciało zbudować sobie dom tutaj... na miejscu Spod Obłoków.

Zlekceważyłem wtedy słowa Ivora Doaka. Uznałem, że przemawia przez niego zawiść, rozgoryczenie. I prawdopodobnie tak było, chociaż, rzecz dziwna, nikt później nie mógłby zaprzeczyć, że słowa te się sprawdziły. Jak najbardziej.

II

Wiedziałem, że ledwie prasa doniesie o następnym przesłuchaniu Consueli w sądzie śledczym, Angela znów się zainteresuje, więc postarałem się nazajutrz, we wtorek, wyjść z domu wcześniej. Umówiłem się w Whitstable z sekretarzem jednego z klubów golfowych, pragnącym mieszkać wspanialej, na godzinę dziesiątą, tak że musiałem wyruszyć na Dworzec Victoria, gdy Angela była jeszcze w łóżku.

Odkąd dowiedziałem się o nieszczęściu Consueli, sypiałem kiero, przerażający wydawał mi się kontrast pomiędzy każdym moim wspomnieniem o niej i jej niedolą w gołej celi więziennej w Hereford. Mając nadzieję, że dalsze wiadomości o tym oskarżeniu może przyniosą mi jakąś ulgę, na Kensington High Street kupiłem „Timesa” i usiadłem na ławce, żeby od razu przeczytać kronikę sądową.

W sądzie śledczym Hereford już się rozpoczęło pełne przesłuchanie. Donoszono o tym szczegółowo i na poczesnym miejscu, co świadczyło, że ta sprawa coraz bardziej interesuje opinię publiczną. Prokurator przedstawił sądowi obszerne uzasadnienie oskarżenia. Na podstawie pewnych listów, znalezionych u oskarżonej, można wykazać, że ma ona powód, by żywić złość do swego męża. Ponadto była wśród jej rzeczy pewna ilość trójtlenku arsenu. W niedzielę 9 września oskarżona miała zjeść podwieczorek jak zwykle z mężem i córką...

Przerwałem czytanie. Ich córką? Nigdy nie przypuszczałem, na myśl by mi nie przyszło, że oni mogliby mieć dziecko. To nie było nic nadzwyczajnego, a przecież ta informacja mnie zdruzgotała. Nagle wszystko wydawało się jeszcze gorsze. Consuela i Victor mają dziecko, natomiast Angela i ja... Zmusiłem się, by czytać dalej.

Consuela, Victor i ich córka (której imienia w tej relacji nie poda-no) właśnie zasiadali do podwieczorku w salonie domu Spod Obłoków, gdy niespodziewanie przybyli goście: Marjorie i jej córka

Rosemary, które, wracając z obiadu u brata Marjorie w Ross-on-Wye, wpadły na pomysł, żeby po drodze wstąpić do nich. Podwieczorek przeciągnął się, posiedziały tam godzinę i pojechały dalej do swego domu, Paprociarni w Hereford.

W kilka godzin później obie się rozchorowały, przy czym wystąpiły objawy silnego zatrucia pokarmowego. Tymczasem w domu Spod Obłoków Victor też się rozchorował z takimi samymi objawami. Przypadek Rosemary był najcięższy: po wymiotach i bieguncie nastąpił paraliż, utrata przytomności i późnym wieczorem zgon.

Zdaniem prokuratora, oskarżona wiedząc, że mąż w odróżnieniu od niej i ich córki zawsze słodzi herbatę, wysypała do cukiernicy odpowiednią ilość arszeniku, żeby go zabić, ale Marjorie i Rosemary, które też słodziły, niespodziewanie dla niej podzieliły z nim tę porcję, przy czym największa część przypadła Rosemary.

Pierwszym świadkiem oskarżenia był dr Stringfellow, lekarz wszystkich trojga pacjentów. Uważał, że przyczyną śmiertelnej choroby Rosemary Caswell nie mogło być zatrucie naturalnymi drobnoustrojami chorobotwórczymi w tym, co jadła i piła. Dlatego wstrzymał się z wydaniem świadectwa zgonu, dopóki specjalista od wykrywania trucizn nie przeprowadził sekcji zwłok. Ponadto dr Stringfellow pobrał do analizy próbki moczu dwojga pozostałych chorych. Wykrycie arszeniku zarówno w tych próbkach, jak w ciele nieboszczki wcale go nie zdziwiło. Od początku obawiał się, że to właśnie to.

Zeznanie dr Stringfellowa zakończyło pierwszy dzień przesłuchań.

Trucizna zawsze wydaje się najbardziej złowieszczym zagrożeniem, zaczajona w potrawach czy napojach, zamaskowana innymi smakami, atakująca po iluś tam godzinach, gdy ów posiłek prawie już poszedł w niepamięć. Może taki rozwój wypadków Ivor Doak miał na myśli mówiąc o nabyciu przez Victora farmy Spod Obłoków - to, że coś na tej ziemi, coś w tym domu będzie stawiać Victorowi opór i ostatecznie postara się go zgładzić.

A przecież czy możliwe, żeby Consuela była narzędziem tej zagłady? Chyba nie. Consuela nie jest trucicielką. Taka zbrodnia wymaga inteligencji zimnej, chytrej, zupełnie obcej jej naturze. Najwyraźniej jednak policja rozumuje inaczej i ma dowody na potwierdzenie swoich racji. A co mam ja? Nic poza dawnymi wspomnieniami o Consueli, które niczego nie wnoszą do tej sprawy.

Po raz pierwszy powitałem Consuelę na terenie budowy domu Spod Obłoków w kilka dni po Wielkanocy roku 1909. Budowlani pracowali tam zaledwie od dwóch tygodni, więc niewiele było do oglądania poza błotem i rowami. Ostatnią partię gruzu po zburzeniu farmy jednak już usunięto i mogłem przynajmniej zacząć sobie wyobrażać wspaniałość tego domu, gdy będzie ukończony. Pozostawało pytanie, czy zdołam moją wizję przedstawić ludziom dostatecznie obrazowo, ale to raczej nie tłumaczy niepokoju, z jakim czekałem na reakcję Consueli.

Przyjechała po południu w towarzystwie siostry męża, Hermione, automobilem Mortimera Caswella - godnie prowadzoną przez szofera wysoką limuzyną, nudnie dostojną w przeciwieństwie do nacechowanego *joie de vivre* mercedesa Victora. Rozmawiając z majstrem George'em Smithem usłyszałem warkot na oznaczonym koleinami szlaku, biegnącym od szosy. Ruszyłem na spotkanie gości nagle świadom, że jestem ubrany byle jak i zabłocony.

W tamten doskonały dzień wiosenny Consuela wysiadając lekko z automobilu była ze wszech miar doskonałym uzupełnieniem wiosny. Jej strój w owej epoce przepychu czarował i zaskakiwał prostotą; kremowy kostium w bardzo nikle paski, bladożółta bluzka spięta broszką, słomkowy kapelusz dyskretnie ozdobiony piórami, białe rękawiczki i biała parasolka z frędzlą. I to wszystko - bez boa, bez woalki, bez okazałych klejnotów i niepotrzebnych dodatków. Uśmiechała się, jak gdyby cieszył ją mój widok, mogłem więc mieć nadzieję, że tak jest.

- Dzień dobry, panie Staddon.

- Dzień dobry, pani Caswell. - Krótco przytrzymałem jej dłoń. - Rad jestem niezmiernie, że pani przyjechała.

Popatrzyła mi w oczy i powiedziała cicho:

- Przyrzekłam, że przyjadę.

W tym momencie Hermione wynurzyła się z automobilu. Ona była w kostiumie z samodziąłu i okrągłym kapeluszu, który przymocowała na głowie szalikiem owijając nim ponadto szyję, zapewne żeby się nie narazić na kaprysy kwietniowej pogody. Wysłuchiwała moich uprzejmości z dobrodusznym zniecierpliwieniem i zapytała, kiedy zaczniemy obchód.

Obchód właściwie ograniczał się do moich usilnych wyjaśnień, gdzie będą rozmieszczone poszczególne pokoje w domu i jak zaplanowałem ogród. Dom z aleją wjazdową skręcającą przy sadzie miał

być frontem zwrócony na północ. Za domem miały być sadzawki, klomby i opleciona glicynią albo powojnikiem pergola wzdłuż wykładanego płytami wału, który miał prowadzić do sadu i przez sad w dół na zbocze wzgórze. Od północnej strony, czyli przed domem, ogród już nie tak formalny, raczej park z drzewami miał pięć się pod górę. Od osłoniętej strony wschodniej miały być cieplarnie, warzywnik, domek ogrodnika. Sam dom zaprojektowałem w kształcie spłaszczonej litery H - z dwoma szczytami z frontu, czterema z tyłu i z pięciokątnym wykuszem. Kuchnie, stajnie i garaż miały przylegać z boku. W części frontowej domu hall i korytarze zaprojektowałem tak, żeby ze wszystkich głównych pokoi i większości sypialń rozciągał się widok na południe. Zwłaszcza salon i nad salonem sypialnię państwa domu, mieszczące się w wykuszu, wyobrażałem sobie jako komnaty bardzo widne i wspaniałe. Zbudowany z miejscowego piaskowca i łupku, stał mi ten dom przed oczami, masywny i zarazem pełen wdzięku.

Ile z tego pojęła Hermione, nie mogłem się zorientować. Wyraźnie interesowała się bardziej sposobem powstawania dzieła, niż samym dziełem, bo ku mojemu zdumieniu znalazła pokrewną duszę w majstrze i zadowalała się wypytywaniem jego, gdy ja prowadziłem Consuelę do skraju lasu na północ od terenu budowy, tam, skąd rozciągał się najpełniejszy panoramiczny widok. Przystanęliśmy pod rozłożystym kasztanem i odwróciliśmy się, żeby popatrzeć na płataninę piaszczystych szlaków i kładek, na dłubaninę przedsiębiorstwa budowlanego w błocie i dalej na kwitnące jabłonie, morze różowej bieli - ostatni plon Doaka, już nie dla niego.

- Myślę - zaryzykowałem ostrożnie - że tu w tym miejscu przydałaby się altana...

- Byłoby doskonale - przerwała nie patrząc na mnie. Słońce i cień cętkowały jej czoło i policzki, zamazywały wyraz twarzy. Ale jej urody nic nie mogłoby zamazać.

- Rad jestem, że ten pomysł się pani podoba.

- Chyba, panie Staddon, podobają mi się wszystkie pana pomysły. Victor miał szczęście, że znalazł tak utalentowanego architekta.

- Zbyt pani łaskawa. Ja tylko dokładam starań.

- Chciałabym mieć w ogrodzie róże - powiedziała. Nagle posmutniała. I tak samo nagle zapragnąłem spełniać wszystkie jej życzenia.

- Może krata z pnączem - powiedziałem myśląc błyskawicznie - albo różana rabata.

- To by mi przypominało dom rodzinny. - W głosie jej usłyszałem rzewną tęsknotę. - Ciepło i słodycz brazylijskiego słońca.

- Gdzie był pani dom?

- Casa des Rosas. - Uśmiechnęła się. - Dom Róż. Rua São Clemente w Rio de Janeiro. Dom, w którym się urodziłam. Dom, który zbudował ojciec, kiedy się wzbogacił.

- Czy to dom tak uroczy, jak pani o nim mówi?

Nie odpowiedziała, więc uznałem, że nie chce tego rozwijać. A przecież nie oparłem się pokusie, by zbadać, gdzie błądzi myślami.

- Bardzo pani tęskni?

Odwrociła wzrok, palce w rękawiczce zacisnęła na rączce parasolki.

- Ile czasu, panie Staddon, potrwa budowanie tego domu?

- Za dwa lata będą państwo mogli tu mieszkać.

- Za dwa lata?

- Niewątpliwie wydaje się, że to długo, ale zapewniam panią...

Uciszyła mnie uniesieniem ręki.

- Nie wydaje się długo. - Obejrzała się na las za nami. - Pod pewnymi względami... - Urwała i wiedziałem, że nie dokończy. Przelotnie doznałem wrażenia, że zamyka w sercu za dużo smutku i tęsknoty jak na jedną osobę, a cóż dopiero na osobę tak piękną.

- Pani szwagierka daje nam znaki, proszę pani. Może powinniśmy zejść do niej.

Spojrzała na mnie wyraźnie zniecierpliwiona koniecznością przestrzegania zasad bon tonu. Ale szybko spuściła oczy i blade się uśmiechnęła.

- Tak - powiedziała. - Oczywiście, powinniśmy. - I zaczęła schodzić ze zbocza.

Jedną z najbardziej irytujących cech Angeli jest zmienność jej nastrojów i taktyki. Jakże łatwo i niespodziewanie, dosłownie z miejsca, Angela potrafi zmienić swój gniew w łagodność i na odwrót. Gdy z całą pewnością przewiduję, że będzie uporczywie jak terier rozgrzebywała niepożądany temat, ona okazuje absolutną obojętność. Tak właśnie było z relacjami w prasie ze sprawy Consueli. Można by myśleć, że Angela nawet ich nie zauważyła. Jakoś jednak w to nie wierzyłem.

W drugim dniu przesłuchań zeznawało dwoje świadków, którzy przeżyli rzekome otrucie - Marjorie i Victor. Marjorie opowiedziała,

jak w tamto popołudnie wracając z córką z Ross-on-Wye zdecydowała się złożyć po drodze wizytę w domu Spod Obłoków. To Victor - nie Consuela, zaznaczyła Marjorie - prosił, żeby zostały na podwieczorku. Nie dostrzegła nic szczególnego w tym, co się tam mówiło czy robiło. Consuela była przygaszona, ale nie bardziej niż zwykle. Marjorie wypila dwie filiżanki herbaty z mlekiem i cukrem i zjadła kawałek ciasta owocowego, Rosemary chyba też nie więcej. Kiedy przyjechały, podwieczorek już podano, ale Consuela czekała, dopóki nie usiadły przy stole. Dopiero wtedy nalala wszystkim herbatę i pokroiła ciasto. Mlekiem, cytryną i cukrem częstowały się same. Rosemary - o ile Marjorie sobie przypomina - pierwsza wzięła cukier z cukiernicy. Siedziały mniej więcej godzinę, po czym pojechały do domu. Wieczorem obie poczuły się źle. Kolacji nie jadły. O pierwszej w nocy Rosemary zaczęła gwałtownie wymiotować. Marjorie również. Na wezwanie przyjechał dr Stringfellow. Doktor wyraził zaniepokojenie zwłaszcza stanem Rosemary i powiedział, że najprawdopodobniej jest to zatrucie pokarmowe. Zatelefonował do domu Spod Obłoków i dowiedział się, że Victor też choruje, ale ani Consuela, ani Jacinta...

Więc ich córka ma na imię Jacinta. Imię tak piękne, jak mogłem się spodziewać. Raczej jednak portugalskie niż angielskie, co mnie zdumiało. Myślałbym, że Victor będzie się upierał przy angielskim imieniu dla swojego dziecka.

Ani Consuela, ani Jacinta nie zachorowały. Ten właśnie fakt prokurator starał się podkreślić. I to, że Consuela nie wezwała lekarza do chorego męża. Doktor Stringfellow sam się ofiarował przyjechać do domu Spod Obłoków prosto z Paprociarni.

Zeznanie Marjorie zakończyło się przejmującym opowiadaniem o ostatnich godzinach życia Rosemary i złożeniem hołdu „najmilszej, najbardziej oddanej córce, jakiej mogłaby sobie życzyć matka”, co wzruszyło sąd.

Czy mnie by wzruszyło, nie wiedziałem. Dziwnie było czytać zeznanie osób znajomych i dziwnie było nie mieć przy tym pojęcia, jak wyglądają, z jakim wyrazem twarzy i jakim tonem zeznają. Marjorie Caswell zawsze wydawała mi się nieugięta, ale to nie usprawiedliwia posądzenia jej o brak naturalnych uczuć matki w żałobie. Moje przesławienie, że Consuela nie jest zdolna do morderstwa, to nie powód, żeby tych, którzy ją oskarżają, uważać za kłamców.

Niemniej zeznanie Victora uderzyłoby mnie fałszywą nutą, nawet gdybym nie był osobiście zainteresowany. Na umiętnie zadane

pytanie prokuratora Victor z naciskiem odpowiedział, że wolałby nie składać zeznania obciążającego jego żonę. Małżonkom nie przysługuje prawo do nieskładania zeznań przeciwko sobie nawzajem, gdy jedno z nich jest oskarżone o przemoc wobec drugiego. A jak się domyśliłem, w tej sprawie zaważyło dodatkowe oskarżenie o usiłowanie morderstwa. Bez tego Victor nie mógłby prezentować swoich skrupułów.

Victor potwierdził zasadnicze szczegóły zeznania Marjorie. Jeśli chodzi o okoliczności przed wizytą Marjorie, powiedział, że gdy dołączył do żony w salonie, podwieczorek był już podany. Guwernantka przyprowadziła Jacintę i prawie zaraz przyjechały Marjorie i Rosemary. To, że raczej on, a nie Consuela, zatrzymał je na podwieczorku, wydawało mu się nieistotne, ale przyznał, że gdyby one nie przyjechały, nikt oprócz niego nie wziąłby cukru z cukiernicy, bo jego żona i córka zwykle piją herbatę z cytryną bez cukru.

Pod koniec tego przesłuchania prokurator poruszył istotną kwestię.

- Jak usłyszymy później, policja znalazła pewne listy będące w posiadaniu pańskiej żony, listy niepodpisane, z gatunku złośliwych anonimów...Listy te mogły budzić w niej podejrzenie, że pan ją zdradza. Czy rzeczywiście były jakieś podstawy do takich sugestii?

- Żadnych podstaw nie było.

- Pan jest i był zawsze wiernym mężem?

- Tak.

- I uważa pan, że pańskie małżeństwo jest szczęśliwe?

- Tak.

Jego solenne zapewnienia niewątpliwie wywarły, zgodnie z jego zamiarem, dobre wrażenie w sądzie. I ostatecznie kto mógłby mu zaprzeczyć poza Consuela, milczącą na ławie oskarżonych, i poza mną? Bo ja wiedziałem, że on kłamie. Nie co do tych listów, chociaż może tylko na razie. Ale kłamliwie przedstawia swoje małżeństwo. Wierny mąż? Nie. Szczęśliwy związek? Po stokroć nie. O ostatnich wydarzeniach w domu Spod Obłoków wiedziałem nie więcej, niż każdy inny czytelnik gazet, ale o małżeństwie Victora i Consueli wiedziałem nie mniej, niż oni sami.

Przez długie miesiące po pierwszym przyjeździe Consueli na teren budowy myślałem tylko o rozwiązywaniu problemów praktycznych. Wspaniałe koncepcje i artystyczne projekty zdane są na łaskę wiatru, deszczu, śniegu i ludzkiej omyłności. Żeby osiągnąć sukces, architekt

musi, jak wówczas się nauczyłem i raz na zawsze zapamiętałem, uga-
niać się od kamieniołomu do składu drewna i z powrotem, wspinać
się po rusztowaniach i człapać po błocie, nieraz o nieboskiej godzinie
i wciąż w pogoni za nieuchwytną doskonałością. Potem nigdy już nie
byłem tak drobiazgowy i niezmordowany, jak wtedy gdy razem z mo-
im marzeniem zaczęło wznosić się pod obłoki moje Spod Obłoków na
zboczu pomiędzy lasem i rzeką, wysoko ponad Hereford.

Rok chyba minął co najmniej, zanim sobie uświadomiłem, że am-
bicja, z jaką buduję ten dom, nierozzerwalnie połączyła się z moim
emocjonalnym stosunkiem do przyszłych jego lokatorów. Jeśli już, to
częściej widywałem Consuelę niż Victora. Consuela przyjeżdżała na
teren budowy co dwa tygodnie z Hermione albo z Marjorie, albo też z
samym Victorem i czasami Mortimerem. Raczej ją niż towarzyszące
jej osoby informowałem o postępach w pracy, przy czym szybko nar-
zucały się inne tematy: dlaczego zostałem architektem? Co ona myśli
o Anglii i o Anglikach? Powiedziała mi kiedyś, że rozmawia ze mną
jak z nikim z rodziny Victora i że to ożywcze móc spędzić trochę czasu
z kimś, kto ma horyzonty rozciągające się poza Hereford i księgowość
wytwórni jabłeczniaka.

Przedtem myślałem, że Consuela kogoś takiego znajduje w swoim
mężu. Ostatecznie Victor wykazał się na innym kontynencie, widział
więcej i poznał świat lepiej niż wszyscy jego krewni. Dziwnie jednak
dawała do zrozumienia, że on kimś takim nie jest. Teraz ja sam zwró-
ciłem uwagę na jego chimery i skrytość. Klientem był pod wieloma
względami idealnym - chętnie płacił, niechętnie się wtrącał - ale też
był najbardziej odpychającym z ludzi; nieobliczalny, niekomunika-
tywny, nie miał w sobie ani krzty ciepła, ani krzty życzliwości. Im
dłużej go znałem, tym mniej go rozumiałem. Im częściej się z nim
widywałem, tym rzadziej chciałem się z nim widywać. Z daleka wy-
dawał się bardzo przystojny i bardzo układny. Ale z bliska pod tym
polorem ujawniała się osobowość, w której na jakiś własny użytek
kłębiły się złość i pogarda. Jak mówiła mi Hermione, rodzinna plot-
karka, wyjechał do Ameryki Południowej wyprawiony tam przez ojca
do pracy w brazylijskiej filii jednego z banków londyńskich, gdy się
okazało, że w branży jabłecznikowej pociechy z niego nie będzie. Kie-
dy się zainteresował przemysłem gumowym, Hermione dokładnie nie
wiedziała, ale rzeczywiście do Anglii wrócił w glorii - z pieniędzmi -
syn marnotrawny, który jednak czegoś dokonał i nikomu nie da o

tym zapomnieć, i patrzcie, podziwiajcie, stać go nawet na tak piękną, arystokratyczną żonę, jak Consuela.

Moje uczucie do Consueli przechodziło kilka faz. Z początku bezsprzecznie mi się podobała. Potem, gdy trochę się odsłoniła przede mną, zacząłem jej współczuć, że wiedzie przy Victorze nudne, puste życie. Z początku nie podobał mi się sposób, w jaki Victor ją traktuje, potem mnie oburzał. Dochodziła do tego zazdrość, oczywiście, i daremne pożądanie, ale naprawdę przejmowało mnie odrazą jego panowanie nie tyle nad jej ciałem, ile nad osobowością. Wiosną 1910 roku już podejrzewałem, że ten dom, który buduję, ma być w istocie dekoracyjnym więzieniem, gdzie on ją zamknie i będzie nad nią panował jeszcze skuteczniej.

Przypominam sobie pewien incydent z tamtych czasów, który mi uświadomił wiele elementów mojej antypatii do Victora. Robotnicy właśnie rozpoczęli pracę na dachu i Victor mnie uprzedził, że przyjedzie z kimś ze znajomych, żeby mu pokazać dom w budowie. Przywykłem do takich zakłóceń, znośnych dla mnie tylko wtedy, gdy przyjeżdżała Consuela. Tamtego dnia słysząc warkot mercedesa, ruszyłem na spotkanie gości pełen ogromnej niechęci, chociaż zamierzałem być miły i wyczerpująco udzielać informacji.

Victor przedstawił mi swego znajomego, majora Roystona Turnbulla. Bóg raczy wiedzieć, pomyślałem, kiedy ten major ostatnio oglądał plac musztry. Był to wysoki jegomość - ponad sześć stóp wzrostu - z wyraźną skłonnością do tycia, w luźnym garniturze koloru grzyba, wzorzystej kamizelce i kapeluszu ze sztywnym, wywiniętym rondem. Palił cygaro w cygarnicze, co jakoś pasowało do błyskającego złota jego dewizki, szpilki w krawacie i sygnetu na palcu, i sprawił na mnie wrażenie oficera raczej latynoskiego niż angielskiego, choćby z najpośledniejszego pułku. Nie znaczy to jednak, żeby był typem Latynosa. Włosy miał jasne, oczy szaroniebieskie, roziskrzone, twarz mocną i rumianą. Victor wyjaśnił że znają się od dawna z Ameryki Południowej; major Turnbull mieszka teraz na południu Francji, zawitał do Anglii na krótko i bardzo chce zobaczyć dom Spod Obłoków. Bez wahania mogę powiedzieć, że nigdy do nikogo nie poczułem tak instynktownej awersji, jak wówczas do majora Turnbulla.

Przywieźli ze sobą Spencera, syna Mortimera Caswella. Spencer przyjechał na ferie z internatu - drobnej budowy chłopiec dziewięciu- czy dziesięcioletni, który w dużym stopniu odziedziczył małomówność

ojca, od siebie dodając wyraz ponurej zadumy na drobnej twarzy o przymrużonych oczach, aż nasuwało się podejrzenie, że coś knuje, chociaż prawdopodobnie tylko się dąsał.

Chyba z tego opisu wynika, że żaden komplet gości nie mógłby przygnębić mnie bardziej, a i tak już byłem przygnębiony. Victor, zapewne na cześć majora, był w serdecznym, wylewnym nastroju. Chodził po terenie budowy, gawędził przyjaźnie z robotnikami, którym wydawało się chyba, że śnią. Nawet spróbował rozweselić małego ponuraka Spencera, zabierając go na platformę dekarzy.

Wtedy majorowi Turnbullowi i mnie pozostało tylko usiąść na stołkach polowych po słonecznej stronie baraku biura budowy i rozmawiać - ku mojemu zdumieniu nie o architekturze, tylko o Caswellach. Major, chociaż dopiero co mnie poznał, wypowiadał się na temat rodziny przyjaciela tak chętnie, że z początku to mnie wprost krępowało.

- W Paprociarni nadzwyczaj pana chwałą, Staddon.

- Miło mi to słyszeć.

- Ale ja panu nie zazdroszczę. Praca dla Victora nie jest łożem usłanym różami.

- Nie uskarżam się.

- Bo i lepiej się nie uskarżać, prawda? - Spojrzał na mnie. - Powiedz pan, co o nim myślisz.

- Co pan o nim myśli, majorze? On jest pana przyjacielem, nie moim.

Roześmiał się.

- Zręczny unik. Bardzo zręczny - Spojrzał na otoczony rusztowaniem dom tam, gdzie wysoko na platformie snuł się Victor ze Spencerelem u boku. - Myślę, że Victor popełnia błąd osiedlając się tutaj. Błąd zrozumiała, niemniej błąd.

- Dlaczego?

- Znam go, Staddon. Gruntowniej niż on sam zna siebie. Poznałem go w Santiago prawie jednaście lat temu. Byłem z nim kilka razy w tarapatach. W tarapatach, nie waham się przyznać, wymagających odwagi, chyba więc mogę twierdzić, że wiem, z jakiej Victor jest gliny. Podróże. Ryzyko. Rozmaitość. Tego mu potrzeba, a to właśnie nie czeka go tutaj. On powinien wyrwać swoje korzenie, a nie wracać do nich.

- Tak pan myśli?

- Tak myślę. I przede wszystkim nie powinien był przywozić tu

Consueli, przecież żywcem ją tu pogrzebie w swojej przeszłości. - Jeszcze jedno spojrzenie na mnie. - Słyszałem, że ona ogromnie ceni pana talent.

Rozmyślnie nie spojrzałem mu w oczy.

- Słyszał pan? Od kogo?

- Nie od tej pani osobiście. Jest zbyt ostrożna. Słyszałem od Victora. Nie podoba mu się to, że ona dobrze się czuje w pana towarzystwie. Pan jakoś potrafi ją rozruszać, on nie.

- Nie wiem, o czym pan...

- Rozruszać intelektualnie, mówiąc ściślej. Natura nie poskąpiła Consueli inteligencji, nie tylko pięknego ciała, co nie znaczy, że chciałbym...

- Nie sądzę, żeby nam wypadało tak rozmawiać o pani Caswell. - Specjalnie okazałem gniew, byle nie okazać, że się z tym zgadzam.

- Zapewne nie wypada - powiedział Turnbull, niezrażony, - Ale wychodzę z założenia, że żaden temat nie powinien być tabu w rozmowie dwóch mężczyzn znających życie. Victor nie szuka w kobietach wyobraźni, chce od nich tylko uległości. Ożenił się z Consuelą po pierwsze, żeby ją posiadać i po drugie, żeby było widać, że ją posiada. Uszczęśliwianie jej nie figurowało w programie.

- Może powinno. - Poniewczasie ugryzłem się w język.

- To nie byłoby trudne, prawda? - Major mówił teraz łagodniej i tak poufnie, jakby mi szeptał do ucha, chociaż ani drgnął na swoim stolku.

- Co nie byłoby trudne?

- Uszczęśliwianie Consueli, Staddon. A cóżby innego? Nie marzy się to panu? Bo mnie się marzy. Przyznaję bez bicia. Nie tylko ta nieskończona rozkosz poszerzania jej wiedzy w zakresie seksualnych sztuk pięknych, ale i...

- Nie chcę tego słuchać! - Zerwałem się na równe nogi, usiłując wzrokiem zmiażdżyć Turnbulla, spokojnie palącego cygaro, dobrotliwie uśmiechniętego - Jak pan śmie mówić o pani Caswell w taki sposób?!

- Staddon, nie bądźże pan przeczulony. Jeszcze tylko powiem, że pan myśli o niej dość często. Jestem tego pewien.

- Z pewnością jest pan najbardziej...

- Gdyby to się ograniczało wyłącznie do pożądania, przecież nie byłoby żadnego problemu, no nie?

- A cóż to, do diabła, ma znaczyć?

Wstał powoli i wyprostował się, wyższy ode mnie o sześć cali. Patrząc mu w oczy, wreszcie pojąłem, że wszystko, co mówił, było prze-myślane, każdą implikację nieznacznie wyważał... jak również osądzał moją reakcję.

- To znaczy - powiedział łagodnie - że może przyszło... czy też jeszcze przyjdzie panu do głowy uznać się za godniejszego towarzysza życia dla Consueli niż Victor. Ze wszech miar słusznie, rzecz jasna, tylko że nieroztropnie. Zalecanie się do tej pięknej pani byłoby igraniem z wielkim niebezpieczeństwem, pan rozumie, nie chciałbym sobie wyrzucać, że pana przed tym nie ostrzegąłem. - I ku mojemu zdumieniu nagle do mnie mrugnął.

- Żałuj, Royston, żeś nie był tam na dachu - usłyszałem głos Victora z odległości zaledwie kilku kroków. Odwróciłem się. Victor podszedł do nas, a Spencer przywłókł się za nim markotnie.

- Źle znoszę wysokość - powiedział Turnbull.

- Mam nadzieję, że Staddon przez ten czas cię zabawił.

- A jakże. Prowadziliśmy z panem Staddonem bardzo zabawną rozmowę, prawda?

- Hm... tak - mruknąłem.

- Okazuje się, że wiele nas łączy.

- Nie wyobrażam sobie, co - Victor zmarszczył brwi.

- Kwestia filozofii, przyjacielu.

- Nie wiem, Royston, o czym mówisz? Może Staddon wie.

Ale odżegnywanie się Victora nie zmyliło mnie ani wtedy, ani później. On już był zazdrosny o swoją pozycję w oczach żony i zwerbował Turnbulla, żeby mnie odstraszył. Przedwcześnie, a więc tym bardziej obraźliwie, chociaż, jak w głębi duszy wiedziałem, niezupełnie bezpodstawnie. Również w głębi duszy wiedziałem, że logika nakazuje tej przestrogi posłuchać.

- Sprawa idzie aż miło, panie Staddon. - Był czwartkowy poranek, w Hereford odbywało się dalsze przesłuchanie w sprawie Consueli, a w Londynie Kevin Loader zachęcał mnie, żebym przeczytał relację z rozprawy wstępnej w „Daily Sketch”. - Dziś dają fotografię z tej zabawy, wie pan. Zdaje się, że miałem rację.

- Co do czego, Kevin?

- Jej wyglądu, no przecież. Pan zobaczy.

Smyrgnął gazetę ku mnie i zobaczyłem zamazaną, ale natychmiast dającą się rozpoznać twarz Consueli. Wprowadzały ją do sali sądowej

dwie policjantki i chyba nie wiedziała, że jest fotografowana. Patrzyła przed siebie rozmarzona, jak gdyby myślała o wszystkim, tylko nie o tym, co ją czeka. Była w długim płaszczu obszytym futrem i w dużym kapeluszu z piórami. Szczuplejsza niż ją pamiętałem, ale poza tym niewiele się zmieniła.

- W tym Hereford zupełnie jakby wsadził kij w mrowisko - ciągnął Kevin. - Tłumy łakną jej krwi. Aż człowiekiem wstrząsa, prawda?

Ale dla mnie zajadłość motłochu nie była wstrząsająca. Czy to w Hereford, czy na Place de Concorde motłoch niezawodnie przynosi wstyd ludzkości. Ci, których ciekawiła sprawa Consueli, zachowywali się typowo.

Jak przeczytałem w „Sketchu” Kevina, trochę publiczności wpuszczono do sali w środę, gdy składali zeznanie lekarze i policja. Sir Bernard Spilsbury, słynny patolog z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przedstawił wyniki sekcji zwłok Rosemary Caswell. Analiza próbek pobranych z jej przewodu pokarmowego wykazała arsenik w dostatecznej ilości, żeby zabić wszystkich obecnych na podwieczorku w domu Spod Obłoków 9 września. Nie ulegało wątpliwości, że Rosemary Caswell umarła wskutek otrucia arsenikiem. W dostarczonych przez doktora Stringfellowa próbkach moczu pozostałych dwóch ofiar również był arsenik, w ilości jednak relatywnie znikomej. O swoich odkryciach sir Bernard Spilsbury zawiadomił Scotland Yard i policję w Hereford 17 września, w cztery dni po przeprowadzeniu sekcji zwłok.

Następnie zeznawał inspektor Wright ze Scotland Yardu. Udał się on do Hereford 18 września i objął kontrolę nad śledztwem miejscowej policji. W myśl pierwotnego ustalenia otrucia wszystkich trzech ofiar było możliwe tylko na podwieczorku 9 września w domu Spod Obłoków. A więc przedmiotem śledztwa stał się ten dom. Inspektor Wright ustalił, że wszyscy wtedy jedli i pili to samo z wyjątkiem cukru, którym słodzili herbatę Victor, Marjorie i Rosemary, a którego nie tknęły Consuela i Jacinta. Cukier biały, ziarnisty nadaje się doskonale do wmieszania arseniku. Ponieważ Marjorie i Rosemary przybyły nieoczekiwanie, gdy arsenik prawdopodobnie został już do cukru wsypany, wypływa z tego wniosek, że ofiarą miał być tylko Victor, zawsze słodzący herbatę. Rosemary pierwsza wzięła łyżeczkę cukru z cukiernicy. Zgodnie z zeznaniem jej matki zwykle na filiżankę herbaty brała trzy łyżeczki cukru. Inspektor Wright zakładał, że nieszczęśliwie dostała jej się większość arseniku, wobec czego zaledwie

trochę wzięli jej matka i stryj.

Przyjmując, że ktoś, kto zamierzał zamordować Victora, teoretycznie mógłby spróbować znów w każdej chwili, inspektor Wright przyspieszył tempo śledztwa. Przesłuchał kucharkę, która przygotowała podwieczorek na tacy, i lokaja, który tę tacę na wózku przywiózł do salonu. Ci dwoje nie wzbudzili żadnych podejrzeń. Natomiast podejrzane wydawało się to, że gdy lokaj przywiózł podwieczorek, Consuela była w salonie sama. Ostatecznie inspektor Wright z nadzieją, że doprowadzi go do mordercy znalezienie miejsca, gdzie ukryto arsenik, postarał się o nakaz rewizji.

Przeszukanie rezydencji Spod Obłoków odbyło się 21 września. W jednym z budynków gospodarskich znaleziono otwartą puszkę środka chwastobójczego zwanego „Chwasty precz!”. Ogrodnik Banyard potwierdził, że ten preparat zawiera arsenik. Nie orientował się, czy proszku w puszcze ubyło, ale od razu przyznał, że każdy mógł mieć do puszek dostęp, bo tej szopy nigdy nie zamyka na klucz. Później w sypialni Consueli policjantka znalazła w głębi jednej z szuflad tutkę papieru światłoczułego z białym proszkiem, jak analiza wykazała, tlenkiem arsenu, oraz trzy listy w kopertach ściągnięte gumką. Te listy adresowane do Consueli i wysyłane z Hereford 20 sierpnia, 27 sierpnia i 3 września, czyli dokładnie co tydzień, były anonimami pisanymi, jak stwierdził grafolog, zmienionym charakterem pisma, i powtarzała się w nich informacja, że Victor Caswell ma na boku romans. Consuela, gdy Wright ją przesłuchiwał, powiedziała, że nic o tych listach nie wie i żadnego z nich nie otrzymała. Wright zwrócił jej uwagę, że skoro są zaadresowane należycie i ostemplowane, wypieranie się ich odbioru nie ma sensu, ale ona uparcie trwała przy swoim. Wobec takich dowodów: tych listów i tlenku arsenu wśród jej rzeczy, Wright aresztował ją i wniósł przeciwko niej dwa oskarżenia - o morderstwo i o usiłowanie morderstwa.

- Marne widoki, prawda, panie Staddon?
- Marne dla kogo, Kevin?
- Dla tej Consueli Caswell, no przecież. Listy i arsenik. Motyw i sposób. Jak ona się z tego wyplącze?

Jak, zaiste? Słusznie Kevin powiedział: marne widoki. Bardzo marne.

- Wie pan, co ja myślę, panie Staddon? Ja myślę, że ją powieszają.

Chyba dopiero wtedy nagle sobie uświadomiłem, co rzeczywiście jest na szali w tej sprawie. Życie Consueli. Czy też jej śmierć.

Nie przejąłem się przestrogą majora Turnbulla. A raczej przejąłem się, owszem, tylko że bez skutku. Bezsprzeczne racje często mogą się wydawać nieistotne, gdy naszym życiem rządzą inne nakazy. Widywałem się z Consuelą, coraz bardziej nią oczarowany, a tymczasem wiosna 1910 roku zmieniła się w lato z pogodą tak piękną, że niewiele było przerw w pracy przy budowie Spod Obłoków i jeszcze mniej w zbliżaniu się mojego oczarowania na skraj miłości.

Nieraz spotykaliśmy się przypadkiem w Hereford. Consuela właśnie wychodziła ze sklepu modystki, gdy ja przechodziłem przez jezdnię idąc do mojego hotelu. Albo zdarzało się, że byłem na Zamkowym Błoniu w czasie jej codziennego spaceru po południu. Takie zbiegi okoliczności obejmował nasz nieujęty w słowa spiszek. Pragnęliśmy spotykać się jak najczęściej, nigdy jednak nie precyzowaliśmy, z czego wpływa to pragnienie.

Oboje wiedzieliśmy dobrze, z czego, ale nie mówiliśmy o tym, co się z nami dzieje bo, jak przypuszczam teraz, lękaliśmy się, że to nie może mieć dalszego ciągu. Powody były konkretne. Consuelę, katoliczkę, wychowano w przekonaniu, że małżeństwo jest nierozzerwalne aż do śmierci. Jej Kościół i jej rodzina wyrzekliby się jej, gdyby kiedykolwiek postąpiła wbrew tej zasadzie. Co do mnie, nietrudno sobie wyobrazić bojkotowanie architekta, który ukradł swojemu klientowi żonę.

Ale sam Victor sprawiał, że mogłem się przed sobą usprawiedliwiać. W najlepszym razie nie okazywał Consueli żadnego zainteresowania. Na ogół zaznaczał swoją wyższość nad nią, zarozumiały, niemal pogardliwy. Bez wątpienia uważał, że właśnie tak mąż powinien odnosić się do żony; ja tak nie uważałem. Nie tłumaczyły go różne aluzje Hermione, z których wynikało, że jest zawiedziony, bo Consuela nie daje mu syna (i dziedzica). Jak wiedziałem od Consueli, małżeństwo zostało uzgodnione za zamkniętymi drzwiami gabinetu jej ojca zanim jeszcze ją zapytano, czy się zgadza. Cena kawy na rynku międzynarodowym od kilku lat spadała i w rezultacie topniały fortuny rodu Manchaca de Pombalho. W zamian za rękę panny Victor Caswell ofiarował jej ojcu finansowe ocalenie - udział w swoim imperium kauczuku. Takiego konkurenta Consuela nie mogła odrzucić.

Skazana przez rodzinę na małżeństwo bez miłości w obcym kraju, oczywiście Ignęła do jedyne go mężczyzny, który nie odnosił się do niej pogardliwie czy obojętnie.

Oprócz mnie Consuela darzyła zaufaniem swoją pokojówkę Lizzie Thaxter. Ta dziewczyna z hrabstwa Hereford, ruchliwa i bystra, prawdopodobnie i tak by się domyśliła, co zaczyna się między nami, nawet gdyby pani jej się nie zwierzała. Ponadto chyba fakt, że obie czuły się podporządkowane, połączył je naturalnym przymierzem. Lizzie szybko stała się naszą pośredniczką. Wcisnęła mi w rękę kartki z podaniem czasu i miejsca spotkania, gdy wychodziłem z Paprociarni, przynosiła mi liściki i do hotelu i czekała na odpowiedź. Zadowolona odgrywała swoją tajną rolę w naszym buncie przeciwko Caswellom, bo wyraźnie ich nie lubiła. Jej ojciec i dwaj z braci pracowali w fabryce papieru Grenville'a Peto, brata Marjorie, mającego opinię bardzo niemiłego pracodawcy, może więc stąd brała się jej niechęć. W każdym razie bez jej pomocy Consuela i ja na pewno nie moglibyśmy się widywać tak często, jak się widywaliśmy.

Mijały miesiące. Wygospodarowane czy też wykradzione chwile, które spędziliśmy ze sobą, znaczyły dla nas coraz więcej, a ukończenie budowy Spod Obłoków majaczyło coraz bliżej i wydawało się coraz mniej pożądane. Gdy dom będzie gotowy, jaki znajdę powód, żeby przyjeżdżać do Hereford, jakież pretekst, żeby składać wizyty w Paprociarni, spotykać się i rozmawiać z żoną byłego klienta? Co zrobimy potem? Jak rozwiążemy nieunikniony dylemat? Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić.

Pod koniec listopada 1910 roku Consuela dostała depeszę z Rio de Janeiro: jej ojciec jest umierający. Za zgodą Victora zdecydowała się pojechać tam natychmiast w nadziei, że jeszcze zastanie ojca przy życiu. Dowiedziałem się o tym w przeddzień jej pośpiesznego wyjazdu. Przysłała Lizzie z kartką prosząc, żebym za godzinę był na ścieżce nad rzeką na Biskupiej Łące. Nie spóźniłem się, przybyłem nawet wcześniej, a ona już czekała; chodziła przy ławce zamyślona, patrzyła na drugi brzeg rzeki i katedrę. Powiedziała, że musi wyjechać, bo jej ojciec umiera, więc starałem się jak mogłem ją pocieszyć. Ale nie tylko tym była zakłopotana.

- Ta wiadomość o ojcu zbudziła mnie ze snu - oznajmiła unikając mojego wzroku.

- Ze snu?

- O tobie i o mnie. O naszej przyszłości.

- Czy to ma być sen?

- Cóż może być innego? Przecież wiesz tak samo jak ja.
- Consuelo...
- Posłuchaj, Geoffrey. Mówię bardzo poważnie. Ja jestem posłubiona Victorowi, nie tobie, chociaż z całego serca pragnę, żeby było na odwrót. Ty jesteś architektem i musisz myśleć o swojej karierze, nawet gdybyś nie chciał. Nie możemy zapominać o tej sytuacji. Nie stać nas na to.

- Moim zdaniem, nie możemy zapominać co znaczymy dla siebie.

- Jednak musimy.

- To przykre słowa, Consuelo. Naprawdę tak myślisz?

Teraz łzy błyszczały w jej oczach za woalką, pewnie mającą łzy zasłonić, ale i tak je widziałem. Poczulem samolubną nadzieję, że ona płacze nad nami, a nie nad swoim umierającym ojcem.

- Wyjeżdżam jutro - powiedziała z westchnieniem. - Tylko dlatego zdobyłam się na odwagę, żeby to skończyć, zanim będzie za późno.

- Na długo wyjeżdżasz?

- Nie wiem. Na sześć tygodni, na dwa miesiące. Trudno powiedzieć.

- Więc z jakiej racji cokolwiek kończyć? Ja jeszcze będę tutaj.

- Czy nie rozumiesz? - Wargi jej drżały. Rozumiałem aż nazbyt dobrze i wstyd mi się zrobiło tego fałszu wobec jej determinacji. - Skoro musimy kryć się z naszą miłością przed światem, wolę ją zdławić. Skoro nie możemy być mężem i żoną, musimy być dla siebie niczym.

- Nie możemy nawet być przyjaciółmi?

Uśmiechnęła się.

- Przyjaźń między nami to miłość. Niedozwolona.

- Więc?

- Więc pojedę do Rio oplakiwać ojca i pocieszać matkę. A ty ukończysz Spod Obłoków i zajmiesz się następnym zamówieniem.

- Przecież...

Ku mojemu zaskoczeniu przyłożyła mi palec w rękawicze do ust.

- Nic nie mów, Geoffrey, bo stracę odwagę. Możesz mi wierzyć, tak będzie najlepiej.

Potrząsnęłam tępo głową. Opuściła rękę. Przeszła obok mnie, ostatnim spojrzeniem podchwytyjąc mój wzrok. Słyszałem cichnący szelest jej spódnicy i wiedziałem, że może już nigdy jej nie zobaczę. Chciałem się odwrócić, przywołać ją wyznaniem miłości, obietnicą na przyszłość. Ale się nie poruszyłem i nie wstałem. Nie było obietnic,

których mógłbym na pewno dotrzymać, nie było przysiąg, które mógłbym uczciwie złożyć.

Oboje zdawaliśmy sobie sprawę i to wystarczyło, żeby nas rozdzielić - na razie.

Czwartego dnia przesłuchań w sprawie Consueli zeznawała służba z domu Spod Obłoków. Pomoc kuchenna Mabel Green opowiedziała o przygotowaniu tacy i samowaru przed podwieczorkiem 9 września. Były kromki chleba posmarowane masłem, świeżo upieczone ciasto z owocami, dżem malinowy, herbata, mleko i cukier. Cukier wsypała łyżką do cukiernicy ze słoja - nie pierwszy i nie ostatni raz z tego właśnie słoja. Strasznie się złękła, kiedy się dowiedziała, że w cukrze ktoś podał truciznę, ale ponieważ z tego słoja brało się potem cukier do kilku posiłków, które nikomu nie zaszkodziły, odetchnęła z ulgą, że przynajmniej nie kuchnia zawiniła.

Jeden z lokajów, nieznan mi Frederick Noyce, opowiedział, jak przyszedł z wózkiem do salonu, gdzie zastał tylko Consuelę. Podziękowała mu i kazała poprosić pana na podwieczorek. Pannę Roebuck, guwernantkę, miała sama zawiadomić, że czas przyprowadzić pannenkę. Wydawała się zupełnie taka jak zwykle. Poszedł do pana, zastał go w gabinecie, zaanonsował podwieczorek i już wracał do kuchni, gdy usłyszał dzwonek. Otworzył drzwi i weszły pani Marjorie i panna Rosemary Caswell. Na polecenie pana poszedł po dodatkowe nakrycia. Gdy je przyniósł do salonu rodzina już siedziała przy podwieczorku. Później, tak jak Mabel Green, przeraził się słysząc o zatruciu, ale był pewny, że cukiernicę miał przed oczami cały czas od zabrania jej z kuchni do postawienia na stoliku w salonie.

Po nim zeznawał John Gleasure, którego nazwisko znałem. Był lokajem w Paprociarni, a po przeprowadzce Victora jego lokajem w domu Spod Obłoków. Gdy usłyszał od kamerdynera, że pan źle się czuje i nie będzie jadł kolacji, poszedł do niego zapytać, czy mu czegoś nie potrzeba. Zaniepokojony tym, że pan ma wymioty i bóleści, zaalarmował panią, ale ona nie uznała za konieczne wzywać lekarza o tak późnej porze. Doktor Stringfellow przyjechał wkrótce tylko dlatego, że zatelefonował z Paprociarni. Na zakończenie Gleasure stanowczo potwierdził to, co już przedtem na przesłuchaniu wstępnym powiedział prokuratorowi. Wykluczone, żeby Victor miał romans.

„Nie do pojęcia, proszę sądu. Ja z pewnością bym o tym wiedział. A nie wiedziałem”.

Tyle jeśli chodzi o wiernego sługę. Natomiast Banyard, ogrodnik, przejawiał mniej szacunku. Sugestię sądu, że przechowywanie arszeniku w niebezpiecznym pomieszczeniu świadczy o braku odpowiedzialności, odparował argumentem, że o tym decydują jego pracodawcy, a nie on. Na pytanie, kto mógłby wiedzieć o zastosowaniu środka „Chwasty precz!” przyznał, że Consuela interesuje się ogrodem bardziej niż Victor. Może nawet sam w czasie którejś z ich częstych rozmów mówił jej, jaki to skuteczny środek.

„Nie mógłbym przysiąc, że mówiłem i nie mógłbym przysiąc, że nie mówiłem”.

Ostatnia zeznawała tego dnia pokojówka Consueli, Cathel Simpson (zastanawiałem się, co się stało z Lizzie). Ta była dość blisko Consueli, by widzieć jej reakcję na anonimy, ale stanowczo oświadczyła, że nic o nich nie wie i upierała się, że zarówno tych listów, jak papierowej tutki z arsenikiem nie widziała przedtem w szufladzie, w której je znaleziono, a otwierała tę szufladę, bo wkładała i wyjmowała bieliznę pani chyba poprzedniego dnia. I co do zachowania Consueli, nie zauważyła nic nienormalnego ani przed podwieczorkiem, ani po podwieczorku 9 września.

W tym wszystkim niewiele było dla Consueli pociechy. Nikt ze służby jej nie oczernił. Co więcej, można by odnieść wrażenie, że wszyscy ją lubią. Ale to nie miało znaczenia wobec wagi dowodów nagromadzonych przeciwko niej. Przez chwilę siedziała w salonie przy podanym już podwieczorku sama. Dostała listy kwestionujące wierność męża. Wiedziała o zabójczych właściwościach środka „Chwasty precz!”. Wiedziała również, jak łatwo wziąć trochę tego proszku. I właśnie u niej znaleziono zarówno owe listy, jak i arsenik. Ja nie wierzyłem, że dokonała zamachu na życie Victora, ale wyraźnie w to wierzyła większość ludzi w Hereford. Żona Brazylijka usiłuje otruć swego urodzonego w Hereford męża, przy czym przez omyłkę zabija Bogu ducha winną bratanicę - wystarczy, żeby podsycić najgorsze miejscowe uprzedzenia. Zgodnie z „Timesem”, tym uprzedzeniom burzliwie dawano wyraz przed gmachem sądu. Szanse Consueli były coraz słabsze. Nigdzie, dokądkolwiek kierowała myśli, samotna w więziennej celi, nie mogła znaleźć nadziei.

Po wyjeździe Consueli do Brazylii od razu zacząłem litować się nad sobą. Byłem jeszcze za młody, by zrozumieć, że nie zawsze droga do szczęścia stoi otworem, i zanadto egocentryczny, by przyszło mi do

głowy, że inni może cierpią dotkliwiej niż ja. Czasami odzywał się rozsądek i uznawałem słuszność decyzji Consueli, ale przeważały wspomnienia o niej, które nosiłem w sercu. Jej widok, gdy podchodziła alejką, jej szept przy moim uchu, wymiana ostrożnych czułości, nieśmiało uściski.

Trochę z tego przelałem na papier pisząc długi list. Nie wiedziałem, jak ona ten list dostanie, w jakim nastroju i przy jakiej okazji w Domu Róż w dalekim Rio. Odpowiedzi się nie spodziewałem, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa miała wrócić wcześniej niżby doszedł do mnie list od niej. Mimo woli jednak szukałem w codziennej poczcie jej charakteru pisma i znaczka brazylijskiego.

Raczej nie mogłem pytać Victora, kiedy Consuela wróci, ale Hermione bez pytania mi powiedziała, że dostała depeszę. Ojciec Consueli umarł 23 stycznia, Consuela wyruszy w drogę powrotną do Anglii mniej więcej w tydzień po pogrzebie. Teraz jeszcze trudniej mi było zdecydować, co mam robić, gdy ona przyjedzie. Usłuchać jej i trzymać się z daleka czy postarać się, żeby znów było tak jak dawniej.

Może to i dobrze w takich okolicznościach, że inne sprawy zaprzątały mi głowę. Na początku lutego 1911 roku aresztowano jednego z cieślów pracujących przy budowie Spod Obłoków, niejakiego Toma Malahide, za udział w okradaniu papierni Peto w Ross. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że jego współnikiem jest Peter Thaxter, brat Lizzie. Pracując w tej fabryce przy konserwacji maszyn przez kilka miesięcy wykradał matryce banknotów i przekazywał Malahide'owi, który z kolei dostarczał je jakiemuś pokątnemu grawerowi w Birmingham, tak że zapowiadało się na potencjalnie przynoszącą ogromne zyski aferę z fałszowaniem pieniędzy. Przypadkowa inwentaryzacja w papierni wykazała braki i wkrótce policja wytropiła złodzieja. Thaxter został przyłapany, gdy przekazywał matryce Malahide'owi, a po aresztowaniu ich obu zatrzymano też owego grawera.

Lizzie pojechała z Consuelą do Brazylii - tym lepiej dla niej, bo gdyby była wtedy w Hereford, prawdopodobnie Victor by ją odprawił za samo pokrewieństwo z członkiem tej bandy. A tak swoje oburzenie wyładowywał tylko na mnie i na budowniczym, zarzucając nam, że zatrudniamy podejrzanych osobników, a więc szargamy w błocie jego dobre imię i nazwę jego nowego domu. Nieważne, że Malahide przyszedł do nas z doskonałą rekomendacją i że Peto powinien w swojej fabryce podjąć skuteczniejsze środki ostrożności. Nadal miałem

odbywać pokutę na okropnie przykrym obiedzie w Paprociarni, na którym był również brat Marjorie - dotknięty do żywego Grenville Peto we własnej osobie. Pamiętam, jak wyjąkałem przeprosiny, wcale się nienależące temu nadętemu ryjowi, i jak krytycznie patrzyli na mnie Marjorie i Mortimer, a Victor skręcał się z zakłopotania, co wróżyło, że nie przestanie się mnie czepiać później.

Odtąd już rozmyślałem o rychłym ukończeniu budowy. Doprawdy nie było powodu, żeby dom Spod Obłoków nie mógł być gotowy do zamieszkania na Wielkanoc, i sprawiało mi satysfakcję moje osiągnięcie. Dom wyglądał tak jak go zaprojektowałem: masywne szczyty, wytworne kominy wspaniale się rysowały pomiędzy sadem i zalesionym grzbietem wzgórza. Wszystko było najwyższej jakości i nawet Victor musiał niechętnie przyznać, że to praca dobrze wykonana.

Pierwszy weekend marca zastał mnie w mieszkaniu w Pimlico. Rzeczywiście samotną egzystencję prowadziłem w Londynie, odkąd zaangażowanie - zawodowe i uczuciowe - w Hereford zawładnęło mną tak całkowicie. Był sobotni wieczór i Imry bardzo nalegał, żebym z nim i jego efektowną kuzynką Marią wybrał się na nową sztukę Somerseta Maughama do The Duke of York's. Odrzuciłem to zaproszenie, bo wolałem sprawdzać w nieskończoność plany i wykresy Spod Obłoków. Na życzenie Victora zamówiłem fotografie i teraz przeglądając odbitki, upewniałem się, że wszystko jest właśnie takie, jak sobie wyobraziłem przed bez mała trzema laty, gdy po raz pierwszy zobaczyłem teren budowy. To zupełnie to i coś więcej, nie ulega wątpliwości. Powinna mnie rozpierać dumą i radością; powinienem oblewać swój sukces. A jednak siedziałem i tylko myślałem o rozmiarach i proporcjach, wertowałem obliczenia i specyfikacje, na każdej fotografii w najjaśniejszym świetle lampy szukałem rysy, o której mówiło mi serce, chociaż wiedziałem, że nie znajdzie, bo rysa jest nie w moim dziele Spod Obłoków, tylko we mnie.

Każdy szczegół tamtego wieczora pamiętam. Każdy ton kolorów i cieni: fiolet wiecznego pióra, bursztynową przejrzystość whisky w szklance, szare spirale dymu papierosów snujące się pod sufit - i za oknami czerń londyńskiego mroku.

Kilka minut po jedenastej - pamiętam, jak spojrzałem, która godzina - zdusiłem niedopałek w popielniczce, potarłem czoło, wstałem z kanapy i podszedłem do okna. Szyby były zamglone, wiało od nich zimnem. Ale chciałem się ochłodzić. Podciągnąłem okno, wychyliłem się i wdychając zimny mrok popatrzyłem na ulicę.

Ona stała pod latarnią po drugiej stronie jezdni. Nieruchoma, czarna, bo w żałobie, drobna postać zwrócona wprost ku mnie tak, jakby na to okno patrzyła, jeszcze zanim podszedłem - postać znana mi tak dobrze. Co ją tu przywiodło, o czym ona myśli, mogłem tylko zgadywać, a zgadywać nie śmiałem. W tym jej badawczym zapatrzeniu było jakieś zwątpienie, ale i trochę nadziei. Te ileś tam sekund, gdyśmy niemo patrzyli na siebie, zawarło w sobie wszystkie tygodnie jej nieobecności. Potem pokazałem na migi, że zejść w dół, i popędziłem do drzwi.

Już stała przy frontowych schodkach mojej kamienicy, zanim z nich zbiegłem. Z bliska zobaczyłem, jaka jest udreńczona. Wprost wpijała we mnie swe ciemne oczy i wargi jej drżały niepewnością. Odsunęła się o krok. Powinien być dystans, mówił wyraz jej twarzy, linia graniczna powinna nas rozdzielać w czasie symbolicznego powitania.

- Nie wiedziałem, że już jesteś w Anglii - zacząłem po iluś sekundach ciszy.

- Nikt tu nie wie. - Głos miała zdławiony. - Oprócz Lizzie, oczywiście.

- Czy Lizzie słyszała o...

- O swoim bracie? Och, tak. Przed samym wejściem na statek dostałyśmy depezę od Victora. Pozwoliłam jej pojechać prosto do jej rodziny w Ross.

- Więc jesteś sama?

- Tak. Przyłynęliśmy dziś po południu. O pięć dni wcześniej niż zapowiedziałam Victorowi.

- Pomylił ci się dzień?

- Nie, Geoffrey. Wcale mi się nie pomylił.

Uderzył mnie podtekst jej odpowiedzi. Co się stało? Co ona chce przez to powiedzieć?

- Nie wejdiesz? - wyjąkałem.

- Nie wiem. Szczerze mówiąc, chyba miałam nadzieję, że cię nie zastanę.

- Dlaczego?

- Dlatego, że gdyby ciebie nie było, od razu bym pojechała do Herford.

- A nie śpieszy ci się tam?

Odpowiedziała spojrzeniem. Weszła po schodkach i stanęła przy mnie. Odwróciła wzrok i teraz prawie szeptała:

- Powiedziałałam matce i ojcu, zanim umarł, że życie z Victorem jest dla mnie męką i nigdy nie zdołam go pokochać, nigdy nie będę przy nim szczęśliwa. Błagałam ich o pomoc, o radę, o chwilowe przynajmniej schronienie.

- I co oni na to?

- Mówili o mojej powinności. Mówili o swoich zobowiązaniach i honorze.

- Tak jak ty mnie, kiedy ostatnio rozmawialiśmy.

- Owszem. - Spojrzała na mnie. Odblask latarni błysnął w jej oczach pod rondem czarnego kapelusza. - Ale mówiłam tak, zanim zobaczyłam mojego ojca na łożu śmierci, i zrozumiałam, do czego sprowadzają się jego zasady. Godna śmierć i szacowny grobowiec. To nie wystarcza, Geoffrey, mnie to nie wystarcza.

- Consuelo...

- Każ mi odejść, jeżeli chcesz, każ mi wrócić do hotelu i pierwszym pociągami jutro pojechać do Hereford. Postąpiłbyś tak, jak ci zaleciłam. I słusznie, rzeczywiście słusznie.

- Czyżby? Nie mam co do tego pewności. Ani ty nie masz.

- Ale musimy mieć pewność. Że słusznie albo niesłusznie.

Cóż, kiedy nie mogliśmy mieć żadnej pewności. Igraliśmy z losem bardziej nieodgadnionym niż gwiazdy na niebie wysoko nad naszymi głowami.

- Wejdz, Consuelo - ponągląłem ją. - Może...

Jak trzy miesiące przedtem, uciszyła mnie przykładając mi palce do ust. Ale tym razem nic nie powiedziała i tym razem nie miała na ręce rękawiczki. Poczulem jej nagie palce na wargach jakby to był pocałunek. Sięgnąłem po tę jej rękę i poprowadziłem ją po pozostałych schodkach do drzwi.

SPRAWA OTRUCIA W HEREFORD

W wyniku pięciodniowego przesłuchania świadków przed koronerem w Hereford postanowiono wytoczyć proces pani Consueli Caswell, oskarżonej o morderstwo i usiłowanie morderstwa. Prokurator, pan Hethorne, podsumował zarzuty w dwugodzinnym przemówieniu, w którym przedstawił cały materiał dowodowy, utrzymując że są to dowody prima facie bardzo obciążające panią Caswell. Jej zazdrość, jak powiedział, podsyciły złośliwe sugestie, że mąż ją zdradza. Wobec czego w sposób bezwzględny, z całą premedytacją, dokonała zamachu na życie męża, ale tylko z takim skutkiem, że przeznaczoną dla niego truciznę spożyła jego niewinna

młoda bratanica. Obecna przy tym pani Caswell nie usiłowała temu przeszkodzić, dopuściła do śmierci panny Caswell w męczarniach. I nadal przechowywała arszenik, aby któregoś dnia już definitywnie męża otruć.

Po krótkiej naradzie sędziowie formalnie postawili panią Caswell w stan oskarżenia; proces ma się odbyć w czasie najbliższej sesji sądowej. Pan Windrush, radca prawny oskarżonej oświadczył, że zastrzega ona sobie prawo wyboru obrońcy.

Przed gmachem sądu było wiele zamieszania, gdy panią Caswell prowadzono do furgonetki policyjnej, żeby przewieźć ją do więzienia w Gloucester. Tłum krzyczał i napierał, w powietrzu latały różne przedmioty, przy czym jedno jajko uderzyło panią Caswell w ramię. Trzech chuliganów aresztowano. Uważa się, że powodem tej wrogości jest oprócz przykrych okoliczności sprawy zarówno cudzoziemskie pochodzenie pani Caswell, jak wielki szacunek, którym rodzina jej męża cieszy się w Hereford.

- Jedziesz dziś do biura, Geoffrey?

Był sobotni poranek w Suffolk Terrace, nudny i szary, z kapuśniaczkiem za oknami. Angela nadal nieprzerwanie przemilczając sprawę Consueli, przyglądała mi się po swojemu ironicznie; figlarnie, jak mogłoby się wydawać osobom postronnym i kiedyś wydawało się mnie.

- Nie jadę - odpowiedziałem znad gazety.

- Obiecałam Maudie Davenport, że wybiorę się z nią do Harrodsa. Mają tam nowe modele jesienne, wiesz.

- Naprawdę?

- I Maudie świetnie sobie radzi w tym tłoku. Więc muszę już pędzić.

- Naturalnie.

- A co ty będziesz robił? - W połowie drogi do drzwi zbyłaby każdą odpowiedź, jakiej bym jej udzielił.

- To i owo.

- No, tylko z tym nie przesadzaj, dobrze?

- Dobrze. - Wzrokiem i myślą wróciłem do gazety.

Pani Consuela Caswell została wczoraj formalnie postawiona w stan oskarżenia o morderstwo i usiłowanie morderstwa.

To było nieuniknione, oczywiście. Tyle dowodów tak niezaprzeczalnie obciążających - żaden inny wynik nie byłby możliwy. A przecież

rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza niż przewidywanie. Wrogi tłum ujada na cudzoziemską dziwkę. Plama zepsutego jajka na jej rękawie jako oznaka hańby. I posępna eskorta - dwie strażniczki o zaciętych twarzach w furgonetce, która podskakuje na wybojach, i znowu więzienie. Nędza, groza tego wszystkiego narzucała się mojej wyobraźni. A pamięć dla kontrastu przywracała wspomnienie.

- *Querido* Geoffrey, szeptała mi Consuela w tamtą noc marcową przed trzynastu laty, gdy oddała mi się po raz pierwszy. Tylko szep-tem pieszczotliwie pozwalała sobie wypowiedzieć portugalskie *Querido*.

Ogień rzucał z kominka złoty poblask na pokój, na wzgórza i doliny zmiętych prześcieradeł, na kopce poduszek, na kolumny, którymi stały się w tym oświetleniu słupki łóżka, i na Consuelę. Ona była moja całkowicie, mogłem ją mieć, trzymać przez tę jedną noc, przez bezmiar czasu, zamierzoną wieczność, jaką ta noc zdawała się zapowiadać.

- Consuelo, jesteś piękna. Nie do wiary, że aż tak piękna.

- Dla ciebie, Geoffrey. Tylko dla ciebie. Wszystko dla ciebie.

Jej ciemne oczy, lękliwe i pytające. Jej włosy, jeszcze ciemniejsze, rozpuszczone, jedwabiste w moich palcach. Jej usta poruszające się przy moim policzku, gdy szeptała to, co chciałem słyszeć! Jej ręce żarliwe. Jej skóra, bardzo ciepła pod moim dotknięciem, i złocista. Kończyny splecione, ciała zjednoczone. Za dużo roznamiętnienia. Za dużo upojeń. Za dużo ufności, żeby czas to zachował.

- Kocham cię, Consuelo.

- I ja cię kocham. Nie opuść mnie, Geoffrey. Po tym już nie.

- Nigdy. - Całowałem ją. - Nigdy cię nie opuszczę.

- Nie mogłabym...

- Nie opuszczę.

- Przrzekasz?

- Bóg mi świadkiem. - Pocałowałem ją znowu i uśmiechnąłem się.

- Jestem twój na zawsze.

III

Imry mieszkał w Wendover na skarpie Chilterns w domku, który tam kupił, gdy lekarze mu powiedzieli, że nie ma nadziei, by poczuł się lepiej, dopóki będzie katował swoje płuca londyńskim smogiem. Więc usiłując podłatać zdrowie, oddychał świeżym powietrzem, prowadził spokojne życie na wsi i pracował dla naszej spółki tylko trochę. Co kilka dni rozmawiałem z nim przez telefon i przynajmniej raz na miesiąc odwiedzałem go, toteż trzymał rękę na pulsie spraw firmy. Zresztą gdyby nawet się ze spółki wycofał, zawsze zwracałbym się do niego o radę w innych sprawach.

Bo Imry Renshaw to najlepszy i najpewniejszy przyjaciel, ten najrzadszy minerał w pokładach ludzkości: człowiek autentycznie zacny. Nigdy nie upada na duchu, nigdy nie ma pretensji, zawsze jest taki, jakim ci, którzy go znają, spodziewają się go zastać. Wie, że skutki zagazowania w 1916 roku są nieodwracalne i jego stan według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie powoli się pogarszał, a przecież nie przyznaje się do tego ani sobie, ani bliźnim. Wobec życia nieszczędnego ciosów zachowuje pogodnie wyzywającą postawę.

Z dwóch powodów potrzebowałem towarzystwa Imry'ego w tamtą październikową sobotę w zeszłym roku, gdy moja żona i Maudie Davenport wybrały się do Harrodsa kupować suknie po piętnaście gwinei. Potrzebowałem rozmowy z kimś życzliwym o losie Consueli. Chciałem przekonać sam siebie, czy też żeby ktoś mnie przekonał, że w żaden sposób nie mogę Consueli pomóc. Tylko Imry był tym kimś, mniej więcej bezstronnym obserwatorem. I tylko on wiedział, jak sprzeniewierzyłem się Consueli przed laty.

Dojechałem do Wendover wcześniej po południu i powędrowałem dobrze znaną krętą drogą ze stacji. W na pół murowanym, na pół drewnianym domku Imry'ego Słoneczna Chata powitała mnie jego gospoia i zaproponowała obiad, który właśnie przygotowywała.

Imry w przybudówce pykając fajkę, z której radzono mu zrezygnować, wsadzał jakieś cebulki do doniczek. Po wyprowadzce z Londynu odkrył uroki ogrodnictwa i przy byle okazji rozwodził się nad cudownymi właściwościami warzyw uprawianych w domowych ogródkach. Ale mnie nie mógł zmylić maską beztroskiego wieśniaka. Chudł, pierś miał coraz bardziej zapadniętą, sapał i gdy trzeba było kopać ziemię czy coś podnosić, musiał korzystać z pomocy.

- Goeffrey, cześć. Cieszę się, że cię widzę. - Serdeczność jego głosu i uśmiech świadczyły, że mówi szczerze.

- Cześć, Imry. Jak się czujesz?

- Nie najgorzej. Czy pani Lewis prosiła, żebyś zjadł ze mną obiad?

- Owszem, owszem.

- Wspaniale. - Wsadził ostatnią cebulkę i odwrócił się do mnie. - Czemu zawdzięczam tę przyjemność, Geoff? Składasz mi wizytę nadprogramową.

Uśmiechnąłem się.

- Pod wpływem chwili.

- Rzeczywiście? Nie pod wpływem czegoś innego?

Wzruszyłem ramionami.

- Niby czego?

Przeszedł na drugą stronę szopy i spod dziurawego przetaka, leżącego na stercie starych gazet, wyciągnął „Daily Telegraph”. Podał mi gazetę już otwartą. Numer ze środy. Rzuciła się w oczy sążnista relacja z drugiego dnia przesłuchań w sprawie Consueli.

- Ach - powiedziałem słabo.

- Chcesz porozmawiać o tym.

- Tak. Chyba tak.

Omawialiśmy to już po obiedzie, gdy płonące drwa trzaskały na paleniku kominka i siedzieliśmy nad kuflami miejscowego piwa, które Imry sobie upodobał. Z początku ulgę sprawiał mi fakt, że swobodnie mogę o tym mówić, szybko jednak natrafiłem na barierę innego rodzaju: czy Consuela jest, czy nie jest winna?

- To tylko część przesłuchania - powiedział Imry. - Jeszcze bez zeznań świadków obrony.

- Ale gdyby istniała niepodważalna odpowiedź na te oskarżenia, jej adwokat chyba już zabrał głos.

- Najwidoczniej uważał, że nie zdoła nie dopuścić do procesu, więc nie ma po co pokazywać swoich kart.
- To wydaje się beznadziejne.
- Myślisz, że jest winna? - zapytał.
- A można myśleć inaczej? Czytałeś te zeznania? Każdy, kto jej nie zna, uwierzyłby w jej winę.
- Masz rację. Oczywiście. Tutaj Pod Białym Łabędziem piwosze już ją skazali. I nawet pani Lewis się przyłącza do chóralnego potępienia.
- Czyli?
- Wyrok źle poinformowanych to jeszcze nie wyrok. Nie chcę włączyć z kaloszami w dawne zwierzenia, Geoff, ale ty znasz tę panią. I jej męża. Więc co sądzisz... tak naprawdę?
- Zastanawiałem się przez chwilę, zanim odpowiedziałem.
- Nie jest wykluczone, że Consuela mogłaby zamordować Victora. Jeżeli w ogóle jakikolwiek mężczyzna może doprowadzić swoją żonę do zamordowania go, to właśnie Victor Caswell. Ale trucizna nie wchodzi w grę. Consuela nie jest okrutna ani wyrachowana, a otrucie wymaga zimnej premedytacji. I jeszcze jeden argument. Te anonimy, które znaleziono, te donosy, że on ma romans.
- No więc?
- Jej by to nie obchodziło, Imry. Całkowicie by to zlekceważyła.
- Nie czułaby zazdrości? Oburzenia?
- Ani trochę. Zazdrosna o kogoś, kogo nie znosi?
- Ale nie widziałaś ich obojga od dziesięciu lat z górą. Czy nie jest możliwe, że...
- Że się zmienili? Nie. Nie wierzę.
- Więc czym tłumaczysz te okoliczności?
- Nie tłumaczę. Nie potrafię. W tym sęk. Wiem za mało, żeby cokolwiek tłumaczyć.
- Ale głowisz się nad tym. Może spróbuj jakoś się dowiedzieć.
- Właśnie.
- Tylko jak?
- Mógłbym porozmawiać z kimś ze świadków.
- Czy z Consuelą?
- Przyszło mi to na myśl.
- Imry pochylił się, podsycił ogień.
- Przypuszczasz, że ona zechce się z tobą zobaczyć?
- Po tym, co jej zrobiłem? Nie, prawdopodobnie nie zechce. Ja

miałbym może spokojniejsze sumienie, ale też ona jeszcze bardziej byłaby udęczona. Zresztą jej adwokat z pewnością jest dostatecznie kompetentny. Zmontuje obronę bez mojej pomocy.

- I gdyby Angela się dowiedziała, że starasz się pomóc...

- Zrobiłaby mi piekło.

- Więc wszystko przemawia za tym, żebyś się trzymał z daleka?

- Tak. Najroztropniej. Najłatwiej. Ale czy słusznie?

- Nie wiem, Geoff, rzeczywiście nie wiem.

- Miałem nadzieję, że...

- Że ja od razu znajdę rozwiązanie? Przykro mi, stary. To jest dylemat, który tylko ty sam możesz rozwiązać.

Uśmiechnąłem się ponuro.

- Chyba powinienem był rozwiązać to dawno temu.

Imry przytaknął.

- Chyba powinieneś.

Co ja wiedziałem o Consueli? Co wiedziałem o tej kobiecie, której kiedyś przysięgałem miłość i wierność? Tylko to, co mi o sobie mówiła. Tylko to, co pozwalała mi zrozumieć.

Urodziła się w Rio de Janeiro 3 sierpnia 1888 roku, najmłodsza z siedmiorga rodzeństwa. Jej ojciec, Luís Antonio Manchaca de Pomalho, był bogatym armatorem i kupcem kawy. Jego trzy starsze córki nie mogły chyba współzawodniczyć z olśniewającą urodą młodziutkiej Consueli Eveliny. Gdy ukończyła osiem lat, rodzice wysłali ją do College de Sion w Petropolis, gdzie jej wychowaniem i wykształceniem zajęły się francuskie zakonnice. Wpajały przyzwoitość, sumiennność, delikatność i uprzejmość, uczyły francuskiego i angielskiego, literatury Francji i Anglii jako nieporównanie ważniejszych niż język i literatura ojczystego kraju wychowanek. Cały ten reżim miał zaprawiać dziewczyny do wczesnego zamążpójścia i obowiązkowego macierzyństwa.

W roku 1905 siedemnastoletnią Consuelę matka i jeden z braci zabrali na sześć miesięcy do Paryża, żeby nabrała ostatecznej ogłady w towarzystwie. Tymczasem na polu interesów jej ojca pojawiła się nowa postać, Anglik, który nazywał się Victor Caswell, podobno posiadał ogromne plantacje kuczuku w Acre i zrobił na nich majątek. Po powrocie Consueli do domu powiązanie Victora z finansami jej rodziny połączyło się w parze z konkurami. Consuela uznała, że sama tylko jej antypatia do tego człowieka jest za słabym argumentem, by

się sprzeciwić i odrzucić tak stosowną i korzystną partię. Ślub odbył się w Rio w październiku 1907 roku.

Już w pierwszych tygodniach małżeństwa Consuela dokonała trzech okropnych odkryć. Po pierwsze: nie potrafiła zadowolić swego męża seksualnie. Po drugie: on był wyraźnie gotów szukać takiego zadowolenia u prostytutek wysokiej klasy, od których roiło się w Rio. I po trzecie: zamierzał, gdy tylko to będzie możliwe, wyjechać z nią na stałe do Anglii, rozłączyć ją z krewnymi i przyjaciółkami, będącymi jedyną jej pociechą.

Mogę tylko wyobrazić sobie, jak Consuela się czuła pod koniec zimy 1908 roku, wprowadzona do Paprociarni, przedstawiona rodzinie, której członkiem stała się nieświadomie. Hereford i Caswellowie na pewno nieznośnie ją razili szarością i mieszczańskim ograniczeniem po kolorach żywiołowego Rio. Nic dziwnego, że zamknęła się w swojej potajemnej niedoli i obojętnie przyjęła w parę miesięcy później oznajmienie Victora o budowie domu dla nich dwojga na wsi.

A potem pewnego listopadowego dnia po prostu ja wkroczyłem w jej życie - skromny młody londyński architekt, którego zaangażował jej mąż. To, co się działo od chwili, gdy błysnęła iskra wzajemnego zainteresowania, musiało nastąpić, bo chociaż daleki od doskonałości, byłem dość przywoity i wrażliwy przynajmniej w porównaniu z Victorem, żeby małżeństwo z nim wydawało się Consueli jeszcze większą torturą niż przedtem. Mnie jej uroda, kruchość i delikatność, to, że pragnęła kochać i być wolna, pociągały nieodparcie. Tak więc w ciągu ponad dwóch lat walczyliśmy, usiłowaliśmy przezwyciężyć ostrożność, nieśmiałość, wątpliwości, konwenanse i nawet zdrowy rozsądek, aż w końcu je przezwyciężyliśmy i zostaliśmy kochankami.

Jako kochankowie, Consuela i ja obudziliśmy się w sypialni mojego mieszkania w Pimlico w niedzielę rano 5 marca 1911 roku. Fakt, że budzę się z nią w objęciach, wydawał mi się jeszcze cudowniejszy niż cała ta noc. Zostawiłem ją drzemiącą i podszedłem do okna; rozsunałem zasłony, wyjrzałem na linię dachów śródmieścia. Jakże byłem szczęśliwy, jak szaleńczo zakochany. Mógłbym otworzyć okno na oścież i wykrzyzczyć mój triumf tym pruderyjnym i szacownym dachom. Mógłbym ogłosić światu, że Consuela jest moja i nigdy nie będzie należała do nikogo innego. Ale tego nie zrobiłem. Dostatecznie triumfowałem, gdy obejrzałem się na łóżko, w którym leżała ona w

aureoli ciemnych włosów na białej poduszce, z krągłym ramieniem odsłoniętym, bo wstając odrzuciłem prześcieradło.

Poruszyła się, poszukała mnie ręką, nie znalazła i otworzyła oczy. Zobaczyła, że stoję przy oknie. Uśmiechnęła się.

- Jesteś.

- Oczywiście.

- Przez chwilę myślałam... że ty może...

- Zabrałem się stąd? - Podeszedłem do łóżka i usiadłem. - Niema dra. Taka niemądra myśl.

- Dlaczego? Któraś z nas musi się stąd zabrać wcześniej czy później. Jeżeli nie ty, to ja.

- Dokąd?

- Do Hereford. Wiesz, że muszę tam wrócić.

- Musisz? Musisz rzeczywiście? - Pochyliłem się i pocałowałem ją.

- Jeżeli mam uciec od niego, trzeba tę ucieczkę zaplanować. Zorganizować, żeby nie mógł przeszkodzić.

- Zrobię wszystko, czego zażadasz. Wszystko... bylebyś była moja. - Zsunąłem rękę na jej pierś.

- Och, Geoffrey, gdyby tylko mogło być zawsze tak, jak jest teraz.

- Może tak być. I będzie.

Nie miałem wtedy cienia wątpliwości. W tamtej godzinie świtania, gdyśmy się objęli i jeszcze raz połączyli o bladym wschodzie słońca, wydawało się, że nie ma takiej rozkoszy, jakiej nie możemy sobie dać, takiej radości, jakiej nie możemy ze sobą dzielić, takiej nadziei, jakiej nie możemy spełnić.

- Co mamy zrobić, Geoffrey?

Opierała głowę na moim ramieniu, jej włosy muskały mi policzek. Światło dzienne już się wydłużyło na suficie nad nami, a za oknem w spokojnym niedzielnym powietrzu niosły się dźwięki kościelnych dzwonów. Gdy się odwróciłem, żeby ją pocałować, zobaczyłem w jej oczach powagę.

- To, co mówiłam ci przed wyjazdem, jest nadal aktualne, wiesz.

- Ale teraz już jesteśmy ze sobą związani, Consuelo. Duszą i ciałem.

- Tak. Dlatego pytam: co mamy robić?

- Musisz od niego uciec. I rozwieść się z nim. Ja wezmę całą winę na siebie.

- Nie możesz. Jestem zamężna. I moja religia nie uznaje rozwodów. Więc rozumiesz, Geoffrey, wina będzie wyłącznie moja.
 - Zdołasz to znieść?
 - Myślę, że z twoją pomocą zdołam. Ale to nie będzie łatwe. Rodzina się mnie wyrzeknie. Zostanę bez grosza.
 - Możemy się utrzymać z mojej pracy.
 - Możemy? Kto ci da pracę, kiedy Victor zacznie obrzucać cię błotem w sądach.
 - Dadzą mi, dadzą.
 - Naprawdę w to wierzysz?
 - Moglibyśmy wyjechać z kraju. Są duże możliwości dla architektów w całym Imperium: w Kanadzie, Australii, w Południowej Afryce, w Indiach. Tam nikogo nie będzie obchodziła nasza przeszłość, rozwód czy nie rozwód.
 - Och, tak. - Spojrzenie jej uleciało. - To właśnie musielibyśmy zrobić.
 - I to właśnie zrobimy, Consuelo.
- Znów spojrzała mi w oczy.
- Kiedy?
 - Gdy tylko...
 - Czyli kiedy? Przy nim każda minuta będzie dla mnie męką. Ten jego badawczy wzrok, te jego ręce...
- Przyłożyłem jej palec do ust.
- Nie mów o tym. To zbyt straszne.
 - Ale ja to muszę wytrzymać.
- Odetchnąłem głęboko i wlepiłem wzrok w sufit. Z wysiłkiem skierowałem uwagę na realną trudność naszego położenia.
- Musimy wyjechać w świat. Nie ma alternatywy. Wtedy on, choćby nie wiem jak się starał, nie dosięgnie nas. Mam kilka znajomości... niewiele... i trochę pieniędzy. Ale za mało. On jeszcze jest mi winien większą część honorariów z dwóch lat, ale nie mogę się dopominać, dopóki nie zdam rezydencji zupełnie ukończonej.
 - Czy to znaczy, że musimy czekać, aż Victor ci zapłaci?
 - Tak. Przykro mi, naprawdę przykro. Nie chcę, żebyś wróciła do niego bodaj na jedną noc. Ale chodzi o całą naszą przyszłość. Musimy kierować się głową tak samo jak sercem.
 - Długo?
 - Ponaglę budowniczego, więc chyba przekaże dom do użytku najpóźniej za miesiąc. Ale będzie mnóstwo pomniejszych usterek, zawsze

są jakieś, a to opóźni jego rozliczenie. Podejrzenie by wyglądało, gdybym poprosił o honorarium, zanim wszystko zostanie załatwione. Powiedzmy, że to potrwa jeszcze jeden miesiąc. I Victor może mi nie zapłaci od razu. Ale z Bożą pomocą pod koniec maja...

- Pod koniec maja? To jest wieczność.

- Nie, Consuelo. Wieczność będzie dopiero po życiu. Trzy miesiące... czy będą dla nas zbyt wygórowaną ceną za resztę życia we dwoje?

Pocałowała mnie.

- *Querido* Geoffrey. Przez trzy miesiące postaram się być dzielna... i dłużej, jeżeli będzie trzeba. Ale kiedy czekanie się skończy, przyjedziesz po mnie?

- Tak, najdroższa. Nie miej co do tego wątpliwości.

Gdy rozstaliśmy się w tamto popołudnie na dworcu Paddington, nasze plany były ułożone, przyszłość wytyczona. Jedyne myślenie o naszej wspaniałej strategii czyniła rozłąkę możliwą do zniesienia, chociaż ledwie, ledwie. Dopóki dom Spod Obłoków nie będzie ukończony i nie dostanę honorarium, Consuela miała najlepiej jak potrafi grać rolę nieuskarżającej się żony, ja miałem nadal pozować na uległego architekta. Majaczyły przed nami miesiące zawieszania i udręki, ale oboje wierzyliśmy, że je przetrwamy w imię tego, co nam przyniosą.

Nie zamierzaliśmy jednak odmawiać sobie spotkań. W ciągu następnego tygodnia często przyjeżdżałem do Hereford, żeby zachęcać malarzy i elektryków do ukończenia prac przed terminem i składać meldunki mojemu klientowi. Szczerze mówiąc, wołałbym się z Consuelą w tym czasie wcale nie widywać. Witanie się w salonie Paprociarni i wymienianie uwag o pogodzie, gdy pamięć naszej nocy była tak świeża i żywa, nie mogło nie być absolutną męką. Ja przynajmniej znajdowałem odskocznnię w zaabsorbowaniu domem Spod Obłoków. Consueli to udawanie musiało wydawać się niemiłosiernym jarzmem, to zawieszenie nieskończonością.

Nadal porozumiewaliśmy się za pośrednictwem Lizzie, której brat teraz czekał w więzieniu na proces. Lizzie nigdy o nim nie mówiła, wyraźnie jednak była przybita. Victor, jak się dowiedziałem, zdecydował, że ona musi raz na zawsze zerwać wszelkie kontakty z bratem, jeżeli chce pozostać w służbie. Z konieczności przyjęła ten twardy warunek, ponieważ Greenville Peto, gdy aresztowano Petera Thaxtera, zwolnił z pracy jej ojca i drugiego brata, więc gdyby nie jej zarobki,

rodzina nie miałyby z czego żyć. Lizzie pośredniczyła w naszej korespondencji, toteż mogliśmy od czasu do czasu spotykać się bez Victora czy kogokolwiek innego z Caswellów w pobliżu, zapewniać się o miłości i omawiać przeszłość.

Victor i Consuela zamieszkali w domu Spod Obłoków 12 kwietnia. Dzięki moim staraniom i pieniądзом, jakie za moją namową łożył Victor, było mniej usterek, niż się obawiałem. Ale jeszcze należało ukończyć garaż, wybrukować aleję wjazdową i zbudować murek wokół warzywnika. Victor nie kwapił się więc do uregulowania rachunków z budowniczym i ze mną, a ja, żeby nie wzbudzić podejrzeń, nie poruszałem z nim tego tematu. Chwilami wydawało mi się, że on tak ze mną rozmawia, tak na mnie patrzy, jakby domyślał się prawdy. Stanowczo jedyną nadzieję dawało Consueli i mnie powściągnięcie niecierpliwości.

Zbyt optymistycznie przypuszczałem, że koniec czekania zbiegnie się z końcem maja. W występ ściany oblicowującej kominek w jadalni wkradła się wilgoć, co oznaczało nieuniknioną kilkutygodniową zwłokę. Consuela, nieomal bliska szału, dała wyraz swemu rozczarowaniu w długim wylewnym liście do mnie. Ale potem, gdy udało nam się spotkać sam na sam, wydawała się pogodzona z sytuacją, już zmobilizowała w sobie siłę ducha, nadzwyczajną w tych okolicznościach. Pocieszaliśmy się tylko tym, że remont pociąga za sobą konieczność moich kilku wizyt w domu Spod Obłoków. Zawsze wtedy mogliśmy ukraść parę minut dla siebie.

Ale ukradzione minuty były zaledwie złudnymi mgniejszymi tej intymności, do której tęskniliśmy. W połowie czerwca mogłem wreszcie przedłożyć Victorowi ostateczne rozliczenie. Nie widziałem powodu, żeby targował się o jakiegokolwiek szczegóły i nie uregulował tego rachunku w ciągu paru tygodni, nagle więc ukazał się przede mną na horyzoncie koniec mojego okresu Spod Obłoków i jednocześnie początek przeszłości z Consuelą.

Świat oczywiście kręci się dalej bez względu na ciężkie próby i przesilenia w życiu jednostek. Czerwiec roku 1911 zastał większość londyńczyków w szponach gorączki koronacyjnej i w miarę jak wielki dzień koronacji się zbliżał, coraz bardziej się wydawało, że nikt nie myśli i nie mówi o niczym innym. Ja nie mogłem się zdobyć na zainteresowanie pompą tego widowiska w tak nerwowym dla mnie czasie, więc zdumiał mnie list Consueli donoszącej, że zamierza z Marjorie, Hermione i obojgiem Peto przyjechać do Londynu na tę uroczystość.

Pewien klient firmy Caswell i Spółka zaprosił ich, żeby oglądali paradę z najwyższego piętra jego kamienicy przy Regent Street. Ale gdy przeczytałem zakończenie tego listu, w pełni zrozumiałem jej entuzjazm. Chciała skorzystać z okazji i w drodze na Regent Street zgubić się gdzieś w tłoku, żeby spędzić dzień ze mną w moim mieszkaniu w Pimlico, po czym wieczorem dołączyć do swego towarzystwa w hotelu. To była cudowna perspektywa - od początku marca nie mieliśmy takiego odprężenia. Co do mojej pracy, któż by pracował w wielkie narodowe święto. Nawet Imry miał wymachiwać miniaturową flagą w tłumie na Mail. Wiedzieliśmy, że powinniśmy nadal zachowywać ostrożność, nie ryzykować, gdy jesteśmy już u celu, za długo jednak byliśmy pozbawieni upragnionej bliskości. Po prostu nie darowalibyśmy sobie przepuszczenia takiej okazji.

- *Querido* Geoffrey. Przytul mnie. Przytul, żebym zapomniała, jakie były te trzy miesiące.

- Przykro mi, że to trwa tak długo. Strasznie mi przykro.

- Powiedz, że to już się kończy.

- Kończy się.

- Kiedy wreszcie będziemy razem zwyczajnie, nie ukradkiem i bez spiskowania?

- Za parę tygodni. W najgorszym wypadku. Poczekamy we Francji, dopóki sprawa nie przycichnie. Spędzimy miesiąc miodowy w Paryżu.

- A potem?

- Potem, najdroższa, wyjedziemy dokąd zechcemy.

- Mówiłeś o swoich kontaktach.

- Nie obawiaj się. Nie skonamy z głodu.

Nie powiedziałem Consueli, że tych kilku znajomych, którym wspominałem, że chcę wyjechać z Anglii na stałe, stanowczo mi to odradzało. Po co wyjeżdżać, argumentowali zgodnie, teraz gdy moja kariera tak dobrze się zapowiada tu w kraju? Z Imrym jeszcze o tym nie rozmawiałem.

- Ja bym mogła głodować. Wszystko byłoby lepsze niż to moje życie w kłamstwie. Dzień w dzień w każdej minucie przy nim coś ukrywam, udaję, oszukuję. On nie jest dobrym człowiekiem, ale nie raz myślę, że przecież nie jest aż tak zły, żeby na takie oszukiwanie zasługiwać. Gdyby tylko...

- Co?
- Gdyby nie były nam potrzebne jego pieniądze.
- To są pieniądze zapracowane przeze mnie, Consuelo. Pieniądze, które jest mi winien.
- Wiem. Ale... I on będzie nas szukał, wiem, że będzie. I jeżeli nas znajdzie?
- Nie znajdzie nas.
- Ale jeżeli?
- Nie może nic zrobić, żeby nas powstrzymać, Consuelo. Może nas pozwać do sądu, oczywiście, ale nic poza tym. Prawo jest jego jedynym środkiem. A to możemy znieść.
- Masz rację, wiem, ale myślę czasami, że...
- Staraj się nie myśleć. Tylko wytrzymaj jeszcze trochę.

Consuela tamtego dnia była inna niż zwykle, zdenerwowana, obawiała się, że nawet w ostatniej chwili damy się jakoś wykołować. Drżała, gdy ją pieściłem, w żaden sposób nie mogłem jej uspokoić, dotrzeć do tego jej lęku. Przedtem oddawała mi się chętnie, teraz jak gdyby coś ją odciągało i kaziło naszą miłość. Potem płakała i nie powiedziała, dlaczego płacze. Ubrała się i wyruszyła do hotelu wcześniej niż to było konieczne.

W pierwszych tygodniach lipca dostałem od Victora czek wystawiony na całą należną mi sumę. Do czeku Victor dołączył list: zaproszenie, żebym wziął udział w uroczystym otwarciu domu Spod Obłoków w piątek czternastego i został tam na weekend. Następną pocztą przyszedł list od Consueli. Wiedząc, że Victor zamierza mnie zaprosić, dorzuciła swoje zaproszenie. Może w sobotę czy w niedzielę - pisała - będziemy mieli sposobność zaplanować ucieczkę. Ponadto przeproszała za niedobry nastrój w czasie naszego ostatniego spotkania i tłumaczyła się tym, że już nie ma siły udawać.

Kto tu - zastanawiałem się - rzeczywiście udaje, Consuela czy ja? Bogiem a prawdą, nie wybiegałem myślą poza upojną perspektywę wywiezienia Consueli do Paryża na resztę tego lata. I jakkolwiek się przechwalałem, w planowaniu nowego życia na innym łądzie nie posunąłem się ani trochę naprzód.

Ani też, chociaż od tego powinienem zacząć, nie uprzedziłem Imry'ego, że utraci współnika. Im dłużej z tym zwlekałem, tym krótszy stawał się termin uprzedzenia i tym mniej rozsądne musiało się wydawać moje postępowanie. Nie mogłem jednak się zmobilizować.

Gdy myślałem o Consueli - o jej urodzie, prostocie i ufności - droga przede mną rysowała się wyraźnie. Ale gdy myślałem o wszystkim, co sięgniemy na swoje głowy - o nieszczęściu, o niedostatku, o potępieniu i tułaczce - nie byłem już tak niezłomnie zdecydowany.

W środę 12 lipca, zaledwie na dwa dni przed przyjęciem w domu Spod Obłoków, miałem umówione spotkanie z Ashleyem Thorntonem, hotelarzem, w jego biurze na Picadilly. Przypuszczałem, że Thornton chce mi ewentualnie zlecić rozbudowę czy też urządzenie na nowo któregoś ze swoich hoteli, ale niewiele mnie to obchodziło. Zważywszy moje zamiary, właściwie powinienem był od razu przekazać tę sprawę Imry'emu, wtedy jednak musiałbym już nie zwlekając powiedzieć mu, że zamierzam wyjechać. Ostatecznie więc znalazłem się, raczej roztargniony, w gabinecie Thorntona z oknami wychodzącymi na Green Park, przywiedły, bo był piekielnie upalny poranek.

Thornton, fertyczny, przedwcześnie posiwiwały jegomość niedużego wzrostu, najwidoczniej nie podlegał działaniu temperatury. Usta miał lekko skrzywione wszechwiedzącą ironią, w oczach cierpliwą czujność. Później poznałem tę jego ironię i tę czujność, i wiedziałem, do czego prowadzą, ale w tamten poranek zauważyłem tylko, że grzecznie, ostrożnie mi się przygląda. Wówczas jeszcze nie nosił tytułu szlacheckiego i nie urosła jego sława, niemniej orientowałem się, że to klient, o jakiego powinienem zabiegać. I od razu dałbym temu wyraz, gdyby nie osaczała mnie niepewność.

- Jak słyszę, jest pan wschodzącą gwiazdą na firmamencie architektury - zagaił Thornton, gdy sekretarka wyszła.

- Tego bym nie powiedział, proszę pana.

- Bez fałszywej skromności, proszę. W mojej branży skromność nie popłaca, przypuszczam, że w pańskiej także. Otóż zwrócono mi uwagę na artykuł o panu w „Builderze” z tego miesiąca.

- Mówi pan o domu Spod Obłoków?

- Właśnie. Pana dzieło, prawda?

- No... tak.

- Podoba mi się. Dom imponująco oryginalny. Moje gratulacje.

- Dziękuję.

- Ale zaprosiłem pana tutaj nie tylko po to, żeby panu pogratulować.

- Domyślam się, proszę pana - Już przewidywałem ciąg dalszy:

chodzi o Spod Obłoków dla Thorntona, letnią rezydencję wiejską zamożnego hotelarza. Kłątwa wisząca nad architektem są klienci, którzy chcą, żeby tylko skopiował swój poprzedni projekt, kłątwa tym gorszą, że przeważnie tacy mają dosyć pieniędzy na pokonanie jego oporu.

- Dotychczas dobrze mi idzie, kiedy kupuję i unowocześniam stare hotele. Ale uznałem, i zarząd spółki się ze mną zgadza, że teraz korzystnie będzie powiększyć naszą sieć o hotel zbudowany tu w Londynie specjalnie dla nas.

- Z pewnością ma pan rację, proszę pana. - A więc nie dom, nie kopia poprzedniego projektu. Hotel pierwszej kategorii. Moje nazwisko mogłoby się kojarzyć z fragmentem widoku Londynu. To prawie jak sen!

- Uważam, że to musi być coś indywidualnego, coś, co by utożsamiano z nami. Nie chcę drugiego Carltona czy Waldorfa. Nie chcę tych niekończących się mil gipsowych sztukaterii i połowy afrykańskiej dżungli przesadzonej do hallu. - Thornton odszedł od biurka i stanął przy otwartym oknie patrząc na Green Park. - Luksus, naturalnie. Wszelkie nowoczesne udogodnienia. Wszystko, doprawdy, czego tylko mógłby wymagać wybredny gość. Raczej wytworność niż wspaniałość. Raczej komfort niż przepych. Pan mnie rozumie?

- Rozumiem, proszę pana. To właśnie najchętniej starałbym się osiągnąć.

- Dobrze więc. - Thornton się uśmiechnął. - Mamy opcję na parcelę na Russell Square. Chciałby pan dla nas zaprojektować hotel tak usytuowany?

- Chciałbym bardzo. To się samo przez się rozumie. Czułbym się zaszczycony.

- Muszę panu powiedzieć, że zwracamy się z tym nie tylko do pana. Już prosiliśmy o przedłożenie projektu firmę Mewes i Davis.

Wybór był oczywisty. Mewes i Davis mieli w swoim dorobku hotel Ritza. Wydawało się wprost nieprawdopodobne, że alternatywą jestem ja.

- To doskonali architekci - wyjąkałem. - Najwyżej notowani. Thornton przytaknął.

- W guście bardziej konserwatywnych członków zarządu. Ale ja, młodzieńcze, lubię element nowości. Dlatego zainteresował mnie projekt Spod Obłoków. Pana twórczość. Nie naśladownictwo.

Czasami klienta przyciąga styl architekta. Wtedy sprawa reputacji staje się nieistotna. To, że ja byłem takim architektem, a Ashley Thornton był takim klientem, uznałem za zdumiewające zrządenie losu. Nieważne, co myśli rada nadzorcza, mówił mi wyraz twarzy Thorntona, ostateczna decyzja należy do niego. On daje szansę i tylko głupiec z tej szansy by nie skorzystał.

- Wierzę w siebie, proszę pana. Z dumą przyjąłbym takie wyzwanie. - I zanim się spostrzegłem, już zostało to przypieczetowane uściskiem dłoni.

- Prosiłbym o wstępne szkice jeszcze w tym miesiącu - powiedział Thornton. - Zdąży pan?

- Na pewno.

- Świetnie. Nasz szef planowania poda panu wszystkie potrzebne szczegóły. Zaprowadzę pana.

Ruszyliśmy ku drzwiom. Cudowne perspektywy mnożyły mi się w głowie. Wielki hotel pośrodku Bloomsbury. Klient, który chce tylko tego, co najlepsze, podziwia moją pracę. Będzie dosyć przestrzeni, żeby nie ograniczać mojej wizji, i dosyć pieniędzy, żeby projekt dokładnie wykonać. Hotel Thornton, fasada, wejście, proporcje już rysowały się w mojej wyobraźni. Projektanta takiego hotelu czekają bogactwa, sława, nawet chwała. Możliwości nieograniczone, powab nie do odparcia.

W pół godziny potem szedłem na wschód po Picadilly, z przyjemnością myśląc o zadowoleniu Imry'ego, gdy mu powiem, jaka trafiła nam się gratka. I nagle zatrzymałem się w pół kroku tak raptownie, że przechodnie za mną się zderzyli. Zamiast przeprosić, zareagowałem na ich pretensje tylko tępym spojrzeniem. Słowa bym nie wykrztusił w tamtej chwili, mrocznej, jak gdyby chmura zasłoniła słońce. Z przerażeniem sobie uświadomiłem, czego nie będę mógł zrobić, jeżeli propozycja Thorntona ma się urzeczywistnić - przejęty nią, zupełnie o tym zapomniałem.

Schroniłem się pod arkadami na Jermyn Street i przy wystawie antykwiariatu spróbowałem zebrać myśli. Nawet jeżeli Thornton jest najbardziej tolerancyjnym z ludzi, mało prawdopodobne, żeby jego koledzy w zarządzie też byli tacy. Zresztą, czyż ja bym zdołał londyński hotel projektować w jakiejś klitce w Paryżu, a cóż dopiero na drugim końcu świata? To wykluczone. Za kilka dni mam zmienić życie Consueli i swoje. Przynależę, muszę przynależać, więc

po prostu już nie dla mnie ta świetna propozycja i marzenie o sławie, o fortunie, jaką może by mi przyniosła. Pozostaje tylko zawrócić do biura Thorntona i wycofać się z tej sprawy szybko i możliwie elegancko.

Ruszyłem powoli pod arkadami, doszedłem do ich końca. Powinienem był pójść w prawo, ale skręciłem w lewo, przyśpieszając kroku. Na pustej Jermyn Street było gorąco jak w piecu i prawie biegiem uciekałem od swego niespokojnego sumienia, a przecież nie pocilem się. Nawet nie czułem tego upału. Zastygła we mnie jakaś zimna, twarda bezwzględność, którą musiałem dźwigać.

Imry otworzył butelkę szampana, gdy usłyszał tę nowinę. Wiedział nie gorzej niż ja, że taki hotel, jaki wyobraża sobie Thornton, zapewni piękną przyszłość naszej spółce. Pojechaliśmy dorożką na Russell Square i usiedliśmy na ławce w ogrodzie tworzącym środek tego placu. Paliliśmy ku uczczeniu naszej radości cygara, patrzyliśmy na rząd budynków, które kupił nasz klient.

- Jak tyś tego dokonał, Geoffrey? - zapytał Imry uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Jemu wpadł w ręce opis Spod Obłoków w „Builderze”.

- Ale żeby aż hotel! I myślałbym, że dla niego liczą się tylko Mewes i Davis. Albo Fitzroy Doll.

- On chce czegoś, co będzie zupełnie inne. Oryginalne.

- Klient nasz pan. Masz już jakiś pomysł?

Popołudniowe słońce olśniewało, gołębie na trawie wokół nas drętwiały w upale. Wydawało się, że promienie blasku padają na plac pod każdym kątem, i chyba właśnie to - czyste, prążące światło - nasycało mi koncepcję.

- Prostota, Imry, to jest klucz. Konstrukcja stalowa, żeby spotęgować światło dzienne. Kamień z gruba ciosany, żeby nadać wagę i powagę. Front klasyczny, żeby harmonizował z otoczeniem. A wewnątrz bogactwo szczegółów w myśl oczekiwań gości, ale bez półmrocznego baroku czy ogrodów palmowych, światło i przestrzeń. Apogeum luksusu... i dość powietrza do oddychania. - Przeniosłem wzrok na Imry'ego - Co o tym myślisz?

Nadal szeroko się uśmiechał.

- Myśle, że to brzmi cudownie.

- Będę potrzebował twojej pomocy, oczywiście. Elewacje, rzuty, plany kondygnacji, impresje artystyczne. Mam przedłożyć Thorntonowi komplet szkiców przed końcem miesiąca.

- Więc ostro zabierzmy się do pracy. Trochę nocy trzeba pozarywać. Myślę, że darujesz sobie weekend w domu Spod Obłoków. Pracujemy w...

- Nie! - Przerwałem. - Muszę tam pojechać!

- Przecież...

- Nie próbuj mnie odwieść od tego, Imry. Szkoda twojej śliny. Ja muszę tam być, możesz mi wierzyć.

- Jakiś problem, o którym nie wiem, stary?

- Powiedzmy, że tak.

- Gdybym mógł ci coś poradzić, jakoś pomóc...

- Dziękuję, ale nikt by nie mógł. Z tą sprawą muszę uporać się sam. Kiedy wrócę, zajmę się wyłącznie projektem dla Thorntona. Tymczasem...

- Tak?

- Tymczasem Imry, życz mi szczęścia.

Im dalej ciągnę tę moją opowieść, tym większy ogarnia mnie wstyd. Jak mogłem to zrobić? Jak mogłem odwrócić się od wszystkich nadziei i marzeń, które dzieliłem z Consuelą? Ona była gotowa ze wszystkiego zrezygnować dla mnie i oto, co ją czekało w nagrodę. Odrzucenie. Opuszczenie. Zdrada. W imię czego? Przecież nie powinności. I nie z powodu skrupułów. Kierowała mną tylko chciwość, tylko samolubna ambicja wobec perspektywy, że mnie okrzykną słynnym architektem. Zrezygnowałem z Consueli dla sterty kamieni na jednym z londyńskich placów. Dla piramidki mającej mi jakoby zapewnić nieśmiertelność. Dla niczego poza tym. Tego właśnie pragnął młody Geoffrey Staddon bardziej niż miłości i wierności pięknej kobiety. I ten młody miał dostać to, czego pragnął, dostać w przeliczeniu na gruz, pył cegieł i zdawkowy aplauz. Nie zatrzymał się, żeby obliczyć koszty. Nie rozważał ani przez chwilę reperkusji, jakie wywoła jego odstępstwo. Młody, próżny, okrutny i głupi. Ktoś, kim teraz gardzę. Jedyne człowiek, przed którym nigdy nie uda mi się uciec. Jego długi wciąż jeszcze spłacam. Po dziś dzień. Ze wstępu do samego siebie rodzi się szczerłość. Nie będę więc siebie oszczędzał. Nie będę próbował stonować zapisków mojego haniebnego postępowania od tamtej chwili. Usiłowałem wówczas sobie wmawiać, że słusznie i rozsądnie kończę niemożliwy flirt z mężatką, że ratuję Consuelę przed uwikłaniem się w jakąś niepewną przyszłość. Ale wiedziałem, że to kłamstwo. Prawdą był fakt, że zdecydowałem się zlekceważyć

jej potrzeby, jej dążenia i nadzieje, bo chciałem uczynić zadość własnym. Prawdą był fakt, że zdecydowałem się jej sprzeniewierzyć.

- Czy wiesz, co w tym najgorsze? - zapytałem Imry'ego, gdy staliśmy w drzwiach jego domku w sobotnie popołudnie w październiku zeszłego roku.

- Myślisz, że może ona ostatecznie jest winna.

- Tak.

- I myślisz, że w gruncie rzeczy ty też jesteś winny.

- No bo jak inaczej? Gdybym nie potraktował jej tak ohydnie, gdybym nie porzucił jej ze względu na wspaniałe zamówienie, gdybym nie zatrul jej całego życia, żeby tylko zrobić tę swoją karierę...

- To ona by przez dwanaście lat od tamtej pory nie starała się zamordować męża?

- Właśnie. W tym cała rzecz. Wciąż o tym myślę. - Spojrzałem Imry'emu prosto w oczy. - Pamiętasz tamten letni dzień, kiedy siedzieliśmy na ławce na Russell Square, paliliśmy cygara i napawaliśmy się widokiem miejsca, gdzie miał stanąć hotel Thornton?

- Pamiętam, oczywiście.

- Gdybym wtedy ci powiedział, dlaczego jadę na weekend do domu Spod Obłoków... Co zamierzam tam załatwić... jak odniósłbyś się do tego?

- Och, stary, teraz to łatwe pytanie. Teraz wiemy, co się stało z hotelem Thornton i z panią, którą porzuciłeś, żeby ten hotel wybudować.

- I z moim małżeństwem - dodałem. - I z twoim zdrowiem.

- Tak. Z tym wszystkim, co czyhało na dwóch młodych zarozumiałców. Ale wtedy o niczym nie wiedzieliśmy. Nie wiedzieliśmy, co się do nas skrada.

- Więc jak byś się wtedy do tego odniósł nie będąc jasnowidzem?

Imry popatrzył gdzieś w przestrzeń.

- Nie wiem, Geoff. - Spojrzał znowu na mnie i uśmiechnął się. - I nigdy nie będziemy wiedzieli. Już za późno, żeby to wiedzieć.

IV

W piątek 14 lipca 1911 roku jak w wiele innych dni tamtego lata panował niemiłosierny upał. W Londynie było jak w piecu, więc wyjazd na weekend wydawał się poniekąd ulgą. Ale przez cztery i pół godziny jazdy pociągiem miałem dość niepożądanego czasu, żeby rozmyślać, jaki ten weekend będzie. Dostałem zaproszenie na otwarcie domu Spod Obłoków - kremową kartę ze złożonymi brzegami i z miedziorytem w kolorze sepia, który przedstawiał fasadę domu.

„Państwo Victor i Consuela Caswellowie mają zaszczyt prosić...” Omal nie podarłem tej karty w strzępy i nie wyrzuciłem przez okno. Ja stworzyłem dom Spod Obłoków i po raz pierwszy miałem nocować pod tym dachem. Ale też zapewne po raz ostatni. Bez względu na wynik mojej wizyty nie wyobrażałem sobie, że będę mógł znowu tam przyjechać.

Koło godziny drugiej wysiadłem z pociągu w Stoke Edith, na małej stacyjce odległej od Hereford o kilka mil, najbliższej domu Spod Obłoków, i powędrowałem wiejskimi drogami. Krajobraz wydawał się otepiał w duchocie, sady i łąki odbarwione. Zacząłem żałować, że nie jest zimno, zimno i deszczowo, wołałbym wszystko niż tę lazurową doskonałość bezchmurnego nieba nade mną, człowiekiem o takich złych zamiarach, nad moim wstydem.

Po półgodzinnej wędrówce wszedłem w las na wzgórzu powyżej równiny rzeki Lugg. Nawet na tej wysokości upał dawał się we znaki. Hereford i daleki horyzont falowały w odurzającej mgielce jak łany pszenicy. Wreszcie, gdy ze wzgórza Backbury schodziłem ku wiosce Mordiford, ukazał się dom Spod Obłoków.

Widok domu wytwornego i w harmonii z otoczeniem to zawsze przyjemność. Widok takiego domu i świadomość, że się go ma na własność, to przyjemność połączona z dumą. Ale widok takiego domu i świadomość, że się go stworzyło - zaprojektowało, zbudowało,

wykończyło każdy szczegół - jest to radość jedyna w swoim rodzaju, niewyczerpane, głębokie źródło satysfakcji. Tak właśnie było ze mną tamtego dnia. Zobaczyłem dom Spod Obłoków nowiusieńki, jeszcze nie spatynowany działaniem czasu i zmiennej pogody, pewny siebie i swojej oprawy, nacechowany tym wszystkim, czym postarałem się go nacechować.

Postawiłem torbę podróżną w cieniu żywopłotu, oparłem się o polne wrota i zapaliłem papierosa. Paląc wrażałem sobie w pamięć kształty tego domu, słoneczną akwafortę dachów i szczytów. Kręta aleja wjazdowa, sad zalany kwieciami, w tle las na zboczu wzgórza to była rama, to był kontekst budowli, którą ja wzniosłem. Te ściany, smukłe kominy. Okna, wykusz z wysokimi szybami błyskającymi w słońcu, były moje, były wytworem mojego umysłu i mojej ręki.

Jeszcze kawałek drogi i doszedłem do bramy Spod Obłoków. Filary z obu stron jaśniały surową bielą, farba na tablicy z nazwą też, tak świeża, jakby dopiero co wyschła, tłuczniowa nawierzchnia alei zapraszała nieskazitelną czernią. Ale wiedziałem, że to się zmieni. Filary popłami grzyb, farba zżółknie, złuszczy się, aleję poznać wyboje i wtargnie na nią zielsko. Gdzie ja będę, zastanawiałem się, i przy jakiej pracy, kiedy starość i rozpad zaatakują tę pyszną niedojrzałość.

Szedłem aleją wjazdową, specjalnie przedłużając zbliżanie się do mojego dzieła. Buki mające utworzyć liściasty strop, ale jeszcze podparte palikami, bardzo młode, nie zasłaniały mi domu, filary i belki pergoli na wale ponad sadem jeszcze nie ginęły w powodzi mającej je obrastać glicynii. Krzątali się tam robotnicy, zawieszali na belkach koszyki z kwiatami i lampy. Najwyraźniej przygotowania do uroczystości otwarcia domu Spod Obłoków dobiegały końca.

Z zakrętu alei zobaczyłem dom od frontu. Poczuję się dziwnie bez żadnej praktycznej sprawy do załatwienia, bez żadnego problemu tak przyziemnego, jak wilgoć czy kłopoty z hydrauliką, do rozwiązania. Wbrew woli jednak myślałem, że wolałbym stanąć przed zastępem opornych murarzy niż przed tą jedną osobą, której już na pewno się sprzeniewierzę.

Chyba z domu było mnie widać, bo zanim przez dziedziniec doszedłem do łukowatego portyku, dębowe drzwi się otworzyły. Z uśmiechem powitał mnie Danby, kamerdyner.

- Dzień dobry, panie Staddon. Miło, że pan przyjechał.
- Cześć. Jak się Danby czuje?

- Świetnie, proszę pana, dziękuję. Pozwoli pan torbę. Gleasure zanieś ją do pańskiego pokoju. - Za kamerdynerem pokazał się lokaj. Wysoki, dobrze zbudowany miał przyzyczne czarne włosy, kwadratową szczękę i szczególnie posępne oczy. Wziął moją torbę lekko, jak gdyby w jego ręce ważyła znacznie mniej niż w mojej czy Danby'-ego. - Mam nadzieję, że tam będzie panu dobrze.

- Lepiej by nie mogło. Czy dużo gości zostanie na weekend?

- Poza rodziną pana Caswella tylko pan i major Turnbull, proszę pana.

Serce mi zamarło. Wstrętny, spostrzegawczy Turnbull bynajmniej nie był kimś, kogo chciałbym znów spotkać.

- Pani Caswell jest teraz w salonie, proszę pana. Na pewno przyjmie pana z radością. Może podać tam panu herbatę?

- Hmm... nie, dziękuję. - Nagle stałem się bezpodstawnie podejrzliwy. Nawet w słowach tego usłużnego kamerdynera doszukałbym się sarkazmu. - Chyba najpierw pójdę do mojego pokoju. - Powachlowałem się kapeluszem. - Gorąco dzisiaj, prawda?

- Tak, proszę pana. Aż za bardzo.

Consuela musiała wiedzieć, że przybyłem, i dziwić się, że od razu do niej nie przyszedłem, ale oczywiście nie mogła się domyślać, dla czego.

Potrzebowałem czasu, żeby się zastanowić, jak ująć w słowa to, co mam jej do powiedzenia. Zmyłem kurz podróży, rozpakowałem torbę, przebrałem się w blezer i flanelowe spodnie. W lustrze, gdy nieposłusznymi nagle palcami usiłowałem zawiązać krawat, widziałem na swojej twarzy chytryść czy ukradkowość, coś zupełnie nowego. Czy Consuela też to zauważyła? Oby nie zauważyła.

Wyszedłem z apartamentu od strony sadu, z dziwnym uczuciem oddalenia, słuchając swoich kroków, jak gdyby to były kroki cudze. Przez wewnętrzne okna widziałem hall, błyski słońca na politurowanym drewnie, kilimy z deseniem w smoki. Solidność, komfort, oryginalność, odpowiedni kąt padania złocistego światła na spiczaste kamienne elementy - wszystko to, co zaplanowałem, urzeczywistniło się w tym domu, a przecież o wiele więcej tego, czego nie zaplanowałem, sprawiło, że nie mogłem cieszyć się swoim sukcesem.

Zszedłem po schodach, czując pod dłonią gładkość wywoskowanej poręczy, patrząc na każdym ćwierćpiętrze, jak hall rozszerza się przed moimi oczami, i skierowałem się do salonu. Dwuskrzydłowe drzwi były otwarte. Dla przewiewu czy żeby widzieć, że ktoś nadchodzi?

Consuela siedziała z książką na kanapie w pobliżu okna. Wszystkie okna były otwarte, ale z ogrodu nie napływało chłodniejsze powietrze, tylko ze zwisającej pętli róży jerychońskiej dolatywało ciche brzęczenie pszczół. W bezruchu pełen kurzu klin słonecznego blasku wydawał się barierą, za którą widziałem Consuelę jak we śnie - jej suknię, wytworną, kremową ze złotem, a mglistą. Włosy miała upięte, smukłą szyję całą odsłoniętą, nie spospolitowaną żadnym sznurem pereł, a z biżuterii tę swoją romboidalną broszkę. Błysniecie broszki w słońcu rozdarło mglistość, gdy pochyliła się i wsunęła książkę pod poduszkę.

- Wszystko w porządku, Geoffrey?

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Bo tak tam stanęłaś. Taki surowy i milczący.

Szybko podszedłem do niej i ująłem ją za rękę. Wiedziałem, że teraz byłby odpowiedni moment. Teraz, zanim postanowienie się zachwieje albo zwłoka powiększy zniewagę. Natychmiast powinienem powiedzieć, na co się zdecydowałem. Ale jej delikatne palce drżały, ciemne oczy szukały w mojej twarzy uspokojenia. I wyglądała pięknie, przepięknie. Usiadłem przy niej i pocałowałem ją, zdając sobie sprawę, że od momentu, gdy powiem, już nigdy nie będę czuł tych pulchnych warg na ustach, już nigdy nie będę się radował, że ona jest moja.

- *Querido* Geoffrey. To początek końca.

- Co? - Spłoszyłem się, ale zleją zrozumiałem.

- Możemy już uciec. - Uśmiechnęła się ufnie. - Już na nic nie musimy czekać.

- Tak. Na nic.

- Więc... kiedy wyjedziemy?

- Gdy tylko... no...

- Mam pomysł, jak to zorganizować.

- Masz pomysł?

- Trzeba wykorzystać czas, kiedy Victor na pewno będzie zajęty, nie będzie wiedział, gdzie jestem i co robię.

- Tak, oczywiście.

- Taka właśnie sposobność będzie w przyszły piątek. Victor... - Urwała i odsunęła się ode mnie. - Później porozmawiamy. - Ruchem głowy wskazała drzwi.

Dopiero po chwili usłyszałem śmiech w hallu, nieprzyjemnie mi znany, i do salonu wszedł Victor z majorem Roystonem Turnbullem.

Wzdrygnąłem się na ich widok. Victor w samodziale i z tym swoim szerokim uśmiechem, jakby miał twarz rozciągniętą pod szczeciniastym wąsem. Turnbull w luźnym garniturze płóciennym i z cygarem sterującym z kącika wykrzywionych przez to ust tak, jakby uśmiechał się łośliwie.

- Staddon! - wykrzyknął Victor. - A więc pan przyjechał.

Wstałem i podałem mu rękę.

- Bardzo pan uprzejmy, że mnie pan zaprosił.

- Nie ma o czym mówić, nie ma o czym mówić.

Turnbull skinął mi głową na powitanie.

- Rad jestem znowu pana widzieć, Staddon.

- I ja pana, panie majorze.

- Już pan monopolizuje towarzystwo zachwycającej Consueli.

- Tego bym nie powiedział.

- Nie zwracaj pan na Roystona uwagi - wtrącił Victor. - Ma poczucie humoru niekoniecznie w guście każdego. - Roześmiał się, ale tylko on. Był niezwykle dobrze usposobiony. Może na przyjazd gości wydo był lepszą stroną swojej natury. Wątpiłem w to jednak. - Musi pan się rozejrzeć we francuskim ogrodzie, Staddon. Jak z obrazu, prawda, Royston?

- Zaiste. Przyznam nawet, że urok na zewnątrz Spod Obłoków prawie dorównuje urokom tu wewnątrz. - Niewesołym błyskiem oczu Turnbull napotkał mój wzrok.

- Nie myślałem, że to już w pierwszym roku tak dobrze będzie wyglądało - powiedział Victor - ale Banyard przeszedł sam siebie. Chodź pan, Staddon, podziwiać jego rękodzieło.

- Hm... z chęcią.

- Consuela nam daruje, czy tak, moja droga?

- Tak. - Jej głos wydawał się dolatywać z daleka, z niezmierzonej dali. - Oczywiście.

- Jestem bardzo zadowolony z tego domu, Staddon, faktycznie zadowolony. Jest wszystko, jak pan obiecał. Charakter. Elegancja. Wygody. I coś jeszcze. Buńczuczność, można by powiedzieć. Właśnie, Spod Obłoków to dowód, że domy mogą być buńczuczne. Sąsiedzi mój dom podziwiają. Przyjaciele go pożądają. Spisał się pan na medal jak diabli.

Szliśmy pergola jeszcze oglądając się na francuski ogród i na dom. Victor w oratorskim zapale wymachiwał swym płaskim słomkowym

kapeluszem, uśmiechał się i poklepywał mnie po ramieniu. U mojego drugiego boku szedł Turnbull. Z kciukami zatkniętymi w kieszonki kamizelki, z głową odrzuconą w tył, oddychał przeciągle, jak gdyby kosztował tę odrobinę świeżego powietrza, jaka mogła przeniknąć dym cygara w jego ustach.

- I mojej żonie się podoba. To prawdopodobnie pana najwybitniejsze osiągnięcie, Staddon. Consuela potrafi być cholernie wybredna i obojętna, pozwałam sobie dodać. Uważa, że wszystko w Hereford jest ciężkie i nudne po Rio. Ale jeśli chodzi o Spod Obłoków, to zupełnie inna sprawa. To ją wprost... no, wprost ożywia. Czy nie tak, Royston?

- Zaiste.

Ten dom ożywia Consuelę... czy tego domu architekt? Victor mnie chwali... czy poddaje próbie? Nie wiedziałem, więc gdy tak szliśmy spacerkiem udając, że jest nam miło, tylko mu potakiwałem z uśmiechem zrozumienia.

- Będę tutaj szczęśliwy, Staddon. Z Consuela, skoro już o tym mowa. Ona się tu rozrusza, pani Spod Obłoków. Zobacz pan. I proszę nie myśleć, że nie będzie pan miał okazji zobaczyć. Mam nadzieję, że zawsze będzie się pan czuł uprawniony do odwiedzania nas. Jest pan twórcą Spod Obłoków, zawsze pana powitamy z otwartymi ramionami.

Doszlśmy do końca pergoli i zawróciliśmy obchodząc wokoło kamienny posąg nimfy na brukowanym wzniesieniu ponad sadem. Z potoku słów Victora nadal nic nie wynikało, i nadal czułem, że oczy Turnbulla z cienia pod rondem panamy wlepiają się we mnie.

- Wieczór powinien być kapitalny. Cholernie kapitalny, zważywszy, jaki kapitał tu wybuliłem. - Victor parsknął śmiechem - Ale cóż znaczą pieniądze w takim czasie, ech? Piękna żona i piękny dom.

Jedno i drugie w pełnej swojej chwale dziś wieczorem.

Zaczynało zmierzchać nad domem Spod Obłoków, gdy przez okno mojego pokoju zobaczyłem wjeżdżające aleją automobile pierwszych gości. Zapowiadał się ładny dzień, o czym świadczyła różowość nieba. W ogrodzie francuskim latały nietoperze nad sadzawką z liliami wodnymi i woda fontanny pluskała miarowo wokół kamiennego cherubina. Parne powietrze przesycała zmieszana woń kwiatów i krzewów. Mogłaby to być godzina - dla niektórych może była - przeniesiona ukradkiem prosto z raj.

Mogłaby to być róża raz wyjątkowo bez kolców. Ale duch we mnie się buntował przed tym, co wyczuwał. Jest źle, fałszywie. Wśród wesela tego szykownego przyjęcia, wśród tej doskonałości lata ja będę dźwigał swój zimowo ponury sekret.

Podszedłem do lustra, sprawdziłem, czy krawat mi się nie przekrzywił. Wziąłem z wazonu goździk i zatknąłem w butonierkę. Pora już odpowiedzieć na wezwanie muzyki dolatującej z hallu, pora przykleić do twarzy uśmiech i wejść w tłum uśmiechniętych ludzi.

Hall przystrajały kwiaty: czerwone i białe róże, chryzantemy, dalie, lilie i magnolie, wszystkie w kryształowych wazonach i w powodzi paproci. Przez otwarte szklane drzwi napływały aromaty ogrodu, w kącie hallu grał melodyjnie kwartet smyczkowy. Już przybyła prawie połowa zaproszonych gości, utworzyły się grupki, żywo toczyły się rozmowy przy oknach i przy stolikach. Gleasure krążył z szampanem i kanapkami na tacy. Krążyli też kelnerzy, jak się domyśliłem, specjalnie na tę uroczystość najęci. Danby anonsował przybywających gości, Victor i Consuela przed kominkiem pełnili honory domu.

Consuela olśniewała urodą. Miała suknię z mieniącego się niebieskiego jedwabiu, dyskretnie przybraną tiulem i koronką, diadem we włosach i brylantowy naszyjnik. W tym stroju, w tej oprawie wydawała się tym bardziej egzotyczną cudzoziemką. Była zdenerwowana. Widziałem, jak piersi jej falują, palce zaciskają się na wachlarzu, i jak wzrok jej błądzi. Napotykając mój wzrok, uśmiechnęła się słabo, przelotnie, wyraziła oczami tęsknotę, po czym sumiennie się odwróciła do przyjaciół męża.

Rodzina Caswellów stawiała się w komplecie. Starą panią Caswell usadowiono na półkolistej kanapie pod oknem wykuszu, skąd rozglądała się rozpromieniona. Obok niej Mortimer z kwaśną miną patrzył na rozbawionych gości, wyraźnie potępiając tę czy każdą inną formę rozrywki. Natomiast Hermione w szczególnie hałaśliwej gromadce przy drzwiach jadalni śmiała się do rozpuku. Marjorie w towarzystwie obojga Peto uśmiechała się i kiwała głową dyplomatycznie. Grenville Peto wydawał się niezwykle dobroduszny, jego pretensje do Victora, o ile mogłem sądzić, ulotniły się wraz z bąbelkami szampana. Majora Turnbulla nigdzie nie mogłem wypatrzeć i rzecz dziwna, irytowało mnie to bardziej niżby irytował jego widok w samym środku tego zgromadzenia.

Gdy szukałem go wzrokiem, ktoś stuknął mnie w łokieć.

- Pan to pewnie ten młody pan Staddon? - zapytał łysy nieduży jegomość, w okularach w drucianej oprawie i z nieustającym wyrazem uprzejmości na twarzy okraszony ponadto szerokim uśmiechem.

- No tak. My się chyba...

- Quarton. Arthur Quarton. Radca prawny pana Caswella.

- Oczywiście. - Wymieniliśmy ze sobą kilka listów w sprawach Spod Obłoków i co najmniej raz rozmawiałem z nim przez telefon. - Miło mi pana poznać, panie Quarton. - Uścisnęliśmy sobie ręce.

- Znakomita uroczyść, nie uważa pan?

- Hmm, owszem. Doprawdy znakomita.

- Dobrze w końcu widzieć Victora na własnych śmieciach, że tak powiem.

- Nie wydaje mi się, żeby...

- Przepraszam. To znaczy, jako doradca zmarłego pana George'a Caswella wiem, że bardzo by się cieszył, gdyby widział swego syna teraz. We własnym domu z owocami własnego sukcesu, już na stałe tutaj.

- Zapewne, panie Quarton. Ale czy to nie on wysłał Victora do Południowej Ameryki?

- On.

- Właściwie dlaczego?

Uśmiech pozostał na twarzy Quartona, toteż tym bardziej zmieniło ją ostrożne zmarszczenie brwi.

- Chłopcy to zawsze chłopcy - padła wymijająca odpowiedź. - Grunt, że z tego pożytek. Ta rezydencja, na przykład. Musi pan być dumny z tego co pan tu zdziałał.

- Owszem, jestem dumny.

- I ta małżonka, oczywiście. Najświetniejszy nabytek, jaki Victor przywiózł z szerokiego świata. - Oburzyło mnie to sformułowanie. Tak Quarton mógłby mówić o jakiejś ozdobie kolekcji etnograficznej. Czy raczej tak właśnie mówił. - Czarowne stworzenie, nie uważa pan?

Ruchem głowy wskazał Consuelę i ja mimo woli na nią spojrzełem. Wciąż jeszcze stała u boku męża. W promieniu zachodzącego słońca iskrzyły się brylanty jej naszyjnika, mieniły się fałdy jej sukni. Czarowna? Właśnie. Naprawdę zbyt czarowna jak dla swojego i mojego dobra.

W hallu było coraz tłoczniej. Major Turnbull ukazał się wśród spóźnionych. Szampan płynął. Zapalono świece. Victor wygłosił krótkie przemówienie. Pan Tudor Hereford z Sufton, najznamienitszy z sąsiadów, odpowiedział w imieniu gości. Podano kolację: pasztety, ozór, łososia z wody, homary. Rad znalazłem się przy stole, przy którym siedzieli sami nieznajomi. Mogłem spokojnie się dziwić apetytom moich współbiesiadników zarówno na plotki, jak na te potrawy. Rzeczywiście zdumiewała mnie, chociaż była do przewidzenia zawiść przenikająca zimnym prądem to, co mówili. Jakim prawem wyczuwało się w tonacji głosów i uwag - Victor, czarna owca rodziny Caswellów, wrócił z wygnania tak bogaty, tak pewny siebie, tak łaskawy, i tak dobrze ożeniony?

Właśnie przy stole usłyszałem o rychłym wielkim wydarzeniu w Hereford - przyjedzie mianowicie z wizytą Niemiecki Klub Automobilonowy pod egidą księcia Henryka Pruskiego, brata Kaizera. Ugości się ich bankietem w hotelu Mitre i jednym z gospodarzy będzie Victor. Data owej wizyty: wtorek 18 lipca. Nie wątpiłem, że to miała na myśli Consuela. Ale co ona planuje, nie wiedziałem.

Nie zanosilo się na to, żebym szybko się dowiedział. Pomimo usilnych starań nie zdołałem w czasie przyjęcia zamienić z Consuelą bodaj o parę słów więcej niż zdawkowe formułki przeznaczone dla uszu ogółu. W końcu wyszedłem na taras, żeby w samotności wypalić papierosa z nadzieją, że to mi ukoi nerwy.

Noc była niezwykle pogodna, tak jak cały tamten dzień. Niebo jaśniało, obficie posypane srebrnym pyłem gwiazd, woń jaśminu biła z ogrodu, gdzieś za sadem hukala sowa. Stałem niedaleko okna i patrzyłem na ucztę w rzęsiście oświetlonej jadalni. Patrzyłem na stół, przy którym siedziała Consuela, teraz za oknem bliższy niż wtedy gdy siedziałem przy swoim stole. Victor siedział obok niej pochłonięty rozmową z panem Tudorem Herefordem. Ona gawędziła z jakąś damą, zapewne panią Tudorową Hereford, na pozór wesoło, ale widziałem, że jest spięta, myślą nieobecna, już u kresu wytrzymałości w roli uległej grzecznej żony Victora Caswella. Wyglądała pięknie, powabnie, urokliwie. I polegała na mnie. Ufała mi bez zastrzeżeń. W tamtej przelotnej chwili - ale tylko w tamtej chwili - byłem niezłomnie zdecydowany: nie zawiodę jej zaufania.

- Staddon, co będzie pan robił teraz? - Poznałem głos Turnbulla chociaż znizony prawie do szeptu. Odwróciłem się. Stał pesząco blisko

z tym swoim uśmiechem tak zrozumiiałym, że nieomal szyderczym.

- Ja?... Przepraszam, nie dosłyszałem.

- Wściekle tam duszno, prawda? Zrozumiałe, że chciał pan odechnąć świeżym powietrzem. Pardon, jeżeli pana przeraziłem.

- Nie przeraził mnie pan.

- Tak tylko się zastanawiałem. Teraz, kiedy tutaj wszystko ukończone, co pan będzie robił?

- Przyjmę inne zlecenie, majorze. Dostaję od czasu do czasu jakieś propozycje, wie pan.

- Jednakże to niepewny zawód, prawda? Architektura.

- Nie bardziej niepewny niż większość zawodów.

- Sukcesy w tym zawodzie zależą od reputacji, wydaje mi się. Od krążących o architekcie plotek. Od takich rzeczy.

- Prawdopodobnie ma pan rację.

- Jednak po tym, czego pan tu dokonał, panu chyba nie zabraknie pracy. Winogrona? - Wyciągnął rękę z małą kłasią zwisających czerwonych winogron.

- Nie, dziękuję.

Oderwał jedną jagodę, włożył do ust i wskazał okno.

- Dobrze się pan dziś bawi?

- Czy mógłbym bawić się źle? Tak gościnnie nas tu podejmują.

- Rzeczywiście. Victor nie skąpi. I Consuela wyraźnie jest szczodra. - Wypluł parę pestek w krzewy i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Przynajmniej jeśli chodzi o *decolletage*.

Usiłował mnie rozdrażnić. To było jasne. Ale po co? Dla swojej przyjemności czy ze względu na Victora? Wiedziałem, że tylko spokój pozwoli mi się zorientować.

- Mam wrażenie, majorze, że to pańskie spostrzeżenie jest w złym guście.

- Naprawdę? Spróbujże pan rozluźnić swój gorset, Staddon. Czy może wolałby pan rozluźnić gorset komuś innemu?

Wciągnąłem oddech.

- Teraz stanowczo wolałbym wrócić do stołu.

- Ciemna karnacja, uległe ciało. - Nie przestawał baczenie patrzeć mi w oczy. I nie było w tym wzroku ani trochę z ciepła jego głosu, ani trochę z uśmiechu rozciągającego mu usta. - Cholernie smaczne winogrona. Na pewno pan nie chce ich spróbować? - Wyciągnął rękę rozmyślnie zagrządzając mi drogę do oszklonych drzwi. Wyzwał mnie,

żebym się obok niego przepchnął, kuśił, żebym stał się opryskliwy i tym samym ujawnił, że jego strzałki trafiły w cel.

- Na pewno - powiedziałem tak spokojnie, jak zdołałem. - Niech pan je zachowa dla siebie. I niech pan je ostrożnie, bo można się zakrzusić pestkami.

Uśmiech zniknął. Wyciągnięta ręka opadła. Major Turnbull już nie powiedział, ale wracając do jadalni czułem na sobie jego wzrok.

W sobotę, o czym przedtem mnie poinformowano, miał się odbyć w Mordiford mecz krykieta pomiędzy reprezentacją tej wsi i reprezentacją firmy Caswell i Spółka, zorganizowany z inicjatywy Victora jako punkt programu uroczystego otwarcia domu Spod Obłoków.

Kapitanem drużyny Caswell i Spółka był Victor, jedyny sportowiec w rodzinie. Mortimer miał razem z paniami kibicować. Ufundowaną przez Victora doroczną przechodnią nagrodę dla zwycięskiej drużyny stanowił srebrny dwuuchy kociołek do jabłecznika. W sumie wydawało się, że Victor dokłada wszelkich starań, żeby się przeobrazić w tradycyjnego wielkodusznego ziemianina.

Fala upałów nie ustawała, mecz miał się zacząć o jedenastej. Śniadanie zjadłem późno w towarzystwie Turnbulla, Hermione i Marjorie. Victor już poszedł na boisko, Consuela, jaje nam powiedział Danby, z migreną została w łóżku. W tych okolicznościach nie mogłem znaleźć żadnego wiarygodnego pretekstu, żeby zaraz po śniadaniu nie pójść na mecz. Gdy wychodziliśmy, Lizzie nieznacznie przekazała mi od swojej pani kartkę, którą szybko schowałem do kieszeni.

Możliwości przeczytania kartki nie było, dopóki mecz się nie rozpoczął. Przy boisku ładnie usytuowanym wśród wiązków siedzieliśmy pod wynajętą przez Victora beżowo-białą markizą.

Victor w wyniku losowania miał rozpocząć grę. Drużyna Mordiford prezentowała akurat takie umięśnienie i taki brak znajomości rzeczy, jak można było się tego spodziewać, ale Caswellowie wyraźnie pasjonowali się tym współzawodnictwem. Hermione piskliwie udzielała rad i zachęty zawodnikom. Turnbull rozwalił się na leżaku, nasunął kapelusz na twarz i popadł w absolutną drętwotę, za co byłem mu wdzięczny. Dzięki temu mogłem odejść, znaleźć sobie krzesło po mniej zaludnionej stronie boiska i przeczytać kartkę Consueli.

Querido Geoffrey. Skłamałam, że mam migrenę, żeby uniknąć oglądania tego meczu. Wszyscy tam będą i większość służących. Victor ich tam zabiera, jeśli nie do gry, to do wznoszenia okrzyków i żeby podali drugie śniadanie. Na pewno nikt by nie zauważył gdybyś się stamtąd wymknął. Musimy porozmawiać, rozważyć plan. Nie zawieź mnie. Twoja kochająca Consuela.

Ona miała rację, oczywiście. Musieliśmy porozmawiać, a ten mecz krykieta dawał nam doskonałą sposobność. Dziwnie jednak jej propozycja mi nie odpowiadała. Nie, żebym bał się jej powiedzieć, dla czego nadzieje ucieczki mają spełznąć na niczym. Raczej podejrzewałem, że kiedy przyjdzie co do czego, po prostu się na to nie zdobędę. Chciałem to odwlec, jak gdyby zwłoka była ostatnią deską ratunku.

Drużyna Caswell i Spółka straciła bramkę, Victor znalazł się na linii. Jak na kogoś, kto rzekomo od lat nie miał rakiety krykieta w rękę, popisał się nadzwyczajnym zamachem. Wyglądał irytująco reprezentacyjnie w nieskazitelnej bieli i w pasiastej czapce, aż ni stąd ni zowąd poczułem urazę, słysząc oklaski, na które zasłużył. Właśnie poczułem nadzieję, że najszybszy z zawodników Mordiford jednak mu dokopie, gdy z drugiej strony boiska powłócząc nogami nadszedł mały Spencer Caswell, elegancki w pumpach i płaskim słomkowym kapeluszu, ale starannie zasępiońy. Zobaczył mnie, zatrzymał się i wlepił we mnie wzrok.

- Serwus - powiedział zarówno podejrzliwie, jak obojętnie.
- Serwus, stary. Podoba ci się ten mecz?

Spojrzał na boisko, na Victora wołającego o ostrą piłkę i odpowiedział:

- Nie.
- Ale dlaczego? Twój stryj gra tak dobrze.
- Ustępują mu. I w ogóle krykieta to strata czasu.

Nie było w tych jego uwagach nic chłopięcego. Przyszło mi na myśl, że nigdy nie widziałem, żeby figlował czy śmiał się, czy zachowywał tak jak na ogół zachowują się dzieci. Ten smarkacz miał w sobie coś niepokojąco dojrzałego, prawie cynicznego. Z tą swoją nieruchomą twarzą, małymi oczami, którymi świdrował bez mrugnienia, wydawał się zimny, twardy, powściągliwy.

- Podobno już w przyszłym roku jedziesz do Harrow.
- Zgadza się.
- No, tam będziesz musiał grać w krykieta i uprawiać Bóg wie jakie inne sporty.

- Mam to w nosie.
- Powiedz tak, kiedy cię przygniotą do ziemi na boisku rugby w mroźny zimowy dzień.

Ale tylko marnowałem swoją błyskotliwość. Nawet cień uśmiechu nie musnął ściągniętych małych ust.

- Będę miał w nosie, choćby nie wiem co mi robili. Jeżeli ktoś mi dokuczy, odpłacę mu.

- Jednak odpłacisz?

- No pewnie. Kiedy będę dorosły, odpłacę każdemu, kto mi dokuczał w życiu.

I poszedł dalej wzdłuż boiska. Nie wołałem, żeby wrócił, byłem rad, że już nie muszę z nim rozmawiać. Spojrzałem znów na boisko, a tam właśnie podniósł się wrzask - Victor był na spalonym. Sędzia ten protest odrzucił. Sędzią był ni mniej ni więcej tylko Banyard, ogrodnik Spod Obłoków. Może Spencer ostatecznie miał rację.

Pokazałem się pod markizą, gdy podano drugie śniadanie - kurczęta na zimno i znów szampana, którym Victor wznosił toast na cześć swego półwiecza przeżytego bez żadnych porażek. Potem wymknąłem się stamtąd z nadzieją, że w czasie samotnej powrotnej wędrówki do domu Spod Obłoków przeciw zmobilizuję dość zdecydowania, żeby porozmawiać z Consuelą uczciwie, bo przynajmniej uczciwość jej się ode mnie należy.

W domu panowała spotęgowana upałem cisza. Prawie wszyscy byli jakoś zajęci przy meczu, więc nie wątpiłem, że zastanę Consuelę samą. Chwila najodpowiedniejsza.

Nie zastałem jej w żadnym z pokoi recepcyjnych ani w ogrodzie. Nie miałem kogo zapytać, gdzie ona jest. Danby, Gleasure i pokojówki podawali drugie śniadanie krykieciarzom. Kucharke prawdopodobnie gdzieś bym znalazł, ale uznałem to za zbyt techną fatygę. Na Lizzie nigdzie się nie natknąłem.

Pukając do drzwi małżeńskiej sypialni, uprzytomniłem sobie, że nie wiem, jak wygląda ten pokój już umeblowany. Szerokie okna z wykuszu wychodzą na ogród i na sad - tak piękny widok nie rozciąga się z okien żadnego innego pokoju. Sufit tam jest wysoko sklepiony, kominek ogromny. W projekcie tej sypialni postarałem się połączyć nastrój odosobnienia i dumę posiadania, nastrój intymności i okazałość. Nieraz później żalowałem, że osiągnąłem taki efekt, i raziło mnie

wszystko, co mogłoby świadczyć, że Victor jest właścicielem tak samo swojej żony, jak tego domu.

- Kto tam? - zapytała Consuela cicho, jak gdyby z bardzo daleka.

W sypialni jej nie było na pustej arenie rozwieszonego ziarnistego blasku słońca. Przez otwarte drzwi zobaczyłem ją w ubieralni. Siedziała przed lustrem i szczotkowała swoje długie ciemne włosy. Myła przed chwilą głowę, pomyślałem, bo pasma pod przesuwającą się szczotką błyszczały wilgocią. Miała na sobie jedwabny peniuar w kolorze ni to brzoskwińowym, ni to landrynkowo różowym. Jedwab załśnił słabo, gdy odwróciła się do mnie.

- Spodziewałam się, że przyjdiesz wcześniej.

- Niełatwo było odejść, tak by nikt nie zauważył. - Wszedłem dalej, stanąłem pośrodku sypialni w powiewie z otwartych okien, pozwalając oczom błądzić po meblach, fotografii ślubnej na parapecie kominka, skórze jaguara na podłodze przed kominkiem i po szerokim podwójnym łóżu z baldachimem. - Jesteśmy sami?

- Zupełnie. - Położyła szczotki, wstała i weszła do sypialni. - Wyślałam Lizzie do jej rodziny. Mają tam co omawiać.

- No pewnie.

- My też. - Podeszła do mnie, prosto w moje objęcia. Wydawało się tak naturalne, tak oczywiste znów ją przytulić, poczuć na ustach pulchność warg, napawać się jej bliskością. - Słyszałeś, że Victor będzie na bankiecie z bratem Kaizera we wtorek?

- Słyszałem.

- To właśnie ta sposobność, wtedy ucieknę. - Całując mnie przytuliła się jeszcze mocniej. Słońce grzało mnie w plecy, a jej skóra była taka chłodna. I gdy w niej oczekiwanie wolności rozbudziło niebaczną na nic namiętność, we mnie kusząco odezwało się coś, co chciałbym uznać za uczucie wznioślejsze niż żądza. - Będziemy wolni, Geoffrey, będziemy mogli żyć, jak nam się podoba.

Nie powinienem był tego zrobić. Nie powinienem był dopuścić do najgorszego ze wszystkich kłamstw w tej sypialni, którą zaprojektowałem dla jej męża. Ale to zrobiłem. Było to zbyt łatwe, zbyt przeżądne, zbyt cudowne, żeby tego nie zrobić. Oplatała mnie gętkimi kończynami. Przywierała rozdygotana, podniecona. Jej każdy sekret należał do mnie. I ta czysto zmysłowa rozkosz pogwałcenia - jej ciała, jej małżeństwa i jej ufności. Oszustwem i obelgą było moje szaleńcze zwanie się z nią na łóżu pod baldachimem w domu Spod Obłoków w tamto skwarne popołudnie trzynaście lat temu.

- Za trzy dni - szepnęła Consuela, gdy leżeliśmy w błogostanie spełnienia. - Już nie będziemy musieli wykradać chwil. Będziemy razem... spokojnie.

Za późno było, żeby jej powiedzieć, o wiele za późno, żeby nie podtrzymywać dalej pozorów.

- Jak zamierzasz uciec? - zapytałem.

- Pociągiem. Ty powinieneś wyjechać stąd w poniedziałek, tak jak Victor się spodziewa. We wtorek on ma ten bankiet z księciem Henrykiem w hotelu Mitre. Poczekam, aż wyjedzie do Hereford samochodem i każę Danby'emu wezwać dorożkę. Powiem, że muszę załatwić w Hereford coś, co nagle mi się przypomniało. Ale tą dorożką pojedę na stację, na pociąg o pierwszej do Londynu. Według rozkładu będę na dworcu Paddington o szóstej. Wyjdziesz tam po mnie?

- Tak. - Uśmiechnąłem się i pocałowałem ją lekko w czubek nosa. - Naturalnie. - Kłamstwo mnie paliło, ale nie naruszało mojego talentu oszukiwania. Jej oczu wpatrzonych we mnie nie przysnuwał cię wątpliwości.

Kilka minut minęło. Może spaliśmy trochę. Gdy się ocknąłem, Consuela już wstała z łóżka i szła przez sypialnię do na pół zasłoniętego okna. Piękniejsza nago niż w najefektowniejszym nawet stroju, wydawała mi się pełna wzniosłego powabu. Jeszcze mogłem - wiedziałem - dotrzymać przyrzeczenia. Jeszcze mogłem wybrać ją i trwać przy niej. Ale też dopóki była przy mnie, dopóki rozkoszowałem się jej widokiem, mogłem udawać, że dotrzymam.

Potrząsnęła głową, pasma ciemnych włosów zsunęły jej się po ramionach. Promień słońca padł na zaokrąglenie jej piersi i brzucha, skryzalizował rozkosz, jaką mi dawała.

Spojrzała znów na mnie, zobaczyła, że patrzę na nią, i uśmiechnęła się.

- Anglicy słyną ze swojego poczucia ironii. Ironia. Nigdy tego słowa nie rozumiałam aż do teraz.

- O czym mówisz?

- O tym domu, Geoffrey. Spod Obłoków. Tyś go zbudował. Ja w nim mieszkam. Ale po wtorku ani ty ani ja nie będziemy mogli tu wejść. Już nigdy.

- Będzie ci tego brakowało?

- Chyba nie. A tobie?

- Mogę zbudować inne domy, Consuelo. Dziesiątki domów.
- Czy zbudujesz dom dla nas?
- Jeżeli będziesz chciała.
- Myślę, że tak. Nawet bardzo.

Usłyszałem w jej głosie wezwanie. Wstałem z łóżka, podszedłem i wziąłem ją w objęcia. Zamknęła oczy, gdy ją całowałem, osunęła mi głowę na ramię. Jej włosy muskały mnie w policzek, ciepłe i wonne. I przytuliła się do mnie, cała złocista w słonecznym blasku, jedwabista. Znowu wezbrało pożądanie - pożądanie tak przemożne, że moje zamiary na przyszłość nagle się ulotniły. Każdą komórkę umysłu, każdy zakamarek wyobraźni przeniknęło pragnienie posiadania Consueli jeszcze raz.

Otworzyła oczy i szepnęła:

- Chcesz mnie znowu?
- Chcę zawsze.
- Więc będziesz mnie miał. Zawsze.

Żądza i oszustwo. Śmiałem się, niosąc Consuelę z powrotem na łóżko, śmiałem się, gdy w nią triumfalnie wtargnąłem. Teraz ten śmiech w mojej pamięci brzmi jak ujadanie sumienia.

Dziesięć osób było na kolacji w domu Spod Obłoków tamtego wieczoru: Victor i Consuela, Mortimer i Marjorie, Hermione i stara pani Caswell, pan i pani Peto, major Turnbull i ja. Oczywiście rozmawiało się głównie o udanym przyjęciu i o zwycięstwie drużyny Caswell i Spółka. Te dwa wydarzenia sprawiły, że Victor czuł się w swoim żywiole. Uradowany przywróconym poczuciem przynależności, prominent wśród miejscowych prominentów, na co jego goście reagowali stosownie.

Siedziałem pomiędzy Hermione i panią Peto w pobliżu Victora przy końcu stołu. Moje sąsiadki tak się rozgadały, że ku swemu zadowoleniu nie musiałem być rozmowny. Po tym dniu miałem zamęt w głowie i stargane nerwy. Zerkąłem na Consuelę siedzącą przy drugim końcu stołu, ale widziałem ją obok siebie w tym małżeńskim łóżu po południu i wiedziałem to, czego ona nie wiedziała. Postąpiłem bardzo niewłaściwie. Teraz mogłem tylko zalewać wyrzuty sumienia czerwonym winem Victora i modlić się żeby ta kolacja szybko się skończyła.

Ale nie skończyła się szybko. W czasie deseru wdąłem się w dyskusję z braćmi Caswell, chociaż nie powinienem. Hermione, z nienasyconym

apetytem pałaszując truskawki zwymyślała Mortimera za odprawienie jednego z pracowników. Gdy usłyszałem, że ów człowiek nazywa się Ivor Doak wyraziłem zainteresowanie, bo pamiętałem rozmowę z Doakiem i żał mi go było - że też właśnie jego to spotkało.

- Tak - potwierdził Mortimer ponuro. - Musiałem się go pozbyć. Amator raczej opróżniania niż napełniania butelek cydru.

- Straszne - powiedziała Hermione. - Jesteśmy mu winni przynajmniej miejsce pracy, jeżeli nie znacznie więcej.

- Ja osobiście - powiedział Mortimer - nie jestem mu nic winien.

- Doakowie byli dawniej znakomitą starą rodziną w hrabstwie Hereford. Ivor pije, żeby zapomnieć, co z tego zostało.

- Moja siostra - Mortimer cierpko uśmiechnął się do mnie - jest wielką zwolenniczką miłosierdzia... zwykle na mój koszt.

- Nie mogę się z panią nie zgodzić - powiedziałem. - Chybaby nie szkodziło okazać biednemu Doakowi pobłażliwość. On jako dawny właściciel tej ziemi...

- Dawny dzierżawca - przerwał mi Victor. - I to niedbały. Dobrze, że się go pozbyłeś, Mortimer. Dobrze, że wszyscy się go pozbyliśmy.

- Ale z czego on teraz będzie żył? - zaprotestowałem.

- Niech zdycha z głodu albo się powiesi - warknął Victor. - Kogo obchodzi taki Ivor Doak? - Ta gwałtowność wydawała się doprawdy zbyt duża, ta pogarda zgoła nieproporcjonalna. Nie mogłem zrozumieć, za co Victor chce się mścić na Doaku, który, o ile wiedziałem, nie zrobił Caswellom nic złego.

- Teraz pozostaje mu tylko wyjechać z Hereford. - Hermione westchnęła. - Daleko od stron rodzinnych, daleko od wszystkich wspomnień.

- Niby dokąd wyjechać? - zapytał Victor sarkastycznie.

- Do Australii. Ma tam krewniaka, hodowcę owiec.

- Moja siostra chce przez to powiedzieć, Staddon - wyjaśnił mi Mortimer - że jego wuj pięćdziesiąt lat temu był zesłany do Zachodniej Australii, bo zastrzelił gajowego, a potomstwo tego tam wuja rzekomo zaprasza go i chce utrzymać.

- Tak się składa, że to prawda - obruszyła się Hermione. - I kto, jak kto, ale ty - zwróciła się do Victora - powinieneś wiedzieć, czym jest zaczynanie życia na nowo.

Victor poczerwieniał. Znowu warczał.

- Jeżeli ci się zdaje, że mnie takie mętne porównanie przekona i dam pieniądze na przejazd Doaka do Perth...

- Wcale mi się tak nie zdaje, znam ciebie i Mortimera dostatecznie, żeby się nie spodziewać jakichkolwiek przyzwoitych gestów wobec kogoś, komu brak szczęścia.

- Brak szczęścia? Czy brakiem szczęścia nazywasz to, że zaprzepacił swoją farmę? I to, że Mortimer musiał go wyrzucić? Nie brak szczęścia doprowadził do takiej sytuacji. Wyłącznie jego zła krew.

- Wierutna bzdura. On tylko potrzebuje...

- Przepraszam. - Wychyliłem się nad stołem. Smutek i żal z powodu swego postępowania z ulgą przeniosłem na los eksmitowanego dzierżawcy farmy Spod Obłoków, z którym zetknąłem się tylko raz. - Ile by kosztował przejazd Doaka?

- Jeszcze więcej niż on by potrafił przepić - odpowiedział Victor.

Hermione zignorowała Victora.

- Około czterdziestu funtów. Więcej niż mógłby uzbierać. I więcej, niestety, niż ja mogę mu pożyczyć.

Victor prychnął.

- Czterdzieści funtów. No proszę!

- Dla Ivora Doaka - nie ustawała Hermione - suma równa wypłacie za trzy miesiące pracy, a dla moich braci to zaledwie trochę bilonu. A jednak mu skąpią.

- Istotą dobrego interesu jest roztropna inwestycja - powiedział Mortimer. - Inwestowanie w Ivora Doaka byłoby szczytem głupoty.

Ale Hermione napierała nieustraszenie.

- Jestem pewna, że on by zwrócił, kiedy tylko stanąłby na nogi.

Victor zbył to chrząknięciem. Mortimer potrząsnął głową i dalej jadł ananasa. Hermione spojrzała wyzywająco na drugą stronę stołu, tam, gdzie inne rozmowy już ucichły. Niezdarna, nietaktowna, bezcelowo energiczna, była od dawna jedyną z Caswellów godną w moich oczach szacunku. Ale nie dlatego zapaliłem się do jej propozycji. Zbrzydzony własnym fałszem chciałem udowodnić sobie i pokazać innym, że przynajmniej nie jestem samolubny i małostkowy jak jej bracia. Oznajmiłem:

- Ja pożyczę Doakowi czterdzieści funtów.

Consuela patrzyła na mnie z podziwem. Łyzeczka Victora szczęknęła o spodek, ale nie chciałem spojrzeć na niego, tylko uśmiechnąłem się do jego siostry.

- Panie Staddon, to nadzwyczaj szlachetnie z pana strony - powiedziała. - Sama mogę dać pół tej sumy.

- Więc ja dam drugie pół.

- Naprawdę?
- Bardzo chętnie.
- To cudownie. Pan i ja zrobimy, co możemy, żeby uratować biednego Ivora. - Uśmiechnęła się do braci. - Rzadka dla mnie przyjemność mieć do czynienia z prawdziwym dżentelmenem.
- Będziesz pan głupcem, Staddon, jeżeli pójdziesz za przykładem mojej siostry - mówił Victor z naciskiem, zmuszając mnie, bym na niego spojrział. Zdumiewające: moja ofiarność rzeczywiście go rozgniewała.
- Mogę, jeżeli chcę - powiedziałem - dysponować głupio własnymi pieniędzmi.
- Mówi pan o pieniądzach, które pan ostatnio dostał ode mnie.
- Poza honorarium za ten dom mam inne dochody.
- Ma pan? Naprawdę pan ma? - Victor przyjrzał mi się złośliwie. - Będzie pan żałował, że pan pożyczył Ivorowi Doakowi. Możesz mi pan wierzyć, Staddon, będziesz żałował. - Mówił poważnie, świadczył o tym wyraz jego twarzy. Ale czy to przepowiednia, czy groźba, nie wiedziałem.

Spór ustał, potoczyły się przy stole rozmowy na inne tematy, a mnie dręczyły wątpliwości. Dlaczego Victor nie chce, żebym podał Doakowi pomocną dłoń? I dlaczego jest tak pewny, tak bardzo pewny, że tego pożałuje?

Niedziela była dla mnie ciężką próbą, przedłużaniem się przymusowej uroczystości. Późne śniadanie, raczej obowiązkowe, obecność na nabożeństwie w kościele Mordiford. Obiad, krokiet i tenis w sennie popołudnie. Podwieczorek na tarasie. I wciąż żar słońca z bezchmurnego nieba. Ktoś postronny wnioskowałby, że rodzina Caswellów i jej goście spędzają szabas w spokojnym ukontentowaniu.

Godziny się wlokły, myśli w głowie kręciły mi się w kółko. Obie drogi, z których jedną musiałem wybrać, majaczyły przede mną przerażająco. Utracić Consuelę czy poświęcić sławę? Oba kielichy; tak jeden jak drugi, wydawały mi się zatrute, obie decyzje, tak jedna jak druga, wydawały się prowadzić do zguby. Patrzyłem na Consuelę, gdy podawała herbatę, uśmiechała się, słuchając dowcipów Turnbulla, ustępowała mężowi, spacerowała pod pergola. Obserwowałem ją, a ona chyba obserwowała mnie.

Popołudnie zmieniło się w wieczór. Nadeszła pora kolacji. Do stołu zasiedliśmy już tylko w ośmiorgo, wszyscy raczej znużeni i ostrożni.

Nie było wzmianek o Ivorze Doaku, ani nie było entuzjastycznego rozpamiętywania meczu krykietowego i przyjęcia na otwarcie domu. Trochę; chyba już znudziliśmy się sobie nawzajem. Ale nie nuda sprawiała, że się denerwowałem. Ilekroć podchwyciłem między paterami i kandelabrami wzrok Consueli, ilekroć usłyszałem w gwarze rozmowy jej łagodny głos, znowu ogarniał mnie lęk: moment decyzji się zbliża, a ja do tego nie dorosłem.

Po kolacji panie wstały od stołu, żeby udać się na spoczynek. Właśnie wtedy przy grzecznej wymianie życzeń dobrej nocy rozmawiałem z Consuelą po raz ostatni. Jakże dziwnie koturnowe wydają się teraz te słowa, jakże banalne te ogłędne uśmiechy i czujne spojrzenia, którymi się pożegnaliśmy.

- Jutro postaram się zdążyć na wczesny pociąg, proszę pani. Może więc teraz mógłbym pani podziękować za gościnność i cudowny weekend.

- Dziękuję, że pan przyjechał, panie Staddon. - Jej dłoń na krótko zatrzymała się w mojej dłoni. - Niedługo, mam nadzieję, zobaczymy pana znowu.

- Też mam taką nadzieję.

- Więc dobranoc.

- Dobranoc, pani Caswell. - Ruszyła ku drzwiom. - I do widzenia.

Jeszcze jedno przelotne spojrzenie przez ramię - sam tylko błysk w jej oczach chyba wyraził całą jej ufność do mnie - i już jej nie było.

Panowie krótko popijali portwejn. Gdy Mortimer po jednym kieliszku poszedł spać, Victor zaproponował bilard, na co Turnbull się zgodził. Zadowolony zostawiłem ich w pokoju bilardowym i wyszedłem w parną ciemność.

Spod Obłoków! Widziałem tu spełnienie wszystkich moich nadziei - myślałem obchodząc wokoło ten wielkopański dom rysujący się na tle gwiaździstego nieba - a jednak to może był tylko początek, teraz będzie zlecenie Thorntona. Ale światło w oknie małżeńskiej sypialni przypomniało mi o miłości Consueli. Dla niej powinienem być gotów wszystko poświęcić i znieść wszystko. Cóż, kiedy nie mogłem sprawić, żeby moje uczucie do niej było głębsze niż było. Pragnąc szans, których lojalność wobec niej miałaby mnie pozbawić, nie mogłem sobie tego pragnienia zabronić. Prawda pojawiała się prosta, tym bardziej więc przykra. Nie kochałem Consueli dostatecznie.

Wróciłem ze spaceru. Dom zalegała cisza, tylko trzaskały kule w pokoju bilardowym. Napełniłem szklankę whisky i zabrałem do swojego

pokoju. Usiadłem przy biurku. Na papierze z opatrzonej nadrukiem papeterii Victora zacząłem pisać:

*16 lipca 1911 r.
Najdroższa moja Consuelo...*

Nie. Jak śmiałem nazwać ją moją najdroższą... czy w ogóle moją? Zacząłem ponownie:

*16 lipca 1911 r.
Consuelo,
Pisanie tego listu jest dla mnie równie bolesne, jak dla Ciebie będzie czytanie. Nie możemy - nie wolno nam - postąpić zgodnie z Twoim planem. Niehonorowo byłoby z mojej strony dopuścić, żebyś poświęciła swoje dobre imię...*

Znowu źle. Miałkie brednie, Consuela zasługuje teraz co najmniej na takie uczciwe postawienie sprawy, na jakie powinienem się zdobyć wcześniej. Łyknałem trochę whisky i zmobilizowałem się do szczerości. Ale jak wyjaśnić, że kariera jest dla mnie ważniejsza niż jej miłość? W końcu ten gatunek prawdy jest gorszy niż wszelkie oszustwo. Toteż pokonałem szczerłość i przelałem na papier wyznanie dwuznaczne:

*16 lipca 1911 r.
Consuelo,
Nie możemy postąpić zgodnie z Twoim planem. Przemyslałem to bardzo gruntownie i doszedłem do wniosku, że miałaś rację wtedy w listopadzie, gdy powiedziałaś, iż ofiary, jakie musielibyśmy ponieść, żeby być razem, są zbyt wielkie. Byliśmy niemądrzy i popędliwi. Nie mogę dopuścić, żebyś ze względu na mnie zburzyła swoją pozycję w społeczeństwie. Nie mogę dopuścić, żebyś dla mnie porzuciła Victora.*

Nie wyjeżdżaj Spod Obłoków we wtorek. Nie przyjeżdżaj do Londynu. Wiem, że z początku będzie Ci ciężko dalej żyć tutaj, ale z czasem na pewno uznasz, że tak jest dla nas obojga lepiej. Przykro mi, rzeczywiście przykro sprawić ci zawód, ale jestem przekonany, że podejmuję słuszną decyzję.

Geoffrey

A więc załatwione. Zapieczętowałem ten list, wypilem resztę whisky i położyłem się, wiedząc, że na spokojny sen nie zasługuję.

Obudziłem się o świcie, umyłem się i ubrałem z wielkim pośpiechem. Ekspres do Londynu miał być w Stoke Edith dopiero o wpół

do ósmej, ale chciałem wyjść Spod Obłoków możliwie jak najprędzej. Godziny samotności na czczo na stacji wydawały mi się lepsze niż każda niekonieczna minuta w tym domu.

O godzinie piątej rano poszedłem z apartamentu przy. sędzie na drugie piętro do skrzydła służbowego. Ponieważ od Consueli wiedziałem, gdzie tam jest przynależny pannie służącej pokój Lizzie, byłem pewny, że mogę bezpiecznie wsunąć jej pod drzwi list oraz kartkę z prośbą o natychmiastowe doręczenie pani.

Gdy tam podchodziłem w nocnej jeszcze ciszy, usłyszałem płacz. Zatrzymałem się nasłuchując - płacz Lizzie Thaxter czy kogoś innego w jej pokoju. Wobec tego jakoś nie wypadało mi zostawić listu tak, jak zaplanowałem. Cicho zapukałem do drzwi. Płacz raptownie ustał. Zapukałem ponownie.

- Kto tam? - To był głos Lizzie drżący, wezbrany łzami.

- Staddon - szepnąłem.

Doleciał szelest. Drzwi się uchyliły, Lizzie wyjrzała w nocnej koszuli, potargana, z oczami czerwonymi i podkrążonymi. Łzy już otarła, ale nie ulegało wątpliwości, że to jej szloch słyszałem.

- Co się stało, Lizzie?

- Nic.

- Myślałem, że...

- Czego pan chce, proszę pana?

- Ten list. - Wyciągnąłem rękę z kopertą. - Dla pani Consueli. Zapatrzyła się na mnie, mogłoby się przez chwilę wydawać, że ze zgrozą.

- Dla pani Consueli?

- Tak. To bardzo ważne. I pilne.

- Postaram się doręczyć. - Sięgnęła drętwo, wzięła ode mnie kopertę.

- Lizzie, czy na pewno wszystko u ciebie w porządku?

- Tak, proszę pana. Na pewno. - I zamknęła drzwi.

Może minutę stałem tam na cichym korytarzu zaintrygowany. Lizzie normalnie była wesoła, kipiała życiem. Nawet aresztowanie brata nadmiernie jej nie przygnębiało. Dlaczego teraz płakała tak rozpaczliwie? Najwyraźniej nie chciała, żebym poznał powód. No, e swoją sprawę z nią załatwiłem. Doręczy Consueli mój list, wiedziałem, że mogę na niej polegać. Za drzwiami było już zupełnie cicho, a na tym korytarzu mógłby mnie wkrótce zobaczyć ktoś ze służby. Więc odwróciłem się i ukradkiem odszedłem.

Kim był samolubny młody zarozumialec, który długim krokiem szedł aleją wjazdową Spod Obłoków i szosą na stację kolejową Stoke Edith w słoneczny lipcowy poranek trzynaście lat temu? Jakim prawem myślał, że może traktować cudze marzenia, dążąc do spełnienia własnych? Jeszcze teraz dręczą mnie odpowiedzi na te pytania. Gdybym tylko mógł wtedy zatrzymać go w pół kroku i potrząsnąć nim, aż zrozumiałby konsekwencje - wszystkie, małe i duże - swojego postępowania.

Ale nie mogę. Nie mogę zmienić czy poprawić ani jednego aspektu przeszłości, jaką przekazałem sobie w spuściźnie. Ta przeszłość jest wyłącznie moja. Tak samo, jak związana z nią wina.

Ciepło było w blasku słońca, gdy siedziałem na pustym peronie stacji Stoke Edith i czekałem na pociąg, żeby wrócić do Londynu. Zapowiadał się następny upalny dzień. Nadal się niecierpliwiłem, ale już mniej niż przedtem. Drogę widziałem wytyczoną, mosty za sobą spaliłem. Zostawiłem wiadomość dla Consueli. Wysłałem pocztą czek dla Hermione. Pożegnałem się. I teraz, aczkolwiek z wysiłkiem, miałem odsunąć wszystko, co znaczył dla mnie dom Spod Obłoków. Z czasem, zaprzątnięty zleceniem Thorntona, rzeczywiście o tym zapomniałem. Imię Consueli nigdy nie padało z moich ust, jej twarz miała nie ukazywać się w mojej pamięci. Bo brudne sumienie jest najlepszą amnezją, nie dopuszcza żadnych wspomnień. Z wyjątkiem jednego, które łaskawy los zarezerwował dla mnie.

V

Historycy architektury z lat bezpośrednio przed wielką wojną omawiając charakterystyczne budowle Londynu, prawdopodobnie szeroko opiszą wschodnią fasadę Pałacu Buckingham zaprojektowaną przez Webba, Galerie króla Edwarda VII, które dla British Museum zaprojektował Burnet, i być może dom towarowy Selfridge'a czy elewacje Bloomfielda po zachodniej stronie Picadilly Circus. Te budowle wznoszące się nad ulicami stolicy czekają na zasłużony podziw. Gdzieś w przypisku na poślednim miejscu może ktoś wspomni, że Ashley Thornton, hotelarz, zlecił niejakiemu Geoffreyowi Staddonowi budowę wspaniałego hotelu na Russell Square i koncepcja oraz wykonanie tego obiektu zyskały aplauz. Ale też może nikt o tym nie wspomni. Bo ten hotel Thorntona po prostu już nie istnieje.

Dziwne - a przecież logiczne - jest to, że duma z tych właśnie dwóch budowli, którymi mogłem najbardziej się chlubić, została mi odmówiona. Spod Obłoków, bo nie odważałem się tam wracać, i hotelu Thornton, bo wracać nie było do czego. Teraz wydaje mi się, że ta banieja i ten pożar pospołu obróciły wniwecz każdą nadzieję i wszystkie osiągnięcia mojej młodości. I nie mam prawa się skarżyć.

Było zupełnie inaczej, gdy jesienią 1911 roku zacząłem pracować nad projektem hotelu Thornton i wyobrażałem sobie, że nie ma granic sławy i bogactw, do jakich mnie to może prowadzić. Consuelę i krzywdę, którą jej wyrządziłem, zamknąłem w komórce pamięci na dziesięć spustów. Po wyjeździe Spod Obłoków nie miałem od niej żadnych wiadomości, żadnego listu z wyrzutami, rozpaczliwego telefonu, wizyty pełnej oburzenia. Victor też się nie odezwał ani nikt inny z Caswellów. Już nie dostawałem zaproszeń na weekend, na rodzinne uroczystości i nawet życzeń z okazji Bożego Narodzenia. Byłem im za to wdzięczny.

Hotel Thornton pochłaniał moje myśli i energię. Stał się areną mojej ambicji, zbudowanym z kamienia i stali potwierdzeniem moich twórczych możliwości. I zmienił mnie. Fałsz wobec Consueli zapoczątkował haniebną bezwzględność. W skrytości ducha zdecydowałem, że nikomu i niczemu nie pozwolę ani stanąć mi w drodze, ani przyczynić się do mojego osiągnięcia i tym samym dzielić ze mną zasługi. Wkład pracy Imry'ego zacząłem umniejszać, ulepszenia, które proponował budowniczy, odrzucałem. Ten projekt miał być mój, wyłącznie mój. I chwała, gdy zostanie ukończony, miała służyć wyłącznie na mnie.

Ashley Thornton jako klient idealnie mi odpowiadał. Zbyt zajęty prezesowaniem swym istniejącym hotelem, niewiele się wtrącał do budowy nowego, a ponadto entuzjastycznie bronił moich pomysłów przed konserwatywnymi członkami zarządu. Zrazu odnosiłem się do niego podejrzliwie. Potem polubiłem go i zacząłem podziwiać. Jeszcze później zrozumiałem go. Ale zrozumienie, jak na ogół to bywa, nie nastąpiło w porę.

Na przyjęciu w Pallatinie, jednym z londyńskich hoteli Thorntona, poznałem jego córkę Angelę, moją obecną żonę. Pokłóciłem się z nią wtedy, pamiętam, o strajk w kopalniach węgla - czyli musiało to być w marcu 1912 roku - i wydawała mi się nieugiętą zwolenniczką feudalizmu. Raczej przystojna niż piękna, ale bezsprzecznie interesująca, stanowiła, powiedziałbym, połączenie czystookiej Angielki ze zmysłową kotką. Miała dwadzieścia siedem lat, była pełna życia i pewności siebie. W sumie ze wszech miar grzechu warta. Z początku przyświecała mi tylko użyteczność takiej koneksji. Szybko jednak zdałem sobie sprawę, że rozwija się między nami szczere uczucie. Czy w ogóle miłość? Bo ja wiem. Zbyt wielu miłośkom i związkom nadaje się godność tym słowem. Może słuszniej będzie uznać że Angela zobaczyła we mnie alternatywę pustogłowych młodych mężczyzn, których zwykle jej przedstawiano, a ja zobaczyłem w niej inteligentną i reprezentacyjną żonę, taką jakiej według mnie kariera moja wymagała. Jesienią 1912 roku zaręczyliśmy się ku nieukrywanemu zadowoleniu Thorntona. Wzięliśmy ślub w wiejskim kościele niedaleko jego rezydencji w Surrey 21 czerwca 1913 roku. Imry był moim drużbą, Thornton zaprosił mnóstwo osób, swoich przyjaciół, krewnych i kontrahentów.

Teraz wspominam tamten dzień jak wydarzenie, którego byłem świadkiem, a nie uczestnikiem. Słońce świeciło należycie. Angela

wyglądała bardziej delikatnie porywająco niż kiedykolwiek przedtem czy potem. Thornton zmienił nasze wesele w krzykliwe i przesadne oblewanie własnego sukcesu. A ja? Uśmiechałem się i mówiłem swoje kwestie, dostosowując się do wyobrażenia, jakie miała o mnie większość weselnych gości: zdolny architekt, którego artystyczne niedociągnięcia wkrótce znikną pod okiem żony i dobroczynnym wpływem teścia.

Miodowy miesiąc spędziliśmy nad włoskimi jeziorami i wróciliśmy do Londynu, żeby zamieszkać w domu nr 27 na Suffolk Terrace, kupionym dla nas przez Thorntona w prezencie ślubnym. Angela poświęciła się życiu kosztownie utrzymywanej salonowej żony: gromadziła znakomite meble i modne stroje; utrzymywała stosunki towarzyskie z przerażającym zastępem podobnie sytuowanych żon w Kensington, Knightsbridge i Bayswater; podejmowała je wraz z ich mężami kolacją co najmniej raz na tydzień, organizowała brydże równie często i co parę dni jeździła konno po Hyde Parku. Wkrótce pojąłem, że w tym nowym życiu, jakie sobie urządziła, ja jestem tylko składnikiem, ważnym, ale nie niezbędnym.

Nie powinienem był spodziewać się niczego innego, bo postawa Angeli ostatecznie była tylko odbiciem mojej postawy. Oboje mieliśmy to, czegośmy chcieli: związek chyba akurat dla nas odpowiedni w oczach świata, zapewniający pozycję, dobre towarzystwo na co dzień, szacowność i oszczędny przydział małżeńskiej namiętności. Jak gdyby zgodnie z rozkładem Angela w ciągu trzech miesięcy po ślubie zaszła w ciążę, i na kilka dni przed naszą pierwszą rocznicą ślubu dała swemu ojcu upragnionego wnuka.

Było to w czerwcu 1914 roku. Wtedy hotel Thornton już był ukończony. W bezbłędnym zgraniu z czasem mój teść mógł na wielkiej uroczystości otwarcia hotelu oznajmić o narodzinach spadkobiercy. Księżniczka krwi rozcięła wstęgę i wszyscy obecni toastem uczcili hotel i noworodka za jednym zamachem. Prasa architektoniczna skomentowała przychylnie moje dzieło, mogłem więc oczekiwać nowych prestiżowych zamówień. Miałem syna do trzymania na kolacjach i zawodową reputację prawie prowadzącą do sławy. Nie mając na co się uskarżać, miałem wszelkie powody, żeby ufnie patrzeć w przyszłość. Wszystko na świecie wydawało się w porządku.

Rzeczywiście jednak na świecie, jak wiemy teraz, nic nie było Porządku latem 1914 roku. Wojna, która wybuchła w sierpniu, nie okazała się taką krótką szampańską przygodą, jaką nam zapowiadano.

Życie wszystkich, nawet daleko od błot Flandrii, co najmniej się wypaczyło w miażdżących trybach maszyny wojennej.

Imry uparł się, że musi walczyć, i przy pierwszej sposobności zgłosił się do służby na froncie. Uparł się również, że ja będąc mężem i ojcem, powinienem zostać w Londynie i prowadzić naszą firmę. Więc zostałem z naiwną wiarą w mityczną zapowiedź końca wojny jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Boże Narodzenie minęło, a wojna oczywiście się nie skończyła. Z początkiem roku 1915 zaczęły się naloty zeppelinów na południowe wybrzeże. Nie bardzo się nimi przejmowałem. To były ukłucia pcheł w porównaniu z piekłem, które nasi żołnierze - wśród nich Imry - poznali we Francji. Gdy nadeszła Wielkanoc, nad Londyn już przylatywały zeppelin, a do mnie nadal jakoś nie docierało, co zwiastują.

W nocy 23 października 1915 roku niemiecka bomba trafiła prosto w hotel Thornton. Szkody prawdopodobnie byłyby do naprawienia, gdyby nie wybuchł pożar zaraz po eksplozji. Ogień wypalił cały gmach doszczętnie i tylko cudem jedynie siedemnaście osób nie uszło z tej pożogi z życiem. Nazajutrz na Russell Square ujrzałem kruszącą się, dymiącą skorupę tego, co tworzyłem przez trzy lata bez mała. Takiego ciosu nie życzę żadnemu architektowi. Miesiące mozołów, szkice i znowu szkice, pomiary i projekty, próby i przeglądy, spory i trudności, wizja i jej urzeczywistnienie, wszystko to zniweczone w ciągu jednej nocy ognia, dymu i wody. Z poczucia daremności, jakie wywołuje taka klęska, nie sposób kiedykolwiek się otrząsnąć. Obawa, że to może zdarzyć się znowu, zżera twórcze odruchy i podkopuje wolę osiągnięcia sukcesu. Po co dążyć do doskonałości, kiedy tak łatwo to dzieło może runąć w gruzy? Po co zakładać, że budowla, którą się wznosi, będzie trwała na swoim miejscu i w ludzkiej pamięci?

W moim przypadku do wstrząsu wskutek tej katastrofy dołączyło się coś jeszcze gorszego. Po śledztwie w sprawie śmierci tych siedemnastu osób koroner wygłosił pewne niefachowe uwagi o wadliwym zaprojektowaniu hotelu, tak że pożar mógł szybko się rozprzestrzenić, a prasa skwapliwie to podchwyciła. Nagle moje nazwisko zaczęło być kojarzone nie ze znakomitym hotelem, tylko ze skandaliczną zabójczą pułapką. I zważywszy nierzeczowy charakter oskarżeń, nawet nie mogłem ich rzeczowo odpiierać. Thornton zuchwale obiecywał, że odbuduje hotel po wojnie, przy czym znów ja będę jego architektem, ale wykryłem w tych obietnicach wykalkulowaną nieszczerość. Hotel nie zostanie odbudowany, a jeśli nawet, to nie według mojego projektu.

Thornton chwalebnie bierze stronę zięcia, wszyscy jednak wiedzą, co rzeczywiście myśli. Tak więc dobre imię hoteli Thorntona będzie nadal niepokalane, ale plam z imienia Geoffreya Staddona nic już nie zmyje.

Chyba bezsilna wściekłość wobec niesprawiedliwości prasy spowodowała, że się zaciągnąłem do wojska. Bo z pewnością nie jakiś późny rozkwit patriotyzmu - zbyt dużo Imry mi mówił o idiotycznym prowadzeniu tej wojny. On na początku roku 1916 był już wojennym inwalidą w wyniku zatrucia gazem musztardowym, mogłem więc mu przekazać sprawę naszej ledwie żyjącej firmy. W stopniu oficerskim przydzielono mnie do Saperów Królewskich i jesienią 1916 roku znalazłem się wbrew moim przewidywaniom nie we Francji, tylko w Egipcie, gdzie wykształcenie architektoniczne służyło mi przy budowie mostów i baraków. Tam będąc pomniejszym, nie narażonym na ryzyko pionkiem w strategii Allenby'ego, pokonującego Turków, przebywałem przez cały czas działań wojennych. Nigdy nie oddałem gniewnego strzału, nigdy nie uczestniczyłem w samobójczym marszu do ataku i nigdy nie widziałem żołnierzy nieprzyjaciela poza wziętymi do niewoli.

W końcu jednak - po zawieszeniu broni - dojechałem do Francji z wojskiem, które miało odbudowywać szosy i linie kolejowe oraz remontować budynki uszkodzone w ciągu długich lat bombardowań. To była praca bardzo ważna, oczywiście, ale nudna. Wojna się skończyła, chcieliśmy tylko wrócić już do kraju.

Możliwość powrotu nadarzyła się wcześniej niż się spodziewałem, niestety w okolicznościach straszniejszych niż mógłbym sobie wyobrazić. Z listów Angeli wiedziałem, że w Londynie panuje niesłychanie złośliwa influenza, ale niewiele mnie to obchodziło, nawet gdy Angela napisała o nagłej śmierci Nory, naszej pokojówki. Potem na początku marca dostałem list z wiadomością, że nasz synek się zaraził, i w kilka godzin potem depeszę wzywającą mnie natychmiast do domu. Wywiązało się zapalenie płuc, jego życie wisiało na włosku.

Edward Mathew Staddon

urodzony 18 czerwca 1914 roku, zmarły 10 czerwca 1919 roku

*„Pozwólcie dzieteczkom przychodzić do mnie,
a nie zabraniajcie im, albowiem ich jest Królestwo Boże.”*

Łuk. 18.16.

Po jego śmierci prawie nie było tygodnia, żebym w drodze powrotnej do domu nie zboczył na cmentarz Brompton do smutnego kamiennego cherubinka stojącego ponad tym żałobnym napisem. Natomiast Angela już po roku przestała chodzić na cmentarz i wspominać o dziecku w naszych rozmowach. Jego fotografię usunęła z salonu, ostatnie zabawki wyrzuciła i zdjęła ze ściany pokoju dziecinnego oprawione w ramki świadectwo jego chrztu. Nie potępiam jej. I czemuż by miała mi towarzyszyć przy jego maleńkim grobie w zimowe popołudnia, gdy wydaje się, że światło wszystkich dni, nie tylko tego jednego, dogasa.

Częściej rozmawiam z nim z nim teraz, gdy nie żyje, niż za jego życia. Lata płyną, więc ton głosu i sformułowania dostosowuję do wieku, w jakim on by już był. Powierzam mu sekrety, których nie mogę wyjawiać nikomu innemu. Szukam jego rady w kłopotach, o których nikt poza nim nie powinien wiedzieć. Mały Edwardzie, taki młody i bez skazy, patrzysz tymi dużymi niebieskimi oczami. Czy umarłeś za mnie? Czy cierpiełeś za moje winy? Jeśli chodzi o Angelę, coś z wyrazu jej twarzy, gdy przyjechałem wtedy na Suffolk Terrace, i z tonu, jakim mi powiedziała, że on nie żyje, pozostaje wciąż jeszcze. Tamtego dnia Angela zamknęła się w twardej skorupie ochronnej, której nie mam nadziei przeniknąć. Nigdy o nim nie mówimy. Nigdy nie poruszamy żadnego tematu, choćby najbardziej okრężnie prowadzącego do czegokolwiek, co mogłoby dotyczyć jego. Tak więc trwamy w żałobie nieukozonej, bo niewyrażanej, oboje bolejemy głęboko i nawzajem czujemy do siebie bezpodstawny żal.

Znów byłem starszym wspólnikiem w firmie Renshaw i Staddon. Schorowany Imry odpoczywał jak gdyby na emeryturze. Angela powiązała na nowo nitki swego życia przedwojennego. Pomysł odbudowy hotelu Thornton dyskretnie upadł. Pamięć o Edwardzie miała zwiędnąć. Żyliśmy znowu w kruchej otoczce normalności dającej pewność jutra, ale niewiele pociechy.

Aż po latach, we wrześniu bieżącego roku, Angela w zwykły powszedni poranek zobaczyła w gazecie imię i nazwisko Consueli i nawet nie wiedząc, co dla mnie znaczą, zechciała mnie zadrasnąć. Chyba właśnie wtedy ukazała się pierwsza cieniutka rysa, pęknięcie egzystencji, jakiej prowadzeniem się zadowalałem. Początkowo wydawało się, że łatwo to zignorować, zapomnieć o tym. Ale pęknięcie się wydłużyło, rozszerzyło, rozłupało sięgając do głębi mojej świadomości. Nadal usiłowałem je lekceważyć. Czytałem relacje z sądu. Badałem

swoje sumienie. Radziłem się Imry'ego. Po raz pierwszy powiedziałem Edwardowi całą prawdę, stojąc przy jego grobie usianym liśćmi w szare ponure popołudnie. Odpowiedź była zawsze ta sama. Nic nie możesz zrobić. Odpowiedź taka, jaką oczywiście chciałem usłyszeć, akurat taka, jakiej potrzebowałem. Ale się nie utrzymała. Teraz myślę, że i tak nie znalazłbym w niej oparcia wobec dalszego rozwoju wypadków. I że nawet gdybym nie został popchnięty do działania, coś innego w końcu kazałoby mi działać.

To stało się po południu w piątek 12 października, 1923 roku. Tydzień minął od postawienia Consueli w stan oskarżenia. Siedziałem w biurze, przeglądałem szkice i plany perspektywiczne Newsoma do projektu siedziby Klubu Whitstable stwierdzając, że młody człowiek zaczyna mieć dobrą rękę. Wbrew woli stwierdziłem to niechętnie, chociaż mogłem sobie przypisać zasługę wydobycia z niego takich uzdolnień. Firma Renshaw i Staddon zanadto już jak na mój spokój duchowy uzależniała się od talentu Newsoma i dokładności Vimpany'ego. Póki czas, myślałem, powinienem bardziej się do wszystkiego przyłożyć. Wkład Imry'ego, któremu sił ubywa, będzie coraz skromniejszy, a Newsom za parę lat przejdzie do szczytniejszych zadań. I kto wie czy pogrążenie się w pracy nie poprawi mi samopoczucia.

Właśnie ustanawiałem zmianę firmowego reżimu, gdy Reg Vimpany zapukał i uchylił drzwi.

- Jakaś panienka do pana.
- Panienka? Z nikim na dziś się nie umawiałem, Reg. Któż to taki?
- Panienczka. Powiedziała, że jest panną Caswell. - Nie mógł nie zauważyć przerażenia na mojej twarzy.
- Panna Caswell? - wyszeptalem.
- Tak. Dziwna rzecz, na pewno nie starsza od mojej Shirley, a jest tu sama w środku Londynu.

Shirley Vimpany miała dwanaście lat, więc kim jest mój gość, nie ulegało wątpliwości.

- I mówisz, że chce zobaczyć się ze mną?
- Upiera się, panie Staddon. Bardzo stanowczo.
- Wprowadź ją.

Była nawet mniejsza, niżby wynikało ze słów Rega. W szarym kapelusiku bez ronda, w granatowym płaszczyku, szarych pończochach i sznurowanych czarnych bucikach. Wpiła we mnie wzrok z wielką powagą. Twarzyczkę miała okrągłą, bladą, usta zaciśnięte, ale w

brązowych jak drzewo tekowe oczach zobaczyłem od razu błysk spoj-
rzenia jej matki.

Poczekala, aż Reg zamknie za nią drzwi.

- Pan Geoffrey Staddon to pan? - zapytała cicho bez zająknięcia
poprawnie wymawiając każdą sylabę. Gdybym jej nie widział przed
sobą, chyba bym nie wiedział, że to mówi dziecko.

- Tak, Geoffrey Staddon. - Wyszedłem z za biurka.

- Dzień dobry, panie Staddon. - Zdjęła rękawiczkę i podała mi rę-
kę. Lodowato zimną, małą, ginącą w mojej dłoni. Teraz sobie
przypomniałem, ile ma lat.

- Czy twój... twój ojciec wie, że tu jesteś?

- Nie wie.

- No, ja...

- Ale moja mama wie.

- Twoja mama?

- Tak. Mama mnie do pana przysłała, panie Staddon.

Oparłem się tyłem o biurko i odetchnąłem powoli. Wyraz twarzy
Jacinty się nie zmienił. Nie spuszczała ze mnie surowego wzroku.

- Chyba należy mi to wytłumaczyć, panno Caswell.

- Czy mogę usiąść?

- Tak, oczywiście. - Podsunąłem jej krzesło.

- Czy mogę także prosić o szklankę mleka i herbatnik? Przyjecha-
łam z daleka.

- Mleko... i herbatnik?

- Tak, proszę. Jeżeli... jeżeli mogę.

Oszołomiony, kiwając głową przeszedłem obok niej i otworzyłem
drzwi. W biurze tylko Reg podtrzymywał pozory pracy. Doris, wychy-
lona nad maszyny do pisania, szeptała coś z ożywieniem Kevinowi,
który wykręcał szyję, żeby słuchać. Spojrzała na mnie i zarumieniła
się.

- Szklanka mleka, Doris, bądź tak dobra - warknąłem. - I jakieś
herbatniki.

- Mleka, panie Staddon?

- Dla mojego gościa.

- Och... rozumiem. Już. Natychmiast, panie Staddon.

- Dziękuję.

Zamknąłem drzwi gabinetu i odwróciłem się do Jacinty. Tylko jej
oczy się poruszały sunąc za mną. Uczucie, że ona wciąż mnie obser-
wuje, stawało się denerwujące.

- Jak się znalazłaś w Londynie? - spróbowałem zapytać rzeczowo.

- Jadę z ojcem do Francji do jego przyjaciela, majora Turnbulla. Przyjechalśmy do Londynu wczoraj i pojedziemy promem jutro rano. Panna Roebuck, moja guwernantka, jedzie z nami. Wzięła mnie na spacer do Parku St. James i uciekłam, kiedy nie patrzyła.

- Uciekłaś?

- Nie ma obawy, panie Staddon. Nie widziała. Powiem, że się zgubiłam i błędziłam, i w końcu ktoś mi wskazał drogę z powrotem do hotelu. Nikt nie będzie wiedział, że przyszłam tutaj. To będzie nasz sekret.

Wymknęła się guwernantce i jakoś trafiła do mojego biura poprzez labirynt śródmieścia Londynu. Samo to było wyczynem jak na dziecko, a ona ponadto wykombinowała, jak zatrzeć ślady: chytra i pomysłowa.

- Matka podała ci ten adres?

- Nie. Znalazłam w książce telefonicznej w hotelu wczoraj wieczorem.

- Ale mówiłaś, że matka przysłała cię tutaj.

- Nie tutaj, tylko do pana, panie Staddon, nie powiedziała, gdzie. Nie zdążyła.

- Dlaczego?

- Bo ją... ją zabrali. Już nic więcej mi nie powiedziała. I od tamtego czasu jej nie widziałam, nie pozwalają mi.

- Kto nie pozwala?

- Ojciec. I panna Roebuck. - Coś w jej tonie świadczyło, że to była tak samo decyzja panny Roebuck, jak Victora. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby Victor w takiej sprawie radził się guwernantki, a przecież precyzja starannych sformułowań Jacinty była przekonująca.

- Kiedy ostatni raz widziałaś się z matką?

- Trzy tygodnie temu. Tamtego dnia, kiedy policja przeszukała Spod Obłoków i... zabrała ją. Czy to prawda, panie Staddon, że pan zbudował Spod Obłoków dla mojej mamy?

- Zbudowałem, owszem, ale nie... - Urwałem. Drzwi się otworzyły, Doris przyniosła mleko i herbatniki.

Jacinta przyjęła ten poczęstunek z powagą, zaczekała, aż Doris wyjdzie, po czym wypila trochę mleka i zaczęła jeść herbatnik. Patrzyłem na nią milcząc. Musiała być bardzo udęczona i niepewna w ciągu

tych trzech tygodni nieobecności Consueli. Chociaż nie widziałem w niej dziecięcego skołatania, niczego co by wzbudzało litość, ogarnęła mnie fala współczucia, gdy patrzyłem, jak uważnie stawia szklanke na biurku i ociera okrychy z ust chusteczką do nosa. Potem skłoniła głowę ku mnie, jak gdyby pozwalając mi na dalsze pytania.

- Co matka powiedziała o mnie, panno Caswell?

- Może mi pan mówić Jacinta.

- Dobrze, Jacinto. To piękne imię.

- Po portugalsku znaczy hiacynt. Mama mówi po portugalsku.

Urodziła się w Brazylii.

- Wiem. No, więc co powiedziała?

- Dali jej tylko parę minut na pożegnanie się ze mną. Pocałowała mnie i powiedziała, że bym była dzielna. Powiedziała, że jeżeli nie wróci, mam uciec Spod Obłoków. Powiedziała, że mam pana znaleźć i prosić, żeby mi pan pomógł. I musiałyśmy się pożegnać. Policja ją zabrała autem. I już jej nie widziałam. Ale dotrzymuję słowa.

- Jakiego słowa?

- Jestem dzielna. I znalazłam pana. Więc teraz może mi pan pomóc, prawda?

Odwrociłem wzrok. Biedna Jacinta, taka młodziutka i ufna. Jest dzielna rzeczywiście, ale jakiej pomocy mogę jej udzielić? Czego Consuela spodziewa się ode mnie? Wyobraża sobie, że co ja zrobię? Z trudem przełknąłem ślinę.

- Mówią, że mama zamordowała Rosemary, moją kuzynkę, panie Staddon. Że wyspała jej truciznę do herbaty. Ale to nieprawda.

- Z pewnością nieprawda.

- Z pewnością. Tak mi powiedziała. A nigdy nie kłamie, nigdy.

Znow spojrziałem na nią i postarałem się uśmiechnąć uspokajająco.

- Sądzę to stwierdzi, Jacinto. Wkrótce twoja mama będzie wolna. Może powinnaś tylko czekać na jej uwolnienie.

- Och nie, panie Staddon, nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo jej nie uwolnią, dopóki się nie wyda, kto dosypał trucizny do herbaty Rosemary.

A więc taka to historia. Ta mała dziewczynka postanowiła udowodnić, że jej matka jest niewinna. Czekwała na odpowiedni moment i trzymała język za zębami. Doszła do wniosku, że nie obejdzie się bez pomocy kogoś dorosłego i wypatrywała sposobności, żeby się

skontaktować z tym jedynym dorosłym, któremu, skoro go jej wskazała matka, może zaufać. Teraz siedziała przede mną poważna i wyczekująca, a ja nie chciałem jej rozczarować tym, że uważam jej pomysły za absurdalne.

- Już mam plan, panie Staddon. Myślę, że dosyć dobry. Powiedzieć panu, jaki?

- Ja nie... Dobrze. Słucham.

- Będziemy we Francji kilka tygodni. Więc kiedy my tam będziemy, pan może by pojechał do Hereford i postarał się dowiedzieć, jak naprawdę to się stało. Ojciec by nie chciał, żeby pan się dowiedział. Powstrzymałby pana. Ale jeżeli go nie będzie, to przecież pana nie powstrzyma.

- Logiczne. Tylko dlaczego myślisz, że ojciec by nie chciał?

- Bo pana nie lubi, panie Staddon. Pytałam go o pana i tak odpowiedział, jakby się pana bał.

Nie odrywała ode mnie oczu. Mówiła z prostotą, z przekonaniem. Nie było podstaw do przypuszczenia, że jest zdezorientowana czy że coś jej się uroiło. Naturalnie taka dziewczynka wierzyłaby w niewinność matki bez względu na dowody winy. Ale może jej determinacja oznacza coś więcej? I czemuż by, jeśli ona się nie myli, Victor miał się mnie bać?

- Od razu wiedziałam, że pan się zgodzi. Inaczej mama by mnie do pana nie przysłała.

- Jeszcze się nie zgodziłem.

- Ale pan się zgodzi, prawda? - Po raz pierwszy cień niepewności przemknął po jej twarzy. - Ja dużo nie mogę zrobić.

- Ja także.

- Och, pan może. Pan może zapytać Banyarda o ten środek na chwasty i Cathel o te listy i Noyce'a o podanie herbaty. Mnie oni nic nie powiedzą. Traktują mnie jak dziecko. Kiedy próbuję ich pytać, głaszczą mnie po głowie i mówią, żebym poszła się bawić. Z panem tak by nie mogli.

Uśmiechnąłem się.

- Raczej nie.

- Mama wcale nie dostała tych listów, panie Staddon, a mówią, że te listy są dowodem, że chciała zamordować ojca. Gdyby chciała, przecież by te listy zniszczyła, prawda? Tylko to byłoby rozsądne.

- No tak, chyba...

- To znaczy, że ktoś je tam podrzucił, żeby policja je znalazła.

- Możliwe, ale...
- To znaczy, że ten ktoś kto je podrzucił, jest tym mordercą.
- Nie jestem pewny.
- Ja się nad tym głowiłam, panie Staddon. Musi być rozwiązanie.

Potrzebny jest tylko dowód. I właśnie tego chcę od pana. Pan postara się znaleźć dowód, dobrze?

Spojrzałem w okno na chmury prędko sunące za szybą. Pomysł do niczego, po prostu nedorzeczny, pomyślałem. Jeżeli istnieje taki dowód, jaki ona sobie wyobraża, policja i obrońcy Consueli mają większe kompetencje niż ja, żeby go znaleźć. Poza tym jak bym wytłumaczył Angeli mój nagły wyjazd do Hereford? I co bym miał mówić tym, którzy mnie tam znają?

- Pan powinien porozmawiać z ciocią Hermione, panie Staddon. Ona panu powie wszystko, co trzeba o mojej rodzinie. Prawie codziennie pije herbatę Pod Miedzianym Czajnikiem na Królewskiej. Lepiej, żeby pan jej poszukał pod Czajnikiem niż żeby pan poszedł z wizytą do Paprociarni, bo ciocia Marjorie...

- Nie powiedziałem, Jacinto, że tam pojedę. - Zebrałem w sobie siły do odparcia prośby tych smutnych dużych oczu. - Właściwie... - urwałem. W co oprawić moją odmowę, jaki podać pretekst? Ona wszystkie swoje nadzieje pokłada we mnie. Akurat tak, jak kiedyś jej matka, jej matka, która teraz po dwunastu latach milczenia przysłała ją z prośbą o pomoc. Dlaczego do mnie, a nie do kogoś innego? I nagle, później niż powinna, objawiła mi się odpowiedź. - Jacinto, ile masz lat?

- Jedenaście i pół.
- Więc urodziłaś się... kiedy dokładnie?
- Dwudziestego pierwszego kwietnia w tysiąc dziewięćset dwunastym roku.

Czyli tak, oczywiście. Zdałem sobie sprawę, że wiedziałem o tym od chwili, gdy weszła do mojego gabinetu. To był jedyny możliwy powód, dla którego Consuela skierowała ją do mnie. Następstwa tego, co uczyniłem w domu Spod Obłoków w lipcu 1911 roku, dosięgły mnie po latach. Przypomniało mi się, jak Consuela tamtego właśnie dnia powiedziała: „Ironia. Nigdy tego słowa nie rozumiałam aż do teraz”.

- Dlaczego pan zapytał, kiedy się urodziłam, panie Staddon?
- Tak sobie - mruknąłem.
- Pan myśli, że jestem za młoda, żeby wiedzieć, o czym mówię,

prawda? - Z zaciśniętymi ustami, rozgniewana, zerwała się z krzesła. Wszyscy mnie traktują jak głupią smarkulę. Nie myślałam, że pan będzie taki sam. Myślałam że pan jest inny. Myślałam, że dlatego mama kazała mi pana prosić o pomoc. No, byłoby mi łatwiej, gdyby pan pomógł, ale nie to nie, sama sobie poradzę bez pana!

- Usiądź, Jacinto!

- Wolę wyjść. Jeżeli pan mi nie pomoże, ja...

- Ależ pomogę.

- Co?

- Pomogę. Tobie i twojej mamie. Jak tylko zdołam. W każdy możliwy sposób. - Poczulem niewiarygodną ulgę, słysząc tę swoją deklarację. Zrobiło mi się lekko, prawie jak po szampanie.

- Pan mówi serio?

Wtedy wreszcie Jacinta się uśmiechnęła. To był uśmiech jej matki - ciepły, odruchowy, dręcząco dobrze mi znany. Kłębek zwiniętego czasu - ze wszystkim, czego w moim mniemaniu nauczyłem się od życia - odwijał się przede mną. Równie dobrze moglibyśmy być w salonie Paprociarni piętnaście lat temu i wszystko, co się potem stało, mogłoby jeszcze być w niesamowitym zawieszeniu. Reagowałem tak jak wtedy, pełen wiary w siebie, jeszcze nienaruszonej. Tym razem nie opuszczę Consueli.

- Usiądź, Jacinto. Mamy sporo do obmyślenia. Ty i ja.

VI

Wyruszyłem do Hereford bez wyrzutów sumienia z powodu kłamstw i pretekstów, które za sobą wlokłem. Angeli i personelowi w biurze powiedziałem, że pewien przemysłowiec z Midlands prosił, żebym obejrzał z nim ewentualne tereny budowy rezydencji wiejskiej w okręgu Malvern i że to może mi zająć kilka dni. Nie wiem, czy mi uwierzyli. Przynajmniej Angela słuchała kręctw o celu mojej podróży dosyć sceptycznie. Ale to mnie nie trapiło. Cokolwiek sobie wyobrażała, jej podejrzenia bardzo daleko odbiegały od prawdy.

A co było prawdą? Wydaje mi się teraz, że w głębi duszy czułem radość, która wykwitła z tamtej godziny spędzonej z Jacintą. Przecież nic nie mogłoby sprawić, żeby Consuela poleciła jej skontaktować się ze mną, poza tym, czego odkrycie kiedyś przejęłoby mnie zgrozą, a w co teraz pragnąłem uwierzyć. Jacinta jest naszą córką. Nie wątpiłem, że Consuela to potwierdzi, kiedy będę z nią rozmawiał, a porozmawiać z nią zamierzałem możliwie jak najprędzej. Zataiła istnienie Jacinty przede mną, ale nie czułem do niej żalu. Przecież nie mogła mieć nadziei, że zechcę to dziecko uznać. Z konieczności rozsądnie milczała, gdy Victor wierzył, że je spłodził. I gdyby nie fatalna sytuacja, w jakiej się znalazła, nadal bym o Jacincie nie wiedział. Tylko lęk zmusił Consuelę teraz do takiego posunięcia. Jeżeli tej dziewczynce grozi utrata matki, nie wolno jej odmawiać prawdziwego ojca.

Od czterech lat opłakiwałem Edwarda. Angela jasno stawiała sprawę: żadnych więcej dzieci, wystarczy jedna tragedia. I nagle w majaczącej przede mną głuszy bezdzietności na starość, zjawiała się Jacinta, mała dzielna, uczciwa, żeby zabiegać o moją pomoc, rozgrzać mnie swoim zaufaniem. Mógłbym się zastanawiać i zwlekać do sądowego dnia, ale prośba Jacinty przedarła się przez moje starannie wzniesione fortyfikacje.

Chyba najcudowniejszym aspektem tej wyprawy do Hereford był fakt, że postępowaniem w myśl wskazówek jedenastoletniej dziewczynki. Ona będzie obserwowała swojego ojca we Francji, a ja przez ten czas, ponieważ jestem dorosły, mam zebrać w Hereford informacje, których jej, niedorosłej, by nie udzielono. I mamy do siebie pisać - ona do mnie na adres Renshaw i Staddon, ja do niej na poste restante w St Jean-Cap-Ferrat. I nie wolno nam się zwierzać z tego nikomu. O swojej rodzinie, a zwłaszcza o Victorze, Jacinta mówiła z dystansem i powątpiewaniem. Kochała tylko matkę, zaufała teraz tylko mnie, ponieważ matka skierowała ją do mnie. Nie mogłem dociec, co ją ukształtowało, taką poważną i skrytą. Może bardziej czuje się panną Caswell niż Consuela panią Caswell? Czy może w niej wykiełkować jakiś instynkt wiodący do prawdy o jej pochodzeniu? Jedyne pewnik to jej miłość do matki i niezłomność, z jaką postanowiła pomóc matce w każdy możliwy dla niej sposób.

Ani słowem nie napomknąłem Jacincie o niepewności losu Consueli. Nie dałem do zrozumienia, co ostatecznie waży się na szali. Ale ona wiedziała. O tym, czego nie mogła zmienić, nie mówiła. Temu, co ewentualnie zmienić by mogła, poświęcała całą swoją uwagę. Trzy tygodnie wcześniej może bym w niej zobaczył dziewczynkę wesolą i beztroską. Chociaż nie sądzę, żeby kiedykolwiek była taka jak inne dzieci. I jeżeli mam rację, spada na mnie dodatkowe brzemię winy.

Jednotorowość Jacinty okazała się zaraźliwa. Teraz, z jedynym celem na uwadze wzbudziłem w sobie powierzchowny optymizm: wszystko będzie dobrze. To złudzenie jednak nie trwało długo. Gdy wieczorem we wtorek po naszej rozmowie przyjechałem do Hereford, już zanikało. Zatrzymałem się jak nieraz dawniej pod Zielonym Smokiem i przy samotnej kolacji zacząłem rozważać czekające mnie zadanie. Wypytywanie świadków, którzy mają wszelkie powody, żeby mi nie ufać, śledztwo na pewno zgoła nie w smak rodzinie Caswellów, wtrącanie się w nie swoje sprawy. Nie mogłem się spodziewać miłego przyjęcia ani współpracy. Gdyby nie obietnica dana Jacincie, może bym zaniechał tych wysiłków.

Nazajutrz rano słoneczna pogoda i po śniadaniu spacer wokół katedry wśród rozbrykanych dzieci w schludnych szkolnych mundurkach przywróciły mi pewność siebie. Normalnie, na widok tyłu uśmiechniętych buziaków serce by mi się krajało. Ale nie teraz, gdy Jacinta, wkraczając w moje życie, wskrzesiła marzenie o ojcostwie.

Ledwie wybiła godzina dziewiąta, udałem się do kancelarii Jamesa Windrusha, adwokata Consueli, jak wiedziałem z gazet. Kancelaria mieściła się w dwóch pokojach nad sklepem wyrobów żelaznych na ulicy Mostowej. W drugim pokoju zastałem młodego człowieka, który siedząc przy zarzuconym papierami biurku pisał zapamiętane, najwidoczniej już od pewnego czasu.

- Pan Windrush? - zapytałem.

Drgnął gwałtownie i podniósł wzrok.

- Tak. Czym mogę panu służyć? - Miał twarz wychudzoną, niezdrowo ziemistą, warkliwym tonem głosu potwierdził moje wrażenie, że z wolna przestaje panować nad nerwami.

- Pan się zajmuje obroną pani Caswell, o ile mi wiadomo.

- Hm... tak. - Uniósł się z krzesła i wyciągnął rękę na powitanie, ale zaraz ją cofnął. - Czego pan sobie życzy, panie...

- Staddon. Geoffrey Staddon. - Zmarszczył brwi, dając do zrozumienia, że to nazwisko nic mu nie mówi. Był bardzo wysoki, teraz to zobaczyłem, i bardzo chudy w czarnym, dosyć wyświechtanym garniturze. Nie napawał ufnością. - Jestem starym znajomym pani Caswell. Chciałbym pomóc, jeżeli będę mógł.

- Naprawdę? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak. Czy to takie dziwne?

- Nie. To nadzwyczajne. Mieszka pan w Hereford, panie Staddon?

- W Londynie.

- Hm. Tutaj wszędzie uważa się moją klientkę za skrzyżowanie Lukrecji Borgii i Morgana le Fay. Na próżno by przeczesywać Hereford w poszukiwaniu kogoś oprócz mnie, kto by jej dobrze życzył. Niech pan otworzy okno i zapyta pierwszego lepszego przechodnia, co o niej myśli, od razu panu powie, że stryczek dla niej to za mało.

- Chyba nie może być aż tak źle.

- Tak jest. Niech mi pan wierzy.

- Nie wydaje się pan optymistą.

- Bo nie jestem.

- Więc dlaczego wziął pan tę sprawę?

Usiadł z powrotem i machnął ręką w stronę jedyne drugiego krzesła w tym pokoju. Zdjąłem z krzesła stertę papierów i ostrożnie usiadłem. Mocno potarł sobie czoło, po czym niespodziewanie się uśmiechnął.

- Szczerze mówiąc, panie Staddon, nie dostaję tylu spraw, żebym mógł w nich przebierać, a już to, że przyjąłem sprawę pani Caswell,

prawdopodobnie raz na zawsze pozbawi mnie tu klientów. Moja żona mówi, że zwariowałem. Ktoś jednak musiał przyjąć, chociaż Bóg jeden wie, kto by to był, gdybym ja odmówił. Zaryzykowałbym twierdzenie, że żaden prawnik z Hereford. I nawet nie sama pani Caswell mnie wybrała. Policja jej podała moje nazwisko z komentarzem, że ja nie odrzucam pracy. Nie najlepsza rekomendacja, prawda?

- Czy pan wierzy, że ona jest niewinna, panie Windrush? - Już mnie zniecierpliwiło jego litowanie się nad sobą.

- Wierzę, tylko że niewiele to warte.

- Ja bym myślał, że to ma wartość zasadniczą.

- Raczej nie. Prokuratura może przedstawić spory materiał dowodowy, pan rozumie. Anonimy, chociaż moja klientka twierdzi, że ich nie otrzymała. Arsenik, chociaż moja klientka twierdzi, że go nie posiadała. Zeznania służby, które zbijają przypuszczenie, że ktoś inny, nie moja klientka, zatrzał cukier. Żeby to wszystko przeważyć, muszę zrobić coś więcej niż zapewnić o jej niewinności. Muszę udowodnić, że ktoś inny mógł popełnić to morderstwo.... i sfalszować dowody przeciwko niej. Ma pan jakąś koncepcję?

- No nie, ale...

- Pani Caswell też nie ma. Więc rozumie pan, jak mi trudno. Zaprzeczanie nie wystarczy. Jeżeli jest niewinna, musiał być jakiś spisek, żeby ją tak wpakować. Ale gdzie szukać owych spiskowców? Wśród służby? To ludzie oczywiście uczciwi i prości, bez takiej odwagi i inteligencji, jakiej wymaga tego rodzaju intryga. Zresztą, o ile się orientuję, nic by na tym nie zyskali. Pozostaje więc rodzina Caswellów. Dobry, solidny miejscowy ród, dają zatrudnienie wielu mężczyznom w Hereford. I przecież troje Caswellów łącznie z nieboszczką padło ofiarą tej trucizny. Niewiarygodne, żeby ta rodzina chciała się wytruć nawzajem. Więc kogo tu oskarżyć?

- Nie wiem. Ale jeżeli mogę pomóc w jakiś sposób...

Windrush podniósł uciszająco rękę.

- Niestety, panie Staddon. Nie chcę być niegrzeczny. Ta sprawa jest cholerna, ale to nie pana wina. Papierosa? - Podał mi ogień, sam zapalił i podjął rozmowę spokojniejszym tonem. - Mówi pan, że jest pan starym znajomym pani Caswell?

- Tak.

- Więc może byłby sposób, w jaki mógłby pan pomóc. Usiłowałam ją nakłonić, żeby mi powiedziała wszystko, co ewentualnie miałyby znaczenie dla sprawy. Kto i o co mógłby do niej żywić urazę. Co się

działo w dniach i tygodniach przed niedzielą dziewiątego września. Co każdy z nich robił w tamto popołudnie. Kto wchodził, kto wychodził choćby na chwilę. Krótko mówiąc, kto mógłby mieć możliwość, już mniejsza o motyw, popełnienia tej zbrodni i zrzucenia winy na nią.

- I powiedziała?

- Bardzo mało. Chyba nie pojmuje powagi swojej sytuacji. Zaprzecza wszystkiemu, nie oskarża nikogo. Wyszła z salonu w czasie pomiędzy podaniem podwieczorku, a przyjściem męża i córki, więc przypuszcza, że wtedy ktoś się tam zakradł i zatrul cukier. Ów ktoś przypuszczalnie podrzucił arsenik i anonimy do jej pokoju. Ale ona nie ma żadnego dowodu swojej nieobecności w salonie, ani też nie ma pojęcia, kto by to mógł być. Potrzebujemy czegoś więcej, panie Staddon, o wiele więcej.

Uznałem, że teraz mogę trochę odsłonić moją strategię.

- Myślałbym o przepytaniu niektórych świadków.

- Policja niechętnie patrzy na takie rzeczy. Jeszcze by to uznali za ingerowanie w śledztwo. Musiałby pan zachować wielką ostrożność. I jest jeszcze inna komplikacja.

- Jaka?

- Pan Caswell pojechał do Francji, wróci dopiero na proces. Zabrał ze sobą córkę, jej guwernantkę i Gleasure'a, swojego lokaja, który zeznawał przed koronerem. Poza tym pan Caswell odprawił pannę służącą. Ta Cathel Simpson teraz pracuje w Birmingham. Policja zna adres Cathel, ale jak dotąd mnie nie poinformowała. Więc ja, jeśli chodzi o uzyskanie ich zeznań dla obrony, jestem zastopowany.

- Ale pan powiedział, że ja mogę pomóc.

- Skoro jest pan starym znajomym pani Caswell, niech pan spróbuje ją przekonać, żeby była bardziej... otwarta. To nie czas na małomówność. Powinna mi powiedzieć wszystko, każdy sekret swojego małżeństwa, każdy znaczący szczegół swojego życia. Jeżeli pan zdoła ją pociągnąć za język, może jeszcze doszukamy się dowodu, jakiego potrzebujemy.

- Oczywiście, spróbuję. Kiedy będę mógł się z nią zobaczyć?

- Ponieważ jeszcze nie jest skazana, wolno jej co dzień mieć jedną wizytę. Ja będę u niej dziś po południu.

- Więc... jutro?

- Bardzo dobrze. Upprzedzę ją, panie Staddon. I oby się panu powiodło lepiej niż mnie.

Zanim wyszedłem, przypomniałem sobie, że chciałem zapytać Windrusha, co mu wiadomo o poprzedniczce Cathel Simpson. Jacinta nigdy nie słyszała o Lizzie Thaxter i zaczynałem się zastanawiać, co się z tą dziewczyną stało. Ale Windrushowi też nic nie mówiło jej nazwisko. Moja dawna *postillone d'amour* po prostu zniknęła.

- Nie widział się pan z panią Caswell od czasów przedwojennych?
- zapytał Windrush odprowadzając mnie do drzwi.

- Tak. Raczej straciliśmy kontakt.

- To piękna kobieta i podobno za młodu była prześliczna. Przypuszczam, że to jest wytłumaczenie.

- Czego?

- Tak wielkiej pana życzliwości. Taki kawał drogi po tylu latach, żeby podać pomocną dłoń. Chwalebne, panie Staddon, rzeczywiście chwalebne.

Usłyszałem w tym jakąś przymówkę, ale się nie przejąłem. Tylko powiedziałem chłodno do widzenia.

Niewątpliwie szybciej dojechałbym do posiadłości Spod Obłoków dorożką, wołałem jednak pociąg o 10.00 do Stoke Edith. Z tej stacyjki wśród krajobrazu, który zmieniała tylko pora roku, wędrowałem krętymi wiejskimi drogami z powrotem tam, skąd przed dwunastu laty odszedłem, jak do niedawna myślałem, bezpowrotnie. Przy polnych wrotach za wzgórzem Backbury, gdzie wówczas pałac papierosa napawałem się widokiem swego świeżo ukończonego dzieła, teraz też się zatrzymałem i odwróciłem, żeby je zobaczyć. Jeszcze godniej niż mi to przepowiedziała serdeczna pamięć, dom Spod Obłoków napotkał mój wzrok ze spokojną, dojrzałą pewnością siebie. To właśnie chciałem osiągnąć - taki efekt, mocno zakorzenioną wielkopańską i celowość - gdy ten dom projektowałem, gdy ciężką pracę wkładałem w jego budowę. I oto nagroda stała przede mną: Spod Obłoków, świetniejsze moje osiągnięcie niż wszystko, co zdołałem zrobić potem. Stała na wzgórzu, z którego dwanaście lat temu schodziłem, i szydziła ze mnie swoją doskonałością.

Nie zwlekałem. Nie mógłbym długo znosić tego widoku. Pośpieszyłem do bramy, wszedłem w aleję wjazdową. Zanim zdecydowałem, jak mam się zaanonsować, zobaczyłem w sadzie gromadkę pracujących mężczyzn. Wkładali do worków świeżo zerwane jabłka i ładowali worki na wóz. Pewny, że mnie nie rozpoznają, zawołałem do najbliższego:

- Przepraszam. Szukam Alberta Banyarda, głównego ogrodnika. Gdzie mógłbym go znaleźć?

- Pewnikiem jest w warzywniku, proszę pana - odpowiedział mi i wskazał. - Tam go widziałem.

Pomaszerowałem dalej aleją, starając się nie patrzeć na dom. Warzywnik był w płytkiej kotlinie za domem, otoczony z trzech stron wysokim na dziesięć stóp murem i od strony domu cisowym żywopłotem. Wzdłuż północnego muru stały budynki z cegieł, niskie, o płaskich dachach. W jednym z nich, gdy zajrzałem, krzątał się cherlawy chłopak; zapytałem o Banyarda i skierował mnie do owocarni, niedużej, krytej strzechą, stojącej w cieniu żywopłotu. Podchodząc zobaczyłem tam ogrodnika, którego pamiętałem, krępego barczystego i zawsze w czapce. Wszedłem. Nie podniósł wzroku, tylko dalej oglądał wyłożone na półkach jabłka i gruszki i badał, czy twarde. Nie zmienił się przez te lata, tyle, że włosy dawniej szpakowate miał teraz białe. Niewiele miałem z nim do czynienia, ale pozostał mi w pamięci jako smętny samotnik. Na pewno nie lubił, żeby mu przeszkadzano, a cóż dopiero mówić o wypytywaniu.

- Pan Banyard?

Spojrzał na mnie i przytaknął.

- A jakże. Bo co, proszę pana?

- Może pan mnie nie poznaje. Jestem Geoffrey...

- Staddon. Łarchitekt. Pewnie, że pana poznaje.

- Ach, wspaniale. No...

- Co pana do mnie sprowadza? Bo nie wiem.

- Trochę trudno to wytłumaczyć. Czy moglibyśmy... gdzieś porozmawiać?

- O czym?

- Hm... - Wydawało się, że nie ma sensu kręcić. - O procesie pani Caswell.

- Aa... Tak sobie pomyślałem, że może o tym. - Podrapał się po szczeniastym podbródku. - W tych dniach o niczym innym ze mną nie rozmawiają. - Rozmyślał przez chwilę, a potem powiedział: - Dobrze, panie Staddon. Chodźmy do mojego kantorka.

Kantor Banyarda mieścił się w jednym z budynków pod murem warzywnika. Niewiele w nim było poza ladą, zarzuconą nabazgranymi notatkami, doniczkami i grudkami ziemi. Spod lady Banyard wyciągnął stołek i usiadł. Zapalił fajkę, odwrócił się do mnie. Z jego twarzy nic nie mogłem odczytać, gdy jękając się wyjaśniałem:

- Te opisy w gazetach wydają się tak niesłychane, że po prostu muszę je sprawdzić. Czy pani Caswell mogłaby być trucicielką? Trudno mi w to uwierzyć. Chyba i panu trudno...

- Nie powiem, żebym nad tym myślał.

- Nie myśli pan nad tym?

- Gdzie tam mnie do tego!

- Ale chyba... Nie czuje się pan poniekąd odpowiedzialny za to, co się stało?

- A niby czemu?

- Z pana proszku na odchwaszczanie pochodziła ta trucizna.

- Tak mi mówią.

- Nie wierzy pan im?

- Nie powiem, żebym wierzył. I nie powiem, żebym nie uwierzył.

Wciągnąłem oddech. Byle tylko się nie zirytować.

- Gdzie pan trzymał ten środek chwastobójczy, panie Banyard?

- W tym samym miejscu, co teraz.

- Czyli gdzie?

- Sam pan może zobaczyć. - Poprowadził mnie do sąsiedniej szopy. Ta była bardziej zatłoczoną repliką jego kantoru. Na ladzie i pod ladą piętrzyły się stare puste worki i potłuczone doniczki. Motyki, grabie, łopaty, miotły stały oparte o ściany. Przejście zastawiały taczki, a w taczkach rzuciły mi się w oczy cztery duże puszkki, zwłaszcza jedna z nich z etykietką „Chwasty precz!”.

- Ta jest nowa - powiedział Banyard - tamtą zabrali policjanci.

- Do czego panu to?

- No, do zielska, proszę pana. A pan myśli, że do czego? Pan Caswell jest bardzo wymagalny w tym względzie. Nie lubi, jak zielsko wyrasta. Ja też nie lubię. Niech pan weźmie płyty pod pergolią, na ten przykład. Pod pana pergolią na ten przykład. No. Zielsko się między płytami puści, a to - dotknął puszkki czubkiem buta - wyniszcza je, że aż miło.

- Rozumiem. Na przesłuchaniu pan powiedział, że pani Caswell bardzo interesuje się ogrodem, bardziej niż pan Caswell.

- Bo tak jest.

- Ale ten środek chwastobójczy to była propozycja pana Caswella?

- To nie była nikogo propozycja. To było moje zarządzenie na kłopot.

- Kłopot, na który zwrócił pana uwagę pan Caswell.

- A owszem, pan Caswell mi nadmienił.
- Kiedy po raz pierwszy... nadmienił?
- Tak dokładnie to nie pamiętam. Może zeszłej wiosny. Czy zeszłej zimy, chyba.
- W każdym razie, stosunkowo niedawno.
- No, ja nie...
- Przepraszam! - powiedział ktoś tuż za moimi plecami. Odwróciliśmy się. Był to Danby, kamerdyner. Rozpoznał mnie i uśmiechnął się.
- Pan Staddon. To pan, proszę pana? Coś takiego.
- A pana Danby'ego co sprowadza do mnie? - zapytał Banyard podejrzliwie. - Droga tu daleka z pana spiżarni. I jeszcze w jakieś paskudztwo pan tu wdepnie w tym swoim porządnym obuwiu.
- Danby go zignorował.
- Widzieliśmy, jak pan przyszedł, proszę pana, ale nie wiedziałem, że to pan. Może pójdzie pan ze mną. Pan Banyard daruje.
- Czy Banyard darował, nie miałem się dowiedzieć. Danby zdecydowanie obrócił się na pięcie i uznałem, że muszę pójść z nim. Byłem w niezręcznej sytuacji: jak wytłumaczyć Danby'emu moją obecność na terenie Spod Obłoków, nie wyjaśniając zamiarów, których jego pan z całą pewnością by nie aprobował? Gdy przez furtkę w cisowym żywopłocie weszliśmy na alejkę, prowadzącą do domu, zacząłem:
- Chyba powinienem był Danby'emu powiedzieć, że jestem tutaj. - I natychmiast pożałowałem tych słów.
- Chyba pan powinien, proszę pana. Pan Caswell chwilowo wyjechał, a co do pani Caswell, to przyjmuję, że pan wie o niedawnym smutnym wydarzeniu w tym domostwie.
- Tak. Rzeczywiście.
- Pan Caswell surowo mi polecił zniechęcać gości. Spokoju nam nie daje prasa brukowa, jak może pan sobie wyobrazić, i wielu innych chorobliwie ciekawych.
- Danby myślał, że jestem jednym z nich.
- A co innego miałem myśleć, proszę pana? Niechący podsłuchałem pana rozmowę z Banyardem. Pan go, zdaje się, wypytywał w związku z tym morderstwem.
- Nie przeczę. - Zatrzymał się. Staliśmy twarzą w twarz. Najwyraźniej nie zapraszał mnie do domu. - Faktem jest, Danby, że przeraziło mnie to, co piszą w gazetach, więc zdecydowałem się zbadać sprawę na własną rękę. Te oskarżenia przeciwko pani Caswell są po-tworne, na pewno Danby też tak uważa.

- Są bardzo przygnębiające, proszę pana. Ale pan na pewno zgodzi się ze mną, że takie śledztwo lepiej zostawić odpowiednim czynnikom. Czy mam przekazać od pana jakąś wiadomość panu Caswellowi, kiedy wróci? Albo gdyby wołał pan napisać do niego, podam jego adres we Francji. Poza tym nie...

- Nie potrzeba, znam jego adres. Willa majora Turnbulla na Cap-Ferrat, prawda?

Danby zmarszczył brwi.

- Czy to znaczy, proszę pana, że pan wiedział, że pana Caswella nie ma? Jeśli tak...!

- Kiedy wraca?

Pozwolił sobie na prychnięcie obrażonej godności.

- Doprawdy nie posunę się do omawiania planów pana Caswella, proszę pana. Skąd, jeśli mi wolno zapytać, pan...

- I zabrał Gleasure'a ze sobą. A Cathel Simpson odprawił, o ile mi wiadomo.

- Panna służąca jest w domu zbyt uczynna, ponieważ pani Caswell tu nie mieszka.

- Chwilowo.

- Możliwe, proszę pana.

- Wygodnie z tym jednak, prawda?

- Z czym, proszę pana?

- Nieważne. - Niecierpliwilem się, czułem, że jeszcze chwila, a wybuchnę. - No to miłego dnia, Danby. Nie mam żadnej wiadomości dla pana Caswella. I nie napiszę. - Odwróciłem się w kierunku alei wjazdowej.

Zanim doszedłem do szosy, mój gniew zmienił się we wstyd. Nie powinienem był pójść od razu do Banyarda, nie powinienem był zrażać sobie Danby'ego, dopuścić, żeby opryskliwość wzięła górę nad rozsądkiem. W tym stanie rzeczy już nie będę mógł porozmawiać ani z Noyce'em, lokajem, ani z Mabel Glynn, pomocnicą kucharki. Rozwiała się nadzieja, że z ich wypowiedzi wyłuskam coś użytecznego. Banyard może zechce dokończyć rozmowę, ale co to da. Będzie się tylko trzymał zeznania, które złożył.

Dochodząc do szosy, skręciłem w stronę wioski Mordiford, a nie na stację Stoke Edith, bo bardzo z siebie niezadowolony uznałem, że długa piesza wędrownka do Hereford dobrze mi zrobi. Dalej jednak rozpamiętywałem ten kiepski początek akcji zleconej przez Jacintę. Może, myślałem, to już szczyt tego, do czego jestem zdolny, może

lepiej od razu zaniechać wysiłków, jeżeli mają być tak nieporadne.

Dlaczego w Mordiford zatrzymałem się przy kościele, nie wiem, ale odruchowo wszedłem w cmentarną bramę i zacząłem chodzić wśród grobów wspominając letnią niedzielę przed laty, gdy byłem na tym cmentarzu z Caswellami jako ich gość honorowy. Doszedłem tak do niewysokiego muru, za którym pastwisko owiec opadało ku rzece, i przystanąłem, żeby zapalić papierosa. Znad płomyka zapalki zobaczyłem po drugiej stronie muru nagrobek, mały trójkatny grób w rogu pastwiska, odgradzony drutem kolczastym, prawie zapadnięty. Podeszedłem tam, wychyliłem się zza muru i przeczytałem napis. I oto znalazłem odpowiedź na jedno zastanawiające mnie pytanie. Ale ta odpowiedź pociągnęła za sobą wiele nowych pytań, jeszcze bardziej zastanawiających.

Elizabeth Marigold Thaxter

Zmarła 20 lipca 1911 r.

w wieku 22 lat

Żegnaj, Lizzie

Adres kościelny był w kruchcie. Trafiłem więc do domku w szeregu innych domków za Gospodą pod Księżycem w Pełni. I zastałem przy okopywaniu zagonu z warzywami uprzejmego staruszka, gotowego zaspokoić moją ciekawość.

- Ona pochowana w niepoświęconej ziemi, proszę pana. Jak sobie przypominam, krewni kupili ten kawałek ziemi od farmera Apperleya, żeby była tak blisko kościoła, jak prawo pozwala.

- Dlaczego nie mogli jej pochować na cmentarzu? - Już się domyśliłem, ale potrzebowałem potwierdzenia.

- Samobójstwo proszę pana. Powiesiła się w sadzie Spod Obłoków.

Więc tak było, Lizzie Thaxter się powiesiła. W trzy dni po tamtym świcie, gdy słyszałem jej szlochanie i zostawiłem u niej swój tchórzliwy list.

- Panna służąca pani Caswell, ta Lizzie Thaxter - ciągnął kościelny. - Ładniutka dziewczyna. Dziwnie losy się plotą nieprawdaż?

- W jakim sensie?

- No teraz pani Caswell chyba zejdzie z tego świata tak samo. - Smętnie pokiwał głową. - Bo ponoć ją mają powiesić. I to znaczy, że też będzie grób w niepoświęconej ziemi. Jak Lizzie.

Oszołomiony, szedłem powoli z Mordiford dalej na zachód do Hereford płaską szosą, która przecinała nadrzeczną równinę. Teraz, gdy dowiedziałem się o Lizzie, moje postępowanie przed dwunastu laty objawiało mi się jako zbrodnia jeszcze cięższa niż dotychczas uważałem. Jak mogłem być tak samolubny, tak niebaczny na następstwa tego, co czynię?

Rozmyślając ponuro, prawie nie zauważałem ruchu na szosie. Z obu stron rozciągały się tylko jednostajne nijakie pastwiska. Za mną, jak wiedziałem, poniżej lasów na zboczach Backbury Hill, wznosiły się wysokie kominy domu Spod Obłoków, ale nie obejrzałem się ani razu. Woląłem wlepić wzrok w szosę przed sobą, jak gdybym mógł tym czczym wysiłkiem woli przynajmniej trochę uciszyć głos sumienia.

Doszedłem do sąsiedniej wsi, Hampton Bishop, i drogowskazu z napisem „Hereford - 3 mile”. Na drugim, zachodnim skraju tej wsi, mijając gospodę cudacznie nazwaną Pod Pęczkiem Marchwi, poczułem, że przydałby mi się trunek. Już miałem tam wejść, gdy drzwi się otworzyły i gospodarz wypchnął jakiegoś obszarpańca, wyraźnie pijanego, chociaż ledwie minęło południe. Nie dosłyszałem dobrze wymiany przekleństw i obelg, które padły, zanim drzwi się znów zamknęły. Pijak pozbierał się i odwrócił do mnie. Nagle znieruchomiał, wybałuszył oczy. I ja na niego teraz patrzyłem, też osłupiały.

Był w bardzo wystrzępionym starym ubraniu z samodziału, koszuli bez kołnierzyka, niegdyś może białej i w zniszczonych butach zasznurowanych zwykłym sznurkiem. Włosy i zarost miał prawdziwego włóczęgi, szare, zmierzwione, poprzątykane źdźbłami siana, na którym najwidoczniej nocował, cerę ogorzałą, pomarszczoną, bruzdy na wydatnym czole, na kościach policzkowych i szczęce. Garbił się pod pękatym połatany płacakiem i w jego blisko osadzonych oczach czaiła się ostrożność. Chyba dziesięciu sekund potrzebowałem, żeby go rozpoznać i przekonać siebie, że się nie mylę.

Sądząc ze zmiany wyrazu jego twarzy, on też rozpoznał mnie nie od razu. To był Ivor Doak.

Żaden z nas się nie odezwał. Ja po prostu oniemiałem ze zdumienia. Więc Doak nie wyjechał do Australii. Gdyby wyjechał, na pewno nigdy by nie wrócił. Te pieniądze, które wyłożyłem na podróż, czy przepił? Czy może ich nie dostał? Ale nie uwierzyłbym, że Hermione mu ich nie dała. Bo...

Nagle Doak się zakręcił i w mgnieniu oka ruszył biegiem. Na drugim końcu podwórza było druciane ogrodzenie, za ogrodzeniem porośnięta trawą terasa grobli zabezpieczającej wieś przed pobliską rzeką. Gdy Doak zaczął przełazić przez to ogrodzenie, odzyskałem głos i zawołałem:

- Panie Doak!

Ale nawet się nie obejrzał. Skoczył z ogrodzenia, pobiegł pod górę i zaczął uciekać po grobli. Dopiero wtedy, o wiele za późno, ruszyłem za nim.

Gdy wszedłem na groblę, Doak pędził w odległości pięćdziesięciu chyba jardów przede mną. Już bym go nie dogonił, zawróciłem więc i wszedłem do gospody, gdzie gości było niewielu, a gospodarz, zadowolony, że pochwaliłem piwo, chętnie udzielił mi informacji.

- A jakże, proszę pana, to Ivor Doak. Kiedyś pan na swoim, jak się to mówi, a teraz nic tylko się tuła. Czasami pije za pieniądze, chociaż skąd je bierze, Bóg raczy wiedzieć. Ale ma taki szkaradny zwyczaj, wie pan, przepija wszystkie, a potem znów zamawia i kiedy wyłopie, okazuje się już niewypłacalny. Wtedy przeważnie wypycham go za drzwi. A jeżeli rozchodzi się o jego wyjazd, to nadziwić bym się nie mógł, gdyby wyjechał choćby do Glo'ster, a co dopiero do Australii. Objąłem ten Pęczek Marchwi na rok przed wojną i on zawsze tu był w okolicy, i przedtem także, i tym bardziej go szkoda.

I jak podać jego adres, kiedy nie ma żadnego, chyba że te żywopłoty pod lasem i bramy domów w Hereford w zimie. Dżentelmen, a jak że, to jeszcze znać po nim, ale dżentelmen bez dachu nad głową. No i tyle o naszym Ivorze.

Lizzie nie żyje. Doak został w Hereford. Bardzo już słaba jest nadzieja, że się czegoś dowiem w domu Spod Obłoków. O tym myślałem chodząc po moim hotelowym pokoju i czekając na godzinę trzecią, porę, gdy Hermione pije herbatę pod Miedzianym Czajnikiem. Znałem ją dość dobrze, by nie wątpić, że przynajmniej ona będzie otwarta i szczerą, a teraz miałem dla niej więcej pytań niż uprzednio sobie przygotowałem. Ale jeśli jej tam dziś po południu nie będzie?

Niepotrzebnie się denerwowałem. Jak Jacinta zapowiedziała, Hermione była tam, piła herbatę i pałaszowała ciastka przy okrągłym stoliku pośrodku zatłoczonej kawiarni. Twarz miała bardziej pociągłą, włosy bardziej szare, niż wtedy gdyśmy się ostatnio widzieli. Przez te lata jej nieładne staropanieństwo wieku średniego zmieniło się w

czcigodność fertyczną i ujmującą, jak gdyby jej charakter i rysy twarzy zawsze wiedziały, że ich mocną stroną nie jest młodość i mogły dopiero teraz się uwydatnić. Jej uśmiech, gdy mnie zobaczyła lawirującego ku niej wśród stolików oblepionych gośćmi, był serdecznie powitalny, aż nieomal zacząłem przypuszczać, że się mnie spodziewała.

- Pan Staddon! Co za przyjemna niespodzianka.

Kilka osób odwróciło głowy, żeby mi się przyjrzeć, i gwar w pobliżu ucichł. Miedziany Czajnik nagle stał się ostatnim miejscem na ziemi, gdzie można by porozmawiać poufnie - chyba że chce się do swych sekretów dopuścić całe miasto Hereford. Hermione poprosiła, żebym się przysiadł, i przedstawiła mnie swoim dwóm towarzyszkom, których nazwiska od razu zapomniałem. Na stoliku znalazła się dodatkowa filiżanka, zabrano mi płaszcz i kapelusz. Panie jęły mnie usilnie częstować herbatą i ciastkami. Wyjąkałem coś o zleceniu budowy w tej okolicy. Hermione wyjaśniła przyjaciółkom, że jestem architektem i to ja projektowałem Spod Obłoków. Natychmiast mnie zapytały z oczami okrągłymi jak spodki, czy słyszałem o tej „przykrej sprawie”. Udając zdawkowe tylko zainteresowanie odpowiedziałem, że owszem. Wtedy ku mojemu zdumieniu Hermione kopnęła mnie w łydkę pod stolikiem tak mocno, że omal nie rozlałem herbaty. Wyrazem twarzy surowo mnie ostrzegła. Więc zmieniłem temat rozmowy.

Trzęsienie ziemi w Japonii (jedna z przyjaciółek Hermione organizowała zbiórkę na rzecz ofiar) i zalety radia (mąż drugiej właśnie zakupił radiodbiornik) zajęły nam dwadzieścia dręcząco długich minut. Potem Hermione oznajmiła, że musi już wyjść, gdy one akurat zamierzały jeść następne drożdżówki, czyli musiały zostać. Wyszedłem z nią i powoli ruszyliśmy w kierunku Zielonego Smoka. Wiedziałem, że mam tylko parę minut na wyjaśnienie jej prawdziwego celu mojego przyjazdu do Hereford.

- To niezwykle traf, że praca sprowadza pana z powrotem w te strony - powiedziała. - Zwłaszcza w takich okolicznościach. Kto, jeśli wolno zapytać jest pana klientem?

- Nie mam żadnego klienta. I to nie jest traf.

- Naprawdę? - Wydawała się wcale niez dumiona. - Więc dlaczego pan przyjechał?

- Pozwoli mi pani to wyjaśnić w bardziej dyskretnym otoczeniu niż Pod Miedzianym Czajnikiem?

- Chyba powinnam pozwolić.

Wybraliśmy ławkę nad stawem zamkowym, bezpiecznie odległą od ciekawych uszu i dostatecznie zachęcającą w blasku jesiennego słońca, żeby nasza obecność tam wydawała się naturalna. Potrzebowałem informacji od Hermione, ale oczywiście w zamian musiałem jej wyjawić część moich zamiarów. Powiedziałem więc, że zawsze podziwiałem Consuelę i po prostu nie mogę uwierzyć, że popełniła morderstwo. Przyjechałem do Hereford specjalnie, żeby jej, Hermione, złożyć wizytę i zapytać ją, osobę postronną i patrzącą na tę sprawę z bliska, co to wszystko może znaczyć. O Jacincie nawet nie napomknąłem, jak gdybym w ogóle nie wiedział, że Victor i Consuela mają dziecko. Opowiedziałem, z jakim przyjęciem spotkałem się w domu Spod Obłoków, jak odkryłem grób Lizzie Thaxter i jak natknąłem się na Ivora Doaka. Dopiero to ostatnie chyba zaskoczyło Hermione.

- Ojej! Rzeczywiście wypadło mi napisać do pana, panie Staddon, o biednym Ivorze. Nie napisałam, przepraszam. Ale zważywszy, co się z tymi pieniędzmi stało, wstydziłam się, że pana zachęciłam do udzielenia mu pożyczki. On kupił bilet i sama wyprawiłam go do Londynu, skąd miał nazajutrz odpłynąć. Niestety w Londynie tego wieczora zachciało mu się wypić i wpadł między złodziei. Jego bilet, paszport i pozostałą gotówkę ukradli, kiedy był nietrzeźwy w jakiejś piwiarni na East Endzie. Dopiero po wielu tygodniach wrócił do Hereford i przyznał się. Był skruszony, oczywiście, ale odkąd stracił Spod Obłoków, ma tę okropną skłonność, więc chyba Mortimer i Victor mieli rację, kiedy panu radzili, żeby pan mu nie pożyczał. Co raz bardziej schodził na psy przez te lata i teraz nawet ja bym się zgodziła, że jemu nic nie pomoże. Uciekł na pana widok, nie dziwię się, bo chociaż jest pijakiem i włóczęgą, jeszcze ma pamięć i sumienie.

- A Lizzie?

- Niewiele mogę o niej powiedzieć. Nikt nie wie, dlaczego odebrała sobie życie, nie zostawiła żadnego listu i wydawało się, że nie ma żadnych szczególnych zmartwień. Jej brat oskarżony o udział w kradzieży w papierni Peto dopiero czekał na proces, więc samobójstwo z tego powodu byłoby przedwczesne. To Consuela kupiła kawałek ziemi na jej grób i zapłaciła za nagrobek. Uparła się przy tym pomimo sprzeciwu Victora. Wydawała się oszłamiona jak wszyscy tą tragedią, chociaż czasami miałam dziwne wrażenie, że więcej wie, niż jest gotowa wyjawić.

- Mógł być, myśli pani, jakiś związek pomiędzy śmiercią Lizzie i ostatnimi wydarzeniami?
- Dobry Boże, nie! Skąd taki domysł?
- Nie wiem. Tylko... - Nagle zacząłem mieć dosyć tych wstępów. - Niech mi pani powie, czy wierzy pani w winę Consueli?
- Hermione bacznie na mnie popatrzyła i zapytała:
- A pan wierzy, panie Staddon?
- Nie. Przecież powiedziałem.
- Ale dlaczego pan nie wierzy? Czy te dowody nie wskazują na nią?
- Wskazują. Przynajmniej tyle wiem z gazet. Ale dochodzi do głosu coś innego.
- Co?
- Instynkt chyba. Instynkt mówi mi, że pani bratowa nie jest morderczynią. Nie jest trucicielką w żadnym razie.
- Hermione się uśmiechnęła.
- Zgadza się.
- Zgadza się pani?
- Oczywiście. I naprawdę to dla mnie wielka ulga znaleźć sprzymierzeńca w tej sprawie. Kiedy tylko próbuję powiedzieć, co myślę, rodzina zarzuca mi nielojalność. Szanuję żalobę Mortimera i Marjorie. Śmierć Rosemary była strasznym ciosem, ale dlaczego mamy wszyscy zakładać, że to wina Consueli, nie pojmuję.
- Ale pani sama powiedziała, że dowody wskazują na nią.
- Aż za bardzo. Gdyby Consuela chciała zamordować Victora... co przynajmniej ja potrafiłabym dobrze zrozumieć... nie sądzę, żeby zwracała sobie głowę środkami chwastobójczymi. Jediną przewagą trucizny nad strzelbą... i często myślę, że on na otrucie zasługuje... jest możliwość zatruwania powoli, ukradkiem, bez ryzyka wykrycia. Podanie jednej zabójczej dawki całkowicie mija się z celem. Poza tym Consuela za bardzo współczuje bezbronnym stworzeniom, ptakom, okaleczonym lisom, płacziwym pokojówkom, żeby narażać życie niewinnych. Gdyby wiedziała, że w tym cukrze jest arsenik, na pewno by nie pozwoliła Marjorie i Rosemary osłodzić herbaty. I gdyby była winna, przecież by nie zostawiła dowodu w swojej szufladzie. Miała dwanaście dni czasu na pozbycie się tego, panie Staddon. I z całą pewnością by się pozbyła, zwłaszcza że policja uprzedziła o przeprowadzeniu rewizji.
- Możliwe, ale te anonimy...

- Te anonimy. Najgrubszymi niemi szyta część oskarżenia. Gdyby je dostała, zniszczyłaby je. Zresztą posądzenie męża o zdradę może popchnąć do morderstwa tylko kobietę zaborczą i zazdrosną. Consuela taka nie jest. W istocie... - Hermione urwała.

- Tak?

- Córka - dokończyła po chwili - znaczy dla Consueli nieskończenie więcej niż mąż. Wiadomość, że Victor ma kochankę, chyba sprawiłaby jej raczej ulgę...

- Ulgę?

Unosząc brwi, spojrzała mu prosto w oczy.

- Staropanieństwo, panie Staddon, to niekoniecznie naiwność w tym zakresie. Victor urodził się, kiedy miałam dziewięć lat, znam go na wskroś od kołyski. Więc kto jak kto, ale ja wiem, że nie jest zdolny do szlachetniejszych uczuć. Miłość myli mu się z zaborczością, wierność z posłuszeństwem. I chyba lubi być okrutny. Nawet poczytywałam sobie za obowiązek doradzić jego ewentualnej wybrance, żeby poszukała męża gdzie indziej. Niestety nie miałam możliwości posłużyć taką radą Consueli. Zakładanie, że jego wierność czy niewierność cokolwiek dla niej znaczą, jest niedorzeczne.

Odbiegłem myślą od tematu. Consuela nigdy się nie skarżyła, że Victor ją maltretuje. Ale, jeśli wierzyć Hermione, to może zależało jej na ucieczce jeszcze bardziej niż przypuszczałem.

- Zgorszyłam pana, panie Staddon? Mam szczerą nadzieję, że nie. Nie tylko te nowoczesne podfruwajki uważają, że mogą swobodnie mówić o wszystkim, ale i taki wiktoriański zabytek jak ja.

- Jeżeli czymś jestem zgorszony, to pani sugestią, że Victor stosował wobec Consueli przemoc. Mógłby rzeczywiście?

- Nie posiadałabym się ze zdumienia, gdyby nie mógł. W szkole był znanym tyranem. W Cambridge doszło do strasznego incydentu, zbił kolegę studenta batem, omal nie został wydalony. Potem, kiedy po studiach zaczął pracować w naszej rodzinnej firmie, pokojówka w Paprociarni poskarżyła się, że on... No, nie pozwolili mi dowiedzieć się dokładnie, co rzekomo zrobił. Ta dziewczyna musiała odejść jak niepyszna. Ale papa chyba uwierzył w większość tego, co powiedziała.

- Czy dlatego wysłał Victora do Brazylii?

- Nie. Przynajmniej, o ile mi wiadomo. Victor wciąż zaniedbywał się w pracy, wolał wyścigi konne niż biuro. Bywały z tego powodu kłótnie coraz gwałtowniejsze. Mortimer żywił urazę o to, że Victorowi

wszystko wolno. On i Victor zawsze byli jak żółw i zając. Wrzód pęki, kiedy się objawiła upiorna suma długów karcianych Victora. Papa zgodził się je spłacić tylko pod warunkiem, że Victor wyjedzie za ocean. Załatwił mu praktykę na kierownicze stanowisko w filii Banku Londyn-Plate w Pernambuco i wysłał go tam. Wszyscy nalegali, żeby ostro zabrał się do pracy i coś osiągnął.

- Zastosował się?

- Nie tak, jak miało to być. Rzadko do nas pisał, mieliśmy wiadomości o nim tylko od znajomego papy w londyńskiej centrali banku. Trzy lata minęły, podobno sprawował się nieźle, aż tu nagle katastrofa. W filii w Pernambuco wykryto nadużycia. Okazało się, że Victor obracał pieniędzmi bankowymi na brazylijskiej giełdzie i stracił je co do grosza. Natychmiast go zwolniono, bank go nie zaskarżył, żeby tylko uniknąć skandalu. Spodziewaliśmy się, że w niełasce wróci do domu, a tymczasem on zniknął. Tyle, że napisał do papy: zostaje w Ameryce Południowej, będzie szukać szczęścia, padł ofiarą pecha i zawiści. Oczywiście, ani słowa usprawiedliwienia, ani śladu skruchy. Potem nie dawał znaku życia przez pięć lat. Papa zszedł do grobu pewny, że on nie żyje. Ale żył jak najbardziej. Jeśli w ogóle coś wiadomo o tych jego pięciu latach, to pojechał do Chile i tam poznał majora Turnbulla, człowieka z przeszłością o wiele mętniejszą niż jego przeszłość. Założyli spółkę i w ciągu paru lat jeden i drugi zbił majątek.

- Jak?

- Opowiadał mi dużo o południowoamerykańskim handlu kauczukiem, panie Staddon, ale tylko piąte przez dziesiąte zapamiętałam. W dużym streszczeniu, o ile wiem, było mniej więcej tak, że kupili od rządu brazylijskiego różne połacie ziemi nadające się do uprawy gumowców... koncesje, to się nazywa... w okręgu Acre, który w rzeczywistości należał nie do Brazylii, tylko do Boliwii. Dlatego koncesje były tanie. W Brazylii nie miały żadnej wartości. Ale ten okręg błyskawicznie zasiedlali Brazylijczycy, więc Victor i major Turnbull liczyli na to, że Brazylia ostatecznie go zaanektuje. Mieli rację i kiedy tak się stało, od razu się wzbogacili. To był bezwstydnny hazard, oczywiście, bynajmniej nie pierwszy hazard Victora. Ale tym razem się udało. Victor wrócił do Rio de Janeiro, żeby żyć z procentów, i napisał do nas, że wreszcie osiągnął pełną niezależność. Mortimer, mogę panu powiedzieć, wcale się nie cieszył. Chyba wołałby, żeby Victor wrócił do Anglii z podwiniętym ogonem... albo żeby nie wrócił wcale.

Ale Victor prawie zaraz ożenił się z córką bogatego kupca kawy i zawiadomił nas, że postanowił wrócić i osiedlić się na wsi. Zachciało mu się być ziemianinem.

Hermione umilkła. Przed naszą ławką przeszła powoli kobieta z niemowlęciem w wózku.

- Bardzo otwarcie mówi pani o swoim bracie - zauważyłem.

- Sytuacja wymaga otwartości. Chodzi o życie Consueli.

- Aż tak? Rzeczywiście?

- Aż tak. Niech pan się nie ludzi. Towarzystwo Pod Miedzianym Czajnikiem już by ją skazało jednołóśnie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie widzą nic poza faktami. Dlatego, że nie chcą spojrzeć dalej. Consuela jest cudzoziemką i katoliczką, i piękną kobietą. Panie Pod Miedzianym Czajnikiem nie cierpią jej z tych wszystkich powodów.

- Więc co trzeba zrobić?

- Nie wiem. Decyzje nie zapadły, pan rozumie. Ani Mortimer, ani Marjorie nie będą omawiać tej sprawy ze mną. Victor zabrał się do Francji i zamierza wrócić dopiero przed procesem. Tymczasem oprócz tego młodego tumana Windrusha nikt nie kiwnie palcem, żeby pomóc Consueli. Toteż byłam naprawdę rada, kiedy pana zobaczyłam tutaj.

- Czy rozmawiała pani z Consuelą po przesłuchaniu?

- Ostatni raz z nią rozmawiałam w dniu pogrzebu Rosemary, czyli ponad miesiąc temu. Jeszcze zanim otrzymaliśmy potwierdzenie, że ta biedaczka została otruta. Kiedy Consuelę aresztowano, Mortimer stanowczo nam zabronił ją odwiedzać i składać jakiegokolwiek oświadczenia w jej obronie. Victor jak echo powtórzył ten zakaz. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby moi bracia tak się zjednoczyli. Już samo to powinno wydawać mi się podejrzane, ale prawdziwe podejrzenie wzbudziła we mnie rozpacz Victora na pogrzebie tej bratanicy, której za życia prawie nie zauważał. Tyle lat patrzę na moich braci, że widzę ich na wskroś. O ile reakcja Mortimera na śmierć Rosemary jest w pełni zrozumiała, o tyle reakcja Victora wydaje się od początku do końca sztuczna. Okryty ciężką żalobą załamywał ręce, ale nie okazywał uczucia najbardziej naturalnego wobec tak strasznej sytuacji... a mianowicie zdumienia. Zachowywał się tak, jak sytuacja wymagała, poza tym, że wcale tymi wydarzeniami nie był zaskoczony.

- Chce pani przez to powiedzieć, że... wiedział zawczasu?

Hermione przymrużyła oczy.

- Chwilami tak myślę, panie Staddon. Ale to przecież niemożliwe, prawda?

Na modłach wieczornych w katedrze w Hereford tamtego dnia niewiele było ludzi. Siedziałem w stalli i słuchałem, jak głosy chóru to wznoszą się, to cichną w mrokach nad moją głową. Wdzięcznym sercem czerpałem spokój z tego obrzędu, z widoku szat liturgicznych w blasku świec. Ukołysany śpiewem i modlitwą, mogłem wierzyć, że w życiu jest ład i sens. Więc ten chaos w związku z aresztowaniem Consuela i zbliżającym się procesem na pewno da się uporządkować. Ostatecznie to tylko pomyłka, kolosalne nieporozumienie, jej oskarżyciele w końcu się opamiętają.

Ale czy tak? Gdy chórzyści szeregiem wychodzili po nabożeństwie nasunęło mi się pytanie: może którąś z ich anielskich twarzy Consuela co dzień w czasie przesłuchania widywała przed gmachem sądu wśród tłumu ujadającego, domagającego się dla niej stryczka?

Uporczywie jak nigdy przedtem moje myśli kręciły się wokół Consuela. Jak ona mnie przyjmie? Jak ja się jej wytłumaczę? Za niecałą dobę będę musiał napotkać jej wzrok w gołym pokoju odwiedzin w więzieniu Gloucester. Groźne posępne strażniczki będą się wsłuchiwały w każde słowo naszej rozmowy, a mną będzie szarpała skrucha. Pragnąłem znów zobaczyć Consuelę i dojść z nią do porozumienia. A przecież strasznie bałem się tego spotkania. Z trudem trzymałem na wodzy podły instynkt podrywający mnie do ucieczki, do ukrycia głowy w piasek. Gdyby Consuela nie była w tak piekielnej sytuacji, po mojej pierwszej dezercji nastąpiłaby druga.

Ale było za późno, żeby zawrócić. I właściwie tylko na szczegółach, które ona może mogłaby mi podać, opierała się moja nadzieja, że jej pomogę. Powoli wracałem do hotelu Pod Zielonym Smokiem rozpatrując pierwszy dzień swoich starań i stwierdzając, że działałem przygnębiająco mało.

W recepcji portier mi powiedział, że jakiś pan czeka na mnie w barze. Był to Windrush. Przysunął krzesło blisko ognia w kominku, chociaż nie czuło się chłodu, i gorączkowo palił papierosa. Wydawał się jeszcze bardziej znękanym i przybitym niż rano, gdy się z nim widziałem. W przerwach między zaciąganiem się dymem gryzał paznokcie. Podniósł na mnie wzrok niespokojnie.

- Właśnie wróciłem z Gloucester - powiedział nie czekając, aż usiądę. - Ona nie chce pana odwiedzin, panie Staddon.

- Co?

- Jest nieugięta. Może pan ją zna z tej strony. To jest dla mnie najgorsze. Albo prawie nie słyszy, co jej mówię, albo sama dokładnie dyktuje, co mam zrobić.

Usiadłem obok niego i przysunąłem się do stolika. Musiałem się o coś oprzeć z moją nikłą nadzieją, że źle zrozumiałem.

- Co pan mówi? - zapytałem niemal szeptem.

- To zupełnie proste. Odwiedziłem ją dziś po południu, jak pan wie, i uprzedziłem, że pan ją odwiedzi jutro. Wyraźnie osłupiała. Powiem nawet, że zareagowała na to jak nigdy dotąd na nic, o ile sobie przypominam. Pierwszy raz widziałem ją tak zdenerwowaną. Normalnie zachowuje posągowy spokój, jak gdyby sobie nie uświadamiała, co się dzieje. I ten spokój prysł, kiedy jej powiedziałem o panu. Oświadczyła, że w żadnym razie nie może pan jej odwiedzić. Jeżeli pan będzie próbował, ona odmówi widzenia. I zrobiłaby to. Na pewno.

- Ale... dlaczego?

- Nie wiem. Pytałem, odpowiedziała, że pan rozumie, dlaczego. - Odwrócił głowę i spojrzał na mnie. - Pan rozumie?

W tym momencie zrozumiałem aż za dobrze. Z jakiej racji miałyby się ze mną zobaczyć w czasie wyznaczonym przeze mnie? Ostatecznie to ja zerwałem nasze ostatnie zobowiązanie i uchylałem się od spotkania z nią przez te wszystkie lata.

- Nie rozumiem - usłyszałem własny ciężki, stanowczy głos.

- Rzeczywiście? Pani Caswell nie wątpiła, że pan rozumie.

- No ale ja nie rozumiem! - odwróciłem się i skinąłem na barmana. Uniesione brwi Windrushy jednak świadczyły, że takie odwrócenie uwagi jest bezcelowe. Skłamałem i on to wiedział. Ale nie rozwijał tematu. Gdy dostaliśmy trunki i pozwoliłem poczęstować się papierosem, wyraził ubolewanie z powodu decyzji swojej klientki.

- Miałem nadzieję, że pan ją przekona, żeby była rozsądniejsza, ale najwyraźniej nic z tego. Tak jak sprawy stoją, przygotowanie obrony jest właściwie niemożliwe.

- Dlaczego?

Zniżył głos.

- Pani Caswell ma znikome zasoby finansowe, a w tych okolicznościach raczej nie może zwrócić się o pomoc do męża. Ponadto nie chce niepokoić tym, co się dzieje, swoich krewnych w Brazylii, chociaż

oni, gdyby wiedzieli, może by jej pomogli. Doradzałbym, żeby poprosiła o przeniesienie procesu do Londynu, bo tam jej szanse na bezstronny sąd przysięgłych byłyby o wiele większe, ale takie przeniesienie bardzo dużo kosztuje i minęłoby się z celem, skoro nie możemy zaangażować kogoś z najwybitniejszych londyńskich adwokatów. Jak wiadomo, ich honoraria równają się ich reputacji. Więc pojmuję pan mój problem? Pojąłem. Windrush daje mi sposobność do udzielenia pomocy praktycznej. Consuela by mu nie pozwoliła mówić mi o takich trudnościach, gdyby zapytał ją o pozwolenie, ale najwidoczniej nie zapytał. Jest gotów zawrzeć ze mną poufną umowę, o której ona nie potrzebuje wiedzieć. A więc mogę pomóc, pomimo że tego by nie chciała.

- Te wszystkie koszty ja pokryję - powiedziałem cicho.

- Nawet w przybliżeniu nie wie, panie Staddon, ile by wynosiły. To muszę panu powiedzieć. Samo przeniesienie procesu do Londynu jest dość kosztowne.

- Ale myśli pan, że byłoby korzystne dla niej?

- Jest konieczne. W Hereford już uznano panią Caswell za winną. I ona wolałaby stanąć przed sądem w Londynie. O kosztach jej nie mówiłem.

- I niech pan nadal nie mówi.

Przytaknął.

- Dobrze.

- Do kogo pan się zwróci, żeby jej bronił?

- Gdyby pieniądze nie odgrywały roli, udałbym się prosto do sir Henry'ego Curtis-Bennetta. On ma dość dobre serce, żeby wziąć tę sprawę, i dość dobrą głowę, żeby coś z tego zrobić w sądzie. Ale jego podstawowe honorarium wynosi pięćset gwinei. Poza tym są...

- Niech pan się zwróci do sir Henry'ego, a kwestię jego honorarium pozostawi mnie.

Znowu przytaknął.

- Dobrze.

- Ale pani Caswell nie może się dowiedzieć o moich wkładach - zaznaczyłem.

- Oczywiście. To nie będzie trudne.

- A więc uzgodnione?

Przyjrzał mi się z ciekawością chyba się orientując, że natrafił na jakiś sekret z przeszłości swojej klientki, i że ani ona, ani ja nigdy mu tego sekretu nie wyjawimy.

- Tak - odpowiedział. - Uzgodnione.

Było jasne, że Consuela się ze mną nie zobaczy. I nie miałem zamiaru starać się o spotkanie z nią wbrew jej woli. A przecież nazajutrz rano chodziłem przed bramą więzienia Gloucester tam i z powrotem, patrzyłem na te wysokie mury i blok cel z zakratowanymi oknami. Co ona tam robi? - zastanawiałem się. Jak spędza dzisiejszy dzień, jeszcze jeden z wielu w zamknięciu? O czym myśli - jakie ma nadzieje i wątpliwości, i obawy? I czy może widzieć - jeżeli chce popatrzeć przez okno - samotnego człowieka chodzącego tam i z powrotem po tej ulicy? Czy może wykrzyć - i czy przyjąłaby życzliwie - jego nieporadne wysiłki, żeby ją uratować?

Wróciłem do Hereford beznadziejnie zgnębiony, przekonany, że funkcja skarbonki Windrusha to już górna granica wszystkiego, czego mogę dokonać dla Jacinty. Pod Zielonym Smokiem jednak czekała mnie niespodzianka. Telefonował, powiedziano mi, pan Mortimer Caswell i prosił, żebym go odwiedził w biurze Caswell i Spółka możliwie jak najszybciej. To było dziwne wezwanie, zgoła nieoczekiwane, ale też wezwanie, którego nie powinienem zignorować.

Wytwórnia jabłecznika mieściła się w ogromnym budynku o płaskim dachu z dymiącym wysokim kominem. Sterty dopiero co przywiezionych jabłek zajmowały większą część podwórza. Niezliczeni robotnicy ładowali te jabłka na wózki i przewozili do taśmociągu, który wciągał je na pierwsze piętro budynku. Jeden z nich w końcu wreszcie dał się zagadnąć i wskazał mi wejście do biura w rogu podwórza.

Mortimer przyjął mnie w sali konferencyjnej. Na wyłożonych boazerią ścianach wśród mnóstwa branżowych dyplomów w ramach dominował olejny portret jego ojca, założyciela firmy. Stół konferencyjny połyskiwał ciepło w słonecznym blasku, trzy wysokie okna wychodziły na krzątanię poniżej. Mortimer siedział za biurkiem w głębi sali, jakiś mały i zgarbiony; wydawał się raczej pokornym woźnym niż panem tego, co nadzorował. Ubrany był na czarno, ale czy tak jak zwykle, czy z powodu żałoby, nie wiedziałem. Wstał, żeby mnie powitać, ze znużeniem, jak gdyby znękany na duszy i ciele. Zdawkowo podał mi zimną rękę. Twarz miał pomarszczoną i posępną, w oczach coś niezgłębionego - pogardę i ostrożność zarazem, tyleż krytycyzmu, ile rozpaczy.

- To uprzejmie, że pan przyszedł, panie Staddon - powiedział. - Nie zabiorę panu dużo czasu. Zechce pan usiąść.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia w nieszczęściu, które na państwa spadło. - Usiadłem.

Przypatrywał mi się przez chwilę z jedną brwią uniesioną, zanim znów usiadł w fotelu. Stykając czubki palców obu rąk, pochylił się ku mnie nad biurkiem tak, jakby miał wyjaśnić swojej radzie nadzorczej rozczarowujący stan salda.

- Danby telefonował do mnie wczoraj i powiedział o pańskiej wizycie w domu. O ile wiem, wypytywał pan Banyarda o zeznanie, które złożył na przesłuchaniu. Pod nieobecność Victora Danby uznał, że powinien zawiadomić mnie o takim dziwnym obrocie rzeczy.

- Dziwnym?

- Powiedziałbym, że tak. Co pana do tego skłoniło, panie Staddon? Nie słyszałem, żeby miał pan cokolwiek do czynienia z moją rodziną, odkąd pan ukończył Spod Obłoków.

- To prawda, ale...

- Również, o ile wiem, spotkał się pan wczoraj po południu z moją siostrą i rozmawiał z nią dość długo.

- Panna Hermione panu o tym powiedziała?

- Przyznała się, gdy ją zapytałem. Widziano pana i ją nad Stawem Zamkowym. To niezbyt dobre miejsce na omawianie sekretów.

- Nie było żadnych sekretów.

- Nie? Więc co było? Hermione nabrała wody w usta, co do niej niepodobne... jak pan zapewne wie.

Rozparłem się w fotelu usiłując zachować spokój,

- Miałem interesy w tych stronach. Pana siostrę spotkałem przypadkiem pod Miedzianym Czajnikiem. Poszliśmy na spacer nad Staw. Między innymi rozmawialiśmy o procesie pani Caswell. Chyba zgodzi się pan, że byłoby nienaturalne, gdybyśmy tego nie poruszyli. Pana siostra ma wątpliwości co do winy pani Caswell. Ja także. Po prostu wymieniliśmy poglądy na tę sprawę.

- Hmm. - Mortimer wyduł dolną wargę i milczał. Po chwili zapytał: - Czy swoje... interesy w tych stronach już pan załatwił?

- Nie. Jeszcze nie.

- Szkoda.

- Dla kogo?

Znów chwilę pomilczał. Patrzył na mnie.

- Danby odniósł wrażenie, że pan wiedział o nieobecności Victora. Wiedział pan?

Odpowiedziałem pytaniem na pytanie:

- Dlaczego Victor pojechał do Francji?

- Raczej nie sądzę, żeby posunięcia mojego brata... czy ich po wodę... musiały obchodzić pana.

- To samo ja panu mógłbym powiedzieć o moich posunięciach.

Zmrużył oczy. Myślałem, że straci panowanie nad sobą. Ale nie stracił. Wstał z fotela, podszedł do okna.

- Panie Staddon - odwrócił się do mnie. - Moja córka nie żyje. Patrzyliśmy, jak umiera, i to było upiorne, wstrząsające. Moja żona i mój brat ciężko chorowali. O mało nie umarli także. Kiedy lekarze specjaliści stwierdzili otrucie, myśli pan, że ktokolwiek z nas chciał uwierzyć, że truciznę podała im moja bratowa?

- Nie wiem.

- W takim razie tych, którzy wiedzą, radzę panu zostawić w spokoju. Victor pojechał do Francji, żeby uniknąć domysłów i plotek takich właśnie, jakich moja siostra nie powinna nierozsądnie podsycać. Gdyby nie moje zobowiązania tutaj, chyba bym pojechał z bratem.

- Pan uważa, że pani Caswell jest winna?

- Dowody znalezione przez policję są niezbite. Ale ja poprzestane na tym, co orzeknie powołany do tego sąd. I stanowczo radzę...

- Żebym też na tym poprzestał?

- Tak jest, panie Staddon, zostawmy tę sprawę czynnikom kompetentnym.

W kilka minut później wychodziłem przez podwórze firmy Caswell i Spółka, zastanawiając się, czy nie wtargnąłem za daleko w żalobę Mortimera, gdy nagle zobaczyłem przed sobą kogoś opierającego się o główną bramę. Był to mężczyzna drobnej budowy, młody, w garniturze w białe paski i włożonym na bakier kapeluszu. Palił papierosa i leniwie, nonszalancko rozglądał się wokół. Od razu mnie tknęło, że go znam, ale zanim zdążyłem skojarzyć z tą twarzą nazwisko, uśmiechnął się i powiedział.

- Staddon, czyż nie?

- Przepraszam, ale...

- Pan pewnie nie poznaje mnie w długich spodniach. Jestem Spencer Caswell.

I doprawdy nie mógłby być nikim innym. W tym świetnie skrojonym garniturze przybierając pozy światowca, przecież nadal miał te same twarde małe oczy, których wyraz świadczył o niewysłownych urazach dzieciństwa. Na swój sposób przystojny, tym bardziej mi się nie podobał. Tonem niskiego głosu, podnoszeniem głowy, chłodem

wzroku zaznaczał swoją rzekomą wyższość, co natychmiast wywołało we mnie antagonizm, zwłaszcza że najwyraźniej o to mu chodziło.

- Odwiedził pan starego?

- Jeżeli mówi pan o swoim ojcu...

- Widziałem, jak pan tam wchodził. Na rozkaz, jasne dla mnie. Było wczoraj wieczorem w domu małe piekielko. Padło pana nazwisko. No, ale pan chyba o tym wie.

- Nie jestem pewny, czy...

- Odprowadzę pana do hotelu, co? - Nie czekając na odpowiedź oderwał się od słupa bramy i stanął u mojego boku. - Właściwie chętnie bym pogadał. Nie śpieszy mi się z powrotem do Paprociarni. Nie dałoby się teraz powiedzieć, że to miłe domowe zacisze.

- Nie dałoby się?

Zachichotał brzydko i poczęstował mnie papierosem. Potrząsnąłem głową. Przeszliśmy kilka kroków w milczeniu, po czym zagaił:

- Ciotka Hermione pyskowała. Zawsze była dosyć pyskata. Ale nawiasem mówiąc, co sprowadziło pana do tego sennego Hereford?

- Interesy.

- A nie proces Consueli? - Wypowiedział imię tej swojej ciotki bezceremonialnie, chyba specjalnie lekceważąco.

- Czytałem o tym w gazetach. Więc poruszyłem to z panną Hermione. Tak się składa, że jesteśmy jednego zdania.

- Pan też myśli, że Consuela jest niewinna?

- Myślę, że to możliwe. Owszem.

- Starzy nie podziękują panu za to.

- Nie spodziewam się podziękowania.

- Dwanaście lat minęło, odkąd ostatni raz z panem rozmawiałem. Na tym piekielnym meczu krykietowym w Mordiford. Pamięta pan?

- Tak, pamiętam.

- Kto by wtedy pomyślał, że moja siostrunia tak skończy, otruta... i że Consuela będzie oskarżona o morderstwo.- Mówił prawie niefrasobliwie, jak gdyby się zastanawiał nad łagodną ironią losu. - Ma pan ochotę przed powrotem do hotelu coś wypić? - Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się. - Właśnie otworzyli.

- Niestety, czas nagli. Dziękuję.

- Proszę bardzo. Tylko że...

- Co?

- Jeżeli ciągnął pan za język ciotkę Hermione, czy nie warto pociągnąć za język mnie również? - Cisnął niedopałek do rynsztoka i

uśmiechnął się szeroko. - Jestem znany z niedyskrecji pod gazem.

Im dłużej rozmawiałem ze Spencerem Caswellem, tym trudniej mi było zgłębić jego motyw. Z początku myślałem, że po prostu brak mu kompana. Ale w knajpie, do której mnie wprowadził, siedziało kilku znudzonych młodzieńców, jego znajomych, wyraźnie niemających nic przeciwko temu, żeby im postawił kolejkę. Nawet barmanka patrzyła rozczarowana, gdy szedł ze mną do stolika w kącie. A więc miał coś na celu.

Wyciągnął przed siebie długie nogi i za dymem papierosa, zsynchronizowanym z jego gestykulacją, mówił, zdawałoby się, rad, że słucham jego zaprawionej żółcią oceny Hereford w ogóle i rodziny Caswellów w szczególności. Miał teraz dwadzieścia trzy lata, na wojnie nie był z racji swego młodego wieku, studiował w Cambridge, skąd wrócił do domu w roku 1922 i nie mając praktycznie wyboru zaczął pracować w firmie Caswell i Spółka. Nie ukrywał swojej pogardy dla rodzinnego przedsiębiorstwa czy też handelku, jak je nazywał. Uważał, że tli się w nim talent do czegoś zupełnie innego, chociaż do czego, sam nie wie i na tym polega tragedia. Płytki, egocentryczny i arogancki, przejawiał najgorsze cechy rozpieszczonego młokosa. W normalnych okolicznościach szybko bym się z nim pożegnał i trochę bym współczuł Mortimerowi, który spłodził takiego syna. Ale te okoliczności nie były normalne. Spencer egoistycznie bredząc o sobie ukazywał zarazem to, czego bardzo potrzebowałem - różne fakty z życia rodzinnego Caswellów - znalazł więc we mnie wdzięcznego słuchacza.

- Rzeczywiście, Staddon, ta cała historia jest raczej nudna. To znaczy: kiedy siostra wpada pod autobus, wszyscy mówią, ach, jaka szkoda. Na pogrzebie wielki płacz w chustki do nosa, twarze ponure, po pogrzebie przechodzi się nad tym do porządku. Życie płynie dalej. Ale kiedy siostra polyka arsenik w herbacie i od tego umiera, a żonka stryja aresztowana czeka na proces, wtedy wlecze się to wszystko i wlecze. Reporterzy zlatują się jak muchy, plotki szerzą się w Hereford prędej niż epidemia, zwykłe sprawy są w zawieszeniu. Matka przez cały dzień siedzi w zaciemnionym pokoju, ojciec zabrania poruszać lżejsze tematy, na litość boską! Stryjowi Victorowi dobrze... on może zaszyć się we Francji, ale ja... co ja mam ze sobą zrobić? Nawet nie wiem, na co czekać. Data procesu niewyznaczona. Miesiące mogą tak minąć.

- Gdy już będzie ten proces - wtrąciłem łagodnie - myśli pan, że jak się skończy?

- Źle dla Consueli. Widać, że ona nie ma odpowiedzi na te oskarżenia. Motyw, środki, sposobność. Wszystko wskazuje na nią, o ile nam wiadomo.

- Więc pan wierzy w te dowody przeciwko niej?

- Tego nie powiedziałem. Mnie nie pokazali tych listów. I ja nie byłem na tym podwieczorku. Jestem nie lepiej poinformowany niż pan w gruncie rzeczy. Ale jedno panu powiem. - Przygarbił się i zniżył głos. - Nigdy nie miałem Consueli za idiotkę. Czy zostawiłaby takie listy i paczkę arszeniku wśród tych swoich jedwabnych fatalaszków, żeby tam czekały, aż policja je znajdzie?

- Chce pan powiedzieć, że ktoś je podrzucił?

- Ja nie chcę, ale może pan chce? Bo jak inaczej argumentować, że jest niewinna. Tylko kto mógłby podrzucić? W tym pana problem.

- Nie wiem.

- Nie zastanawiał się pan nad tym? - Ożywił się, oczy mu błyszcząły zapalem do tej lamigłówki. - Jeżeli moja rzewnie opłakiwana siostra nie miała być ofiarą, to na pewno ofiarą miał być stryj Victor. I jeżeli nie Consuela dosypała truciznę, to na pewno ktoś inny... z jakichś innych powodów... pragnął jego śmierci. Ale on nadal żyje, czyli zamach na jego życie się nie powiódł. A jednak nie ma następnego zamachu. Może dlatego, że Consuela siedzi, i wtedy wnioski byłyby takie, że jest winna. Ale też może dlatego, że naprawdę komuś chodziło o to, żeby ona odpowiadała za tę zbrodnię. Bo to ją usuwa z drogi... najbardziej skutecznie, pan rozumie.

- Z drogi do czego?

Odchylił się na krzesło i uśmiechnął tak, jakby moje zainteresowanie sprawiło mu głęboką satysfakcję. Wypuścił nozdrzami dym aż pod sufit.

- Dalej jeszcze nic nie wymyśliłem, ale rozpatruję to dosyć często. Ostatecznie to ciekawsze niż te wasze zwyczajne krzyżówki.

- I o wiele poważniejsze - warknąłem. - To kwestia życia i śmierci kobiety.

- Wiem, powinienem się przejmować, ale nie będę udawał, że czuję to, czego nie czuję. Piękna żona, którą stryj Victor przywiózł sobie z Ameryki Południowej, egzotyczna, daleka, niedostępna. Taka była zawsze dla mnie.. Tyle mnie obchodzą jej losy, ile ją obchodziły moje.

To znaczy wcale. Ale może pan znają lepiej niż ja. Może dlatego pan tu jest teraz. Jakiś flirt w czasie budowania Spod Obłoków... było coś tego rodzaju?

- Bezpodstawne i obraźliwe posądzenie. - Nie uraziłem go.

Uśmiechał się nadal irytująco.

- Sądzę, że zupełnie logiczne, ale nie będę się upierał, jeżeli pan tak stanowczo zaprzecza.

- Stanowczo. - Wstałem, bo doprawdy miałem go dosyć. - I już się pożegnam.

- No to cześć. - Poza tym, że spojrział w górę na mnie, nie drgnął mu ani jeden mięsień. - Niech pan zapamięta moje słowa. Może ktoś gdzieś zaciera ręce, tak się cieszy z tego, co spotkało Consuelę. Pan musi tylko wykryć, kto.

Zostawiłem go uśmiechniętego, rozpartego na krześle we mgle papierosowego dymu. Zanim doszedłem do hotelu, gniew mi prawie minął i żalowałem, że dałem się rozdrażnić. Coraz przemożniej nasuwało mi się przypuszczenie, że Spencer Caswell z całym swoim cynizmem i sarkazmem przypadkowo utrafił sedno. Może dla mordercy nie było ważne, kto padnie ofiarą, byleby za morderstwo odpowiadała Consuela. Może ktoś przez cały ten czas pragnął, żeby ją uwięziono i w końcu stracono.

Potem, gdy skręcałem na korytarz prowadzący do mojego pokoju, raptownie nasunął mi się wniosek tak oczywisty, że głośno wykrzyknąłem:

- Jasne!

Aż złąkła się pokojówka popychająca wózek z bielizną. Przeprosiłem ją bełkotliwie i poszła dalej, a ja oparłem się o ścianę, przypominając sobie, co Hermione mówiła o reakcji Victora na śmierć Rosemary. Victor nie wydawał się zaskoczony. Hermione miała wrażenie, że spodziewał się tego. „Ale to przecież niemożliwe, prawda?” Jej słowa połączyły się ze słowami Spencera. „Bo to ją usuwa z drogi... najbardziej skutecznie”. Ogarnęło mnie przewrotne uczucie ulgi. Oto nareszcie znam imię i cel owego wroga i już wiem, co zrobić, żeby uratować przed nim Consuelę.

VII

- Wywczas, Geoffrey? To najbardziej nieoczekiwana propozycja, muszę przyznać.

- Powiedziałbym, że w samą porę. Zima nadchodzi. Muszę odechnąć. Chwilowo nie mam dużo pracy, więc czemuż by nie?

- Czemuż by nie, rzeczywiście. W listopadzie na francuskiej Rivierze jest o wiele przyjemniej niż w Londynie. - Angela oczami nagle maślanymi patrzyła gdzieś poza mnie na coś, co istniało tylko w tej komedii, jaką dla niej wystawiałem. Skłamałem się w duchu za to, że pozwalam jej wybrać jakiś bardzo pochlebny powód, dla którego proponuję ten wyjazd. - Chyba nie byliśmy na kontynencie od... no, od naszej podróży poślubnej.

- Więc czas, żebyśmy tam pojechali. Bazę zrobimy sobie w Nicei. Wynajmiemy auto i będziemy jeździć po wybrzeżu w jedną i drugą stronę. Cannes. Monte Carlo. Cap-Ferrat. Przez dwa albo trzy tygodnie. Odprężymy się, rozerwiemy.

Szczery i promienny uśmiech na twarzy Angeli świadczył, że się nabrała.

- Tak - powiedziała - to doskonały pomysł. Że też nigdy dotąd nie pomyśleliśmy o czymś takim.

- Trochę potrwa, zanim ustawię sprawy przed wyjazdem.

- Nieważne. Będę miała na co czekać.

- Świetnie. Więc ustalone.

Znów zaczęliśmy czytać, ja gazetę, Angela ostatni z wielostronicowych listów swojej matki. Była niedziela po moim powrocie z Hereford i chwila, którą uznałem za najodpowiedniejszą, żeby wprowadzić w życie swój plan. Chodziło mi o to, by zobaczyć się z Victorem, wyłapać szereg przypadkowych napomknięć czy oznak świadczących, że on więcej wie o śmierci Rosemary niż mógłby wyjawić. Najwidoczniej to jego pretensje o chwasty skłoniły Banyarda do nabycia środka

chwastobójczego z arsenikiem. Jeżeli chciał się pozbyć Consueli - chociaż w gruncie rzeczy nie miałem na to żadnego dowodu - sprawy ułożyły się dla niego jak najlepiej. W tym świetle jego wyjazd na Cap-Ferrat wydawałby się ucieczką przed niepożądanymi pytaniami. Właściwie nic nie zbijałoby mojej teorii; śmierć Rosemary dowiodła, że cukier podany wtedy do podwieczorku zawierał zabójczą dawkę arseniku. Ale gdyby Rosemary nie przyjechała niespodzianie i nie wzięła tej dawki, jakim sposobem Victor zdołałby wziąć tylko niezbyt groźną resztkę? Roztrząsałem to wszystko raz po raz i nie znajdowałem odpowiedzi. Cała nadzieja leżała w tym, że dojdę do prawdy, gdy już z Victorem porozmawiam.

Dodatkowo dręczyło mnie inne zagadnienie. Komu rzeczywiście, zastanawiałem się, próbuję pomóc? Consueli, której nie widziałem od dwunastu lat? Jacincie, która może jest moją córką, ale też może tylko pragnę w to wierzyć? Moje sumienie potrzebowało rachunku, moje życie potrzebowało wytkniętego celu. Otóż w nieszczęściu Consueli znalazłem zarówno zagadkę do rozwiązania, jak pokutę do odprawienia.

Tamtego dnia po południu poszedłem na cmentarz Brompton, położyłem na grobie Edwarda świeże kwiaty i powiedziałem mu, co usiłuję zrobić. Moim wrogiem stała się śmierć - małego Edwarda, nieprzewidziana, będąca dla mnie faktem dokonanym, i Consueli, majająca na końcu długiego procesu. Edward milczał, oczywiście, słuchał cierpliwie, a potem patrzył, jak odchodzę. Ani nie krytykował, ani nie aprobował. A przecież był moim spowiednikiem.

Wieczorem napisałem do Jacinty. Uprzedziłem ją, że przyjadę, zapytałem, czy moglibyśmy się spotkać w Cap-Ferrat niby przypadkiem i czy mogłaby jakoś sprawić, żebym spotkał się też z Victorem. Nie wątpiłem, że chytrze coś wymyśli. O moich podejrzeniach o do Victora nie napomknąłem. Przy całej swej przedwczesnej dorosłości, nawet Jacinta nie byłaby gotowa przyjąć, że jej ojciec chce doprowadzić do zguby jej matki.

W kilka dni później na Frederick Place odwiedził mnie Windrush. Przyszedł prosto z kancelarii sir Henry'ego Curtis-Bennetta, tego znakomitego adwokata. Z zadowoleniem zameldował, że sir Henry zgodził się poprowadzić obronę Consueli. Najwidoczniej ujęty jej godną postawą i stanowczością, z jaką zeznawała na przesłuchaniu, sir Henry jednak w tej fazie sprawy nie wyrażał zbytniego optymizmu. Miał się spotkać ze swoją klientką, kiedy tylko to będzie możliwe,

i wtedy ocenić perspektywy. W każdym razie powiedział, że zrobi wszystko, co będzie mógł, czyli zdaniem Windrusha wszystko, co ma najlepszego do ofiarowania angielska palestra.

W następną sobotę pojechałem do Wendover, żeby porozmawiać z Imrym. Jemu przynajmniej mogłem się zwierzyć ze stanu moich uczuć, a poza tym było wiele do opowiadania. Nagłe pojawienie się Jacinty. Szczegóły pobytu w Hereford, wątpla teoria, którą ukulem dla oczyszczenia Consueli. Słuchał mnie, ku mojemu zdumieniu i rozczarowaniu, wyraźnie strapiiony.

- Naprawdę myślisz, Geoffrey, że ta dziewczynka jest twoją córką?

- Z jakiego innego powodu Consuela przysłałaby ją do mnie?

- I zamierzasz poznać z nią Angelę?

- Nie chcę, żeby Angela podejrzewała cokolwiek. Raczej nie mógłbym pojechać do Nicei sam.

- Nie jestem pewny, czy w ogóle powinieneś tam pojechać.

- Więc co mi radzisz? Machnąć na to ręką? I niech sprawiedliwości stanie się zadość, chociaż ta sprawiedliwość jest beznadziejnie ślepa?

- Jeszcze nie posądzaj sprawiedliwości o ślepotę. Skąd Victor Caswell, gdyby zatruił ten cukier, mógłby wiedzieć, że nie połknie zabójczej dawki arseniku? I dlaczego chciałby tak strasznie ryzykować?

- Właśnie to zamierzam zbadać.

Imry patrzył na mnie przez chwilę milcząc, po czym powiedział:

- Życzę ci szczęścia, Geoff. Oby się okazało, że masz rację, na prawdę mam taką nadzieję. Bo jeżeli ty nie...

- Tak?

- Obawiam się, że ta sprawa źle się skończy... zarówno dla ciebie, jak dla Consueli.

W końcu wyłoniła się data naszego wyjazdu - 5 listopada. Entuzjizm Angeli wzrastał, w miarę jak ten dzień się zbliżał, i coraz trudniej było mi to znosić. Stała się otwarta i czuła bardziej niż kiedykolwiek po śmierci Edwarda, bo myślała, że ja szczerze chcę przerzucić most nad dzielącą nas przepaścią. Gdybym przewidział, że tak zareaguje, chyba bym proponując wyjazd powiedział jej prawdę; teraz było za późno. Dała się nabrać.

1 listopada - gdy już zacząłem się obawiać, że przed wyjazdem nie dostanę listu od Jacinty - list przyszedł. Przez cały tydzień przyjeżdżałem do biura specjalnie wcześniej, zanim Kevin czy Doris rzucą na

pocztę ciekawym okiem. Aż dopiero w ten poranek poczułem ulgę: wśród rachunków i okólników w drucianej skrzynce leżała koperta z francuskim znaczkiem.

Kaligraficznie, bez zarzutu, Jacinta pisała tak, jak mówiła: poprawnie, rozsądnie, dorośle. Czytałem ten list jeszcze stojąc w kapełuszu i w płaszczu. To było tak, jakby znów siedziała naprzeciwko mnie i wlepiała we mnie swe duże oczy - tak jak bym patrzył na tę małą twarzączkę, niewzruszoną i poważną.

*Villa d'Abriçot
Saint Jean-Cap-Ferrat
Alpes Maritime
France*

18 październik 1923 rok

Szanowny Panie Staddon,

Pański list z dnia 21 czekał na mnie w urzędzie pocztowym kiedy tam przyszłam wczoraj. Dziś wieczorem mam pierwszą sposobność, żeby Panu odpisać. A to dlatego, że moja guwernantka, panna Roebuck, wciąż mi przeszkadza. Ale dziś wieczorem pojechała gdzieś z moim ojcem i majorem Turnbullem.

Szkoda, że Pan nie dowiedział się więcej w Hereford. Czasu jest mało, Pan wie. Naprawdę bardzo mało.

Jeżeli Pan jest pewny, że Pana wyjazd tutaj pomoże, to naturalnie powinien Pan przyjechać. Co rano o dziesiątej panna Roebuck zabiera mnie na spacer na Promenade Maurice Rouvier. To jest dla pieszych i koło końca ogrodu biegnie do Beaulieu-sur-Mer. Czasem ojciec idzie z nami. Czasem musimy brać pudła majora Turnbulla. On jest duży, stary, gruby i nie miły jak jego właściciel. Normalnie pijemy kawę w hotelu Bristol w Beaulieu o godzinie jedenastej. Potem wracamy. Dochodzimy do willi koło południa. Więc widzi pan, jak łatwo nas spotkać. Będzie się wydawało, że to zbieg okoliczności. My będziemy wiedzieli naturalnie, że wcale nie.

Nie podoba mi się tutaj. W tej willi jest bardzo wygodnie, ale ja chcę być z powrotem w Anglii blisko mojej mamy. Nie mogę za dużo o mamie pisać, bo się niepokoję, kiedy o niej myślę. A naturalnie, myślę o niej ciągle. Czy Pan się z nią widział? Niech mi Pan powie, jeżeli Pan będzie mógł.

Major Turnbull święcie wierzy, że dzieci go lubią. Ja go nie lubię. I Panu się przyznam, że uważam, że on jest kompletnie okropny.

Mnóstwo żartuje. Mój ojciec śmieje się z jego żartów, chociaż wcale nie są zabawne. Jak może się śmiać, pytam Pana, w takim czasie? Nic podoba mi się ten wpływ majora Turnbulla na niego, bo nie jest przyzwoity. I panna Roebuck, odkąd tu przyjechaliśmy, zachowuje się bardziej jak wielka dama niż jak guwernantka. To mi się także nie podoba, ponieważ to nie jest w porządku.

Muszę już kończyć. Pokojówka majora Turnbulla przyjdzie sprawdzić, czy już leżę w łóżku. Będę czekać niecierpliwie na nasze spotkanie. Proszę, proszę, niech Pan ma szczęśliwą podróż.

*Z poważaniem
Jacinta Caswell*

Przeczytałem ten list do końca, usiadłem przy biurku i przeczytałem po raz drugi. Staranne sformułowania złożyły się na obraz samotnej skrytej dziewczynki, która musi być tam, dokąd ją przywiózł ojciec, ale pragnie być gdzieś indziej i buntuje się przeciwko wszelkim najbardziej nawet nieistotnym szczegółom narzuconego jej trybu życia. Nawet musi odbywać poranne spacerki nad Morzem Śródziemnym, podczas gdy jej matka...

Rozgoryczyła mnie myśl, jak inne, może o wiele szczęśliwsze, byłoby życie Jacinty i Consueli, i moje również, gdybym nie uciekł z domu Spod Obłoków pewnego dnia o świcie dwanaście lat temu. Hotel Thornton nie powstałby według mego projektu, więc by się nie spalił. Angela wyszłaby za mąż nie za mnie. Edward by się nie urodził, żeby umrzeć tak młodo. Consuela nie zostałaby porzucona, Victor nie mógłby dalej sprawować nad nią władzy. Wszystko to - każdy moment i każde wydarzenie, każda porażka i każda tragedia - było w pewnym sensie z mojej winy.

Biedna Jacinta. Nie miałem jej za złe rozdrażnienia wobec mierzalnych efektów mojego śledztwa w Hereford. Denerwując się dzień w dzień w willi Abricot nie wie, co zacząłem podejrzewać.

Pomyślałem o Victorze Caswellu, uśmiechniętym, pewnym siebie i zrelaksowanym - jak on widzi tę sytuację, gdy dni mijają i proces Consueli się zbliża? Czy jest z siebie zadowolony? Czy uważa, że osiągnął swój cel? Jeśli tak, to jego ufność się zachwieje. Jeszcze tylko tydzień i stanę przed nim twarzą w twarz, i wreszcie będę wiedział, czy moje podejrzenia są słuszne.

Sięgnąłem po stojący przy bibularzu na biurku mosiężny przycisk do papieru, zacisnąłem palce z całej siły. Tylko tydzień i będę wiedział!

Przyjechałem z Angłą do Nicei przed południem 6 listopada. Wyjechaliśmy z Londynu rano poprzedniego dnia, zimnego i deszczowego, ale wybrzeże Marsylii powitało nas wschodem słońca po prostu wspaniałym. W wagonie restauracyjnym popijając kawę, patrzyliśmy, jak Morze Śródziemne toczy roziskrzone fale na plaży pomiędzy Cannes i Niceą. Radość z tego, że jesteśmy gdzieś, gdzie nigdy dotąd nie byliśmy, wydawała się niemal namacalna. Angela wciąż się uśmiechała i gawędziła wesoło. Ciepły słoneczny blask sprawiał, że cieszyła się raz wyjątkowo moją obecnością. Gdybyśmy odbywali taką podróż przedtem, gdybym nie miał ukrytych pobudek, rozkoszowałbym się wrażeniami tak jak Angela. Niestety, w tym stanie rzeczy...

Taksówka z dworca powiozła nas zatłoczonymi ulicami Nicei. Z obu stron wznosiły się wysokie domy z okiennicami. Staruszkowie o twarzach ogorziałych i pomarszczonych siedzieli w ulicznych kawiarniach, gołębie dziobały płyty chodnika u ich stóp. Gospodynie domowe chodziły po sklepach objuczone wiązkami bagietek. Drogę przecięł nam ze szcękami przepełniony tramwaj. A potem skręciliśmy na nabrzeże i w jednej sekundzie zobaczyliśmy cały urok Riwiery. Liście palm chwiały się nad majętnymi nierobami, próżnującymi na szerokiej promenadzie, Morze Śródziemne błyskało szafirowo, a przed nami różowa kopuła oznaczała koniec podróży. Hotel Negresco.

Po kilku minutach już staliśmy na balkonie naszego pokoju i patrzyliśmy na Baie des Anges. Słońce grzało nas w twarze, ale suche powietrze było zimne. Za nami pysznił się luksusowy apartament, poniżej pyszniło się miasto luksusowych wywczasów.

- Jest cudownie. - Angela wychyliła się za balustradę. - Myślę, że będzie mi tu bardzo dobrze. - Odrzuciła w tył głowę, przymknęła oczy i odetchnęła głęboko. Jej opadające na ramiona włosy złożyły się w blasku słońca. Tak samo, przypomniałem sobie, jak na balkonie hotelu nad Jeziorem Maggiore, gdyśmy tam przyjechali na nasz miodowy miesiąc. To było w pogodne popołudnie w czerwcu 1913 roku, na rok przed wojną i przed ukończeniem budowy hotelu Thornton, i przed narodzinami Edwarda. Wtedy przesunąłem ręką po jej plecach i pocałowałem ją w szyję, a ona się roześmiała, i przeszliśmy z balkonu do pokoju, i powoli się rozebraliśmy. A teraz... rękę trzymałem w kieszeni i nie mówiłem nic, bo cichy głos w głębi duszy wciąż mi szeptał, po co rzeczywiście przyjechałem do Nicei, i już tylko czekałem na właściwą chwilę.

Trzeciego dnia pobytu w Nicei wynająłem auto. Przez poprzednie dwa dni ćwicząc cierpliwość, żeby nie przyspieszać tego wstępnego posunięcia i zapobiec późniejszemu podejrzeniu, że to wszystko uknułem - towarzyszyłem Angeli ulegle, gdy krążyła po sklepach kuśnierzy i jubilerów, po perfumeriach i domach mody. Jej wcale nie nudziły takie ekspedycje ani spacerzy nad zatoką, ani zawieranie znajomości z rodakami w hotelu.

Przejażdżki jednak też jej odpowiadały. Wynająłem okazałą brązową jak kasztan lancię z odpinaną budą i na szerokiej drodze szybko poczuła się w swoim żywiole. Wozilem ją szosą z Comiche do Mentony albo w głąb łądu krętymi bocznymi szosami poniżej ośnieżonych szczytów gór; wiatr rozwiewał jej włosy i coraz lepiej nam było ze sobą. Gdybym ją zabrał do Nicei w nadziei, że się do siebie zbliżymy, zrobiłbym jak najbardziej obiecujący początek. Z tego właśnie powodu - a także ze zdenerwowania na myśl o wyniku - odsuwałem wyreżyserowane spotkanie z Jacintą. Raz zawiozłem Angee do Beaulieu, ale wypiliśmy herbatę w Metropolu, a nie kawę w Bristolu i nie włożyliśmy się po deptaku prowadzącym na Cap-Ferrat. Dojechaliśmy na sam koniec półwyspu i zawróciliśmy mijając liczne piękne wille. Żadna z nich jednak nie była willą d'Abrirot.

Aż ostatecznie to Angela sama zdecydowała.

- Zatrzymamy się tutaj, żeby rozprostować nogi? - zapytała, gdy rankiem jadąc do Monte Carlo zbliżaliśmy się do Beaulieu. Był to nasz pierwszy poniedziałek w Nicei - 12 listopada - bezchmurny, słoneczny po ulewnej niedzieli. Spojrzałem na zegarek: wpół do jedenastej. Akurat pora, sposobność doskonała. Nie mogłem Angeli od mówić. Nie mogłem dalej zwlekać.

Zatrzymałem auto przed kasynem i wysiedliśmy. Zalesiona flanką Cap-Ferrat zachwycała swoją zielenią w słońcu, spośród drzew wyłaniały się terakotowe dachy ekskluzywnych rezydencji.

- O ile wiem, gdzieś tutaj jest jakaś droga dla pieszych do Saint Jean-Cap-Ferrat - rzuciłem niedbale.

- To chodźmy tam - powiedziała Angela. Szykowna w kapeluszu z szerokim rondem i lekkim kremowym płaszczu na żółtej sukience, zdecydowanie ruszyła długim krokiem. Zupełnie tak, jakby to jej się śpieszyło do spotkania, które w tajemnicy przed nią zaplanowałem. Zapaliłem papierosa, żeby opanować nerwy, i dogoniłem ją.

Ta droga dla pieszych była odgałęzieniem szosy przy wschodnim Baie de Tourmis. Ruszyliśmy tam pomiędzy niebieską wodą zatoki za

niskim murem z lewej strony i drzewami w ogrodach z prawej. Serce mi załomotało na widok zbliżającej się ku nam gromadki, ale wśród tych ludzi nie zobaczyłem Jacinty. Skarciłem się w duchu. Do licha, spokojnie, to ma wyglądać na przypadek, na coś zgoła niespodziewanego.

Zatrzymaliśmy się przy ławce stojącej we wgłębieniu muru i patrzyliśmy wstecz na wytworne, otoczone palmami hotele w Beaulieu. Angela też zapaliła papierosa. Przeniosła wzrok na zatokę.

- Dlaczego zaproponowałeś mi właśnie Niceę, Geoffrey? - zapytała wychylając się za mur, tak jak przedtem wychyliła się za balustradę na balkonie w hotelu Negresco.

- Dlatego że nigdy tu nie byliśmy.

- Tylko dlatego?

- A powinien być inny powód?

- Nie... poza tym że... to był pomysł jak prosto z nieba. Nic więcej nie miałam na myśli.

- Och, ja...

Usłyszałem za sobą kroki. Angela już tam patrzyła. Mógł znowu zbliżyć się ktoś obcy, a przecież wyczułem, że tak nie jest. Odwróciłem się powoli, nakazując sobie panować nad twarzą i głosem, żeby mnie nie zdradziły.

Niedaleko stała Jacinta w różowej sukience i ciemnym płaszczyku. Twarz jej przysłaniało rondo filcowego kapelusika. Na długim łańcuchu w jej ręce prężył się duży marmurkowo-szary pudel.

- Dzień dobry - powiedziała z powagą.

- Dzień dobry - odpowiedziała Angela. - Jesteś Angielką, panienko?

- Tak.

- Tutaj na wywczasach?

- Właściwie nie. - Jacinta spojrzała przelotnie na mnie, a potem przez ramię. - Idzie mój ojciec.

Zbliżały się dwie osoby. Jedną był Victor w ubraniu z samodziału, w swetrze w norweski wzór i kapeluszu zsuniętym na tył głowy. U jego boku szła, jak się domyśliłem, panna Roebuck. Wysoka, prawie tego samego wzrostu co on, w wełnianym kostiumie i kapeluszu-kasku, czyli w typowym uniformie paniusiowatej guwernantki. Sama nie miała w sobie nic z „paniusi”. Ze swym wydatnym nosem i mocno zarysowaną szczęką nie była konwencjonalną pięknoscią, ale jej dumne rysy i świadcząca o pewności siebie postawa natychmiast przyciągały wzrok.

- Staddon! - wykrzyknął Victor zatrzymując się na mój widok - Co do diabła...

- Cześć, Caswell - skinąłem głową i przyjrzałem mu się, ciekaw, czy bardzo się zmienił w ciągu tych dwunastu lat. Chyba nie bardzo. Tyle że wąsy mu poprzetykała siwizna i twarz zeszczupełała prawie na podobieństwo jego chudego brata. Musiał mieć teraz około pięćdziesięciu pięciu lat, ale można by myśleć, że ma czterdzieści pięć, tak nienaruszona przez czas była ta odporna arogancja sprawiająca, że chodził jak paw i uśmiechał się szyderczo.

- Geoffrey, znasz tego pana? - zapytała Angela.

- No tak, rzeczywiście znam. Pan Victor Caswell... moja żona, Angela. - Stałem między nimi, gdy podali sobie ręce. - Cóż za niezwykły zbieg okoliczności - ciągnąłem. - Pan zatrzymał się gdzieś tu w pobliżu?

- Royston Turnbull mieszka na Cap-Ferrat - powiedział Victor. - Nie wiedział pan?

- Nie jestem pewny. Jeżeli wiedziałem, to zapomniałem.

Angela spojrzała na mnie przenikliwie. Nazwisko Caswell coś jej mówiło i już się zastanawiała, czy to spotkanie rzeczywiście jest takim zbiegiem okoliczności, jak mówię.

- To jest, proszę pani, moja córka... Jacinta. I guwernantka Jacinty... panna Roebuck.

Patrzyłem na pannę Roebuck, a ona patrzyła na mnie. Z bliska jej skromny kostium okazał się przebraniem. Bezpośredniość jej wzroku i uniesienie podbródka przeczyły jej statusowi.

- Miło mi, panie Staddon. - Głos miała łagodny, niski, a przecież niewątpliwie aktorski, ton wyćwiczony, umiejętnie modulowany. - Pan projektował Spod Obłoków, jeśli się nie mylę?

- Tak, ja.

- To piękny dom. Należą się panu gratulacje.

- Dziękuję. - Instynkt mi nakazywał mówić tej kobiecie możliwie jak najmniej! Wykryłem w niej cechę, z jaką nie spotkałem się nigdy przedtem. Na cokolwiek, choćby krótko, zwracała uwagę, była to uwaga całkowita, koncentracja absolutna. Dopóki patrzyliśmy na siebie, nic we mnie nie uszło dla niej niespostrzeżenie. Czułem się do głębi nieswojo. Jak gdybym zamiast oczu miał okna, przez które widać każdą ukrytą myśl. Odwróciłem się szybko do Victora.

- Z przykrością czytałem o pana ostatnich rodzinnych kłopotach - powiedziałem trochę drżąc. - To musi...

- Kłopoty! Cóż za niedomówienie, Staddon. Moja żona próbowała mnie zamordować.

- To musiało być niezmiernie smutne przeżycie, panie Caswell - odezwała się Angela daremnie pojednawczo. - I wiem, że jednocześnie spadła na pana żaloba. Z pewnością mój mąż przyłącza się do mnie w wyrażeniu najgłębszego współczucia.

- Dziękuję, pani Staddon. Bardzo pani łaskawa. Co państwa sprowadziło na Cap-Ferrat, jeśli wolno zapytać?

- Urlop - zerknęła na mnie złowieszczo. - Nic poza tym.

- Więc mam nadzieję, że pobyt będzie przyjemny. A teraz państwo darują...

- Nie zaprosi ich tatuś do willi? - wtrąciła się Jacinta - Pan major by żałował, że to go ominęło. I ja pierwszy raz widzę pana Staddona. Chciałabym posłuchać, jak budował Spod Obłoków.

- Tak budował, jak mu kazałem.

- Na pewno pan jest bardzo zajęty - powiedziała Angela. Nie chcemy być intruzami, prawda, Geoffrey?

- Intruzami? - powtórzyłem - Nie. Oczywiście, że nie.

Victor już otworzył usta, ale cokolwiek miał powiedzieć, rozmyślił się. Doznałem prawie nieuchwytnego wrażenia, że panna Roebuck, gdy na nią spojrział, dała mu ręką czy oczami znak, żeby się wypowiedział ostrożnie. W każdym razie uśmiechnął się i zaczął z innej beczki.

- Moja córka chyba ma rację. Może by państwo poszli z nami do willi d'Abrirot? Właśnie tam wracamy. Royston nigdy by nam nie przebaczył, gdybyśmy nie skorzystali z takiej sposobności.

- Czy my mamy czas, Geoffrey? - sprzeciwiła się Angela. - Czy nie powinniśmy już jechać?

Odpowiedziałem unikając jej wzroku:

- Nie śpieszymy się. Z przyjemnością, Caswell, z przyjemnością pójdziemy.

- Więc świetnie - powiedział Victor.

Zerknąłem na pannę Roebuck i znów wyczułem jej niezwykłą spostrzegawczość. Wychwytywała wszystkie znaczące niuanse tej rozmowy. Wiedziała, że Victor i ja się nie lubimy i że Angela mi nie ufa, i że Jacincie zależy na przedłużeniu naszego spotkania. A co ja wiedziałem? Tylko to, że ona, nie Victor, ostatecznie zdecydowała, co dalej.

Przeszliśmy pół mili do willi d'Abrirot w różnym stopniu odczuwając niezręczność sytuacji. Angela i panna Roebuck u moich boków

omawiały odmładzające działanie śródziemnomorskiego powietrza. Victor z rękami splecionymi na plecach kroczył przed nami. Jacinta ciągnąc zaślinionego Bolivara zamykała tyły. Kilka razy przez ramię spojrziałem na nią ukradkiem, uśmiechała się wtedy do mnie tak, jakby mi dodawała otuchy.

Wreszcie doszliśmy do łukowatych drewnianych drzwi w kamiennym murze ciągnącym się z prawej strony drogi. Victor szarpnął klamkę, ale drzwi się nie otworzyły. Panna Roebuck dała mu klucz. Zgrzytnął zębami, zirytowany, otworzył drzwi tym kluczem i wprowadził nas na strome schody.

U szczytu schodów na oplecionych bluszczem cokołach siedziały dwie uśmiechnięte kamienne małpy. Znaleźliśmy się w dużym ogrodzie pełnym roślinności tak bujnej i rozmaitej, że prawie wydawał się rezerwatem przyrody. Teren opadał na wschód, żwirowane alejki biegingy w kilku kierunkach ku ciemnym koronom sosen i jodeł. Za nami wzdłuż muru sterczały w niebo ogromne kaktusy. Przed nami palmy wznosiły się ponad gąszcza bambusów i rododendronów. I wszędzie rozpiwały się gołe wąsy jakiegoś pasożytniczego pnącza, zduszając krzewy i spowijając mur.

Jacinta spuściła Bolivara z łańcucha. Susami popędził w głąb ogrodu. Gdy zniknął nam z oczu, odwróciłem się do Victora i zapytałem niedbale:

- Od dawna major Turnbull tu mieszka?

Victor milczał. Po chwili odpowiedziała za niego panna Roebuck.

- O ile wiem, zamieszkał tutaj po wycofaniu się z interesów w Ameryce Południowej. Piętnaście lat temu. - Uśmiechnęła się do mnie. - Czy tak, panie Caswell?

- Mm? Tak. Mniej więcej.

Idąc szczególnie zarośniętą alejką nagle zobaczyliśmy dom. Stał wysoko na zboczu, na którym rozciągał się ogród, za stawem z liliami wodnymi otoczonym palmami, poniżej porosłej trawą skarpy. Była to konwencjonalna willa śródziemnomorska właściwie kwadratowa, przedłużona z boku oranżerią. Środkową trzecią część piętra zajmowała loggia z łukami i filarami. Kontrastowały z nią klasycznie proste okna w białych framugach przy morelowym kolorze ścian.

- Lekarze zalecili mi wypoczynek, spokojną rekonwalescencję po zatruciu - burkliwie wyjaśnił Victor, jak gdyby nagle uznał, że jego

pobyt w tej willi wymaga usprawiedliwienia. - Jeszcze niezupełnie wróciłem do zdrowia.

Już wrócił, pomyślałem. Angela lekko marszcząc brwi, przytaknęła mu ze zrozumieniem. To mnie sprowokowało.

- I tutaj nie ma - zauważyłem - tych wszystkich plotek i rozgłosu.

- Właśnie! - Victor spojrział na mnie spode łba - Należy chronić Jacintę przed mieleniem języków osób źle poinformowanych.

- Oczywiście. - Angela znów mu przytaknęła. - Rozumiemy pana, prawda, Geoffrey?

Znów postarałem się uniknąć jej wzroku.

- Tak - powiedziałem. - Ja raczej rozumiem.

Za stawem weszliśmy po schodkach na skarpe i Victor poprowadził nas zwirowaną alejką na tyłach domu do oranżerii, mijając rząd poplamionych grzybem kamiennych mitycznych bestii, z których każda - skrzydlaty smok na dwóch nogach, gryf, tryton i bazyliżek - uśmiechała się tak obłudnie jak małpy na końcu ogrodu. Oranżeria była przesadnie łukowatym połączeniem szkła i żeliwa, ciemnowym i pełnym paproci. Wkroczyliśmy wąskimi bocznymi drzwiami w słodka duchotę. Ptaki gdzieś w niewidocznej klatce śpiewały na całe gardziołka, woda w fontannie pluskała melodyjnie. Wydawało się, że wielkie liście egzotycznych roślin sklepiają się zewsząd kręgiem nad stojącymi pośrodku półkolem wyplatany fotelami z loziny. W jednym z tych foteli byczył się zgodnie ze swoją naturą major Royston Turnbull.

Utył od czasu, gdy go ostatnio widziałem, i włosy mu trochę spłowiały przed osiwieniem. Ale był nadal rozbrajająco przystojny. Jego wzrost i krój luźnego kremowego ubrania równoważyły otyłość. Nogi opierał o podnózek, na kolanach miał gazetę, przed sobą na niskim stoliku usiany okruchami talerz, pustą filiżankę po kawie i spodek z niedopałkiem cygara, obok siebie stojący pomiędzy jego fotelem i sąsiednim posąg nagiej kobiety. Była wielkości naturalnej, rozkosznie zbudowana i wprost omdlewała w ekstazie, o czym świadczył wyraz jej twarzy. Właśnie głaskał jej kamienny zadek. Zatrzymując rękę na prawym pośladku, uśmiechnął się do nas z daleka.

- No, no, Victor - powiedział. - Twój spacer okazał się niezwykle owocny.

Wystąpiłem naprzód.

- Pan mnie pamięta, majorze?

- Nie groziło mi zapomnienie pana. W żadnym razie, Staddon. - Pożegnalnie klepnął posąg, zsunął nogi z podnóżka i wstał, żeby się z nami przywitać. Spostrzegłem, że kuleje, ale wspaniałą postawę zachował z dawnych lat. - Pańska małżonka, jak wnoszę? Błysnął uśmiechem do Angeli, natychmiast oczarowanej, co ja też natychmiast wyczułem, a potem zobaczyłem w jej oczach, gdy dokonywałem prezentacji.

- Państwo Staddon są tutaj na wywczasach - powiedział Victor. - Spotkaliśmy ich po drodze. Przypadkowo.

- Szczerliwy przypadek zaiste. Witam w Willi d'Abrirot, moim skromnym domu na obczyźnie. Czy mogę poczęstować państwa czymś dla poczekienia?

- Będzie nam bardzo miło - powiedziała Angela. Teraz już się nie powoływała na brak czasu.

- Może najpierw państwa oprowadzimy, panie majorze - wtrąciła się panna Roebuck. - Pan jest taki dumny z tej willi. - Uśmiechnęła się do Angeli. - Major Turnbull ma znakomitą kolekcję mebli i *objets d'art*, wie pani. Powinna je pani zobaczyć. Koniecznie.

- Kapitalna myśl, panno Roebuck - powiedział Turnbull. - To dla mnie prawdziwa przyjemność.

- Więc ty oprowadź panią Staddon - powiedział Victor. - A ja bym chętnie porozmawiał na osobności ze Staddonem. - Spojrzał na mnie.

- Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Ależ skąd.

- W takim razie - powiedziała panna Roebuck - Jacinto, powinienam cię stąd zabrać. Chodźmy.

Wyszła z Jacintą z powrotem do ogrodu, a Turnbull poprowadził Angelę ku otwartym oszklonym drzwiom, które łączyły oranżerię z domem. Po chwili Victor i ja zostaliśmy sami, patrząc na siebie ponad wzorzystym pledem Turnbulla i resztkami jego *petit dejeneur*. Twarz Victora była jak gradowa chmura. Duchota i przewidywanie, co on mi powie, sprawiały, że w kark kłuły mnie kropelki potu.

- Mam pełną relację z pana wizyty w Hereford, Staddon, więc możemy od razu darować sobie tę komedię o wywczasach. Dlaczego, do diabła, pan wtyka nos w moje sprawy?

- Nie nazwałbym tego wtykaniem nosa.

- Wypytuje pan Banyarda. Spiskuje pan z moja siostrą. I zjawia się pan tu nieproszony. Jak...

- To pan nie musiał nas tu zapraszać.

- Na Boga... - Chyba uznał, że powinien panować nad głosem. Podeszedł do oszklonych drzwi, zamknął je i odwrócił się do mnie. Po chwili już spokojniej, kontrolując gniew, powiedział: - Byłbym wdzięczny, gdyby pan wyjaśnił swoje postępowanie. Chyba przyzna pan, że wyjaśnienie mi się należy.

- Dobrze więc. Nie wierzę, że Consuela jest zdolna do morderstwa.

- Nie wierzy pan?

- Dlatego pojechałem do Hereford. I nic z tego, czego się tam dowiedziałem, nie zachwiało moją pewnością w tym względzie.

- I dlatego zdecydował się pan naprzykrzać tutaj także?

- Nie pozostawił mi pan dużego wyboru. Większość świadków dogodnie wyjechała z Hereford. I o ile się orientuję, pan nie zamierza wrócić przed procesem.

- Jaki pan ma w tym interes?

- Żaden. Tylko coś panu powiem. Mógł pan nabrać wszystkich, ale nie mnie.

Ruszył od drzwi powoli i zatrzymał się przy posągu, wygłaskanym przez Turnbulla. Nabrał tchu.

- Postawmy sprawę jasno - powiedział. - O co właściwie pan mnie oskarża?

- O nic... na razie. Ale ponieważ nie wierzę, że pana bratanicę otruła Consuela, muszę wierzyć, że zrobił to ktoś inny, ktoś, kto też był na tym podwieczorku, i kto, być może, zatarł ślady aplikując część tej trucizny sobie.

- W jakim celu, jeśli mogę zapytać?

- Przypuszczałem, że może dowiem się od pana.

Przesunął dłonią po szyi posągu.

- Co pana utwierdza w przekonaniu, że moja żona jest niezdolna do morderstwa?

- Wszystko, co o niej pamiętam.

- Wszystko? Pan jej prawie nie znał, o ile sobie przypominam. Czy chce mi pan przez to powiedzieć, że znał pan moją żonę lepiej niż myślałem? Lepiej niż najety architekt miał do tego prawo? - Zacisnęła palce na szyi posągu. Napotkał i przytrzymał mój wzrok. Jak dużo, czy też jak mało wie, nie mogłem odgadnąć, więc tylko niemo patrzyłem mu w oczy. - Jeżeli nie, to pana zainteresowanie tą sprawą jest po prostu bezczelnością.

- Niech pan nazywa moje zainteresowanie, jak się panu podoba.

Postaram się nie dopuścić, żeby ją powieszono z braku działania z mojej strony, które panu wolno krytykować.

- Może ona się zmieniła, odkąd pan ją widział ostatnio. Wziął to pan pod uwagę?

- Osoba tak szlachetna, łagodna jak pana żona...

- Szlachetna i łagodna. Pan nie wie, o czym pan mówi. Consuela nigdy nie była taka, chyba że chciała taka się wydawać komuś tak łatwowiernemu jak pan. Spokojna i cicha, przyznaję, tak spokojna i cicha, że słyhać jej chytrą tykającą jak bomba zegarowa. Zadowolona patrzyła, kiedy połykałem ten arszenik, i stała z założonymi rękami, kiedy omal nie wyzionąłem ducha. Jeżeli dla pana to ma być szlachetność i łagodność, jest pan naprawdę jeszcze głębszy niż sądziłem. A co do pomysłu, że ja mógłbym sam się zatruć, śmiały się panu w twarz, gdybym się nie litował nad pana wprost absurdalną ignorancją. Czy pan wie, jaką cholerną agonię powoduje arszenik? Oczywiście, że pan nie wie. Ja też nie wiedziałem, dopóki przez sześć godzin nie dusiłem się własną krwią. Omal nie umarłem, Staddon i to nie jest śmierć, której bym komukolwiek życzył. Lekarze mi powiedzieli, że gdybym miał słabszy organizm, nie wyszedłbym z tego. Poważnie pan myśli, że ja bym tak ryzykował? I po co? Co bym zyskał?

Jego gwałtowność mnie zdezorientowała. Już poczułem wątpliwości. Może to prawda. Może Consuela ostatecznie jest trucicielką.

- Pozbyłby się pan jej. Zyskałby pan wolność, żeby... żeby... - zaczął się i jak tonący brzytwy chwyciłem się argumentu: - Panna Hermione zauważyła, że wcale pan nie był zaskoczony. Jak gdyby pan się tego spodziewał.

- Bo też się spodziewałem. - Puścił szyję posągu. - Od wielu miesięcy spodziewałem się, że ona coś zrobi. Nie wiedziałem, co. Uciekanie, wywoła jakieś zamieszanie. Coś drastycznego w każdym razie. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że posunie się aż do morderstwa, ale kiedy się posunęła... Hermione ma rację, nie byłem zaskoczony.

- Jednak... jednak te anonimy. Dawniej anonimów nie otrzymywała.

- Sprowokowały ją, przypuszczam.

- Były zgodne z prawdą?

- Nie.

- Pan nie planuje następnego ożenku?

- Gdybym planował, rozwód byłby łatwiejszy niż morderstwo.

- Ale religia Consueli wyklucza rozwód.

- Nie w wypadku, gdybym ja wziął na siebie winę. Na miłość boską, Staddon, spójrz pan przytomnie na fakty. Consuela próbowała mnie otruć, bo mnie nienawidzi. Rosemary przypadkiem weszła w drogę. Consuela musi odpowiadać za zbrodnię. Proste, jasne jak słońce. Nie wiem, dlaczego pan się w to miesza... i nie chcę wiedzieć... ale dobrze panu radzę... zrezygnuj pan z tego. W przeciwnym razie... - urwał i spojrzął poza mnie. - O co chodzi?

Odwracając się zobaczyłem w pobliżu Johna Gleasure'a. Nie słyszałem, jak wszedł, ani też przypuszczalnie nie słyszał Victor. Gleasure miał teraz włosy rzadsze niż przed laty, ale nadal kruczoczarne i przyлизane brylantyną. Był w ciemnych spodniach, białej koszuli, w krawacie i kamizelce w paski. Jego twarz, starannie pozbawiona wyrazu, świadczyła, że potrafi doskonale przedzierzgnąć się z usługowego lokajczyka w pełnego atencji, panującego nad sobą pokojowca.

- Nie wiedziałem, że pan już wrócił, proszę pana. Dopiero pan major Turnbull mi powiedział. Może jestem panu potrzebny?

- Nie.

- Czy Gleasure mnie pamięta? - zapytałem.

- Pamiętam, panie Staddon. Przyjemna niespodzianka zobaczyć pana znowu po tylu latach. - Ale jego twarz, oczywiście, nie mówiła nic ani o przyjemności, ani o niespodziance.

- Pan Staddon nie wierzy, że pani jest trucicielką, Gleasure - powiedział Victor raptownie. - Prawdopodobnie zasięgnie twojego zdania, zanim z tym skończy, więc równie dobrze możesz się wypowiedzieć teraz.

- Ja bym nie ryzykował żadnego zdania, proszę pana.

- Zmusz się.

Ciężki nacisk Victora zbilby z tropu niejednego służącego, ale nie Gleasure'a.

- Niedowierzenie pana Staddona jest zrozumiałe, ale fakty nie pozwalają na żadne inne wnioski. Czy to wystarczy, proszę pana?

- Czy to wystarczy, Staddon?

Przytaknąłem.

- Wystarczy.

Gleasure odwrócił się na pięcie i wyszedł, z cichym trzaskiem zamykając za sobą oszklone drzwi.

- Mam nadzieję - powiedział Victor - że to naprawdę jest wy starczające, Staddon. Nie spodziewam się usłyszeć od pana już nic w tym rodzaju.

- Nie mogę się do tego zobowiązać.
- Nie może pan doprawdy? - Podszedł bliżej. - Nie słyszę ostatnio o żadnych nowych budowlach pana projektu. Wycofał się pan z architektury?

- Nie.

- Więc tylko trudno o zlecenie po skandalu z pożarem hotelu Thornton. Oni zrobili z pana kozła ofiarnego. A pana żona jest córką starego Thorntona. To musi panu szczególnie wszystko utrudniać. Domyślałam się, że w małżeństwie też po tym skandalu nie układa się panu tak, jak się układało. - Popatrzyłem na niego groźnie i natychmiast wiedziałem, że chciał właśnie takiej mojej reakcji. Uśmiechnął się szeroko. - Co za chamstwo wtykać nos w cudze prywatne sprawy, prawda? - Uśmiech zniknął. - Teraz pan wie, jakie to uczucie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, drzwi od strony ogrodu się otworzyły i weszła Angela, zarumieniona i promienna. Turnbull kuśtykał za nią, uśmiechnięty zupełnie jak jego posągi.

- Geoffrey, dom majora Turnbulla jest po prostu śliczny - oznajmiła Angela.

- Niestety ja nie będę miał okazji go podziwiać.

- Bzdura - powiedział Turnbull. - Zaprosiłem was oboje na kolację w środę. Pana małżonka łaskawie przyjęła zaproszenie. Ufam, że nie będzie żadnych przeszkód.

- Nie. - Triumfalnie spojrziałem na Victora. - Żadnych.

Wyszliśmy przez ogród. Angela milczała, gdy mijaliśmy staw, i już wyczuwałem znowu tak dobrze znaną lodowatość. Odkrycie prawdziwego powodu, dla którego przyjechałem z nią do Nicei, na pewno głęboko ją zabolalo, tak jak mnie, szczerze mówiąc, zawstydziło. Ale ona by się nie przyznała. Od lat reagowała na rozdzźwięki między nami raczej milczeniem niż słowem. Ten ostatni rozdzźwięk nie był wyjątkiem.

Jacinta czekała w alejce. Uśmiechała się do nas i na pożegnanie ceremonialnie podała nam rękę. Zrozumiałem, dlaczego, gdy jej małą dłoń zamknąłem w swojej. Wcisnęła mi bardzo ciasno zwiniętą kartkę i lekkim przygryzieniem wargi zaznaczyła, że mam to trzymać w sekrecie.

Nie sprawiło mi to trudu, bo Angela nie chciała patrzeć na mnie. Włożyłem liścik do kieszeni i szedłem dalej. Na schodkach, prowadzących do furtki w murze, obejrzałem się. Jacinty już nie było.

Po koturnowym obiedzie w Beaulieu pojechaliśmy z powrotem do Nicei. I oto znów miałem żonę taką jak prawie zawsze przedtem: chłodną, daleką, trochę wzgardliwą. Pomyślałem wtedy - i nieraz myślę od tamtego czasu - że gdyby Angela pozwoliła sobie na gniew, na wybuch wściekłości, na zrobienie mi awantury, nasze małżeństwo nie stałoby się kałużą dławionej niechęci. Ale nie mogliśmy zmienić naszych charakterów, więc bezradnie grzęźliśmy w tej kałuży.

Ledwie weszliśmy do hotelowego pokoju, Angela oznajmiła, że chce się przespać, bo głowa ją boli. Zostawiłem ją i zszedłem do baru. Zamówiłem nierozcieńczoną whisky i usiadłem przy stoliku pod oknem. Blask listopadowego słońca sączył się na wspaniałą boazerię tak kojąco, że przestałem rozpamiętywać upokorzenie, doznane od Victora. Wyjąłem z kieszeni liścik Jacinty. Był to właściwie sążnisty list napisany maczkiem na bardzo cienkim papierze.

Szanowny Panie Staddon

Cieszę się, że Pan przyjechał. Teraz Pan sam widzi to wszystko. Ona się nie zachowuje jak guwernantka, prawda? Czasami myślę, że zachowuje się bardziej jak żona. To jest straszna myśl, ja wiem. Ale dlatego, że chcę, żeby moja mama wróciła zdrowo i cało, i szczęśliwie. I zbiera mi się na płacz. Ale nie będę płakać.

Myślałam, w jaki sposób sprawdzić pannę Imogen Roebuck. Ja nie mogę tego zrobić. Pan będzie musiał. Dowiedziałam się, u kogo pracowała przed przyjazdem do nas. Przyjechała w tym roku w maju, kiedy panna Sillifant odeszła. Wydaje się, że to dawno, ale to tylko osiem miesięcy.

Pułkownikostwo Browning, Jorum House na Blake Street, York. Tak było na tym liście. Gdyby pan mógł z nimi porozmawiać, może oni by powiedzieli, dlaczego od nich odeszła. Może by także powiedzieli Panu, jaka ona jest naprawdę. Bo pan rozumie, ja nie wiem. Chyba nikt z nas nie wie. Chyba ona nie chce, żebyśmy wiedzieli.

Niech pan się nie stara rozmawiać ze mną o tym, kiedy Pan znów będzie w willi, to za bardzo niebezpieczne. Listy są lepsze. Można je czytać w sekrecie, a potem spalić.

*Z poważaniem
Jacinta Caswell*

Posłusznie podarłem tę kartkę i wrzuciłem w ogień. Potem zamówiłem jeszcze jedną whisky i zacząłem się zastanawiać. Wierna,

niezmordowana Jacinta przypomniała mi, na czym powinienem się bezustannie koncentrować. Jakkolwiek przekonywająco Victor odpowiedział na moje oskarżenie, niewątpliwie było coś niewłaściwego w jego stosunku do panny Roebuck. Chwilami wydawało się, że on przyjmuje od niej wskazówki, czeka na jej podpowiedź, stosuje się do jej poleceń. Niewiarygodne, żeby człowiek tak butny tak bardzo się liczył z osobą, którą zatrudnia, chyba że, jak Jacinta dawała do zrozumienia, ona jest guwernantką tylko pozornie.

Jacinta ma rację, myślałem. Szukając prawdy, trzeba wniknąć w charakter i życie zawodowe panny Roebuck. Ale jak? Raczej nie mógłbym bez wyjaśnienia ni stąd, ni zowąd wyjechać do Yorku, a nawet gdybym wyjechał, ta fatyga może okazałaby się daremna.

Nagle znalazłem rozwiązanie. Pośpieszyłem do portiera i zamówiłem połączenie telefoniczne z Anglią. W dziesięć minut później w kabinie przy recepcji już rozmawiałem poprzez trzaski na linii z Imrym Renshawem.

- Imry?
- Geoff, to naprawdę ty?
- Tak. Jestem w Nicei.
- Powinieneś zrezygnować, wiesz, i wrócić do domu.
- Muszę cię prosić o przysługę.
- Jaką?
- Nie spodoba ci się.
- Przecież i tak nie odmówię. Czy nie o to ci chodzi?
- O to.
- Więc mów. W czym twój przyjaciel, stary zdechłak, ma cię wyręczyć?

Angela raczyła przerwać milczenie wieczorem przy kolacji w sali restauracyjnej Negresco, gdzie wśród krążących kelnerów i tłumu gości nie wypadało podnosić głosu. Zdystansowana, bardzo wytworna, była w swej najładniejszej sukni wieczorowej, paliła papierosy w długiej cygarnicze i patrzyła wszędzie, tylko nie na mnie.

- Często robiłeś rzeczy, które z trudem wybaczałam, Geoffrey, ale tym ostatnim oszustwem przeszedłeś sam siebie. I nawet nie pomyślałeś, że to może wyjść na jaw. Zdumiewające.

- Nie pomyślałem.
- Twój klient w Malvern był fikcją tak samo jak twoje pragnienie urlopu. Dla mnie sprawa jest zupełnie jasna. Uwziąłeś się na biednego

pana Caswella w mylnym przekonaniu, że pomożesz tym jego żonie. Twoja lojalność wobec tej kreatury, tej trucicielki, oczywiście też jest dla mnie jasna. Wynika zapewne z cudzołożnego związku w czasie, kiedy budowałeś Spod Obłoków. Majorowi Turnbullowi wyrwało się że...

- Jemu się nic nie wrywa. Turnbull wszystko mówi z rozmysłem.

- Major Turnbull to dżentelmen, rycerski, świetnie ułożony. I do prawdy tylko żeby mu nie zrobić przykrości, jestem gotowa skorzystać z jego zaproszenia. Twój romans z panią Caswell wcale mnie nie obchodzi. Był przecież, zanim myśmy się poznali. Ale nie podoba mi się, że dowiedziałam się w taki sposób. Postępujesz haniebnie. Musisz dać mi słowo, że nie będziesz tak postępował dalej. Masz zaniechać tej absurdalnej niesmacznej wyprawy krzyżowej.

- Angelo...

- Nie życzę sobie omawiania tego. Ma być tak, jak powiedziałam.

- Nie mogę zaniechać. Ty nie rozumiesz. Consuela Caswell...

- Nie chcę słyszeć tego imienia.

- Może będziesz musiała je słyszeć.

- Nie, Geoffrey. Jeżeli nie jesteś gotów mi ustąpić, przeniosę się do jednoosobowego pokoju. I kiedy wrócimy do Anglii...

- Tak?

Teraz policzki jej zapłonęły. Nie utrzymała maski panowania nad sobą. Przygarbiła się i zniżyła głos:

- Nie pozwolę, żebyś mnie kompromitował prowadzeniem jakiejś lichej wulgarnej kampanii na rzecz dawnej kochanki, która okazała się morderczynią. Czy to rozumiałe?

- Jak najbardziej.

- Więc ustąpisz?

Ujrzałem zafrasowaną, ufną twarzyczkę Jacinty. Ujrzałem wysokie kamienne ściany więzienia w Gloucester i wyobraziłem sobie, jak Imry pakuje torbę podróżną przed wyjazdem do Yorku.

- Nie - usłyszałem swój głos. - Należy robić to, co się uważa za najszlachetniejsze, Angelo. Postępować zgodnie z sumieniem. Ja właśnie to robię, rozumiesz? Wreszcie. Po raz pierwszy. I nic mnie nie powstrzyma.

VIII

Z prozowanej kolacji w Willi d'Abricot zachowuję tylko mieszaninę wypierających się wzajemnie wspomnień: migawki, urywki, przelotne obrazy, poza którymi czaiła się prawda, bliska, ale niewidoczna. Turnbull zaprosił dwoje Amerykanów, swoich sąsiadów, i ci w naiwności ducha niewątpliwie po dziś dzień myślą o tym jak o zwyczajnym miłym zebraniu towarzyskim. Jednak dla nas, dźwigających ciężar tajemnic i podejrzliwości, to była arena nierozstrzygniętej walki.

Granice tej areny wytyczył pozornie wesoły i gościnnie pan domu, major Royston Turnbull. On też oprowadził mnie przed kolacją po swojej siedzibie, pokazując z wielką dumą pokój po pokoju, pełne gobelinów, orientalnych dywanów, inkrustowanych mebli, egzotycznych rzeźb i pięknej porcelany. Pojąłem wtedy, że poza cynizmem i pompatycznością, które dotychczas w nim wykryłem, jest w nim coś jeszcze. Niedająca się wytłumaczyć zmysłowość. Chlubił się i napawał dotykającym bogactwem swego mienia - gładkością blatu stołu, zaokrągleniem nogi krzesła, delikatnym połyskiem oprawy książki. Radośnie opowiadał ze szczegółami, jak nabył te przedmioty, przy czym niezmiennie zaznaczał, że zrobił dobry interes: nigdy nie dał się oszukać czy bodaj przechytryć. Jego próżność wymagała, żeby sam w to wierzył, a przecież, o dziwo, ja również w to wierzyłem.

Utrzymywanie znajomości z ludźmi nie różniło się dla Turnbulla od gromadzenia obiektów d'art. Także miało mu dawać zmysłowe zadowolenie. Czuł się najlepiej ze wszystkich, którzy zasiedli do kolacji w blasku świec, bo wielką przyjemność mu sprawiało obserwowanie szermierki jego gości za osłoną grzecznego rozmowy.

Przypominają mi się twarze, miny, spojrzenia, drgania ust. Rażąco wyraźna zachęta Angeli w reakcji na rażąco wyraźne atencje Turnbulla - jej przytaknięcia, wydęte wargi, pomruki rozanielenia. Małomówność Victora, jego zaciśnięte szczęki, jadowite zerknięcia na

mnie. Ostrożne, ukradkowe spojrzenia panny Roebuck zaprawione zapowiedzią, ale tylko zapowiedzią uśmiechu. No i sam Turnbull, uśmiechnięty szeroko, z oczami na pół przymkniętymi, pochłonięty zabawą, którą sobie urządził.

Obecność panny Roebuck wśród gości przy stole była najbardziej znamionnym wydarzeniem tamtego wieczora. Turnbull wyjaśnił mi niedbale:

- Za mało znam kobiet dekoracyjnych i inteligentnych, żeby dać się jednej z nich marnować tylko dlatego, że jest guwernantką.

Ale zauważyłem, że przedstawiając ją swoim amerykańskim sąsiadom, nie powiedział, jaka jest jej pozycja. Oto był następny dowód na poparcie podejrzeń Jacinty.

Panna Roebuck siedziała z mojej lewej strony, Angelę siedzącą obok Victora miałem naprzeciwko siebie. Turnbull siedział z prawej u szczytu stołu. Trudno mi było patrzeć prosto na pannę Roebuck zręcznie przeskakującą z tematu na temat, ale w obojętnym tonie jej głosu wykryłem jakąś nienaturalność. Wypytywała mnie o mój zawód i jak się zapatruję na kubizm i na inflację w Niemczech, i nawet co myślę o poezji T. S. Eliota. Wciąż ona prowadziła rozmowę. Aż ogarnęło mnie niepokojące wrażenie, że mam do czynienia z kimś o wiele bystrzejszym niż ja, z kimś, kto potrafi przewidzieć i udaremnić z wczasu każdą moją próbę wniknięcia w coś, czego nie wolno mi wiedzieć. A do tego ta niedająca się zignorować wrogość mojej żony przekształcona w zachłystywanie się entuzjazmem wobec każdego słowa czy spojrzenia Turnbulla. Angela była w czarnej aksamitnej sukni, dramatycznie wydekoltowanej - w której zwykle bywała w operze. Włosy miała ściągnięte w tył, na szyi obrożę z pereł. Wyglądała wspaniale. Ale wiedziałem, że jej na pół odwrócona twarz, promienny uśmiech, zalotnie rozchylone usta, powabna bladość piersi, drżących, gdy się śmiała, to wszystko nie dla mnie. Turnbull łapczywie patrzył na nią spod ciężkich powiek. Uważała, że odniosła sukces. Widziałem i rozumiałem jej triumf. Panna Roebuck, jak wyczułem, też widziała i rozumiała.

W pewnej chwili Angela powiedziała, że Turnbull koniecznie musi zjeść z nami kolację w Negresco, zanim wyjedziemy z Nicei. Przyjął to zaproszenie. I słysząc, że jeszcze nie zakosztowaliśmy uciech kasyna w Monte Carlo, z kolei on zaczął nalegać, żebyśmy tam się z nim wybrali któregoś wieczora. Zgodziła się w moim imieniu. Tak więc oszalałszy szybko powstał szereg towarzyskich okazji do rozwijania flirtu, którym wyraźnie spodziewała się mnie pognać.

Tylko że pod tym względem mylnie osądziła mój nastrój. Bardziej niż jej kokieteryjne zachowanie gorszył mnie fakt, że jest mi ono całkowicie obojętne. Byłem w szponach obsesji, która nie pozostawiała mi energii na zazdrość. To także - podejrzewam - Imogen Roebuck spostrzegła. To także chłodno zmagazynowała w swojej zbrojowni, żeby obrócić przeciwko mnie, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

Na razie jednak panna Roebuck celowo okazywała mi tylko opamiętanie, skromność, inteligencję i spostrzegawczość graniczącą prawie z telepatią. Okazując, że odgaduje moje myśli, ostrzegła, że wie dokładnie, co mnie sprowadziło do willi d'Abrirot. To samo zresztą sprowadziło ją. I z tej samej racji Turnbull nas zebrał przy swoim obficie zastawionym stole. To było rzeczywiste znaczenie całej naszej pogawędki. A przecież ani słowo na ten temat nie padło.

Co do Victora Caswella, to on w obecności panny Roebuck dziwnie nic nie znaczył, poważny, milczący, jak gdyby onieśmiewała go jej wyższość intelektualna. Chwilami prawie było mi go żal. Cóż za niedorzeczność!

Najżywiej jednak zapamiętałem z tamtego wieczora ostatnią scenę. Już się pożegnaliśmy i Turnbull odprowadził nas na podjazd, pozornie, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, a w istocie, żeby szepnąć Angeli jakieś miłe słówko. Gdy otwierał przed nią drzwiczki auta, specjalnie odwróciłem wzrok w stronę willi. W pełnym świetle otwartych frontowych drzwi stali Victor i panna Roebuck. Ona w nieładnym kostiumie koralowo-różowym, modnie krótkowłosa, raczej przystojna niż piękna, ale z uśmiechem obojętnej królowej. Victor, przygarbiony, wpatrywał się w nią z rozdziawionymi ustami, z wyrazem twarzy nieczytelnym. Wtedy nabrałem ostatecznej pewności, że cokolwiek się stało w domu Spod Obłoków, sprężyną była panna Roebuck - nie Victor.

Nazajutrz po kolacji w willi d'Abrirot nie widziałem Angeli przez cały dzień. Tak jak mi zagroziła, przeniosła się do jednoosobowego pokoju i kontaktowaliśmy się tylko wtedy, gdy musieliśmy ze względów praktycznych. Zakładając, że miło wypełniają jej czas couturiers w Nicei, pojechałem do Beaulieu. Nosilem się z zamiarem zaskoczenia panny Roebuck w kawiarni hotelu Bristol, gdzie zwykle z Jacintą piją przedpołudniową kawę. Chwilowo usiadłem w jednym z barów i rozważyłem ten zamiar.

Jeszcze się nad tym zastanawiałem, gdy przez okno zobaczyłem Johna Gleasure'a. Wchodził do apteki po drugiej stronie ulicy. Moja krótka rozmowa z nim trzy dni wcześniej nic mi nie dała i przy Victorze nie sposób było ją przedłużyć. Teraz nadarzyła się okazja. Zanim wyszedł z apteki, już na niego czekałem.

Przesadziłbym, gdybym powiedział, że Gleasure poza zasięgiem wzroku i słuchu swego chlebodawcy stał się innym człowiekiem. Z pewnością jednak był swobodniejszy i bardziej usłużny niż w czasie naszego poprzedniego spotkania. Od razu przyjął moje zaproszenie na piwo i bez pytania wyjaśnił, że odebrał lekarstwo dla Victora, którego system trawienny jeszcze szwankuje po zatruciu.

A potem prawie bez pytania opowiedział, jak zastał Victora wijącego się z bólu w sypialni domu Spod Obłoków.

- Nawet myślałem, proszę pana, że go utracimy. Rzeczywiście tak myślałem. To wielka ulga, że teraz wygląda dobrze. Ten klimat mu służy. I panna Roebuck była jak opoka.

- Panna Roebuck?

- Pielęgnowała go w najgorszym czasie tej choroby.

- Pielęgnowała go, naprawdę? Nie wiedziałem, że jest nie tylko guwernantką, ale i pielęgniarką.

Ze zmarszczonymi brwiami Gleasure przyjrzał mi się bacznie.

- Wszyscy - powiedział - robiliśmy cośmy mogli, proszę pana.

- Naturalnie. - Spróbowałem uśmiechnąć się uspokajająco. - Długo Gleasure jest lokajem pana Caswella? Pamiętam Gleasure'a, kiedy jeszcze był pomocnikiem kamerdynera.

- Odkąd wróciłem z wojny, proszę pana, sześć lat temu. Przedtem pan Danby usługiwał panu Caswellowi.

- Wypowiadał się Gleasure lojalnie na przesłuchaniu, o ile wiem, w kwestii tych anonimowych listów.

- To nie była lojalność, proszę pana. To była prawda.

- Oczywiście.

Pochylił się nad stolikiem.

- Pan Caswell mógłby uważać, że jestem nielojalny, bo rozmawiam teraz z panem.

- Mógłby. Zdumiała mnie odpowiedź Gleasure'a na moje pytanie, czy Gleasure myśli, że pani Caswell jest winna.

- Zdumiała, proszę pana. A dlaczego?

- Fakty nie pozwalają na żadne inne wnioski. Dosłownie tak

Gleasure powiedział, o ile pamiętam. Raczej niedwuznacznie. Ale tak między nami, jakie jest Gleasure'a zdanie?

- Nie mam zdania, proszę pana.
- Ależ na pewno Gleasure ma.
- Nie takie, żebym chciał powiedzieć.

Był nieustępliwy. Jego niechęć mówiła jednak sama za siebie. Zacząłem inaczej.

- Dobrze się układa z panną Roebuck?
- Ani dobrze, ani źle, proszę pana. Tyle, że pracujemy w jednym domu.

- Ciekaw jestem, czy Gleasure nie sądzi, że ona może, no... Coś sobie wyobraża, co przerasta jej pozycję.

Gleasure milczeniem udzielił mi niejako odpowiedzi. Wypił resztkę piwa i wstał od stolika.

- Muszę już wracać, proszę pana. Dziękuję za poczęstunek.
- Myśli Gleasure, że ja marnuję czas tutaj?
- Nie moja rzecz osądzać, proszę pana.
- Czy to znaczy, że tak, czy że nie?

Wahał się przez chwilę i omal się nie uśmiechnął.

- To znaczy - powiedział - że pan sam powinien osądzić, panie Staddon. Tylko tyle to znaczy.

Nazajutrz wieczorem była zaplanowana wyprawa do Monte Carlo. Turnbull miał przyjechać po nas o ósmej. Czekałem na Angelę w salonie hotelu i patrzyłem, jak wychodzi z windy. Wyglądała pięknie w sukni, której nigdy przedtem na niej nie widziałem. Brzoskwiniowy jedwab nieomal oblepiał jej ponętne kształty. Musiała to kupić w Nicei specjalnie na tę okazję. Podeszła uśmiechnięta, wiedząc, co myślę. Przerzuciła pelerynę przez krzesło przy mnie, zapaliła papierosa i rozglądała się. Nic nie mówiła, ja też milczałem.

Turnbull przyjechał punktualnie o ósmej ogromnym lancasterem, który prowadził szofer. Ku mojemu zdumieniu, przyjechał z Imogen Roebuck. Ją także, wyjaśnił, trzeba wprowadzić w tajemnicę kasyna. W tonie Angeli, gdy witała się z panną Roebuck, usłyszałem nutę pretensji o to, że musi do swego towarzystwa zaliczać guwernantkę, ale szybko całą uwagę skupiła na pochlebnym nadskakiwaniu Turnbulla.

W czasie jazdy Turnbull odwracając się do nas z przedniego siedzenia opowiadał anegdoty. Angela, siedząca z lewej mojej strony,

bawiła się doskonale, panna Roebuck z mojej prawej strony odzywała się rzadko. Ilekroć na nią spojrzałem, patrzyła przez okno zamyślona, z jedną ręką przy podbródku, drugą na kolanach. Wydawała się mi bardzo rzadkim okazem istoty ludzkiej, którego rzeczywiście i dosłownie nic a nic nie obchodzi, jakie wrażenie wywiera na bliźnich.

Zjedliśmy kolację w Café de Paris, po czym włączyliśmy się w rozmowę z rozmowami strumień późnych gości podążających do sal gry. Noc była zimna i bezwietrzna, kopuły i balkony kasyna wabiły ciepłym rześmistym światłem. Po schodach sunęły gromadki bogatych nierobów, klejnoty iskrzyły się, podkreślały splendor futrzanych etol i wyszywanych cekinami sukien. Widziałem blask zadowolenia w oczach Angeli, błyski gotowości do podboju w oczach Turnbulla. Imogen Roebuck odwracała oczy. Nie mogłem w nich czytać.

Przeszliśmy przez sale publiczne, gdzie przy stołach panował ruch, ciche głosy dołączały się do zakłęb krupierów, i w górze na ozdobnych sufitych figlowały cherubiny. Turnbull, oczywiście, był członkiem Cercle Privé. Uzyskaliśmy wstęp do jeszcze większych i obficiej przyozdobionych sal prywatnych. Tutaj hazard wydawał się czymś pośrednim pomiędzy religią i sztuką.

Czarne garnitury krupierów. Wirujące koło rulety. Różnobarwne zetony zgarniane w sterty. Zielone sukno pogardliwie puste. Politura drewna. Nabijana ćwiekami skóra. Pióropusze dymu snującego się pod sufit jak z lukru. I wszędzie twarze hazardzistów, uważne, bystre, w wilczym wyczekiwaniu ujęte w imadła zgarbionych ramion, gdy koło zwalniało obroty, a kulka skakała. Chciwość, czysta, rafinowana i obnażona.

Turnbull poręczył za nas jakiemuś urzędnikowi i z grubsza nam wyjaśnił zasady ruletki i bakarata. Zamówił trunki, załatwił zetony i przyglądaliśmy się grze z daleka. Gdy przy jednym ze stołów zwolniły się dwa miejsca, poprosił Angelę, żeby mu towarzyszyła. Angela zgodziła się ochoczo. Panna Roebuck gdzieś odeszła. Zagrałem parę razy i przegrałem, po czym poniosło mnie do baru. Wróciłem do sali znużony, ponieważ zdęgowany wszystkim, co tam widziałem.

Spojrzałem na stół, przy którym siedzieli Turnbull i Angela, tyłem do mnie. Krupier właśnie popychał skotłowany stos wygranej w ich kierunku. Ramionami Angeli wstrząsał nerwowy śmiech. Turnbull w prawej ręce trzymając cygaro, lewą obejmował ją w pól. Uśmiechał się, szalenie pewny siebie. Ogromny żyrandol nad ich głowami przekazywał ich odbicia w niezliczonych miniaturowych fragmentach. Zobaczyłem szkarłatny ślad szminki Angeli na krawędzi jej kieliszka

i kroplę potu spływającą ze skroni Turnbulla. Nagle poczułem mdłości. Pośpiesznie się odwróciłem.

- *Faites vos jeux* - mówił krupier.

Imogen Roebuck patrzyła na mnie z ławki w kącie sali. Zupełnie tak, jakby na mnie czekała. Posłuszny temu wrażeniu podszedłem i usiadłem przy niej.

- Dobrze się pani bawi? - zapytałem kulawo.

- A pan, panie Staddon?

- Szczerze mówiąc, nie.

- Myślę, że powinni państwo już wrócić.

- Angela by się nie zgodziła. Noc dopiero się zaczyna, a ona chyba wygrywa.

- Ale ja mówię o powrocie do Anglii. Możliwie jak najszybciej.

Spojrzałem na nią, zaskoczony jej bezpośredniością.

- Dlaczego?

Ruchem głowy wskazała ten stół.

- Dlatego że major Turnbull ma zamiar uwieść pana żonę. I dlatego że pana żona wydaje się chętną ofiarą.

- Doprawdy nie sądzę, żeby...

- Żeby mogła się w to wtrącać... zwykła guwernantka?

- Jest pani zwykłą guwernantką, panno Roebuck? Łatwo byłoby się pomylić co do pani roli.

- Teraz występuję w roli osoby, która nie chce patrzeć, jak wasze małżeństwo się rozpada tylko z powodu pana błędnej pogoni za prawdą. Ja wiem, dlaczego pan tutaj przyjechał. I proszę mi wierzyć, myli się pan.

- W związku z czym?

- Victor darzy mnie całkowitym zaufaniem. Powinien pan to zrozumieć.

- Och, chyba rozumiem.

- Consuela ponosi winę.

- Nie zgadzam się.

- Bo pan ją pamięta taką, jaka była dwanaście lat temu.

- A skąd pani wie, jaka ona była dwanaście lat temu?

- Może nie wiem, jak była. Wiem, jaka jest.

- Czyli jaka?

W końcu panna Roebuck przestała się wpatrywać w coś niewidzialnego w powietrzu i spojrzała mi w oczy.

- Panie Staddon, Consuela jest obłąkana.

Swojej pierwszej reakcji na to oświadczenie Imogen Roebuck nie mogę sobie przypomnieć. Wkrótce potem wyszliśmy z kasyna, co prawdopodobnie zaproponowała panna Roebuck, przynajmniej tym zaskarbiając sobie przelotnie moją wdzięczność. Wątpię, czy Angela zauważyła, że wychodzimy, może jednak major Turnbull jej powiedział.

Na tarasie za kasynem było pusto w tę noc, tak zimną, że para unosiła się z ust. Księżyc w pełni świecił wysoko na niebie, promenady z palmami spały posrebrzone słabą złodowaciałą poświatą. Oparci o kamienną balustradę, wpatrywaliśmy się w morze. Na wodzie leżał czujnie rozedrgany, zniekształcony bliźniak księżycyca. Zapaliłem papierosa. Imogen Roebuck opowiadała mi to, czego nie chciałem słyszeć.

- Poznałam Consuelę, kiedy w lutym tego roku zgłosiłam się na posadę guwernantki. Rozmawiałam wtedy z nią i Victorem. Mówiła niewiele i chociaż wydawała się nieco spięta, zgoła mnie to nie zastanowiło. Informacje, które miałam od panny Sillifant, mojej poprzedniczki, pozwalały mi się spodziewać, że praca w tym domu będzie miła i wdzięczna. Może powinnam była wnikać głębiej w powody odejścia panny Sillifant, ale plusy tej posady wystarczyły, żebym sobie tym nie zawracała głowy. Jacinta to uroczą, inteligentną dziewczynką, rezydencja Spod Obłoków jest piękna i w takich malowniczych okolicach. Pensja i warunki bardzo dobre. Przyjęłam tę posadę bez wahania.

Już po kilku tygodniach stało się dla mnie jasne, że Consuela nie jest zdrowa. Miewałam różne pracodawczynie, rozsądne i nierozsądne, ale nigdy przedtem nie musiałam dawać sobie rady z osobą tak nierówną i nieobliczalną. Nieraz całymi dniami prawie nie odzywała się do mnie. Potem nagle robiła się ożywiona, komunikatywna, interesowała się wychowaniem Jacinty, sama chciała się Jacintą zajmować. A potem tak samo raptownie mi zarzucała, że nie słucham jej poleceń, że podkopuję jej autorytet w oczach dziecka. Żądała od Victora, żeby mnie odprawił. Kiedy usiłował ją przekonywać, wycofywała się do swojego pokoju i wychodziła po wielu dniach cicha, spokojna, przygaszona i chyba nawet nie wiedziała, co wyprawiała przedtem. No i ten okropny cykl zaczął się na nowo.

Victor nie chciał przyznać, że Consuela jest chora. Zbyt ciężka byłaby to próba dla jego dumy. Poza tym musiał myśleć o Jacincie. Ona kocha matkę serdecznie, załamałaby się, gdyby się dowiedziała, że to wariatka. Przy niej Consuela zawsze była miła i rozsądna. Dla dobra

Jacinty powstrzymywałam się od rzucenia tej posady natychmiast. Później Victor mnie prosił, żebym nie rezygnowała. Potrzebował pomocy w uporaniu się z Consuelą, w ukrywaniu przed służbą, że nie jest tak, jak być powinno. Więc zostałam.

Consuela nie miała przyjaciół. Nikt jej nie odwiedzał oprócz krewnych Victora i sama u nikogo nie bywała. Rzadko ruszała się z domu, tyle że co niedziela jeździła do kościoła katolickiego w Hereford. Z początku przypisywałam to jej brazylijskiemu pochodzeniu, poczuciu wyobcowania w Anglii, ale Victor mi powiedział, że dawniej była beztrocka i towarzyska, i że jej skłonność do popadania w depresję i zamknięcie się przed ludźmi datuje się mniej więcej od narodzin Jacinty.

Współczułam Victorowi. Był mi wdzięczny, wiem, za tę niewielką pomoc, jakiej mogłam mu udzielić, i nie przeczę, zrodziła się przyjaźń między nami, a z tej przyjaźni z kolei zrodziło się niestety w Consueli przekonanie, że Victor ją zdradza. Przekonanie bezpodstawne. Zapewniam pana. Gdyby nie było bezpodstawne, Consuela nie napisałaby tych anonimów. Nie uważałaby, że są potrzebne. Tego, że sama je napisała, oczywiście nie mogę udowodnić. To tylko moje zdanie, domysł, zważywszy, jak się zachowywała. Oczywiście jest możliwe, że napisał je ktoś inny, ale i tak skutek byłby ten sam. Anonimy stały się dla niej w obłędzie usprawiedliwieniem czynu, który prawdopodobnie już od dawna planowała. Dlatego trzymała je u siebie, pan rozumie, razem z tą paczuszką arszeniku, żeby na pewno je znalezione. Były jej gotową wymówką.

W pierwszych dniach po otruciu, kiedy jeszcze usiłowaliśmy wierzyć, że jest jakieś niewinne wytłumaczenie tej tragedii, Consuela wydawała się najspokojniejsza z nas wszystkich. Ale to nie był spokój. Ona tylko wsłuchiwała się w siebie. Czekala cierpliwie, żeby wykryto jej zbrodnię, bo tak to sobie umyśliła. Na swoją ofiarę wybrała Victora, ale kiedy przypadkiem zamiast niego zabiła Rosemary, chyba niezbyt się przejęła. Myślę, że to najwymowniej świadczy o nasileniu jej obłędu. Wytyczyła kurs zagłady z myślą przede wszystkim o sobie samej. Zamierzała i zamierza spowodować swoją śmierć. Morderstwo było po prostu środkiem prowadzącym do celu. Nie spodziewam się, że mi pan uwierzy. Nawet Victor woli uważać swoją żonę za morderczynię niż za wariatkę. Z czasem jednak obaj się przekonacie, że mam rację. Consuela pragnie męczeństwa i będzie uparcie do męczeńskiej śmierci dążyła. Victor mówił mi, że pan ukuł teorię, żeby podtrzymać

swoje przeświadczenie o niewinności Consueli. Według pana Victor sam się zatrul, bo chce się pozbyć Consueli i ożenić z inną. No, czy muszę wysuwać miazdząco logiczne kontrargumenty? Przecież Victor nie mógł przewidzieć, że jego bratowa i bratanica bez uprzedzenia złożą wizytę akurat wtedy po południu. I jeżeli pan myśli, że Victor celowo wziął do herbaty akurat tyle arszeniku, by rozchorować się ciężko, ale nie śmiertelnie, to niech pan sobie uprzytomni, że odmierzenie takiej ilości w cukiernicy pełnej zatrutego cukru byłoby niebezpiecznie trudne. Co więcej, Consuela stanęłaby pod zarzutem usiłowania morderstwa, a nie morderstwa faktycznego, i prawdopodobnie skazano by ją tylko na więzienie. I w takim razie pozostawałaby nadal jego żoną. A więc widzi pan, pana teoria bierze w łeb.

Zresztą nie pan jeden zastanawia się nad tą sprawą. Ja zadaję sobie pytanie, co mogło popchnąć Consuelę do takiego posunięcia. Co mogło tak dalece pozbawić ją poczucia rzeczywistości? Przed wojną miała pokojówkę, niejaką Lizzie Thaxter. Może pan pamięta tę dziewczynę? Popelniała samobójstwo w sadzie Spod Obłoków latem w roku tysiąc dziewięćset jedenastym. Powiesiła się na jabłoni. Nie wiadomo, dlaczego to zrobiła. Otóż zastanawiam się, czy Consuela nie wie o tym wydarzeniu więcej niż kiedykolwiek wyjawiała. Ostatecznie kara za morderstwo, o które ją oskarżono, to śmierć przez powieszenie, taka sama jak śmierć Lizzie Thaxter. Jest jakiś związek pomiędzy nimi, ogniwo... nie wiem jakie, ale mam pewność że jest. Może pan wie, co to za połączenie, panie Staddon? Pan ostatnio widział się z Consuelą dwanaście lat temu. Tak mi pan powiedział. A ja ponadto wiem, że był pan na otwarciu domu Spod Obłoków czternastego lipca tysiąc dziewięćset jedenastego roku. W książce gości jest pana podpis poniżej tej daty, pan rozumie. Pamiętam, że na ten podpis zwróciłam uwagę. Czy to była pana ostatnia wizyta? Jeżeli tak, to na kilka zaledwie dni przed samobójstwem Lizzie Thaxter. Interesujący zbieg okoliczności. Jak podano na nagrobku, Lizzie zmarła dwudziestego lipca, czyli w sześć dni po tym przyjęciu. Przyjmuję, oczywiście, że to był tylko zbieg okoliczności. Może się myłę. Może chciałby mi pan powiedzieć, czy się myłę. Może nie chciałby pan?

Moim zdaniem, powinien pan zrozumieć, że nie jest pan powołany do prowadzenia zgola niepożądanego śledztwa, które zresztą nie tylko pan chce prowadzić. Co więcej, takie śledztwo raz wszczęte

mogłoby doprowadzić do Bóg wie czego. Wszyscy mamy swoje tajemnice. Lepiej, moim zdaniem, pozostawić je niewyświetlone. Tragedia Consueli Caswell jest tragedią jej własną. Jeżeli się wtrącimy, następstwa mogą być zaskakujące... i do głębi przykre. Niech pan wraca do domu, panie Staddon. Poważnie panu radzę. Niech pan wraca do domu i zabierze ze sobą swoją żonę, dopóki pan jeszcze może ją zabrać. Victora niech pan zostawi w spokoju, żeby naprawił swoje życie najlepiej jak zdoła. I mnie niech pan zostawi, żebym Victorowi pomogła. I Consuelę, żeby odpowiedziała za to, co uczyniła, w taki właśnie sposób, jaki sobie wybrała.

Zaprzagnąłem wtedy się wypowiadać. Jeżeli Imogen Roebuck ma rację, myślałem, ja przecież wiem coś, czego nie wie nikt inny: znam przyczynę obłędu Consueli. To, że ją opuściłem, ciążyło mi na sumieniu jak nigdy przedtem. Ale tego nie mogłem wyznać. Takim wyznaniem oskarżyłbym się o odpowiedzialność za tę śmierć, z powodu której Consuelę czekał proces.

Papieros wysunął mi się z palców. Odwróciłem się powoli. Twarz panny Roebuck była w cieniu. Wydawało się, że wszędzie wokół nas w tym nieruchomym zimnym powietrzu wisi jakieś nieme oczekiwanie. Zacząłem szukać słów, żeby zbić to wszystko, co panna Roebuck mówiła, ale żadnych nie znajdowałem.

- Żałuję, że musieliśmy się poznać w taki sposób - powiedziała łagodnie. - Kiedy indziej, gdzie indziej, może... Niech pan wraca do kraju, panie Staddon.

Czy skłoniłem głowę, nie wiem. Wiem tylko, że odwróciłem się i odszedłem przyspieszając kroku na schodach prowadzących do kasy-
na.

- Do domu? Natychmiast? Naprawdę, Geoffrey? Co ty sobie w ogóle myślisz?

- Myślę, że powinnaś być zadowolona. Parę dni temu nalegałaś, żebym przestał dokuczać Victorowi Caswellowi.

- To zupełnie inna sprawa. Tak się składa, że dobrze się tu bawię. Nie mam zamiaru skrócić pobytu tutaj tylko dlatego, że raptem masz taki kaprys. Wprost przeciwnie.

- Co to znaczy: wprost przeciwnie?

- To znaczy, że możesz jechać, ale ja tu zostanę bez ciebie.

- Rzeczywiście? A po co, jeśli mi wolno zapytać?

- Już ci powiedziałam. Po to, by dalej dobrze się bawić.

Angela z uśmiechem zaciągnęła się dymem papierosa. Był późny poranek nazajutrz po naszej bytności w kasynie. Gdy przyszedłem do jej pokoju z wiadomością, że wyjeżdżamy, jeszcze w jedwabnym peniuarze siedziała przy śniadaniu opromieniona blaskiem słońca, który wpadał przez oszklone wysokie drzwi balkonowe. Na bocznym stoliku stał wazon pyszniący się jaskrawymi storczykami i leżała rozdarta firmowa koperta z kwaciarni zaadresowana zamasyście: „Pani Angela Staddon, Hotel Negresco, Nicea”. Nie potrzebowałem pytać, czyje to pismo. Wydawało mi się, że Angela patrząc przez pokój, wyzywa mnie wzrokiem, żebym wyjął z koperty kartkę i przeczytał.

- Poza tym - podjęła. - Mam pewne zobowiązania. Nie mogę tak ni stąd ni zowąd wyjechać.

- Jakie zobowiązania?

- Major Turnbull prosił, żebym znów pojechała z nim do kasyna jutro wieczorem.

- Nic mi o tym nie mówił.

- Przyjął, że nie będziesz chciał jechać z nami, tak się wczoraj zachowałeś. Czy panna Roebuck zabawiała cię interesująco?

- Mieliliśmy o czym rozmawiać. Nic poza tym.

- Nie musisz tłumaczyć się przede mną, Geoffrey. Zupełnie mi obojętne, co robisz... i z kim.

- Czas, żebyśmy stąd wyjechali. To proste.

- Obawiam się, że nie proste. Przyjęłam zaproszenie na podwieczorek w Willi d'Abrirot któregoś dnia w przyszłym tygodniu. I major Turnbull podjął się zdobyć bilety do opery. „Don Giovanni”, premiera dwudziestego siódmego. Nie można na tym nie być.

- Wiesz doskonale, że przed dwudziestym siódmym spodziewają się mnie z powrotem w biurze.

- Och, ciebie bym na to nie ciągnęła. Przecież nie cierpisz opery. Nabrałem tchu.

- Dobrze. Wyjadę sam. Kiedy mogę liczyć na twój powrót?

- Nie wiem. - Zdusiła papierosa, wstała i podeszła do mnie. - A teraz, jeżeli darujesz, chcę się wykąpać.

Zostawiła mnie przy wazonie ze storczykami w słońcu bezczelnie eksponującym jaskrawość płatków. Wziąłem ze stolika kopertę; rozszumiała się woda spływając do wanny. Upuściłem kopertę i odwróciłem się, żeby wyjść.

Drzwi łazienki były otwarte. Woda z kranów się lała, snuły się obłoki pary, Angela stała przy wannie, wlewała płyn do kąpieli. Naga popatrzyła na mnie przeciągle. Czy kiedykolwiek jeszcze, pomyślałem, kiedy już to wszystko się skończy, dotknę jej bladej, dobrze znanej nagości?

- Do widzenia, Geoffrey - powiedziała stawiając butelkę z płynem i podchodząc do umywalni. - Zawiadam mnie, jeżeli zdecydujesz się wyjechać.

Nie od razu oderwałem od niej wzrok, ale wyszedłem z pokoju prawie biegiem.

Minęły dwa dni. Zapełniłem je bezcelowymi przejażdżkami w górach. Angeli nie widywałem i od Cap-Ferrat i Beaulieu trzymałem się z daeka. I zwlekałem, czekając, mając nadzieję na jakiś znak czy wydalenie, na coś, co by mnie wyrwało ze stanu niemocy, w który popadłem po usłyszeniu wersji Imogen Roebuck. Wydawało mi się, że dzięki tej wersji w końcu się wyzwolę. Ale wyzwolenie tylko oddaliło się jeszcze bardziej.

*Sunnylea
Wendover
Buckinghamshire
15 listopada 1922 r.
Drogi Geoff,*

Wróciłem z Yorku dzisiaj ze słabym rezultatem śledztwa, o które mnie prosiłeś. Ale skoro się na tę wyprawę zgodziłem, to chyba nie mogę się uskarżać, więc tylko zrelacjonuję - dopóki świeżo pamiętam - co odkryłem czy też dla ścisłości, czego nie odkryłem.

Pułkownik i pułkownikowa Browning to szacowne, dosyć staroświeckie stadło z trzynastoletnią córką - późno urodzonym jedynym dzieckiem. Powiedziałem im, że jestem znajomym Caswellów i że nazywam się Wren. (Oby cień Wrena mi wybaczył!) Na szczęście najwyraźniej nic nie wiedzieli o Consueli. Zapalali świętym oburzeniem, gdy dałem im do zrozumienia, że może niezupełnie szczerze zarekomendowali pannę Roebuck jako guwernantkę. Bardzo żalowali, że ją utracili, i powiedzieli, że nie było żadnego szczególnego powodu jej odejścia poza wysokością pensji, na jakiej płacenie ich nie stać. Pracowała u nich prawie dwa lata, przyjechała wiosną 1921 roku, mając doskonałe referencje od pewnej rodziny w Norfolk.

Pułkownik Browning jest człowiekiem pijącym. Rozkrochmalony w swoim ulubionym wodopoju i wolny od wpływu nakrochmalonej małżonki, okazał się bardziej otwarty, chociaż nie tak jak ty byś sobie życzył. Mówił o pannie Roebuck bardzo ciepło. Zacząłem nawet podejrzewać, że może się do niej zalecał. Może dlatego poszukała sobie miejsca gdzie indziej. Na pewno nie było nic, co by świadczyło, że dawała mu nadzieje.

Mam nazwisko i adres jej poprzednich pracodawców - tej rodziny w Norfolk - ale naprawdę nie sądzę, by zwrócenie się do nich coś ci dało. Uwodzicielka polująca na fortunę to etykietka, która po prostu nie pasuje.

Wracaj do domu, Geoff Taka jest moja rada. Im prędzej, tym lepiej. Telefonował Reg dziś po południu i właściwie mu przyrzekłem, że wrócisz w przyszłym tygodniu. Jeśli nie, ja będę musiał tam się pokazać. Więc czy za przysługę nie należy się przysługa?

*Zawsze twój
Imry.*

Zimny deszcz padał, gdy jechałem na Cap-Ferrat. Morze Śródziemne było szare i wzburzone. Nagle Lazurowe Wybrzeże stało się miejscem, gdzie nie chciałem być. Żałowałem, że nie usłuchałem Imry'ego, odradzającego mi wyjazd. Żałowałem, że w tył zwrot nie wydaje się łatwiejszy niż naprzód marsz.

Brama Willi d'Abrioc stała otworem. Dodałem gazu na zakręcie podjazdu i zahamowałem przed domem. Z kołnierzem postawionym w ulewnym deszczu wyskoczyłem z auta i pobiegłem do drzwi. Zanim dobiegłem, drzwi raptownie się otworzyły, ktoś szybko wyszedł potrącając mnie w ramię.

Zobaczyłem go przelotnie, ale zapamiętałem. Był bez kapelusza. W ciemnym ubraniu i w pelerynie, wyższy i szerszy niż ja o kilka cali. Miał niezwykle długie włosy, kruczo szpakowate i pirackie wąsy bardzo krucze, twarz wykrzywioną grymasem bólu czy może furii. Mamrotał coś, ale w jakim języku i co, nie dosłyszałem.

Obejrzałem się za nim. Odchodząc mówił do siebie już zupełnie głośno, klepał się po udzie, odrzucając głowę w tył miotał jakieś niezrozumiałe przekleństwa w ukośne strugi deszczu. Nagle sobie uprzytomniłem, że stoję pod parasolem. Trzymał go nade mną Włoch, służący Turnbulla.

- *Buon giorno*, signor Staddon.

- Dzień dobry. Kto to był?
- Nie wiem. Przyszedł do signora Caswella.
- Caswell jest tutaj?
- W salonie. Z signoriną Roebuck.

- To dobrze. Od razu tam pójde. Anonsować mnie nie trzeba.

Byli w dwóch końcach salonu. Panna Roebuck siedziała spokojnie w fotelu, Victor paląc gorączkowo papierosa, chodził po dywanie przed kominkiem. Mówił, prawie krzyczał, gdy wszedłem.

- Nie, nie! Cholernie dobrze wiedział, co mówi. Mógłbym... - Urwał na mój widok. - Staddon, czego, do diabła, pan tu chce?

- Jedno słówko, nic poza tym.

- Jeżeli szukasz pan swojej żony, to ona jest z Roystonem na obiedzie w La Réserve.

- Szukałem pana.

- No, to mnie pan znalazł.

- Czy mam wyjść? - zapytała panna Roebuck.

- Nie - odpowiedziałem. - Wolę, żeby państwo oboje usłyszeli to, co powiem.

- Więc mów pan - warknął Victor.

- Otóż wracam do Anglii.

- Royston się zmartwi, kiedy się dowie. Towarzystwo pańskiej żony najwyraźniej bardzo mu odpowiada.

- Angela chyba nie wyjedzie ze mną.

- Doprawdy? - Victor poweselał na myśl, że jego przyjaciel może robi ze mnie rogowca. Jego irytacja zmieniła się w sarkazm.

- No, żony potrafią być cholernie niestałe. Wiem to z własnego doświadczenia.

- Moje małżeństwo nie jest sprawą, którą chciałbym omawiać z panem.

- Nie? Pan mnie zdumiewa, Staddon. Jakoś bardzo pan się kwa-pił, żeby ze mną omawiać moje.

- Victor! - powiedziała panna Roebuck łagodnie, ale z nutą wyrzu-tu. - Czy nie byłoby prościej wysłuchać, co pan Staddon ma do po-wiedzenia? - Ze swojego końca salonu spojrzała na mnie. - Dobrze myślę, że pan uznał słuszność rady, którą panu dałam w zeszłym ty-godniu?

- Niezupełnie. Ja... - Jej wzrok był chłodno ironiczny. Wiedziała, że poniosłem klęskę, i wiedziała że tego nie przyznam. - Już o mnie nie usłyszycie. Tylko tyle chciałem powiedzieć. Chyba że odkryję...

- Co? - szczechnął Victor.
- To, że zostałem wprowadzony w błąd.
- Nie został pan wprowadzony w błąd - zapewniła panna Roebuck z powagą.

- W takim razie - powiedziałem - już o mnie nie usłyszycie.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

- Dziękuję panu, panie Staddon.

Odwróciłem się od niej do drzwi.

- Ja nie dziękuję - powiedział Victor.

Gdy spojrzałem na niego, po raz pierwszy zauważyłem, że jego zdecydowanie nie jest głębsze niż moje. Pod jego wrogością, cienką jak skorupka jaja, kryje się niepewność okropnie pokrewna mojej niepewności.

- Nie spodziewałem się żadnego podziękowania - powiedziałem prędko wychodząc, zanim zdążył odpowiedzieć.

W hallu było cicho, tak cicho, że słyszałem plusk deszczu o szyby i tykanie zegara gdzieś w domu. Na szczycie krętych schodów stała nieruchoma mała postać w jasnoniebieskiej sukience i z tego samego koloru kokardami wpiętymi w długie ciemne włosy. Stała wyprostowana, ręce sztywno zwisały jej u boków. Twarz nic nie wyrażała, ale oczy pały, pełne wyrzutu.

Ona tam była podczas całej tej rozmowy. Niewątpliwie. Przez otwarte drzwi salonu słyszała każde moje słowo. Słyszała i rozumiała aż za dobrze.

- Jacinto... - urwałem, bo stanęła za mną Imogen Roebuck.

- Jeżeli już się przygotowałaś, Jacinto, wrócimy do lekcji - powiedziała patrząc w górę schodów - poczekaj na mnie w swoim pokoju.

Jacinta odwróciła się i odeszła. Gdy tylko zniknęła, skierowałem się do drzwi frontowych, nagle spragniony ruchu i świeżego powietrza, tak jakby to mogło być dla mnie schronieniem.

- Panie Staddon...

Spojrzałem na nią przez ramię.

- Jestem panu wdzięczna, wie pan.

- Nie musi pani.

- Na pewno nie będzie pan żałował swojej decyzji.

- Ufam, że pani ma rację.

- Och mam, niech mi pan wierzy. - Wyciągnęła rękę. - Do widzenia.

Ale przynajmniej uścisku dłoni mogłem jej odmówić. Nie przypieczętowaliśmy żadnego paktu i nie zrobiłbym nic, by się wydawało, że jest pakt między nami.

- Do widzenia - powiedziałem podchodząc do drzwi z pośpiechem zbiega.

Jak Victor powiedział, zastałem Angelę przy stoliku w La Réserve, najbardziej ekskluzywnej restauracji w Beaulieu, wymieniającą poglądy z Roystonem Turnbullem nad ostrygami i szampanem.

- No, Staddon, to niespodzianka!

- Przyjechałem, żeby porozmawiać z moją żoną, majorze, nie z panem.

- O co chodzi, Geoffrey? - Angela, rozchichotana, dziewczęca jeszcze przed chwilą, zanim mnie zobaczyła, teraz była surowa i oziębła.

- Wyjeżdżam z Nicei jutro. Czy wyjedziesz ze mną?

- Dobrze wiesz, że to niemożliwe.

- Odmawiasz?

- Powiedzmy, że się uchylam.

- Więc kiedy mam się ciebie spodziewać w domu?

- Wtedy, gdy mnie tam zobaczysz.

Nie było już nic do powiedzenia. Potwierdził to jej nieustępliwy wzrok. Turnbull przełknął ostrygę, pomuskał podbródek serwetką i uśmiechnął się do mnie.

- Nie ma zmartwienia, Staddon. Troskliwie się panią zaopiekuję.

Jak szaleniec jechałem z powrotem do Nicei. Świadomość mojej dezercji: tej dawnej i tej obecnej gonila mnie prędzej niż kiedykolwiek mógłbym mieć nadzieję przed nią uciec. Popołudnie przepiłem w barze Negresco, potem odrętwiałały przespałem kilka godzin i obudziłem się, gdy deszcz jeszcze bardziej ulewny, miotany wiatrem, nadal padał z ciemnego burzliwego nieba.

Pod wieczór następnego dnia już siedziałem w nocnym pociągu-promie do Calais. Nie próbowałem przekonywać Angeli. Teraz, gdy przed odjazdem patrzyłem ze swego miejsca przy oknie na przybywających w ostatniej chwili pasażerów, nie żywiłem nadziei, że ona wśród nich będzie. Patrzyłem tam, bo po prostu trudno mi było uwierzyć, że tak mało pozostało w nas wzajemnego szacunku.

Rozległy się gwizdy, drzwi trzasnęły, lokomotywa nabierała pary i oto zobaczyłem na peronie kogoś znanego. Nie Angelę, tylko człowieka, z którym poprzedniego dnia niemal się zderzyłem w drzwiach Willi d'Abriçot. Żandarm o chmurnym obliczu trzymał go za łokieć i popychał, drugi żandarm w mundurze sierżanta pędził przed nim niosąc poobijaną skórzaną walizkę. Zaciekawiony opuściłem szybę w oknie i wyjrzałem.

Sierżant otworzył drzwi wagonu odległego o dwa wagony od mojego, wrzucił walizkę i machnięciem kciuka pokazał, że jej właściciel ma wsiąść. Ten z groźną miną wyrwał się drugiemu żandarmowi, otrzepał się i powiedział coś, co oni obaj zignorowali. Wsiadł.

Po chwili pociąg ruszył. Żandarmi jednak stali i patrzyli na wagon, w którym ulokowali swego podopiecznego. Dopiero gdy ostatni wagon minął koniec peronu, odwrócili się do siebie wzruszając ramionami, jak gdyby z ulgą po wykonaniu kłopotliwego zadania.

W kilka minut później zacząłem działać. Kimkolwiek był ten nieznajomy, liczyłem na to, że już jest dość spokojny, więc można go zagadnąć. A zagadnąć go musiałem. Jako gość w Willi d'Abriçot tylko przelotnie mnie zainteresował. Ale jako persona non grata nazajutrz po wizycie w Willi d'Abriçot wydalony z Nicei przez policję, stał się zagadką, którą należało rozwiązać.

Miał cały przedział dla siebie, nic dziwnego, zważywszy jego groźny wygląd. Siedział opierając nogi na walizce, zgarbiony, otulony peleryną, co jeszcze bardziej go powiększało. Ale chyba nie to ten jego ogrom i warstwy kurzu na ubraniu, potargana szpakowata grzywa - odstraszyły współpasażerów. Jeszcze groźniejsze mogło się wydawać jego wyraźne rozjuszenie, gdy wykrzywił się, mamrotał do siebie, podrygiwał raz po raz i zaciskał prawą pięść.

Wszedłem do jego przedziału. Łypnął na mnie spode łba, po czym odwrócił wzrok.

- *Bonsoir, monsieur* - zaryzykowałem. Chociaż nie odpowiedział, usiadłem naprzeciw niego i uśmiechnąłem się. - *Où allez-vous, mon sieur?* - Znów nie odpowiedział. Wyjąłem z kieszeni papierósnicę i otworzyłem: - *Voudriez-vous une cigarette?* - Nadal brak reakcji.

Udałem, że szukam w kieszeniach zapalek i uśmiechnąłem się do niego. - *Excusez-moi. Pouvez-vous me donner du feu!*

Oczy mu błysnęły. Przygwoździł mnie spojrzeniem.

- *Deixe-me em paz, senhor* - warknął.

O to mi chodziło. Teraz wiedziałem, że mówi po portugalsku.

- Spotkałem pana wczoraj, kiedy pan wychodził z Willi d'Abriçot - powiedziałem szybko. - Po co pan tam był? - Przymrużył oczy. - Czy w sprawie Consueli?

Spreżył się na dźwięk tego imienia.

- Kto pan jest, senhor? - zapytał z bardzo wyraźnym akcentem latorynskim.

- Nazywam się Geoffrey Staddon.

- Staddon? - Zmarszczył brwi, jak gdyby kiedyś już słyszał moje nazwisko.

- Jestem znajomym Consueli, kimś, kto...

Zanim się spostrzegłem, zsunął stopy z walizki, kopnął ją na bok i rzucając się ku mnie, chwycił mnie za nadgarstek. Jego palce były jak stalowe kajdanki, oczy nie mniej przerażające.

- Jakim znajomym? - zapytał powoli i dobitnie.

- Takim, jakiego ona potrzebuje. Takim, jaki wierzy, że jest niewinna.

- Zawsze była niewinna. To jej błąd.

- Długo pan ją zna?

- Dłużej niż pan myśli.

- Ja ją poznałem piętnaście lat temu. Budowałem dom dla jej męża.

- Dla Caswella?

- Tak. Spod Obłoków. Gdzie...

- Już wiem! Stąd znam pana nazwisko. Staddon. *O architecto*.

- Tak, to właśnie ja. Ale nadal pan ma nade mną przewagę.

Puścił moją rękę.

- Jestem Rodrigo Manchaca de Pombalho. Brat Consueli.

Rodrigo z natury był pogodny, życzliwy ludziom. Przypomniałem sobie, jak Consuela o nim mówiła. Nazywała go *O Urso de Del*: niedźwiedź, który lubi miód. Miała w sercu specjalne miejsce dla brata, najbliższego jej wiekiem i duchem, a on, co wydawało mi się jasne, kochał ją tak samo. Do późnej nocy jechałem z nim w wagonie restauracyjnym. Chociaż stawał się coraz bardziej dobroduszny, w miarę jak jedzenie i wino łagodziły jego gniew, niejednokrotnie brała nad nim górę bezsilna wściekła rozpacz. W pewnej chwili mówiąc o Victorze zgniótł kieliszek w ręce, w innej dzieciennie się rozplakał. Głos miał tubalny, gestykulował, oczy mu się jarzyły, ludzie w wagonie

restauracyjnym patrzyli na niego przerażeni i urzeczeni. Mnie jednak wydawał się jakąś pierwotną siłą, dającą nadzieję. Już to gniewny, już radosny, już to przygnębiony, przecież sprawiał, że po raz pierwszy rzeczywiście wierzyłem w możliwość uratowania Consueli.

Starszy brat Rodriga, Francisco, jako prezes rodzinnej firmy często bywał na bankietach i przyjęciach, na których spotykał członków korpusu dyplomatycznego w Rio. Od attaché Ambasady Brytyjskiej dowiedział się z przerażeniem, że jego siostra stanie przed sądem oskarżona o morderstwo. Rodzina urażona brakiem wiadomości od samej Consueli i zdenerwowana skąpyimi informacjami, jakie zdołała uzyskać, nie wszczęła żadnych kroków. Rodrigo zdecydował się w końcu wbrew woli brata wyruszyć do Europy i dokopać się prawdy, przy czym nie bardzo zdawał sobie sprawę, jakie to trudne zadanie.

W Anglii udał się prosto do Hereford, gdzie natrafił na taki sam mur, na jaki ja natrafiłem. Consuela nie chciała się z nim zobaczyć, tylko za pośrednictwem Windrusha zawiadomiła go, że zawstydził ją swoim przyjazdem i powinien natychmiast wrócić do Brazylii. Victora i swojej siostrzenicy nie zastał, bo wyjechali do Francji. Windrush ofiarował się go skontaktować z adwokatem, którego zwerbował, sir Henrym Curtis-Bennettem, ale na tym kończy się pomoc, jaką mógł służyć. W Hereford Rodrigo jeszcze zdążył się narazić jednemu ze starszych oficerów policji hrabstwa, zanim pojechał na Cap-Ferrat.

W Willi d'Abriocot, jak było do przewidzenia, spotkało go wrogie przyjęcie. Victor nie pozwolił mu zobaczyć się z Jacintą. Odrzucił wszelkie sugestie, że Consuela może być ofiarą niesprawiedliwości i kazał mu się wynieść, bo inaczej wyrzuci go siłą.

- Wziąłem Victora za gardło, kiedy mi tak powiedział. On nie miał prawa. Bał się. Wiedziałem to. Zawsze bał się mnie trochę. Ale jest za bardzo sprytny. Za bardzo dla Rodriga. Nasłał na mnie policję. Kazali mi wyjechać z Francji. *Um criador-de-casos* mnie nazwali. Taki, co zakłóca porządek. Powiedzieli, że ja mu zagrażam. Tak jest. On zasłużył na to. Zasłużył na więcej, ale... wyjechałem. Nie miałem wyboru. Nie mogę pomóc Consueli z więzienia we Francji.

Rodrigo wykluczał możliwość, że jego siostra dopuściła się morderstwa. To był dla niego artykuł wiary. Pytania o motyw i dowody odpadały. I skoro Consuela z całą pewnością jest niewinna, oczywiście winny jest Victor, wiemy, bo nawet jeżeli nie popełnił zbrodni, którą przypisuje się jej, porzucił ją na pastwę oskarżycieli.

Gdy napomknąłem, że może jest coś niewłaściwego w stosunku Victora do Imogen Roebuck i że to mogłoby mieć jakieś znaczenie w śledztwie, Rodrigo rzeczywiście nie rozumiał.

- Jesteś jak Victor. Za bardzo sprytny dla mnie. Ja widzę tak: Ktoś starał się zamordować Victora i Victor nie umarł. *Que pena!* Ja bym po nim nie płakał. Jego... jego *sobrinha* umarła zamiast niego. Smutne. Ale kto to zrobił? Nie Consuela. *Nunca, nunca.* Więc kto? Ktoś, kto chciał, żeby on umarł. Kim jest ten ktoś? Nie wiem. Ale kiedy się dowiem...

Odraza Rodriga do szwagra znacznie przerastała dezaprobatę czy nawet pogardę. Rodrigo brzydził się Victorem, nie cierpiał wszystkiego, co Victor sobą reprezentował. Wydawało się niemożliwe, żeby taki brat nie przeszkodził siostrze w poślubieniu człowieka będącego w jego mniemaniu padalcem. Musiałem więc dojść do wniosku, że znienawidził Victora w wyniku jakichś późniejszych wydarzeń. Ale jakich? Tego nie powiedział. Gdy napierałem, udawał, że moich pytań nie rozumie. Tylko wydedukowałem, że stary de Pombalho przed śmiercią był załamany i że stopa życiowa rodziny od tamtego czasu się obniża, a Rodrigo jakoś dziwnie chce winą za to obciążyć Victora.

- Przyjmowaliśmy go serdecznie w naszym domu. Victor Caswell. Uśmiechnięty. Bogaty. Z każdym za pan brat. *O grande empreiteiro. O cavalheiro culto.* Ja mu nie ufałem. Francisco mówił, że on się nam przyda. Jego pieniądze. Jego ziemia. Jego kauczuk. Ale ja w jego oczach czytałem, co on jest. *Um ladrão.* Złodziej, jak jego przyjaciel, major Turnbull. Ale co ja wiedziałem? Ja byłem bez pojęcia. Ja byłem Rodrigo, ten głupiec. Rodrigo *o bêbado.* Więc dali mu ożenić się z Consuelą. Dali mu ją zabrać do Anglii. A potem dowiedzieli się za późno, co on jest rzeczywiście.

Tak to Rodrigo chłostał słowami, skoro nie mógł walić pięścią. Przyjechał, żeby uratować Consuelę, ale jeszcze nie wiedział, przed kim czy przed czym. Na razie upatrzył sobie Victora. Całą resztę sprawy - dowody, okoliczności, powszechne potępienie - zbywał. Wierzył we własne siły, w swój nieubłagany gniew i niezachwianą pewność siebie. I raptem, gdy patrzyłem, jak się on zatacza na korytarzu pociągu, stwierdziłem, że ja też w niego wierzę. Jego ręką nie będzie kierować poczucie winy, jego rozeznanie nie zmaczą wątpliwości. To on jest tym wybawcą, jakiego Consuela potrzebuje. Po śniadaniu nazajutrz w pociągu sunącym na północ poprzez szarość świtu,

uzgodniliśmy, Rodrigo i ja, plan kampanii. Rodrigo pojedzie znów do Hereford, pozbiera tam informacje u wszystkich, którzy mają związek ze sprawą i zechcą mówić, a potem przyjmie propozycję Windrusha i spotka się z obrońcą Consueli, sir Henrym Curtis-Bennettem. Ja będę przy tym spotkaniu. Dalsza kampania zależy od tego, co wielki sir Henry powie o naszych perspektywach.

Kanał był tak szary i zimny, jak ten dzień. Rodrigo i ja byliśmy jedy-
nymi pasażerami na pokładzie promu. Gdy ukazały się białe skały, zapytałem Rodriga, co ostatecznie uzyskał od Victora, do jakiego działania, jeśli w ogóle do jakiegoś, zdołał go zobowiązać.

- Victor mi powiedział, żebym wrócił do Brazylii. Powiedział, że-
bym zapomniał o Consueli. Powiedział, że nie zrobi nic, żeby jej po-
móc, bo wierzy, że jest winna. Moja siostra *uma homicidia*. Już nie
wytrzymałem. Przyrzekłem mu *uma promessa solertissima*: jeżeli
moją siostrę powieszają, ja go zabiję. Nie mówiłem na wiatr. Jej odbio-
rą życie, ja odbiorę życie jemu.

Patrząc na Rodriga zobaczyłem to, co musiał zobaczyć Victor. Nic
dziwnego, że zląkł się i zwrócił do policji. Wyraz twarzy Rodriga wpa-
trzonego nieubłaganie w spiętrzone fale ostrzegał. Również i ja powi-
nieniem był mieć się na baczności, ale jeszcze o tym nie pomyślałem.
Tragedia jest swoją własną matką. Z jej potomstwem jeszcze czekała
mnie konfrontacja. Cokolwiek już się stało, najgorsze miało dopiero
nadejść.

IX

Ostatni dzień listopada, chłodny, mglisty, ponury, zagarniała noc, zdawałoby się, prawie od chwili, gdy zaświtał. Ale na Frederick Place było jasno, bo lampy się paliły, i wesoło, bo Doris oznajmiła, że zaręczyła się z młodym referentem z sąsiedniego biura. Bankowcy i mój personel zamierzali to wydarzenie oblać Pod Trzema Koronami zaraz po pracy.

Siedziałem w biurze, odporny na wszelkie formy wesołości. Wielką ulgę sprawił mi Windrush, zawiadamiając przez telefon po południu, że sir Henry Curtis-Bennett niespodziewanie znalazł wolne miejsce w wypełnionym terminarzu i przyjmie jego i Rodriga w swojej kancelarii w Middle Temple o godzinie wpół do szóstej i że ja będę tam mile widziany. Teraz był powód, żebym się wymówił od oblewania zaręczyn. Tylko wypilem pośpiesznie kufel piwa, cmoknąłem Doris w policzek i uścisnąłem dłoń jej narzeczonego.

Rodrigo nie odezwał się po naszym powrocie z Nicei w poprzednim tygodniu i w ogóle od nikogo nie miałem żadnych wiadomości w związku ze sprawą Consueli. Angełę, o ile wiedziałem, nadal zabawiał Turnbull w restauracjach i kasynach na Lazurowym Wybrzeżu. Imry swoją dokładniejszą relacją z wizyty w Yorku utwierdził mnie w przekonaniu, że wnikanie w przeszłość Imogen Roebuck jest daremne. Krótko mówiąc, utknąłem w miejscu na smętnym rozstaju dróg już zbadanych, prowadzących donikąd, i ręce mi beznadziejnie opadły. Cokolwiek sir Henry mógłby zagwarantować, jakkolwiek by rzucił okrucz nadziei, z góry byłem mu wdzięczny.

Dojazd tam zabrał mi więcej czasu niż przewidywałem. Słabe oświetlenie klatki schodowej w Plowden Buildings ostatecznie mnie upewniło, że o dobrych kilka minut się spóźniłem. Rodrigo i Windrush już tam siedzieli. Sir Henry już mówił, gdy zdyszany wszedłem przepraszając.

Rodrigo zignorował moje przybycie. Najwyraźniej był ostatnio zarówno u krawca, jak u fryzjera, ale schludność wyglądu tylko podkreślała jego zdesperowanie. Siedział w wolterowskim fotelu zgarbiony, wpatrzony w sir Henry'ego, nieruchomy poza tym, że odruchowo głąskał się po wąsach. Natomiast Windrush, przycupnięty na krześle pod stojącą na podłodze wysoką lampą, wciąż się poruszał, palił papierosa za papierosem, i bez celu przekładał papiery, które trzymał na kolanach.

Sir Henry, przeciwieństwo ich obu, był znacznie sympatyczniejszy i bardziej uprzejmy niż byłbym ja dla klientów o tej godzinie w piątek wieczorem. Krępy, łysawy, miał wesołą twarz bez podbródka z rodzaju tych, jakie natura powinna dawać, ale nie daje tłuszciochom. To i oznaki znużenia w jego głosie i gestach od razu uspokajająco świadczyły że jest człowiekiem wrażliwym. Sądząc po jego kołnierzyku, przyszedł do kancelarii prosto z sądu. Jeżeli tak, można by mu darować, że myśli raczej o domu i kominku niż o naszej sprawie. Ani przez chwilę jednak nie był roztargniony.

- Dla pana, panie Staddon, powtórzę to, co właśnie mówiłem. Prośba o przeniesienie procesu pani Caswell do Londynu została przyjęta. Proces odbędzie się w Old Bailey. Wyznaczono już datę: czternastego stycznia. A więc mamy dokładnie sześć tygodni, żeby przygotować obronę. Z przerwą na Boże Narodzenie nie jest to dużo, ale musimy się w tym czasie zmieścić. Panią Caswell już przewieziono z Gloucester do więzienia Holloway. Windrush i ja odwiedziliśmy ją dziś po południu. Reakcja pani Caswell na oskarżenie jest szczerą. Muszę przyznać, że jej szczerść zrobiła na mnie głębokie wrażenie. Poza tym może nic napawającego otuchą nie wyłoni się z mojego rozeznania tej sprawy. A otuchy potrzebujemy sporo. Prokuratura zgromadziła obciążające poszlaki i według wszelkiego prawdopodobieństwa nie będziemy mogli ich zbić. Wszystko zależy od tego, jak pani Caswell zaprezentuje się sądowi i jakie zdanie o niej wyrobią sobie przysięgli. Nie możemy zaprzeczyć faktom: pani Caswell była obecna na miejscu i w czasie zbrodni, miała środki, miała sposobność, żeby tę zbrodnię popełnić. Nie możemy nawet skierować podejrzania gdzie indziej, ponieważ w całym materiale dowodowym nie widzę ani śladu innych podejrzanych. Dlatego więc trzeba nasze wysiłki skoncentrować na przekonaniu sądu, że pani Caswell jest niezdolna do czynu jaki się jej przypisuje.

Materiały dowodowe w sprawach o otrucie szczególnie charakteryzuje to, że nigdy nie ma bezpośrednich świadków. Nikt nie widzi samego podsunięcia trucizny. Bo ktoś postronny, kto by widział,

przeszkodziłby i do otrucia by nie doszło. Ja uważam, że sprawcą mógł być teoretycznie każdy z obecnych w tym domu wtedy po południu dziewiątego września... Oskarżyciel będzie argumentował, że nikt poza panią Caswell nie miał żadnego motywu ani też takiej dobrej sposobności. My będziemy argumentować, że nikt zdrowy na umyśle nie zostawiłby dowodu swojej winy, tak by go znalezione. Jeżeli zdyskredytujemy te jedyne dowody świadczące przeciwko pani Caswell, obrona stanie się przekonująca, ale do tego potrzebujemy pomocy jej samej. Przewiduję, że tej sprawie nadadzą obrót zeznania oskarżonej. Ja będę tak pytał, żeby miała wszelkie szanse oddać sobie sprawiedliwość, i przygotuję ją do krzyżowego ognia pytań najlepiej jak potrafię. Sęk jednak w tym, podkreślam z całą mocą, jak będzie reagowała na pytania prokuratora, zdana wyłącznie na siebie, bo ja nie będę mógł jej pomagać. Dopiero wtedy się okaże, czy jest nadzieja, że nasze wysiłki doprowadzą do uniewinnienia. Tyle o naszej strategii. Teraz, Windrush, o ile wiem, pan werbuje świadków. Są jakieś radosne wieści z tego frontu?

- Wytropiłem Cathel Simpson, pokojówkę pani Caswell, w jej nowym miejscu zatrudnienia w Birmingham. Jest gotowa przysiąc, że ani arszeniku, ani tych anonimów nie było w szufladzie w przeddzień rewizji.

- Doskonale. A ogrodnik?

- On za każdym razem kiedy się go pyta, śpiewa na inną melodię.

- Przepraszam - wtrąciłem się. - Banyard mi mówił, że kupił ten środek chwastobójczy, ponieważ pan Caswell... a nie pani Caswell... zwrócił mu uwagę na chwasty. Czy to się przyda?

- Przyda się, a jakże - powiedział sir Henry. - I żeby wzmocnić takie punkty, potrzebujemy bardzo wiarygodnych świadków. Jakie postępy na tym polu, Windrush?

- Panna Hermione Caswell wydaje się najbardziej wiarygodna. Jest przekonana o niewinności pani Caswell, i zarazem spokrewniona z nieboszczką. Pełna werwy. Wprost niepodobna zbić ją z tropu.

- Dobrze. Ktoś jeszcze?

- Niestety nie. Pani Caswell chyba nie ma wielu przyjaciół. A wszyscy przyjaciele pana Caswella trzymają się od tego z daleka. Jest w Hereford ksiądz rzymskokatolicki, oczywiście, ale...

- Myślę, Windrush, że nie. Bardziej by zaszkodził niż pomógł przed zakutym protestanckim sądem przysięgłych, bo niewątpliwie to będą protestanci. - Sir Henry podumał przez chwilę - Panna Hermione musi więc wystarczyć. Może, po namyśle...

- Ja chętnie złożę zeznanie - powiedziałem raptowniej niż chciałem.

Sir Henry uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Dziękuję, panie Staddon, ale nie. Chyba tylko zdezorientował by pan przysięgłych. O ile wiem z doświadczenia, żaden przysięgły nie wierzy w platoniczną przyjaźń mężczyzny z mężatką.

Rodrigo odwrócił głowę do mnie. Oczywiście miał w cieniu, nie mogłem poznać, co myśli.

- Może więc pomógłbym w jakiś inny sposób? - nie ustawałem. - Pan mówił o braku innych podejrzanych. Sir Henry, czy zupełnie wykluczona jest możliwość, że pan Caswell wyreżyserował to otrucie, żeby pozbyć się żony?

Windrush zamrugał i wciągnął oddech. Sir Henry patrzył na mnie uważniej, niż przedtem.

- Zechciałby pan rozwinąć tę supozycję? - zapytał łagodnie.

Jak nigdy przedtem, widziałem płytkość mojego podejrzenia co do Victora Caswella, gdy zachęcony przez sir Henry'ego spróbowałem nieporadnie je uzasadnić. Sam siebie słyszałem przedstawiając swoje wrażenia i wnioski zgoła nawet dla mnie nieprzekonywające. W końcu zająknąłem się i umilkłem. Sir Henry przyciskał usta do splecionych rąk. Po długiej chwili uśmiechnął się i łagodnie mnie pouczył:

- Pańska hipoteza nie daje się obronić, panie Staddon. Co więcej powoływanie się na to w sądzie zraziłoby zarówno sędziego, jak przysięgłych. Tylko by uznali, że pastwimy się nad tą rodziną w żalobie wysuwaniem niesmacznych, bezpodstawnych twierdzeń. Prowadzę nieraz sprawy, w których kontratak jest najlepszą obroną. Ta sprawa nie jest taka.

Nagle Rodrigo się ocknął.

- Chcę zadać jedno pytanie. - Głos jego zabrzmiał jak dzwon.

- Proszę, niech pan pyta - powiedział sir Henry z twarzą jeszcze zmarszczoną w uśmiechu.

- Czy pan potrafi uratować moją siostrę?

- No to rzeczywiście nie jest takie proste, ale...

- Tylko tyle chcę wiedzieć. - Rodrigo klepnął poręcz fotela. - Czy pan może ją uratować?

Sir Henry był niewzruszony.

- Mogę, owszem. Mam nadzieję, że ją uratuję. Ale nie gwarantuję tego. W działaniu prawa nie ma żadnych gwarancji, są tylko szanse.

- A jakie są nasze szanse? - zapytałem.

- Szczerze mówiąc nie są duże. Ale też nie są znikome. I jestem pewny, że do czternastego stycznia mogą znacznie wzrosnąć.

- Co się stanie, jeżeli panu się nie uda? - zapytał Rodrigo. Co z nią zrobią, jeżeli pan przegra tę sprawę?

- O tym by już decydował sędzia.

- Czy ją powieszają?

Po raz pierwszy sir Henry spochmurniał. Odchylił się w fotelu, twarz mu się wydłużyła.

- Jest taka możliwość.

Rodrigo przytaknął ponuro.

- Tak właśnie myślałem. - Wstał ociężale. - *Chego!* Powiedział mi pan to, co chciałem wiedzieć. Muszę już iść. *Obrigado e boa tarde, senhor.* - Ukłonił się sztywno i wyszedł. Windrush wyraźnie się zdumiał. Popatrzył na mnie, popatrzył na sir Henry'ego, zmieszany.

- Hm... przykro mi, naprawdę. Powinienem pójść za nim...

- Nieistotne - powiedział sir Henry.

- Jednak, ja... - Windrush zgarniał swoje papiery wylatujące mu z rąk.

- Zrywność to bądź co bądź składnik latynoskiego temperamentu - dodał sir Henry wyciągając szyję do Windrusha w kucki zbierającego papiery z podłogi.

- Wiem, ale... - Windrush chwiejnie się wyprostował. - Naprawdę muszę z nim uzgodnić parę rzeczy. Przepraszam. - I ledwie kiwnąwszy głową w moją stronę, wybiegł za Rodrigiem.

- Ja też powinienem wyjść - powiedziałem, gdy kroki Windrusha ucichły.

- Nie ma pośpiechu, panie Staddon, zapewniam pana. Tak sobie myślę, że... zapali pan cygaro?

- Hm... nie, dziękuję.

Niezrażony, zapalił sam. Dmuchnął dymem, rozparł się wygodnie w fotelu.

- Tak sobie myślę, że nie najgorzej określiłem naszego brazylijskiego przyjaciela. Zrywny? Trafnie, powiedziałby pan?

- Owszem.

- Ja również bym tak powiedział. Ale to nie odnosi się do jego siostry, prawda? Pani Caswell jest jedną z najspokojniejszych osób, jakie spotkałem. Może najspokojniejszą w ogóle, biorąc pod uwagę sytuację.

Przeznacznie nasunęła mi się sugestia Imogen Roebuck.

- Czy tak jak gdyby wcale jej nie zmartwiło to, co się dzieje? Jak gdyby właśnie tego chciała?

Sir Henry zmarszczył brwi.

- Proszę jaśniej, panie Staddon.

- Otóż... Consuela Caswell jest niezdolna do morderstwa, jeśli się zakłada, że jej osobowość nie zmieniła się od czasów, kiedy ją znałem. Ale jeśli się zmieniła? Pan powiedział, że nikt zdrowy na umyśle, kto popełnił taką zbrodnię, nie zostawiłby dowodów wśród swoich rzeczy, żeby je znalazła policja. Ma pan rację. Nikt zdrowy na umyśle. Ale jeśli...

- Niech pan nie mówi dalej. Błagam! - Uśmiechem przeprosił, że mi przerywa. - Pani Caswell jest niewinna. Nie mam wątpliwości. Bronienie jej to honor dla mnie bez względu na wynik. Nie zamęczajmy tej błotnistej wody, bo przepadniemy. Pan rozumie?

- Tak. Rozumiem.

- To dobrze. No, cygara pan nie chce, więc czy mogę pana poczęstować whisky? Szczerze mówiąc, panie Staddon, wygląda pan tak, jakby pan potrzebował czegoś mocnego.

W dwadzieścia minut później wyszedłem z Plowden Buildings w mrok, który stał się dokuczliwie zimny. Skierowałem się na południe przez Middle Temple Lane i od razu zobaczyłem czekającego w bramie o kilka kroków przede mną Windrushę z twarzą zasnutą dymem z papierosa i parą oddechu.

- Och, panie Staddon. Bogu dzięki. Już myślałem, że pana nie złapię.

- Gdzie Rodrigo?

- Zniknął. Jest w dziwnym nastroju. Dlatego próbowałem go dogonić. Mógłby zrobić jakieś głupstwo.

- Jakie, na przykład?

- Nie wiem. Ale on mnie niepokoi, naprawdę niepokoi. Dokąd pan idzie?

- Na stację kolei podziemnej.

- Podprowadzę pana kawałek, jeżeli można.

- Nie przeczę, że chciałem porozmawiać z Rodrigiem.

- Niech pan się uważa za szczęściarza, że pan nie porozmawiał.

On pana chyba znienawidził.

To mi wyjaśniło postawę Rodriga wobec mnie w kancelarii Curtis-Bennetta, ale nie wyjaśniło przyczyny.

- Nie rozumiem - powiedziałem. - Poprzednio wydawał się dosyć życzliwy.

- I dobrze mówił o panu w zeszłym tygodniu, kiedy pokazał się Hereford. Ale potem coś sprawiło, nie wiem co, że zmienił zdanie. Dzisiaj, kiedy przyjechałem po niego do hotelu...

- Gdzie się zatrzymał?

- W Bonnington na Southhampton Road.

- Może wpadnę tam do niego wyjaśnić. Bo to jakieś nieporozumienie...

- Nie moja rzecz, oczywiście, ale nie radziłbym panu. Jego trudno chwilami zrozumieć... ten akcent, ta urywana wartość... ale to, że pana znienawidził, jest dla mnie jasne jak słońce. On za nic nie chce mieć z panem już nic do czynienia. Wprost sobie nie wyobrażam, co by zrobił, gdybym mu powiedział, że pan pokrywa honorarium sir Henry'ego...

- Nie wie?

- Boże święty, nie. Na szczęście, jest zbyt niepraktyczny, żeby pomyśleć o pieniądzach, więc najprawdopodobniej nie będzie mnie o to pytał.

- Sir Henry nie przejął się jego wymarszem.

- Och, to dobrze. Przekonanie sir Henry'ego, żeby podjął się obrony, było moim szczytowym osiągnięciem w sprawie pani Caswell. Nie chcę, żeby jej stuknięty brat go odstraszył.

Skręciliśmy na Victoria Embankment i przez chwilę szliśmy w milczeniu. Pewna myśl, którą usiłowałem odsunąć, nagle wbrew mojej woli wyraziła się pytaniem:

- Jak się czuje Consuela?

- Wciąż tak samo. Spokojna. Daleka jak łabędź. Widziałem dziś takiego łabędzia na Serpentine. Był wytworny, nie obchodziły go ludzkie sprawy. Z czasem to zaczyna się wydawać niesamowite.

- Niedługo znów pan ją odwiedzi?

- Jutro rano, zanim zabiorę się z powrotem do Hereford.

Doszliśmy do wejścia na stację kolei podziemnej i przystanęliśmy. Upokorzony, bo ten człowiek zupełnie obcy nieświadomie wejrzął w moje sekrety, wolałem nie pytać o to, co tak bardzo pragnąłem wiedzieć.

- Tutaj nasze drogi się rozchodzą, Staddon. Zatrzymałem się u przyjaciół w Mitcham. Więc już pana pożegnam.

- Zanim pan pojedzie...

- Tak?

- Consuela...?

Uśmiechnął się z żalem.

- Pani Caswell nie chce pana widzieć. Jest niewzruszona w tej kwestii. Jak w wielu innych.

- Mógłby pan... zapytać jeszcze raz?

- Mógłbym zapytać tysiąc razy. I odpowiedź zawsze byłaby taka sama. Ona mówi, że pan wie, dlaczego.

Nic na to nie powiedziałem. Jedyna wiadomość od niej była oskarżeniem, którego nie mogłem odeprzeć. Windrush przytaknął, jak gdyby uzyskał ode mnie potwierdzenie, że wiem.

- Dobrej nocy, Staddon. Będziemy w kontakcie.

Żeby nie spędzić wieczoru samotnie, przesiedziałem dwie godziny w cieple i zastępczo pogodnej atmosferze jednego z pubów na Noting Hill Gate. Swoją nieroztropność uświadomiłem sobie dopiero wtedy, gdy dotarłem na Suffolk Terrace. Nora otwierając mi drzwi, oznajmiła, że pani wróciła.

Angełę zastałem w salonie z dwiema jej przyjaciółkami od brydża i zakupów, Maudie Davenport i Chloe Phipps. Na oparciach krzeseł wisiały suknie kupione w Nicei. Kostium, w którym zadawała szyku, też był nowy. Wszystkie trzy śmiały się głośno przypominając rozgęgane gęsi na wiejskim podwórku. Może wyraz mojej twarzy zdradził, co o nich myślę, w każdym razie ich śmiech raptownie ucichł. Wydawało się, że temperatura w salonie spadła.

- Jesteś, Geoffrey. Nie wiedziałam, gdzie się podziałeś. - Angela podeszła do mnie i nadstawiła policzek, żebym ją pocałował tak, jak jej przyjaciółki się spodziewają.

- Dobrą miałaś podróż?

- Znośną, dziękuję.

- Powinnaś była mnie zawiadomić! Czekałbym na dworcu.

- Wyjeżdżałam w takim pośpiechu, kochanie.

- Rozumiem. No, jeżeli panie mi darują, powiem już dobranoc.

Padam ze zmęczenia.

- Dobranoc, Geoffrey.

Nie martwiąc się wrazeniem, jakie sprawiam, zataczając się, wyszedłem z salonu.

Obudziło mnie światło w ubieralni Angeli. Można by pomyśleć, że jest poranek następnego dnia, ale budzik na szafce nocnej wskazywał, że

dochodzi północ. Leżałem, czujnie wsłuchany w cichy odgłos szczytkowania włosów i szelest jedwabnego peniuaru. Po długiej chwili Angela podeszła do łóżka i położyła się przy mnie. Nie musnęła mnie nawet, nie zrobiła nic, żeby nawiązać jakąkolwiek łączność, przerzucić bodaj kładkę nad przepaścią pomiędzy nami. Niewątpliwie miała nadzieję, że śpię. I chyba dlatego zacząłem rozmowę.

- Przyjemny był wieczór, moja droga?

- Nie uprzyjemniłeś go swoim powrotem do domu, i to pod gazem, Geoffrey, z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę. Zapach piwa jest taki prostacki.

- Nie wiedziałem, że wkroczę na wasz wiec. Dlaczego mnie nie uprzedziłaś?

- Nie pomyślałam, że to cię zainteresuje.

- Odbylaś tę podróż sama?

- Victor ze swoją ekipą właśnie wyjeżdżał. Przyłączyłam się do nich.

- Czy w ekipie był również ten niebezpieczny major?

Cisza zaległa i trwała zdawałoby się nieskończenie, zanim Angela ją przerwała.

- Geoffrey, przywykłam już do oddzielnej sypialni. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że jutro poproszę Norę, żeby przygotowała tamten pokój. Będzie ci tam zupełnie wygodnie.

„Tamten” pokój był dziecinnym pokojem Edwarda. Pamiętałem, jak pewnego dnia po jego śmierci zobaczyłem, że został odarty ze wszystkiego - jego garderoby, zabawek, nawet tapety przedstawiającej „Wyspę Skarbów” - ze wszystkiego oprócz upartej, rozjuszającej Angelę pamięci o nim.

- Rób, co chcesz - burknąłem wtulając twarz w poduszkę.

Nazajutrz rano śpieszyłem się, jeśli mam być szczerzy, żeby wyjść z domu, dopóki Angela jest w łóżku. Ale gdy po szybko zjedzonym śniadaniu składałem w gabinecie papiery do zabrania, przyszła Nora. Przedtem rozległ się dzwonek, myślałem, że to telegram. Myliłem się.

- Jakaś panienka chce się z panem zobaczyć - zaanonsowała Nora zaintrygowana. - Mała dziewczynka. Mówi...

- Czy nazywa się Jacinta Caswell?

- Tak, proszę pana. Tak powiedziała. Więc pan ją zna?

- Znam, Noro, znam ją.

Jacinta stała w salonie ubrana tak samo jak wtedy, gdy przyszła na Frederick Place. Wyraz twarzy jednak miała inny. Nie tylko ostrożny, ale i podejrzliwy. Nie tylko zdecydowany, ale i wyzywający. Naprawdę byłam z niej dumny i jednocześnie zrobiło mi się wstyd.

- Dzień dobry, panie Staddon.
- Dzień dobry, Jacinto. Wczesnie spacerujesz po Londynie.
- Och, nie spaceruję. Przyjechałam tu prosto z hotelu. Musiałam wyjść przed śniadaniem, bo ojciec by mnie powstrzymał, prawda?
- Możliwe.
- Albo panna Roebuck.
- Chcesz coś zjeść czy napić się czegoś?
- Nie, dziękuję. Będę musiała zaraz wracać, żeby nie zobaczyli, że mnie nie ma, i nie zaczęli szukać.
- Chyba nie tutaj.
- Nie wiem. Nie mogę być pewna. A pan może?
- Czym tu przyjechałaś?
- Taksówką. Dostałam suwerena od majora Turnbulla, kiedy wyjeżdżaliśmy z Willi d'Abriocot. Dałam go temu kierowcy.
- Uzgodniłiśmy, że będziemy się kontaktować w moim biurze.
- Ale teraz by pana tam nie było, tak wczesnie. I dziś przed południem jedziemy do Hereford. Ojciec wczoraj powiedział.
- Jednak...
- Dlaczego pan mi to zrobił, panie Staddon? Przyjechałam zapytać. Dlaczego pan się zgodził dać spokój ojcu i panie Roebuck?
- Nie zgodziłem się. Niezupełnie. Ja...
- Słyszałam pana. „Już o mnie nie usłyszycie”. Pana własne słowa. Stałam na schodach i słyszałam.
- To wcale nie znaczyło, że zaprzestanę starań, żeby pomóc twojej matce.
- Nie znaczyło? - Podbródek jej się trząsał. Bliska płaczu, dzielnie powstrzymywała łzy. Jak jej matka, stanowczo sobie nie pozwalała okazać ani trochę słabości. Pragnąłem wziąć ją w ramiona i przytulić. Nie mogłem. Była przeszłość i moja rola w przeszłości.
- Znaleźliśmy dobrego adwokata, Jacinto. To bardzo mądry człowiek. Doprowadzi do tego, że sąd ją uniewinni.
- Jak doprowadzi?
- Bada teraz dowody. Wypytuje świadków. On... on przekona sąd przysięgłych.
- Myśli pan, że przekona?

- Och, tak. Z całą pewnością.
- Co będzie, jeżeli nie przekona?
- Nie trzeba o tym myśleć. Sir Henry Curtis-Bennett nie zawiedzie. Nigdy nie zawodzi.
- Nigdy?
- W takich sprawach jak ta.
- Pan wie na pewno?
- Oczywiście.
- I on nazywa się sir Henry Curtis-Bennett?
- Tak. Ty o nim nie słyszałaś, ale jest sławny.
- Och, słyszałam. W środę wieczorem przed wyjazdem ojciec długo siedział z majorem Turnbullem. Zesłam po cichu na dół i podsłuchiwałam.
- To było ryzykowne.
- Naprawdę nie. Panna Roebuck miała migrenę. Wzięła proszek na sen. A major Turnbull mówi bardzo głośno. Więc to było łatwe, naprawdę. Chce pan wiedzieć, co mówili?
- Nie za bardzo.
- Do ojca przedtem telefonował radca prawny, pan Quarton. Więc ojciec chyba od pana Quartona dowiedział się o sir Henrym, bo zapytał majora Turnbulla czy on myśli, że sir Henry potrafi wygrać tę sprawę. Tak zapytał, jakby nie chciał, żeby sir Henry wygrał.
- I co na to major Turnbull?
- Powiedział, że sir Henry jest dobry, ale nie dość dobry. A potem powiedział coś okropnego.
- Co?
- Że sir Henry w zeszłym roku bronił żonę oskarżoną o zamordowanie męża... i przegrał. I że ona nazywała się Thompson, i że ją powiesili. Czy to prawda, panie Staddon?
- Tak było, chociaż dopiero Jacinta mi o tym przypomniała. Curtis-Bennett rzeczywiście bronił pani Thompson. I przegrał. I niesłusznie ją powieszono.
- Hmm... nie przypominam sobie nic takiego.
- Powiedział, że sir Henry jest tylko gadułą i że nie ma czym się przejmować.
- Tak powiedział?
- Tak, panie Staddon. Słyszałam wyraźnie. „Nie ma czym się przejmować, Victor, absolutnie”. Co to znaczy? Czy moją mamę powieszą? Czy ojciec chce, żeby ją powiesili? Dlaczego...

Nagle dało się słyszeć jakieś poruszenie przy drzwiach frontowych. Stukanie kołatką i dzwonek. Głos Nory, a potem ochrypliwy ryk, niewątpliwie Victora.

- Gdzie jest moja córka?

Jacincie oczy się rozszerzyły w panice.

- Ojciec. Jak się dowiedział, że jestem tutaj?

- Nie wiem.

- Prędko, zanim wejdzie. Kto wtedy wychodził z willi, kiedy pan wchodził ostatnim razem? Nie chcą mi powiedzieć.

- To był twój wuj Rodrigo. Brat twojej matki. Z Brazylii. Chciał...

Drzwi raptownie się otworzyły. Victor nas dopadł.

- Co tu się dzieje, do diabła? - ryknął.

Jacinta odwróciła się i spojrzała na niego spokojnie. A on, jak zauważyłem, natychmiast spuścił z tonu, już nie tak agresywny i pewny siebie.

- Tatusiu, wyszłam na spacer przed śniadaniem i zablądziłam. Potem zobaczyłam napis Suffolk Terrace i przypomniało mi się, że państwo Staddon tu mieszkają. Czy to nie był szczęśliwy traf?

Victor patrzył na nią przez chwilę i na ustach drgały mu słowa, których nie odważył się wymówić. Potem powiedział:

- Wyjdz. Panna Roebuck czeka w aucie.

- Dobrze, ojcze. - Spojrzała na mnie. - Do widzenia, panie Staddon. Dziękuję za pomoc.

- Do widzenia, Jacinto.

Wyszła powoli i zamknęła za sobą drzwi. Zanim Victor zdążył się odezwać, ja jemu zadałem pytanie:

- Skąd pan wiedział, że ona jest tutaj?

- Pańska żona telefonowała. Uznała, że powinienem wiedzieć, gdzie moja córka przebywa.

- Wyprawiłbym ją z powrotem dostatecznie szybko.

- Skąd ona tu się wzięła, Staddon?

- Słyszał pan wyjaśnienie.

Victor podszedł bliżej, nie zadając sobie fatygi, żeby ukryć wrogość.

- Kiedyśmy się ostatnio widzieli, zapewnił pan, że zostawi mnie i moją rodzinę w spokoju.

- Jeżeli się nie dowiem, że wprowadzono mnie w błąd.

- Twierdzi pan, że wprowadzono?

- Nic nie twierdę. Jacinta zablądziła i przyszła do mojego domu. To wszystko.

- Nie. To nie wszystko. Ale powiem panu jedno: niech pan tylko spróbuje jeszcze kiedyś porozmawiać z Jacintą, czy się z nią w jakikolwiek sposób...

- Co wtedy?

- Postaram się, żeby pan nie dostawał nawet tych małych zleceń, które coraz rzadziej się panu nadarzają.

- Jak zamierza się pan o to postarać?

- Mam większy wpływ w różnych środowiskach niż pan sobie wyobraża. Nie radzę więc mnie zmuszać do wykorzystania tego przeciwko panu.

- Jest miejsce, gdzie nie ma pan wpływu, Caswell, a mianowicie mój dom. Zechce pan łaskawie stąd wyjść.

Jak przedtem, on wyraźnie gotów był coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Z namysłem popatrzył mi w oczy i lekko skinął głową, jak gdyby zadowolony, że nawzajem się zrozumieliśmy. Szybko wyszedł z salonu.

Ledwie usłyszałem trzaśnięcie drzwi frontowych, ruszyłem do sypialni. Ale na schodach się opamiętałem. Gdybym w tym gniewie zobaczył Angelę, nie wiadomo, co bym powiedział czy zrobił. Wystarczyłaby jedna jej uszczypliwa uwaga i już bym zareagował gwałtownie. Zawróciłem do hallu i wezwałem Norę.

- Noro, powiedziałaś pani, że Jacinta Caswell jest tutaj?

- Tak, proszę pana. Pani pytała, kto przyszedł, więc powiedziałam.

- Dobrze. Dziękuję.

- Pan już wychodzi?

- Tak.

- I wróci pan na obiad?

- Nie. Ani na obiad, ni za żaden inny posiłek.

Hotel Bonnington był skromny, ale renomowany. Grzecznie mnie poinformowano, że Rodrigo jest w swoim pokoju, i skierowano mnie tam. Zapukałem do drzwi, cisza. Zapukałem ponownie. Usłyszałem niegłośnie warknięcie, które uznałem za zaproszenie.

W pokoju było bardzo zimno. Przez okno, otwarte na oścież, napływało przejmująco wilgotne powietrze, ogień na palenisku kominka dawno wygasł. Rodrigo w ubraniu leżał na wznak na wąskim łóżku,

nieruchomy jak kamienny wizerunek rycerza na grobowcu. Powoli uniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Stad-don! - Wprost wypluł jedną i drugą sylabę mojego nazwiska.

- Cześć, Rodrigo. Jak się masz?

- Jak się mam? - Usiadł i dopiero teraz zobaczyłem jego włosy rozczochrane, oczy czerwone i spuchnięte, podbródek ciemny od szpeciny zarostu. Przy nim na pół ukryta pod skłębionymi kocami stała pusta butelka. - Ty śmiesz mnie pytać!

- O co ci chodzi!

- O ciebie, Staddon,

- Nie rozumiem.

- Byłem w Hereford. Usłyszałem o tobie.

- Co usłyszałeś, od kogo?

Spuścił nogi z łóżka i spojrzał na mnie spode łba.

- Po co przyszedłeś?

- Żeby z tobą porozmawiać. Dowiedzieć się, co cię trapi.

- Moją siostrę powieszają. Mało strapienia?

- Myślałem, że będziemy współdziałać, żeby do tego nie dopuścić.

- Współdziałać! Rodrigo Manchaca de Pombalho i ty?

- Tak. Co stoi na przeszkodzie?

- Na przeszkodzie? - Rzucił się z łóżka i zanim się spostrzegłem, chwycił mnie za kłapy płaszcza. Dopchnął mnie do ściany i tak przyciskał, że bezradny wobec jego ogromnej siły, mogłem liczyć tylko na to, że złagodnieje. Przysunął twarz do mojej twarzy, oddychał ciężko.

- Skłamałeś mi, Staddon.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Powiedziałaś, że jesteś znajomym Consueli. Nie powiedziałaś, że jesteś jej kochankiem.

- Nie jestem. Nigdy nie byłem.

- Dalej kłamiesz.

- Kto ci mówił? Z kim rozmawiałaś?

- Nieważne. Ważne, czy się przyznajesz?

- Posłuchaj. Były pewne...

Nagle walnął moją głową o ścianę. Trzymał mnie coraz mocniej. Czulem, jak stopy mi się unoszą nad podłogą.

- Jeszcze jedno kłamstwo, Staddon, jeszcze tylko jedno i połamię ci wszystkie kości.

- Dobrze. Przyznaję, Consuela i ja... pokochaliśmy się. Wiele lat temu. Ale to niczego nie zmienia.

- Myślisz, że pozwolę, żebyś mi pomógł, kiedy wiem to o tobie? Kiedy wiem, że byłeś kochankiem mojej siostry... mężczyzną, który z niej zrobił... zrobił z niej... *uma adúltera*.

- To nie ma nic wspólnego z jej procesem. Ja tylko usiłuję...

Człowiek poślizgnie się na lodzie i ni stąd ni zowąd leży. Tak właśnie ni stąd ni zowąd znalazłem się w kącie pokoju, nogi mi się zaplątały w nogi stolika, w głowie mi dzwoniło, ramię bolało. Rodrigo stał nade mną, olbrzymi, zniekształcony, gdy patrzyłem z podłogi.

- *Você desonrou a minha irmã* - ryczał. - *Você desonrou a minha familia!*

Przyłożyłem rękę do czoła. Krwawiło. Skuliłem się i powoli, ostrożnie wstałem.

- Rodrigo, na litość boską...

- Nic nie mów! Nie chcę już słyszeć twojego głosu, Staddon. Wyjdź zaraz. Wyjdź, dopóki pozwalałam.

Wiedziony instynktem samozachowawczym, ostrożnie ruszyłem ku drzwiom. Rodrigo nie spuszczał ze mnie wzroku. Chciałem przemówić mu do rozumu, wyjaśnić, że nie postępowałem tak źle, jak mu się wydaje. Chciałem przede wszystkim zapytać, kto mu powiedział o Consueli i o mnie. Ale nie odważyłem się.

Ostrożnie otworzyłem drzwi i schyliłem się, żeby podnieść mój kapelusz leżący u stóp Rodriga. Zanim zdążyłem sięgnąć, Rodrigo czubkiem buta wyrzucił kapelusz na korytarz. Jego oczy wciąż mnie ostrzegały. Wyszedłem powoli tyłem. Zatrzasnął mi drzwi prosto w twarz.

Pokojówka, która właśnie wychodziła z sąsiedniego pokoju, spojrziała na mnie przerażona. Uśmiechnąłem się uspokajająco i przypominając sobie o krwi na czole, odwróciłem się szybko i odszedłem.

- Gdzie byłeś potem? - zapytał Imry, gdy skończyłem opowiadać, co mnie spotkało w ten poranek.

- W biurze. Nikt chyba nie uwierzył w wyjaśnienie, że zawadziłem głową o belkę na strychu w domu. Wyszedłem z biura wcześniej i pojechałem do Hallaway. Widziałeś kiedy to więzienie. Blankowany gotyk. Bardziej już nie może być szary i odpychający. Nie wszedłem tam, jeżeli chcesz wiedzieć. Dostałbym o jednego kopniaka za dużo. Pojechałem stamtąd na cmentarz Brompton, żeby popatrzeć na grób mojego chłopca.

- I przyjechałeś tutaj z cmentarza?
- Tak. Nie mogłem wrócić do domu, bo nie wiem, jak bym rozmawiał z Angelą. Dzisiaj. Mieliśmy nasze kłótnie, oczywiście... ale nigdy dotąd w żadnym razie nie podniósłbym na nią ręki. Straszne, że to byłoby takie łatwe.
- I bezsensowne. Nie Angela jest tym prawdziwym problemem.
- Nie Angela. A ten prawdziwy problem nie daje się rozwiązać.
- Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. Będziesz musiał to uznać.
- Jak mogę? Proces Consueli za sześć tygodni. Jeżeli orzekną, że jest winna, czy wiesz, co to znaczy?
- Owszem, Geoff, wiem. Ale już nic więcej nie możesz zrobić. Pokrywasz honorarium Curtis-Bennetta. Jeszcze ci mało?
- Mało.
- Posłuchaj mnie. Wróć do domu i pogódź się z Angelą. Zapomnij o tym wariacie Rodrigu. I staraj się ze wszystkich sił nie myśleć o procesie Consueli.
- Dobra rada.
- Ale czy się zastosujesz?
- Nie. - Uśmiechnąłem się. - Prawie na pewno nie.

X

Ironia ma wiele masek. Jedną z nich w tamtych ponurych dniach grudnia była moja uległość wobec rady Imry'ego. Nieomal wbrew sobie usłuchałem go. Z Angellą wprawdzie się nie pojednałem, niemniej zawarliśmy niechętny rozejm. Rodrigo nie dawał znaku życia, a na proces Consueli, mającący coraz bliżej, nie mogłem przecież mieć żadnego wpływu. Wydawało się, że jeśli jestem, jak mi sumienie mówiło, poniekąd odpowiedzialny za to, co się stało, los karze mnie poczuciem całkowitej bezradności.

Dni mijały szare, zimne, wciąż deszczowe, zduszone smogiem i przygnębiająco krótkie. Z ciężkim sercem zastanawiałem się, co przyniesie Nowy Rok, a jeszcze czekało mnie fałszywie wesołe świętowanie Bożego Narodzenia. Ku mojej zgrozie mieliśmy z Angellą spędzić święta u jej rodziców w Surrey. Tymczasem wystawy londyńskich sklepów jaśniały lampkami i błyskotkami, w biurze udekorowanym przez Doris wisiały łańcuchy z papieru i chyba wszyscy wokół niecierpliwie wyczekiwali świąt.

Ostatni piątek przed Bożym Narodzeniem był najkrótszym dniem w roku. Z ciemnego już po południu nieba padał śnieg z deszczem. Świat wydawał mi się ponury i znużony. I właśnie wtedy nastąpiło coś, co było cichym sygnałem wydarzeń mających wyrwać mnie z bezwładu.

- Panie Staddon - Kevin zatrzymał się w gabinecie po przyniesieniu popołudniowej poczty - pan widział w „Sketchu” to ogłoszenie?

- Wiesz doskonale, Kevin, że ja nie czytuję „Sketcha”.

- A powinien pan. Tu jest ciekawa rzecz. - Wyciągnął spod pachy złożoną gazetę i upuścił ją na biurko. Była otwarta na stronic drobnych ogłoszeń i rzucając tam okiem, zobaczyłem tylko, że jest dużo wolnych miejsc pracy dla służby domowej i że zachęca się ludzi

do kupowania gwiazdkowych prezentów za zaliczeniem pocztowym.

- Nie mam czasu na zabawę w zgadywanie.

- Panie Staddon, nie musi pan się zaraz denerwować. Pan popatrz tutaj. - Żółtym od nikotyny palcem Kevin stuknął gazetę.

- Naprawdę ja... - I nagle zobaczyłem to ogłoszenie, wyróżniające się większym drukiem i nagłówkiem: CASWELL.

Każdy, kto ma jakiegokolwiek informacje w związku z rychłym procesem pani Consueli Caswell z posiadłości Spod Obłoków w Mordiford, Herefordshire, proszony jest o zgłoszenie się możliwie jak najszybciej na adres: Skrytka pocztowa 361. Za cenne informacje wysoka nagroda w gotówce. Dyskrecja zapewniona. Adresat jest osobą prywatną.

- No i co?

- Jak to co?

- Dziwne ogłoszenie. Kto z tym wyskoczył, jak pan myśli?

- Mnie pytasz? Chyba adwokat tej pani.

- Ale tu pisze „prywatny obywatel”. To daje do myślenia.

- Szczerze mówiąc, nie. Może zabierz się już do pracy.

Kevin oczywiście miał rację. To ogłoszenie „dało mi do myślenia”. Windrush tego nie nadał, bo po co? Wszyscy świadkowie w tej sprawie są mu znani. I znani są również wszystkim innym zainteresowanym. Kogo więc ów anonimowy odbiorca korespondencji ze skrytki pocztowej 361 spodziewa się zwabić? Jeszcze się nad tym głowiąc wyszedłem z biura mniej więcej w godzinę po wyjściu personelu.

Śnieg z deszczem przestał padać, błoto na chodnikach stwardniało szybko w zimnym bezwietrznym mroku. Szedłem prędko, ale tylko, żeby nie zmarznąć. Do domu wcale mi się nie śpieszyło.

Na rogu Old Jewry i Poultry był kiosk z gazetami. Rzadko tam kupowałem. Tym razem zatrzymałem się i kupiłem „Evening Star” i „Standard”. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, stanąłem przed rzęsiście oświetloną wystawą Mappira i Webba i przejrzałem te gazety. Ogłoszenie: „CASWELL, Każdy kto...” znalazłem w jednej i drugiej. Rzeczywiście zagadka.

Jeszcze wpatrywałem się w ten apel, usiłując bez skutku wydedukować jego cel, gdy poczułem na łokciu czyjąś rękę.

- Pan Staddon? - usłyszałem zachrypnięty gruby głos. Właściciel głosu stał tuż przy mnie, aż się zdumiałem, że nie zauważyłem, kiedy

podszedł. Człowiek prawie o stopę niższy ode mnie, ale barczysty i z głową jak gdyby za dużą w stosunku do tułowia - istny kieszonkowy torpedowiec. Był w zabłoconych butach, w kombinezonie roboczym i kurtce, w szaliku i w wełnianej czapce przekrzywionej na kędzierzawych włosach. Szary pył cementu czy czegoś takiego, powlekający jego odzież, świadczył, że to robotnik budowlany. Chociaż nie przypomniałem go sobie z terenów budowy, które ostatnio odwiedzałem.

- O co chodzi? - zapytałem ostrożnie.

- Pan jest pan Geoffrey Staddon, architekt, prawda?

- Tak.

- Ale pan nie wie, kto ja jestem?

- Nie wiem.

- Nic dziwnego. Dużo wody upłynęło. I życie mnie nie pieściło. - Rozejrzał się po ulicy, po czym znów patrzył na mnie z rozmiękłym, raczej nieuspokajającym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Moglibyśmy porozmawiać gdzieś, gdzie jest cieplej?

- O czym?

- O dawnych czasach. O tych teraz. O jednych i o drugich.

- Rzeczywiście nie wiem, o co chodzi.

- Dowie się pan niedługo.

- Pan powiedział, że jak pan się nazywa?

- Nie powiedziałem. Ale chyba nazwisko lepiej mnie panu przypomni niż moja twarz. Malahide. Tom Malahide.

Wtedy go rozpoznałem. To był ten cieśla z budowy Spod Obłoków zamieszany w sprawę kradzieży w papierni Peto. Wówczas wesół, sumienny pracownik, jak wiedziałem, chociaż niewiele miałem z nim do czynienia. Po dwunastu latach i odsiedzeniu wyroku wydawał się stary i sterany, pozbawiony całkowicie pewności siebie - i częściowo efekciarstwa.

- Pan zdziwiony, panie Staddon, że mnie tu spotyka?

- Tak. Chyba tak.

- I pan się zastanawia, czego ja chcę. No, nie będę mówić ogródkami. To dotyczy tego procesu, co będzie. Procesu żony Victora Caswella. Zaciekawilem pana? Widzę, że tak. Więc co, pogadamy?

W hałasie i dymie jednej z najmniej zdrowych piwiarni na Cannon Street były akurat takie warunki do rozmowy, jakich Malahide potrzebował. Dał sobie postawić portera i do popicia dużą whisky, usadowił się przy stoliku blisko ognia w kominku, skręcił i zapalił papierosa, przechylił głowę i uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Muszę się godzić, panie Staddon, na każdą robotę, jeżeli mi się nadarzy, odkąd wyszedłem z mamra. Już nie dostanę żadnej w tym rodzaju, co by z niej człowiek mógł być dumny, żadnej jak wtedy u pana.

- Dawno pan wyszedł?

- Będzie trzy lata. Ciężkie lata, haruję za marne grosze, bo inaczej... No, pan nie chce wiedzieć o moich trudnościach, prawda?

- Nie jestem pewny, Malahide, czy w ogóle coś chcę wiedzieć o panu. Nie ma pan pojęcia, jakie były kłopoty z powodu pana eskapady.

Nie przejął się tym.

- Trochę pojęcia mam. - Spojrzał mi prosto w oczy. - Ja nie mogłem odrzucić takiej możliwości. W życiu nie wpadają do gąbki takie pieczone gołąbki jak ten interesik, cośmy go rozkręcili.

- Interesik skończył się jednak więzieniem.

- W rzeczy samej. Ale to tylko przez chciwość i przez pecha... Czy może przez coś gorszego?

- Co by mogło być gorsze?

- Donoszenie na kumpli, po pierwsze. A po drugie... - wpatrywał się przez chwilę w swój porter. - Tylko ja jeden zostałem, wie pan, jeden, jedyny z tych trzech jeszcze wdycham swoją porcję tej londyńskiej mgły.

- Co się stało z tamtymi?

- Nie słyszał pan? Pete'a Thaxtera powiesili, bo zabił strażnika. Czy to nie było godne kawałka w pana porannej gazecie, panie Staddon? A powinno być. Jaśnie państwo ponoć lubią czytać o dobrej egzekucji. Bo wtedy mogą myśleć, że hołotę się trzyma za pysk. Jeszcze ktoś z hołoty zadyndał. Peter Thaxter jak jego siostra, jak...

- Kiedy go powiesili? - warknąłem nagle, pragnąc rozpaczliwie przerwać bieg swoich myśli.

- Kiedy? Dwanaście lat temu. Jego siostra, panna służąca w domu Spod Obłoków powiesiła się, kiedy Pete siedział w Gloucester ze mną i czekaliśmy na sesję sądową. Jakoś nikt nie wiedział, dlaczego się powiesiła, i to padło Pete'owi na głowę, opętało go zupełnie... to i jeszcze coś, do czego powolutku dojdziemy. Wyładował się na strażniku tylko pięściami, ale utłukł go na śmierć. Silny chłopak był nasz Pete. Więc go powiesili. I zrobili dobrze, bo on by nie odsiadywał spokojnie. Lubilem Pete'a. Ufał mi. Pewnie i można by powiedzieć, że ja go sprowadziłem na manowce. Wielu tak by to widziało w każdym razie.

- A jak pan to widzi, Malahide?
- Właśnie tak. Ale wina spływa po mnie jak po gęsi woda, nie spędza mi snu z powiek. Zawsze wołałem ukradzione ciastko niż zaprawowaną skórkę chleba i nie będę udawał, że jestem inny.
- Czy tamta kradzież to był pana pomysł?
- Nie, nie, panie Staddon, tu mnie pan źle czyta. Za mądre główkowanie dla takiego gościa jak ja. To był plan Joe Burridge'a od początku do końca.
- Burridge? Ten grawer z Birmingham?
- Tak. Doskonały skrobacz, lepszego nie trzeba. Wypatrzył papiernię Peto i sobie uprzytomnił, że papier na banknoty Banku Angielskiego jest do wzięcia, byleby wziąć. Ale wziąć należyście. No, mnie znał od dawna, wiedział, że się do tego nadaje. Kiedy zrozumiałem, o co idzie gra, przyznaję, ślinka mi kapiała. Doskonale fałszerstwa, panie Staddon, są nie do wykrycia nawet dla rzeczoznawcy. To była uroda tego. Burridge potrafił podrabiać banknoty jak żaden inny fałszerz pod słońcem. Tylko potrzebował na to papieru z prawdziwymi znakami wodnymi. Więc miałem pojechać w tamte okolice, znaleźć porządny powód, żeby tam zostać, a potem poznać pracowników papierni, pić z nimi, słuchać, jak narzekają, aż wybiorę jednego w sam raz do naszego przedsięwzięcia.
- Więc praca na budowie Spod Obłoków była... przykrywką?
- Pardon, ale tak.
- A Peter Thaxter był właśnie tym... wybranym?
- Właśnie. Pracował przy odlewaniu płyt i to akurat nam pasowało i ambicje mu chodziły po głowie, więc pasowało jeszcze bardziej. Marzyli ze swoim kumplem, że kiedyś otworzą w Hereford salę jazdy na wrotkach. A razem do kupy mieli dwa grosze do potarcia jeden o drugi. No i prędko młody Pete się pokapował, że nasz plan to dla niego jedyna możliwość, żeby zdobyć kapitał. Poza tym miał zale do Grenville'a Peto, chciał się odplacić. Namówiłem go bez trudu - Malahide westchnął, jak gdyby to wspomnienie go zasmuciło. Najpierw szło jak po maśle. Pete wynosił gotowe arkusze, kiedy tylko mógł. Po trochu, więc nikomu nie rzucało się w oczy. Dawał je mnie, a ja je wozilem po trochu do Birmingham. Z każdego arkusza Joe mógł zrobić dwanaście banknotów. Jak robił pięćdziesięciofuntowe, było na arkuszu sześćset funciaków. Nawet jak robił tylko dziesięciofuntowe, też było sporo... ponad sto funtów. A Peter wynosił mniej więcej dwadzieścia arkuszy tygodniowo. Po sześciu miesiącach mieliśmy

taki zapas, że już była do podziału fortuna.

- I co się stało?

- Peto o trzy miesiące przyśpieszył inwentaryzację. Może coś podejrzewali, nie wiem, ale gdyby trzymali się swojej stałej daty, byłibyśmy czyści jak łąka, a tak ledwie się okazało, że są braki, zaczęli pilnie obserwować no i przyuważyli młodego Pete'a. Policja za nim doszła do mnie, a potem za mną do Joego. I złapali nas trzech na gorącym uczynku.

- Czy odzyskali cały ten papier?

Malahide się uśmiechnął i stuknął palcem w nos.

- Panie Staddon, powiedziałem panu tyle, ile trzeba, żeby pan wiedział, skąd u mnie ten... towar, nazwiemy go tak?

- Jaki towar?

- Postawi mi pan jeszcze szklanę, to powiem. Przy wspominkach suszy w gardle.

- Malahide...

Uniósł rękę.

- Jeżeli panu nie powiem teraz, będzie pan później żałował.

Niechętnie poszedłem do lady. Gdy wróciłem, Malahide uśmiechał się jeszcze szerzej. Wyraźnie dobrze się bawił. Pociągnął wielki łyk porteru i wytarł usta. Znow skręcił papierosa i zapalił. Krygował się.

- Dali Joemu Burridge'owi dwadzieścia pięć lat odsiadki, panie Staddon. Za dużo dla takiego starego jak on. Kipnął na rok przed moim wyjściem. Mnie wlepili dwanaście i zmniejszili za dobre sprawowanie. Nigdy ze mną nie mieli kłopotów. Nie tak jak z Pete'em Thaxterem. Ale czy można mieć mu za złe? Dostyc się gryzł i wściekał w więzieniu, a jeszcze na dodatek jego siostra się powiesiła. To już nie do zniesienia dla człowieka, moim zdaniem. Pana zdaniem nie?

- Doprawdy nie wiem.

- Byłem z Pete'em w tym mamrze w Gloucester, kiedy mu powieździeli, że jego siostra nie żyje. I nic, tylko myślał o tym, że gdyby nie był za kratkami, toby ją może powstrzymał. No, ale od tego się zaczyna, że gdyby nie był za kratkami, ona by nie musiała się powiesić.

- Pan przypuszcza, że Lizzie Thaxter popełniła samobójstwo, bo jej brat był w więzieniu?

- Niezupełnie. - Podsunął się bliżej i zniżył głos. - Ona napisała do niego list, panie Staddon, zanim to zrobiła. Dostał ten list na kilka godzin przed wiadomością o jej śmierci. Napisała, dlaczego jest blisko

skończenia z sobą. Napisała wszystko o swoim udręczeniu w domu Spod Obłoków.

- Udręczeniu? Co ją dręczyło?

- Kto, to lepsze pytanie. Peter trzymał ten list, dopóki go nie skazali na powieszenie. Nie pokazał go rodzinie, bo Lizzie prosiła, żeby nie pokazywał. Chciała, żeby im wyjaśnił wszystko, kiedy już wyjdzie na wolność. Ale on utłukł strażnika i już nie miał wyjść, no jasne? Więc jak pan myśli, co zrobił?

Odpowiedź się nasuwała. Odsunąłem ją wzruszeniem ramion i opryskliwym:

- A bo ja wiem.

- Dał ten list mnie, panie Staddon, żebym przekazał jego rodzinie, kiedy wyjdę.

- I przekazał pan?

- Niestety nie - Malahide się uśmiechnął. - Solenne przyrzeczenia to tak naprawdę nie moja specjalność. Zapomniałem o tym liście. Gdyby mnie kiedyś poniosło w tamte strony, może bym to jakoś załatwił. Gdyby mnie tam nie poniosło, pewnie bym nigdy o tym liście nie pomyślał, tylko że raptem dwa miesiące temu w gazetach wyskoczyli Caswellowie z Spod Obłoków.

- Więc nadal pan ma ten list?

Pociągnął łyk porteru.

- Mam go, a jakże.

- Co pan zamierza z nim zrobić?

- Zastanawiam się. Pan rozumie, przyszło mi na myśl, że powinienem go przeczytać... po tylu latach! No, a kiedy przeczytałem, to się zdumiałem. Takie w nim są znajome nazwiska.

- Na przykład?

- Na przykład pana nazwisko, panie Staddon.

Przychylił się tak blisko, że dobrze widziałem błysk uciechy w jego przekrwionych oczach.

- A jakże, jest o panu, czyli kochanku pani Caswell. I że pan i ona planujecie uciec razem. To znaczy przedtem, zanim pan ją rzucił.

- Co za bzdura! Niemożliwe.

- A skąd ja bym wiedział, jak nie z tego listu? Niech pan będzie rozsądny, panie Staddon. Pan wie, że tak było. Romansował pan z panią Consuela Caswell. Nie mam panu tego za złe. Nawet zazdroszczę panu. Te kilka razy, kiedy ją widziałem... No, dosyć powiedziane,

co nie? Pan potrafił ją przygruchać i to pan ją zostawił na lodzie. Odwieczne...

- Nic podobnego. Wypraszam sobie... stanowczo... takie insynuacje.

- Niech pan sobie wyprasza, co pan tylko chce, ale to wszystko prawda i nikt, kto przeczyta list Lizzie, nie będzie wątpić. Chyba woli pan, żeby ludzie nie wiedzieli, jak pan skrzywdził swoją kochankę?

- Co to znaczy?

- Myślę, że gazety rękę z tym samobójczym listem by mi odgryzły, tak by im zależało. Huzia na panią Caswell. Pan wie o tym. Chcą dla niej stryczka. Więc taki list na dowód, że ona nie jest biała jak lilia, wierna żona, za jaką się podaje... i że nigdy taka nie była... ho, ho to w sam raz dla nich. I jeszcze architekt, co go mężulek najął do wybudowania domu dla żoneczki, no, istna róża z marcepanu na ich torcie... nieprawdaż?

- Powiedział pan, że to list napisany przed samobójstwem. Usiłuje mnie pan obciążać winą za śmierć Lizzie?

- Och nie, panie Staddon. Poniektórzy by pana obciążyli. Ale nie ja. - Znowu szeroki uśmiech. - Jeżeli pan chce wiedzieć dokładnie, co jest w tym liście, nic łatwiejszego. Jest na sprzedaż, pan rozumie. Kto da najwyższą cenę.

- To szantaż.

- Nie. To aukcja. Sotheby wciąż urządza aukcje.

- Posłuchaj pan...

- Nie! Pan mnie posłucha, panie Staddon. Jestem człowiek z umiarem. Nie żądam niegodziwej sumy. Jeżeli pan zapłaci, aukcja już niepotrzebna.

- Ile pan chce?

- Sto.

- Wielki Boże. Pan chyba...

- Żartuje? Ja nigdy nie żartuję. Patrę na to bezstronnie i po mojemu, tyle ten list jest wart. Sześć miesięcy temu nie był. Za sześć miesięcy też nie będzie. Ale właśnie teraz jest. Myślę, że pan znajdzie tyle i wybuli. Ostatecznie musi pan brać pod uwagę swój interes. Ten list wydrukują na pierwszych stronach. I co pana wybredni klienci pomyślą, kiedy przeczytają, jak pan się poczęstował żoną jednego? Bo ja panu powiem, co pomyślą...

- Nie fatyguj się pan! Rozumiem. Już oszczędź mi tych wywodów.

- Więc pan zapłaci?

Nie odpowiedziałem. Chciałem być wyzywający, ale nie mogłem, mając na względzie dobro Consueli tak samo, jak własne dobro. Czy bym odmówił, gdyby chodziło wyłącznie o moją reputację? Nie wiem. Wtedy wiedziałem tylko, że muszę mieć ten ostatni list Lizzie Thaxter bez względu na cenę.

- Zgadzą się, prawda, panie Staddon?

- Najwidoczniej.

- To dobrze. No, pan przecież nie ma takiej gotówki przy sobie, ale ja tu nie mam tego listu, więc coś panu zaproponuję. Spotkamy się od dziś za tydzień, ja przyniosę list, pan przyniesie pieniądze, co pan na to? Z tej strony mostu Southwark ósma wieczorem w przyszły piątek.

- Zgoda.

Nagle dopił porter, wstał i uśmiechnął się do mnie.

- Aż przyjemnie dobijać targu z takim dżentelmenem jak pan, panie Staddon, naprawdę przyjemnie. Więc za tydzień. Niech pan się nie spóźni.

Zniknął w mgnieniu oka, ale pusta szklanka świadczyła, że był. Jego brudne stwardniałe palce zostawiły na szklance ślad, tak jak jego słowa na moim życiu. Co Lizzie napisała do brata tyle tych lat temu? Co ją pchnęło do samobójstwa? Co ja uczyniłem - czy też czego nie uczyniłem - żeby ją skazać na samotną mogiłę poza murami cmentarza? Teraz już szybko objawi mi się ta ciemna prawda.

Ostatnio Angeli i mnie udawało się spotykać rzadko i ograniczać konieczne rozmowy o sprawach praktycznych do minimum. To jest komedia - myślałem czasami - ta obojętność, którą zastępujemy gniewną wymianą zdań, ale komedia zgoła nie zabawna.

W niedzielę rano, odstępując od swego nowego zwyczaju jadań śniadań w łóżku, i tym samym unikania mnie, Angela zeszła na śniadanie do jadalni. Od razu wiedziałem, że coś mi oznajmi - czegoś zażąda czy zabroni, albo nawet o coś poprosi. Jednak jej się nie spieszyło. Herbata, grzanka bez masła i dwa papierosy, jeden po drugim, zaprzętały jej uwagę całkowicie, zanim raczyła zwrócić się do mnie.

- Powiedziała mamusi, że będziemy u nich jutro w porze podwieczorku. Mam nadzieję, że nic w biurze cię nie zatrzyma.

- Chyba nie. Będę tu najpóźniej o drugiej.

- Rodzice liczą na to, że zostaniemy na balu noworocznym.

- Na balu?
- Już ci o tym mówiłam.
- Muszę być w Londynie dwudziestego siódmego. Trzeba więc pojechać tam dwa razy.
- Ja nie muszę. Sam możesz jechać i wrócić.
- Jak sobie życzysz.
- I Geoffrey, kiedy jesteśmy razem, czy mógłbyś przynajmniej udawać, że wszystko pomiędzy nami jest dobrze? Wiem, że to wysiłek... dla nas obojga... ale przecież nie chcemy martwić rodziców naszymi problemami, prawda?
- Chyba. - Spojrzałem znad gazety po raz pierwszy, odkąd zaczęła mówić. - Nie obawiaj się - powiedziałem z nutą sarkazmu w głosie, czego później miałem żałować. - Będę grzeczny.

Sir Ashley Thornton, mój szanowny znakomity teść z tytułem szlacheckim, przyznany mu przez rząd Lloyda George'a w uznaniu Bóg tylko wie, jakich zasług, ufundował sobie na kilka lat przed pojawieniem się w moim życiu wiejską rezydencję, stylową i okazałą, w odległości kilku mil na południe od Guildford. Ów architekt niech pozostanie bezimienny, żeby mnie już nie posądzano o ocernianie kolegi po fachu. Szczęśliwe Gniazdo prawdopodobnie miało być takim pewnym, zdrowym i solidnym przykładem osiemnastowiecznej poprawności, na jaki każdy, kto studiuje styl czterech królów Jerzych, chciałby natrafić.

Tam właśnie o zmierzchu w wigilię Bożego Narodzenia przyjechaliśmy, Angela i ja, obładowani prezentami w wesoło kolorowych paczkach i pełni zgoła nie wesołych przewidywań. Thorntonowie jak zwykle mieli w hallu jedną z najwyższych choinek osiągalnych poza wybrzeżem Norwegii. Choinkę oraz wszystkie belki i gzymsy w całym domu zdobiło mnóstwo świecidełek, balonów, szychu, frędzli. Brat Angeli Clive już przyjechał z żoną Celią i trojgiem dzieci; salon rozbrzmiewał ich śmiechem, gdyśmy weszli. Matka i bratowa natychmiast zaczęły ścisnąć i całować Angelę. Potem zabrały się do mnie, ale już inaczej - lodowata powściągliwość tego obowiązkowego powitania przypomniała mi, jak wątła i prawie nietolerowana stała się moja przynależność do rodziny Thorntonów. Teść trzymając najstarszego żyjącego wnuka na kolanach niejako zaznaczał swoim widokiem, że ufałby mi i udzielał poparcia, tylko gdyby Edward żył.

Clive Thornton został błyskawicznie przysposobiony, żeby z czasem jako następca ojca stanąć na czele Hotelu Thorntona. O pięć lat młodszy od Angeli, spełnił już wszelkie wymagania: chlubnie walczył na wojnie, ożenił się chwalebnie i regularnie produkował wnuczęta. Nic dziwnego, że teraz w nim sir Ashley pokładał nadzieje na przyszłość. Oczywiście gdyby Clive poległ śmiercią bohatera nad Sommą, gdyby Edward nie zaraził się influencją, gdyby hotel Thornton doszczętnie się nie spalił, moje życie poszłoby zupełnie innym torem. Ale to są niewczesne refleksje, powiedziałem sobie, gdy świętowanie w Szczęśliwym Gnieździe przyjęło swój obrzędowy charakter: o północy nabożeństwo w wiejskim kościele, którego sir Ashley był hojnym kolatorem, potem samo Boże Narodzenie: wesola biesiada i salonowe gry ku historycznej ucieście dzieci. Ciągnęło się to nieprzerwanie, a ja byłem raczej widzem niż uczestnikiem, świadom swego coraz większego odosobnienia, ale już spokojny. Nikt z nas nie był gotów przyznać, że jestem obcy w tym gronie.

Nazajutrz sir Ashley, Angela, Clive i Celia mieli w programie polowanie na lisa. Gdy wyruszyli z psami, pojechałem samochodem nie śpiesząc się z powrotem do Londynu, rad, że znowu mogę być sam. Chociaż powiedziałem, że przyjadę w wigilię Nowego Roku, raczej nie wybiegałem myślą tak daleko naprzód. Umówione spotkanie z Malahide'em i wykupienie listu Lizzie stało się horyzontem, za który wolałem nie patrzeć.

Dałem personelowi wolne dni pomiędzy Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem, ale Giles Newsom ofiarował się dyżurować. Byliśmy więc w biurze we dwóch. Czując się kimś lepszym niż reszta pracowników, Giles, wyraźnie ożywiony ich nieobecnością, wyciągał mnie na długie rozmowy o teorii i praktyce architektury. Zawsze pamiętałem, że gdyby nie Imry, ja bym go do firmy nie przyjął. Drażnił mnie - zbyt wygadany, zarozumiały, przemądrzały. I jeszcze coś: jako architekt rokował wielkie nadzieje. Może to właśnie budziło we mnie niechęć.

Raz po raz Giles powracał do tematu, na który nie chciałem z nim rozmawiać. Spod Obłoków. Wydawało się, że jego szczerzy czy nieszczerzy entuzjazm wobec tego mojego projektu graniczy z manią prześladowczą. Jego pytaniom nie było końca. Jak zrodziła się ta koncepcja? Jak ją opracowywałem? Gdzie są pierwsze szkice i późniejsze rysunki? Czy mogę mu je pożyczyć, żeby przestudiował to

moje osiągnięcie. Udzielałem odpowiedzi monotonna wymijających. Nie życzyłem sobie bzdurnych dwuznacznych pochwał z ust młodego człowieka, który wierzy, że przerasta mnie intelektem. I przede wszystkim nie życzyłem sobie przypominania, jakim torem biegły moje myśli tyle lat temu.

Zresztą miałem ważniejszą sprawę na głowie: transakcję z Malahide'em. W czwartek podjąłem w banku sto funtów i włożyłem je do biurowego sejf. W piątek dałem Gilesowi wolne popołudnie i poszedłem na długi spacer, żeby popatrzeć na moje ulubione londyńskie budowle. Widok dzieł architektury nadal był dla mnie ukojeniem, chociaż już mnie nie inspirował. Wpatrując się z podziwem w dzieło Shawa czy Lutyena, już nie pragnąłem współzawodniczyć z nimi, przewyższyć ich. Do tych mistrzów nie dorastałem, oczywiście, ale naprawdę bolało mnie to, że nie dorastam do architekta, którym byłem kiedyś.

Wróciłem na Frederick Place po pieniądze z sejf i ponieważ dochodziło dopiero wpół do siódmej, zamierzałem pieszo pójść na spotkanie z Malahide'em. Chciałem zakończyć tę znajomość, załatwić ten interes możliwie jak najszybciej. List Lizzie, myślałem, znajdzie się w moich rękach, o pogrózkach Malahide'a będę mógł zapomnieć. To mi chwilowo sprawi dostateczną ulgę.

W połowie schodów zorientowałem się, że coś jest niedobrze. Poprzez ciemność biura dojrzałem jasną szczelinę pod drzwiami mojego gabinetu. Następny krok po schodach stał się natychmiastowym przejściem z niepewności w niepokój. Zatrzymałem się. Przecież wychodząc po południu pogasiłem wszystkie światła. Na pewno. Więc ktoś tu wszedł w czasie mojej nieobecności. Po chwili usłyszałem odgłos, szelest papieru, jakieś poruszenie - więc ktoś tu jeszcze jest.

Drzwi od ulicy zastałem należycie zamknięte. Więc intruz mógł się tam dostać tylko przez okno, ale musiałby na parapet zeskoczyć z dachu. Usłyszałem skrzypienie wypaczonego drewna - otwieranie zacinającej się szuflady mojego biurka. Teraz po cichu ruszyłem dalej. W biurze zatrzymałem się przed drzwiami gabinetu. Papiery szeleściły, przerzucane, przetrzysane. Kto to robi i dlaczego? Z ręką na klamce odczekałem kilka sekund i raptownie otworzyłem drzwi na oścież.

Za moim biurkiem stał Giles Newsom nad plikiem dokumentów. Nie wiedziałem, które to, ale jeśli wyjął je z szuflad, z pewnością na

czymś go przyłapałem. Sam wyraz jego twarzy świadczył o poczuciu winy. Raz wyjątkowo Giles stracił kontenans.

Szafa biurowa w kącie była otwarta, otwarte były również wszystkie cztery szuflady kartoteki i wszystkie dziesięć szuflad komody z planami. Jedno spojrzenie wystarczyło, by potwierdzić, że mój starszy asystent ukradkiem przeszukiwał dokładnie mój gabinet. Wszedłem, zamknąłem drzwi za sobą i patrząc mu prosto w oczy, czekałem na wyjaśnienie. Ale on tylko zwiesił ręce i uśmiechał się nerwowo.

- No? - zapytałem w końcu.

- Nie spodziewałem się że pan wróci, panie Staddon.

- To widać.

- Wiem, to wygląda raczej dziwnie, prawda?

- To wygląda cholernie podejrzanie. Zdołasz mnie przekonać, że tak nie jest?

- Chyba nie zdołam.

- Jak się tu dostałeś?

- Wziąłem dziś klucz Rega.

- I wróciłeś, pewny że mnie tu już nie będzie.

- Tak.

- Więc to było starannie zaplanowane. Czy dlatego dyżurowałeś w tym tygodniu?

- Mniej więcej. Ale gdyby pan mnie tak nie zbywał co do Spod Obłoków, to bym nie...

- Spod Obłoków? Chcesz powiedzieć, że szukałeś planów domu, który kiedyś wybudowałem? Zakradasz się tu nocą, żeby zaspokoić swoją ciekawość?

- Jeszcze nie noc. I mam powód poważniejszy niż ciekawość.

- Co jest takie poważne?

- Konieczność, powiedziałbym.

Podszedłem bliżej.

- Wyjaśnij tę konieczność, Giles. Wyjaśnij, dopóki nad sobą panuje.

- Panie Staddon, moje pobory nie pokrywają moich wydatków. To bardzo proste. Nie mówię, że pan mi płaci za mało. Broń Boże. Ale ja mam kosztowne upodobania. Czasami muszą je zasilić. To właśnie jeden z takich sposobów. Za pewną sumę mam komuś dostarczyć kopie planów wstępnych i elewacji Spod Obłoków ze wszystkimi wymiarami przekroju i pomiarami. Robiłem co mogłem, żeby pan mi

je pokazał, ale pan nie chciał, więc wydawało się, że jedyne...

- Kto ci to zlecił?

- Wolałbym nie mówić, kto. Jemu zależy na całkowitej dyskrecji. I to wcale nie jest przestępstwo...

Dłużej nie powstrzymywałem gniewu.

- Niech cię diabli! Powiesz mi, i to powiesz natychmiast! Jesteś w moim biurze! Pracujesz u mnie! Nie będziemy się bawić w prawnicze subtelności! Mogę cię wyrzucić z miejsca... postarać się, żeby żaden architekt cię nie przyjął. Niewiele znacę na tym świecie, a w tym zawodzie na pewno mniej niż tobie się zdaje, że będziesz znaczył, ale teraz, w tej chwili, mogę sprawić, że twoja kariera skończy się, zanim się zaczęła. Więc pytam jeszcze raz: kto ci to zlecił?

Giles poczuł wstyd - czy też pojął, że nie rzucam słów na wiatr. Twarz mu się pofałdowała.

- Pewien Brazylijczyk. Pana znajomy, o ile wiem.

- Rodrigo Manchaca de Pombalho?

- Tak. Tak się nazywa.

- Skąd go znasz?

- Był wieczorem w zeszłym tygodniu Pod Trzema Koronami. Postawił mi parę głębszych, przedstawił się, powiedział, że przyjechał z Portugalii w interesach i nie zna Londynu, zapytał, gdzie mógłby przyjemnie spędzić ten wieczór. Przypadł mi do serca, szastał pieniędzmi, więc powiedziałem, że chętnie mu pokazę londyńskie nocne życie. Pojechaliśmy do Alhambry, a potem do pewnego klubu, w którym bywam. Chyba dobrze się bawił... płacił za wszystko. Kiedy zaproponował następny taki wypad nazajutrz, przystałem z ochotą. I właśnie następnego wieczora powiedział, kim jest naprawdę, i zaproponował pięćdziesiąt funtów za udostępnienie mu planów Spod Obłoków.

- Niewątpliwie na to także przystałeś z ochotą?

- Nie będę zaprzeczał. Te pieniądze naprawdę by mi się przydały. I nie widziałem w tym nic zdrożnego. Nie chciał sam zwrócić się do pana, bo ma jakiś powód, nie wypytywałem jaki. I byłem pewny, że pan mi da te plany, kiedy pana poproszę. Bez żadnego kręcenia. Wydawało się to za dobrą okazją, żeby nie skorzystać.

- Czy pytałeś, do czego mu te plany potrzebne?

- Nie. Dał do zrozumienia, że nie musi nic wyjaśniać. Płaci dość dobrze, żeby nie pohamował ciekawość.

- Więc twoje grzeczne, pełne szacunku pytania o projekt Spod Obłoków były fortelem. Te twoje pochwały... ten podziw w oczach jak spodki... to wszystko, byleby wyłudzić ode mnie coś, za co dostałbyś łapówkę.

- Można by tak powiedzieć.

- I kiedy ta metoda zawiodła, uciekłeś się do włamania.

- To raczej nie jest włamanie. I właściwie co znaczy parę planów?

Co mogą spowodować złego?

- Nie wiem. Ale gdyby to była taka niewinna sprawa, on by nie proponował zapłaty.

Giles zjechał się, gotów odwarknąć, rozmyślił się jednak.

- Panie Staddon, co teraz będzie? - zapytał obojętnie.

- Po pierwsze: powiesz mi, jak się umówiłeś z senhorem Pombalho.

- Miałem zatelefonować do niego, kiedy tylko zdobędę te plany. I gotówka przy dostawie.

- Dobrze. Więc zatelefonujesz do niego teraz. Wyznaczysz spotkanie. Gdzieś w miejscu publicznym. Chcę, żeby było mnóstwo gapiów, kiedy mu się pokażę.

- Kiedy pan mu się pokaże?

- Tak, Giles. Ty się umówisz, ja się stawię. Czy on nadal mieszka w hotelu Bonnington?

- Nie wiem. Podał mi tylko numer telefonu. Museum dziesięć dziesięć.

- To chyba Bonnington. Zadzwoń tam.

- Ale co mu powiedzieć?

- Powiedz, że masz plany i chcesz spotkać się z nim dzisiaj. Wybór miejsca zostawiam tobie. Potem możesz pójść do domu i zastanawiać się nad swoją przyszłością.

- Jaka będzie moja przyszłość... po tej wpadce?

- Niepewna. Sprzeniewierzyłeś się, Giles. To niewybaczalne. Będę musiał, oczywiście, porozmawiać o tym z panem Renshawem. Może twoja sytuacja nie jest zupełnie beznadziejna. Na razie po prostu nie wiem.

- Gdyby mi pan te plany pożyczył, albo gdyby pan tu nie wrócił...

- Ja nie mam tych planów do pożyczenia.

- Jak to?

- Już nie istnieją. Zniszczyłem je... dawno temu.

Wybałuszył oczy, zdumiony.

- Dlaczego?

- Nie twoja sprawa. No, zechciej łaskawie zatelefonować.

Z rezygnacją wzruszając ramionami, wyszedł i zapalił światło w biurze. Tylko z telefonu Rega mogliśmy łączyć się z miastem. Gdy podniósł słuchawkę, usiadłem przy biurku i podniosłem do ucha słuchawkę mojego telefonu. Podał telefonistce numer i uzyskał połączenie.

- Hotel Bonnington. Dobry wieczór.

- Pokój dwieście siedem, proszę.

- Chwileczkę.

Sygnal w pokoju był tylko jeden i usłyszałem głos Rodriga, stłumiony, ale dobrze znany.

- *Estou?*

- Senhor Pombalho? Mówi Newsom. Mam to, czego pan chce.

- To dobrze.

- Czy możemy spotkać się dzisiaj?

- Dzisiaj? Tak. Pan... - Rodrigo urwał. Usłyszałem w tle podniesiony głos kobiecy, jak gdyby protest. Słów nie mogłem dosłyszeć. - *Fique quietto!* - warknął Rodrigo. - Panie Newsom, czy może pan przyjść tutaj? - zapytał.

- Nie. Nie mogę. Spotkajmy się Pod Jągnięciem. To piwiarnia niedaleko pana hotelu. Powiedzą panu, gdzie.

- Trafie. O której?

Giles wyciągnął z kamizelki zegarek. Pstryknęło, gdy go otwierał.

- Za godzinę, dobrze? O dziewiątej.

- O dziewiątej, tak. Będę tam. - Rodrigo się wyłączył.

- No? - zapytał Giles odwracając się do mnie. - Tak pan chciał?

Nie odpowiedziałem. Oniemiały, wpatrywałem się w swój zegarek: minuta po ósmej. Jak mogłem zapomnieć? A na Most Southwark kawał drogi.

Na moście było ciemno i pusto. Zimny deszczowy wieczór nie zachęcał do wałęsania się. Stałem przy parapecie i patrzyłem w dół na wzburzoną Tamizę. Było dwadzieścia po ósmej i już straciłem nadzieję, że Malahide również się spóźni. Czekał na mnie piętnaście minut, po czym zabrał swój towar gdzie indziej.

Może to i lepiej, że mam jeszcze jedno spotkanie, pomyślałem, więc nie mogę długo tu zwlekać, denerwować się, kto dostanie przedśmiertny list Lizzie Thaxter. Z westchnieniem, szybko ruszyłem w stronę Halbora.

W piwiarni Pod Jagnięciem, jak się spodziewałem, panował tłok. W głębi sali ktoś grał na pianinie melodię „Gdybyś była jedyną na świecie dziewczyną”. Przy obleganym barze od razu zobaczyłem Rodriga, górującego głową i ramionami nad wszystkimi gośćmi. Lawirując wśród stolików skierowałem się do niego. W tym ścisku i gwarze nie zauważył, jak podszedłem.

Był ponury, zgarbiony. Ciemna peleryna na nim zwisała. Wydawało się, że swoim ogromem, wyrazem twarzy, odcięciem się od ogólnego wesołego nastroju wytworzył wokół siebie niewidzialny krąg, gdy tak stał cichy, odpychający, wpatrzony w swoją szklanekę.

- Newsom nie przyjdzie - powiedziałem, a raczej wrzasnąłem, że by mnie usłyszał.

Odwrócił się tak raptownie, że rozlał jakiemuś stojącemu za nim nieborakowi piwo. Ignorując komentarz, wlepił oczy we mnie.

- Staddon! Skąd tutaj?

- Przyłapałem Newsoma na pładrowaniu w moim gabinecie. Przyznał, że robi to dla ciebie. Powiedział mi też, o co ci chodzi. Słuchałem z drugiego aparatu, kiedy do ciebie telefonował. Pouczyłem go, co ma mówić.

- Pouczyłeś go?

- Właśnie. I jestem tu, żeby zażądać wyjaśnienia. Po co ci plany Spod Obłoków?

- Nie będę wyjaśniał. *Nada em absoluto*. Rozumiesz?

- Ja tak, ale myślę, że ty nie rozumiesz. Zresztą nie ma już tych planów, Rodriga. Spaliłem je wszystkie przed wojną.

- Kłamiesz.

- Nie. To prawda. Już ich nie ma. Więc jeżeli są ci do czegoś potrzebne, tylko ja sam mogę je odtworzyć, ale musisz mnie przekonać, że jest po temu słuszny powód.

- Dlaczego je spaliłeś?

- To ciebie nie powinno interesować.

- Ale interesuje. Staddon, chcę wiedzieć! Dlaczego je spaliłeś? Żeby zapomnieć o domu Spod Obłoków i swojej podłości? Żeby zapomnieć o Consueli?

- Consuelę z tego wyłącz. - Nagle sobie uświadomiłem, że wokół nas zaległa cisza. Wszyscy słuchali i patrzyli. Idiotycznie zachciało mi się upokorzyć Rodriga. - Nie wiem, co w twoim pojęciu daje ci prawo do moralizowania. Pamiętaj, że słyszałem dokładnie każde słowo, kiedy rozmawiałeś z Newsomem. Nie byłeś w hotelu sam, prawda?

Co to za jedna, Rodrigo? Jakaś uliczna dziewczynka? Ile jej zapłaciłeś?

To było jak uderzenie węża, gdy ręka Rodriga mignęła spod pelearnicy. Chwytał mnie za gardło, dopchnął do baru i przyciskał, aż krawędź wpijała mi się w krzyż. Wokoło zrobiło się poruszenie, szklanka spadła, stłukła się na podłodze. Kącikiem oka zobaczyłem, że barmanka w bluzce zachlapanej piwem cofa się o krok. Krzyknęła piskliwie. Ktoś bił brawo, a ja nie mogłem się odezwać. Nie mogłem nawet oddychać. Ból był dotkliwy, paniczny strach przed uduszeniem coraz większy. Daremnie próbowałem się uwolnić. Rodrigo prawie zwierzał kciuk z palcem wskazującym na moim karku. I tuż nad sobą widziałem jego twarz wykrzywioną z wściekłości, oczy wytrzeszczone, zęby zaciśnięte.

- *En matarei você!* - ryknął nagle.

Nastąpił jakiś charkot, bełkot, który, jak pojąłem, był moim błaganiem o litość. Otwartymi ustami łapałem powietrze, wzrok mnie już zawodził, siły opuszczały. Rodrigo rzeczywiście zamierzał mnie zabić. Teraz wreszcie to wiedziałem. Wycisnie ze mnie życie, nic go nie powstrzyma.

Ale zrobiło mi się jakoś luźniej. Mogłem zaczerpnąć trochę tchu, widoczność trochę się poprawiła. Jakieś postacie odciągały Rodriga ode mnie, szarpały go za prawą rękę. Musiało ich być sześciu, krzepkich mężczyzn, którzy tego pijąc dopiero teraz pojęli, że ta sprawa jest poważniejsza niż pijackie wybryki. Wytężali siły i ledwie zdołali nieco osłabić jego uścisk.

W końcu jednak w pewnej drogocennej chwili to mnie wybawiło. Wyraz twarzy Rodriga się zmienił. Może sobie przypomniał, co go sprowadziło do Anglii, uprzytomnił sobie, że zabijając mnie nie przysłużyłby się Consueli. Czy może po prostu uznał, że jestem niegodny takiej zemsty. Tak czy owak, nagle mnie puścił.

Nogi ugięły się pode mną. Odetchnąłem, co wywołało rozdzierający kaszel, oczy mi się zamglily łzami. Słyszałem, jak Rodrigo coś wrzeszczy i raczej wyczułem, niż zobaczyłem, jak postacie się rozstępują, gdy odwrócił się i przepchnął wśród nich. Drzwi trzasnęły za nim. Posadzono mnie na barowym stolku, ktoś mi w rękę wcisnął szklankę z wodą. Atak kaszlu już ustępował, ale szyja mnie paliła i rozboleł krzyż. Słowa nie mogłem wykrztusić. Ale oddychałem i mogłem przynajmniej czekać, żeby mi powróciła zdolność rozumowania.

- O rany, bracie - powiedział ktoś. - Myślałem, że jak nic on cię wykończy.

- Ano - potwierdził ktoś inny. - Ja także. Czym pan go tak rozeźlił?

Tylko potrząsnąłem głową. Oczywiście dobrze wiedziałem, czym sprowokowałem Rodriga. Ale wszystko stało się teraz nieistotne wobec straszego poczucia mojej głupoty. Przyszedłem, żeby się dowiedzieć, po co Rodrigowi plany Spod Obłoków. A odkryłem tylko to, co już mi było wiadome. Że Rodrigo mną gardzi.

Jadąc taksówką z knajpy Pod Jagnięciem do domu, miałem dość czasu na rozważenie sytuacji. Malahide może w każdej chwili zaproponować list Lizzie Thaxter prasie, a ja w żaden sposób nie mogę go znaleźć i wyjaśnić mu, że tylko się spóźniłem, a nie odstąpiłem od umowy. Ani też ze względu na własne bezpieczeństwo nie mogę podejmować dalszych ryzykownych prób dogadania się z Rodrigiem. Jednakże dla dobra Consueli muszę list Lizzie zatrzymać w drodze do gazet i muszę przekonać Rodriga, żeby mi ufał. Moje starania w jednym i drugim kierunku sromotnie się nie powiodły. Jestem w sytuacji beznadziejnej. Pretensję o to mogę mieć tylko do siebie.

Nazajutrz rano sytuacja nie uległa zmianie, ale zmienił się stan mego ducha. Z odmetów litości nad sobą i zniechęcenia przecież uratowałem, jeśli nie nadzieję, to przynajmniej jaką taką pewność siebie. Za to Giles Newsom ze wszech miar powinien być mi wdzięczny. W innych okolicznościach tak bym przedstawił sprawę Imry'emu, że pozwoliliby mi Newsoma zwolnić. I Newsom, zdenerwowany, wymięty po bezsennej nocy, czekając na mnie na Frederick Place, spodziewał się tylko zwolnienia. Oczywiście nie wiedział, że dręczą mnie wątpliwości i obawy o wiele większe niż jego i że, upokorzony, będzie musiał być moim sprzymierzeńcem.

- Długo i dokładnie myślałem o twoim położeniu, Giles - oznajmiłem, gdy wszedł za mną do gabinetu.

- Ja też myślałem, panie Staddon, i chciałbym pana serdecznie przeprosić za to, co zaszło. Zachowałem się niewybaczalnie.

- Skłonny jestem przyznać ci rację.

- Czy to znaczy, że... wylecę z posady?

- Nie, Giles.

- Więc...

Usiadłem i machnięciem ręki wskazałem mu krzesło.

- Nie chcę ci rujnować kariery z powodu jednego wykroczenia. Dlatego gotów jestem puścić wczorajszy incydent płazem, w ogóle o nim zapomnieć i nie mówić nikomu... jeżeli...

- Panie Staddon! - Zerwał się z krzesła rozpromieniony. - Naprawdę jest pan szalenie wyrozumiały. Wprost nie wiem, jak panu dziękować.

- Usiądź, Giles! - Zaczekałem, aż usiądzie i podjąłem. - Czegoś wymagam od ciebie w zamian za moją pobłażliwość. Lepiej dowiedz się, czego, zanim zasypiesz mnie podziękowaniami.

- Słucham.

- Moja... rozmowa z senhorem Pombalho była raczej bezowocna. Nie zdołałem ustalić, po co mu plany Spod Obłoków, i pożegnaliśmy się dosyć uszczypliwie. On po prostu nie chce ze mną rozmawiać. Potrzebny mi pośrednik, rozumiesz, ktoś, kto nie wzbudza w nim wrogości. Chcę, żebyś w moim imieniu wystąpił z propozycją. Jeżeli on wyjaśni, dlaczego mu zależy na tych planach, ja pomyślę o odtworzeniu ich z pamięci.

- Pan chce, żebym podał mu ten warunek?

- Właśnie.

- Czy wolno mi zapytać, o co w tym wszystkim chodzi? Pomogłoby mi, gdybym...

- Nie wolno ci pytać o nic. Powiedziałem już tyle, ile potrzebujesz wiedzieć.

- I jeżeli odmówię, pan uzyska zgodę pana Renshawa żeby mnie zwolnić?

Naraziłem go na nieprzyjemności. Jakie nieprzyjemności, wiedziałem z własnego doświadczenia. Ale nie pozwoliłem sobie być miłosierny.

- Jeżeli odmówisz, Giles, nie zostawisz mi wyboru. Żadnego wyboru.

Uśmiechnął się cierpko.

- W takim razie, panie Staddon, służę za pośrednika.

W przeddzień Nowego Roku, zanim wyjechałem do Surrey, zleciłem Gilesowi sporo roboty. Rodrigowi miał dać parę dni czasu na ponurą zadumę, ale powiedziałem wyraźnie, że spodziewam się rezultatów pośrednictwa, kiedy wrócę z Surrey. Kazałem mu ponadto zatelefonować do każdego przedsiębiorstwa budowlanego, jakie znamy

w Londynie - a było ich wiele - żeby się dowiedzieć, gdzie ostatnio pracuje cieśla, niejaki Malahide. Przyszło mi bowiem na myśl, że Malahide zwróci się do którejś z gazet dopiero przed samym procesem, rozumiejąc, że wtedy więcej wytarguje. Jeśli tak, to jeszcze zdążę go wytropić.

W Szczęśliwym Gnieździe, gdy przyjechałem, kończyły się przygotowania do wielkiego balu - a słynne były te fety u sir Ashleya. Uwijali się dodatkowo najęci służący, przesuwali meble, przecierali na najwyższy połysk niezliczone kieliszki. Rozwieszano serpentyny, jakby za mało ich już wisiało na wszystkich gzymsach i listwach. Zespół jazzowy ustawiał swoje instrumenty. Goście, którzy przybyli poprzedniego dnia i spośród których prawie nikogo nie znałem, siedzieli w salonie. Zapytałem, gdzie jest moja żona, i dowiedziałem się, że pojechała z kimś z gości na przejażdżkę po okolicy i niedługo wróci.

- Tymczasem - powiedział mi uśmiechnięty Clive - ojciec chciał by ze mną zamienić słowo na osobności w swoim gabinecie.

- Wejdz, Geoffrey, wejdz. Napijesz się może?
- Nie, dziękuję. Trochę za wcześnie dla mnie.
- Zapewne masz rację. Noc przed nami dziś długa, co?
- Niewątpliwie.

Ashley Thornton nawet w okresie, w którym ja go znałem, bardzo się zmienił. Charakter większości ludzi krystalizuje się w wieku dwudziestu pięciu lat, ale mój teść nie podpadał pod żadne reguły. Jego pochodzenie osnute było niedomówieniami. Z tego, co wyrwało się kiedyś Angeli, wynikało, że wywodził się z klasy robotniczej w East Midlands. Od młodych lat wciąż przyśpieszał swoją wspinaczkę do arystokracji. Kiedyś chlubił się swoim niełatwo osiągniętym sukcesem. Teraz chyba wołał, żeby ludzie myśleli, że zdobył bogactwo prawie bez wysiłku i założył nie tyle przedsiębiorstwo, ile dynastię. Co więcej, w tej dynastii nie odgrywa żadnej oczywistej roli niemodny architekt z plamą na reputacji.

- Clive powiedział mi, że ojciec chciał się ze mną widzieć.
- Istotnie. No... na pewno się nie napijesz?
- Na pewno. Dziękuję.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie nad jego pustym biurkiem, po czym on zaczął:

- Właściwie nigdy nie przestałem myśleć o odbudowaniu Thornтона, wiesz. Gdzieś indziej.

- Miło mi to słyszeć.
 - Musiałby ten hotel być zupełnie inny, zgodny z duchem nowych czasów. Wszyscy musimy być tacy, prawda?
 - Chyba tak.
 - Na początku roku byłem w Kalifornii. W Los Angeles. Zatrzymałem się w hotelu Biltmore. Dopiero co go otworzyli. Znasz Biltmore?
 - Widziałem w prasie architektonicznej fotografie.
 - Jakie masz o nim zdanie?
 - Przeładowany, przesadny.
- Uśmiechnął się.
- Mnie zaimponował. Wizja hotelu przyszłości.
 - Myślę, że nie w Londynie.
 - Co do tego stanowczo się nie zgadzam.
 - Chyba nie o moim poglądzie na hotel Biltmore ojciec chciał ze mną porozmawiać?
 - Nie o tym. Ale to na coś wskazuje, nie rozumiesz? Jest to symptomem czegoś znacznie głębszego.
 - Naprawdę nie rozumiem. Westchnął.
 - Angela nam powiedziała o waszych zatargach.
 - Jakich zatargach?

Pochylił się nad biurkiem i uraczył mnie spojrzeniem zapewne zarezerwowanym dla krnąbrnych podwładnych.

- Wolno ci było mieć *liaisons* z mężatkami, zanim poznałeś Angelę, i to oczywiście nie moja sprawa. Obaj, mam nadzieję, jesteśmy mężczyznami znającymi życie. Ale absolutnie nie mogę pozwolić, że by mój zięć urządził niewybredne krucjaty w obronie swoich byłych kochanek, którym się zachciewa truć mężów.

Może spodziewał się, że mnie rozgniewa albo zawstydzi. Może spróbował wywołać moje oburzenie, czy też zaapelować do mojego poczucia przyzwoitości. Ja jednak czułem tylko nużące rozczarowanie: Angela szepcze nasze sekrety ojcu do ucha.

- Niewybredne krucjaty? Tak właśnie Angela to nazwała. Czy ojciec cytuje z rozmysłem, czy niechcący?

Twarz mu zastygła. Z bezczelnością rzadko się spotykał w tych czasach swojej wątpliwej chwały.

- Jeżeli choć jedno słowo à propos twojego uwikłania dostanie się do gazet - syknął - jeżeli choć jeden z moich kontrahentów napomknie

mi o tym przy obiedzie, jeżeli się dowiem, że nadal ciągniesz tę bzdurę i kalasz nazwisko mojej rodziny, to...

- Tak? To co?

Rozparł się w fotelu.

- Daj ty sobie z tym spokój, chłopcze. Daj sobie z tym spokój dla swojego własnego dobra.

- Ojciec mi grozi?

- Nie musisz. Victorowi Caswellowi powinieneś być wdzięczny zamiast mu bruździć.

- Nie jestem Victorowi Caswellowi nic winien.

- Tu się mylisz. I daruj, że ci przypomnę parę innych suchych faktów. Suffolk Terrace 27 jest własnością Angeli, nie twoją. Gdyby Angela rozstała się z tobą i sprzedała ten dom, nie mógłbyś wysunąć żadnych roszczeń. A co do twojej pracy zawodowej, sam wiesz, jakie masz wzięcie od czasu tego pożaru. Błoto przywiera, ale w zawodzie architekta o wiele dłużej przywierają popioły.

- Ojcu to bardzo odpowiada. Był chłopiec do bicia, uchroniło się od blamażu hotele Thorntona.

- Geoffrey, nie przykładalem do tego ręki. Jesteś głupcem, jeżeli mnie o to posądzasz. Głupcem, jeżeli nie usłuchasz mojej rady. Jako architekt stałeś się przestarzały, nie masz zleceń. Jako mąż, no... niewiele lepszy niż utrzymanek. I twoja pani lada dzień może cię odprawić. Dość już długo uwzględniała twoją... żalobę... Angella zasługuje, żeby jej okazywać więcej wdzięczności. My wszyscy zasługujemy. Więc oto moja prosta rada: zacznij postępować przyzwoicie, jak mamy prawo tego od ciebie wymagać. W przeciwnym razie doprowadzisz do rozbitcia swojego małżeństwa i w ogóle się nie pozbierasz. Rozumiesz?

Co odpowiedziałem sir Ashleyowi, jak zakończyłem naszą rozmowę, nie mogę sobie przypomnieć. Gniew zamąca wspomnienie tak samo jak zamąca rozsądek, i chyba to dobrze. Na pewno jednak sir Ashley nie usłyszał ode mnie zapewnień, o jakie mu chodziło, co zresztą prawdopodobnie przewidywał. Być może zakładał, że się opamiętam i zastosuję, gdy porządnie sobie wszystko przemyślę, i być może tak by się stało. Ale ostatecznie się opamiętać nie miałem kiedy.

Wyszedłem z gabinetu i zaraz potem z domu. Musiałem odetchnąć świeżym powietrzem, pospacerować, żeby się uspokoić, zanim spotkam kogokolwiek z Thorntonów. Zmierch zapadał nad Szczęśliwym

Gniazdem, słońce, rozdęte i czerwone osuwało się za Wydmy. Szedłem aleją wjazdową najszybciej jak mogłem, stąpałem mocno, mruzczałem pod nosem riposty, którymi raniłbym sir Ashleya, gdyby mi wcześniej przyszły na myśl. Z początku więc nie zwróciłem szczególnej uwagi na auto, skręcające w aleję z szosy do Guilford, a potem widoczne raz po raz w szpalerze wiązów. Może jeszcze goście, pomyślałem, jeszcze jeden kontyngent błyskawicznie zwerbowanych do coraz szerszego kręgu znajomych państwa Thornton. Nagle jednak z odległości już pięćdziesięciu jardów rozpoznałem ten samochód. Kierowca zatrąbił, a ja stanąłem jak wryty. To był lanchester Turnbulla.

- Staddon, chyba pan nas nie opuszcza! - Turnbull zatrzymał auto przy mnie i uśmiechał się znad kierownicy. - Podobno przyjęcia u sir Ashleya to ewenementy godne zapamiętania. - Wyglądał okazale w ogromnym dwurzędowym palcie, rękawicach i sukiennej myśliwskiej czapce z daszkiem z przodu i z tyłu. U jego boku siedziała Angela, wyniosła, królewska, w stroju, którego nie znałem, rozkloszowanym od ramion płaszczu z futrzaną lamówką i czapce z tegoż samego czarnego futra. Tylko rzuciła okiem na mnie, po czym spod na pół przymkniętych powiek patrzyła prosto przed siebie na dom. Twarz miała bladą, bez wyrazu, przy twarzy Turnbulla zarumienionej i radosnej.

- Co pan tu robi, majorze? - zapytałem.

- Angela panu nie mówiła? Ustaliliśmy to, zanim wyjechała z Nicei. Sir Ashley był tak uprzejmy, że zaprosił mnie na cały ten tydzień.

- Nie wiedziałem - spojrzałem znacząco na Angelę, ale nawet nie drgnęła. - Najwidoczniej wyleciała jej to z pamięci.

- Chyba. - Turnbull uśmiechnął się jeszcze radośniej. - No, musimy jechać. Na razie do widzenia.

Patrzyłem, jak auto z warkotem odjeżdża w stronę domu. Gdy warkot ucichł, ogarnęło mnie przygnębienie. Miałem dziwnie złe przeczucia.

Skarżąc się ojcu, Angela, jak wywnioskowałem, nie powiedziała, że na Suffolk Terrace ostatnio sypiamy oddzielnie. W Szczęśliwym Gnieździe jak zawsze przedtem przydzielono nam wspólną sypialnię. Po trzech godzinach i kilku nierozcieńczonych whisky przyszedłem tam, żeby się przebrać. Angela była w łazience, jej balowa suknia z tafty leżała przygotowana na łóżku, a na toaletce przyciągnęła mój wzrok

bardzo efektowna, z pewnością mi nieznana brosza - złota małpa z oczkami z maleńkich rubinów i z kijem w łapie tworzącym zapięcie, wyrazem pyska aż nazbyt natrętnie przypominająca małpy na straży Willi d'Abriocot.

Przyglądałem się tej broszy pełen podziwu, bo była piękna, i wstrętu, bo pojmowałem, co znaczyła, gdy ktoś zapukał. Otworzyłem drzwi. Stał przede mną Bassett, jeden z lokajów, z miną raczej niepewną.

- O co chodzi?

- Panie Geoffrey, ma pan gościa.

- Gościa? W domu jest pełno gości.

- Ale on pyta specjalnie o pana.

- Kim jest ten pan?

- Jaki tam z niego pan, panie Geoffrey, jeżeli wolno mi powiedzieć. Takich my nie wpuszczamy frontowymi drzwiami. Zaraz go odprawię, jeżeli pan każe.

- Ale kto to jest?

- Mówi, że nazywa się Malahide. I że pan go zna. Ale musiało mu się chyba pomylić.

Bassett wprowadził Malahide'a do pokoju bilardowego, chyba w całym domu jedyne, gdzie nie było gości, których by ten intruz raził, ani srebra, które by zwędził. Ubrany tak samo jak poprzednio gdyśmy się spotkali, tyle że nie opylony cementem, Malahide czekał leniwie objając bilą o krawędź bilardowego stołu.

- Co pan sobie myśli, do cholery jasnej? - zapytałem. - Żeby na chodzić mnie tutaj!

Bila potoczyła się i zatrzymała, a on łypnął okiem.

- Chciałem zasmakować wiejskiego powietrza. Ładny dom ma teściunio. Bardzo ładny.

- Trochę więcej cierpliwości w zeszły piątek i sprawa już by była załatwiona.

- Naprawdę? No, ale ja się starzeję, nie mogę sterczeć bez końca na mostach w zimne noce. Pan się spóźnił, panie Staddon, jeżeli w ogóle pan tam był. A to znaczy, że nie dotrzymał pan umowy.

- Chciałem dotrzymać. Coś mnie zatrzymało w biurze. Krytyczna sytuacja.

- No, sytuacja będzie dużo bardziej krytyczna, kiedy pana nazwisko rozniesie się po gazetach.

- Pan nie rozumie. Myśmy się rozminęli. Staralem się potem skontaktować z panem. Nadal jestem gotów kupić ten list za uzgodnioną cenę.

- Cena się zmieniła.

- Co?

- Muszę podwyższyć, tyle z panem zawracania głowy. Teraz to sto pięćdziesiąt.

- To bezczelność.

- Bieżąca stawka.

Głęboko zaczerpnałem tchu. Targowanie się nic by nie dało, jak obaj wiedzieliśmy.

- Dobrze. Sto pięćdziesiąt. Wypiszę czek.

Malahide niewesoło zachichotał.

- W czeki to ja się nie bawię. Gotówka.

- Proszę bardzo. Ale nie mam takiej sumy przy sobie.

- Kiedy pan wraca do Londynu?

- Jutro.

- Więc dam panu dwa dni. W środę wieczorem. O tej samej godzinie, w tym samym miejscu. Niech pan się nie spóźni. Nawet o minutę. Już nie będzie pan miał więcej możliwości. Jasne dla pana, co mówię?

- Rozumiemy się doskonale, Malahide. Będę tam.

- Ano. Więc stoi. To ja się stąd wynoszę. - Obszedł stół bilardowy i stanął przy mnie. - Pan się nie obawia. Trafię do wyjścia.

- Byle zaraz.

- Szczęścia w Nowym Roku, panie Staddon. - Uśmiechnął się głupio, poklepał mnie po ramieniu. Zanim zdążyłem bodaj się wzdrygnąć, już go nie było.

Opadło mnie znużenie, czułem się zbrukany. Obszedłem stół przytrzymując się krawędzi, dowlokłem się do kanapy na drugim końcu pokoju i usiadłem, rad z ciszy i samotności. Nowy Rok, jakikolwiek miał być, na pewno nie zapowiadał się szczęśliwie dla mnie, a tym bardziej dla Consueli. Zapaliłem papierosa i patrzyłem, jak dym snuje się nade mną w ciemność. Symbol mojej przyszłości.

Nagle drzwi się otworzyły. Wszedł major Turnbull we fraku i białej muszce, z cygarem w rękę. Stanął i popatrzył na mnie zza stołu.

- Staddon, jeszcze pan się nie przebrał?

- Jak pan widzi, majorze.

- Kim byt ten pański gość?
 - Jaki gość?
 - Brzydał jakiś. Natknąłem się na niego w hallu. Twarz boksera. Sposób bycia też.
 - Niestety, nie poinformuję pana, bo nie wiem. - I zarówno żeby zmienić temat, jak z innych powodów zapytałem: - Będzie pan w domu Spod Obłoków przy okazji, kiedy pan jest w Anglii?
 - To zależy, jak mi pójdą negocjacje z sir Ashleyem.
 - Negocjacje? W jakiej sprawie?
 - On panu nie mówił? Ma zamiar kupić hotel na Riwierze. Zgodziłem się być jego konsultantem. Znam miejscowe stosunki na tyle, że mu się to przyda. Może nawet wejdę w to finansowo, dołożę się do tego przedsięwzięcia. Może i Victor się dołoży.
 - Nie myślałem, że hotelarstwo jest branżą Caswella.
 - Przecież zawsze było, Staddon. Chyba pan wie o tym.
 - Nie rozumiem, majorze.
 - No, nie! Przecież musi pan wiedzieć o powiązaniu Victora z Hotelami Thorntona.
 - O czym pan mówi?
 - Victor ma pokaźny pakiet akcji w tej spółce.
 - Co?
- Turnbull zmarszczył brwi.
- Naprawdę pan nie wiedział?
- Zgniotłem niedopałek.
- Nie wiedziałem.
 - Zdumiewa mnie pan. Myślałem, że sir Ashley mówił panu. Z pewnością te sprawy można by uznać za tajne, ale ostatecznie pan należy do rodziny, czyż nie?
- Turnbull nie dostał na to odpowiedzi. Już wychodziłem z pokoju.

Sir Ashley wyraźnie się spieszył, gdy przerwałem mu w salonie rozmowę z kilkoma ważnymi gośćmi. Chyba jednak po tonie mojego głosu osądził, że lepiej mi się nie sprzeciwiać, dopóki nie będziemy sami. Ponury jak gradowa chmura wprowadził mnie do swego gabinetu.

- Geoffrey, zachowujesz się coraz bardziej nagannie. Co to ma znaczyć?
- Major Turnbull mi powiedział, że Victor Caswell ma duży pakiet akcji Hotelu Thorntona. Czy to prawda?
- Tak. A bo co?

- A bo co? Nie uważa ojciec, że ja mam prawo o tym wiedzieć?
- Finanse Hotelu Thornton to nie twoja sprawa. Poza tym Caswell nigdy nie chciał, żeby jego udział był jawny. Występuje udziałowiec nominalny.

- Dlaczego?

- To również nie twoja sprawa.

- Ile on ma akcji?

Sir Ashley zacisnął usta.

- Nie będziesz mnie przesłuchiwał, Geoffrey. I zostawmy ten temat. Natychmiast.

Ale już było za późno, żebym zboczył z drogi. W ciągu kilku minut, które upłynęły, odkąd usłyszałem rewelację Turnbulla, zrodziło się we mnie straszne podejrzenie.

- Czy udziały Caswella dają mu dużą władzę w spółce?

- Nie chcę o tym już rozmawiać. Muszę wrócić do gości.

- Dają, prawda? Ręczę, że całkiem dużą. Czy on był akcjonariuszem wtedy, gdy ojciec zwrócił się do mnie, żebym zaprojektował hotel Thornton?

- O ile pamiętam, tak, ale...

- On ojca namówił. On mnie wybrał, a nie ojciec.

- To śmieszne. - Ale sir Ashley się zaczerwienił.

- I dlatego ojciec powiedział, że powinienem być mu wdzięczny. Ciekaw jestem, czy wtedy chodziło tylko o dogodzenie akcjonariuszowi, czy może ponadto on ulokował w tym znaczny kapitał? Tak, prawda? Widzę to na ojca twarzy. On was kupił. A ja byłem częścią tego targu.

- Rekomendował cię. Nic poza tym. Nie było żadnego... targu, jak ty to nazywasz.

- Nie wierzę. Nawet nie wiem, czy w ogóle mogłem wam kiedykolwiek wierzyć.

- Odwołaj to! Dobry Boże, mam prawo wymagać, żebyś zwracał się do mnie z większym szacunkiem. Nie zdajesz sobie sprawy, jak dużo dla ciebie zrobiłem przez te lata.

- Zaczynam zdawać sobie sprawę. Jestem pudłem Angeli i frajerem. No, ale już z tym koniec.

- Posunąłeś się dostatecznie daleko. Stanowczo powinienem wyprosić cię z tego domu za to, co powiedziałeś.

- Nie ma potrzeby, sam wyjdę. I jakoś nie sądzę, żebym kiedyś wrócił.

Prawdziwe znaczenie tego odkrycia objawiło mi się na schodach. Victor załatwił zlecenie na budowę hotelu Thornton. I wiedziałem, dlaczego. Był pewny, że je przyjmę. I że przyjmując je, będę musiał opuścić Consuelę. A więc przez cały czas wiedział o naszych planach. Wiedział, że jesteśmy kochankami i że zamierzamy uciec we dwoje po galowym otwarciu domu Spod Obłoków. Toteż akurat wtedy padła propozycja Thorntona. Chwilowo nie zastanawiałem się, skąd wiedział, wszystko przesłaniała mi najgorsza myśl: jakże łatwo było rozpoznać moją słabość. Wystarczył hotel. Victor mnie pokonał nawet nie kiwnąwszy palcem.

W naszym pokoju Angela stała przed dużym lustrem i podziwiała swoje odbicie. Włosy miała zgarnięte w tył głowy, żeby wyeksponować smukłość szyi, tafta sukni mieniła się różowo i malwowo. Pięknie i młodo wyglądała moja żona, takiej nie widziałem jej od lat. Gdy odwróciła się, błysnęły na jej piersi rubinowe oczka złotej małpy.

- No, Geoffrey, przychodzisz w ostatniej chwili, żeby sprowadzić mnie na dół i... - Urwała widząc wyraz mojej twarzy. - O co ci znowu chodzi?

- Tylko o to, czego właśnie się dowiedziałem... co wreszcie zrozumiałem... o to, co ty i twoja rodzina rzeczywiście o mnie myślicie.

- Tatuś z tobą rozmawiał?

- Tak. Rozmawiał ze mną.

- Royston mnie przekonał, że tatuś ma prawo wiedzieć, jak układają się sprawy między nami.

- Nie wątpię, że cię przekonał.

- Sam sobie jesteś winien, wiesz?

- Och, wiem. Sam sobie. Masz absolutną rację.

- Obyś tylko zmadrzał... chociaż tak późno.

Podszedłem bliżej w zapach jej perfum, na odległość długości ręki od jej dumnie uniesionego podbródka. Oddychała szybko, oczka małpy migotały w takt falowania biustu.

- Co ci jest, Geoffrey? Zupełnie dobrze się czujesz?

- Ta broszka to pewnie prezent od Turnbulla?

- Owszem. Tak się złożyło.

- I ta suknia?

- Doprawdy nie rozumiem, dlaczego...

- Oczywiście, że też! Nie byłbym zdumiony, gdyby on płacił za każdy ścieg twojej garderoby... nie wyłączając batystowych majtek.

Na odlew uderzyła mnie w policzek. Patrzyła na mnie, rozgniewana jak nigdy dotąd.

- Brzydzą się tobą! — zgrzytnęła. - Zmysły postradałeś?

- Nie. - Policzek mnie palił, ale nie chciałem go dotknąć, nie chciałem dać jej satysfakcji, że uderzyła mnie boleśnie. - W istocie, Angelo, ja właśnie odzyskałem zmysły... w samą porę, żeby pojąć, jacy ty i twoja rodzina naprawdę jesteście.

- Jak śmiesz! - Zarumieniła się. Dolna warga jej drżała. Pasemko włosów wysunęło się spod klamry i zwisło przy uchu. - Moja rodzina w przeciwieństwie do ciebie nie ma się czego wstydzić.

- To znaczy, że nie wie, co to wstyd.

- Wynoś się! Wynoś się z tego domu, jeżeli tak myślisz!

- Tak myślę. I nie denerwuj się, wyjeżdżam. - Prędko przeszedłem obok niej, chwyciłem swoją walizkę, jeszcze nie otwartą po przyjeździe. Gdy odwracałem się do drzwi, patrzyła na mnie z wściekłością i zdumieniem.

- Jesteś obłąkany - powiedziała już spokojniej. - Czy zdajesz sobie sprawę?

- Chyba.

- Dlaczego to robisz?

- Dlatego, że muszę.

- Dla kobiety, którą oszukałeś i rzuciłeś ponad dziesięć lat temu?

- Angelo, nie będę z tobą mówił o Consueli. To na nic.

- Gdybyś naprawdę ją kochał, byłbyś przy niej wtedy... nie teraz.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - Ruszyłem do drzwi, ale głupio się zatrzymałem i przypuściłem ostatni atak. - Victor Caswell przekupił twojego ojca, żeby mi dał zlecenie na budowę Thorntona. To mnie odciągnęło od Consueli. Mówił ci kiedy o tym?

- Pleciesz bzdury, Geoffrey. Znam cię aż za dobrze. Opuściłeś ją, bo ci się znudziła. Nie kręć, że było inaczej!

- Nie kręć. Było tak, jak mówię.

- Czym ona cię zraziła? Okazała się w łóżku nie taka dobra, jak się spodziewałeś? Nie tak doświadczona, jak niektóre twoje inne...

W tym momencie uderzyłem Angełę. Nie dlatego, że chciałem zadać jej ból. I nawet nie dlatego, że obraziła Consuelę. Chyba po prostu musiałem skończyć wszystko, co było między nami, uniemożliwić jakiegokolwiek pojednanie. Może Angela też tego chciała. Może miała nadzieję, że tak właśnie zareaguję. Wydawało się, że w tym akcie przemocy jest współwina, obopólna akceptacja tego, co ten akt

oznacza, i przypięczętowanie uwolnienia się od siebie nawzajem.

Był to mocny cios zadany na pół zaciśniętą pięścią. Angela wrzasnęła i przytrzymując się stolika, upadła. Stolik się przewrócił, wazon się rozbił. A ona leżała u moich stóp, rękę trzymała przy ustach, włosy wiły jej się po twarzy, krew spływała po podbródku. Wstrząśnięci, patrzyliśmy na siebie w milczeniu, z zapartym tchem.

Zza drzwi doleciały odgłosy. Ktoś zaczął się dobijać. Po chwili wkroczyli do pokoju Turnbull i Clive, za nimi sir Ashley. Turnbull przeszedł obok mnie, kucnął przy Angeli i zatamował krew z jej wargi chustką do nosa.

- Coś ty zrobił? - wykrzyknął sir Ashley.
- To, co powinienem był zrobić wiele lat temu.
- Precz stąd natychmiast!
- Właśnie wychodzę.

Na oślepię, mijając ich, doszedłem do drzwi. I natychmiast zbiegłem po schodach do hallu, gdzie roіło się od uśmiechniętych wystrojonych gości. Niektórzy chyba orientowali się, co zaszło, gapili się na mnie i szeptali. Ale to mnie nie obchodziło. Drzwi frontowe stały otworem. Zimna czerń nocy przyzywała. Rzuciłem się w nią jak samobójca w przepaść, wdzięczny, że jest tak czarno.

XI

Reg Vimpany, gdy wszedłem do biura, powitał mnie zdumiony.

- Pan Staddon! Nie spodziewaliśmy się pana dzisiaj.
- Zmiana planów, Reg.
- Czy nie mówił pan o balu noworocznym u teścia?
- Tak mówiłem.
- Mam nadzieję, że był udany.
- Prawdopodobnie. - Skierowałem się do mojego sanktuarium. -

Gilesa jeszcze nie ma?

- To za wczesna pora dla pana Newsoma, niestety.
- Kiedy przyjdzie, od razu przyślij go do mnie.
- Dobrze, proszę pana.

W końcu bezpiecznie zamknąłem za sobą drzwi gabinetu. Powiesiłem kapelusz i płaszcz, i podszedłem do biurka. Siadając zauważyłem, że Reg, jak zawsze sumienny, postarał się o nowy terminarz. Tysiąc dziewięćset dwudziesty czwarty rok zaczął się i już nie można go było ignorować. A ja, wariat, tak chciałem przed nim uciec prowadząc przez nocne mroki samochód do Brighton, a potem siebie jak psa na smyczy po plaży i patrząc nieźyczliwie na świętujących Nowy Rok na molo, gdy fale na oślep rozbiły się przy mnie. Nieuchronność ma taką moc, że pokonuje wszelki przed nią opór, obraca wniwecz wszelkie sposoby, jakimi chcemy ją odwlec. Za trzynaście dni początek procesu Consueli, będącego jedynym ważnym sprawdzianem moich wysiłków, żeby ją ocalić.

Pukając do drzwi, wszedł Giles Newsom. Jego mina świadczyła, że dla niego też Nowy Rok nie jest radosnym świętem.

- Pan wcześniej wrócił, panie Staddon.
- Czy to znaczy, że nie masz mi nic do zameldowania?
- Nie.
- Więc zamknij drzwi, usiądź i powiedz, co się działo.

Usłuchał. Zauważyłem, że mi się przygląda. Może widać moją rozpacz, moje wyczerpanie, pomyślałem. Ale jeśli było widać, on tego nie komentował.

- Spotkałem się z Pombalho. On pana nie lubi, panie Staddon... zaznaczał to aż nazbyt wyraźnie.

- Co powiedział na moją propozycję?

- Z miejsca ją odrzucił. Stanowczo i obelżywie.

- Powiedziałeś mu, że tylko w ten sposób mógłby mieć wgląd w plany Spod Obłoków?

- Oczywiście. Ale nie mogłem go przekonać. Upierał się, że nie chce żadnej ugody z panem. Skoro pan mu nie da tego, co mu potrzebne, on sam... powtarzam dosłownie... zrobi to bez pomocy.

- Co zrobi?

- Nie chciał mi powiedzieć. Ale coś zamyśla. Na pewno.

Odchyliłem się w fotelu. Co Rodrigo zamyśla? Co mogłyby mu ułatwić plany Spod Obłoków? Nawet najdokładniej odtworzone nie wniosłyby nic znaczącego do sprawy Consueli.

- Są jednak postępy na innym froncie, panie Staddon.

- Tak?

- Odszukałem Malahide'a. Do dwudziestego pierwszego grudnia pracował na jednej z budów Croada w Woolwich.

Tylko że Malahide już sam się znalazł. Wiedziałem, że nazajutrz wieczorem zapłacę mu i dostanę list Lizzie Thaxter, i z tym listem w ręce będę mógł zażądać od Victora Caswella całej prawdy, a odkąd wyjechałem ze Szczęśliwego Gniazda, tego pragnąłem najbardziej.

- Czy mam zapytać u Croada o jego adres?

- Nie, Giles. Masz na tym poprzestać.

- A Pombalho?

- Jego też zostaw. Zrobiłeś dosyć. - Po czym dodałem: - Teraz ja się tym zajmę.

Spodziewałem się szybkiej reakcji Angeli na formę naszego rozstania, chociaż nie wyobrażałem sobie, jaka ta reakcja będzie. Wydawało się coraz bardziej prawdopodobne, że Angela zastosuje drastyczne sankcje, ale nie miałem się szczególnie na baczności. Przede wszystkim myślałem o spotkaniu z Malahide'em i o tym, co powiem Victorowi. Jeżeli Angela żywiła nadzieję, że dręczy mnie niepewnością, to bardzo się myliła.

Wieczór był pogodny, ale ruchu na ulicach nie było. Doszedłem do Mostu Southwark wcześniej i wypaliłem dwa papierosy, zanim Malahide wynurzył się z cienia za najbliższą latarnią.

- Przyjemnie się z panem spotkać, panie Staddon.

- Ma pan list?

- Mam. - Wyciągnął z kieszeni kurtki zmiętą kopertę. - A pan ma te pieniądze?

Wyciągnąłem z kieszeni paczkę, żeby zobaczyć.

- Sto pięćdziesiąt w banknotach pięciofuntowych.

Położył kopertę na balustradzie. Gdy po nią sięgnąłem, zatrzymał moją dłoń.

- Pan poczeka, aż przeliczę.

Rozerwał paczkę i przebiegając plik palcami, banknot po banknocie, liczył pod nosem. Potem przytaknięciem wyraził zadowolenie.

- Pan to dżentelmen, panie Staddon.

Wyjąłem list z koperty, dwa arkusze wypełnione starannym kobiecym pismem. Włożyłem list i kopertę do kieszeni.

- No, załatwiliśmy. Pójdę już.

- Jeszcze chwileczkę, panie Staddon. - Lekko wziął mnie za łokieć.

Mogłem strząsnąć jego rękę, ale nie zrobiłem tego.

- Czego pan chce?

- Jednej przysługi, można by powiedzieć.

- Masz pan czelność!

- To drobiazg, za mała rzecz, żeby pan mi pożałował.

- No?

- Kiedy wychodziłem z tego Szczęśliwego Gniazda, wpadłem w hallu na jakiegoś faceta. Duży, wymuskany, jakieś takie wredne oczy. Ćmił cygaretkę jak lufa armatnia. Pan wie, o kim mówię?

- Tak. Myślę, że wiem.

- Jak on się nazywa?

- Turnbull. Major Royston Turnbull. Jeden ze współników mojego teścia.

- Czy tam jest teraz? W tym Szczęśliwym Gnieździe. Pan wie?

- Przyjechał na tydzień, o ile mi wiadomo. A bo co?

Malahide z uśmiechem stuknął się palcem w nos, jak już raz przedtem.

- A bo nic.

- Przecież nie zapytał pan bez powodu.

- Zdawało mi się, że skądś go chyba znam.

- I zna pan?
- Nie. Energicznie potrząsnął głową. - Co mógłby jeden ze współników sir Ashleya mieć do czynienia z takim jak ja?
- Właśnie. Ale pan mnie zapytał.
- No, może myślałem że go znam, ale teraz, kiedy pan podał jego nazwisko, myślę, że się myliłem. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Dobrej nocy panu życzę, panie Staddon. I dobrego czytania. - To mówiąc prędko odszedł.

Chciałem go przywołać, ale się rozmyśliłem. List Lizzie Thaxter był ważniejszy niż jego zainteresowanie Turnbullem. Poza tym wiedziałem, że nie sposób dowiedzieć się od Malahide'a czegokolwiek wbrew jego woli. Ruszyłem w przeciwnym kierunku.

W dziesięć minut później w cichym kącie piwiarni na Garlick Hill wyciągnąłem list z kieszeni - kopertę z adresem: *Wielmożny Pan P. A. Thaxter, Więzienie Jego Królewskiej Mości, Gloucester* i ze znaczkiem ostemplowanym: „Hereford 19 VII, 1911 r.” (przeddzień śmierci Lizzie). Ta koperta zawierała jej testament w pewnym sensie i to, co miało znaczenie w mojej przeszłości ponad dwanaście lat temu, nieznane aż do teraz. Zalękniony zacząłem czytać.

Spod Obłoków

Mordiford

Herefordshire

19 lipca 1911 r.

Mój najdroższy bracie!

Przykro mi, ale nie przyjadę do ciebie jutro, chociaż obiecałam. Myślę i myślę o tym wszystkim, Peter, i wydaje mi się, że jest tylko jedno wyjście.

Gdybyś się nie dał namówić do złodziejstwa. To był mój upadek tak samo jak twój. I to wszystko przez głupie marne wrotkowisko. Gdyby nie to, pan Caswell by mnie nie mógł zmusić, żebym szpiegowała. I wtedy by nie wiedział o mojej pani i panu Staddonie. Mogliby być szczęśliwi i ja także. Ta cała krzywda jest dlatego, że ty musiałeś być chciwy.

Moja biedna pani jest najbiedniejsza. Pan Staddon ją porzucił, tak jak z góry wiedziałam. Ona myślała, że zacznie nowe życie z nim w Londynie, lecz ja przez cały czas wiedziałam swoje. I teraz wychodzi z siebie, tak boleje. Nie zrobiła nic złego, a musi cierpieć. Nie wierzę, że w ogóle kiedyś to przeboleje.

Lecz nie to jest najgorsze. Ja już nie mogę znieść tego oszukiwania, tego, żeby myślała, że ja jestem wierna. Przez cały czas donosiłam na nią do pana, pokazywałam panu jej listy, mówiłam jakie ma zamiary. Muszę robić, co on każe. Lecz dłużej już tego nie wytrzymam, Peter, nie mogę.

Staralam się znaleźć jakieś inne wyjście, lecz nie ma żadnego innego. On nie przestanie mnie wykorzystywać. Nigdy nie przestanie. Chyba że ja już nie będę tutaj, żeby mnie wykorzystywał

Będzie już po wszystkim, kiedy dostaniesz ten list, tylko daj Boże, żebym nie straciła odwagi. I nie stracę. Zawsze mówiłeś, że ja jestem twoja zuch siostrzyczka. Dzisiaj w nocy będzie dowód, że jestem taka.

Nie pokazuj Mamie i Tacie tego listu, serca by im pękły. Wyjaśnij im, kiedy już wyjdiesz z więzienia, jeżeli będziesz widział, że oni mogą to znieść. Nie upadaj na duchu, Peter. Nie daj się zdeptać tylko dlatego, że mnie zdeptali. Pamiętaj o mnie, twojej wiernej i kochającej siostrze.

Lizzie

Przeczytałem to po raz drugi i usiłowałem sobie wyobrazić Lizzie, samotną w maleńkim pokoiku w domu Spod Obłoków, wypisującą te pożegnalne słowa. Spojrzałem znowu na znaczek: Hereford 7.30 p.m. 19 VII 1911 r. Musiała pójść do wsi, żeby wysłać list w tamto południe, potem wracała, wiedząc, że kości zostały rzucone, wiedząc, że przed świtem nazajutrz wymknie się z domu do sadu i stamtąd już nie wróci.

A co napisała o mnie? „Pan Staddon ją porzucił, tak jak z góry wiedziałam”. Chciałem jej zaprzeczyć - ale ona nie żyła, a wspomnienia, które mi się nasunęły, potwierdziły, że miała intuicję. Dlaczego płakała wtedy o świcie, gdy przyniosłem list do jej pokoju? Dlaczego wpatrywała się we mnie ze zgrozą? Dlatego, że przewidziała, co przyniosę i co to będzie oznaczało.

Większość niejasności stała się aż za jasna. Victor zadbał, żeby zlecenie na budowę hotelu Thornton zamigotało mi na horyzoncie przed uroczystym otwarciem domu Spod Obłoków, ponieważ wiedział od Lizzie, że planuję ucieczkę z Consuelą zaraz potem. Lizzie znała wszystkie nasze sekrety, tak samo jak znał je Victor. Niewątpliwie trzymał rękę na pulsie. Czułe słowa w liścikach, schadzki, zażyłość. O tym wszystkim wiedział i to wszystko tolerował, dopóki nie przysłała pora, żeby położyć temu kres.

Nie było jednak jasne, dlaczego Lizzie nas zdradzała. Miało to coś wspólnego z aresztowaniem jej brata, ale co, nie mogłem dociec.

Lizzie nigdy nie ukrywała faktu, że jest siostrą Petera Thaxtera. A przecież napisała: „gdyby nie to, pan Caswell by nie mógł mnie zmusić, żebym dla niego szpiegowała”. Kryło się więc w tym coś głębszego i gorszego niż niełaska z powodu hańbiącego pokrewieństwa, coś, czego wolała nie precyzować, nawet w swoim liście przed śmiercią.

- Co z tym zrobisz? - zapytał Imry, gdy skończył czytać ten list. - Spalisz?

Potrząsnąłem głową. Imry przyjechał do Londynu na cały dzień i jedliśmy obiad w jego klubie. Jeszcze doba nie minęła od chwili, gdy list Lizzie znalazł się w moim posiadaniu, ale już zdecydowałem, co trzeba z nim zrobić.

- Kiedy to wszystko się skończy - powiedziałem - i ten list nie będzie mógł zaszkodzić, przekażę go rodzinie Lizzie. Myślę, że im się to należy.

- Och, zgadzam się. A tymczasem?

- Tymczasem zamierzam porozmawiać otwarcie z Victorem Caswellem.

- Tak przypuszczałem.

- Spodziewam się, że mi będziesz odradzał.

- Tym razem nie, Geoff. Na ogół lepiej, moim zdaniem, nie rozgrzebywać przeszłości. Ale bywają wyjątki! Chyba to jest właśnie wyjątek.

Już mu opowiedziałem, w jakich okolicznościach odszedłem od Angeli, i wzdrygnąłem się teraz na ich wspomnienie.

- Jestem cholernym głupcem, prawda, Imry?

- Owszem. Ale nie jesteś pod tym względem niezwykły. Każdy głupiej wcześniej czy później. Tyle tylko, że mało kogo głupota dopada tak ostatecznie jak dopadła ciebie.

- Zrażeniem sobie sir Ashleya nie przysłużyłem się firmie.

- Tym ja na twoim miejscu bym się nie martwił.

- Co Angela robi, jak myślisz?

- Jest twoją żoną, Geoff, nie moją. Ale chyba się z tobą rozwiedzie.

- Też tak myślę.

- Spróbujesz do tego nie dopuścić? Naprawiać?

- Nie wiem. Szczerze mówiąc, nie jestem pewny, czy mi aż tak na niej zależy, żeby zdobyć się na wysiłek.

- Powinieneś się zdobyć. Nie zapominaj, uderzyłeś ją, i są świadkowie, więc ty będziesz się wydawał stroną winną. Ale jak wnoszę z tego, co mi mówisz, jej przyjaźń z majorem Turnbullem jest dostatecznie zażyła, więc może być usprawiedliwieniem czy przynajmniej wytłumaczeniem twojego zachowania.

- Nie chcę tego wywlekać. Nie chcę usprawiedliwiać swojego... ładnie to ująłeś: zachowania... Stanowczo nie...

- Powinieneś... we własnym interesie.

- Otóż to, Imry. Czy nie rozumiesz? Doprowadziłem do takiej sytuacji, bo stawiałem własny interes wyżej nawet niż dobro osób, które rzekomo kochałem. No, już tak nie będzie. Teraz inna gwiazda wskazuje mi kierunek.

- Cóż to za gwiazda?

- Nie ma nazwy. Ale ma cel. Gwiazda, której będę posłuszny, jak tylko zdołam... nie zważając na siebie.

- Och, ta gwiazda ma nazwę, Geoff. Nazywa się honor. Wielu doprowadza do upadku. - Imry uśmiechnął się. - A do zbawienia tylko niewielu.

Gdybym powiedział, że nazajutrz, gdy dostałem list od Hermione Caswell, nie posiadałem się ze zdumienia, byłoby to powiedziane za słabo.

Jeszcze bardziej zdumiał mnie załącznik - zaklejona koperta zaadresowana pismem Jacinty.

Najpierw przeczytałem list Hermione.

Paprociarnia

Aleystone Hill

Hereford

2 stycznia 1924 r.

Szanowny Panie,

Jacinta poprosiła mnie, żebym wysłała jej list do Pana. Nie może sama wychodzić z domu Spod Obłoków i tym bardziej korespondować z ludźmi, których jej ojciec nie aprobuje. Pan wyraźnie jest jedynym z nich. Wszelako zna mnie Pan dość dobrze, by wiedzieć, że zdanie Victora nic dla mnie nie znaczy. Jacinta w święta skorzystała ze sposobności i powiedziała mi, jak krótko ojciec ją teraz trzyma. Z chęcią podjęłam się wysyłania jej listów i przyjmowania dla niej odpowiedzi. Jeżeli więc Pan zechce jej odpisać, proszę załączyć list w liście do mnie na powyższy adres, a ja jej przekazę, gdy tylko nadarzy się okazja.

Jacinta prosiła, żebym nie wnikała w powody, dla których pisze do Pana, więc ulegle powściągnęłam ciekawość. Nie nadużyję jednak zaufania, jeżeli dodam tu coś od siebie. To biedne dziecko jest bardzo przygnębione rychłym procesem matki i rozważaniem prawdopodobnego wyniku. Jeżeli może Pan jakoś bodaj trochę zmniejszyć jej niepokój, usilnie Pana o to proszę

*z wyrazami sympatii
Hermione E. Caswell*

Natychmiast rozdarłem kopertę Jacinty. Jej list był następujący:

Spod Obłoków

Mordiford

Herefordshire

31 grudnia 1923 r.

Szanowny Panie Staddon,

nie mam żadnych wiadomości od Pana po naszym spotkaniu w Londynie na początku tego tygodnia. Martwię się, ponieważ wiem, że proces mojej mamy niedługo się zacznie i nikt tutaj nie będzie mi nic o nim mówił. Odkąd wróciliśmy z Francji, nie wolno mi wychodzić z domu, chyba że ojciec albo panna Roebuck wychodzi ze mną. Panna Roebuck zabiera mnie do kościoła w Hereford co niedziela. Poza tym nigdzie nie jeżdżę i nikt nas nie odwiedza oprócz rodziny. Długo myślałam, zanim poprosiłam ciocię Hermione, żeby mi pomogła, ale musiałam kogoś poprosić, a czuję, że tylko jej z nich wszystkich mogę ufać.

Nikt z rodziny oprócz cioci Hermione nigdy nie mówi mi o mojej mamie ani o procesie. Ale słyszę, jak służba plotkuje. Banyard, Noyce, Gleasure i Mabel Glynn niedługo pojadą do Londynu, bo muszą zeznawać. Ojciec też pojedzie. Ciocia Hermione powiedziała mi, że proces się zacznie 14 stycznia. To znaczy, że prawie wcale czasu nie zostało. Każdy myśli, że moja mama będzie uznana za winną. Musimy jej pomóc, Panie Staddon. Musimy coś zrobić. Ale co?

Proszę mi szybko odpisać. Proszę napisać, że Pan wie, co zrobić. Proszę napisać, że Pan nie jest w takiej bezradności jak ja.

*Z poważaniem pozostaję
Jacinta Caswell*

Czytając list Jacinty, wyrzucałem sobie daremność moich wysiłków, żeby ratować Consuelę. A tak zapewniałem zarówno sam siebie,

jak i Jacintę, że przecież musi być jakiś sposób ratunku i że nie spoczną, dopóki go nie znajdę. Minęło ponad dwa miesiące i czego dokonałem? Niczego poza tym, że chyba rozbiłem swoje małżeństwo. Niczego z całą pewnością, niczego co by musieli wziąć pod uwagę sędzia i przysięgli, którzy wkrótce zdecydują o losie Consueli. Pobiegłem do gabinetu i natychmiast odpisałem Hermione:

Szanowna Pani, dziękuję za list i zawiadomienie mnie o stanie ducha Pani brataniczki. Zamierzam przyjechać do Hereford jutro i zatrzymać się na parę dni Pod Zielonym Smokiem. Byłbym wielce zobowiązany, gdyby mogła Pani spotkać się ze mną w czasie mojego pobytu. Proponuję, żeby zostawiła Pani wiadomość dla mnie w tym hotelu, podając czas i dogodne miejsce, gdzie byśmy nie budzili zbyt dużej sensacji. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi zależy na tym, by spełniła Pani moją prośbę. Ta sprawa ma dla mnie najwyższe znaczenie. Wszelka pomoc, jakiej może Pani udzielić w tym krytycznym czasie, jest nie do oszacowania.

*Z głębokim poważaniem
Geoffrey Staddon*

Wysłałem ten list po drodze na Frederick Place. Cały dzień spędziłem przy pracy z pogrzejającym uczuciem, że nastąpił zwrot i teraz moje starania pójdą w nowym kierunku. Zatelefonowałem do Windrusha w Hereford i zaprosiłem go na kolację Pod Zielonego Smoka nazajutrz wieczorem. Spodziewałem się dowiedzieć od niego gorzkiej prawdy o perspektywach Consueli. Prawdy jeszcze bardziej gorzkiej spodziewałem się dowiedzieć od osób nieuprzedzonych o mojej wizycie: co i dlaczego stało się naprawdę w domu Spod Obłoków w tamto popołudnie, gdy Rosemary połknęła zabójczą dawkę arszeniku.

XII

Wyjechałem z Londynu o świcie, bo wolałem długą uciążliwą jazdę samochodem niż wygodną podróż pociągiem. Oxford, gdzie roztrwonilem część mojej błogiej młodości, powitał mnie szary i hardy pod szybującą zimową chmurą. W Cotswolds nic się nie poruszało na ogołoconych polach, tyle że wrony latały nad nimi jak unoszone wiatrem czarne szmaty. Wszystko było ołowiane, zimne, nieżyczliwe. Wszystko było tak zniechęcające, jak tylko może zniechęcać obojętność przyrody. A jednak mnie to nie demobilizowało.

Droga z Gloucester wydawała się lepiej znana, ukształtowanie i charakter terenu coraz bardziej przypominały mi to, z czego się wyłonił projekt Spod Obłoków. Nagle w dolinie przede mną ukazały się szerokie meandry rzeki Wye. Nagle zobaczyłem drogowskaz z napisem Mordiford i wiedziałem, że wbrew postanowieniu pozwolę tu sobie na postój.

Wolno przejechałem przez wieś, minąłem łąkę przy kościele, gdzie pochowano Lizzie Thaxter, i chociaż nie powinienem, zatrzymałem auto na szosie, wysiadłem i popatrzyłem z daleka na dom Spod Obłoków. Zima go obnażyła, stał odarty z wszystkich ozdób, a przecież nadal taki, jak go zaprojektowałem. Triumfował swoim usytuowaniem i konstrukcją, lekceważąc surowość stycznia.

Upojony widokiem dawnego swego dzieła i zarazem zgnębiony przekonaniem, że nigdy już nie zdołam stworzyć nic równie dobrego, szedłem powoli szosą ku alei wjazdowej. Nagle w pół kroku znieruchomiałem.

Dawniej nie było bramy między filarami wjazdu. Bez domku dozorczy nie wydawało się to ani konieczne, ani praktyczne. Ale teraz była ciężka, wysoka, dwuskrzydłowa brama z kutego żelaza, najeżona kolcami. Napis wielkimi literami na dużej drewnianej tablicy ostrzegał: TEREN PRYWATNY. NIE ZBLIŻAĆ SIĘ.

Podszedłem patrząc ze zdumieniem. Na zamkniętej bramie zwiślał w dodatku łańcuch z kłódką. Do filara z prawej strony przymocowano drewnianą szafkę i nad nią tabliczkę: „Wstęp tylko za pozwoleniem. Goście, proszę telefonować”. Otworzyłem drzwiczki szafki. Był w niej aparat telefoniczny z korbką. Victor rzeczywiście się obwarował przed tymi, których nie chciał widzieć.

Wróciłem do auta, wsiałem, zapaliłem papierosa i znów patrzyłem na dom Spod Obłoków. Teraz, gdy widziałem, jak trudno się do niego dostać, wydawał się jeszcze bardziej daleki. Mógłbym zażądać, żeby mnie wpuszczono, uprzeć się, żeby Victor ze mną porozmawiał, ale zdawałem sobie sprawę, że jeszcze nie pora na takie rozpaczliwe kroki. Przynajmniej jeszcze niezupełnie. Dopaliłem papierosa, włączyłem silnik i odjechałem.

Pod Zielonym Smokiem czekał na mnie list przyniesiony rano. Był to list od Hermione.

*Paprociarnia
Alyestone Hill
Hereford*

5 stycznia 1924 r.

Szanowny Panie,

Pański list otrzymałam dzisiaj rano i tę odpowiedź zostawię w hotelu, kiedy pójdę po zakupy. Chętnie spotkam się z Panem, powinniśmy jednakże być ostrożni zważywszy, jaką konsternację spowodowało to, że widziano nas razem za poprzedniej pana bytności w Hereford. Od czasu do czasu chodzę do katedry na nabożeństwo o ósmej w niedzielę rano, nie wzbudzę więc podejrzeń, jeżeli wybiorę się tam jutro. Zamiast do katedry przyjdę pod Zielonego Smoka. Spodziewam się zastać Pana przy śniadaniu w sali restauracyjnej punkt o ósmej rano.

*Z wyrazami sympatii
Hermione E. Caswell*

Nie liczyłem na spotkanie z Hermione tak wcześnie, toteż myślałem, że mogę odwlekać rzecz najtrudniejszą: ułożenie listu do Jacinty. Nie dało się. Usiadłem przy biurku w pokoju hotelowym, pojęcia nie mając, co mogę czy powinienem jej napisać. Nawet nie zacząłem, gdy przyszedł Windrush na umówioną kolację.

Był jeszcze mizerniejszy i bardziej zatroskany niż przedtem. Mru-gał nerwowo i podrzucał głową, czego przedtem nie robił. Pił i palił zachłannie, nie jadł prawie nic i bez straty czasu wyjaśnił, co go trapi.

- Staddon, przez tę sprawę jestem w Hereford napiętnowany. Pa-nu to dobrze. Pan nie musi żyć wśród tutejszych ludzi. Mają mi za złe, że załatwiłem przeniesienie procesu, więc przyjemność ich ominie, nie zobaczą na własne oczy, jak sędzia nakłada czarną czapkę.

- Naprawdę jest tak niedobrze?

- Gorzej niż niedobrze.

- Przejeżdżałem dziś niedaleko Spod Obłoków. Caswell chyba wprowadził pewne zmiany.

- Mówi pan o bramie? Jest mniej więcej od miesiąca. I mur gra-niczny teraz zabezpieczony kawałkami szkła. I nawet pies obronny, którego spuszczają na noc z łańcucha. Niektórzy uważają, że to ze względu na prasę i łowców sensacji. Inni mówią, że Caswell po tym zatruciu boi się, że znowu ktoś będzie próbował go zamordować.

- A co pan o tym myśli?

- Och, myślę, że to z pewnością coś więcej niż chęć odseparowania się od świata. Może Pombalho tak go zdenerwował. Ostatnim razem, kiedy był tutaj, strasznie się odgrażał, co robi, jeżeli jego siostrę po-wieszają.

- Czyli zabije Caswella. Tego przecież nie trzeba traktować po-ważnie.

- Ja na miejscu Caswella jednak bym się przejął. Widział się pan ostatnio z Rodrigiem de Pombahlo?

- Hm... nie.

- No to miał pan szczęście. On jest jak wrzący wulkan. Jeżeli pa-nią Caswell skążą, wybuchnie. Nie chciałbym wtedy być w skórze Caswella.

Pochyliłem się nad stolikiem i zniżonym głosem zapytałem.

- Pan myśli, że ją powieszają?

- Lepiej niech pan zapyta Curtis-Bennetta. Teraz w dużym stop-niu to zależy od niego. Mam się z nim spotkać w jego kancelarii w przyszły piątek. Ostatnia konferencja przed procesem. Pan też mógł-by tam być?

- Będę.

- Sir Henry uderzy w ton optymistyczny. Musi. Ale nie sądzę, żeby miał podstawy. Chce pan znać moje zdanie? Nie jesteśmy bliżej sfor-mowania dostatecznej obrony, niż byliśmy dwa miesiące temu.

- Więc niewiele pan daje nadziei.
- To jest w rękach sir Henry'ego. On nie może odrzucić dowodów. Może tylko ufać, że rozbudzi w przysięgłych dosyć niepewności... i współczucia... żeby udzielili pani Caswell *beneficium dubitandi*.
- Czy pani Caswell zdaje sobie sprawę z powagi swojej sytuacji?
- Och, tak. Ale jest zupełnie tym nieporuszona. Odnoszę wrażenie, że już przygotowała się na najgorsze. To dzielna kobieta, Staddon, niezwykle dzielna. I mam paskudne przecucie, że będzie jej ta dzielność potrzebna.

Do późnej nocy siedziałem z piórem w ręce nad arkuszem hotelowego papieru listowego.

Moja najdroższa Jacinto!

Jesteś jeszcze za młoda, żeby zrozumieć to, co zaraz Ci napiszę, ale już nie mogę tego odkładać. Victor Caswell, który unieszczęśliwił Twoją matkę i który teraz trzyma Cię w domu Spod Obłoków jak w więzieniu, nie jest Twoim ojcem. Twoim ojcem jestem ja. To dlatego Twoja matka przysłała cię do mnie. Dlatego że jesteś moją córką i chronienie Ciebie to doprawdy najmniejsza częśćka tego, co jestem winien Twojej matce... kobiecie, którą oszukałem i porzuciłem. Niczym nie mogę usprawiedliwić mojego postępowania w przeszłości, ale przynajmniej jest coś, co mogę zrobić teraz, żeby...

Oczywiście podarłem ten list na strzępy i spaliłem. Jeszcze pisząc te słowa wiedziałem, że Jacinta nigdy ich nie przeczyta. Były sformulowaniem prawdy, którą chciałem i musiałem kiedyś jej powiedzieć, ale która na razie miała pozostać zamknięta w głębi mojego sumienia. Nie mogłem jednak znaleźć żadnych słów, żeby uciszyć obawy aż za bardzo uzasadnione. I dlatego milczenie wydawało się najmniej bolesne ze wszystkich sposobów, jakimi mógłbym powitać moją córkę.

Tak to więc nie miałem żadnego listu, żadnej gotowej wiadomości dla niej, gdy nazajutrz o godzinie ósmej rano siedziałem w pustawej sali restauracyjnej Pod Zielonym Smokiem i czekałem na mojego następnego gościa.

- Proszę o czajnik świeżo zaparzonej herbaty - powiedziała Hermione kelnerowi. - I grzanki, tylko żeby nie były wiotkie. - I zanim kelner odszedł, dodała: - Pan Staddon chyba by chciał jeszcze kawy.

Swoją niezmaconą witalnością podniosła mnie na duchu. Zerknęła w stronę jedyne go oprócz nas gościa w sali - ponurego osobnika chudego jak boczek na jego talerzu, o ile nie bardziej, i kaszłającego irytująco - po czym przeszła mnie badawczym wzrokiem.

- Dlaczego pan przyjechał, panie Staddon? - zapytała.

- Dlatego, że pani napisała do mnie.

- No, ale łatwiej przesłać list pocztą niż przywieźć osobiście.

- Nie zawsze łatwiej. Zresztą nie mam listu z prośbą o przekazanie, mam tylko wiadomość. Jacinta nie powinna tracić nadziei. Są jeszcze wszelkie powody do optymizmu.

Hermione zmarszczyła brwi.

- Rozczarował mnie pan. Zna pan przecież Jacintę na tyle, by wiedzieć, że nie uspokoją jej takie frazesy. Życie jej matki wisi na włosku i ona wie o tym.

- Ja również wiem. Ale nic więcej nie mogę jej powiedzieć.

- Straszny z pana defetysta.

- Ależ nie. Przyjechałem do Hereford jak najdalszy od defetyzmu.

- Co pan zamierza?

- Zamierzam przedstawić Victorowi pewne informacje, które ostatnio uzyskałam. I mam nadzieję, że w ten sposób odkryję prawdę. Czy pani zdaniem taką bojową deklarację Jacinta chciałaby usłyszeć?

- Bojową tak, ale ostrożną, jeśli chodzi o Victora.

- Ponieważ on jest jej ojcem. Właśnie. Więc pani rozumie, trudno mi sformułować wiadomość dla niej.

Herbata, grzanki i kawa wjechały na stolik z głośnym szczękaniem fajansu.

Gdy kelner to wszystko ustawiał, Hermione patrzyła mi w oczy, wyraźnie szukając potwierdzenia jakiegoś niepewnego wniosku. Po odejściu kelnera wzięła grzankę i zaczęła smarować masłem.

- Nie sędzę, panie Staddon - powiedziała - żeby Victor był ojcem Jacinty. I nie sędzę, żeby pan go uważał za jej ojca.

- Jak... jak to?

- Chyba to dostatecznie jasne? Pana determinacja w sprawie Consueli. Fakt, że ona poleciła Jacincie zwrócić się o pomoc do pana. Data narodzin Jacinty. Data pana ostatniej wizyty w domu Spod Obłoków. Panie Staddon, nawet staruszki potrafią liczyć. Oczywiście, rozumiem, pan może nie wiedzieć, nie mieć pewności, ale nie wątpię, że pan to podejrzewa. No, zechce mi pan podać marmoladę?

Oniemiały, podsunąłem jej słoik.

- Niech pan się nie obawia. Nikt poza mną się nie domyśla. Gdyby Jacinta nie poprosiła mnie o pośrednictwo, nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Na pewno nie powiem nikomu. Bo i po co? Doprawdy to nie moja rzecz. Ale uważam, że pan powinien wiedzieć, że ja się domyśliłam. Czy to, jeśli mi wolno zapytać, należy do informacji, które zamierza pan przedstawić Victorowi?

- Ja... Tak. Poniekąd.

- Napotka pan trudności. Victor ostatnio jest nieuchwytny. Przypadkowi goście już nie są mile widziani, dom Spod Obłoków teraz przypomina fortecę. Zawsze zamknięta brama, ostre szkło na murze, brytan biega samopas po parku. W oknach sztaby. A to tylko te środki ostrożności, o których ja wiem.

- Czego on się boi?

- Pojęcia nie mam. Po tym zatruciu stał się taki. I wyuczasy we Francji niewiele mu pomogły. Jest lękliwy, podejrzewa wszystkich spoza domu. Denerwuje się, myśli o tym procesie, oczywiście, ale sądzę, że to coś więcej.

- Może to ma związek z bratem Consueli, Rodrigiem Manchaca de Pombalho? O ile wiem, Rodrigo był w Hereford.

- Możliwe. Sprawiał wrażenie, że chętnie by urwał Victorowi głowę. I wystarczyłoby mu siły. Senhor Pombalho jest, mówiąc najogólniej, panem bardzo dużym.

Nasunęło mi się niemiłe przypuszczenie. Czy to nie Hermione świadomie albo nieświadomie dała Rodrigowi do zrozumienia, że kiedyś byłem kochankiem Consueli?

- Pani... pani mówiła Rodrigowi o swoich wątpliwościach co do ojcostwa Victora?

- Boże Święty, nie! Ja nawet takich wątpliwości nie sformułowałam sobie w myśli. A gdybym nawet sformułowała, nie podzieliłabym się tym z senhorem Pombalho. Skąd taka supozycja!

- Och... On coś napomknął. Ale może źle zrozumiałem.

- Z pewnością. Senhor Pombalho złożył wizytę w Paprociarni w końcu listopada, jak sobie przypominam. Mortimer przyjął go uprzejmie, uważał że tak wypada, ale on był zgola nieuprzejmy, zwłaszcza kiedy wychodził. Victor wtedy był jeszcze we Francji. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że senhor Pombalho groził mu, że go zabije. Tę groźbę powtarzał jeszcze gwałtowniej, kiedy Victor wrócił. No i wtedy Victor zamknął się jak w pustelni i Jacintę też zamknął.

Jeszcze nie znalazł pretekstu, żeby mnie zabronić ją odwiedzać, ale pewnie już szuka. Co do senhora Pombalho... parę osób go widziało, dosyć jednak dawno, a to nie jest, jak pan wie, niepozorny człeczyna, więc skoro go nie widać, na pewno wyjechał z Hereford, prawdopodobnie do Londynu, czy może nawet z powrotem do Brazylii, chociaż wątpię.

- Więc... te zmiany Victor mógł wprowadzić, żeby się uchronić przed Rodrigiem?

- Jeśli nie po to, pojęcia nie mam, w jakim innym celu.

- Victor nie będzie chciał zobaczyć się ze mną?

- Możliwe. Ale z tego nie wynika, że się nie zobaczy. - Hermione uśmiechnęła się szelmowsko. - Przyjechał pan do Hereford akurat w porę, panie Staddon. Jutro po południu jest zebranie zarządu Caswell i Spółka. Wiem o tym, bo na mocy zapisu w testamencie ojca jestem członkiem zarządu tak samo jak Victor. On na pewno będzie na tym zebraniu. Jeżeli inne sposoby zawiodą, mógłby pan porozmawiać z nim wtedy. - Wyras jej twarzy mówił, że gdybym miał dopaść jej brata w biurze spółki, z przyjemnością byłaby przy tym obecna. - No - powiedziała - herbata na pewno już naciągnęła. Zechce pan napelnić mi filiżankę.

Ponieważ była niedziela, mogłem zarówno spróbować odwiedzić Victora, jak zapewnić Jacintę, że jej nie opuściłem. Wiedziałem od Hermione, że Jacinta nadal co niedziela przyjeżdża z panną Roebuck na mszę do kościoła rzymskokatolickiego w Hereford. Za dziesięć jedenasta zająłem pozycję przed kościołem i wkrótce podjechał poły-skliwy kasztanowaty bentley.

Jacinta zza tylnej szyby patrzyła na mnie, udając obojętność. Szofer wysiadł i otworzył jej drzwiczki. Znów byłem z niej dumny: tak świetnie panowała nad sobą, tak dzielnie dźwigała rozpacz, z jaką na pewno wciąż myślała o swojej nieszczęśliwej matce. W eleganckim płaszczyku obszytym futrem i w szkockim berecie wydawała się jeszcze młodsza i mniejsza niż była.

Zatrzymała się, wysiadając, ściągnęła usta i odetchnęła głęboko. Wyczułem, że zbiera siły, żeby nie okazać słabości, chociaż nie wiedziałem, czy ze względu na mnie, czy ze względu na pannę Roebuck, patrzącą na nią z bentleya tak bacznie, jak ja z chodnika.

Skierowała się do drzwi kościoła. Myślałem, że po prostu mnie minie, ale przystanąła.

- Dzień dobry, panie Staddon. Jak się pan ma?
- Dobrze, Jacinto. Właśnie... - Panna Roebuck patrzyła na mnie z bentleya. Nasze oczy się spotkały. Zdenerwowało mnie absurdalne przeświadczenie, że ona, chociaż nie może słyszeć tego, co mówię, będzie czytać z ruchu moich warg.
- Czy pan jeszcze się stara pomóc mojej mamie?
- Tak. W każdy możliwy dla mnie sposób.
- Czy pan będzie mógł ją uratować?
- Mam nadzieję.
- Muszę już wejść - Jacinta zarumieniła się lekko i podbródek trząśł się jej trochę. - Do widzenia. - Odeszła prędko, wbiegła na schodki kościoła.

Spojrzałem znów na samochód. Szofer chciał odjechać, ale panna Roebuck powstrzymała go klepinięciem w ramię. Na niewypowiedziane wezwanie posłusznie podszedłem do bentleya. Spuściła szybę w oknie i powiedziała spokojnie:

- Dzień dobry, panie Staddon. Victor kilka tygodni temu zabronił panu, o ile pamiętam, kontaktować się z Jacintą.

- Pod rygorem, że utracę większość klientów. Twierdził, że jest to w jego mocy.

- Pan o tym wątpi?

- Nie. Naprawdę nie.

- Więc dlaczego tak otwarcie pan go prowokuje?

- Dlatego że taka kara nic dla mnie nie znaczy. I dlatego że przyjechałem tu nie do Jacinty, tylko do niego.

- Może pan mówić jaśniej?

- Chciałbym, żeby pani mu przekazała wiadomość ode mnie.

Uniosła brwi.

- Jaką wiadomość?

- Że chcę się z nim zobaczyć. Mamy sprawy do umówienia.

- Myślę, że się nie zgodzi.

- Niech mu pani powie, że wiem, w jaki sposób powstrzymał mnie od zabrania mu Consueli, co powinienem był zrobić dwanaście lat temu.

Uniosła brwi jeszcze wyżej. Szofer chrząknął.

- Taka wiadomość oznaczałaby fatalne wyznanie, panie Staddon. Czy to na pewno roztropne?

- Nie interesuje mnie pani ocena, co jest roztropne, a co nie jest. Powie mu pani?

- Jeżeli pan nalega.

- Nalegam. Spod Obłoków, godzina czwarta po południu. Spodziewam się, że mnie przyjmie.

Panna Roebuck nic na to nie powiedziała. Patrzyła ironicznie, niedłwie z rozbawieniem, raczej przerażającym, zważywszy powagę sytuacji. Powoli podkreśliła szybę w oknie, nadal patrząc na mnie. Potem pochyliła się, szepnęła polecenie szoferowi i bentley posuwicie odjechał.

Podjechałem do bramy Spod Obłoków przed wyznaczoną porą i siedziałem w aucie, dopóki nie zobaczyłem na zegarku, że jest punkt czwarta. Brama była zamknięta, jak przewidywałem. Otworzyłem szafkę, podniosłem słuchawkę telefonu, pokręciłem korbką.

- Spod Obłoków - usłyszałem głos Danby'ego.

- Danby, mówi Geoffrey Staddon.

- Ach, tak proszę pana. Miałem spodziewać się pana.

- To dobrze.

- I mam panu powiedzieć, że pan Caswell nie może pana przyjąć.

- Co?

- I pan Caswell życzy sobie, żebym panu powiedział, że jeżeli ma pan do niego jakąś sprawę, powinien pan to załatwić listownie.

- List tego nie załatwi!

- Niestety, proszę pana, będzie musiał załatwić.

- Proszę mnie z nim połączyć, do diabła!

- Pan Caswell wydał wyraźne polecenie, proszę pana. Nie chce się z panem widzieć, nie chce z panem rozmawiać. Więc jeżeli...

Rzuciłem słuchawkę na widelki i odszedłem do samochodu. Victor nie udzieli mi audiencji. Ale czy chce, czy nie chce, zobaczy się ze mną. Na pewno!

Pojechałem na północ. Wiedziałem, że jest coś, co ukrywają Caswellowie i co kryje w sobie dom Spod Obłoków i ten zimny bezwietrzny zmierzch, i ciemniejący zielonoszary krajobraz, i całun chmur nad moją głową. Jeszcze tego nie widzę. Nie rozumiem tego. Ale wkrótce będę widział i rozumiał.

Przedemną na wąskiej wiejskiej drodze, w którą skręciłem, ukazał się ktoś człapiąc po błotnistym poboczu. Włóczęga, pomyślałem, jakiś bezdomny wędrowiec łązi, gdzie go nogi poniosą. Potem gdy się zbliżył, jego chuda postać, obszarpany przyrodziewek, zmierzwił włosy

i broda kogoś mi przypomniały. Zatrzymałem auto i przywołałem go gestem. Machinalnie ruszył w moją stronę. Rozpoznał mnie i stanął jak wryty.

- Cześć, panie Doak. Pamięta mnie pan?

Nie odezwał się. Ale tym razem nie odwrócił się i nie uciekł. Był zawstydzony i wyzywający, ale tym razem trzeźwy na tyle, że potrafił się opanować.

- Dokąd pan idzie? - Zerknął w stronę Hereford. Uznałem to za odpowiedź, a więc moje skromne zwycięstwo. - Podwiozę pana. - Potrząsnął głową, zacisnął palce na paskach plecaka, gotów odejść.

- Zimno jest. I zaraz się ściemni.

Zawahał się, obliznął wargi, po czym powiedział:

- Jestem panu winien pieniądze. I nie mogę zwrócić. Ale nie będę się czołgać.

- Ja nie żądam zwrotu. Niech pan wsiada.

Wolno, podejrzliwie obszedł maskę auta i zagapił się na mnie przez szybę od strony pasażera. Otworzyłem mu drzwiczki. Jeszcze się wahał. Po chwili wsiadł ostrożnie. Ruszyliśmy. Poczestowałem go papierosem i uśmiechnąłem się w duchu widząc, z jaką lubością się zaciąga.

Pół mili przejechaliśmy w milczeniu. I nagle powiedział:

- Nigdy w żadnym takim nie siedziałem.

- Podoba się panu?

Zignorował moje pytanie.

- Ale często widuję, jak on jeździ takim.

- O kim pan mówi?

- A o kim by?

- O Caswellu?

- Ha. Tak. On mnie już nie zna. Tak czy siak udaje, że nie zna. On myśli, że ja przy nim to śmieć. Myśli, że ja to miazga jabłka pod jego porządnym butem. I jak obwarował Spod Obłoków? Zasuwy. Rygle. Kraty. Tłuczone szkło, żeby na wstążki pokrajało ręce takim, jak ja.

- Widziałem.

- I po co to?

- Dla ochrony?

- Ha. Tak miarkuję. Miarkuję, że jemu potrzebna ochrona.

- Naprawdę?

- Ja patrzę, mam oczy, panie larchikekcie. Patrzę i nie zapominam.

On myśli, że tam jest bezpieczny, myśli że nie można go osiągnąć. No, tyle tylko on wie.

- Pan wie więcej?

- Ja przychodzę i odchodzę, kiedy chcę.

- Na teren Spod Obłoków? Którędy?

- Pan powinien wiedzieć. Pan to budował. On każdej dziury nie może zatkać.

- Mówi pan, że często pan tam wchodzi?

- Nic nie mówię. Może wchodzi, może nie. Ale to moje prawo, jeżeli wchodzi. Spod Obłoków to ziemia Doaków. Ciągłe jeszcze.

- Ale podobno on ma psa obronnego, który tam biega w nocy.

- Psy mnie nie martwią. Ludzie mnie martwią. Tacy ludzie jak Caswell.

- Dlaczego?

- On myśli, że może brać, co nie jego, i nigdy za to nie ucierni. No, myli się i nadchodzi czas, kiedy się przekona. Mówiłem panu, panie larchikekcie tamtego dnia, kiedy pan oglądał Spod Obłoków. Mówiłem panu, że Caswell pożąda, że zabrał ziemię nam, Doakom. I pożąda. Caswellowie kiedyś czołgali się przed nami. I ja dożyję, żeby zobaczyć, jak będą się czołgali znowu.

Doak nie chciał, żebym go zawiózł do śródmieścia Hereford. Wysiadł na przedmieściu. Może miał tam upatrzoną jakąś kwaterę na noc. W każdym razie, chociaż bardzo niechętnie, przyjął ode mnie suwerena. Obaj wiedzieliśmy, co z tym robi, ale nie miałem mu za złe. Życie go pokonało, okoliczności go złamały, trzymał się tylko dzięki swemu uporowi i czemuś prorocत्वu. Jeśli w ogóle czegoś mogłem być pewny, to tego, że on nigdy nie będzie górą nad Victorem Caswellem. I mając tę pewność, miałem też straszne wrażenie, że jak pokrewieństwo łączy mnie z nim niemożność osiągnięcia Victora.

Jeszcze nie pojechałem do hotelu. Ruszyłem znowu na północ, szosą do Shrewsbury, i pędziłem w ciemnościach tak szybko, jak pozwalał silnik. Prowadziłem auto bezmyślnie i bez celu, aż w końcu wiele mil za Ludlow zatrzymałem się, wiedząc, że dalsza jazda jest daremna. Bo sążone mi wciąż i zawsze zawracać.

- Staddon! Tutaj! - Ten podniesiony bełkotliwy głos doleciał z baru, gdy w hotelowym hallu brałem od portiera mój klucz. Odwracając się, zobaczyłem za otwartymi drzwiami uśmiechniętego Spencera

Caswella. Podniósł rękę z na pół pustą szklanką i mruknął: - Akurat ktoś, kogo miło zobaczyć! Wypije pan do poduszki?

Zarówno, żeby go uciszyć, jak i z innych powodów, podszedłem do niego. W przekrzywionym krawacie, z papierosem zwisającym z palców, niepewnie przycupnięty na barowym stolku, pijany, budził we mnie odrazę jeszcze większą niż wtedy, gdy był trzeźwy. W każdym calu zepsuty, bezwstydną żółtodziób.

- Góra z górą, co, Staddon? Wypijemy tu więcej niż parę głębszych, zapewniam.

- Czego chcesz, chłopcze?

- Tylko pogadać. Trochę towarzystwa. Współczujące ucho. To nie tak dużo, prawda?

- W tej chwili wydaje się, że sporo. Nie możesz pójść do domu, do łóżka?

- Tu jest zabawniej. Porozmawiamy o tajemnicach życia. Na przykład o jednej: skąd ja wiedziałem, że pan jest tutaj?

- Zakładam, że nie wiedziałeś.

- Mylnie pan zakłada. Przyjemne było śniadanko z cicią Hermione dzisiaj rano? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Aż taki pan wstrząśnięty? Nie ma powodu. Ta sikora jest mistrzynią w zdradaniu swoich sekretów. No, niech pan będzie towarzyski, postawi kolejkę, to może... ale tylko może... nikomu o tym śniadanku nie powiem.

Na szczęście jedyny gość w barze oprócz nas, chudy facet, który irytująco kaszłał, pochłonięty był rozmową z barmanem o wyścigach konnych. Zgodziłem się niechętnie, zamówiłem trunki i poprowadziłem Spencera do najdalszego stolika.

- Staddon, gdzie pan się podziewał przez ten cały czas? Odkąd otworzyli, czekałem na pana. Już myślałem, że pan mnie zawiedzie.

- Gdybym wiedział, że tu jesteś, na pewno bym zawiódł.

- Ojej! To niezbyt grzeczne. Ciekaw pan, jak przejrzałem ciotkę Hermione?

- Nie ciekaw, ale pewnie i tak mi powiesz.

- Rzeczywiście powiem. Wczoraj wieczorem obwieściła, że frunie do katedry na nabożeństwo skoro świt. Zrobiła z tego wielką sprawę, a normalnie idzie i pies z kulawą nogą o tym nie wie. Więc sobie pomyślałem, że moja stuknięta ciotunia coś knuje. Wyskok z którymś z tutejszych mamutów? Raczej nie. I ciach! Przypomniało mi się, jaki w domu zrobił się krzyk, kiedy poprzednio był pan w Hereford i widziała się z panem. Pan się wtedy zatrzymał Pod Zielonym Smokiem.

W odległości rzutu pastorałem od katedry. No więc zajrzałem tu dziś po południu i cóż ja widzę, Staddon? Pana nazwisko w książce gości. Z panem wszystko z góry wiadomo. Niedobrze dla pana, że wiadomo o wiele za dużo.

- To tylko domysły. A gdzie dowód, że spotkałem się z pana ciotką?

Raptownie Spencer prawie wytrzeźwiał.

- Dowód niepotrzebny - powiedział wcale nie bełkotliwie. - Nie jesteśmy w sądzie. Ale Consuela wkrótce będzie. I dlatego pan jest tutaj, prawda? Nadal pan usiłuje coś w jej sprawie wskórać?

- Jeśli nawet, co ciebie to obchodzi?

- Może mógłbym pomóc.

- Nie przypuszczam. I nawet gdybyś mógł, wątpię, czy byś sobie zadał taką fatygę.

Uśmiech Spencera się zwężił.

- Chwilami mam wrażenie, że pan mnie nie lubi. A powinien pan lubić. Przynajmniej powinien pan udawać. Drugi w błyszczącej zbroi rycerz Consueli udawał, chociaż nic poza tym.

- Kto taki?

- Jej braciszek. Wariat z Brazylii, Rodrigo Manchaca de coś tam. Rzeczywiście wobec mnie był bez zarzutu.

- Fundował?

- A jakże. I uśmiechał się częściej niż pan. I z większym szacunkiem słuchał moich opowieści.

- Co mu opowiadałeś?

- To i owo. Różności o mojej rodzinie. Jego to interesowało, nie tak jak pana.

- Ale ja to wszystko już słyszałem.

- Nie. Nawet połowy pan nie słyszał.

Byłem zmęczony, dosyć miałem przelewania z pustego w próżne. Pochylając się nad stolikiem, powiedziałem powoli, dobitnie, żeby zrozumiał.

- Jeżeli masz coś do powiedzenia, mów. Tylko nie jakieś funta kłaków niewarte rodzinne plotki.

- Nagle wybrzydząmy, co? Nie ocali pan ślicznego karczka Consueli pozowaniem na Bóg wie kogo.

- Ani słuchaniem twoich bzdur, to na pewno.

- Co do tego pan się myli. Ostatnim razem pytałem pana, w jaki sposób pan ma nadzieję udowodnić, że to nie Consuela otruła moja

drogą siostrę. Nie miał pan wtedy odpowiedzi i założył się, że nie ma pan teraz.

- A ty masz zapewne?

- Być może. Niech pan sam pomyśli. Co dowodzi, że Rosemary padła ofiarą przez przypadek?

- To że przyjechała z wizytą niespodziewanie.

- Właśnie. Inaczej padłby ofiarą stryjaszek Victor. Ale gdyby ta wizyta nie była niespodziewana?

- W takim razie... Czy dajesz do zrozumienia, że ktoś tę wizytę przewidywał?

- Wiem z wiarygodnego źródła, że wuj Grenville telefonował z Ross do stryja Victora już potem, jak mateczka i Rosemary wyjechały stamtąd, ale zanim dojechały do Spod Obłoków. Nie wiem, o czym rozmawiali przez telefon, może jednak wuj Grenville wspomniał, że panie wybierają się do Spod Obłoków po drodze do Hereford... To by zmieniło wszystkie dociekania, prawda?

Spencer miał rację. Dotychczas nie znajdowałem potwierdzenia mojego domysłu, że Victor wyreżyserował to otrucie, żeby pozbyć się Consueli. Imogen Roebuck mi wykazała, że strasznie by zaryzykował własne życie. Co więcej, może by oskarżono Consuelę tylko o usiłowanie zabójstwa. W więzieniu czy na wolności byłaby nadal jego żoną. Ale jeśli Victor wiedział, że Marjorie i Rosemary mają wkroczyć na scenę, takie obiekcje odpadały. Mógłby był dopuścić do tego, żeby jego lubiąca słodycze bratanica wzięła sobie zabójczą ilość zatrutego cukru, bo wtedy pozostawałoby mu tylko czekać, kiedy Consuela zostanie oskarżona o morderstwo i skazana na karę śmierci, która uczyni go wdowcem. Nagle najważniejszy stał się czas. O której godzinie był ten telefon? Ile czasu miał Victor na zastawienie pułapki?

Spencer uśmiechał się prowokująco, triumfalnie. Widział, że osiągnął pożądany efekt.

- Trochę wstrząsające, prawda?

- Cóż to było za wiarygodne źródło?

- Chyba pan się nie spodziewa, że podam nazwisko?

- Oczywiście, spodziewam się. Bo na to trzeba zwrócić uwagę policji.

- Nie, Staddon, po prostu nie podam.

- Ale to by mogło wszystko zmienić.

- Och, wiem. Ale ktoś mi to powiedział w najgłębszym zaufaniu. Ktoś, komu zanadto zależy na tej posadzie, żeby zeznawać w sądzie.

- Zależy mu na posadzie! Boże, mówimy o życiu ludzkim. Czy nie rozumiesz, co to znaczy?

- Rozumiem, ale nie jestem pewien, czy pan rozumie. Przypuśćmy, że ten mój... przyjaciel, nazwijmy go tak... rzeczywiście w ataku uczciwości z tym wystąpi. Przecież nie mógłby oczyścić Consueli. Wystarczyłoby, żeby stryj Victor albo temu zaprzeczył, albo nawet przyznał, że ta rozmowa telefoniczna była, ale bez żadnej wzmianki o tym, co panie planują. Rezultat byłby taki, że mój przyjaciel w nagrodę wyleciałby z posady. Stryj Victor nie lubi tych, którzy wchodzą mu w drogę, jak panu na pewno wiadomo.

- Twój przyjaciel pracuje u niego?

- Samo przez się zrozumiałe.

- I to on odebrał ten telefon?

- Tak mi powiedział.

- Niewielu może ich być: Danby, Gleasure, Noyce. To chyba wszyscy.

- Nie pomoże panu zawężanie pola.

- No, a Grenville Peto? On wie, co mówił Victorowi.

- Naturalnie, ale gdyby mówił to, co ja panu teraz podsuwam, już dawno by to zeznał, prawda? Chyba, oczywiście, że nie chce pomóc Consueli. Chyba że, być może, Victor go jakoś ustawił. W takim razie nic by się od niego nie dało wyciągnąć, prawda?

Zgarbiłem się na krześle. Ten promyk światła był gorszy niż najczarniejsza rozpacz. Błysnął, ale tylko złudnie. Nadzieja, jaką wyczerował, była nikła, nieomal fałszywa. Spencer dobrze to wiedział.

- Mówiłeś o tym Rodrigowi? - zapytałem.

- Nie. Bogiem a prawdą, jeszcze nie miałem tej informacji, kiedy on się miotał tu w mieście. Panu pierwszemu to mówię. Pochlebiam panu, prawda?

- Dlaczego właśnie mnie to mówisz?

- Uznałem, że powinien pan wiedzieć. I koniec. - Ale uciecha malująca się na jego twarzy zadawała temu kłam. Miał jeszcze jakiś sekret do wyjawienia. - Zachciało mi się szampana, a panu?

- Nie.

- Więc niech pan zamówi tylko dla mnie. - Oczami wprost telegraficznie potwierdził bezczelność swego żądania. Ale wiedziałem, że jeżeli spełnię tę jego zachciankę, otworzy się jeszcze bardziej. Skinąłem na barmana i zamówiłem. - To zdumiewające, wie pan - powiedział

- jak bardzo ludzie są usłużni, jak chętni, żeby dogodzić... kiedy czegoś chcą od człowieka. Zauważył pan to?

- Nie wszyscy.

- Wszyscy, których ja spotykam, z panem włącznie. Nie ma pan przy sobie cygara?

- Nie mam.

- No to niech pan będzie kumplem i zamówi dla mnie. Ja lubię hawańskie.

Barman wrócił, otworzył butelkę i nalał szampana, potem odszedł i znów wrócił, podał mu cygaro i ogień. Odszedł.

- Co uczymy, Staddon? Czy też powinienem zapytać, kogo? Consuelę może?

Nic nie powiedziałem. Tylko myśl, że on mógłby mi powiedzieć coś istotniejszego, powstrzymała mnie od chluśnięcia mu szampanem w twarz. Nawet nie dotknąłem mojego kieliszka, gdy wzruszając ramionami spełnił swój toast.

- Niezły. Zupełnie niezły. - Rozparł się na krześle i zaciągnął cygarem. - To jest życie, no nie?

- Jeżeli masz jeszcze coś do powiedzenia, byłbym wdzięczny, gdybyś to teraz powiedział.

- Ach, przepraszam. Zatrzymuję pana. No, faktem jest, Staddon, że powinienem przeprosić.

- Za co?

- Może rozmawiałem z naszym przyjacielem Brazylijczykiem nierozważnie. Zagalopowałem się. Pan wie, jak to jest. Parę głębszych. Trochę wspomnień i człowiek, zanim się spostrzeże, już wypuszcza kota z worka.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- O panu i Consueli. Dałem Rodrigowi do zrozumienia... no, mniej więcej powiedziałem... że pan z nią romansował kilka lat temu.

Zapatrzyłem się na niego, zbyt zdumiony, żeby się rozgniewać.

- Tyś mu powiedział?

- Ach, widzę, że było tak, jak się obawiałem. Rodrigo z panem o tym pogadał. I pewnie dosyć niegrzecznie. Nie jest dyplomatą ten nasz Rodrigo. Więc przepraszam, wkopałem pana, naprawdę mi przykro.

- Ale... Co mu powiedziałeś? Co mogłeś mu powiedzieć? Przecież nic o tym nie wiesz.

Spencer zrobił minę i napełnił sobie pusty kieliszek.

- Niestety, Staddon, znowu pan jest w błędzie. Mam zupełnie wyraźne wspomnienie z wczesnej młodości. Opowiedziałem Rodrigowi, jak widziałem pana i Consuelę w okolicznościach zgoła niedwuznacznych nawet dla takiego niedoświadczonego chłopczyny jak ja wtedy.

- Jakie masz wspomnienia?

- Czy na pewno pan chce wiedzieć? Sprawa dosyć zenująca. - Spróbowałem przywoździć go wzrokiem.

- Tylko powiedz mi to, co powiedziałeś Rodrigowi.

- Dobra. Skoro pan chce. - Uśmiechnął się do mnie bezczelnie.

- No więc, jest lipiec tysiąc dziewięćset jedenastego roku. Pamięta pan ten okropny mecz krykieta w Mordiford? Nudziarstwo dla mnie od początku do końca. Z tym, że odszedłem przed końcem. Odszedłem po drugim śniadaniu, kiedy oni tam jeszcze fuszerowali, żeby stryj Victor wygrał. Pan także zniknął, nie miałem pojęcia, gdzie. Nie próbowałem pana śledzić, chociaż może bym śledził, gdybym miał bodaj cień przecucia, co zobaczę. Edukacja bez wkuwania dla takie go młodego ogierka jak ja. No, ale do rzeczy. Powlokłem się przez sad Spod Obłoków i w połowie pergoli usiadłem na ławce, żeby od zacząć. Pan dużo takich ławek z kutego żelaza porozstawiał tam wszędzie. Więc siedziałem sobie, patrzyłem w niebo i liczyłem pierzaste obłoki, patrzyłem na tyły domu i raptem firanka się poruszyła w otwartym oknie na pierwszym piętrze. I zobaczyłem coś, od czego bym nie ode-rwał wzroku nawet za wszystkie zapasy czekolady z hurtowni Bournville. Consuela stała w oknie nagusienka, jak ją Pan Bóg stworzył. Nie wiedziałem, co myśleć, poza tym, że takich śliczności w życiu swoim przedtem nie widziałem. Nie potrzebuję przecież opisywać jej panu. Kiedy patrzyłem, pan stanął przy niej w tym oknie, nagi jak ona. Pocałował ją pan i objął. Wtedy już zdrętwiałem. Własnym oczom nie wierzyłem, więc tym bardziej wyłączyły mi z głowy. Pan przecież wie, co widziałem, prawda? Pan wie, co dalej się działo.

Powrócił tamten dzień z głębin mojej pamięci. Upał, namiętność, oszustwo, wszystkie te elementy objawiły się ostro, składając na niezmienną całość. Tak, ja wiedziałem, co się działo dalej. To było wypalone na moim sumieniu; zdeptałem radość tamtej chwili, pozostał potem tylko ból.

„Chcesz mnie znowu?”

„Chcę ciebie zawsze.”

„Więc będziesz mnie miał. Zawsze.”

Gorzej bym postąpić nie mógł, samolubny do ostatecznych granic, pętał bez honoru. A jednak to ostatnie, najmniej pożądane odkrycie zrobiło swoje. Spencer nas widział. Podglądał nas, chciwie patrzył, jak się pieścimy, ślinił się z uciechy, gdyśmy nieświadomie dawali mu przedstawienie. I teraz po latach zmienił to, co było tylko niewybaczalne, w coś beznadziejnie brudnego.

- Rodrigo słuchał wstrząśnięty, kiedy mu opowiadałem. Nas to chyba nie dziwi. Wiadomo, jacy są ci latynoscycy samce. Zaliczają każdą dziwkę, jaka się nawinie, ale wymagają, żeby ich siostry żyły jak zakonnice. Wie pan, ja sam doznałem wtedy wstrząsu. Byłem przedwcześnie rozwinięty, ale nie aż tak. Rzeczywiście mi to wtedy otworzyło oczy. Teraz nie wydaje mi się to takie nadzwyczajne, bo gdybym wtedy był w pana wieku, też bym nie trzymał rąk daleko od niej. Kobiętka palce lizać, ho, ho, ta nasza Consuela. Nieraz w ostatnich latach, muszę przyznać, korciło mnie, żeby dać jej trochę...

- Dostyc powiedziałeś. - W barze zaległa cisza, przerywana tylko irytującym kaszlem. Zniżyłem głos. - Wyłożyłeś to wszystko zupełnie jasno i nie wątpię, że z przyjemnością. Masz się za spryciarza, co? Kiedy tak wtrącasz się w cudze sprawy, sączysz ludziom do głów kropelki trucizny?

- Trucizny, Staddon? Niefortunna metafora, śmiem zauważyć.

- Nasłuchałem się od ciebie tyle, ile mogę znieść. Teraz wynoś się stąd, dobrze?

- Ale ja jeszcze nie skończyłem szampana. - Wziął butelkę, zaczął sobie znów napełniać kieliszek. Chwycił go za nadgarstek tak raptownie i mocno, że szampan się rozlał, a on tylko wykrzyknął:

- Wolnego!

Drugą ręką wyrwałem mu z ust cygaro i wrzuciłem do kieliszka. Z cichym syknieniem zgasło. Zagapił się na mnie zdumiony, z rozdzielonymi ustami.

- Co, do diabła!

- Nic, do diabła. Jeżeli zaraz nie wyjdiesz, nie odpowiadam za siebie.

Jeszcze przez chwilę się pogapił, po czym potrząsnął głową jak gdyby z politowaniem, strzepnął z marynarki krople szampana i wstał.

- No, jeżeli pan bierze taki kurs...

- Taki biorę.

- Może przyjdzie dzień, Staddon, kiedy pan pożałuje, że zrobił sobie ze mnie wroga.

- Wątpię.

- Chce pan wątpić, niech pan wątpi. Na razie, dobranoc.

Powoli, wygodnie rozparłem się na krześle. Ogień we mnie już tylko się tlił. Siedziałem przez chwilę z oczami zamkniętymi tak, jakbym czekał, by zatarła się plama, którą zostawiły słowa Spencera. Ale gdy otworzyłem oczy, było tuż przy mnie wiele śladów jego obecności - brudna szklanka i kieliszek, na pół pusta butelka, kałuża rozlanego szampana, pływający niedopałek, dym w powietrzu. Nieomal go widziałem jeszcze rozgadanego, ten jego złośliwy uśmiech, ten zapach, z jakim wywlekał swoje wiadomości i domysły o mnie. Spora ilość jadu z rodzinnego zbiornika Caswellów przeniknęła w niegodziwy mózdek Spencera i oto rezultat. Jemu jest zupełnie obojętne, kogo krzywdzi i dlaczego; czy Consuela zostanie powieszona, czy uniewinniona, czy jego siostra umarła, czy żyje - my wszyscy dla niego to nieporadni aktorzy na byle jak oświetlonej scenie. My się borykamy grając nasze role, a on w fotelu na parterze śmieje się, dopóki nie zapadnie w pijacki sen.

Hermione mi powiedziała, że zebrania zarządu Caswell i Spółka zawsze zaczynają się o wpół do trzeciej i nigdy nie trwają krócej niż godzinę. Więc o godzinie wpół do czwartej nazajutrz przeszedłem przez podwórze wytwórni jabłecznika i wkroczyłem do biura.

Sekretarka Mortimera, panna Palmer, którą pamiętałem z mojej poprzedniej wizyty, była młoda i ładna, chociaż ciężkie okulary w rogowej oprawie nadawały jej wyraz surowej powagi. Spojrzała zniecierpliwiona znad maszyny do pisania, gdy wszedłem, i zapytała:

- Czym mogę panu służyć? - Najwidoczniej nie poznała mnie.

- Chcę się zobaczyć z Victorem Caswellem.

- Och. Niestety jest teraz na zebraniu, proszę pana. - Ruchem głowy wskazała zamknięte drzwi na drugim końcu sekretariatu.

- Wiem. Poczekam, jeżeli można.

- Och, proszę bardzo.

Usiadłem na jedynym wolnym krześle. Panna Palmer znów zaczęła stukać na maszynie. Poprzez ten stukot słyszałem szmer głosów dolatujący z sali konferencyjnej, ale kto mówił i co, nie mogłem dosłyszeć. Minęło dziesięć minut. Panna Palmer chrząknęła i zapytała:

- Czy na pewno pan chce czekać?
- Tak, dziękuję.
- Nie wiadomo, kiedy to zebranie się skończy.
- Ja poczekam.
- Och, proszę bardzo.

Stukot maszyny usypiał. Dochodziła czwarta. Panna Palmer powstrzymała ziewnięcie i miałem wrażenie, że gdyby mnie nie było, zrobiłaby sobie przerwę na papierosa. Po chwili odeszła od maszyny i zaczęła sortować korespondencję w szufladach szafki przy drzwiach sali konferencyjnej. Stłumione głosy nadal dolatywały zza tych drzwi, nic nie świadczyło, że zebranie się kończy.

Trzaskając szufladami szafki, panna Palmer nie usłyszała, że drzwi od strony korytarza się otwierają. Wszedł cicho Spencer Caswell i uśmiechnął się na widok ponętnych tylnych krągłości dziewczyny schylonej nad najniższą szufladą szafki. Nie zauważył mnie, ruszył ku niej ukradkiem z ręką już wyciągniętą, żeby ją po tych krągłościach klepnąć. Zakaszlałem. Odwrócił się zaskoczony.

- Staddon! - wykrzyknął. - Co pan tu, do licha, robi?

Przyjemnie mi było zobaczyć go raz wyjątkowo zbitego z tropu.

Panna Palmer wyprostowała się i odwróciła. Widząc, że on stoi tuż za nią, wzdrygnęła się, twarz jej poczerwieniała.

- Przyszedłem do Victora.

- Do stryja Victora? - Przyglądał włosy, opieszale przeszedł przez pokój i oparł się o biurko. Już odzyskiwał kontenans. - No, no. Dla niego to większa niespodzianka niż dla mnie.

- Możliwe.

- Pewnie pan się nie dostał za bramę Spod Obłoków i dlatego ze chce go pan złapać tutaj. Dlatego, prawda? Tylko pytanie, skąd pan wiedział, że jest zebranie zarządu? Ale właściwie po co ja pytam? To przecież ten strumyk pluskający, moja ciocia.

- Nie przyszedłem tu na pogawędkę z tobą - powiedziałem spokojnie. - I szczerze mówiąc wolę nie gawędzić.

- Woli pan naprawdę? No, nie możemy mieć wszystkiego, co...

Drzwi sali konferencyjnej się otworzyły. Spencer odskoczył od biurka i zgasił swój sarkastyczny uśmiech. Ja wstałem z krzesła i odwróciłem się do Mortimera Caswella, stojącego w drzwiach i patrzącego podejrzliwie na syna. Wydawało się, że Mortimer chce coś powiedzieć i - sądząc z wyrazu jego twarzy - ostro skarcić Spencera. Ale zobaczył mnie.

- Pan Staddon! Co pana tu sprowadza?

- Pana brat. Czy jest tutaj?

- Victor? No, jest, ale...

Protestował bez skutku. Już przepchnąłem się obok niego w drzwiach i wszedłem do sali konferencyjnej. Przy drugim końcu bardzo długiego stołu jeszcze siedzieli albo już stali członkowie zarządu. Zamykając teczki, gasząc papierosy, śmiali się i rozmawiali. Cztery spośród tych ośmiu osób były mi znane: Hermione uśmiechająca się lekko w moją stronę. Grenville Peto, który dawniej nie zasiadał w zarządzie Caswell i Spółka, ale nie miałem czasu zastanowić się nad faktem jego obecności; Arthur Quarton, radca prawny rodziny i najwidoczniej firmy, oraz Victor.

Ucichli wszyscy, nawet czterej nieznajomi, i w tej ciszy jeżyła się wrogość. Stary George Caswell patrzył z portretu na przeciwległej ścianie i chyba krzywił usta. Po chwili Victor z trzaskiem zamknął swoją walizeczkę. Trzymając ją przed sobą, powoli ruszył ku mnie.

Marszczył brwi. Wyczułem, że tak samo jak ja z trudem stara się uszeregować myśli i słowa. Zeszczupłał i trochę bardziej osiwiiał od czasu, gdy ostatnio go widziałem. Czoło miał wydatniejsze i nieco się garbił, jak gdyby pod ciężarem niezliczonych trosk. Nawet bym mu współczuł, zanadto jednak byłem pewny jego winy w niejednej sprawie.

- Przepraszam, że tak wtargnąłem - zwróciłem się zarówno do niego, jak do wszystkich obecnych. - Ale pan nie chciał mnie przyjąć w domu Spod Obłoków, więc raczej nie pozostawało mi nic innego.

Victor zatrzymał się przy rogu stołu. Patrzył na mnie i twarz mu drgała, tyle kłębiło się w nim różnych uczuć. Gniew, oczywiście, i zdumienie wobec mojej bezczelności. I zakłopotanie, niepewność, jak zareagować, gdy jest tylu świadków. I głęboko przyczajony lęk. Ujrzałem przebłysk tego lęku, zanim on zebrał siły.

- Czego pan chce? - szepnął.

- Prawdy. Częściowo już ją znam. Wiem, jak pan zmusił Lizzie Thaxter, żeby była pana szpiclem, i doprowadził pan ją do samobójstwa. Jak pan przekupił Ashleya Thorntona, żeby zaangażował mnie do budowy hotelu Thornton. To wszystko już wiem. Teraz chcę wiedzieć resztę.

- To absurd.

- Pan temu zaprzecza?

- Zaprzeczam wszystkiemu.

- Może pan jednak wszystko potwierdzi, kiedy pokażę panu to. - Wyjąłem z kieszeni kopertę z listem Lizzie Thaxter, machnąłem mu przed nosem. - Lizzie napisała do brata w więzieniu na kilka godzin przed samobójczą śmiercią. Ten list jest dowodem, że pan ją zmusił do szpiegowania i że dlatego nienawidziła pana, wolała się zabić niż dalej tak żyć.

- Nieprawdopodobne. - Sięgnął po kopertę, ale ja szybko włożyłem ją z powrotem do kieszeni. Cofnął się o krok i rozejrzał po obecnych, jak gdyby apelując o poparcie. - Ten list jest po prostu fałszerstwem.

- Nie.

Znów popatrzył na mnie. Wydawało się, że nagle nabrał pewności siebie.

- Właściwie co miała Lizzie Thaxter szpiegować dla mnie?

- Pańską żonę.

- Rzeczywiście? Dlaczego?

- Chce pan, żebym to wyraźnie powiedział?

- Będzie pan musiał, bo nie mam pojęcia, o czym pan mówi. ,

- Pan się bał, że ona od pana odejdzie. Do mnie. I bał się pan słusznie.

- Dziwne więc, że nie odeszła.

- Tylko zlecenie Thorntona sprawiło, że nie zabrałem jej panu. Zlecenie, o które pan się postarał.

- O nic się nie postarałem. I nie ma pan ani strzępka dowodów na to, co pan mówi. - Spojrzał poza mnie na Mortimera. - To już się posunęło za daleko.

W końcu Mortimer stanął między nami.

- Panie Staddon, muszę pana prosić, niech pan natychmiast stąd wyjdzie. Nie jest pan tu mile widziany.

- Jeszcze nie skończyłem.

- Nie chce pan wyjść?

- Nie chcę, żeby pański brat uchylał się od odpowiedzi na moje pytania.

- Więc nie mam wyboru. Panno Palmer! Proszę natychmiast wezwać policję. Powiedzieć im, że trzeba usunąć intruza.

Spojrzałem na Victora. Już nie był blady, już zaczynał uśmiechać się szyderczo. Potem spojrzałem na innych. Wszyscy, czy to zaintrygowani, czy to oburzeni, marszczyli brwi złowrogo. Nawet Hermione wydawała się zaskoczona moją nieostrością. Czulem, jak odw

i pewność siebie mnie opuszczają, jak raptem braknie mi inicjatywy.

- Poproszę z komisariatem policji - usłyszałem głos telefonującej panny Palmer. - Tak. To pilne.

Wiedziałem, że jeszcze chwila i okazja będzie stracona.

- Zaraz! - wykrzyknąłem do grupy przy drugim końcu stołu. - Pannie Peto. Chcę pana o coś zapytać.

Grenville Peto i ja nigdy się nie lubiliśmy. Pamiętałem go z czasów kradzieży w jego papierni - skwaszony, niechętny ludziom, pompacyjny - i po latach wcale się nie zmienił. Niski, korpulentny, istna beczka tłuszczu, okrągłolicy, rumiany, z fałdą opasłego karku nad kołnierzykiem, groźnie podniósł na mnie rybie oczy. Był pełen takiej próżności i takiej buty, jakie rozwija tylko władza w małym mieście.

- Victor twierdzi, że jak wszyscy inni nie wiedział zawczasu o wizycie bratowej i bratanicy w porze podwieczorku wtedy dziewiątego września. Czy mówi prawdę, panie Peto?

- Ja... dlaczego...

- Pan do niego wtedy telefonował i stąd on mógł wiedzieć, że one przyjdą, więc będzie miał niewinne ofiary, których wymagał jego plan.

- Ja nie telefonowałem!

- Owszem, telefonował pan. Dlaczego pan ten fakt zataił?

- Czysty obłąd - wtrącił się Victor. - Staddon, to obłądne oskarżenie.

- Pan je odrzuca?

- W całej rozciągłości. - Victor spojrział na brata, jak gdyby chciał go co do tej kwestii uspokoić. - Nie odebrałem takiego telefonu Grenville'a ani nikogo innego.

- Pan kłamie! Mogę to udowodnić. - Odwróciłem się do drzwi, żeby wezwać Spencera, mojego świadka oskarżenia. Ale nigdzie nie było go widać. Zobaczyłem tylko pannę Palmer, która właśnie położyła słuchawkę na widelki i podeszła do Mortimera.

- Będą za parę minut, proszę pana.

- Dziękuję, panno Palmer. Proszę zejść na podwórze i skierować ich tutaj.

Gdy panna Palmer wybiegła, wszystkie głowy się odwróciły, wszyscy wpatrywali się we mnie. A ja już wiedziałem: Spencer wyparłby się każdego słowa, które mi powiedział. I z całą pewnością zaprzeczyłby, że mówił o tym telefonie. I co najgorsze, w żadnym razie jego świadectwo by się nie liczyło. Wszyscy tutaj - z wyjątkiem Hermione

- poprą Victora, czy wierzą mu, czy nie wierzą. Są w mackach jego władzy i wpływu, tak jak ja byłem kiedyś. I teraz, chociaż wolny od opłatów tych macek, znalazłem się w jeszcze okropniejszych sidłach, jakimi jest poczucie własnej bezsilności. Sięgnąłem do kieszeni po list Lizzie Thaxter, ale się zawahałem. Jeżeli nie można go przedłożyć w sądzie, bo zaszkodziłby reputacji Consueli, nie można też przedłożyć go tym ludziom. Ręka mi opadła i tylko wodziłem wzrokiem po ich twarzach hardych, nieustępliwych. Nic nie świadczyło, że złagodnieją. Peto patrzył na mnie spode łba. Ci którzy stali przy nim marszczyli brwi. Wharton odwrócił wzrok. Hermione dotknęła mojego ramienia.

- Jeżeli pan teraz wyjdzie - powiedziała cicho - uniknie się sporo nieprzyjemności. - Spojrzałem na nią. - I może sporo szkody.

To, co miała na myśli, było zarówno jasne, jak niezaprzecalne. Źle od samego początku zagrałem z Victorem. Powinienem był poczekać, aż będzie sam. Powinienem był pamiętać, że obecność świadków wzmocni go, a nie osłabi. I przede wszystkim powinienem zdawać sobie sprawę, że nie wystarczy wiedzieć, co zrobił. Przecież trzeba to udowodnić ponad wszelką wątpliwość. A ja udowodnić nie mogę.

- Nikomu pan nie pomoże czekaniem, żeby pana aresztowano - powiedziała Hermione.

Przytaknąłem. Mortimer już stał przy oknie i wyczekująco patrzył na podwórze. Przegrałem, wszyscy w tej sali o tym wiedzieli. Gdybym został, tylko bym swoje upokorzenie przypieczętował głupotą. Zaciśkając pięści, nie patrząc na nikogo, wyszedłem.

Kilka godzin minęło, zanim wróciłem do hotelu. Wypełniłem ten czas łażeniem bez celu po ciemnych zimowych ulicach Hereford z nadzieją, że palącą świadomość własnej głupoty uśmierzę fizycznym wyczerpaniem. Ale Pod Zielonym Smokiem czekało mnie jeszcze jedno przypomnienie, jaki byłem głupi. Portier z taką powagą, na jaką mógł się zdobyć, powiedział mi, że ze względu na natłok rezerwacji dyrekcja hotelu musi mnie poprosić, żebym zwolnił swój pokój nazajutrz rano. Nie spierałem się. Czy spowodowali to Caswellowie, czy policja, wydawało się raczej nieistotne. Raz wyjątkowo ich chęci zbiegły się z moimi.

Nazajutrz wstałem wcześniej i zaraz po śniadaniu uregulowałem rachunek. Ku mojemu zdumieniu, portier wręczył mi list przyniesiony

dla mnie późnym wieczorem. Ku mojemu jeszcze większemu zdumieniu była to kartka od Arthura Quartona, prośba, żebym przed wyjazdem z Hereford odwiedził go w jego kancelarii na ulicy Zamkowej „celem omówienia bardzo ważnej sprawy”. Przez chwilę chciałem zignorować to wezwanie, od razu wyjechać z powrotem do Londynu i zapomnieć o całej ich zgrai. Ale tylko przez chwilę.

Quarton, Marjoribanks i S-ka zajmowali osiemnastowieczny budynek, którego wytworność akurat licowała z tą najszacowniejszą i najstarszą kancelarią radców prawnych w Hereford. Wygodna poczekalnia, porządny ogród za oknami i dalej przyjemny widok na wieżę katedralną bardzo były dalekie od niepewnej, z dnia na dzień egzystencji Windrusha.

Quarton nie kazał mi długo czekać. Sam wprowadził mnie do sąsiadującego z poczekalnią gabinetu, dużego, ale dziwnie przytulnego pokoju pełnego zbyt dużych mebli i stert aktówek. Drzwi i podłoga skrzypiały, skórzane oparcia syczały w zetknięciu z plecami; ogień śpiewał jak czajnik z wrzątkiem i do tej orkiestry błahych odgłosów Quarton dołączył swoje posapywanie. Przysadkowaty, łysy, w okularach, w workowatym garniturze z tweedu, uśmiechał się z dziwnym zadowoleniem. Rzeczywiście promieniał za biurkiem. W innych okolicznościach natychmiast poczułbym się u niego dobrze.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Quarton? Jeżeli to dotyczy wczorajszej sprzeczki...

- Dotyczy, panie Staddon, chociaż może nie tak, jak pan sobie wyobraża.

- Pod Zielonym Smokiem nagle odkryto, że nie można mnie dłużej gościć. Mam za to podziękować Victorowi?

- Tak. Myślę, że tak. - I gdy wobec takiego braku obłudy chwilowo zaniemówiłem, Quarton ciągnął: - Zaprosiłem tu pana ze względu na pana Caswella, ale nie za jego wiedzą. Z mojej własnej inicjatywy, że tak powiem.

- W jakim celu?

- Pan wczoraj pokazał panu Caswellowi pewien list, który, jak pan powiedział, napisała Lizzie Thaxter do brata w więzieniu na krótko przed popełnieniem samobójstwa.

- Tak było.

- Czy wolno mi ten list zobaczyć?

- Proszę. - Wyjąłem list z kieszeni i położyłem na biurku tak, żeby

widać było nazwisko, adres i znaczek. Rękę trzymałem na kopercie w obawie przed jakąś sztuczką. Ale Quarton tylko pochylił się i spojrzął znad okularów.

- Tak myślałem - mruknął po chwili. - Sfałszowany.

- Jak pan może to poznać?

- Zupełnie po prostu. Mam identyczny. - Otworzył szufladę biurka, coś wyciągnął i położył przede mną. Był to list adresowany tym samym piśmem, koperta taka sama, tej samej wielkości i nawet taki sam atrament.

Wielmożny pan P. A. Thaxter,

Więzienie Jego Królewskiej Mości, Gloucester. I stempel też taki: „Herefordshire, 19 lipca 1911 r.”.

Trzęsącymi się palcami wyjąłem ten drugi list z koperty i rozłożyłem.

Mój najdroższy bracie,

Przykro mi ale nie przyjadę do Ciebie jutro, chociaż obiecałam.

Myślę i myślę... - słowa Lizzie, pismo Lizzie teraz leżały przede mną w podwójnym wydaniu. Podniosłem wzrok na Quartona.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że obaj kupiliśmy coś, co wbrew twierdzeniu sprzedawcy nie jest oryginałem. Pan kupił swój egzemplarz od pana Thomasa Malahide'a?

- Tak.

- Chyba jednak nie powinniśmy się zdumiewać. Lampart nie może zmienić swoich cętek. Malahide prawdopodobnie popełnia przestępstwa instynktownie.

- Jak... kiedy pan to kupił?

- Przyjechał tu przed Bożym Narodzeniem. Powiedział mi to, co niewątpliwie powiedział też panu, że Peter Thaxter powierzył mu ostatni list swojej siostry i że on o tym liście nie pamiętał, dopóki nie przeczytał w gazetach o procesie pani Caswell, i że teraz chyba wolimy taki list kupić niż dopuścić, żeby się dostał do prasy. Pan pewnie się zląkł, że ten list może zaszkodzić reputacji pani Caswell, ja się zląkłem, że może w szczególnym świetle ukazać pana Caswella. Tak jak pan skapitulowałem. List... i pokaźna suma pieniędzy przeszły z rąk do rąk. Malahide wyjechał zadowolony z udanego dnia pracy.

- Od dawna pan wie, że to fałszykat?

- Odkąd dałem to do zbadania ekspertowi. Zwrócił mi uwagę na

coś, co powinienem był sam zauważyć. Znaczek, panie Staddon. Niech pan popatrzy na znaczek.

Przyjrzałem się i nie zobaczyłem nic niezwykłego. Quarton na moje zmarszczenie brwi odpowiedział uśmiechem.

- Za przywilej wysłania listu nie zawsze płaciliśmy półtora pensa, prawda?

Pojałem.

- Boże - wyszeptalem. - Nie zawsze. Ta sławetna pomyłka w oznaczeniu wartości nominalnej znaczków.

- No właśnie. Znaczek kosztowałby Lizzie Thaxter tylko pensa... gdyby list był autentyczny, wysłany w tamtym czasie.

- Co pan z tym zrobił?

- Nic. Nie mam sposobu, żeby wytropić Malahide'a. Zastanawiam się, oczywiście, czy treść jest autentyczna... to znaczy czy on zrobił odpisy prawdziwego listu do sprzedania kilku osobom, czy też po prostu sam wykombinował treść na podstawie informacji, jakie miał od Petera Thaxtera. Reasumując, przypuszczam, że skopiował. Te sformułowania są za bardzo w stylu wiejskiej dziewczyny, żeby mógł je sam ułożyć. Ale pismo jest zdecydowanie kobiece, więc musiał mieć jakąś współpracownicę. Możliwe też, że owa współpracownica, dość inteligentna i z wyobraźnią, to wykoncypowała. Wątpię, czy kiedykolwiek będziemy wiedzieli. On nas oszukał... i może nie tylko nas, więc nie sprzedaje tego listu prasie, bo nie będzie chciał nam ułatwiać natrafienia na jego trop. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Malahide nabił mnie w butelkę. Raczej nic zaskakującego. Znamienna była jego uporczywość po tym, jak nie doszło do skutku pierwsze wyznaczone spotkanie. Niewątpliwie gratulował sobie sprytu. Niewątpliwie pił za zdrowie Quartona i moje - i wszystkich innych, którzy dali się nabrać - i radował się, że zrobił z nas głupców. Jeśli tak, to przedwczesna radość.

- Dlaczego pan się uśmiecha, panie Staddon?

- Dlatego, że pan się myli, panie Quarton.

- Co do czego?

- Co do tego, że nie sposób wytropić Malahide'a. Bo ja wiem, gdzie on jest.

Przyjechałem do Londynu w tamto popołudnie za późno, żeby rozpocząć poszukiwania. Zamierzałem nazajutrz rano dowiedzieć się adresu Malahide'a u Croada, przedsiębiorcy budowlanego, który, jak

wiedziałem od Gilesa, ostatnio go zatrudniał. A więc długo Malahide nie będzie mi się wymykał. Dobrze, że bodaj z takim rezultatem wróciłem z Hereford na Suffolk Terrace - chociaż przed wyjazdem spodziewałem się rezultatów bardziej konkretnych.

Zaparkowałem auto na ulicy, wziąłem z bagażnika torbę i wolno ruszyłem do domu, szukając w kieszeni klucza tak jak zwykle, więc tym bardziej niespodziewany i niezwykle był ciąg dalszy, o wiele gorszy niż najostrejsze ofuknięcie. Zmierzch gęstniał. Latarnie już się paliły. Sąsiadka szła od swoich drzwi frontowych z psem na smyczy. Ta ulica i budynek, do którego się zbliżałem, od dziesięciu lat były moim domem. Ale to miało się skończyć.

Wszedłem po trzech schodkach. Wsunąłem klucz w zamek. Klucz utkwił w połowie. Spróbowałem znów z takim samym rezultatem. Obejrzałem klucz. Tak, to przecież ten. Tylko że zamek był nie ten. Zobaczyłem z bliska, że jest zupełnie nowy, założony pośpiesznie, sądząc z odprysków farby na drewnie.

Moją pierwszą reakcją było niedowierzanie. To nie może oznaczać tego, co przypuszczam. Daremnie spróbowałem znów otworzyć swoim kluczem, a potem zapatrzyłem się w drzwi, jak gdyby mogła je otworzyć sama siła woli. I wreszcie nacisnąłem dzwonek. Nic. Nacisnąłem jeszcze raz i cofnąłem się, żeby popatrzeć na okna. Siatkowa firanka w wykuszu salonu nagle opadła. Przed chwilą z pewnością ją uchylono, żeby sprawdzić, kto dzwoni do drzwi. Teraz, kiedy wiadomo, że to ja, chyba mi otworzą.

Ale drzwi nadal były zamknięte. Klnąc zacząłem dobijać się kołatką - wiernym, starym mosiężnym delfinem, tak dobrze mi znanym. Potem nasłuchiwałem. Aż w końcu usłyszałem kroki, chyba Nory. Cofnąłem się od drzwi, jeszcze nie wiedząc, co jej powiem, gdy mi otworzy.

Ale nie otworzyła. Tylko poruszyła się kłapa skrzynki na listy i wypchnięta z wewnątrz wypadła na próg podłużna, wąska, ciemnożółta koperta. Odruchowo ją podniosłem, obróciłem w rękę. Przeczytałem wypisane dużymi literami na maszynie: „W. Pan Geoffrey Staddon”. Adresu nie było.

Potyając się, rozrywając kopertę po drodze, przeszedłem w światło najbliższej ulicznej latarni. Wyjąłem z koperty pismo. Nagłówek: „Martindale, Clutton i Fyffe” rozpoznałem natychmiast. Radcy prawni sir Ashleya.

*Martindale, Clutton i Fyffe
Partidge Place 5-7
High Holborn
Szanowny Panie Staddon,*

Nasza klientka, Pani Staddon, poleciła nam zawiadomić Pana, że wnosi przeciwko Panu sprawę o rozwód na podstawie fizycznego okrucieństwa. Do czasu przesłuchania w w. w. sprawie prosi, żeby Pan opuścił nieruchomość, Suffolk Terrace 27, Kensington, której to nieruchomości, jak Panu wiadomo, jest ona wyłącznym dzierżawcą. Jeżeli Pan zechce zabrać coś ze swoich rzeczy obecnie znajdujących się tamże, proszę się skontaktować z naszą kancelarią w celu uzgodnienia daty i godziny, kiedy będą mogły być zabrane przez osobę postronną.

Bylibyśmy zobowiązani, gdyby Pan w najbliższym dogodnym Panu czasie podał nam nazwisko adwokata, który będzie reprezentował Pańskie interesy w w. w. sprawie.

*Z poważaniem
H. Dodson*

p.p. G.F. Martindale (starszy wspólnik)

Wepchnąłem list do kieszeni, odwróciłem się powoli i popatrzyłem na dom. Żadna firanka się nie zachwiała. Nic się tam nie poruszało, nie przesunęło. Zimna czarna ciemność była jedynym powitaniem domowym, jakie Angela zechciała mi zgotować. Ciemność i pismo z kancelarii Martindale, Clutton i Fyffe, podpisane przez aplikanta pod nieobecność starszego wspólnika. *Per procurationem*. Akurat stosownie, skoro odtąd Angela i ja mieliśmy się spotykać tylko przy świadkach, porozumiewać za pośrednictwem, odzywać się do siebie urzędowymi pismami.

Pomyślałem, że wiele miesięcy zajmie tym prawnikom doprowadzenie naszej smutnej małej sprawy do tego, co nazwą zadowolającym zakończeniem, i że nie będę im ani pomagał, ani przeszkadzał. Prędko Angela zrobiła poważny krok. No, ale już zrobiła. Nie miałem zamiaru się sprzeciwić.

Jak koniec, to koniec. Pożegnałem się z Angelą tam, na cichej pustej ulicy, gdy noc jak czarna chmura nasuwała się na dachy domów. Ponuro pożegnałem się ze wszystkim, czym kiedykolwiek byliśmy dla siebie, a także ze wszystkim, czym być dla siebie może byśmy mogli. Potem wsiadłem do auta i odjechałem.

XIII

Nieraz się zastanawiam, dlaczego Imry Renshaw jest tak oddanym moim przyjacielem. Ja tylko przy niewielu cennych okazjach przyjechałem mu z pomocą, a on pomagał mi o wiele częściej, niż kiedykolwiek na to zasługiwałem. Pomógł mi też tamtej nocy, gdy zostałem wygnany z Suffolk Terrace, i niejednej nocy później. Bez jego krzepiących rad i bezgranicznej wielkoduszności doprawdy nie wiadomo, co bym zrobił. Pod jego zbawiennym wpływem natomiast trzymałem się zdrowej i rozsądnej linii postępowania.

Spałem w jego domu - spałem przynajmniej przez tych parę godzin ciemności, jakie zostały, gdy już zrzuciłem ciężar z serca przy jego kominku. Rano pojechał ze mną do Londynu. Ofiarował się załatwić z kancelarią Martindale, Clutton i Fyffe sprawę odbioru moich rzeczy i pochodzić po agencjach, żeby znaleźć dla mnie garsonierę. Mieliśmy się spotkać wieczorem w jego klubie.

Postępek Angeli tylko mnie zmobilizował do wytropienia Malahide'a. To poszukiwanie odsunęło na razie wszystkie myśli o pełnej jadu procedurze rozwodu. Doprawdy byłem rad, że mogę o niej zapomnieć - rad z pretekstu, jakim stał się Malahide, i ze swojej spokojnej ufności, że bodaj z jednym kłamstwem, jego oszustwem mogę się rozprawić. Wstąpiłem na Frederick Place, sprawdziłem skąpą informację Gilesa i wyruszyłem do Woolwich.

Robotnicy Croada włączali jakiś nieszczęsny dom mieszkalny w teren w pobliżu Doków Woolwich. Na szczęście, majster znał moje nazwisko i był usłużny. Malahide pracował tam do soboty przed Bożym Narodzeniem. Potem już się nie pokazał. Sprawny robotnik, ale nieodpowiedzialny, jak tego dowiodło jego odejście bez choćby jednodniowego uprzedzenia. Moja prośba o adres Malahide'a wywołała ogólne rozbawienie. Podsunięto mi, że to może być każda knajpa

pomiędzy Woolwich i Wapping. Kilku jednak z jego ekskolegów robotników wiedziało, że jego zięć, Charlie Ryan, jest posługaczem w szpitalu Deptford. To już było coś. Miałem nadzieję, że ów Ryan, odpowiednio potraktowany, powie mi więcej.

Odszukałem Ryana w wilgotnym kącie szpitalnej pralni. Chudy, smętny, o ziemistej cerze, równie wymowny, jak niesympatyczny, potrzebował tylko papierosa i cierpliwego słuchacza, żeby się rozgadać na temat swego teścia, którego wyraźnie nie cierpiał. W wielkim skrócie: jego nie obchodzą częste przeprowadzki starego, ale Alice, jego żonę, obchodzą nawet bardzo, niestety, więc ona wie, gdzie stary mieszka. Można ją zastać w domu po południu, bardzo proszę, niech pan jej powie, że pana najście to jeszcze jeden dowód, że jej tata, jak łatwo było przewidzieć, nie wrócił na prostą drogę.

Ryanowie mieszkali w jednym z jednakowych nędznych domków z żółtej cegły w pobliżu Old Kent Road. Uliczka była ślepa, zamknięta na drugim końcu ogromnym szarym murem gazowni. Ostry posmak gazu w powietrzu łączył się z odorami zatłoczonych ścieków i rynszto-ków przepelnionych odpadkami. Drzwi Ryanów - otwarte - ukazywały goły przedpokój wyłożony linoleum. W głębi domu płakało dziecko. Zastukałem i zawołałem:

- Halo!

- Tu jestem! - usłyszałem odpowiedź.

Po chwili znalazłem się w niskiej kuchni, gdzie było chyba jeszcze zimniej niż na ulicy i gdzie młoda kobieta w zaawansowanej ciąży wyżywała pranie nad zlewem. Za nią na wysokim krzeselku siedział zaryczany dzieciak. Ucichł natychmiast, gdy wszedłem, i zagapił się na mnie niepewnie.

- Pani Ryan?

Kobieta odwracając się do mnie, drgnęła zdumiona. Co najwyżej dwudziestopięcioletnia, ale wskutek biedy i harówki już z twarzą pomarszczoną i rękami posiekanymi, smutna kobiecina, na pewno godna lepszego życia. Iskierki inteligencji tliły się w jej oczach. Jakiś cień dumy dawał się zauważyć w jej zachowaniu. Wydawało się, że niedoła ją obciąża, jeszcze jednak niezupełnie przygniała.

- A pan to kto? - zapytała podejrzliwie. - Myślałam, że inkasent, tak pan zastukał.

- Szukam pani ojca. Toma Malahide'a.

- Tutaj go nie ma.
- Wiem. Mam nadzieję, że pani mi powie, gdzie mógłbym go znaleźć.

- Pan mówił, że jak pan się nazywa?

- Nie mówiłem. Jestem... znajomym pani ojca. Mam do niego interes.

- Ach, tak? Gdyby tata chciał zrobić interes z panem, to by panu sam powiedział, gdzie jest, prawda?

- Istotnie. Tylko że straciliśmy kontakt. - Nie wytrzymując jej wyzywającego wzroku rozejrzałem się po prawie pustych półkach i odklejającej się tapecie. - Jednak powiedział mi o pani. Dlatego... - nagle zobaczyłem kartkę na gwoździu wbitym w krawędź najbliższej półki. Spis zakupów: chleb, herbata, mąka, masło, świece. Ale charakter pisma był mi znany. Do wczoraj myślałem, że tak pisała Lizzie Thaxter. Przypomniały mi się słowa Quartona: „To pismo jest zdecydowanie kobiece, więc musiał mieć jakąś współpracowniczkę”. Wyciągnąłem rękę, zerwałem kartkę z gwoździa, żeby zobaczyć z bliska. Nie ulegało wątpliwości.

- No! Co pan sobie myśli?

Odwróciłem się do niej. Podstęp już nie miał celu. Przynajmniej to było jasne.

- Zabawa się skończyła, pani Ryan. Jestem jednym z tych, którzy kupili od pani ojca list, jak się okazuje, napisany przez panią.

- Ja wcale... - urwała. Nie mogła się zdobyć na jakiegokolwiek zaprzeczenie, a cóż dopiero na zaprzeczenie przekonywające.

- To jest pani pismo. - Podniosłem rękę z kartką.

- No tak, ale...

- Więc wszystko jasne. Wiedziałem, że list, który kupiłem, jest sfalszowany, a teraz wiem, kto go sfalszował. Pani.

- Nie może pan nic udowodnić.

- Mogę, bo mam to. - Wsunąłem kartkę do kieszeni i uśmiechnąłem się uspokajająco. - Niech pani posłucha. Nie chcę wpakować pani w kłopoty. Chcę tylko porozmawiać z pani ojcem.

Wpatrywała się we mnie teraz płochliwie, lekko wydymając wargi z niezdecydowaniem, ale też i z determinacją, żeby nie dać się wmanewrować w zdradę. Wyraźnie to wyczuwałem w jej długim milczeniu.

- Jak on panią namówił?

- Nic nie powiem.

- I czy to dyktował? Czy może przepisywała pani z autentycznego listu? - Tylko spojrzenie spode łba było odpowiedzią. - Podzielił się z panią tymi pieniędzmi?

- Jakimi pieniędzmi?

- On z tego jak dotąd wyciągnął kilkaset funtów, przecież pani wie. Przynajmniej spodziewam się, że pani wie.

Rozdziawiła usta, oczy otworzyła szeroko. Ale zaraz zmarszczyła brwi.

- Pan kłamie.

- Nie. Daję pani słowo honoru, pani Ryan. Ja mu zapłaciłem sto pięćdziesiąt funtów. I wiem, że co najmniej jeszcze jeden nabywca zapłacił mu taką sumę. A ilu on nabywców znalazł, pani chybaby wiedziała, prawda? Ile pani napisała takich listów?

- Sto pięćdziesiąt funtów? - Niedowierzenie przeobraziło jej twarz. - Aż tyle pan mu zapłacił?

- Tyle.

- Rany boskie! - przyłożyła rękę do ust i odwróciła się. - Stary kłamczuch... - Odwróciła się z powrotem do mnie. - Nie dostałam z tego ani grosza, proszę pana. Przysięgam.

- Więc ojciec te wszystkie pieniądze zatrzymał dla siebie. Może uzna pani, że naprawdę nie zasłużył na pani lojalność.

- Wszystkie? - Zachichotała brzydko. - Nie, nie wszystkie. - Wskazała stojące na podłodze otwarte pudełko z kolorowymi klockami. - To kupił małemu na urodziny w zeszłym tygodniu. - Znów zachichotała, ale tym razem chichot zabrzmiał jak szloch. I nagle tak mocno kopnęła najbliższy z rozrzuconych klocków, że aż przeleciał przez całą kuchnię. Uderzył w nogę stołu i spadł pod wyżymaczkę. - Klocki cholerne!

- Pani mi powie, gdzie mogę go znaleźć?

- Och, zrobię coś lepszego! - Chwyciła ścierkę i gwałtownie wytarła ręce. - Zaprowadzę tam pana. Teraz to już nie tylko pan ma do niego interes. Teraz chodzi o mnie i w ogóle.

Dziecko zostało oddane na przechowanie sąsiadce. Potem Alice Ryan narzuciła cienki płaszcz nieprzemakalny na szlafrok, owiązała głowę szalikiem i poprowadziła mnie przez labirynt wąskich ulic i zaułków na północ w stronę Rotherhithe. Mijaliśmy smrodliwe fabryki, szliśmy w zięjącej wilgoci pod wiaduktami kolejowymi. Więcej tam było takich obiektów, groźnych dla zdrowia, wepchniętych między szeregi

biednych domów mieszkalnych, niż mogło to być dopuszczalne. Po drodze wygłaszała nieprzerwanie monolog, tłumacząc się z udziału w intrydze Malahide'a może nie tyle, żeby mnie poinformować, ile żeby usprawiedliwić się przed sobą.

- Powinnam być mądrzejsza, no pewnie, ale tata umie mnie bajerować. Już co, jak co, ale jest bardzo wygadany. I powiedział, że to łatwe. Mam tylko przepisać wszystko z jego kartki, a on na tym zarobi i ja też dobrze na tym wyjdę. A przecież, Boże mój, nam by się tak przydało trochę grosza z boku. Więc się zgodziłam. Czemu nie? Ani przez myśl mi nie przeszło, że będą mnie nachodzić tacy jak pan. Ale, jak mówię, powinnam być mądrzejsza. Figielki taty... tak on je nazywa, figielki, nigdy mu się nie udają, jak sobie umyślił. Tata mi powiedział, że ten list zostawił mu jeden facet. Zapoznał tego faceta za kratkami, tylko że go powiesili. Kiedy wyszedł dwa lata temu, dał ten list rodzinie tego faceta. Tak mówi, ale mnie się zdaje, że sprzedał. Inaczej dlaczego by myślał, że teraz może zrobić na nim pieniądze? I dlaczego by trzymał to przepisane? Bo pan rozumie, mógł z tym coś zrobić, bo jeszcze miał to przepisane. Ale to było jego pismem, więc nikt by nie uwierzył, że takie bazgroły są panny służącej. Więc mnie namówił, żebym to przepisała jak najładniej. Trzy razy. Myślał że za takie trzy listy zbierze dużo gotówki teraz, kiedy ten proces się zbliża. I chyba miał rację. Ale mi do głowy nie przyszło... nawet mi się nie śniło, że to będzie taka fura pieniędzy, jak pan mówi. Rany boskie, mój Charlie może w tym szpitalu taszczyć na plecach brudne prześcieradła przez cały rok i nie dadzą mu za to sto pięćdziesiąt funtów. Tata jest kanciarzem. Zawsze był i zawsze będzie. No, pan na pewno nie. Podobno jest dobrym cieślą, ale nigdy mu nie wystarczała tygodniówka. Och nie, zawsze chciał więcej. Ale dla mnie jest dobrym ojcem po swojemu, więc nigdy nie miałam serca się od niego odwrócić. Nieraz gniewam się na niego. Ale potem on mnie zagada i raz dwa, już się śmieję do rozpuku, taki jest dowcipniś. Ale wie pan, chyba nigdy nie rozgniewałam się aż tak bardzo, jak teraz. Tym razem będzie musiał mnie przebłagać czymś naprawdę specjalnym.

Doszliśmy wreszcie do rzędu dwupiętrowych kamienic naprzeciw nasypu kolejowego, po którym, zdawałoby się, wiekuiście sunął powoli sznur zardzewiałych wagonów towarowych, skrzeczących jak torturowane gęsi. Doszliśmy do ostatniej kamienicy w szeregu i Alice skręciła w otwartą bramę, poszła pierwsza po słabo oświetlonych

schodach. Chodnik na schodach tak się wytarł, że pośrodku przy każdym metalowym pręcie była dziura, i zniknęła zupełnie, gdy wchodziliśmy na drugie piętro, gdzie tynk odpadał od ściany całymi kawałkami, odsłaniając łąty gołego muru.

Pokój Malahide'a był od frontu na końcu brudnego korytarza. Jego drzwi wydawały się solidniejsze niż większość stolarki wokół, mocne, z zamkiem yale i ponadto z zasuwą. Alice zapukała głośno, poczekała i zapukała drugi raz. Bez skutku.

- Powinien być - powiedziała. - Od Bożego Narodzenia nie pracuje. A na knajpę jeszcze za wcześnie. Zapytam, może mi powie, gdzie on jest.

Zeszła na pierwsze piętro. Słyszałem, jak puka do czyichś drzwi i z kimś rozmawia. Wróciła bardziej zafrasowana niż rozgniewana.

- To dziwne - oznajmiła. - Stara matka Rudd nie widziała taty już od soboty, a mucha tu nie przeleci, żeby nie zobaczyła.

- Więc co zrobimy?

Zastanowiła się.

- Wejdziemy. Ja mam klucze.

Po chwili drzwi były otwarte. Wszedłem pierwszy, gdy jeszcze wyciągała klucz z zamka yale. Była to facjata z większą częścią sufitu pochyłą i pionowym oknem w spadkowym dachu. Mebli niewiele, w chłodnym powietrzu fetor i... Nagle sobie uświadomiłem coś, co omal nie ścięło mnie z nóg.

Malahide leżał na wznak na zniszczonym dywanie pod oknem. Martwy. Tego byłem pewny, zanim podszedłem i zobaczyłem w jego prawej skroni dziurkę od kuli, czarną zakrzepłą krew na głowie i na dywanie przy nim. Z twarzą zastygłą, białą, sztywny, bezduszny, leżał tak, jak powaliła go śmierć.

Odwrociłem się, żeby oszczędzić Alice Ryan tego widoku, ale ona już zobaczyła. Nie krzyknęła ani nie zemdlała. Nawet nie zbladła. Tylko przyłożyła rękę do ust i powiedziała:

- Boże! - po czym osunęła się powoli na jedyne w tym pokoju krzesło.

- Przykro mi - powiedziałem.

- Ktoś go urządził.

- Tak.

Teraz zaczęła blednąć i trzęsła się.

- On ma whisky tam w szafie - wskazała drewnianą szafkę w kącie. - Pan myśli, że... mógłby pan...?

- Oczywiście.

Wyciągnąłem butelkę, znalazłem szklanę, nalałem nierozcieńczoną whisky. Popijała, a ja podszedłem do Malahide'a, przykleknąłem przy nim. Nie było strachu czy udręki na jego twarzy. Śmierć przyszła raptownie, niezapowiedziana, jak gdyby czekała, by go zaskoczyć, ledwie on wejdzie do pokoju. Leżał w butach z cholewami, w kurtce, szaliku i rękawicach, wełnianą czapkę przygniół głową. Dopiero wtedy, absurdalnie późno, przypomniałem sobie, że drzwi były zamknięte od wewnątrz. Więc jak morderca wszedł i wyszedł?

Wstałem, odwróciłem się do okna. Jedna z szyb była przedziurawiona, mały okrągły otwór otaczały promieniste pęknięcia tak, jakby się iskrzył gwiazdkowy zimny ogień. Stałem między oknem i stopami Malahide'a. Zobaczyłem grudki błota na podszwach jego butów; błoto zaschło i odpadało, gdy on tu leżał. Odwróciłem się i wyjrzałem przez okno. Zobaczyłem nasyp kolejowy po drugiej stronie jezdnii. Teraz grzbiet nasypu, dziurka w szybie i moja głowa znajdowały się na jednej niewidzialnej linii i nasunął mi się jedyny możliwy wniosek. Ktoś stał na tym porośłym trawą nasypie, ktoś czekał, aż Malahide pokaże się w oknie. I wtedy podniósł karabin, wycelował, strzelił. Ale z takiej zewsząd widocznej pozycji?... Kącikiem oka zauważyłem gołą żarówkę zwisającą z sufitu. Palila się. Strzał został oddany nocą, gdy nasyp tonął w ciemnościach.

Spojrzałem znów na zwłoki Malahide'a. Ten jego zgon, ni stąd ni zowąd, taki błyskawiczny, omal się nie wydawał w jakimś dzieciennym sensie niesprawiedliwy. Celny, zabójczy strzał w głowę z odległości trzydziestu jardów. Tak strzelają tylko strzelcy wyborowi, i raczej skrytobójcy niż mordercy. Ten skrytobójca dokonał zwiadu, niewątpliwie uznał nasyp za pozycję idealnie korzystną. Czekał, aż Malahide wróci do domu, wejdzie po schodach, zapali światło, usłuźnie podejdzie do niezasłoniętego okna. Wtedy od razu, tak celnie, że bezboleśnie zabił go i zszedł z nasypu, i przepadł w mrokach nocy pozostawiając Malahide'a leżącego tu, gdzieśmy go znaleźli.

Jak długo on leży? Nie widziano go od soboty. Od sobotniego wieczora? To zupełnie możliwe. Było zimno, miłosiernie zbyt zimno na proces gnicia. Przez cztery dni zwłoki cierpliwie czekały, żeby je znalaziono, przez cztery dni morderca zdążył zatrzeć wszelkie ślady. Zadrzałem. Takie przygotowanie, premedytacja, zawodowa sprawność. Tym straszniejsza wydawała się ta zbrodnia; mniej wstrząsająca, być może, ale nieskończenie bardziej złowieszcza.

Wzdrygając się odszedłem od okna. Niewidzialna linia się zmaterializowała, okropnie rzeczywista. I dołączyło się coś o wiele gorszego niż logiczne wyjaśnienie tego skrytobójstwa. Nagle ogarnął mnie przemożny lęk. Dlaczego Malahide został zabity? Chyba jest tylko jeden powód. List Lizzie Thaxter. List, którego kopię ja też posiadam.

Alice wpatrywała się w zwłoki swojego ojca, wstrząśnięta, nieruchoma, obezwładniona niezrozumieniem.

- Nigdy nie myślałam, że taka rzecz się stanie - wyszeptła. - To był tylko... tylko znowu jego figielek. Czy ktoś go zabił, bo on podrobił list jakiejś dziewczyny, chociaż ona się powiesiła dwanaście lat temu?

- Nie wie pani, czy mogą być jakieś inne powody?

Potrząsnęła głową.

- Tata miał wrogów. Zasługiwał na wrogów, Bóg świadkiem. Ale oni by mu tylko wyłoilili skórę, a nie... Może w bójce, może ktoś bardzo rozeźlony nieumyślnie by go zabił. Ale nie... nie tak... jak gdyby... skazali go na śmierć. - Wstała z krzesła i uklękła przy ojcu.

- Biedny stary tata. Przynajmniej wygląda, że skonał prędko, ale... Biedny stary drań.

Widziałem, że jest bliska płaczu. Żeby się nie rozplakała, wyłożyłem jej moją teorię, jak się to stało.

- Strzał z karabinu z tego nasypu kolejowego, tak sędzę. Niech pani popatrzy na okno, na tę dziwną dziurkę od kuli. Prawdopodobnie w nocy. Światło się paliło, pani rozumie? - Tępo przeniosła wzrok z twarzy ojca na szybę, na żarówkę, potem znów na ojca. - Alice, komu jeszcze on sprzedał te listy?

- Nie wiem. Nie mówił. Wiem tylko, że były trzy.

- Kiedy ostatnio pani się z nim widziała?

- W czwartek. W urodziny małego. Kiedy przyniósł te klocki. Zapakowane w czerwoną bibułkę. - Stłumiła szloch. - Rozpierało go, tak się cieszył, że jest taki mądry. Bardzo był podochocony.

- Czym?

- Pewnie tymi pieniędzmi, co je dostał. Bo nic innego... - Urwała i zmarszczyła brwi z wysiłkiem sobie przypominając. - Pan zaczeka...

- Co?

Wyprostowała się i powoli wróciła do krzesła, znów usiadła.

- Było coś. Pewnie że było. Ja tylko myślałam... no, że to jedna

z jego zwykłych historyjek. Tyle razy już to słyszałam. Ale tym razem on chyba rzeczywiście... Boże, to na pewno to.

- Co na pewno?

- Kto by myślał o tym po tylu latach? Kto by, cholera jasna, myślał o tym?

- O czym?

Wciągnęła oddech i postarała się skupić.

- Pan wie, za co go zamknęli na dwanaście lat?

- Za kradzież papieru na banknoty Banku Angielskiego z papierni w Ross nad Wye. Skazano jego i dwóch współników: Joe Burridge'a i Petera Thaxtera. Obaj już nie żyją.

- Dwóch. Zgadza się. Tylko że nie zgadza się według taty. Tata zawsze mówił, że był jeszcze jeden. To ten czwarty dał na to pieniądze, powiedział Joemu Burridge'owi, że ta fabryka drukuje papiery dla Banku Angielskiego i że bardzo łatwo je ukraść. Burridge nigdy nie chciał powiedzieć, kto to. A tylko on miał z tym czwartym kontakt. I myślał że ten... czwarty... załatwi z nimi jak należy, kiedy wyjdą, podzieli się tymi dochodami.

- Jakimi dochodami?

- Burridge mu dostarczył dużą ilość zrobionych banknotów... temu czwartemu, znaczy. Nie wiem ile, i nie wiem ile warte. Nawet nie wiem, czy to prawda. Tata w to wierzył... albo tylko mówił, że wierzy. Może to było także tylko jego marzenie. Zawsze myślałam że tak. Aż do teraz.

- Burridge, zanim umarł w więzieniu, nie wyjawił, kto to był?

- Nie wyjawił. Ale tata raz go widział. Raz. Pojechał kiedyś do Birmingham i kiedy wchodził do domu Burridge'a, ten facet właśnie stamtąd wychodził. Burridge wcale nie przyznał, że to ten, ale tata był pewny, że ten. No, Burridge umarł, to już tata nie miał żadnego sposobu żeby go znaleźć. Nie wiedział nazwiska ani nic. Tylko pamiętał twarz. Mówił, że tej twarzy nigdy nie zapomni. Mówił że gdyby go znów zobaczył, poznałby go od razu. I wtedy by się z nim załatwił.

- Załatwiłby się?

- Mówił o tym we czwartek, ale inaczej niż przedtem. Był wesoły, rozumie pan, wesoły jak... Ja nie zwracałam uwagi, ale teraz myślę, że był taki wesoły, bo...

- Bo natknął się na tego czwartego.

- Tak. Właśnie. To było tak, jakby... jakby w końcu się natknął.

Spojrzałem na zastygłą twarz Malahide'a i przypomniałem sobie, jaki uśmiechnięty pożegnał mnie na Moście Southwark; przypomniałem sobie również, jak skwitował moje pytanie: „Może myślałem, że go znam, ale teraz, kiedy pan mi podał nazwisko, myślę, że się myliłem”. Nie, on wiedział że się nie mylił. Pojąłem to dopiero teraz, już za późno. Major Royston Turnbull był tym czwartym. I w trzy dni po uzyskaniu ode mnie informacji, kim i gdzie teraz jest Turnbull, Malahide został zastrzelony.

- Co my teraz zrobimy, proszę pana?

- Słucham?

- Z tatą, to znaczy. Trzeba wezwać policję?

Policję. Tak, wkrótce będą tu policjanci i zaczniesz się roztrząsać, jaki ja mam związek z nieboszczykiem, czego dotyczyła sprawa sfałszowanych listów, i jak bardzo może zainteresować prowadzących śledztwo w sprawie Consueli Caswell. Śmierć Malahide'a nieuchronnie ujawni ten aspekt, za którego zatajenie ja mu zapłaciłem. A niejasne, niepoparte dowodami przypuszczenia dotyczące dawnych współników szybko się pominię. Chyba że o mojej roli w tym odkrywaniu nikt nie będzie wiedział.

- Chwileczkę, Alice - powiedziałem - czy pani zdaje sobie sprawę, co oznacza wezwanie policji?

- Że jak?

- Będę musiał powiedzieć o tych listach. A pani będzie musiała przyznać się, że pomagała w tym ojcu i zachęcała go. Uznają go za szantażystę, który stał się chciwy i to go zgubiło. A panią uznają za jego współniczkę. Chce pani, żeby tak było?

Wstrząśnięta śmiercią ojca, Alice Ryan teraz przestraszyła się jej następstw.

- Nie wymamrotała. - Pewnie, że nie chcę.

- Więc niech pani posłucha. Musimy znaleźć ten jego odpis listu i kiedy tu przyjedzie policja, ja muszę być stąd jak najdalej. Nie mogę mieć nic wspólnego z tą sprawą. Czy pani rozumie?

- Tak. Chyba.

- Nie wie pani, gdzie mógłby być ten odpis?

- W jego kurtce. Zawsze miał go przy sobie.

Ukląknę przy zwłokach i ostrożnie uniosłem kurtkę ciągnąc lekko za klapę. Drugą ręką sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni na piersi. Wyjąłem z niej zatłuszczony skórzany portfel pękaty od banknotów pięćdziesięciu. Musiało ich być ze trzydzieści. Usłyszałem, jak Alice

zachłystuje się na ich widok, i zastanowiłem się, czy to te, które ja mu dałem. Spod banknotów wyciągnąłem złożony arkusz papieru: list Lizzie nagryzmołony ręką Malahide'a. Alice skinęła głową. Wepchnąłem list do kieszeni. Teraz wyciągnąłem z portfela pieniądze, zostawiając tylko banknot dziesięcioszylingowy. Po chwili wahania dałem te pieniądze Alice. Wzdrygnęła się.

- Nie chcę tego.

- Może pani wziąć. Jeżeli pani nie weźmie, policja je zatrzyma. I tylko będzie więcej podejrzeń. Poza tym w pewnym sensie pani je zarobiła.

- Nie mogę. To okradanie zmarłego.

- On by na pewno chciał, żeby pani je miała.

- No... chybaby chciał... Ale...

- Mówiła pani, że potrzebne wam są pieniądze. I na pewno są, więc niechże je pani bierze. - Nadal potrząsała głową. - To jedyna możliwość, żeby dostały się w pani ręce.

- Setki funtów. W taki sposób? Co by Charlie powiedział?

- Czy to ważne, Alice? Ja nie mogę ich tu zostawić. Powinna pani zrozumieć. Jedno z nas musi je stąd zabrać. - Powstrzymałem się od dodania, że będzie mi lżej na sumieniu, jeżeli zabierze je ona.

Nagle zachwiała się w swoim zdecydowaniu. Ostatecznie dzieci trzeba nakarmić, inkasentowi trzeba w końcu zapłacić. Wyciągnęła rękę i przyjęła pieniądze.

- Muszę już iść - powiedziałem.

- Uhm.

- Niech pani odczeka pięć minut po moim wyjściu, a potem powie pani Rudd, co się stało, i pójdzie do najbliższego komisariatu. Niech pani mówi, że była pani niespokojna, czy ojciec nie jest chory, bo nie przyszedł, tak jak się pani spodziewała. O listach ani słowa. Ani o tym czwartym współniku, w żadnym razie.

- Tak - powiedziała z westchnieniem. - Wiem, co robić.

- To dobrze. Więc wychodzę. - Podeszedłem do drzwi, zatrzymałem się i spojrzałem na nią. - Przykro mi, Alice. Naprawdę bardzo mi przykro. On na to nie zasłużył.

- Jest pan życzliwy - wyszeptła. - Ale może pan już iść. Ja się nim zajmę.

Zdecydowałem się nie mówić Imry'emu o śmierci Malahide'a. Dzieliłem się z nim moimi odkryciami i przeżyciami na każdym kroku, ale

teraz to nagle morderstwo, z taką premedytacją dokonane, zamknęło mi usta. Wiedziałem, że odtąd zarówno dla jego dobra, jak dla mojego sam muszę sobie być doradcą. Imry by nie aprobował pozostawienia Alice Ryan, zdanej tylko na siebie. I z pewnością by nie aprobował tego, co zamierzałem zrobić następnie. Toteż po prostu mu skłamałem, że trop Malahide'a urwał się na terenie budowy Croada, więc chcąc nie chcąc rezygnuję z poszukiwań.

Imry tymczasem zajął się praktyczną stroną mojego życia. Martindale, Clutton i Fyffe zgodzili się, żeby zabrał moje rzeczy z Suffolk Terrace w sobotę rano; będą spakowane, gotowe do przewiezienia o godzinie jedenastej. Znalazł mi mieszkanie na uliczce dawnych stajni niedaleko Lancaster Gate, jego zdaniem, akurat odpowiednie dla mnie, zwłaszcza, że do wynajęcia od zaraz. Miałem tylko obejrzeć je nazajutrz rano. Ponadto załatwił mi spotkanie z Hughem Fellow-Smithsem, współnikiem kancelarii naszego radcy prawnego, wyspecjalizowanym w sprawach rozwodowych.

Tamtej nocy na kanapie w Słonecznej Chacie leżałem bezsennie przez wiele godzin myśląc o Tomie Malahide. Widziałem znów jego żółte zęby w uśmiechu i bystre spojrzenie, ale przede wszystkim tę zastygłą bladą, ślepią twarz, z jaką pozostawiła go śmierć. Kto go zabił? Trzeci nabywca sfalszowanego listu? Czy może czwarty współnik kradzieży w papierni Grenville'a Peto przed trzynastu laty? Jeżeli tak, czy to jest major Turnbull? Pragnąłem wierzyć, że to on, ale byłem ostrożny wobec tego pragnienia, mającego swe źródło w zazdrości, której nie chciałem sobie uświadamiać.

Nazajutrz rano pojechałem do Londynu sam. Kupiłem plik gazet na stacji Wendover i dopiero na jednej ze środkowych stron „Daily Telegraph” znalazłem tę wiadomość.

TAJEMNICZE MORDERSTWO W ZAMKNIĘTYM POKOJU

Pan Thomas Malahide, 54-letni cieśla budowlany, został zamordowany w swoim mieszkaniu na Berckley Street w Ritheihithe, gdzie znalazła go martwego pani Alice Ryan, jego córka, wczoraj po południu. Śmierć spowodował strzał w głowę z karabinu. W mieszkaniu, które było zamknięte na klucz od wewnątrz, żadnej broni nie znaleziono. Rzecznik policji powiedział, że uszkodzenie okna może świadczyć o oddaniu strzału do pana Malahide'a z nasympu kolejowego po drugiej stronie ulicy, prawdopodobnie pod osłoną ciemności. Pan Malahide był za życia widziany ostatnio w sobotę. Dopiero sekcja zwłok pozwoli ustalić dokładną datę i godzinę

śmierci oraz odległość, z której oddano śmiertelny strzał, ale zdaniem policji jest to morderstwo z premedytacją. Wiadomo, że pan Malahide miał powiązania ze światem przestępczym i był co najmniej raz karany za kradzież.

Nigdy nie lubiłem Malahide'a, a przecież wydawało mi się, że zasłużył na lepszy nekrolog niż to niedbałe sformułowanie. Pomyślałem o pokoju, w którym umarł - o tym złowieszczym zaduchu - i o okolicznościach jego śmierci: niespodziewanej, gwałtownej, brutalnej i bez żadnych ceremonii. Potem pomyślałem o tysiącach ludzi leniwie przesuwających wzrokiem po tej notatce. Oni nie mają świeżego wspomnienia tego widoku. Dla nich to jest mniej ważne niż humor ich pracodawcy czy pogoda, czy punktualność pociągu. Dla nich każdy człowiek jest wyspą. I dzwon bije zawsze komuś innemu, nie im.

Jako *pied-à-terre*, mieszkanie, które Imry znalazł dla mnie w Hyde Park Gardens Mews, było lepsze niż się spodziewałem. Sam na pewno bym nie zdołał takiego znaleźć. Wynająłem je od razu. Potem szybko wróciłem do biura i zatelefonowałem do Szczęśliwego Gniazda. Telefon odebrał Bassett.

- Bassett, mówi Geoffrey Staddon.

- Och, pan Geoffrey - wydawał się należycie zakłopotany. - Dzień dobry panu.

- Chcę porozmawiać z majorem Turnbullem.

- Ach, niestety, proszę pana, już go tu nie ma.

- Kiedy wyjechał?

- Hm... w piątek.

- Z panią Angelą?

- No, nie mogę... to znaczy...

- Ale czy pani Angela wyjechała?

- Tak, proszę pana. Wyjechała.

Czwartkowe popołudnie, w które moja żona nie popijałaby herbaty i nie plotkowałaby w salonie Maudie Davenport, byłoby ewenementem godnym wzmianki w almanachach. Toteż wykalkulowałem, że jeśli będę się włączył po trasie, jaką Angela niezmiennie podąża z Suffolk Terrace do Maudie - odległość za mała, żeby nawet ona jechała tam taksówką - łatwiej ją dopadnę, niż telefonując czy przychodząc do domu, który nadal uważałem za mój.

I nie zawiodłem się. Angela, zawsze wierna swoim nawykom, chociaż niczemu innemu, wyszła z za rogu ulicy prosto tam, gdzie czekałem na kilka minut przed trzecią. Była ubrana tak, jak wtedy, gdy w Szczęśliwym Gnieździe wybrała się na przejażdżkę z Turnbullem. Niewątpliwie miała nadzieję wzbudzić tym strojem zawiść Maudie - idealnie wymuskana, zadowolona z siebie. Jednak wyraz jej twarzy się zmienił, gdy zobaczyła mnie.

- Geoffrey! Cóż to znowu znaczy?

- O to samo ja ciebie mógłbym zapytać, kiedy zastałem moje drzwi frontowe zamknięte przede mną. Ale nie dałaś mi możliwości.

- Zaczaiłeś się tutaj?

- Tak.

- No, no, szkoda twojego czasu. Nie będę omawiać naszych prywatnych spraw na ulicy. - Spróbowała przejść obok mnie, ale jej nie przepuściłem. Zimno patrzyła na mnie przez chwilę, po czym powiedziała: - Może zjeździsz mi z drogi?

- Nie zjeżdżę, dopóki nie odpowiesz mi na parę pytań.

- Zacznę wołać o pomoc, jeżeli będziesz się upierać, Geoffrey.

- Gdzie jest Turnbull?

Spojrzała poza mnie.

- Policjant idzie w naszą stronę. Chcesz, żebym go wezwała?

- Tylko mi powiedz, gdzie jest Turnbull?

- Nie pozostawiasz mi wyboru. - Uniosła rękę i otworzyła usta, żeby zawołać. Ale chwyciłem za tę rękę tak mocno, że chwilowo oniemiała.

- On jest mordercą, Angelo. On zabija... zabił niejakiego Malahide'a, który mu groził, że go zadenuncjuje jako współnika pewnej kradzieży w okolicach Spod Obłoków trzynaście lat temu.

- Major Turnbull? To absurd.

- Zapytaj go, co on wie o kradzieży w papierni Peto. Zapytaj, czy jeszcze wydaje te zyski.

- Nie zapytam.

- Ostrzegam cię dla twojego dobra. Ten człowiek to złodziej i morderca.

- Puść mnie natychmiast! - Wypluła te słowa już rozgniewana, a dotychczas była tylko zaniepokojona. Widząc przez ramię zbliżającego się policjanta, puściłem ją. - Major Turnbull wrócił na Cap-Ferrat - powiedziała lodowato. - Całe szczęście, że nie będzie musiał zawracać sobie głowy twoimi śmiesznymi domniemaniami.

- Jesteś pewna, że są śmieszne?

Ale w oczach Angeli nie było ani cienia wątpliwości, nic nie przesłaniało w nich pogardy, jaką czuła do mnie.

- Jeżeli miałam jakieś skrupuły co do rozwodu z tobą, Geoffrey, to niesmaczne przedstawienie całkowicie je rozwiąło.

- Nie wygrasz na podstawie, którą wybrałaś. Chętnie się z tobą rozwiodę, ale nie dam z siebie robić brutala bijącego żonę. I wniosę pozew przeciwko tobie, podam, że zdradzasz mnie z Turnbullem.

- Nie odważysz się! Wyśmieją cię w sądzie.

- Czyżby? To zależy od tego, co przedstawi prywatny detektyw, czyż nie? - Zobaczyłem, jak jej pewność siebie chwieje się trochę. - Wszystko zaczyna być zbyt brudne, Angelo. Czy Turnbull cię nie uprzedził, żebyś się tego spodziewała?

- To nie ma nic wspólnego z majorem Turnbullem. - Ponieważ policjant przechodził obok nas, zwróciła się do niego. - Panie policjancie! - Zatrzymał się.

- Słucham panią.

Zerknęła na mnie i znów spojrzała na niego.

- Ten pan pyta o drogę do kościoła Świętego Barnaby. Może pan by mu pomógł, bo ja dosyć się śpieszę. - To mówiąc, szybko odeszła.

Policjant zmarszczył brwi.

- Świętego Barnaby, ta pani powiedziała, proszę pana?

- Tak. Ale proszę się nie trudzić. - Uśmiechnąłem się. - Stąd już trafię.

Prawdą było - cokolwiek bym udawał przed ludźmi - że miałem na przyszłość jeszcze mniej nadziei niż przedtem. Podejrzeń co do Turnbulla nie mogłem uzasadnić, a wykonanie groźby, że go wpłacę w moją sprawę rozwodową, tylko by zabagniło i tak już bagnistą wodę. Zresztą nawet gdybym mógł udowodnić jego udział w kradzieży w papierni Peto, wcale by to nie pomogło Consueli. Wszystkie moje myśli teraz ześrodkowały się na jej rychłym procesie. Wobec wagi niewiadomego rezultatu moje problemy małżeńskie i kryminalna przeszłość Turnbulla wydawały się zgoła nieistotne. W takim właśnie nastroju prawie obojętnie nazajutrz rano stawilem się na umówione spotkanie z Fellows-Smithem w jego kancelarii w Aldgate.

Fellows-Smith, nieduży, z twarzą bez wyrazu, jasny nieomal jak albinos, miał zwyczaj palenia papierosów w taki sposób, żeby wszyscy

doprawdy zbytecznie wiedzieli, jaką rozkosz mu sprawia zaciąganie się dymem. Omawiając drobiazgowo pismo, które otrzymał od panów Martindale, Clutтона i Fyffe'a, rozkoszował się tak ku mojej irytacji raz po raz.

- Ten incydent w Szczęśliwym Gnieździe... uaach... trzydziestego pierwszego grudnia, panie Staddon. Zarzucają panu, że powalił pan żonę na podłogę. Było... uaach... trzech świadków. Czy przyznaje się pan do tej napaści?

- Jeżeli pan pyta, czyją uderzyłem, odpowiadam, że tak.

- Uaach. Dziękuję. To upraszcza sytuację.

- Podniosłem na nią rękę po raz pierwszy w życiu.

- Z listu to nie wynika. Pani Staddon skarży się rodzinie na pana przemoc... uaach... od kilku lat. I są świadkowie gotowi zeznać, że widzieli ją nieraz z... uaach... siniakami na twarzy.

- Kłamią.

- Zupełnie możliwe, ale w kłamstwa o pomniejszych napaściach się wierzy, kiedy fakt dużej napaści został stwierdzony. Ufam, że rozumie pan naszą trudność.

- To jest moja trudność.

- Właśnie. Właśnie. Co do tej... uaach... dużej napaści, czy życzyliby pan sobie, żebyśmy to usprawiedliwili prowokacją?

- To była różnica zdań.

- W jakiej kwestii, jeśli wolno zapytać? W kwestii wierności... uaach... pańskiej żony może?

- Może.

- Trzeba by to sprecyzować. Jeżeli pójdziemy po tej linii, panie Staddon, „może” raczej nie wystarczy.

- Wolalibyśmy zaprzeczyć temu oskarżeniu bez wysuwania kontro-skarżeń.

- Szlachetna intencja, ale nieroztropna, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Zważywszy przyznanie się do co najmniej jednej napaści...

- Panie Fellows-Smith - przerwałem mu - kiedy ta sprawa ma być na wokandzie?

- Kiedy? No, trudno powiedzieć, Martindale nie zając. Raczej zółw, prawdę mówiąc. Nie wydaje się, żeby przed Wielkanocą. Chyba najwcześniej w maju czy w czerwcu...

- Świetnie! Oto moje polecenia. Zechce pan zawiadomić radców mojej żony, że wystąpię przeciw niej. Potem znaleźć dla mnie odpowiedniego adwokata.

Zaległa cisza. On wyraźnie czekał, żebym powiedział więcej. Ostatecznie zapytał:

- Coś jeszcze, panie Staddon?

- Na razie nic. Wdzięczny jestem panu za poradę. A teraz pozwoli pan, że się pożegnám.

W maju czy w czerwcu. Cóż mnie obchodziły wydarzenia w tych dalekich miesiącach? Cóż mogłyby mnie obchodzić, gdy proces, rozpoczynający się już za trzy dni, miał zakończyć sprawy o wiele ważniejsze niż przetrwanie mojego małżeństwa? Deszcz lał uporczywie, a ja powoli szedłem z powrotem na Frederick Place, samotny w kłębiącym się lesie parasoli, pod niskim chmurnym niebem, na którym nigdzie się nie przejaśniało.

W kancelarii sir Henry'ego Curtis-Bennetta na Middle Temple Lane w tamto popołudnie też było jakos mrocznie. Sir Henry uśmiechał się nie rzadziej i przejawiał nie mniej optymizmu niż przedtem, ale coś z niego uszło, tchnienie krzepkiego bojowego ducha, nieodzowne, żeby odniósł sukces. Chwilami, gdy myślał, że ani Windrush, ani ja na niego nie patrzymy, wiotczał jak balon, z którego ulatuje powietrze, i ze znużeniem kierował wzrok na zmierzch osiadający nad dziedzińcem za oknem, gdzie nadal bezlitośnie lał deszcz.

Swojej strategii właściwie nie zmienił. Sądowe szczegóły miały być pominięte w śmiałym apelu do serc przysięgłych. Istotą i sednem obrony miało być zeznanie samej Consueli. Gdy podsunąłem, że Victor został uprzedzony o przyjeździe pań na podwieczorek 9 września, sir Henry nie okazał zainteresowania. Niepoparta dowodem, powiedział, taka sugestia tylko by wytworzyła nastrój antagonizmu, a właśnie wszelkim antagonizmom on będzie się starał zapobiec.

Razem z Windrushem odwiedził Consuelę wcześniej tego dnia; obaj byli zadowoleni, że jest dobrze przygotowana na czekającą ją ciężką próbę. Jednak wyraźnie coś ich po rozmowie z nią trapiło. Wyczułem w ich relacji zakłopotanie, jakąś niezręczność. Wyjaśniło się to dopiero przy końcu naszego spotkania.

- Na procesie będą tłumy - powiedział sir Henry zbierając swoje papiery. - Nie dziwiłbym się, gdyby całą noc ludzie stali w ogonku po bilety na galerię dla publiczności. Ja mam kilka biletów na miejsca dla adwokatów. W normalnych okolicznościach, panie Staddon, pan oczywiście dostałby ode mnie bilet.

- Tylko jest problem - wtrącił Windrush. - Pani Caswell wzięła pod uwagę to, że pan może zamierza być na procesie. Dzisiaj poleciła nam do tego nie dopuścić.

- Co?

- Ubolewam - powiedział sir Henry - ale muszę przede wszystkim troszczyć się o stan ducha mojej klientki. Tylko przez wzgląd na nią, panie Staddon, naprawdę z żadnego innego względu, prosiłbym, żeby pan się zastosował do jej życzenia. - Widząc moje zdumienie wyjaśnił:

- Jej zeznanie będzie ze wszech miar ważne. Nie może wzbudzić żadnych uprzedzeń. A zważywszy, co mówiła, nie wątpię, że pana obecność w sądzie bardzo by ją denerwowała. Oczywiście nikt nie ma prawa zabronić panu postarać się o miejsce na galerii, ale jeśli, a głębooko w to wierzę, chodzi panu o dobro pani Caswell, będzie pan, mam nadzieję...

- Trzymać się z daleka. - Popatrzyłem kolejno na sir Henry'ego i Windrusha. Obaj unikali mojego wzroku. Swoim milczeniem prosili, żebym im ułatwił wykonanie tego nieprzyjemnego zadania. Ostatecznie wykonać je musieli. Do końca i może poza koniec Consuela miała mi pamiętać, że wzgardziłem jej miłością.

- Dobrze - wymamrotałem.

- Oczywiście - powiedział sir Henry - jeżeli jest ktoś z przyjaciół... przedstawiciel, że tak powiem... ktoś, kto mógłby skorzystać z pańskiego biletu...

- Tak, wezmę bilet, jeśli można. Daję panu słowo, że sam nie skorzystam.

Sir Henry wstał, wyszedł zza biurka i wręczył mi małą kopertę. Nie była zaklejona, więc gdy stał nade mną, otworzyłem ją, wysunąłem częściowo bilet: żółtą kartkę z wydrukowanym numerem seryjnym i ponurym nagłówkiem REX V. CASWELL. Dotknął mego ramienia.

- Zrobię dla niej wszystko, co będę mógł, panie Staddon - po wiedział - co tylko będę mógł.

Podniosłem na niego wzrok. Chciałem zapytać „czy to wystarczy?” Coś jednak w wyrazie jego zmiętej twarzy mnie powstrzymało. Coś w tym jego znużeniu sygnalizowało, że jego odpowiedź nie byłaby uspokajająca.

Moje rzeczy przyjechały do Hyde Park Gardens Mews w sobotę przed południem szybko i bez szwanku. Zabrakło mi jednak energii i ochoty,

żeby systematycznie je rozpakować, toteż wśród przygnębiającego chaosu skrzynek i walizek zastał mnie Imry, gdy przyszedł późno po południu. Byłem bardziej rad, że go widzę, niż mogłoby mu się wydawać, ale jego pytania o moją rozmowę z Fellows-Smithem zbyłem krótko. Posadziłem go w jedynym fotelu, którym pysznił się mój nowy salonik, nalałem mu do szklanki dużo szkockiej whisky, po czym sam ze swoją szklanką przysiadłem na wywróconym wieszaku i powiedziałem, że jeśli skarbnica jego usłużności się nie wyczerpała, muszę go poprosić o jeszcze jedną przysługę.

- Mam być na procesie, Geoff? Przecież ty tam będziesz.

- Nie będę. Ona wyraźnie mi zakazała.

- Ale... dlaczego?

- Nie chce mnie widzieć, nawet z daleka w zatłoczonej sali.

- Czy wie, że ty pokrywasz honorarium sir Henry'ego?

- Nie. I nie chcę, żeby wiedziała. Już bodaj to jestem jej winien. To i stosowanie się do jej życzeń, chociaż naprawdę wbrew sobie.

- No, przyjadę, oczywiście, jeżeli ci na tym zależy. Ale co może dać moja obecność? Będę tylko jeszcze jednym widzem.

- Widzem, któremu ufam, Imry. W tym właśnie rzecz. Z gazet niewiele się dowiem. Henry powie mi to, co według niego chcę usłyszeć. A Windrush pójdzie za jego przykładem. Żeby znać prawdę... co tam się dzieje... dobrze czy źle... muszę się zwrócić do ciebie.

- Więc zgoda, będę tam.

- To ci zaoszczędzi ścisku przy wejściu. - Dałem mu kartę wstępu.

- Bilet jak na trybunę w Ascott, prawda? Pod pewnymi względami proces o morderstwo jest wydarzeniem sportowym. Ale okrutnym, można by go porównać do krykieta. I stawka jest wysoka. - Wychyliłem swoją szklankę. - Myślę czasami, że jeszcze nie wiem, jak bardzo wysoka.

Niedziela 13 stycznia 1924 roku zaświtała nad Londynem czerwono. Budząc się, zobaczyliśmy niebo apokaliptyczne jak nigdy za naszej pamięci. To było coś więcej niż zapowiedź mrozów. To było zjawisko nie do zignorowania. Znak, że będą straszne burze, powiedział mleczarz. Zwiastuje katastrofę narodową, twierdził kioskarz (kojarzył to z perspektywą objęcia rządu przez labourystów).

Opisałem czerwony świt Edwardowi później przed południem stojąc przy jego grobie. Zapytałem go, czy on myśli, że Consuela widziała ten świt ze swojej celi w Halloway i jaka to wróżba o jej procesie. Ale

Edward mi nie odpowiedział. Zmarli oczywiście nie potrzebują omenów. Bo dla nich przyszłość zlewa się z przeszłością. Dręcząca nas niepewność nie robi na nich wrażenia, bo w ich świecie każdy problem jest rozwiązany zanim powstanie. Tak też i dla Edwarda. Los Consueli - i z jej losem mój - został dawno przypieczętowany, więc Edward po prostu nie mógł nie pozostawić mnie w niewiedzy tego, co będzie.

XIV

Imry na cały czas procesu zamieszkał w swoim klubie. Tam spotykaliśmy się co wieczór, żeby omawiać sprawę. I tam co noc Imry zapisywał przebieg dnia i swoje wrażenia z sali sądowej. Dotychczas jego zaangażowanie było pośrednie. Teraz sam patrzył na ludzi, o których mu opowiadałem, słuchał ich wypowiedzi, oceniał ich uczciwość. Od początku do końca procesu miałem ich widzieć jego oczami i słyszeć jego uszami.

Poniedziałek, 14 stycznia 1924 r.

Dzisiaj rano po raz pierwszy w życiu wszedłem do Old Bailey. Oczywiście przechodziłem i przejeżdżałem tamtędy wiele razy, przy czym zawsze sobie przypominałem kontrowersję, jaką budził ten projekt. Biedny stary Mountford, tak ostro krytykowany w „Architectural Review” jego barokowy bigos, że zawsze było mi go żal, bo ja osobiście nie widziałem możliwości zaprojektowania czegoś innego na tak ciasnym placu budowy. Dziś rano jednak zmieniłem zdanie.

Niepokój zaczął mnie ogarniać już na ulicy. Przy wejściu dla publiczności tłum kłębił się jak przed meczem piłki nożnej. Na twarzach i w głosach tych ludzi było coś, co mi się nie podobało: żądza sensacji nieomal krwiożercza. A wewnątrz, w wielkim hallu pod kopułą, roilo się od prawników w workowatych togach, dziennikarzy w lichych płaszczach nieprzemakalnych i sędziów przysięgłych w niedopasowanych cywilnych ubraniach z przydziału po demobilizacji. Gwar niósł się pod malowidła na stropie i pod ozdobne łuki, gloryfikujące prawdę i sprawiedliwość za pomocą farby i gipsu. Wodząc wzrokiem po tej bezmiernej obfitości marmuru, myślałem: to niestosowne, to nie tak, jak powinno być.

W kilka minut później już siedziałem w sali sądowej, zdumiony faktem, iż przypadło mi tak centralne miejsce, nieomal uczestnika, a

nie widza. Ciemne drewno, zielona skóra, pulpity z kalamarzami, dzbanki z wodą. krzątanina i szmer szeptów wszędzie wokół i słabe światło padające z wysoka. Oto moje pierwsze mdłe wrażenie, z tego w co się wpakowałem; zbyt wielka i źle wywietrzona klasa szkolna, którą bardzo dziwnie przemeblowano.

Cicho siedziałem wśród zgielku i próbowałem sobie przyswoić funkcje i charakter tej sali, wiedząc, że za parę dni to, co teraz wydaje mi się cudaczne i niepraktyczne, zacznie się wydawać naturalne i nieuniknione. Z budynkami jest tak jak z życiem: dostosowujemy się do przewagi obłędu niespodziewanie łatwo i szybko.

Mam miejsce w rzędzie bezpośrednio za miejscami adwokatów. Siedzimy jak w pierwszych rzędach w teatrze - peruki z kitką, czarne togi na grzbietach tworzą nieustępliwą falangę w odległości jednej stopy od mojego nosa. Przed adwokatami trochę niżej stoi stół woźnego, wypełniony pozornie byle jak rozrzuconymi dokumentami w różowych oprawach i opasłymi tomiskami. Do szczytu tego stołu przystawione jest długie biurko, przy którym siedzi wyniosły, szczupły dżentelmen, jak przypuszczam, sekretarz sądu. Z jego prawej strony sama w maleńkim swoim boksie siedzi stenotypistka. Przed nimi wznosi się drewniany szaniec trybunału, gdzie pomieściłby się cały pluton sędziów, nie tylko ten jeden jedyny, powołany do przewodniczenia nad wydarzeniami. Na ścianie za trybunałem wisi tarcza z Herbem Królewskim i Miecz Sprawiedliwości.

Z drugiej strony sali jest loża świadków na podium i z baldachimem, coś w rodzaju ambony. Na lewo od loży świadków zasiadają w dwóch rzędach przysięgli, zgromadzeni jak niechętni sobie wierni w ławkach kościelnych. I dalej na lewo od przysięgłych są ławy dla prasy, które mi zasłania ława oskarżonych. To wielkie ogrodzenie najbardziej rzuciło mi się w oczy. Jeżeli trybunał mógłby pomieścić pluton sędziów, to tam chyba całą kompanię oskarżonych można by postawić. Oskarżeni wchodzić po wewnętrznych schodkach, prowadzących bezpośrednio z cel poniżej, tak że w pierwszej chwili widać ich przybycie tylko z góry, z galerii dla publiczności. Galeria jest wysoko poza mną. Zatłoczony drewniany balkon godny wzmianki wyłącznie jako dobry punkt obserwacyjny.

Dzisiaj wszystkie miejsca były zajęte. Zgodnie z listą wywieszoną na zewnątrz *Rex v. Caswell* miała rozpocząć się o godzinie 10.30. Przewodniczy pan sędzia *Stillingfleet*. Oskarżenie w imieniu Korony wysuwa pan *M. Talbot, K C*, któremu asystują pan *A. Finch, K. C.*,

i pan F. Hebthorpe. Obronę prowadzi sir Henry Curtis-Bennett, K. C., któremu asystują pan R. Browne i pan G Forsyth. Sir Henry'ego rozpoznałem z opowiadań Geoffa: przysadkowaty, uśmiechnięty, wyraźnie swobodny w takim otoczeniu. Jego dwaj młodsi koledzy chyba czują przed nim zbożny lęk. Browne niedorzecznie młody i poważny, Forsyth krzepki, sprawiający wrażenie robotnika. Talbot wyróżnił się natychmiast rzucaniem dumnych spojrzeń na wszystkie strony i ściskaniem prawicy prawie każdemu, również - z ostentacyjnym śmiechem - samemu obrońcy. W jego cieniu Finch i Hebthorpe nieprędko dali mi się utożsamić jako odrębne jednostki. Na skrajach swiergotali różni radcy prawni, między innymi Windrush, też, jak sir Henry, znany mi z opisu Geoffa.

Patrząc w prawo, nie widziałem nikogo, kto by odpowiadał moim wyobrażeniom o rodzinie Caswellów. Doszedłem do wniosku, że chyba nie ma ich w sądzie. Kilka miejsc przy lawie przysięgłych zajmowali niemłodzi mężczyźni, sądząc z ich postawy i sposobu bycia, policjanci, z pewnością nie Caswellowie. Bystrooka dama w różowym toczku, przy której siedziałem, i doprawdy wszyscy inni w tym rządzie czekali na początek rozprawy jak na spektakl. Ci niewątpliwie pociągnęli za sznurki swoich znajomości, nie stali przez całą noc w ogonku na ulicy, żeby dostać się na proces, ale przygnała ich ciekawość taka sama jak tamtych w ogonku. Ciekawość według mnie nieprzyzwoita, wprost obleśna nawet. Po co, na Boga, oglądać straszliwe funkcjonowanie maszyny prawa, jeżeli się nie musi?

Głos woźnego wyrwał mnie z zadumy o moich bliźnich. Wstając później niż wszyscy, pojąłem, że nic już się nie odwlecze. Proces w sprawie morderstwa karanego śmiercią się rozpoczyna. Powłóczyście wsunął się na swoje poczesne miejsce pan sędzia Stillingfleet w szkarłatnej todze i głębokiej peruce - wysoki, z orlim nosem, nieublagany. Jeszcze nie wszyscy zdążyli z powrotem usiąść, gdy głośno wytarł nos ogromną, niebieską jak niebo chustką, z takim namaszczeniem, że mógłbym to prawie uznać za konieczną sądową czynność wstępną.

Tymczasem ława oskarżonych już nie była pusta. Za ogrodzeniem stała Consuela Caswell - kobieta, o której wiele słyszałem, ale której nigdy dotąd nie widziałem. Spokojna, wyprostowana, z głową podniesioną, patrzyła prosto przed siebie jak gdyby na sam czubek Miecza Sprawiedliwości. Nosila czarny kostium eksponujący cienką talię i białą bluzkę z dużą kokardą przy szyi. Włosy miała ciemne, krótko obcięte. Była bez kapelusza, bez makijażu, bez biżuterii poza cienką złotą obrączką ślubną, połyskującą w świetle

wysoko zawieszzonego żyrandola, gdy oparła ręce na niskiej balustradzie.

Surowa i zamknięta w sobie, wydawała mi się w tamtej chwili najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Jak mogłeś odejść od niej, Geoff? To pytanie natychmiast mi się nasunęło. Jak mogłeś jej się sprzeniewierzyć? Teraz, trzydziestopięcioletnia, jest tak śliczna, że ledwie zdołałem oderwać od niej oczy. Mając dwadzieścia pięć lat, jakaż musiała być cudowna!

Już czytano akt oskarżenia: „Consuela Eveline Caswell oskarżona o dwie zbrodnie. Po pierwsze: dnia dziewiątego września 1923 roku w posiadłości Spod Obłoków w hrabstwie Hereford, zamordowała za pomocą trucizny świadomie i z premedytacją Rosemary Victorie Caswell, i po drugie: tegoż dnia i w tymże miejscu usiłowała, świadomie i z premedytacją zamordować za pomocą trucizny niejakiego Victora George'a Caswella.”

- Co oskarżona odpowie na pierwszy zarzut? - padło pytanie.

- Jestem niewinna - bez sekundy wahania odpowiedziała Consuela cicho, ale stanowczo.

- A na drugi zarzut?

- Niewinna.

Strażniczka o ponurej surowej twarzy dotknęła jej łokcia i teraz ona usiadła na krześle. Widziałem tylko jej głowę i ramiona, gdy postacie w togach zaczęły krążyć wokół niej jak czarne wrony. Woźny bardzo głośno odchrząknął. I dopiero wtedy poczułem siłę i rozpęd tego całego obrzędu. Moloch sprawiedliwości rusza. Zadrżałem, jak pod lodowatym powiewem.

Kompletowanie ławy przysięgłych trwało ponad godzinę. Sir Henry zakwestionował trzech mężczyzn, starszych i lepiej ubranych niż inni. Zastanawiałem się, dlaczego. Czy dlatego że wyglądają jak tacy mężowie, którzy mogą się bać, że żony ich otrują? Czy też po to, by na ich miejsce weszły kobiety? Były tylko dwie kobiece twarze w dwunastoosobowym sądzie przysięgłych.

Sędzia jeszcze raz hucznie wytarł nos i zalecił przysięgłym nie brać pod uwagę faktu, iż proces został przeniesiony z Hereford do Londynu na prośbę obrony.

„W tym nie należy się dopatrywać, że obronie brak pewności siebie” - zakończył. Gdyby rzeczywiście chciał, żeby przysięgli się nie dopatrywali, chyba zrobiłby lepiej w ogóle o tym nie mówiąc.

Przed samym południem przemówił do sądu Talbot. Oczywiście jak większość osób w sali, z góry wiedziałem, co powie. Treść

oskarżenia była prosta: Consuela pod wpływem zazdrości, którą w niej wzbudziły anonimowe doniesienia o zdradach męża, chciała otruć go arsenikiem, ale zamiast niego przypadkiem otrula jego bratanicę. Talbot omówił to szczegółowo podając datę, godzinę, miejsce i sposób. Rozdano kopie anonimów, a potem na rzecz tych, którzy tak jak ja odmówili ich przyjęcia, prokurator przeczytał je głośno. Listy te są prostackie, typowe: „Czas, aby pani знаła prawdę o swoim małżonku”, „On ma romans z inną już od pół roku”. „Para bezwstydných cudzołóżników, jedno z nich to Pani małżonek”. „Zasunięte zasłony w sypialni raz na tydzień po południu w pewnym domu w Hereford. Wiem, co tam się dzieje. Czas, by Pani też wiedziała”. „Pomyśl o tym, kobieto, następnym razem, kiedy on się dopomni o swoje prawo”. Jeszcze więcej tego swędu sprawiło, że dama w różowym toczku roztkliwiona wyciągnęła z torebki fiolkę soli trzeźwiących. Najwyraźniej po to przyszła na proces.

Przemówienie Talbota było czy może wydawało się wzorem beznamiętnej jasności. Mówił powoli, nie uciekał się do chwytów krasomówczych. A przecież słuchałem go coraz bardziej podejrzliwie. Talbot to inteligentny, nadzwyczaj pewny siebie przystojny mężczyzna o ciężkich powiekach i z cieniem na podbródku na tyle ciemnym, że chyba musi się golić dwa razy na dobę. Przy tym pyszałek, cedzi słowa, okazuje jakąś ospałość, coś pomiędzy znudzeniem i niesmakiem. Dokładny, poprawny, spokojny i rozważny, owszem. Niemniej uważa, takie odnoszę wrażenie, że rola prokuratora jest poniżej jego godności i że w sprawie Consueli Caswell nic i nikt nie zasługuje na jego głębsze zainteresowanie.

W czasie swego wystąpienia często, zwłaszcza gdy czytał anonimy, patrzył na Consuelę, zapewne z nadzieją, że ją zawstydzi, wywoła wiele mówiącą reakcję. Jeśli tak, płonna to była nadzieja. Nadal jednak patrzył napawając się, tak mi się wydawało, swoją władzą nad nią.

Gdy przemówienie Talbota, podjęte znów po przerwie na obiad, się skończyło, przysięgli wyraźnie byli pod wrażeniem jego logiki. Przez ostatnie pół godziny prawie nie odrywał od nich wzroku, lewą ręką wymachiwał trzymając dowód rzeczowy A - tutkę papieru kreślarskiego z tlenkiem arsenu - prawą opierał na dowodach rzeczowych B, C i D, tych trzech anonimowych listach.

„Wykażemy, że nikt poza oskarżoną nie miał żadnego powodu, żeby życzyć Victorowi Caswellowi śmierci. Wykażemy, że nikt poza oskarżoną nie miał po południu 9 września ani środków, ani sposobności, żeby doprowadzić do jego śmierci. I wykażemy, że w

wyniku zaplanowanego, bezlitosnego zamachu oskarżonej na życie męża, tragicznie padła ofiarą Bogu ducha winna Rosemary Caswell”.

Potem czasu zostało niewiele, już tylko na zeznania jednego świadka, którego Talbot poruczył swemu młodemu koledze. Dr William Stringfellow, szorstki i rzetelny lekarz, wolny zarówno od uprzedzeń, jak od pretensjonalności, dokładnie opisał objawy zatrucia identyczne u wszystkich trojga pacjentów i szczególnie ciężki stan Rosemary Caswell. Opowiedział, jak usiłował daremnie ratować Rosemary i coraz bardziej podejrzewał, że to arsenik, aż ostatecznie zdecydował się zasięgnąć opinii specjalisty. Wszystkiego, co mówił, słuchałem bez cienia wątpliwości. Sir Henry najwidoczniej też tak to przyjmował, bo dał znak, że rezygnuje z prawa przesłuchania tego świadka oskarżenia.

Była teraz za kwadrans czwarta. Następnym świadkiem, oznajmił Talbot, ma być sir Bernard Spilsbury, wybitny patolog z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie ma sensu, żeby sir Bernard zaczął zeznawać, skoro trzeba będzie przerwać do jutra. Z tym sędzia się zgodził. Tak więc niezadowolająco skończył się pierwszy dzień procesu.

Wtorek, 15 stycznia 1924 r.

Przyzwyczajanie pociąga za sobą akceptację. Czekały mnie w Old Bailey dziś rano te same widoki, co wczoraj, ale już na tyle je sobie przyswoiłem, że mnie nie gorszyły ani nie brzydziły. Prawie zupełnie ta sama obsada zebrała się w sali numer jeden. Nawet dama w różowym toczku była znowu, chociaż już nie w toczku, tylko w kapeluszu jak doniczka ze sterczącym piórem. Katar sędziego nie ustąpił. Talbot nie stracił ani trochę pewności siebie. I Consuela Caswell na ławie oskarżonych jak przywiązana za winy nie popełnione do pala na stosie, nadal patrzyła w dal bez wyrazu.

Sir Bernarda Spilsbury'ego nigdy dotąd nie widziałem, w tyłu jednak prasowych relacjach z procesów czytałem o nim, że wydawał mi się znajomy. Wysoki, szczupły i ponury, z twarzą szarą i szarym sposobem bycia, uniósł przekonanie o swojej miarodajności poparte jego legendarnym doświadczeniem, aż się wydawało, że Talbot nie tyle go wypytuje, ile zachęca do wygłoszenia odczytu, a Sąd słucha pilnie jak bardzo grzeczna klasa szkolna. Dyskusja była nie do pomyślenia, wszelkie wątpliwości były zabronione. Co nie znaczy, że cokolwiek je budziło. Sir Bernard przecież niedwuznacznie stwierdził, że po południu 9 września 1923 roku Rosemary, Victor i Marjorie Caswellowie spożyli arsenik, i że ilość tego

arszeniku w cukiernicy wystarczyłoby, żeby zabić wszystkich troje. Tym razem też sir Henry powstrzymał się od krzyżowego ognia pytań.

Gdy sir Bernard sucho, a gorliwie wyjaśniał wyniki sekcji zwłok i metody analizy, zauważyłem, że miejsca pomiędzy ławą przysięgłych i lożą prasy nie są już zajęte wyłącznie przez flegmatycznych policjantów. Odnotowałem jeszcze jedno z dziwactw projektu Mountforda. Ludzie mogą wchodzić do tej sali i wychodzić niepostrzeżenie. Tak więc ni stąd, ni zowąd patrzyłem po raz pierwszy na Victora, Mortimera i Marjorie Caswellów.

Są tacy, jak się spodziewałem, sądząc z opisów Geoffa: godnie wyprostowani, powściągliwi, połączeni więzią klanu, ale różni. Victor jest tym bardziej zmysłowym, przystojniejszym bratem, Mortimer jest posępny, o wiele bardziej ostrożny. Dziwne jednak, że właśnie Victor wydawał się niespokojny, skubał wąsy, drapał się w czoło i patrzył wszędzie, tylko nie na ławę oskarżonych, a naprawdę nie miał czego z tamtej strony się obawiać. Consuela niczym nie okazywała, że bodaj wie o jego obecności. Marjorie tymczasem rozglądała się dumnie, surowo, z jedną brwią uniesioną, jak gdyby miała zastrzeżenia co do czystości mebli. Zauważyłem jakąś przyczajoną jędrzowatość w linii jej ust, coś, co świadczyło, że pod maską prowincjonalnej skromności to herod-baba.

Mortimer Caswell był następnym świadkiem oskarżenia przekazany przez Talbota, tak jak dr Stringfellow, młodemu koledze. Mówił o chorobie i śmierci córki posępnie, spokojnie, bez wahania, bez wzruszenia, ale swoją powściągliwą szczerością mógł budzić ogólne współczucie. Sędzia wybrał odpowiedni moment, żeby nadmienić, iż ma osiemnastoletnią córkę.

- Więc Wysoki Sąd rozumie - powiedział Mortimer - jak trudno mi wysłować rozpacz z powodu tej straty.

Jego powściągliwość wydawała się zarówno naturalna, jak godna podziwu. Wyczulony na nastrój sądu sir Henry znów powstrzymał się od krzyżowego ognia pytań.

Po przerwie obiadowej weszła do loży świadków Marjorie Caswell. W czasie jej zeznań panowała cisza jeszcze bardziej kondolencyjna niż w czasie zeznań jej męża. Talbot prowokował ją bezwstydnie, żeby rozdierała szaty, mówiła o ujmującej osobowości Rosemary, energii, wdzięku, inteligencji ukochanej jedynaczki, o tym wszystkim, skoszonym tak tragicznie u progu dorosłego życia. Potem przeprowadził ją pieczołowicie przez podwieczorek w domu Spod

Obłoków - kto tam siedział, kto co jadł, kto przyszedł, kto wyszedł. Zostały przedłożone dowody rzeczowe E i F - cukiernica i mała srebrna łyżka. Zidentyfikowała je. Potwierdziła, że Rosemary pierwsza wzięła cukier z cukiernicy.

- Trzy łyżeczki jak zwykle: ona lubiła bardzo słodką herbatę.

Potem nastąpiło opowiadanie, jak Rosemary się rozchorowała, jaka pustka jest po jej śmierci. Zanim Talbot skończył przesłuchanie Marjorie Caswell, powszechnie się litowano; dama w kapeluszu-doniczce czuła się zobowiązana do muskania powiek chusteczką. Ciekaw byłem, czy sir Henry da sobie spokój.

Ale nie dał. Przed wpół do trzecią ten lewiatan w todze i peruce wstał ze swego miejsca i zręczniejsz niż przewidywałem zaczął zmieniać nastrój z patetycznego na rzeczowy. Czy Consuela wydawała się roztargniona, rozgniewana, zdenerwowana, kiedy panie bez uprzedzenia przyjechały? Czy zdradziła się w jakikolwiek sposób przy podwieczorku? Nie zdradziła się, więc co można o niej myśleć? Że jest zupełnie bez serca... czy że jest zupełnie bez winy? Marjorie roztropnie, jak mi się wydawało, odpowiedziała wymijająco. Consuela zawsze była dla niej zagadką, niezgłębioną tak bardzo, że każde wytłumaczenie jej postępowania może się wydawać pozornie słuszne. Jeżeli sir Henry miał nadzieję odkryć w tej zawziętej, ale przekonującej kobiecie choć trochę niechęci do Consueli, dzień zakończył się dla niego rozczarowaniem.

Środa, 16 stycznia 1924 r.

Cudaczność Old Bailey teraz wydaje mi się czymś prawie normalnym. Oczywiście wiedziałem, że tak będzie, ale nie doceniając swojej podatności, nie przypuszczałem że już trzeciego dnia. Katar wysokiego sądu przybrał na sile, wprawdzie rzadziej sędzia wycierał nos, mówił jednak tak, jakby miał w nosie kołek. A dama wielokapeluszowa wystąpiła dziś w turkusowym rondelku. Poza tym wszystko pozostawało niezmienione.

Flegmatyczni policjanci dziś rano mieli już nazwiska i glosy. Główny inspektor Wright ze Scotland Yardu opisał wyprawę do Hereford po wykryciu arszeniku przez doktora Spilsbury'ego, nie-naganny logiczny tok rozumowania wskazujący cukiernicę w domu Spod Obłoków, po czym przeprowadzenie rewizji w tym domu, której wynikiem są dowody rzeczowe A, B, C i D. Jego zdanie o oskarżonej było zdaniem uczciwego detektywa zdolnego do stanowczych rozstrzygnięć. Dowody świadczą niezbicie, że jest winna, wnikanie w subtelności jej charakteru to nie jego sprawa. Przyznał, gdy sir

Henry mu podpowiedział, że Consuela zaprzeczala oskarżeniu niezmiennie przez wiele godzin przesłuchania. Ale to go nie dziwi.

- Wiem z doświadczenia, że nieraz morderca szczerze wierzy w swoją niewinność. To właśnie jest jeszcze jeden przykład.

Nadinspektor Weaver z policji Hereford uraczył sąd mniej więcej taką samą historią. Współpracował w pełni ze swoim kolegą ze Scotland Yardu i tropili tę zbrodnię do jej jedyne go możliwego źródła. Jego podwładni dokonali rewizji w domu Spod Obłoków. Oskarżona, kiedy jej pokazano arszenik i listy, powiedziała, że nic o nich nie wie. Nie potrafiła wytłumaczyć, w jaki sposób znalazły się w jej pokoju. Dlaczego, zapytał sir Henry, nie postarała się ich zniszczyć? Po prostu nie spodziewała się tak dokładnego przeszukania, odparował Weaver, a poza tym potrzebowała arszeniku do następnego zamachu na życie męża. Ten drugi argument na naleganie sir Henry'ego został jako czysta supozycja wykreślony z protokołu, ale czy również z pamięci sędziów przysięgłych, nie wiadomo.

Jeśli chodzi o rewizję w sypialni Consueli, okazało się, że była pewna luka. Otóż pokojówka Consueli nie zgodziła się, żeby mężczyzna przetrząsał garderobę i rzeczy jej pani, wezwano więc policjantkę z Hereford. Ta groźna funkcjonariuszka, C. Griffiths, wystąpiła jako następny świadek oskarżenia. Opowiedziała, jak znalazła w głębi szuflady z bielizną trzy anonimy ściągnięte gumką. Natychmiast wręczyła je głównemu nadinspektorowi Wrightowi. Tutka papierowa z arszenikiem była w tej samej szufladzie „ukryta” (słowo, którego sir Henry nie zakwestionował) w jedwabnej kombinezce.

Z galerii doleciały chichoty, od razu stłumione piorunującym wzrokiem sędziego Stillingfleeta. Spojrzałem na Consuelę. Myślałem, że ze wszystkich tych rewelacji, których musi wysłuchiwać, ta najbardziej może ją zdenerwuje. Ale nie. Patrzyła przed siebie, nie wzruszona jak posąg.

Potem zeznawał szmatławy, imponująco jednak wykwalifikowany grafolog. Chociaż wyraźnie chciał nas wszystkich oświecić w zawilosciach grafologii, ostatecznie dał się namówić do przedstawienia swojej opinii, rzeczywiście prostej. Te anonimy pisał ktoś zmieniając charakter pisma prawdopodobnie praworeczny mężczyzna. Gdy sir Henry zapytał, czy na ogół takich złośliwych listów nie pisują kobiety, grafolog raptownie zdecydował, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, ale ta sugestia sama w sobie jest użyteczna dla obrony. Wydaje mi się jedyną iskierką nadziei, jaka błysnęła obrońcom dzisiaj.

Czwartek, 17 stycznia 1924 r.

Parada służących Caswellów wypełniła dzisiejszy dzień i potrwa również jutro. Przeważnie okazywali wzruszającą niechęć do oczeraniania pani, ale ich odpowiedzi na pytania prokuratora miały właśnie taki niechciany rezultat. Sir Henry wystawił swoich młodszych kolegów, żeby ratowali, co tylko się da, z tych gruzów. Sędzia Stillingfleet był zachrypnięty, przygaszony. Dama wielokapeluszowa wybrała na dzisiaj kasztanowo-brązowy kapelusz dzwon, stanowczo dla niej za młody. A Consuela pozostawała zagadkowo daleka.

Pierwszy zeznawał Albert Banyard, ogrodnik, wieśniak wcale niegłupi. Rozpoznał dowód rzeczowy G - puszkę z preparatem „Chwasty precz” - taką samą kupił w składzie aptecznym w Hereford na początku wiosny 1923 roku. Myślał, że państwo Caswell oboje wiedzą o jego zakupie. Zgodził się, że każdy mógłby uszczknąć z puszek trochę proszku niezauważenie. Mówił to wszystko z grubiańską nutą sarkazmu, wyraźnie irytując Talbota i raz sędzia go upomniał. Główną korzyścią, jaką Talbot odniósł z tego zeznania, było potwierdzenie, że pani Caswell bardziej się interesowała ogrodem (i tym samym metodami tępienia chwastów) niż pan Caswell, ale zarazem ogrodnik oświadczył stanowczo: to pan Caswell tak narzekał na chwasty, że on musiał kupić „Chwasty precz”.

Mabel Glynn, pomoc kuchenna, która przygotowała podwieczorek 9 września, była równie zdenerwowana, jak szczerza. Wypytywano ją delikatnie. Jej zeznanie chyba wykluczyło wszelkie domysły o manipulowaniu cukrem, zanim cukiernica została wyniesiona z kuchni.

Frederick Noyce, lokaj, który dostarczył podwieczorek na wózku do salonu, ma niewiele lat więcej niż Mabel Glynn, ale o wiele więcej pewności siebie. Najważniejsze, co zeznał: Consuela była sama w salonie, kiedy przyszedł z wózkiem, i nadal była sama, kiedy wychodził. Tak więc sposobność do zatrucia cukru stwierdzono ponad wszelką wątpliwość. Obrońca nie próbował tego kwestionować, zapytał jednak Noyce'a, czy w tamto popołudnie odbierał jakieś telefony. Noyce powiedział, że nie. Ja osobiście znałem powód i cel tego pytania. Miało ono być powtórzone innym świadkom.

Horace Danby, kamerdyner Caswellów, przesłuchiwany przez oskarżyciela musiał tylko potwierdzić, co kto robił w gospodarstwie domowym 9 września. Wydawał się typowym przykładem kamerdynera - chwilami pompatyczny, chwilami pokorny. Przesłuchiwany przez obronę zapewnił tak jak Noyce, że w tamto popołudnie nie odbierał żadnych telefonów. Forsyth wkraczając na nową drogę

dociekań zapytał, czy świadkowi wiadomo o jakimś pozamalżeńskim związku jego puna. Danby energicznie odpowiedział, że nie. Prudence Moore, kucharka Caswellów. jak na kucharkę kobieta bardzo chuda, drobiazgowo wyjaśniła sądowi sposoby przechowywania żywności i procedurę przygotowywania posiłków w kuchni Spod Obłoków. Trudno było uwierzyć w taką staranność, jaką przedstawiła, ale wypytywanie jej wymierzone przeciwko obronie osiągnęło swój cel - podejrzenia ześrodkowały się na salonie i jedynej obecnej w nim osobie.

Pod koniec popołudniowego posiedzenia zeznawał John Gleasure, pokojowiec Victora Caswella, o chorobie pana wieczorem 9 września. Gleasure zadał obronie mocny cios, drugi w tym dniu, zeznając, że Consuela zlekceważyła jego radę, by wezwać lekarza. Krzyżowy ogień pytań czeka go jeszcze jutro, czyli dla obrony będzie to być albo nie być. Wkrótce - prawie zaraz - obrona musi stanąć na mocnym gruncie. Inaczej, tak mi się wydaje, wszystko będzie stracone.

Piątek, 18 stycznia 1924 r.

Najwyraźniej nie ja jeden przewidywałem podniesienie stawek. Ogonek na galerię ciągnął się dalej i hałasował głośniejszy niż wczoraj rano, chociaż noc była zimna i deszczowa. Jakieś koleżeństwo wytworzyło się w tym tłumie, co uważam za bardziej przerażające niż ta ogólna makabryczna skwapliwość na początku tygodnia.

W sali wielokapeluszowa dama uczciła nastrój napięcia przystrojeniem głowy kreacją zapewne stosowną w Ascot, ale nie w Old Bailey. Sędzia Stillingfleet najwyraźniej pozbył się wreszcie kataru. Talbot uśmiechał się u szczytu pewności siebie. Tylko Consuela wydawała się odporna. Swoją rolę ofiary tego procesu przyjmuje i gra tak obojętnie, że aż wyzywająco. Może ma nadzieję pokonać oskarżycieli po prostu ignorowaniem ich, a może wie, że utrata choćby ułamka panowania nad sobą oznaczałaby zupełne załamanie. Jakkolwiek to by tłumaczyć, Consuela, nobliwie ubrana, siedziała dzisiaj na ławie oskarżonych tak jak co dzień, nadal poważna, niewzruszona, niedostępna.

Sir Henry wstał, żeby wziąć Gleasure'a w krzyżowy ogień pytań. Otrząsnął się z wczorajszego letargu, tak jakby zrzucił zbyt ciężką część garderoby. Czy Gleasure po południu 9 września odbierał jakieś telefony do pana? Nie. Czy rzeczywiście nalegał w tamten wieczór, żeby Consuela wezwała lekarza? Tak. Dobrze więc: dlaczego nie uparł się, żeby wezwać lekarza? Dlatego że nie wypada mu się upierać. Więc może zgadzał się z Consuelą, że lekarz nie jest

potrzebny? Nie. Zastosował się do zdania pani. Ale chyba jest pokojowcem nie pani, tylko pana? Ostatecznie pan był przytomny, więc co kazał Gleasure'owi robić? Pan Caswell to człowiek, który nie daje się chorobie. Zakładał, że do rana w pełni wyzdrowieje. Nie kazał nic robić. Czyli tak jak jego żona nie widział potrzeby wzywania lekarza? Można by, zgodził się Gleasure, i w taki sposób to ująć.

Po tym skromnym zwycięstwie sir Henry zmienił kurs. Czy Gleasure myśli, że jego pan miał na boku romans? Nie. Czy to znaczy, że Gleasure jest tego pewny? Tak, z niejakim wahaniem. Czy jego wahanie znaczy, że to małżeństwo chyba nie jest tak szczęśliwe, jak kiedyś było? Gleasure potwierdził. A jak mu się zdaje, dlaczego? Nie jego rzeczą jest, żeby mu się coś zdawało. Sir Henry nalegał. Talbot zgłosił sprzeciw. Sędzia Stillingfleet sprzeciw oddalił. I wtedy Gleasure niechętnie powiedział, co mu się zdaje: różnice pochodzenia i wyznania pani i pana Caswell coraz bardziej ich dzielą, w miarę, jak są coraz starsi. To przypuszczenie nie spodobało się nikomu, ale zabrzmiało okropnie prawdopodobnie. I sprawiło, że pierwszy nieosłonięty atak sir Henry'ego na rzeczników oskarżenia skończył się nijako.

Ale zeznanie Gleasure'a było tylko wstępem do najważniejszego punktu dzisiejszego programu, jak pojęliśmy, gdy Talbot powołał swego ostatniego świadka, Victora Caswella. Odkąd Victor pojawił się w sądzie we wtorek, on i Consuela prawie nie spojrzeli na siebie. Dzisiaj także Consuela wciąż patrzyła prosto przed siebie, a Victor patrzył wyłącznie na przesłuchujących. Jak gdyby we dwoje uzgodnili to zawczasu. Ale oczywiście ani razu przecież się nie spotkali po aresztowaniu Consueli 21 września - czyli od czterech miesięcy bez mała.

Talbot spokojnie poprowadził Victora przez wydarzenia 9 września i ich następstwa. Mogłoby się wydawać, że dwaj światowcy rozmawiają o ubolewaniu godnym rozwoju wypadków w polityce. Sędzia chyba całkowicie do tej tonacji się dostroił. Przytakiwał zachęcająco, prawie mrucał, pełen zrozumienia. Toteż nawet gdybym nie wiedział tego wszystkiego, co Geoff mi opowiedział o Victorze Caswellu, jego zeznanie by mnie zaniepokoiło - z powodu nie tyle treści, ile nastroju, jaki przesłuchaniu tego świadka nadano. Wyłonił się wytworny angielski dżentelmen, dręczony przez mściwą, gorąckowistą żonę Brazylijkę. W każdym razie taki podsuwano nam wnioszek. Co do zdradzania żony, samo zaprzeczenie Victora Caswella miało oczywiście wystarczyć i nie budzić zastrzeżeń. I jeśli ktokolwiek z przysięgłych uważał, że niezupełnie honorowo postępuje mąż zeznając przeciwko żonie, to sędzia Stillingfleet rozwiął wszelkie ewentualne wątpliwości.

- Sąd rozumie trudną sytuację pana Caswella i współczuje mu.

Składanie zeznań w tej sprawie wyraźnie jest dla niego bolesne, ale też jest jego obowiązkiem, który on, jak rad jestem stwierdzić, wypełnia z godnością.

Po południu sir Henry Curtis-Bennett wziął Victora Caswella w krzyżowy ogień pytań i trwało to do wieczora. Potyczka delikatna i niełatwa dla nich obu. Żaden nie mógł sobie pozwolić na niegrzeczność, a już tym bardziej na gniew. Sir Henry wiedział, że naraziłby się na upomnienie i czarną kreskę przysięgłych, gdyby naciskał za mocno. Grał więc ostrożnie.

Jeszcze raz rozpatrzyliśmy popołudnie i wieczór 9 września niemal minutę po minucie. Sir Henry zatrzymywał się na wszystkim, co było wątpliwe czy dwuznaczne, czy godzące w jego klientkę, i zmuszał Victora do bardzo jasnych wypowiedzi. To było zręczne i wyważone. A jednak Victor nie dał się doprowadzić do przyznania, że wiedział o wizycie bratowej i bratanicy zawczasu. Ani odwieść od twierdzenia, że zastał Consuelę samą w salonie z podwieczorkiem na wózku. Ustąpił tylko przyznając, że jego małżeństwo „od kilku lat nie jest tak szczęśliwe”, jak można było wnosić z tego, co mówił na przesłuchaniu wstępnym. Ocena Gleasure'a jest chyba słuszna. On i Consuela oddalili się od siebie z wiekiem. Nawet wyjawiał, że od rodzin córki mają oddzielne sypialnie. Ale stanowczo utrzymywał, że nie zdradzał żony. Anonimy są całkowicie bezpodstawne, prawdopodobnie napisane przez kogoś, kto żywi do niego urazę. Kilka takich osób przychodzi mu na myśl, ale wolałby nie podawać ich nazwisk. Sędzia wtedy oświadczył, że taka dyskrecja jest godna podziwu. Wobec tego sir Henry nie mógł tego punktu rozwinąć. Pytał dalej: Czy Victor kiedykolwiek myślał o rozwodzie z racji powstałych, jak przyznał, rozbieżności pomiędzy nim i żoną? Jeśli tak, to chyba jej religia byłaby przeszkodą nie do przebycia. Dostyc było jasne, do czego takie pytanie zmierza. Oczywiście więc Victor zdecydowanie odpowiedział, że o rozwodzie nie myślał. Na zakończenie sir Henry zapytał go, czy po szesnastu latach małżeństwa naprawdę wierzy, że jego żona jest zdolna do zamordowania go. Ale i tu Victor się nie potknął.

- Nie, panie mecenasie, nie wierzę. Jednak w świetle wszystkich dowodów cóż innego mogę myśleć? - Zrobiła wrażenie ta końcowa nuta.

I na tym się skończyła prezentacja oskarżenia. Jutro sir Henry zacznie przedstawiać obronę. Nie będzie miał łatwego zadania.

Sobota, 19 stycznia 1924 r.

Dziś rano niezłomność Consueli się zachwiała. Spod maski obojętności, niezmiennej przez pięć dni, ukazała się twarz osoby, która widzi i rozumie grożące jej niebezpieczeństwo. Stało się to, gdy tylko weszła za swoje ogrodzenie i zamiast bez drgnienia patrzeć przed siebie spojrzała w górę na galerię. Co czy kogo tam zobaczyła, nie wiem. Może sam widok skłębienia ludzkiej ciekawości, chciwego zainteresowania jej losem przeniknął po raz pierwszy mury, jakie wokół siebie wzniosła. W każdym razie zmieniła się strasznie, aż mnie to poruszyło. Przedtem siedziała wyprostowana, dzisiaj pochylała głowę, twarz miała rozedrganą. Często przykładła chusteczkę do ust, często przebierała palcami kokardę bluzki. Opadły z niej lata, w reflektorach ukazała się przerażona dziewczyna.

Sir Henry Curtis-Bennett rozpoczął przemówienie wstępne. Jeśli martwił się zmianą w postawie swojej klientki, dobrze to ukrywał. Dowody przeciwko pani Caswell, powiedział, chociaż mogą się wydawać niepodważalne, są tylko poszlakami, i teraz przysięgli będą mogli wyrobić sobie zdanie o charakterze i osobowości oskarżonej, przy czym niewątpliwie zgodzą się, że nie jest to charakter i osobowość trucicielki. Taki wprowadził refren obrony. Bez żadnych sądowych zawilności, żadnych kruczków prawnych, żadnego kuglarstwa. A rezultat? Wszystko albo nic.

Nie bawiąc się w ceregiele, powołał swego pierwszego świadka: Hermione Caswell. Geoff przygotował mnie na to, ale przez salę przeleciał szmer zdumienia: siostra Victora Caswella będzie zeznawać w obronie jego żony! Talbot przygryzł wargę, sędzia Stillingfleet zacisnął zęby. A Victor Caswell... nagle zobaczyłem, że nigdzie go nie ma.

Hermione, starsza od Victora o dziesięć lat, to bystrooka stara panna sześćdziesięcioletnia, czujna, spostrzegawcza i można by podejrzewać, że przekorna. Nie była w domu Spod Obłoków dziewiątego września, więc oczywiście nie mogła nas oświecić, co tam się wtedy działo. Mogła jednak, zachęcona przez sir Henry'ego, zbić pewne pojęcia, które zakradły się w świadomość przysięgłych. Jej brat nie jest wzorem doskonałości, jej bratowa nie jest wybuchową mieszańką cudzoziemskiej krwi i patologicznej zazdrości. Dobrze przyglądała się bratowej przez te wszystkie lata - bo, jak wyjaśniła, Consuela jest najbardziej egzotyczna i interesująca ze wszystkich jej krewnych - i stwierdziła, że to istota przede wszystkim łagodna. Consuela muchy by nie zabiła, tym bardziej więc nie otrulaby niewinnej młodej dziewczyny. Gdyby nawet - w co ona absolutnie nie wierzy - Consuela dosypała do cukru truciznę, na pewno by nie

dopuszcila, żeby ten cukier wzięła Rosemary.

Talbot uchylił się od przesłuchania Hermione. Zrobił to arogancko, prawie niepoważnie, mając chyba nadzieję, że zdezawuuje jej zeznanie samym lekceważeniem. Toteż Hermione odeszła z wyrazem lekkiego rozczarowania, jak gdyby w ostatniej chwili odmówiono jej przyjemnej bójki, której się spodziewała. Trudno ocenić, jakie wrażenie pozostawiła przysięgłym. W najlepszym razie, tak mi się wydaje, zeznanie jej może wzmocnić inny materiał dowodowy obrony. Ale w braku takowego nic nie wniesie.

Następnym świadkiem sir Henry'ego była Cathel Simpson, pokojówka Consueli. Nadąsane, raczej niesforne ładne stworzenie, wyraźnie najmniej z całego personelu domu Spod Obłoków przystosowane przez naturę do stanu służebnego. Prosto z mostu palnęła, że pan zwolnił ją z pracy zaledwie w parę dni po aresztowaniu pani. Myślę, że temu można przypisać jej lojalność wobec Consueli, której pokojówką była przez cztery lata. Traktowana była zawsze, jak powiedziała, bardzo dobrze. Co najważniejsze, zapewniła, że ani arszeniku, ani listów nie widziała w szufladzie komody jeszcze w przeddzień rewizji. Otwierała tę szufladę codziennie, żeby wyjąć czy włożyć bieliznę pani, przekładała tam wszystko, więc na pewno by zauważyła coś tam ukrytego.

Talbot chytrze wziął Cathel Simpson w krzyżowy ogień pytań. Sprowokował ją do wylewnego wyrażenia urazy z powodu zwolnienia, a potem ją zmusił, by przyznała, że właściwie nie powinna mieć o to pretensji. Pan Caswell dał jej dobre referencje i z jego poręki dostała pracę u bardzo szacownych państwa w Birmingham. Ponieważ wiedział, że jego żona długo będzie nieobecna, cóż innego miał zrobić, zwłaszcza, że sam nie potrzebuje panny służącej. Takie rozważania, w czasie których Simpson stała się dość impertynencą, i sędzia surowo ją upomniał, skutecznie pozbawiły wagi jej zeznania o zawartości szuflady z bielizną. W sumie zrobiła na przysięgłych wrażenie dziewczyny zawistnej i nieodpowiedzialnej, zdolnej do kłamstwa, żeby się porachować z poprzednim pracodawcą.

Sir Henry jak mógł ratował sytuację przesłuchaniem swego następnego świadka Herberta Jenkinsa, kierownika urzędu pocztowego w Hereford. Pan Jenkins na jego żądanie obejrzał dowody rzeczowe B, C i D- anonimy - i wydał opinię co do autentyczności

stempli pocztowych. Powiedział, że tak właśnie stempluje się w sortowni poczty w Hereford, ale że to dziwne, jak bardzo te stemple są jednakowe. Stemple zwykle różnią się gęstością tuszu i czytelnością, bo poduszczkę nasącza się tuszem dopiero wtedy, gdy odbijają się niewyraźnie, oraz tym, że przyłożone są mniej lub bardziej prosto czy krzywo, bo nie wszyscy pracownicy stemplują starannie. Doprawdy nie zdarza się, żeby trzy listy wysyłane w odstępach tygodnia zostały zupełnie tak samo ostemplowane.

Po południu w sobotę chyba trudno było przysięgłym pojąć znaczenie tego zeznania. Sir Henry jednak je podkreślił, przesłuchując następnie Danby'ego, kamerdynera. Danby wyjaśnił procedurę przyjmowania i rozdzielania korespondencji w domu Spod Obłoków. Najprawdopodobniej on albo Noyce doręczyliby te listy pani Caswell. On osobiście, o ile sobie przypomina, nie doręczał żadnego z tych listów no, ale nie ma zwyczaju przyglądać się listom adresowanym do państwa. To samo później odpowiedział sir Henry'emu Noyce.

Mogło to być pociechą dla obrony, jakkolwiek słabą. Sir Henry oznajmił, że po niedzielnej przerwie następnym i ostatnim świadkiem będzie sama oskarżona.

Z chwilą gdy ona wejdzie do loży świadków, przysięgli - tak przypuszczam - zapomną o wszystkim innym, a zwłaszcza o subtelnych różnicach stempli pocztowych Hereford. To, co od początku wydawało się prawdopodobne, teraz wydaje się pewne. Consuelę ocali albo zgubi jej własne zeznanie.

W sobotni wieczór po rozmowie z Imrym wróciłem do mieszkania w Hyde Park Gardens bardzo przygnębiony. Sprawozdania Imry'ego z pierwszych sześciu dni procesu nie mogły napawać optymizmem. W miarę, jak zbliżała się decydująca faza, czułem się coraz bardziej bezsilny, wiedząc, że w żaden sposób nie zdołam wpłynąć na wynik. Dopóki Imry mnie zapewniał o należytej postawie Consueli, jeszcze miałem nikłą iskierkę nadziei. Teraz nawet to stanęło pod znakiem zapytania.

Noc czyhała zimna i bez księżyca. Chwilami padał deszcz, jak gdyby płynna stal lała się z nieba, gdy szedłem przez Hyde Park. Wtrzymałem tydzień ciężkiej próby Consueli wciąż mając wyrzuty sumienia. Ożywiało mnie każde przelotne światelko na horyzoncie, zamierałem wobec przeciwności. A od przeciwności wprost się roilo,

zbyt licznych i poważnych, żeby sir Henry mógł je odwrócić. Przechodząc na drugą stronę Bayswaters Road i skręcając w uliczkę dawnych stajen myślałem tylko o nieprzerwanym szeregu szkodliwych i nieprzydatnych zeznań.

Na ulicy było cicho, pusto, deszcz prądkował aureole latarni gazowych. Doszedłem do drzwi numer czterdzieści dziewięć i sięgnąłem do kieszeni nieprzemakalnego płaszcza po klucz. Nagle do cieni przede mną dołączył jeszcze jeden, coś się poruszyło za mną. Zajęty swoimi myślami, odwróciłem głowę odruchowo. Nad swoim ramieniem zobaczyłem Rodriga, ogromnego, bez kapelusza, całego w czerni. Para jego oddechu unosiła się w zimne mokre powietrze. Cofnąłem się, ale za późno. Już chwycił mnie za nadgarstek, zacisnął palce jak kajdanki.

- Stad-don! - Usłyszałem znów ten nacisk na dwie sylaby, to syknienie nienawiści i groźby.

- Co... czego chcesz?

- Ciebie, Staddon. Ciebie. Musimy porozmawiać. Teraz. - Rozejrzał się. - Mieszkasz sam?

- Tak, ale...

- Wejdźmy - zacisnął palce jeszcze mocniej. - *Agora mesmo!* - Stał pomiędzy mną i latarnią. Musiał zobaczyć lęk na mojej twarzy. Prawie się uśmiechnął. - Nie masz się czego bać. Nic ci nie zrobię.

- Dobrze.

Puścił moją rękę, popatrzyłem na niego bacznie, po czym odwróciłem się i otworzyłem drzwi. Po wąskich schodach poprowadziłem go do saloniku. Zatrzymał się na progu i czekał, aż zapalę lampę. Gdy wszedł w światło, omal się nie zachłysnąłem z wrażenia, tak bardzo zmienił się w ciągu trzech tygodni. Włosy mu posiwiały, twarz zszarzała, schudł. Oczy miał czerwone i podkrążone i garbił się, jak gdyby ostatkiem sił dźwigał walący się dach swego świata.

- Byłem dziś w sądzie - powiedział ze znużeniem.

- Byłeś w Old Bailey?

- Tak. Zapłaciłem... *um marinheiro*... dziesięć funtów za miejsce w ogonku.

- Consuela dziś się zdenerwowała. Czy dlatego, że cię zobaczyła?

- Skąd wiesz, że się zdenerwowała? Ciebie tam nie było.

- Był mój znajomy. Jest tam codziennie. Powiedział, że zaniepokoiła się, kiedy popatrzyła na galerię.

Rodrigo przytaknął.

- To byłem ja. Przesłała mi wiadomość, żeby tam nie przychodził. Tobie też przesłała?

- Tak.

Znowu przytaknął.

- Ale nie mogłem nie być. To dla mnie niemożliwe. Nawet kiedy nie chce tego *Consuelinha*. Ale teraz... Żałuję, że byłem.

- Dlaczego?

- Dlatego że... - Gwałtownie przyłożył rękę do czoła i zamknął oczy. Potem jak gdyby już powstrzymał falę dotkliwego fizycznego bólu, powoli opuścił rękę, znów spojrzał na mnie. - Powiesz ją, Staddon. Powiesz moją siostrę.

- Niekoniecznie. Jeszcze jest...

- Powiesz ją, mówię! - Trochę siły i pewności siebie znów brzmiało w jego głosie. - Nie traktuj mnie jak dzieciaka! Byłem tam. Widziałem. Słyszałem. I wiem, mają zamiar ją powiesić. Dlatego jestem tutaj, tylko z jednego powodu ja nie... - Jadowitość błysnęła w jego oczach ale się pohamował. - Posłuchaj, Staddon. Posłuchaj uważnie. Proces wkrótce się skończy. Skażą *Consuelę* na śmierć. Nic ich nie powstrzyma. Chyba że...

- Chyba że co?

- Musisz mi pomóc. Musisz mi pomóc ją ocalić. - Mówił przez zaciśnięte, zęby wbrew swojej imponującej dumie, która tym razem wyjątkowo nie była jego panią.

- Zrobiłbym wszystko. Jeżeli jest coś, co mógłbym zrobić.

- Dlaczego spaliłeś plany Spod Obłoków?

- Sam powiedziałeś, dlaczego. - Lody naszego konfliktu topniały, wzajemne oskarżenia pochłaniał przymusowy sojusz. - Żeby łatwiej zapomnieć o *Consueli*.

- Potrzebne mi są, Staddon. Potrzebne mi te plany, które masz w głowie.

- Po co?

- Trzeba się dowiedzieć, kto próbował otruć Victora Caswella. Ktoś chciał go zamordować. Ktoś, kto im da powiesić *Consuelę*. Musimy wykryć, kto to. Teraz, *imediatamente*. Nie możemy zwlekać.

- Nie rozumiem. Po co do tego plany Spod Obłoków?

- W którymś pokoju jest ukryty sejf. Za fałszywą ścianą; jest jakaś alkowa tak zasłonięta, jakby nic tam nie było. W tej alkowie jest sejf. A w tym sejfie *um testamento*.

- Testament?
- Tak. Victora. I podano, kto po nim dziedziczy.
- Chyba Consuela...
- Nie! Nie Consuela. Ani nawet nie Jacinta. Ktoś inny. Ktoś inny. Czy nie rozumiesz? To właśnie ktoś, kto starał się go zabić. Właśnie dlatego. Dla jego pieniędzy. Dla jego ziemi. *Sua fortuna*. Victor sporządził testament po narodzinach Jacinty, nowy testament. W jakim celu?
- No, żeby zaopatrzyć swoją córkę, przy...
- Twoją córkę, Staddon! Tak ja myślę. Jacinta to twoje dziecko, a nie Victora. I dlatego on nienawidzi Consueli. Dlatego Jacinta nic dla niego nie znaczy. Dlatego sporządził testament i ukrył, i nikomu nie mówił, co w tym testamencie jest.
- Odwróciłem się od Rodriga.
- Jacinta może jest moją córką, ale ja nie...
- Złapał mnie za ramię i odwrócił do siebie twarzą.
- To mnie już nie obchodzi! Kiedyś zabiłbym cię za to. Teraz Consuela znaczy więcej. Tylko ona. Nie ty. Tylko to, co możesz zrobić, żeby mi pomóc ją uratować.
- Ale co mogę zrobić?
- Znaleźć ten ukryty sejf.
- Skąd ty wiesz o sejfie? Skąd wiesz o testamencie, jeżeli...
- Przekupiłem służącego! Gleasure'a. *Um viboro traiçoeiro*. Prawie żał mi Victora, że takiego człowieka ma przy sobie. A przecież cieszę się, że ma. Od Gleasure'a się dowiedziałem, że Victor sporządził nowy testament w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, w miesiąc po narodzinach Jacinty. Consuela nic o tym nie wiedziała. Gleasure'owi Victor zakazał mówić. Jego... *tabeliao*... Quarton przygotował ten testament i przywiózł, żeby Victor podpisał. Quarton i Gleasure byli świadkami.
- Czy Gleasure wie, co jest w tym testamencie?
- Nie wie, nie mógł nic przeczytać, bo kiedy składał podpis jako świadek, na testamencie leżał papier. Dlaczego? Pytam ciebie. Testament włożyli do sejfu. I tam jest od tamtej pory.
- No, może tak, ale ja nie zaprojektowałem w domu Spod Obłoków żadnych schowków. Była...
- Nie ty, Staddon! To zrobili, kiedy już skończyłeś ten dom. Gleasure mi powiedział, że Victor kazał zbudować ścianę do ukrycia sejfu, zimą, kiedy już tam mieszkali. Dlatego potrzebuję ciebie. Żebyś

mi powiedział, która ściana jest fałszywa. Dla mnie ściany się nie różnią. Ale ty, *o arquitecto*...

Miał rację. Ja - tylko ja - potrafiłbym natychmiast rozpoznać tę zmianę. Potrzebował planów, żeby sam wydedukować to miejsce. W braku planów ostatecznie musiał mnie prosić o pomoc.

- Właściwie co proponujesz, Rodrigo?

- Znajdźmy sejf. Otwórzmy. Zobaczmy testament. Wtedy będziemy wiedzieli, kto jest mordercą.

- Ale w jaki sposób? Ja nie jestem kasiarzem. Ani ty chyba też nie.

- Kasiarzem? Co to znaczy?

- To znaczy, że żaden z nas nie może otworzyć sejfu nie znając szyfru. Znalezienie sejfu nic by nie dało bez...

- Ja znam ten szyfr - uśmiechnął się. - Teraz rozumiesz? Jeżeli ty znajdziesz sejf, ja mogę go otworzyć. Gleasure mi powiedział, jak.

- Gleasure? Skąd on? Przecież Victor by mu nie zaufał...

- Victor myślał, że umiera! Myślał że ta trucizna go zabije. Więc tamtej nocy dziewiątego września powiedział Gleasure'owi, jak się otwiera ten sejf. Chciał mieć pewność, że będzie można otworzyć po jego śmierci. Chciał mieć pewność, że testament będzie znaleziony. Był... *delirante*... w gorączce. Rano nawet nie pamiętał, że to mówił. Ale Gleasure pamiętał, za trochę grosza chętnie mi powiedział.

- Bardzo ryzykuje. Jeżeli Victor kiedykolwiek dowie się o tej zdradzie...

- Nie, nie. Gleasure myśli, że wcale nie ryzykuje. Myśli, że ja na pewno nie znajdę sejfu. Nie chciał mi powiedzieć, gdzie sejf jest, chociaż proponowałem mu dużo pieniędzy, mnóstwo pieniędzy. Myśli, że sama kombinacja cyfr na nic mi się nie przyda. Więc ją mi sprzedał. Ale się myli. Razem, Staddon, możemy udowodnić, że się myli.

- Jak? Victor zmienił Spod Obłoków w fortecę. Gdybyś to widział, wiedziałbyś, że nie sposób tam się dostać.

- Widziałem. Mury, zamki, pies. Widziałem to wszystko. - Podszedł bliżej. - Jacinta ci ufa. Zrobi, co jej powiesz. Więc niech otworzy któreś okno, może okno swojego pokoju. W nocy, kiedy cały dom śpi. Wtedy możemy wejść i tylko Jacinta będzie wiedziała.

- Nic z tego. Czy wspięlibyśmy się na mur?... Czy przeszlibyśmy obok tego psa?

- *O muro? O cão?* Boisz się takich rzeczy?

- Boję się, że to by się nie udało. I wcale by nie pomogło Consuell.

Oczy Rodriga zapalały gniewem. Chwył mnie za kołnierz płaszcza. Ale chwytając, już rozluźnił palce.

- Przez mur ja cię przerzucę. I rozprawię się z każdym psem, który wyszczerzy na nas zęby.

- I tak nic by z tego nie wyszło. Jacinta właściwie jest uwięziona. Mnie nie wolno jej odwiedzać. Nie wolno mi nawet pisać!...

Zawahałem się, Rodrigo przytaknął.

- Teraz rozumiesz. Hermione Caswell. To jest rozwiązanie.

- Skąd ty...

- Dzisiaj zeznawała w sądzie. Słuchałem, co mówiła. Zdecydowałem, że mogę jej ufać. Przyszedłem tu do ciebie prosto od niej. Powiedziała mi, że przekazuje listy między tobą i Jacintą. Powiedziała, że może znowu przekazać list, kiedy wróci do Hereford jutro. Victor zostaje z bratem w Londynie. Połowa jego służących też jest tutaj. Więc w domu Spod Obłoków spokój. To doskonały czas dla dwóch włamywaczy.

- Włamywaczy?

- Tak, Staddon. *Dois arrumbadores*. Ty i ja razem.

- Rzeczywiście mówisz serio? Naprawdę myślisz, że to ocali Consuelę?

- Innego sposobu nie ma.

- I Hermione chce nam pomóc?

- Zgadza się ze mną. Innego sposobu nie ma.

- Ale na miłość boską...

- Nie mogę tego zrobić sam. Gdybym mógł, to bym zrobił. I wolałbym sam. Wiesz o tym chyba. I wiesz, dlaczego.

- To straszne ryzyko.

- Ryzyko dla dobra Consueli. Dla dobra mojej siostry. Dla dobra matki twojego dziecka.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Nic, absolutnie nic nas nie łączyło, poza jedną szaloną nadzieją. Testament Victora może jest, a może nie jest kluczem do wolności Consueli, do samego jej życia. Lepiej spróbować go znaleźć niż czekać bezczynnie - stanowczo lepiej niż zdać się na los.

- Dobrze - wyszeptalem - pomogę.

XV

*Thackeray Hotel
Great Russell Street
London WC 1
13 stycznia 1924 r.
Kochana Jacinto,*

piszę do Ciebie z hotelu, w którym zatrzymała się Twoja ciocia Hermione. Jestem teraz u niej, jest również Twój wuj Rodrigo. Panna Hermione wraca do Hereford jutro, odwiedzi Cię w domu Spod Obłoków w poniedziałek i wtedy dostaniesz ten list. Ze względu na Twoją Matkę absolutnie nikt oprócz nas czworga nie może o tym liście wiedzieć. Dlatego zaraz po przeczytaniu podrzyj go, proszę, i spal. Musi to być sekret, zwłaszcza przed panną Roebuck.

Proces Twojej matki dobiega końca. Panna Hermione zeznawała w jej obronie. Ona, Rodrigo i ja wierzymy, że Twoja matka jest niewinna, ale Twój ojciec, stryj Mortimer i ciocia Marjorie wierzą, że jest winna. Piszę Ci to, żebyś wiedziała, komu ufać, a komu nie ufać. My chcemy ocalić Twoją matkę, oni nie chcą.

Kiedy ostatnio się spotkaliśmy, powiedziałem Ci, że staram się pomóc Twojej matce w każdy możliwy dla mnie sposób. Staram się nadal. Ale to chyba nie wystarczy. Piszę ten list, Jacinto, bo czas poprosić Ciebie, żebyś zrobiła coś dla niej, coś trudnego i niebezpiecznego, wiem jednak, że mogę na Tobie polegać. Jak nam wiadomo, wszystkie drzwi i okna Spod Obłoków zamyka się na noc. A Rodrigo i ja musimy wejść do domu nocą. Nie wyjaśnię Ci, dlaczego. Bezpieczniej jeżeli nie będziesz wiedziała. Ale musimy wejść koniecznie - to sprawa wielkiej wagi dla ratowania Twojej matki. Proszę Cię więc: we wtorek wieczorem otwórz jedno okno, żebyśmy mogli tam się dostać.

Oto, co masz zrobić. Połóż się spać jak zwykle, ale nie zaśnij. Czekaj, aż w domu będzie zupełna cisza. Wtedy wyjdź ze swojego

pokoju (panna Hermione powiedziała mi, gdzie jest Twój pokój) i wejdź do dawnego pokoju dzieciennego. Otwórz to okrągłe okno. I wróć do łóżka. Jeżeli coś potem usłyszysz, nie reaguj w żaden sposób. Cokolwiek będzie się działo, udawaj, że śpisz.

Wejdziemy między godziną pierwszą i drugą w nocy, więc musisz otworzyć okno jak najpóźniej. Jeżeli to zupełnie niemożliwe, albo z jakiegoś powodu nie możesz tego zrobić, postaraj się zawiadomić ciocię Hermione. Ale nie ryzykuj. Prawdopodobnie będziemy mogli poczekać do środy w razie konieczności.

Musisz być bardzo odważna i bardzo ostrożna. Wiem, że stać Cię na to. Liczymy na Ciebie. Tak jak liczy na Ciebie Twoja matka. Pamiętaj, Jacinto, ufaj mi, nie ufaj nikomu innemu. Pokaż, co potrafisz. Jestem Twoim przyjacielem i przyjacielem Twojej matki

Geoffrey Staddon

Ten list nie zdradzał skrupułów, które miałem pisząc. Jacinta nie powinna wyczuć, że wcale nie jestem pewny słuszności tego przedsięwzięcia. Jednak moi współspiskowcy najwyraźniej nie żywili żadnych wątpliwości. Rodrigo uważał to za jeszcze jedno ryzyko - bynajmniej nie najbardziej rozpaczliwe - jakie gotów był podjąć dla Consueli. Hermione usprawiedliwiała ryzykowne przedsięwzięcie przymusowymi okolicznościami. Na procesie Consueli podobnie jak Imry widziała niewiele oznak wróżących, że obrona odniesie sukces. Zlekceważona przez prokuratora, teraz chciała odegrać swoją rolę w sposób mniej konwencjonalny.

Gdyśmy siedzieli razem w saloniku Hermione w hotelu Thackeray, trudno mi było uwierzyć, że to, co planujemy, rzeczywiście nastąpi. Nierealne wydawały się nasze zamiary i nawet los Consueli, jeżeli nam się nie powiedzie. Jedna i druga perspektywa - jej ocalenie i jej skazanie - były dla mnie jednakowo niewiarygodne. Może tylko dzięki temu mogłem, nie dopuszczając ani trwogi, ani nadziei, koncentrować się na planowaniu. Może tylko nie patrząc naprzód, mogłem iść dalej.

Hermione wróci do Hereford pociągami jutro. Rodrigo i ja pojedziemy tam moim autem pojutrze, czyli w poniedziałek, i zatrzymamy się w którymś z wiejskich zajazdów dosyć oddalonych od miasta. Tymczasem Hermione w poniedziałkowe popołudnie bez uprzedzenia złoży wizytę w domu Spod Obłoków. Wykluczone, żeby panna Roebuck nie pozwoliła Jacincie zobaczyć się z ciotką. Więc na pewno

nie zabraknie sposobności do wręczenia ukradkiem mojego listu. Że to się udało, Hermione potwierdzi, gdy spotkam się z nią na moście na rzece Wye w Hereford we wtorek o trzeciej po południu. Wtedy już Rodrigo po rozeznaniu będzie wiedział, którędy najlepiej dostać się na teren Spod Obłoków. Zakradniemy się w nocy, wyposażeni w drabinę, latarki i nóż na wypadek, gdyby nas zaatakował pies obronny (tę ewentualność brałem pod uwagę ze zgrozą). Do domu wejdziemy przez okno pokoju dzieciennego, wybrane przeze mnie, bo było blisko sypialni Jacinty i wyróżniało się okrągłym kształtem. Zaczynając od pokoi najbardziej oczywistych będziemy szukać fałszywej ściany i ukrytego za nią sejfu, dopóki nie znajdziemy. Pod nieobecność Victora i połowy domowników chyba to zarówno wykonalne, jak proste, bylebyśmy omijali pokoje (Hermione powiedziała nam, które), gdzie mógłby ktoś być.

Tyle w teorii. W praktyce - ostrzegął mnie instynkt - okaże się to o wiele bardziej mozolne i skomplikowane. Ale ponieważ wolałem z nadto nie rozpatrywać niebezpieczeństw, mogłem wmawiać sobie czy przynajmniej udawać, że nie widzę w tym nic niebezpiecznego.

Nie wyjawilem Imry'emu, po co wyjeżdżam, bo na pewno uznałby ten pomysł za czyste szaleństwo. W poniedziałek rano, akurat wtedy, gdy w Old Bailey podjęto po weekendzie dalszy ciąg procesu, wyszedłem z biura pośpiesznie, niejasno oznajmiając, że muszę wyjechać, być może na parę dni. Potem zostawiłem w klubie Imry'ego wiadomość, że nie spotkamy się wieczorem, ponieważ co najmniej do środy będę poza Londynem. Tak to zatarłem ślady i pozostawiało mi tylko zabrać Rodriga z umówionego miejsca w połowie Park Lane, po drodze na zachód do Hereford i niewiadomego wyniku naszej akcji.

Poniedziałek, 21 stycznia 1924 r.

Gdy rozstawiliśmy się w sobotę, Geoff mnie zapewnił, że będzie dziś w klubie jak zwykle o szóstej wieczorem. Ale czekała na mnie kartka pozostawiona dziś rano u portiera. Geoff musiał wyjechać z Londynu i nie wróci przed środą. To dla mnie niewytłumaczalne. Reg, kiedy do niego zatelefonowałem, potwierdził, że wyjazd Geoffa nie ma nic wspólnego ze sprawami naszej spółki. Z czym więc może mieć coś wspólnego? Jakaż to sprawa zmusiła go tak nagle do wyjazdu w decydującej fazie procesu? Dokąd i dlaczego wyjechał?

Jak na ironię wróciłem z Old Bailey bojąc się spotkania z Geoffem, obmyślając niezliczone sposoby zrelacjonowania mu dzisiejszych wydarzeń w sądzie tak, by nie wydawały się beznadziejne.

No, wysiłek umysłowy zmarnowany, żadna interpretacja niepotrzebna. I chyba w tych okolicznościach to dobrze.

W sali numer jeden było dziś jakoś tłoczniej niż w zeszłym tygodniu i panowało większe napięcie. Oczywiście złudzenie. Tłok przecież taki sam jak każdego innego dnia procesu. Jednak dzisiaj odbywało się wszystko bez krasomówstwa i dygresji, i nam wszystkim, zarówno prawnikom, jak nie prawnikom, narzucała powagę świadomość znaczenia tego, co się dzieje. Wiele osób chyba dopiero teraz zdało sobie sprawę, że ten dramat dobiega końca, szereg pytań i odpowiedzi się urywa. Wkrótce te długie formalistyczne dni w sądzie będą mi się wydawać nieomal chwilą, a nadzieja i zwątpienie, jakie przynosiły, absurdem wobec rzeczywistości, która nad nim przeważa.

Na razie skutek zeznania oskarżonej pozostaje niepewny, moja ocena tego zeznania jest akurat tak słuszna, jak czyjakolwiek inna. Może się mylę w przewidywaniu reakcji przysięgłych. I obym się mylił! Lękam się jednak, że słaba nadzieja Consueli na przemówienie do ich serc spelzła na niczym - nie byli pod wrażeniem.

Dziś rano, gdy sir Henry Curtis-Bennett wstał i powołał jako następnego i ostatniego świadka obrony samą oskarżoną, skoncentrowano uwagę na niej jak nigdy dotąd. Wszyscy, ja także, wlepiali w nią oczy. Szła do łoża świadków, smukła, wyprostowana, średniego wzrostu wytworna pani w surowym prawie jak wojskowy mundur czarnym kostiumie z paskiem, zapiętym pod samą szyję, i w nasuniętym na prawe oko kapeluszu z podniesionym wąskim rondem. Za wstążką kapelusza miała maleńkie piórko, przy szyi i rękawach koronkowe falbanki, na lewej piersi broszkę w kształcie rombu. Z ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu, była niezwykle piękna i wyraźnie bardzo powściągliwa.

Instynktownie jednak żalowałem, że dziś Consuela nie okazuje ani trochę zdenerwowania. Chyba znam gatunek Anglików klasy średniej, którzy dominują w tym sądzie przysięgłych, i ich przekonania, że oskarżone kobiety powinny być albo zdenerwowane albo uległe, a już najlepiej, jeśli są uległe i zarazem się denerwują. Gdy kobieta zdana na ich łaskę nie spełnia tych oczekiwań, stają się podejrzliwi. A gdy na domiar złego ta kobieta jest piękna i cudzoziemskiego pochodzenia, ich podejrzliwość zmienia się we wrogość. Tak właśnie było od początku. Czaiły się na Consuelę uprzedzenia i uczucia przysięgłych. Bardziej niebezpieczne niż mogłaby przypuszczać.

Czy ona schodząc z podwyższenia ławy oskarżonych spojrzy na męża? Victor Caswell siedział na swym zwykłym miejscu przy ławie przysięgłych i wszyscy z pewnością chcieli zobaczyć, gdy odwróciła się w jego stronę, jakieś spojrzenie, wyraz twarzy, coś świadczącego o ich wzajemnym stosunku. Ale patrzyła zdecydowanie na łożę świadków, do której szła, a Victor utkwił wzrok w żyrandolu nad naszymi głowami.

Ta chwila minęła i Consuela już składała przysięgę. Sędzia z oczami przymrużonymi pochylał się ku niej. Talbot, rozparty w fotelu, bawił się wiecznym piórem. Sir Henry pochrząkiwał, obciągał togę. Wszyscy wyciągali szyje, wszyscy nastawiali uszu, wszyscy patrzyli. Od słów tej kobiety zależało znaczenie wszystkich złożonych dotychczas zeznań.

Naprowadzona przez sir Henry'ego, Consuela opowiadała o swoim życiu w Brazylii, pierwszym spotkaniu Victora, przyjeździe do Anglii i latach pełnienia roli pani Spod Obłoków. Swymi pytaniami sir Henry chyba ją nakłaniał, żeby mówiła więcej o tym, jak z nieśmiałej młodzietki dziewczyny zmieniła się w niezręczną, nie-doświadczoną oblubienicę, a potem w tęskniącą do ojczyzny i rodzinnego domu zaniechwaną żonę. Ale lata osamotnienia w obcym kraju i w małżeństwie bez miłości aż za dobrze nauczyły ją skrytości. Ta prawdziwa Consuela wycofała się poza wszelki zasięg i została tylko pełna rezerwy i godności cudzoziemka, mająca w pogardzie niebezpieczeństwo i na oskarżenia odpowiadająca obojętnie. Przypominała mi tygrysicę, którą kiedyś obserwowałem w zoo. Chodziła ta tygrysica po klatce i warczała szyderczo, a dzieci szkolne się gapiły. Ani razu nie zaszczyciła ich jakąkolwiek reakcją. Nawet spojrzeniem swych dumnych syberyjskich oczu nie kwitowała ich prowokacji. Była uwięziona, a przecież widziałem w jej wzroku, że zaznaje wolności, o jakiej tym dzieciakom nigdy się nie śniło.

Wróciliśmy do niedawnych czasów. Consuela kategorycznie oświadczyła, że nie dostała anonimów, i że gdyby je dostała, po prostu by je zlekceważyła. Nie jest zazdrosna, zresztą nie ma o co, jak dała do zrozumienia. Zeznania innych świadków, jeśli chodzi o popołudnie 9 września, są faktycznie zgodne z prawdą, ale mylnie interpretowane. Ona rzeczywiście była w salonie, gdy Noyce przyszedł z podwieczorkiem na wózek, ale przedtem wyszła do ogrodu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Gdy wróciła, Victor już schodził ze schodów. W ciągu tych kilku minut jej nieobecności mógł ktoś wejść do salonu i zatrucić cukier. Tak samo jak wszyscy inni obecni, ona nie ponosi winy za to, co nastąpiło. Jeśli chodzi o Rosemary, wyraziła umiarkowane, szczerze ubolewanie.

„Nie byliśmy żyte, ale zawsze lubiliśmy się serdecznie. To była wesoła, dobrodusznna dziewczyna. W żadnym razie nie zrobiłabym jej nic złego. Gdybym wiedziała, że w cukrze jest trucizna, na pewno bym nie dopuściła, żeby ten cukier wzięła”.

Następnie Consuela przypomniała sobie z tamtego wieczoru, że Gleasure tylko napomknął o chorobie jej męża i bynajmniej nie namawiał do wezwania lekarza. Zresztą nawet gdyby namawiał, ona by tego nie zrobiła bez zgody Victora i Victor by się tego od niej nie spodziewał. Dopóki Mortimer nie zatelefonował z Paprociarni, myślała, że Victorowi dokuczają woreczek żółciowy. Toteż wstrząsnęło nią podejrzenie doktora Stringfellowa, że Victor, Marjorie i Rosemary zatruli się czymś, co zjedli na podwieczorek. Wcale jednak aż do dnia rewizji nie przypuszczała, że mogli być rozmyślnie otruci. Znalazienie anonimowych listów i arszeniku w jej sypialni spadło na nią jak grom. I niewytłumaczalny jest dla niej fakt, że tam były. Chyba, że ktoś je tam podrzucił, żeby winę za śmierć Rosemary zwalić na nią.

Tak to doszliśmy do najbardziej neuralgicznego punktu zeznania Consueli. Jej niewinność jest wiarygodna tylko, jeżeli się przyjmiemy, że dowody przeciwko niej zostały podrzucone. Jeżeli tak, to ktoś inny chciał zarówno śmierci Victora, jak obciążenia Consueli tą śmiercią, żeby ją też usunąć. Kto to mógłby być? Kto będący blisko rodziny Caswellów i domu Spod Obłoków, i prawdopodobnie wśród tych, którzy zeznawali, miał jakiś powód, żeby zaplanować i popełnić taką diabelską zbrodnię?

Roztropnie Consuela nie usiłowała odpowiedzieć na to pytanie nasuwające się wobec jej wersji wydarzeń, chociaż sędzia Stillingfleet wtrącił się, podsuwając, że powinna. Jego postawa w tym momencie stanowiła żywy kontrast z aprobatą, którą wyraził, gdy Victor nie chciał wysuwać przypuszczeń co do autorstwa anonimów, i świadczyła o zupełnym braku współczucia dla Consueli. Wytłumaczenie tego - niechęć do kobiet, ksenofobia czy jakaś mieszanka innych uprzedzeń - jest mniej ważne niż rezultat. Bo sąd przysięgłych, tak jak ja go widzę, to nie tylko instytucja, ale i społeczeństwo - społeczeństwo, w którym sędzia jest patriarchą, a ława przysięgłych starannie dobraną grupą obywateli najpokorniejszych i najposłuszniejszych. Tam, dokąd sędzia prowadzi, stronniczo czy bezstronnie, oni na pewno pójdą za nim.

Gdy sir Henry skończył przesłuchiwać swoją klientkę, doznałem wrażenia, że wśród przysięgłych zaszła dziwna zmiana. Pewność winy Consueli ustąpiła, ale szybko zastąpiona została bardzo przewrotną determinacją, żeby tej winy się doszukać. Gdyby Consuela zachowywała się inaczej- gdyby wydawała się bardziej

nieopancerzona, bardziej zatrwożona, bardziej w strachu przed wynikiem procesu - może by to przechyliło szalę na jej korzyść. Ale nie była taka. Ani też w jakimś idealnym świecie taka być nie powinna. Jej los powinien zależeć od beznamietnej oceny tego, co jest prawdą, a co fałszem, co jest niezbitcie udowodnione, a co nie jest. Niestety Old Bailey istnieje w jakimś świecie dalekim od ideału, gdzie jedynym absolutem jest werdykt osiągnięty na drodze krętej i irracjonalnej.

Pan Talbot otworzył krzyżowy ogień pytań prowokacyjnie zadając niewiele takich, które by nie były chytrze przeformułowanym oskarżeniem. Może wyczuwał antypatię sędziego do Consueli. Może sam czuł do niej antypatię. Albo też może, jak podejrzewam, trochę się jej bał, a wychowanie na panicyzka nauczyło go gardzić tym, czego się boi. Jakkolwiek są powody, był dzisiaj zimny, arogancki i pogardliwy. A Consuela, chociaż nie dawała się zastraszyć, musiała wreszcie tylko powtarzać: „Nie, nie zabiłam”. „Oczywiście, że nie”. „To nieprawda”. „Nie by to tak”. „Nie, Wysoki Sądzie”. „Nie”. „Nie, po stokroć nie”.

Biedna Consuela. Stoi sama, potępiona, dumna, obca i o wiele za piękna, więc skazana z góry znacznie dawniej niż komukolwiek na myśl przyszło, że zostanie oskarżona o morderstwo. Do niczego się nie przyznaje i nie zbija niczego. Prokurator udowodnił bardzo mało. A przecież dzisiaj, gdy powoli wracała z łoży świadków na ławę oskarżonych, a potem schodziła jak co dzień do cel więziennych pod salą, beznadziejność wokół niej wydawała się widoczna, beznadziejność wyzywająca jej oskarżycieli, żeby jednak wbrew samym sobie ją oszczędzili. Cóż, kiedy nic absolutnie na twarzach przysięgłych ani w zmarszczonych brwiach sędziego nie pozwalało mi przypuszczać, że bodaj słyszeli jej zeznania.

Zajęliśmy, Rodrigo i ja, pokoje w gospodzie U Zieleniarza w Fownhope, wsi odległej o kilka mil od Mordiford. Przy barze w tamten wieczór miejscowe plotki ucichły wobec wiadomości, że rząd nie uzyskał poparcia w Izbie Gmin, nieuniknienie więc władzę przejmie po raz pierwszy w historii Partia Pracy. Dla wieśniaków w Fownhope to było prawie nie do uwierzenia. Bolszewicka rewolucja nas czeka. Dla Rodriga jednak, gdy mu wyjaśniłem, co się stało, był to promyk nadziei.

- Nowy rząd, Staddon? Więc może pozwolą Consueli żyć. W moim kraju prezydent ułaskawia wszystkich skazanych na śmierć, kiedy obejmuje urząd.

- Tutaj tak nie jest.
 - Ale tu się mówi - wskazał tłok przy barze - że ci z Partii Pracy są inni niż stary rząd.
 - Niewykluczone. Ale w tej sprawie może zechcą wydawać się zupełnie tacy sami.
- Rzeczywiście się obawiałem, że Partia Pracy okaże się jeszcze bardziej niezłomna co do kary śmierci niż torysi. Będzie współczuć robotnikom uwięzionym za strajki, ale wątpliwe, czy brazylijskiej bogaczce. Gdybyśmy musieli liczyć tylko na miłosierdzie labourzystów, doprawdy marne byśmy mieli widoki.

Nazajutrz rano w paru ogólnokrajowych gazetach, które docierały do Fownhope, były głównie wiadomości o tym politycznym przewrocie. Relacje z procesu Consueli stały się mniej wyczerpujące i bez Imry'ego, który interpretował mi to, co się na procesie działo, nie mogłem się zorientować, jakie wrażenie w sądzie zrobiły zeznania Consueli.

Rodrigo, dowiedziałem się od gospodarza, wyszedł nad ranem. Gdy wrócił przed południem, wprowadził mnie do swego pokoju, zamknął drzwi i oznajmił, że ukradł z jakiejś stodoły drabinę i ukrył w zaroślach niedaleko muru Spod Obłoków, tam gdzie najłatwiej będzie się przedostać. Mam tylko sprawdzić, czy Jacinta otrzymała list i spełni moją prośbę, i już jesteśmy przygotowani.

Zostawiając Rodriga w gospodzie wcześniej po południu pojechałem do Hereford. Koło godziny trzeciej stałem na moście i oparty o balustradę patrzyłem, jak burzliwa rzeka Wye wzbiera i pieni się wokół izbicy pode mną. Wkrótce miała nadejść Hermione, a z nią ta ostatnia chwila, żeby się wycofać z tak niebezpiecznego przedsięwzięcia.

Wtorek, 22 stycznia 1924 r.

Polityka jest na ustach wszystkich, spychając wydarzenia w Old Bailey na pozycję ubocznego widowiska. Jakże to dziwne, że teraz, kiedy proces Consueli zbliża się do punktu kulminacyjnego, zainteresowanie opinii publicznej słabnie. Jak gdyby wszyscy ci, którzy najgłośniej domagali się jej skazania, nagle zawstydzili się swojej gwałtowności. Nawet dama wielokapeluszowa pozwoliła dziś sobie na absencję. Ona też, jak większość londyńczyków, przypuszczałnie bardziej pasjonuje się zagadnieniem, kto będzie całował dłonie w Buckingham Palace, niż przesiadywaniem w Old Bailey.

Ominęły więc takich ludzi końcowe przemówienia obrońcy i

oskarżyciela. Sir Henry Curtis-Bennett dosiadł swego rumaka dziś rano. Przez dwie i pół godziny beznamiętnie argumentował, że dowody przeciwko jego klientce pozostają w całości poszlakami - i że znaczące szczegóły materiału dowodowego nie były w toku procesu brane pod uwagę. Banyard przecież zeznał, że Consuela w żaden sposób go nie zachęciła, by kupił „Chwasty precz”. I nie więcej wiedziała o istnieniu i składzie chemicznym tego preparatu niż jej mąż. Gleasure przecież przyznał, że nie próbowała go powstrzymać od wezwania lekarza. Cathel Simpson stanowczo twierdziła, że ani arszeniku, ani anonimowych listów nie było w szufladzie w sypialni przed dniem 21 września. A pan Jenkins, kierownik urzędu pocztowego w Hereford, rzucił cień wątpliwości na autentyczność owych listów.

Jeżeli stemple zostały podrobione, uczyniono to, żeby zasugerować, iż pani Caswell otrzymała te listy, chociaż rzeczywiście ich nie otrzymała. Jeżeli ich nie otrzymała, to motyw zbrodni wysunięty przez rzecznika oskarżenia można podważyć. A jeśli można podważyć motyw, to również i oskarżenie przeciwko pani Caswell.

Logika bez zarzutu, wywód wprost przykładowy. Sir Henry czekał przez cały czas procesu na możliwość błysnięcia swoim talentem, niekrępowanym przez świadków strony przeciwnej, więc dzisiaj korzystał z tej możliwości bardzo pewny siebie. Dopóki mówił, nie sposób było przypuszczać, że ktokolwiek zdoła się oprzeć jego apełowi o uniewinnienie oskarżonej. Cóż ostatecznie uzasadnia te oskarżenia poza na pół skryształizowanymi podejrzewaniem i wątpliwymi dowodami rzeczowymi? Znalezienie arszeniku i anonimów już nie jest dowodem tak obciążającym, jak przedtem się wydawało. A bez tego cóż macie oprócz zbiegu okoliczności, że oskarżona była sama w salonie, gdy Noyce wtoczył wózek z podwieczorkiem?

Swobodnie jak magik sir Henry manipulował nastrojem przysięgłych. Nie rzucał wyzwania, nie obrażał, tylko prowadził ich rygorystycznie, ale czarująco poprzez prądy i odpływy oskarżenia. Nikt nie zaprzecza - powiedział - że zostało popełnione morderstwo. Wszelako przysięgli powinni uważać, żeby nie pomylić dowodów morderstwa z dowodami winy oskarżonej. Te pierwsze są liczne, tych drugich całkowicie brak. Nie jest rzeczą obrony wskazać, kto popełnił tę zbrodnię. Rzeczą obrony jest tylko wykazać, że pani Caswell jej nie popełniła. I właśnie to, utrzymywał, obrona w całej pełni czyni.

Jeżeli był jakiś minus w błyskotliwości sir Henry'ego, to jej nietrwałość. Przemówienie ołsniewało, ale chyba nie zapadło dostatecznie w

pamięć. Gdy sir Henry usiadł, nie ulegało wątpliwości, że spisał się w tych okolicznościach lepiej niż by potrafił każdy inny adwokat. Przysięgli jednak muszą jeszcze usłyszeć długą orację prokuratora. I bardzo długie podsumowanie, które sędzia zapowiedział na jutro. Czy siła argumentów sir Henry'ego przetrwa w ich pamięci? Czy do jego słów - zresztą tak samo do słów Talbota i sędziego Stillingfleeta także - przywiążą zasadniczą wagę, kiedy będą mieli wydać orzeczenie?

Talbot przemawiał przez całe popołudnie i ani przez chwilę nie mógłby współzawodniczyć z werwą sir Henry'ego i jego darem przekonywania. Zalety tego przemówienia, obliczonego na wyczerpanie przeciwnika, uwidoczniły się w sposobie, w jaki raz po raz zwracał do pewnych wątków, żeby broń Boże przysięgli o nich nie zapomnieli. Materiał dowodowy to poszlaki, ale w sprawach o otrucie czyż bywa inaczej? Nikt nie spożyje - ani nie pozwoli innym spożyć - zatrutej żywności, jeżeli widział, jak ją zatruwano. Kwestionowanie autentyczności listów przez obronę jest naciągane. A fakt, że oskarżona niedbale pozostawiła te listy i arsenik tam, gdzie łatwo można było je znaleźć, wynika z jej butnej pewności, że śledztwo w żadnym razie nie pójdzie tropem prowadzącym do niej. Przede wszystkim - podkreślił Talbot - przysięgli powinni zadać sobie pytanie: czym można wytłumaczyć wydarzenia 9 września, jeśli nie winą oskarżonej? Nikt inny z obecnych na tym podwieczorku nie miał powodów, żeby źle życzyć Victorowi. Nikt też nie miał zabójczych środków do swojej dyspozycji. I nikt inny nie miał możliwości wykorzystania owych środków. Już tylko dlatego przysięgli powinni uznać oskarżoną za winną.

Z opisu Talbota wynika, że Consuela jest sprytną, bezwzględną morderczynią, która w przyływie zazdrości uuzięła się, żeby jej mąż, skoro już jej nie kocha, poniósł najwyższą karę za szukanie serca gdzie indziej. Na takiej właśnie prostackiej karykaturze, możliwie jak najmocniej wrazonej w głowy przysięgłych, Talbot oparł oskarżenie. Jutro chyba będziemy wiedzieli, czy skutecznie.

Dziś wieczorem przy samotnej kolacji w klubie podsłuchałem rozmowę dwóch z naszych najbardziej zaskorupiałych klubowych seniorów. W tonacji apokaliptycznej ubolewali nad nastaniem rządu labourzystów. Anglia nigdy już nie będzie taka sama, po tym ciosie społeczeństwo się nie wydzwignie; oto rezultat przyznania prawa głosu kobietom i na domiar złego ten nowy premier Ramsey MacDonald jest pacyfistą.

Zastanawiam się, czy naprawdę dużo się zmieni. Nadal słońce będzie wschodzić rankiem, deszcz będzie padać, młyny będą mleć ziarno na mąkę, a ustawy angielskie, ludzkie czy nieludzkie, nadal trzeba będzie respektować. W czasach, kiedy ci dwaj starzy byli młodzi, wieszanie skazanych odbywało się na placach widowiskowo, ku rozrywece publiczności. Teraz odbywa się przy drzwiach zamkniętych, w ukryciu przed ciekawskim światem. Ale brutalność pozostaje. I jedynym cokolwiek dla mnie w tej chwili znaczącym probierzem zmiany w tym naszym kraju jest rozstrzygnięcie, czy tak brutalna ręka prawa ma osiągnąć oskarżoną w sprawie Rex versus Caswell.

Hermione przyszła punktualnie. Wydawała się spokojniejsza i bardziej ufna niż ja, ale jej udział w naszym spisku już się skończył: mój dopiero się zaczynał. Pamiętając, że należy zachować ostrożność, poszliśmy przez most w kierunku przedmieścia.

- Sprawa załatwiona, panie Staddon. Nie napotkałam żadnych trudności, kiedy byłam u Jacinty wczoraj.

- Jak ona się czuje?

- Zamartwia się o matkę, co zrozumiałe. Ale pana list bardzo ją podniósł na duchu. Od razu przeczytała przy mnie, bo panna Roebuck zostawiła nas same.

- I będzie mogła zrobić to, czego od niej chcemy?

- Nic jej nie powstrzyma. To dzielna dziewczynka, jak na pewno pan wie.

- Tak - odpowiedziałem unikając jej wzroku. - Rzeczywiście wiem.

Doszliśmy do końca mostu, przystanęliśmy i odwróciliśmy się do siebie. Hermione się uśmiechnęła.

- Wróć już do Paprociarni - powiedziała. - Będę czekać na dalszy rozwój wypadków, jak gdyby nigdy nic.

- Dobrze.

- Pozostaje mi tylko życzyć wam szczęścia. - Przynęła się bliżej.

- Byle rozważnie, młody człowieku. Bardzo rozważnie. Rozwaga będzie potrzebna. Niewątpliwie.

Patrzyłem, jak Hermione zawraca, a potem ruszyłem do auta zaparkowanego w bocznej uliczce. Szedłem szybko, żeby uciec jak najdalej od niegodnej myśli, która przeleciała mi przez głowę w czasie naszej rozmowy. Gzy się cieszę, czy skrycie żałuję, że żadnych przeszkód nie ma już na drodze?

XVI

Wyszliśmy z gospody, gdy przy barze tłoczyło się jeszcze dosyć gości, by całkowicie zaprzętać uwagę gospodarza. Po krótkiej jeździe opustoszałymi wiejskimi drogami znaleźliśmy się w lesie na wzgórzu za terenem Spod Obłoków. Tam zjechaliśmy między drzewa i tak cierpliwie, jak mogliśmy, czekaliśmy, aż minie północ. Było zimno, bezwietrznie, błądy księżyc w trzeciej kwadrze raz po raz zasłaniały strzępiaste chmury. Wszędzie wokół panowała głucha cisza, możliwa tylko na wsi zimą, i żaden z nas nie próbował jej przerwać. Popijaliśmy w milczeniu z manierki Rodriga. Wreszcie zegar na wieży kościelnej w Mordiford wybił dwunastą. Odczekaliśmy wlokące się pół godziny, wysiedliśmy z auta i powędrowaliśmy w stronę domu Spod Obłoków.

Obaj mieliśmy latarki elektryczne. Ja miałem ponadto pled podróżny Rodriga, bo mógł się przydać. Rodrigo miał dywanik z samochodu przewieszony przez ramię i w kieszeni, jak wiedziałem, ale wolałem o tym nie mówić, nóż. Szedł pierwszy szlakiem w trawie, który wypatrzył, gdy przeprowadzał rekonesans. Ostrożnie schodząc ze zbocza przemierzaliśmy milę do wschodniego muru Spod Obłoków, wysokiego na dziesięć stóp, obrosłego bluszczem. Ja już traciłem orientację, ale Rodrigo wiedział dokładnie, gdzie jesteśmy. W ciągu paru minut odnalazł drabinę ukrytą wśród paproci.

Oparliśmy drabinę o mur i Rodrigo wspiał się z dywanikiem. Złożony dywanik położył na szczycie muru, żeby nas nie pokaleczyły jeżące się tam kawałki szkła. Dał mi znak i wspiałem się za nim. Wtedy wciągnął drabinę, zakołysał nią, jak gdyby nie ważyła więcej niż piórko, i opuścił opierając o mur z drugiej strony. Gdy po niej zszedłem, rzucił za mną dywanik i także zszedł.

Pod murem zatrzymaliśmy się dla odsapnięcia. Staliśmy na pochyłości porośniętej trawą i gdzieniegdzie kępami krzaków.

Zorientowałem się, że prosto przed nami jest wschodni skraj sadu trochę na południe od warzywnika, a dom, przysłaniający swoją sylwetą zalesione wzgórze w tle, mniej więcej o pół mili dalej na północny wschód. Powinniśmy, wydawało mi się, dojść do muru warzywnika i wzdłuż niego do południowo-zachodniego rogu. Uzgodniłiśmy z góry, że z chwilą gdy znajdziemy się na terenie Spod Obłoków, Rodrigo nie będzie kwestionował mojego przewodnictwa. Dotrzymując słowa, uległ za mną się powłókł z drabiną w jednej ręce i dywanikiem w drugiej.

Chmury odsłoniły księżyc i zobaczyłem mur warzywnika już niedaleko. Zachęcony tym dowodem mojej dobrej orientacji, skręciłem w lewo z nadzieją, że skrótem dojdziemy do południowo-zachodniego rogu szybciej. Stamtąd biegnie alejka przy skraju sadu do schodków prowadzących na trawnik na wschód od pergoli. Z trawnika będzie dostęp do okna pokoju dzieciennego.

Nie słyszałem Rodriga, chociaż ilekroć się obejrzałem, szedł o jakieś dziesięć jardów za mną z drabiną przechyloną w ręce jak rycerz z lancą. Słyszałem tylko swój oddech i świst długiej obwisłej trawy pod moimi stopami. Zimna wilgoć przenikała mi buty. Na twarzy jednak miałem inną wilgoć. Jedną połową mózgu obliczałem odległość, badałem topografię, drugą połową odpierałem zastęp irracjonalnych obaw. Poświata księżycy, słaba i zmienna, była denerwująca wprawdzie inaczej, ale nie mniej niż gęsty czarny mrok, który spowijał prawie wszystko dokoła. Mur warzywnika pokazał się nagle o kilka jardów przed nami i już zaraz, o kilka jardów dalej, raptownie się skończył. Trafiliśmy do południowo-zachodniego rogu.

Skręciłem za róg, ufnie się spodziewając, że poczuję pod nogami, jak trawa zmienia się w żwir alejki. Ale nie poczułem. Coś usłyszałem z prawej strony, jakiś ciężki ruch, sapanie. I nagle z warknięciem, ze szczerknięciem nieomal, coś rzuciło się na mnie. Pies obronny, wielki i silny, akurat taki, jakiego ze zgrozą sobie wyobrażałem, przyparł mnie przednimi łapami do muru. Zabrakło mi tchu. Ogłupiały, skuliłem się ze strachu, a to psisko stojąc na tylnych nogach, wysokie jak ja, trzymało mi przednie łapy na piersiach, ziało mi oddechem w twarz, szczerzyło zęby. Widziałem w poświacie lśnienie jego kłów i ślinę ciekącą z pyska.

I raptem psa nie było. Rodrigo dopadł go, chwycił za barki i powalił pociągając z sobą na ziemię. Przez chwilę kotłowali się warkliwie w mroku u moich stóp. Potem już Rodrigo trzymał psa tak jak chciał.

Siedział na nim i ścisnął go łydkami, unieruchamiając mu tylko łapy. Prawym przedramieniem obejmował go za gardło, lewą ręką zamykał mu pysk, żeby nie dopuścić do szczekania.

- Nóż! - powiedział na tyle głośno, na ile się odważył. - Wyjmij mi nóż z kieszeni. - Psisko poderwało się i sprężyło, ale znów chwycił je mocno. - Weź nóż i zabij go!

Przysiadłem, spróbowałem rozchylić kurtkę Rodriga, cóż kiedy była zapięta na guziki, do których nie mogłem dosięgnąć nad grzbietem psa. Musiałem wsunąć rękę pod kołnierz kurtki, przy tym łbie oddalonym tylko o parę cali od mojej głowy; pies lypał na mnie ślepiami, na pysku białała mu piana.

- *Depressa! Depressa!*

Namacałem trzonek noża, pociągnąłem, ale nie dość mocno i wyslizgnął mi się z ręki. Znów namacałem i tym razem wyjąłem z kieszeni. Ciężki nóż z drewnianym trzonkiem długości około dziesięciu cali, w skórzanym futerale. Ostrze było grube, obosieczne.

- Prędeż, Staddon. Nie mogę... nie mogę tego bydlaka utrzymać!

Obróciłem nóż w ręce, uniosłem do uderzenia i zahałem się. Gdzie mam dźgnąć? Jak? Wiedziałem, że to jest konieczne, ale przekraczało to moje możliwości.

- Poderżnij mu gardło! Prędeż!

- Gardło? Boże, nie zdołam...

- Więc daj mi nóż! - Syknął Rodrigo z twarzą wykrzywioną z wysiłku. - Ty nie zdołasz, ja zdołam!

Ogłupiały, skwapliwie wetknąłem mu nóż w prawą rękę i odwróciłem się, ale za późno. Jeszcze zobaczyłem jego palce zaciskające się na trzonku i błysk ostrza. Usłyszałem odgłos jak przy trzepaniu dywanu, okropne szzzz... rozdierania czegoś zagłuszone świszczącym dyszeniem, cichy bulgot, skowyt, szaleńcze drapanie i nastąpiła raptowna cisza. Gdy spojrzałem, pies leżał zwiotczały, martwy.

Rodrigo gramoląc się wstał, pochylił się i wytarł ostrze noża o trawę, potem zabrał mi z ręki futerał i z nożem schował do kieszeni.

- Ja... przykro mi - mruknąłem. - Po prostu nie mogłem... nie mogłem się zdobyć...

- Nie tłumacz się, Staddon! Nie teraz.

- Ale...

- *Fique quieto!* Zapomnij o tym psie. Nie żyje, nie narobił hałasu, tylko to jest ważne. No, prowadź do domu.

Pośpieszyłem naprzód, trafiłem na alejkę, postarałem się iść krokiem szybkim i równym. Drżenie lęku powoli ustępowało. Serce mi biło coraz równiej. Dobrze przynajmniej, że w ciemnościach nie widziałem wyraźnie, co Rodrigo zrobił, ale już mnie ogarnął wstyd na myśl, że tak mało mu pomogłem. Zastanawiałem się, czy bardzo jest zakrwawiony i czy trochę krwi nie trysnęło na mnie. Zastanawiałem się, co będę myślał rano o tym nocnym wydarzeniu.

Zadumany nie zauważyłem sylwety domu powyżej, czarniejszej niż niebo. Doszedłem do schodków, nie zdając sobie z tego sprawy. Potknąłem się o najniższy stopień i upadłem.

- Co się stało?

- Nic. To już te schodki. Prowadzą na trawnik za domem.

- Więc idź dalej, Staddon. Na co czekasz?

Podniosłem się i wbiegłem po schodkach przez furtkę w bukowym żywopłocie na trawnik. Teraz dobrze widziałem za francuskim ogrodem tył domu. Okna na parterze z zamkniętymi okiennicami i na pierwszym piętrze... Tak, okrągłe okno pokoju dzieciennego, widoczne z tej odległości, tak samo zamknięte, jak wszystkie inne. Wpatrywałem się w nie, gdy Rodrigo stanął za mną.

- To tam? - szepnął.

- Tak.

- Jest otwarte?

- Nie martw się. Jacinta nas nie zawiedzie.

- Obyś miał rację.

- Zaczekaj tu. Przejdę przez ogród. Przyjdź za mną, kiedy dam znak.

Szybko i cicho, jak tylko mogłem, przebiegłem po trawie do niskiego kamiennego muru oddzielającego trawnik od ogrodu. Przelazłem przez murek i alejką pomiędzy krzewami róż i fontanną doszedłem na taras przy oknach parteru. Pokój dziecienny był bezpośrednio nade mną. Patrząc w górę, zobaczyłem, że to okno jest jednak uchylone. Odwróciłem się i pomachałem ręką do Rodriga.

W parę minut potem udało nam się oprzeć drabinę o półkolisty parapet okna. Rodrigo trzymał drabinę mocno, gdy zacząłem się wspinać szczebel po szczeblu jak najciszej. Absurdalnie długa wydawała mi się wspinaczka. Przypomniałem sobie, z jaką przyjemnością projektowałem ten fragment domu, okno w kształcie koła ze szprychami. Przypomniałem sobie pewne słoneczne popołudnie latem 1909 roku, gdy siedziałem z Consuelą na składanych krzesłach tu,

gdzie teraz jest trawnik, i wyjaśniałem jej, dlaczego takie właśnie okno.

- Będzie, proszę pani, kolisty widok kolistego świata dla synka czy córeczki państwa kiedyś...

Na szczycie drabiny stanąłem przed mglistym odbiciem w szkle siebie po piętnastu latach - znów intruza, którym zawsze byłem.

Jacinta uchyliła okno akurat na tyle, bym wcisnął się pomiędzy framugę i parapet. Dało się podciągnąć łatwo prawie do połowy i już mogłem dość karkołomnie się wczołgać. Łączyło się to z upadkiem „na cztery łapy” niekoniecznie bezszmerowym, ale ostatecznie wyłądowałem na podłodze dzieciennego pokoju spokojny, że tego nie było słychać.

Wyjąłem z kieszeni latarkę i powiodłem jej promieniem wokoło. Ten pokój służył teraz tylko jako skład. Pośrodku leżały dwie maty, w kącie stała komoda i piętrzyło się kilka tekturowych pudeł. Inny kąt zajmowały koń na biegunach i kojec. Ponadto były dwie duże szafy i czuło się stęchły zapach rzeczy od dawna niepotrzebnych. Odwróciłem się i wychyliłem z okna. Pomachałem do Rodriga, żeby wszedł.

Wątpię, czy zdołałby wejść bez pomocy. Wytężając siły, przeciągnąłem go przez okno i zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby zamortyzować jego lądowanie. Burknął kilka przekleństw, po czym oświadczył, że jest gotów działać. Poprowadziłem go do drzwi zygzakiem w nadziei, że dzięki temu klepki podłogi nie będą skrzypiały. Otworzyłem drzwi ostrożnie. Panowała zupełna cisza.

Na prawo z korytarza był pokój Jacinty. Zastanowiłem się, czy ona czuwa, i natychmiast odpowiedziałem sobie, że z pewnością tak. Chyba więc nas słyszy. Korytarz zakręcał w lewo i kończył się kilkoma schodkami, po których schodziło się na galerię powyżej hallu. Nagle poszczególne pokoje, wachlarzowato otaczające hall i galerię, ukazały mi się w pamięci jak na wykresie. Przez chwilę miałem wrażenie, że jestem jednocześnie na zewnątrz i wewnątrz domku dla lalek mojego dzieła, pochylałem się, żeby spojrzeć przez maleńkie okienko na jeszcze mniejszego samego siebie i widzę własne ogromne oko mrugające do mnie zza szybki.

- Staddon!

- Tak, w porządku. Wiem, co robię.

- Więc rób to.

Ruszyłem naprzód, trzymając się lewej ściany korytarza. Na galerii też było pusto i cicho, trochę widniej, bo niezastłonięte

frontowe okna wpuszczały nikłą poświatę. Przeszliśmy przez galerię i musiałem zdecydować, co najpierw: czy zejść na dół, czy przeszukać niektóre sypialnie na górze. Najprawdopodobniej sejf jest w gabinecie, myślałem. Ale też może być w bibliotece. Zasygnalizowałem Rodrigowi mój zamiar i delikatnie otworzyłem drzwi prowadzące na główne schody.

Schodziliśmy powoli. Ciemny hall otwierał się przed nami jak jaskinia. Pamiętałem dokładnie wysokość stopni i wymiary podestów, ale Rodrigowi oświetlałem latarką schody za sobą. Poniżej słabe światło rzucały jeszcze nie wygasłe drwa na palenisku kominka. Poblask hucznego otwarcia tego domu przed trzynastu laty, pomyślałem.

U stóp schodów nasunęło mi się wspomnienie minionego czasu. Na prawo były drzwi salonu: tam ona czekała na mnie w lipcowe popołudnie, gdy przyjechałem na uroczystość otwarcia. Z uczuciem ulgi, że nie musimy wchodzić do salonu, odwróciłem się w lewo i poprowadziłem Rodriga z głównego hallu do mniejszego pomiędzy biblioteką, gabinetem i pokojem bilardowym. Wkrótce znajdziemy sejf, pomyślałem, i będę mógł odłożyć te wszystkie myśli o przeszłości.

Ale nie okazało się to takie proste. W bibliotece nic się nie zmieniło. Zauważyłem to od razu wodząc światłem latarki po półkach pełnych książek. Przeszliśmy do gabinetu i też nie stwierdziłem żadnej zmiany. Draperie tego niedużego pokoju były takie, jak zaprojektowałem - na pewno nie maskowały wnęki. Wątpiłem tylko, czy to nadal jest gabinet. Umebłowanie świadczyło, że to raczej pokój szkolny Jacinty. Czyli sejf musi być gdzie indziej. Ale gdzie?

Odpowiedź kryła się zarówno w głowie ostrożnego, skrytego Victora, jak w architekturze domu Spod Obłoków. Spróbowałem wczuć się w Victora, podążyć krętymi torami jego logiki. Rodrigo zaczął szeptać mi coś do ucha. Nie słuchając, nagle powiedziałem:

- Już wiem. Oczywiście, na górze. Chodźmy.

Zawróciliśmy. Gdy otworzyłem dwuskrzydłowe drzwi hallu, dał się słyszeć jakiś odgłos; dosyć cichy, ale wyraźny, jak gdyby trzask czy skrzypnięcie. Zatrzymałem się, natychmiast wyteżając wszystkie zmysły, ale nic nie nastąpiło. Pełgające lśnienie żaru z kominka docierało do zamkniętych okiennic, snuło się po meblach stojących w bezruchu, w zupełnej ciszy. Rodrigo trącił mnie w ramię i szepnął:

- To chyba ten ogień.

Przytaknąłem. Doprawdy najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem było osuwanie się popiołu na palenisku. Akustyka hallu

o stropie niezwykle wysokim mogła wywołać złudzenie, że ten odgłos doleciał z innej strony. Przeszliśmy przez hall do schodów i wróciliśmy na górę. Po drodze zastanawiałem się. Jak wiedziałem od Hermione, Victor nadal sypiał w dużej małżeńskiej sypialni, gdy Consuela miała sypialnię w tak zwanym pierwotnie Apartamencie z Widokiem na Rzekę. Więc gdzieżby Victor mógł lepiej ukryć sejf, jeśli nie w pokoju, z którego tylko on korzysta i w którym - dodatkowe zabezpieczenie - sypia co noc? Dzisiaj, oczywiście, jest w Londynie, więc mamy szansę, być może jedyną, żeby poznać jego najściślej strzeżony sekret.

Duża sypialnia mieściła się bezpośrednio nad hallem i ze szczytu schodów prowadził do niej osobny korytarzyk. To odosobnienie idealnie służyło naszym celom. Otworzyłem drzwi ostrożnie, ale bez wahania. Całą siłą woli nie dopuściłem wspomnień z owego dnia przed laty, gdy byłem w tej sypialni w innych okolicznościach i z kimś innym.

Żadnych kobiecych ozdób już nie było. Zamiast ulubionych Consueli kolorowych deseni w kwiaty i owoce zobaczyłem nijaką tapetę i zasłony w paski. Od drzwi metodycznie przemiełem promieniem latarki wokoło, odtwarzając sobie w pamięci każdy szczegół kątów i proporcji mojego planu i porównując z tym, co widzę. Stwierdziłem, że nie ma oznak majstrowania z listwami podłogowymi czy profilowymi, absolutnie nic nie świadczy, że dorobiono przepięczenie.

- Nic. - Odwróciłem się do Rodriga.
- Jesteś pewny?
- Oczywiście. Jestem pewny.
- Te drzwi - wskazał drugi koniec sypialni - dokąd prowadzą?
- Do dwóch ubieralni połączonych łazienką. Niewiele nam z tego przyjdzie, obawiam się, ale sprawdźmy.

Bliźniacze ubieralnie z dwóch stron wspólnej łazienki były pomysłem Victora. Wchodząc do ubieralni dawniej należącej do Consueli, zorientowałem się po szczotkach, maszynie do strzyżenia, butelkach wody kolońskiej i brzytwach na stoliku przed lustrem, że z tej właśnie korzysta Victor, przypuszczalnie, żeby mieć z okna wspaniałą widok sadu. Rodrigo czekał w sypialni, ja przeszedłem przez łazienkę do drugiej ubieralni. Była pusta, bez mebli, i od strony sypialni zamknięta na klucz. Zawracając mimo woli spojrzałem w ścienne lustro.

Zatrzymałem się. Jakoś tu było inaczej, coś nie zgadzało się z moimi drobiazgowymi planami sprzed lat. Przesunąłem promieniem latarki po ścianach aż do drzwi i znów oświetliłem ścianę z lustrem. Ta ubieralnia była mniejsza od tamtej, węższa co najmniej o dwie stopy, prostokątna, chociaż powinna być kwadratowa. Podeszedłem do ściany z lustrem i stuknąłem w nią kłykiem. Po stuknięciu poznałem, że to tylko przepierzenie z desek i gipsu, zrobione na podobieństwo prawdziwej ściany, która jest o dwie stopy dalej.

- Co tam? - szepnęła Rodrigo. Usłyszał stuknięcie i przyszedł z łazienki.

- Chyba trafiliśmy.

- Gdzie?

- Tutaj. Ale nie mogę... - Już obejrzałem w świetle latarki całe przepierzenie. Nie było żadnej szczeliny czy rysy, niczego co by wskazywało, że jest w nim otwór.

Nagle, gdy promień błysnął mi w oczy, odbijając się w lustrze, pojąłem, dlaczego. Oburącz spróbowałem zdjąć lustro ze ściany. Ani drgnęło. A więc nie zawieszono, tylko mocno przytwierdzone. Powiodłem palcami po krawędzi i coś wymacałem, małą dźwignię, która pod naciśnięciem poruszyła się i pstryknęła. Część przepierzenia zasłonięta lustrem powoli się otworzyła.

Znaleźliśmy sejf. Stał na półce łączącej przepierzenie z prawdziwą ścianą, jakoś mniejszy niż się spodziewałem, sześćian wysokości niecałych dwóch stóp, ale tak masywny, jakby był trzy razy większy. Na czarnej lakierowanej powierzchni widniało dumnie nazwisko fabrykanta z czerwonymi i złotymi zawijasami. Klamka sterczała pionowo w pozycji zamknięcia i pośrodku drzwiczek pyszniła się tarcza, na której w kółko biegły liczby od zera do stu.

- Brawo, Staddon - powiedział Rodrigo.

- Potrafisz otworzyć?

- Oczywiście. Poświęć na tarczę.

Zgodnie z informacją Gleasure'a kombinacja składała się z trzech dwucyfrowych liczb, końcówek roku urodzenia Victora, „Mortimera i Hermiona. W urzędzie rejestracyjnym Hereford Rodrigo ustalił, że były to lata 1868 (Victor), 1864 (Mortimer) i Hermiona 1858. Znaliśmy więc liczby: 68-64-58. Jeżeli ten sejf otwierało się tak samo, jak mój sejf biurowy, pierwszą liczbę należało przekreślić cztery razy w kierunku odwrotnym do wskazówek zegara, drugą trzy razy w kierunku wskazówek zegara, a trzecią dwa razy znów w kierunku

odwrotnym. Potem pozostawało przywrócić tarczę do pozycji pierwotnej, żeby utworzyć mechanizm i zwolnić klamkę.

Rodrigo podszedł, a ja skierowałem promień latarki na tarczę. Ujął dwoma palcami środkową gałkę i po chwili zaczął obracać prze-powiadając sobie pod nosem kolejność czynności.

- *Sessenta e oito... Em sentido unti horário... Um, dois, três, quatro... Agora, sessenta e quatro em sentido horário... Um, dois, três...*

Por fim, cinquenta e oito em sentido anti-horário... Um, dois... Agora, se Deus quiser...

Ostrożnie przekręcił tarczę ostatni raz. Pstryknęło. Wtedy nacisnął klamkę i uchylił drzwiczki. Spojrzał na mnie, uśmiechnięty.

- Może powinienem tym zarabiać na życie, Staddon?

- Co tam jest?

- Testament, mam nadzieję i modłę się. Zobaczmy.

Otworzył drzwiczki na oścież. W świetle latarki ukazały się trzy półki pełne porządnie ułożonych dokumentów. Ku mojemu zdumieniu na najwyższej półce było też kilka plików wyraźnie nowych banknotów. Przyglądając się uważniej, zobaczyłem, że to banknoty pięcio-funtowe. Każdy plik na pewno zawierał kilka tysięcy funtów. Najdziwniejsza, najbardziej irracjonalna myśl przyszła mi do głowy. Wziąłem banknot z wierzchu jednego z plików i wsunąłem do kieszeni.

Rodrigo, zdumiony, łypnął na mnie groźnie.

- Co ty robisz?

- Później ci wyjaśnię. Szukaj testamentu. - Skierowałem promień latarki na niższą półkę. Rodrigo wzruszył ramionami i sięgnął tam.

Nagle usłyszeliśmy coś z prawej strony. Gdy raptownie się odwróciłem, pojąłem, że to zgrzyt klucza w zamku drzwi prowadzących do sypialni. W tej samej chwili szpary drzwi zajaśniały żółto, aż zaślniło w łazience za nami.

- *Porcaria!* - mruknął Rodrigo gasząc swoją latarkę.

Ale za późno było na taką ostrożność. Drzwi już się otworzyły. Światło nas załało, oślepiło mnie na chwilę. Usłyszałem podniesiony głos:

- Nie ruszać się!

Rozpoznałem ten głos z wstrząsem niedowierzania. To niemożliwe. Nie tylko zostaliśmy przyłapani, ale...

- Victor! - wykrzyknął Rodrigo.

Stał przed nami Victor Caswell w nocnych pantoflach, w piżamie i szlafroku. Stał na tle światła z drzwi sypialni, trudno więc było zobaczyć

wyraz jego twarzy. Ale nietrudno było zobaczyć dubeltówkę w jego rękach, wycelowaną prosto w nas.

- Nie ruszać się, obaj! - powiedział już normalnym głosem. - Jest nabita i strzelę, jeżeli będę musiał.

Za nim stała Imogen Roebuck. Była w szlafroku i wyglądała tak, jakby dopiero co zerwała się z łóżka. Ale jakoś nienaturalna była ta sytuacja, coś fałszywego miały w sobie te okoliczności. Dlaczego Victor nie jest w Londynie? I dlaczego, skoro jest tutaj, nie zastaliśmy go w jego sypialni?

- Panno Roebuck - powiedział przez ramię - proszę zejść na dół i zatelefonować do komisariatu w Hereford. Proszę powiedzieć, że przyłapaliśmy włamywaczy i zatrzymamy ich do przyjazdu policji.

Imogen Roebuck odeszła bez słowa; usłyszałem, jak drzwi sypialni zamykają się za nią.

- Co pan zamierza? - usłyszałem ochryplą parodię własnego głosu.

- Przekażę was władzom. Cóż innego mogę zrobić z dwoma włamywaczami?

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nimi nie jesteśmy.

- Nie zdaję sobie z tego sprawy.

- Przyszliśmy tu zobaczyć pana testament. Dowiedzieć się, komu we wrześniu zeszłego roku zapisał pan swój majątek. - Kącikiem oka zobaczyłem, że Rodrigo, częściowo zasłonięty przed Victorem otwartymi drzwiczkami sejfu, sięga prawą ręką pod kurtkę. Domyśliłem się, po co, w tej samej chwili, gdy domyśliłem się, dlaczego Victor jest tutaj. Wiedział, że tu będziemy. Zastawił pułapkę, w którą wpadliśmy.

- Kto po panu dziedziczy? Nie chodzi nam o nic więcej.

- Rzeczywiście? No, policja w to uwierzy akurat tak jak ja.

- Ale to prawda.

- W takim razie jesteście większymi głupcami niż myślałem.

- Głupcami, bo daliśmy się nabrać, chce pan powiedzieć.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Gleasure nas wystawił. Ale pan wie o tym. Pan wie, bo pan mu kazał.

- Dość już usłyszałem! Zamknijcie sejf i wyjdźcie tutaj. - Victor cofnęła się o krok.

- Chce pan usunąć nas z drogi? W więzieniu żaden z nas nie będzie mógł panu zaszkodzić... ani pomóc Consueli.

- Powtarzam ostatni raz. Odejść od sejfu.

- Usłuchaj go, Staddon - powiedział Rodrigo tonem rezygnacji. - Lewą ręką zamknął drzwiczki. - Nie mamy przecież...

I nagle z nożem w prawej ręce uniesionym nad głową rzucił się w stronę Victora. Wrzasnął. Ale jego wrzask nienawiści i gniewu natychmiast zagłuszył huk wystrzału. Rodrigo obił się o ścianę przy mnie. Cały pokój się rozedrgał. Krew trysnęła na lustro i ściekała na podłogę. A on kaszłał i krztusił się, trzymając za pierś. Upuścił nóż i jak ścięte drzewo powoli się przechylił. Uderzył we framugę drzwi, osunął się na twarz.

Ucichł i wszystko ucichło, poza coraz rzadszym kapaniem krwi. Drganie jego rąk i nóg ustało, czerwona kałuża wokół niego już się nie rozszerzała. Dopiero wtedy odważyłem się spojrzeć na Victora. Bez tchu opierał się o drzwi sypialni, trzymając dubeltówkę przełamana, skierowaną w dół, w dymie unoszącym się z luf.

- Pan go zabił.

- Nie miałem wyboru. On albo ja.

Opadłem na kolana. Zobaczyłem twarz Rodriga, na pół odwróconą od podłogi w zakrzepłej krwi; jedno oko otwarte, patrzące ślepo.

- Pan tak właśnie zaplanował - mruknąłem. - Pan chciał, żeby tak się stało.

- Nikt oprócz pana nie będzie w to wierzył.

- On groził, że pana zabije, jeżeli Consuelę powieszą. To dlatego, prawda? Pan się bał, że dotrzyma słowa.

- Och, dotrzymałby, jestem pewny, a pan nie?

Z szcęknięciem Victor wsunął nabój w lufę dubeltówki. Nabili drugą lufę i zamknął obsadę. Nerwowo oblizując wargi odwrócił się do mnie.

- Wstawaj pan! - Zamierzał zabić mnie także. Mówiły o tym jego oczy. - Powtarzam, wstawaj pan.

- Po co? Żeby pan nie musiał wyjaśniać, dlaczego pan zastrzelił kłęczącego? Jestem nieuzbrojony, niech pan pamięta.

- Podnieś ten nóż.

- Nie.

- Podnieś, niech cię diabli!

- Nic z tego, Victor. Jedno zastrzelenie w samoobronie będzie wiarygodne. Ale w dwa nie uwierzą. Nie uwierzą, kiedy nóż jest tylko jeden.

Ogarnęły go wątpliwości. Widziałem, jak się kłębią pod drżącą maską jego twarzy. Przynajmniej na tyle go przekonałem, że jednak się zawahał.

- Victor! - Drzwi na drugim końcu sypialni otworzyły się i wbiegła Imogen Roebuck. - Co się stało? - Podchodząc do ubieralni zobaczyła martwego Rodriga na podłodze i mnie na klęczkach przy nim i to, że Victor celuje do mnie z dubeltówki, wszystko naraz, i od razu zrozumiała. Odmalowało się na jej twarzy zdumienie, ale nie zgroza, przerażenie, ale ani trochę paniki. - Słyszałam strzał. Myślałam...

- Rzucił się na mnie z nożem - powiedział Victor przez ramię.

- Nie żyje?

- Nie żyje - powiedziałem. - Victor się o to postarał.

Na sekundę oczy mu się rozszerzyły i zacisnął rękę na dubeltówce. Ale już panna Roebuck stanęła przy nim. Patrząc prosto na mnie, powiedziała:

- Może zejdźmy na dół i tam poczekajmy na policję.

Victor, chociaż wyraźnie chciał dokończyć to, co zaczął, wiedział, że chwila po temu minęła.

- Dobrze - zgodził się niechętnie. - Chodźmy.

- Czy dubeltówka jeszcze nabita?

- Nabiał ją po zastrzeleniu Rodriga - poinformowałem.

- Victor - położyła dłoń na jego ręce, którą trzymał dubeltówkę, tak że palec wskazujący miał o pół cala od spustu. - Nie myśl... - Napotkała mój wzrok i urwała.

Zauważyłem, że zaczerwienił się ze wstydu, bo musiał pojąć, co w nim wykryłem: tę gotowość do posłuszeństwa wobec niej, skwapliwą nieomal służalczość, byleby tylko ona opanowała sytuację. Zwieszając głowę zwolnił spust, otworzył zamek. Wyjął naboje, schował je do kieszeni i rzucił dubeltówkę na łóżko.

Wstałem. Panna Roebuck patrzyła na mnie teraz uważnie, ze zmarszczonymi brwiami, jak gdybym stanowił jakiś skomplikowany problem, który ona jednak czuje się na siłach rozwiązać.

- Chyba powinna pani wiedzieć, że... - zacząłem, ale mi przerwała.

- Porozmawiamy na dole. Tam spokojniej się zastanowimy. - Spojrzała na Victora. - Może byś się ubrał, Victor, zanim policja przyjedzie.

Ciężko westchnął popatrzył kolejno na nią i na mnie.

- Dobrze - burknął i szybko wyszedł z pokoju. Panna Roebuck gestem poleciła mi pójść za sobą. Pragnąc w tym momencie przede wszystkim uciec od widoku zwłok Rodriga i jego krwi rozchłapanej wokół nas, usłuchałem.

Na korytarzu Victora nigdzie nie było widać. Usłyszałem, jak panna Roebuck wychodzi z sypialni i zamyka drzwi na klucz. Odwróciłem się do niej.

- On chciał mnie też zabić, wie pani.
- Nie sądzę.
- Pani przyszła później. Postaram się, żeby policja...
- Niech pan posłucha. Policja będzie tu lada chwila. Nie marnujmy czasu. Co pan zamierza im powiedzieć?
- No... prawdę, oczywiście.
- A jaka jest ta prawda?
- Taka, że Victor zwabił tu dzisiaj Rodriga i mnie. Wiedział o naszym przybyciu. Zastawił pułapkę, żeby nas obu zamordować pod pretekstem samoobrony.
- Nie. - Potrząsnęła głową. - To na nic.
- Na nic?
- Nie uwierzą panu. Ani na sekundę. Ani trochę.
- Myli się pani. Mogę udowodnić, że wpadliśmy w pułapkę.
- Jak?
- Informatorem Rodriga był służący Victora.
- Gleasure tego nie potwierdzi.
- Więc dlaczego Victor przed końcem procesu wyjechał z Londynu?
- Dlatego, że już tam nie jest potrzebny.
- I dlaczego nie śpi w swojej sypialni?
- Nie została należycie wywietrzona. Wrócił niespodziewanie. - Słabość tego tłumaczenia nie wymagała wytknięcia. Patrzyliśmy sobie w oczy. Po chwili panna Roebuck powiedziała:
 - Powinniśmy wzajemnie się zrozumieć. Rodrigo groził Victorowi śmiercią. Chyba pan się zgodzi, że to nie była czcza pogróżka.
 - Więc pani przyznaje, że Victor zastawił pułapkę?
 - Chciał spowodować, żeby Rodriga aresztowano i deportowano.
 - A ja?
 - Przecież Rodrigo pana w to wciągnął, a nie my. Ale nie przeczę, że przewidzieliśmy pana udział. Bez pana trudno by mu było dostać się tu do domu i szukać sejfu. No, my mogliśmy tylko go kusić. Zacząłby coś podejrzewać, gdyby Gleasure zanadto ułatwił mu sprawę.
 - Skąd wiedzieliście, że dzisiaj przyjedziemy?
 - Już wczoraj po południu, kiedy tu przyjechała Hermione, zorientowałam się, jaki macie plan. Zaalarmowałam Victora natychmiast.

- Więc po co ten pies, to szkło na murze, te rygle?

- Z początku Victor myślał, że są taką ochroną, jakiej potrzebuje. Ale Rodrigo wciąż czatował. Czekał na szosie, kiedy Victor przejeżdżał. Chodził za nim po Hereford. Usiłował przekupić służbę. Przed procesem Victor był już zdesperowany. Wprost przeciwnie niż pan myśli, nie zrobił nic, żeby ją uznano za winną. Niemniej wydawało się wtedy... i nadal się wydaje, że to najbardziej prawdopodobny wynik. A Rodrigo postawił sprawę jasno: zemści się, jeżeli jego siostrę powieszą. Więc co mieliśmy robić? Czekać na taką zemstę, jaką mu nakazywał jego prymitywny kodeks honorowy, czy nieszkodliwie go przynęcić?

- Pani uważa, że „nieszkodliwie”?

- Śmierć sam na siebie ściągnął. Daję panu słowo: chodziło nam wyłącznie o jego deportację do Brazylii. Jednak to, co się stało, zmieniło wszystko. Dlatego mówię panu tyle ile muszę. Niech że pan zrozumie i zgodzi się postąpić tak, jak panu radzę.

- Co pani radzi?

- Żeby pan sobie stąd poszedł. Teraz, zanim przyjedzie policja. Jeszcze jest czas. I Victor się temu nie sprzeciwi. Powie, że zaskoczył nieproszonego gościa i musiał strzelić, bo ten gość rzucił się na niego z nożem. Ja powiem, że byłam przy tym i że Victor nie miał innego wyjścia. Powiemy, że rozpoznaliśmy Rodriga dopiero, kiedy już leżał martwy. Dlaczego wtargnął tutaj, nikt nie wie. Będzie śledztwo oczywiście, Victorowi zadadzą wiele kłopotliwych pytań, ale...

- Ale więcej pytań by mu zadano, gdybym został tu i powiedział swoje. Czy to pani ma na myśli?

- To leży w pana interesie tak samo, jak w naszym. Jeżeli pan rzeczywiście zostanie, czeka pana w najlepszym wypadku oskarżenie o przestępstwo: włamanie i wtargnięcie na cudzy teren. I co istotniejsze, żeby podtrzymać swoją wersję, będzie pan musiał wyjawić, jaką rolę odegrały w tym Hermione i Jacinta... i dlaczego pan tak koniecznie chce pomóc Consueli. O ile mi wiadomo, jej największą nadzieją jest łagodny wymiar kary, a nie uniewinnienie. Ale czy sąd jej okaże łagodność, jeżeli wyjdzie na jaw kryminalny postępek jej dawnego kochanka? I jeżeli w rezultacie powstaną poważne wątpliwości, kto jest ojcem jej córki?

Zarówno żeby odwlec swoją reakcję, jak sprowokować reakcję Imogen Roebuck, zapytałam:

- Czy Victor naprawdę zmienił testament po narodzinach Jacinty?

- Może jeszcze mnie pan zapyta o zapisy w testamencie Victora? Otóż ja nie wiem. Nikt nie wie... poza Victorem i jego radcą prawnym. To znaczy, że ta fantastyczna teoria Rodriga, oczyszczająca Consuełę, absolutnie odpada.

- Ale czy to...

- Czas nagli. Albo zaraz pan stąd wyjdzie... albo zostanie. Wyjdzie pan, policja się nie dowie, że miał pan z tym cokolwiek wspólnego. I obiecuję, że Jacinta nie będzie w żaden sposób ukarana. Niech myśli, że nie mamy pojęcia, co dla pana zrobiła. Ale jeśli pan zostanie...

Dlaczego proste wydawało się tylko to, że nie mam wyboru? Dlaczego jedynym rozwiązaniem - nie pierwszy przecież raz w życiu - wydawała mi się ucieczka? Z trudem przełknąłem ślinę i zobaczyłem w oczach Imogen Roebuck błysk zwycięstwa.

- Drzwi frontowe są otwarte. Tak samo główna brama. Wysłałam tam Harrisa, żeby otworzył dla policji, i kazałam mu zaraz wrócić. Więc może pan wyjść tak, że nikt nie będzie wiedział. Skrótem przez sad dojdzie pan do szosy w pięć minut. W każdym razie lepiej trzymać się z daleka od alei wjazdowej.

Patrzyłem jej w oczy, ale nawet nie zamrużyła. Jej ironiczny wzrok mówił wyraźnie. Jeżeli wyjdę, jestem tchórzem. Jeżeli zostanę, jestem głupcem. Ale tchórz przynajmniej może mieć nadzieję, że przed następną bitwą nabierze odwagi, podczas gdy głupiec będzie głupcem zawsze.

- Musi pan już iść. To pana ostatnia szansa. - Prawie się uśmiechała. W jej tonie nie było ani trochę wątpliwości, co zrobię. Ona wiedziała i wiedziałem ja.

XVII

- I tak po prostu pan odszedł... nie postarał się pan jakoś zawiadomić Jacinty.

Zdumienie na twarzy Hermione Caswell błyskawicznie zmieniło się w oburzenie. Wyglądała staro i mizernie w szlafroku narzuconym na nocną koszulę, zbyt raptownie wyrwana z łóżka, żeby się uczesać i przypudrować, zanim zeszła do salonu Paprociarni, gdzie czekałem w tamten bardzo jeszcze szary poranek po śmierci Rodriga. Moje opowiadanie o tym, jak Rodrigo umarł - i jak ja potem postąpiłem - nie brzmiało dla niej lepiej niż dla mnie. Przemawiać za mną mogło jedynie to, że oparłem się pokusie i nie wyruszyłem z powrotem do Londynu od razu w nocy, tylko możliwie najwcześniej podjechałem do Paprociarni i uparłem się, by mnie zaanonsowano. Musiałem jej wyjaśnić, co zaszło, bo innej możliwości przekazania tego Jacincie raczej nie miałem.

- Nie wiem, co powiedzieć, panie Staddon. Rzeczywiście nie wiem, co powiedzieć.

- Nie było alternatywy. Chyba pani rozumie.

- Z pewnością rozumiem, że pan alternatywy nie szukał.

- Ale co, pani zdaniem, powinienem był zrobić? Zostać, żeby mnie aresztowali? Żebym wplątał panią... żebym wplątał Jacintę w sprawę spisku przeciwko jej ojcu? Żebym sabotował obronę Consueli popisywaniem się swoją miłością do niej?

Hermione ugryzła się w język i odwróciła się ode mnie. Z westchnieniem rozsunała zasłony w oknie, wpuszczając wodniste pierwsze światło dzienne, i zadumana patrzyła na dachy i kominy Hereford, wynurzające się z mgły.

- Przepraszam - powiedziała. - Victor i ta kreatura Roebuck... przechytrzyli nas wszystkich. Nie powinnam mieć pretensji do pana o to, że jestem głupia.

- Oboje działaliśmy nierozsądnie, panno Hermione. Ani pani, ani ja nie pomogliśmy Rodrigowi, gdyby nie nagła konieczność ratowania Consueli. Dzięki takim wysiłkom jest jeszcze jakaś odrobina nadziei.

- Nie dla Rodriga.

- Nie. Ale dla Consueli. On nade wszystko pragnął ją ocalić. Gotów był za to oddać życie.

- Tak. I oddał. Ale nic nie osiągnął. Co mam od pana powiedzieć Jacincie?

- Że dalej staram się pomóc jej matce w każdy możliwy sposób.

- Czy na pewno Victor jej nie ukarze?

- Jakżeby mógł, jeżeli nie chce, by myślała, że zamordował jej wujka, a nie zabił go w samoobronie? Nie. Victor teraz musi stąpać bardzo ostrożnie. Już panna Roebuck tego dopilnuje. Więc i pani nie ma powodu się obawiać jakichkolwiek zarzutów.

- Rzeczywiście pan myśli, że panna Roebuck aż tak trzyma go pod pantoflem?

- Owszem.

- Jakich korzyści z tego się spodziewa?

- Nie wiem. Jest sprytna, ambitna i absolutnie bezlitosna. Może ma nadzieję wyjść za Victora. Być bogata, o wiele bogatsza niż mogłoby się to marzyć guwernantce.

- Ale Victor musiałby być wolny, żeby móc się z nią ożenić.

- Właśnie.

- Więc w jej interesie leży wyrok skazujący Consuelę.

- Możliwe. Pytanie tylko, czy...

- Czy przysłała jej taka myśl do głowy przed podwieczorkiem dziewiątego września?

- Właśnie.

- Czy ona tę sytuację sama spowodowała... czy tylko wykorzystuje?

- Logicznie biorąc, chyba to drugie.

- Ale pan podejrzewa to pierwsze? - Hermione odwróciła się od okna, żeby spojrzeć na mnie. Wyrazem twarzy powiedziała dostatecznie jasno że wie, co podejrzewam... i że się z tym zgadza.

- Nie ma ani strzępka dowodu.

- Więc co możemy zrobić?

- Nic.

- Nic?

- Tylko mieć nadzieję i modlić się, żeby przysięgli uznali Consuelę niewinną.

Środa, 23 stycznia 1924 r. (godz. 1.30 pp.)

Tak więc rozpoczął się w Old Bailey dziewiąty, i jak wszyscy przewidują, ostatni dzień procesu Consueli Caswell, oskarżonej o morderstwo. Piszę to w czasie przerwy obiadowej. Przedpołudnie całkowicie wypełnił swoimi refleksjami pan sędzia Stillingfleet. Podsumowanie, rozlazłe, bez żadnego poczucia kierunku, narzucało przysięgłym nastrój sztucznego patosu dosyć złowróżbny. I jeszcze się nie skończyło. Kiedy się skończy, sąd przysięgłych zostanie wyproszony z sali, żeby uzgodnić werdykt. Co nastąpi według wszelkiego prawdopodobieństwa już za parę godzin.

Teraz, pod koniec procesu, nagle jego początek wydaje się niedorzecznie zamierzchły - zostawiły go za sobą i zasłoniły tysiące wypowiedzianych słów. Jednak dama wielokapeluszowa dzisiaj znowu jest w różowym toczku jak pierwszego dnia. Nie mogę się nie zastanawiać, czy w ten sposób świadomie celebrytuje cykliczny charakter obrzędów sądowych, czy nieświadomie przyznaje, że wyczerpała swój rachunek u modystki. Tak czy owak, nawet śmierć by jej nie powstrzymała od przybycia tu na zakończenie.

O Boże, jak bardzo można natychmiast pożałować idiotycznego żartu. Nikogo z nas nie powstrzymała... w każdym razie ewentualność decyzji, że ma nastąpić śmierć. Chociaż może właśnie dlatego Victora tu nie ma. I może to po części powód nieobecności Geoff a w Londynie. Nadal jednak nie mam pojęcia, co Geoff robi i gdzie przebywa. Napisał na tej kartce, że ma nadzieję wrócić dzisiaj, więc pewnie wieczorem będzie czekał na mnie w klubie. Jeśli tak, jaką wiadomość mu przyniosę?

O podsumowaniu sędziego Stillingfleeta będę musiał powiedzieć, że nie trafi ono na najchwalebniejsze karty historii angielskiego prawodawstwa. Pan sędzia dokazał tego, co uważałbym za niemożliwość. Tę bardzo złożoną, interesującą sprawę ściągnął na miłąk płaszczyznę nudy. Nie mogę mu zarzucić stronniczości. Przedstawił wszystkie punkty widzenia wyraźnie i uczciwie. Niestety, zrobił to bez cienia bodaj werwy i zręczności, jaką przejawiał pan Talbot, a cóż dopiero mówić o sir Henrym Curtis-Bennettcie, którego końcowe przemówienie jednak wydaje się teraz - tak jak się obawiałem - należeć do wspomnień z czasów o wiele dawniejszych niż wczorajsze przedpołudnie.

Oto pointa refleksji sędziego - jeśli dotychczas była jakaś: o ile dowody przedstawione przez oskarżyciela są ważne, o tyle argumenty wysuwane przez obronę nie były przekonujące i żeby się pod nimi podpisać, trzeba by wierzyć, iż oskarżona padła ofiarą spisku. Pan sędzia Stillingfleet najwidoczniej w to nie wierzy. Przypuszczam, że wolno mu nie wierzyć. Ale na pewno mu nie wolno rozwodzić się nad niedociągnięciami obrony o wiele dłużej niż nad niedociągnięciami oskarżenia. Na pewno jest to kpina z tej właśnie zasady, której przestrzeganie zapowiedział na początku.

I widać, że on nie lubi Consueli. Nie lubi? Może zbyt łagodnie powiedziane. On czuje do niej przemożną odrazę, dzielnie tłumioną przez prawie, ale tylko prawie, cały czas. Kiedy trochę traci panowanie nad sobą, jego słowa nasuwają złowieszcze skojarzenia. Na przykład, kiedy już określił otrucie Rosemary Caswell jako czyn okrutny, popełniony „z zimną krwią”, później zauważył, że Consuela zeznając okazała „zimną krew”. W taki sposób owo niebezpieczne, zgoła fałszywe pojęcie może podsunął przysięgłym. Kto zamordował z zimną krwią? Oskarżona ma zimną krew. A więc oskarżona jest tym kimś.

Zanim proces się zaczął, nie wątpiłem, że sędziowie to ludzie rozumni, oświeceni, inteligentni, w odróżnieniu od ostatnich śmiertelników bezstronni i logiczni. Teraz stwierdzam, że nie są lepsi niż my wszyscy. Doskonali się w ukrywaniu uprzedzeń, ale ich się nie pozbywają, a sposobności do folgowania im mają niezliczone. No, może byłem naiwny wymagając, żeby sędziowie opierali się takiej pokusie. Bogiem a prawdą, sędzia Stillingfleet chyba czyni w tym kierunku pewne wysiłki. Ale same wysiłki to za mało.

Nie sposób poznać, czy Consuelę dotknęły niektóre jego słowa, czy wyczuła jego animozję. Dziś jeszcze bardziej zamknięta w sobie, dystansuje się w miarę jak decydujący moment nadchodzi. Piękna jest w tym samym czarnym kostiumie, w którym zeznawała w poniedziałek, tyle że kapelusz ma zsunięty niżej na oczy. I już nie patrzy przed siebie tak wytrwale. Często i długo wpatruje się w swoje ręce złożone na kolanach. O czym myśli? Czy choćby słucha przemówienia wysokiego sądu? A przecież na pewno wie - tak, jak wiemy my wszyscy - że właśnie dziś po południu tutaj, pod tą pretensjonalną kopulą Mountforda rozstrzygną się jej losy. Jak dotąd nie, zdawałoby się, nie przeniknęło muru obojętności, który zbudowała wokół siebie. Ale zanim dzisiejszy dzień się skończy, coś przeniknie.

Dopóki nie dojechałem do Ross-on-Wye, zadanie wydawało mi się proste. Wejść do papierni Peto udając amatora-numizmatyka, żeby zasięgnąć informacji. Czy ten banknot pięciofuntowy, zapytam, jest wydrukowany na papierze z waszej fabryki? Cóż może być prostszego? Jednak, gdy tam przyjechałem, opadły mnie wątpliwości. A jeżeli wzbudzę podejrzenia? Jeżeli natknę się na samego Peto i on mnie rozpozna? Co będzie, jeżeli ktoś tam wykrzyknie: „To ten którego szukają w związku z zabójstwem w domu Spod Obłoków”.

Pokonany własnym strachem, wycofałem się do gospody w miasteczku i ponuro zjadłem obiad, mój pierwszy posiłek od kolacji z Rodrigiem U Zieleniarza. Myślałem o tym, co się dzieje w domu Spod Obłoków po jego śmierci. Czy policja przesłuchuje Victora? Wszczyna śledztwo? Czy przeprowadzą sekcję zwłok? Wszystko to i więcej w swoim czasie musi być zrobione. Ale kiedy zaczną podejrzewać że ukrywa się przed nimi prawdę? Prawdopodobnie nigdy, o ile można polegać na pomysłowości Imogen Roebuck. Jakież to dziwne i niepokojące: ja mam nadzieję, że pannie Roebuck i Victorowi coś się uda. Oby nie udało im się nic innego.

Gdy zaprzątnięty takimi niewesołymi myślami, stanąłem przy barze nagle okazało się, że do tej gospody przywiodła mnie opatrność. Otyły, ubrany w garnitur z samodziału, niemłody jegomość, który podszedł tam przede mną, usiadł na stołku i zamówił „to, co zwykle”, a teraz wymieniał z barmanką wyświechtane uprzejmości. Słuchałem, z początku mimo woli, ale szybko z ich rozmowy wynikało, że on zajmuje w papierni jakieś stanowisko kierownicze, chociaż z pewnością nie tak wysokie, jak dawał do zrozumienia. Barmanka mówiła do niego „panie Howell”, śmiała się słabo z jego żartów i wyraźnie chciała, żeby ktoś ją od niego uwolnił. Zdecydowałem się oddać jej tę przysługę.

Howell był układny, egocentryczny, zadowolony z mojego zainteresowania jego pracą w papierni i zgoła nie ciekaw, dlaczego tak się interesuję. Czy to prawda, że papiernia Peto kiedyś produkowała papier dla Banku Angielskiego? Zaiste, prawda. Czy to prawda, że ta współpraca skończyła się po wykryciu kradzieży w roku 1911? Ku jego nieskończonemu ubolewaniu tak było. Gdybyż to on wówczas odpowiadał za ochronę terenu fabryki, oczywiście nigdy by do kradzieży nie doszło. Czy banknoty wydrukowane na papierze Peto nadal są w obiegu? Przypuszczał, że tak, chociaż od dawna żadnego nie widział. Czy rzeczywiście rozpoznałby taki banknot? Z całą pewnością, i jest

z tego dumny. Ma dobre oko, a znak wodny Peto jest niewątpliwy. Jakże to? Tu jednak była granica jego gadatliwości. Sekret firmy. Już nabrał wody w usta.

- Nieważne - powiedziałem. - Ale pan pozwoli, że zrobię mały eksperyment... dla mojej własnej satysfakcji. - Wyciągnąłem z portfela banknot dziesięcioszylingowy i podałem mu. - Czy to jeden z waszych?

Wziął banknot pod światło, ze znużeniem przymrużył oczy i potrząsnął głową.

- Stanowczo nie.

- Jest pan pewny?

- Jak najbardziej.

- A ten? - Zamieniłem banknot dziesięcioszylingowy na jednofuntowy.

Powtórzyły się oględziny z takim samym rezultatem.

- A ten? - podałem banknot pięciofuntowy, który zabrałem z sejfu Victora.

- Nawet nie muszę patrzeć. Za nowy, żeby był nasz.

- Mógł leżeć schowany.

- W skarpetce pod materacem, mówi pan?

- Coś w tym rodzaju.

- Dobrze. Zobaczę. Ale to nie jest... No, niech mnie kule biją!

- O co chodzi?

- Bardzo dziwne. Ten banknot... - Jeszcze raz się przyjrzał z widocznym zdumieniem. - Ma znak wodny Peto. Poznałbym go wszędzie.

Środa, 23 stycznia 1924 r. (godz. 3 pp.)

Po przerwie pan sędzia Stillingfleet potrzebował tylko pół godziny, żeby związać wątki swego podsumowania i odprawić przysięgłych na naradę. Tak więc teraz w wielkim hallu z marmuru i gipsu czekamy w grupkach po parę osób; niektórzy stoją, inni siedzą, niektórzy rozmawiają, niektórzy milczą - dziennikarze, policjanci, prawnicy i publiczność taka jak ja. Wszyscy zakłopotani wspólnym celem tego czekania, odwracamy od siebie wzrok, usiłując nie myśleć o tym, czego się spodziewamy.

Przy obiedzie sędzia najwidoczniej wyrzucał sobie, że zanadto uwziął się na obronę. Czy też może smaczne potrawy i wino go udo-bruchały. W każdym razie jego końcowe uwagi przeplatało upomnienie przysięgłych, żeby skazali oskarżoną, tylko jeżeli są całkowicie

pewni jej winy, i żeby ich werdykt był oparty na faktach, a nie na wrażeniach czy podejrzeniach, jakie mogli mieć w czasie procesu. Przysięgli muszą pamiętać, że dowody przeciwko pani Caswell to w znacznej części poszlaki. Ale również muszą pamiętać, że poszlak nie należy lekceważyć, bo poszlaki nieraz bywają decydujące. Teraz wreszcie przysięgli się naradzają.

Ile czasu to im zabierze? Kilku dziennikarzy zorganizowało totalizatora: o której przysięgli wrócą. Dzięki akustyce Mountforda słyszę urywki zdań: „postaw sześć pensów”, „punkt o wpół do piątej” i „ty chyba żartujesz” unoszące się w niegłośnym gwarze pod kopułą. Ale postać Sprawiedliwości zdaje się nie słyszeć. Patrzy na nas z góry z kamienną pogardą, wagę trzyma w podniesionej lewej ręce, w prawej mocno ściska rękojeść obosiecznego miecza. Może wie o tym, w co ja zaczynam wierzyć. Sprawiedliwość jest tylko nazwą, którą nadaliśmy cudacznej formie biznesu prowadzonego w tym przybytku wykoncypowanym przez Mountforda. Jej ceremonii i konwencji ściśle się przestrzega. Ale nie prowadzą one do prawdy ani do pewności. Jedyne prawda, dająca się tu rozpoznać, jest taka, jaką orzeknie sąd. A jedyną pewnością jest to, że często orzeczenie sądu odbiega daleko od prawdy.

Jechałem z Ross szosą do Ledbury. Właściwie nie wiem, czy miałem jakikolwiek plan. Oszukiwał mnie, myślałem. Victor Caswell oszukuje wszystkich udając człowieka innego niż jest. Nie mogłem myśleć o niczym innym. Chyba chciałem się zemścić, zdemaskować go przed tymi, którzy go szanowali.

Dopiero gdy dojechałem do rozstaju i miałem skręcić w kierunku Hereford, zawahałem się. Zatrzymałem auto przy drogowskazie. Townhope 5 1/2 mili. Mordiford i Hereford 12 mil. Czy rzeczywiście, chcę tam wrócić? Sam fakt, że mam banknot pięcioletni wydrukowany na papierze Peto nie jest żadnym dowodem: Nawet po stwierdzeniu fałszerstwa nikt by nie uwierzył, że znalazłem go w sejfie Victora. I teraz policja może już się dowiedziała, że Rodrigo zajeżdżał do Zieleniarza w Fownhope z towarzyszem. Gospodarz nie znał mojego nazwiska, ale mógłby podać rysopis - mój i mojego samochodu.

Siąpił deszcz, światło dzienne już uchodziło. Wyłączyłem silnik i zapaliłem papierosa, patrząc, jak kropelki deszczu zlewają się na przedniej szybie. Do Hereford dwanaście mil w lewo. Do Gloucester -

kierunek Londyn - piętnaście mil w prawo. Dobrze wiedziałem, w którą stronę skręcić. Ale jeszcze przez chwilę mogłem udawać, że nie wiem.

Prawie dopaliłem papierosa, gdy na szosie z Hereford ukazał się obszarpany, ociężały wędrowiec. Rozpoznałem go od razu - Ivor Doak. Z gołą głową, garbiąc się pod zacinającym deszczem, patrzył prosto przed siebie. Toteż chyba nie widział samochodu na poboczu i mnie, a byłem zanadto zdumiony, żeby nacisnąć klakson czy zawołać - bo miał na ramionach zarzucony jak peleryna kraciasty pled, który też rozpoznałem od razu. Ten pled podróżny Rodriga musiałem zgubić w ogrodzie Spod Obłoków tam, gdzie pies nas dopadł, i zupełnie o nim zapomniałem. Doak mi mówił, że wchodzi na teren Spod Obłoków i wychodzi, kiedy tylko chce, ale ja mu wówczas nie uwierzyłem. Teraz stwierdziłem, że mówił prawdę.

Na rozstaju Doak skręcił w lewo i poczłapał w stronę Ledbury. Może z tym pledem na grzbiecie wolał sobie poszukać noclegu z daleka od Hereford. Zastanowiłem się, ile on wie. Ile słyszał czy widział? W każdym razie pewną pociechą jest to, że nikomu nie powie. Ivor Doak ma swoje sekrety jak każdy z nas, ale lepiej niż większość nas ich strzeże.

Czekałem, dopóki nie zniknął mi z oczu, po czym włączyłem silnik i pojechałem szosą do Gloucester. Gdy samochód nabrał szybkości, spuściłem trochę szybę, wyciągnąłem z kieszeni pięciofuntowy banknot i przez tę szparę puściłem go na wiatr. Wydało mi się nagle, że bezpieczniej nie mieć nic, co by mnie łączyło choćby bardzo luźno z Caswellami. Chciałem już tylko być z powrotem w Londynie, gdzie moje kłamstwa i zaprzeczenia będą brzmiały przekonywająco nawet dla mnie.

Sroda, 23 stycznia 1924 r. (godz. 5 pp.)

Dwadzieścia po czwartej w hallu zrobił się zgietk. Przysięgli wrócili do sali. Ze zdumieniem, że powzięli decyzję w ciągu zaledwie dwóch godzin, i z niejaka urazą pośpieszyłem na swoje miejsce. Sir Henry Curtis-Bennett, chyba też zdumiony i urażony, wzruszył krzepkimi ramionami i uniósł brwi patrząc na swojego przeciwnika. Consuela już siedziała na ławie oskarżonych, prawie niewidoczna. Gdy sir Henry podszedł, jednak wstała i wychyliła się do niego. Wydawało mi się, że ręce jej trochę drżą, ale może tylko spodziewałem się jej drżenia. Z pewnością dosyć spokojnie odpowiadała na to, co szeptał jej sir Henry. Raczej on przejawiał wzburzenie, niż ona.

Przysięgli wydawali mi się odprężeni wprost nieprzyzwoicie. Uśmiechali się i rozmawiali cicho, przysyłając usta stulonymi dłońmi. Równie dobrze mógłby to być jakiś małomiasteczkowy komitet, który będzie omawiał zbieranie funduszu na pomnik miejscowego bohatera wojennego. Niewiarygodne, zdumiewałem się, że tacy mają wyrokować o życiu lub śmierci.

Wkroczył sędzia Stillingfleet i gdy wszyscy usiedliśmy, nastąpiło coś, co nam powiedziało, że sprawa potoczy się jakoś nie tak, jak myśleliśmy. Woźny bez słowa podał sędziemu arkusz papieru zapisany cały z jednej strony i do połowy na odwrocie. Sędzia przeczytał pismo bardzo powoli w grobowej ciszy. Potem powiedział:

- Wiadomość od przysięgłych. Zechce pan to przeczytać, zanim skomentuję.

„Zechce pan” odnosiło się wyraźnie do prokuratora, bo woźny zaniósł pismo najpierw Talbotowi. Gdy Talbot i z kolei sir Henry je czytali, cisza stawała się coraz bardziej namacalna. Nie spojrzałem na Consueę. Nie mógłbym. Zupełnie tak, jakby jedynym możliwym sposobem okazania jej współczucia w tych straszliwych chwilach było patrzeć gdzie indziej.

Wreszcie sędzia Stillingfleet wyciągnął nas wszystkich z dna dręczącej niepewności. To pismo, oznajmił, jest prośbą o wyjaśnienie. Przysięgli chcą wiedzieć, czy jeśli ktoś został zabity w przypadkowym zamachu na życie kogoś innego, można zgodnie z prawem uznać, że sprawca jest winny raczej zabójstwa niż morderstwa. Natychmiast pojąłem znaczenie tej kwestii dla werdyktu, ale za bardzo mnie interesowało, co odpowie sędzia, żebym się w niej dopatrzył skłonności przysięgłych do wyciągnięcia jakiegoś narzucającego się wniosku.

Sędzia okazał im wyrozumiałość niespodziewaną, zważywszy tonację jego podsumowania. Termin „zabójstwo”, wyjaśnił cierpliwie, można zastosować tylko wtedy, gdy strona winna nie mogła ani przewidzieć, ani uniemożliwić „przypadkowego rezultatu”, czyli wtedy, gdy nie mogła zapobiec, bo po prostu o takiej możliwości nie wiedziała.

Jego zdaniem to nie jest argument w sprawie przeciwko pani Caswell. Iz tym pan sędzia Stillingfleet odesłał przysięgłych z powrotem na naradę.

A nas odesłał na dalsze niespokojne czuwanie tutaj w marmurowym hallu, gdzie możemy do woli dumać nad znaczeniem pytania przysięgłych. Czy to znaczy, że przychylają się do werdyktu, że winna, ale odstrasza ich następstwo? Czy niektórzy z nich bardziej

wrażliwi usiłują znaleźć kompromis? Jeśli tak, to odpowiedź sędziogo nie pomoże, bo zabójstwo najwyraźniej odpada; muszą stawić decyzji czoło. A ta uwięziona w celi poniżej, czekająca na ich werdykt? Co ona myśli teraz, nie mam odwagi nawet próbować sobie wyobrazić.

Powrotna jazda do Londynu była długa i męcząca. Ciemność zapadła szybko, deszcz padał już ulewny. W High Wycombe, skąd miałem przed sobą tylko trzydzieści mil drogi, zatrzymałem się, żeby coś zjeść i wypić. W gospodzie Pod Dzwonem było pusto, ale przytulnie. Siedząc przy buzującym ogniu poczułem się bardzo wyczerpany wydarzeniami ubiegłej doby. Prawie chciałem zapytać, czy mają dla mnie jakiś pokój na noc.

Ale raptownie całą moją uwagę przyciągnęło nazwisko Caswell bijące z nagłówka gazety, którą czytał przy barze ktoś, kto wszedł przed chwilą. Na pierwszej stronie tej londyńskiej gazety, częściowo zasłoniętej jego palcami, dojrzałem słowa: „Przysięgli uzgadniają werdykt w procesie Caswell o morderstwo”. Wiedziałem, że zakończenie procesu Consuela się zbliża, ale głupio odsuwałem myśl, że jest tak blisko.

Wstrząśnięty, zapomniałem o zmęczeniu. Jeżeli przysięgli uzgadniali werdykt, zanim ta gazeta poszła do druku, to może już wrócili z narady i ogłoszono ich decyzję. Consuela może już wie, co ją czeka, podczas gdy ja przegrzewam nogi w jakiejś gospodzie w Buckinghamshire. Zostawiłem niedopite piwo i większą część kanapki i ruszyłem do drzwi, spoglądając na zegar za bufetem. Kwadrans po siódmej.

Środa 23 stycznia 1924 r. (godz. 7.15 wieczorem) Dwie i pół godziny minęło, odkąd przysięgli wyszli po raz drugi. Odliczając krótki czas, kiedy przyszedli do sali z zapytaniem, rozważają werdykt już ponad cztery godziny. Dziennikarze się irytują, nie wiedzą, czy zdążą podać wiadomość do swych wydań wieczornych. Policjanci są znużeni łażeniem tam i z powrotem, kiedy mogliby już być w domu i trzymać nogi wysoko, a prawnicy... nie sposób poznać, co oni myślą. Słyszałem kilka minut temu, jak któryś mamrotał „może będzie przerwa do jutra”. W takim wypadku pojęcia nie mam, jak ktokolwiek z nas - a cóż dopiero Consuela - upora się z tą grozą niepewności.

Ale tak nie będzie. Bo właśnie woźny przy drzwiach sali daje znaki. Przysięgli wrócili i tym razem to nie może być fałszywy

alarm. Hall pustoszeje błyskawicznie, wszyscy wokół mnie śpieszą na swoje miejsca. Muszę iść z nimi. Już widzę, jak ręka mi się trzęsie i linie wewnątrz dłoni lśnią od potu. Za drzwiami czeka sprawiedliwość. W jakim przebraniu?

Na Oxford Circus zatrzymała mnie tablica ogłoszeniowa kiosku z gazetami - zawiadomienie, którego się bałem. WERDYKT W PROCESIE CASWELL. Wyskoczyłem z auta i przebiegłem przez jezdnię pełen trwogi, ale i czując ulgę. W końcu - pamiętam, że tak pomyślałem - będę wiedział.

Ludzie rozchwytywali „Evening Standard”. Wysoka sterta wieczornego wydania błyskawicznie malała. Wziąłem tę gazetę. Gorączkowo obrzuciłem wzrokiem pierwszą stronicę - na próżno. Dopiero po chwili wypatrzyłem w wiadomościach z ostatniej chwili.

WERDYKT W PROCESIE CASWELL O MORDERSTWO

Consuela Caswell została uznana winną morderstwa i usiłowania morderstwa. Prawie pięć godzin zabrało przysięgłym uzgodnienie werdyktu. Sędzia skazał panią Caswell na śmierć przez powieszenie.

Tak więc skończyło się. Wmawianie sobie, że w żadnym razie do tego nie dojdzie, w żadnym razie nie uznają jej winną, w żadnym razie nie skazą na śmierć. A jednak skazali. Podjęli decyzję, a ja w tę deszczową londyńską noc pojąłem, że zaczyna się następna, jeszcze straszniejsza faza. Już gdy tam stałem wpatrując się w druk, jak gdybym siłą woli mógł przeinaczyć wydrukowany wyrok - skąpy przydział czasu dla Consueli, porcyjka samego życia - zaczął wygasać.

Środa, 23 stycznia 1924 r. (godz. 8.15 wieczorem) Niewiarygodne, jak szybko to załatwili. Jeszcze godzinę temu można było wnioskować, że przysięgli Consuelę uniewinnią. Teraz takie myśli są jak zdechłe myszy w pułapce gdybania, bo już wiemy na pewno, że nie. Co ta wiadomość pozostawiła po sobie? Opustoszały gmach sądu, karetkę więzienną w drodze do Holloway, moje pióro wypisujące te słowa.

Zapiszę to, zanim znużenie mnie obezwładni. Sala była zatłoczona pomimo późnej godziny, ale powietrze przenikał chłód może dlatego, że tak długo stała pusta, może... z innego powodu. Consueli nie było na ławie oskarżonych i sir Henry'ego nigdzie nie widziałem,

wchodząc. Przyszedł zdyszany i trochę zdenerwowany na parę sekund przed sędzią. Miałem co najwyżej minutę, żeby przyjrzeć się twarzom przysięgłych. Wydawali się bardziej posepnii, bardziej świadomi wagi swego zadania, niż przedtem.

Sędzia Stillingfleet wpatrywał się w barierkę ławy oskarżonych znacząco, jak gdyby zirytowany, bo jakże to, tam nikogo nie ma. Ale nie musiał czekać długo. Weszła u boku strażniczki Consuela. Chwyliła się za poręcz i ku mojemu zdumieniu rozejrzała się wokół, marszcząc brwi, z wyrazem nieomal zaintrygowania na twarzy. Jednego jestem pewny: w tym momencie wcale się nie bała. Była dobrze, jak mało kto spośród nas, przygotowana na to, co miało nastąpić.

Przedstawiciel oskarżenia zwrócił się do przewodniczącego sądu przysięgłych. Padło pytanie, czy werdykt został uzgodniony.

- Tak - odpowiedział przewodniczący.

- Jaka jest decyzja ławy w sprawie pierwszego zarzutu?

- Winna.

Na chwilę pokręciło mi się, który zarzut jest który. Ale zaraz przestało to mieć znaczenie.

- W sprawie drugiego?

- Winna.

Były w sali jakieś zachłyśnięcia, może stłumione szlochy, nie jestem pewny. I nie wiem, czy Consuela w jakikolwiek sposób zareagowała. Wlepiałem oczy w przewodniczącego sądu przysięgłych pragnąc zmusić go myśłą, żeby dodał parę słów - zalecenie miłosierdzia, apel o współczucie. On jednak tylko usiadł powoli.

Przedstawiciel oskarżenia odwrócił się w stronę ławy oskarżonych.

- Consuelo Evelino Caswell - powiedział - uznano cię winną otrucia Rosemary Victorii Caswell oraz winną usiłowania otrucia Victora George'a Caswella. Czy masz coś do powiedzenia, zanim wysoki sąd wyda wyrok?

Wszyscy, każdy mężczyzna, każda kobieta w sali patrzyli teraz na Consuelę, smukłą, wyprostowaną za barierką. Już nie marszczyła brwi. Twarz miała dziwnie łagodną i smutną. Spojrzała na przysięgłych, po czym prosto na sędziego.

- Nie - odpowiedziała spokojnie.

Za krzesłem sędziowskim ukazał się kapelan. Gdy się wycofał, zobaczyłem, że włożył sędziemu na głowę czarną czapkę.

- Oskarżona stojąca przed sądem królewskim - ton sędziego Stillingfleeta był teraz twardy, zdecydowany. Zastanowiłem się czy to

rozmyślne, czy raczej rytualne, tak jak ta czapka i forma zwracania się bezosobowo - po gruntownym i sprawiedliwym procesie, w toku którego słabo ją broniono, została uznana winną zarzucanych jej czynów. Zgadzam się szczerze z werdyktem sądu przysięgłych. Już samo uknuć zamordowania męża było dostatecznie niegodziwe, nawet jeśli obwiniona rzeczywiście wierzyła w jego niewierność. Ale dopuszczenie do tego, że ofiarą tak zbrodniczej intrygi padła nieświadoma złego, czysta młoda dziewczyna u progu kobiecości, dziewczyna, którą obwiniona znalazła prawie od kołyski, sprawiło, że jej wina jest niewybaczalna. Przeto bez wahania wydaję jedyny wyrok, na jaki odnośne prawo pozwala.

Mówiąc sędzia Stillingfleet wpatrywał się w Consuelę. Teraz spojrzął na papier leżący przed nim i zaczął czytać przepisową formułkę z jakimś machinalnym uszanowaniem, aż mi się przez jedną obłądną chwilę wydawało, że to modlitwa, którą my wszyscy powinniśmy z nim po cichu odmawiać.

- Ten sąd stanowi, że będziesz stąd zabrana do miejsca, skąd przy byłaś, a stamtąd będziesz zabrana na miejsce stracenia i że będziesz tam powieszona za szyję, dopóki nie umrzesz, a później zostaniesz po chowana na obszarze więzienia, gdzie w ostatnich swoich dniach byłaś zamknięta. I niech Bóg ulituje się nad twoją duszą.

Nagle zauważyłem, że dama w różowym toczku płacze. Czy spodziewała się tego? Czy przyniosła zapasową chustkę do nosa na wszelki wypadek?

- Amen - mruknął kapelan.

Ja także miałem łzy w oczach. Ależ głupiec ze mnie. Przywołałem całą siłę woli, żeby ukryć te łzy. Spojrzałem znów na sędziego, spodziewając się, że on powie coś jeszcze, ale szara biel jego peruki i szkarłat togi rozmasały mi się jak farby wodne w deszczu.

Sędzia już nic nie powiedział. Sekretarz wyszczekał:

- Czy skazana wnosi o odroczenie wykonania wyroku?

Dopiero później, gdy wychodziłem z sali za dwoma gapiami, lepiej poinformowanymi niż ja, dowiedziałem się z ich rozmowy, że tym pytaniem daje się skazanej kobiecie sposobność do wyjawienia, że jest w ciąży. Brzemiennej nie można powiesić. Mnie się wydawało, że to tylko okrutne i bezcelowe powtórzenie wcześniejszego pytania. Consuela zamiast odpowiedzieć, potrząsnęła głową.

Sędzia Stillingfleet odchrząknął i stanowczo, krótko polecił:

- Zabrać ją na dół. - Już mu się śpieszyło, chciał skończyć z tym i odejść.

Strażniczka wystąpiła, Consuela odwróciła się do niej. Jedną ręką nadal trzymając się barierki, znów rozejrzała się po sali i powiedziała coś po portugalska:

- *Desculpo senhores nome Deus - przynajmniej tak usłyszałem.*

Ponieważ nie zwracała się do nikogo z nas w szczególności, było to powiedziane do nas wszystkich. Ale sądząc z ciszy po tych jej słowach, wątpię, czy ktokolwiek z obecnych - poza nią samą - wiedział, co to znaczy. Skłoniła lekko głowę w stronę sir Henry'ego, przeszła obok strażniczki i zniknęła nam z oczu.

Wtedy wszystko stało się zamętym, nieskładnym powrotem do powszedniości. Sędzia Stillingfleet już bez czarnej czapki podziękował przysięgłym i zwolnił ich od służenia prawu na ileś tam, od razu zapomniałem, ile lat. Zebrał szeleszczące papiery, obciągnął togę, wstał i prędko wyszedł drzwiami za sędziowskim krzesłem, a my hurmem, ale niepewnie, więc tym większy zrobił się rozgardiasz, ruszyliśmy ku wyjściu jak publiczność, która wychodzi z teatru i woli ani nie chwalić przedstawienia, ani nie potępiać, bo a nuż to by zostało poczytane za absolutny brak rozeznania.

Oczywiście w tym wypadku niczyje zdanie nie nie znaczyło. Sprawa Rex versus Caswell się skończyła. Sprawiedliwości stało się zadość. Ja byłem wśród tych, którzy to zadośćuczynienie widzieli. I chyba dlatego tak trudno mi się z tym pogodzić. Dziś patrzyłem w oblicze sprawiedliwości i nie podobało mi się. Boże, wolałbym tego nigdy nie widzieć!

- Hej, bracie - warknął kioskarz wdzierając się w moje myśli - kupujesz pan gazetę czy za darmo czytasz? To nie jest jakaś, do diabła, czytelnia!

- Co? Och, przepraszam. - Dałem mu pensa i odszedłem. Gazetę dosyć niedorzecznie zostawiłem.

Skazana na śmierć przez powieszenie. Na oślep szedłem jezdnią do samochodu, a te wydrukowane słowa stały mi przed oczami, jak gdybym jeszcze się w nie wpatrywał. Skazana na śmierć przez powieszenie. Najgorsze słowa, jakie mógłbym kiedykolwiek przeczytać czy usłyszeć - tak mi się wtedy wydawało. Myliłem się, jak stwierdziłem później, gdy Imry mi powtórzył, co Consuela powiedziała wychodząc z sali.

Eu desculpo os senhores, em nome de Deus.

To rzeczywiście było najgorsze z wszystkiego. Consuela w imię Boga im przebaczyła. A oni tam nie zrozumieli.

XVIII

Możliwości ludzkiej duszy są zarówno straszne, jak żalosne. Przeczytałem, że Consuelę skazano na śmierć, i rozpacz, która mnie ogarnęła, zamknęła mnie w sobie. Ale na krótko. Już nazajutrz wyciąłem w niej okienko nadziei. Tak samo jak przedtem nie mogłem uwierzyć że uznają Consuelę za winną, teraz nie chciałem przyjąć, że naprawdę ją powieszą. Będzie apelacja. Jeśli zawiedzie, wyrok zostanie złagodzony. Znajdzie się»jakiś sposób, żeby darowano jej życie.

Bóg świadkiem, prawie nie miałem na czym racjonalnie opierać takiej nadziei. Prasa przekazywała nakreślony przez sędziego obraz Consueli, morderczyni o kamiennym sercu. Nie napływały do redakcji listy z domaganiem się miłosierdzia, zniesienia kary śmierci, nie było żadnych petycji, żadnych marszów ani interpelacji w Izbie Gmin. Milczenie opinii publicznej dawało się logicznie wytłumaczyć tylko jako zaaprobowanie wyroku. A przecież zdołałem tak sobie tego nie tłumaczyć. I nie ja jeden. Sir Henry Curtis-Bennett nie wątpił, że trzech sędziowie w sądzie apelacyjnym zobaczą rację tam, gdzie dwunastu nieczułych przysięgłych jej nie widziało. I Consuela, zapewnił mnie, podziela jego optymizm.

Co Consuela naprawdę myśli, oczywiście nie wiedziałem. W głębi ducha przychylałem się do zdania Imry'ego, który powiedział, że spodziewała się tego werdyktu, zaczęła przygotowywać się do nieszczęścia już od chwili aresztowania, więc lepiej potrafi to znieść niż ci, którzy wolą się karmić nadzieją. Po części z obawy, że Consuela może mnie skonfrontować z prawdą, byłem teraz rzeczywiście rad, że nie chce się ze mną zobaczyć, czyli nie muszę stanąć przed nią, spojrzeć jej w oczy w więziennej celi. Dzięki temu łatwiej mi przychodziło udawanie, wmawianie sobie, że na pewno jej nie powieszą.

Imry wprost przeciwnie, wcale się nie łudził. Był na całym procesie. Odczuwał ciężar procedury prawnej, jakim Consuelę obarczono.

Przewidywał wynik. Teraz mógł tylko bezradnie czekać na nierychliwe szpetne widzimisię prawa.

Imry pod pewnymi względami głębiej przeżywał skazanie Consueli niż ja. Był przygnębiony i zde gustowany jak wówczas, gdy wrócił z wojny. Moje wyznanie, że poniekąd przyczyniłem się do śmierci Rodriga, chyba przygnębiło go jeszcze bardziej. Nigdy dotąd nie widziałem go tak zgorzkniałego. Normalnie w trudnych chwilach to on mnie musiał podnosić na duchu. Teraz było na odwrót, a ja nie miałem jego daru uspokajania. W tych okolicznościach nic dziwnego, że zachorował na bronchit - zdaniem jego lekarza, wskutek dwóch tygodni przebywania w chłodzie i smogu londyńskiej zimy. Czułem się winny temu, że on jest w takim złym stanie, zarówno fizycznym, jak psychicznym. Ale żeby uciszyć wyrzuty sumienia, mogłem tylko pomagać gospodyni w doглядaniu go, gdy leżał w Słonecznej Chacie, i pod pretekstem jego choroby mówić o Consueli możliwie jak najmniej. Co, Bogiem a prawdą, nie znaczy, że mógłbym mówić o niej dużo, nawet gdybym chciał. Apelację wyznaczono na dzień 7 lutego. Do tego czasu jedynym sposobem prowadzenia codziennej egzystencji było zawieszenie wszelkich myśli o tym. Nadzieja rzecz krucha, nie wytrzymuje roztrząsania.

Milczenie było ponadto jedynym sposobem, żeby trzymać w karchach poczucie winy za śmierć Rodriga. Jak powiedział mi Windrush, wiadomość o jego śmierci zasmuciła Consuelę o wiele bardziej niż perspektywa jej własnej śmierci. Consuela nie może zrozumieć, dlaczego Rodrigo włamał się do domu Spod Obłoków, i nie wierzy w wyjaśnienie, które Victor złożył na przesłuchaniu tydzień później. Co wywnioskowała z oświadczenia policji, że Rodrigo przedtem był przez dwa dni w gospodzie U Zieleniarza w Fownhope z niezidentyfikowanym towarzyszem, nie odważyłem się Windrusza zapytać. Koroner przyznał, że nie da się wyświecić tego faktu i zamiarów Rodriga, ale zeznanie Victora chyba chętnie zaakceptował.

Victor podał następującą wersję: wyrwały go ze snu nad ranem odgłosy świadczące, że w domu jest jakiś intruz, więc najpierw poszedł obudzić pannę Roebuck i polecił jej wezwać policję, a potem zaczął badać sprawę, biorąc na wszelki wypadek dubeltówkę. Intruza zastał w ubieralni i strzelił, żeby się obronić przed tym mężczyzną rzucającym się na niego z nożem. Rozpoznał, kto to, dopiero gdy zobaczył go na podłodze martwego. Panna Roebuck zeznała, że weszła tam akurat w chwili strzału i że okoliczności były dokładnie takie, jak powiedział Victor. Nie miał wyboru, musiał strzelić.

Policjantom nie chciało się tego kwestionować. Nożem, który znaleźli przy zwłokach Rodriga, został przedtem zabity pies Victora. Na ostrzu były jeszcze ślady psiej krwi. Człowiek zdolny do rozprawienia się w taki sposób z brytanem, zdolny też jest do zaatakowania jego właściciela. Wszedł do domu przez niedomknięte okno na pierwszym piętrze po drabinie ukradzonej z pobliskiej farmy. Po co, nie wiadomo. (Najwyraźniej Victor już zamknął sejf i zasłonił lustrem, zanim przyjechali, chociaż nawet gdyby tego nie zrobił, wątpię, czy byłiby bodaj trochę mądrzejsi).

O Consueli padła wzmianka w czasie przesłuchania tylko wtedy, gdy koroner wysunął przypuszczenie, że Rodrigo może jakoś chciał ją pomścić. Nie wydawało się to jednak przekonywające, bo data włamania niedogodnie poprzedzała datę wydania wyroku. W końcu więc koroner poprzestał na uwadze, że zamiary Rodriga umarły razem z nim, czyli nigdy nie będą znane. Następnie wyraził Victorowi współczucie „z powodu tej dodatkowej przykrości w trudnym już i bez tego okresie” i ponaglił przysięgłych, żeby orzekli zabójstwo w samoobronie, co też uczynili szybko i usłużnie. Victor wyszedł całkowicie oczyszczony.

Od Hermione Caswell nie miałem żadnych wiadomości. Może Hermione też schroniła się w milczenie, żeby lżej znosić naszą bezsilność. Tak czy owak, nie wiedziałem, jak Jacinta zareagowała na te wydarzenia. Oby tylko nie straciła wiary w moje zapewnienie, że jakoś uratujemy jej matkę. Ostatecznie ja to sobie wmawiałem. Obiektywną ocenę takiej nic nie wartej postawy wepchnąłem w najgłębsze zakamarki myśli, gdzie powinna być, jeśli niezapomniana, przynajmniej ignorowana. Przyszłość stała się czarną niewyobrażalną otchłanią. Im bliżej znajdowałem się krawędzi, tym dalej odwracałem wzrok.

Nazajutrz po prasowych doniesieniach o śledztwie w Hereford zatelefonował do mnie Clive Thornton z propozycją, żebyśmy zjedli razem obiad. Mówił tak, jak byśmy byli starymi kumplami, którzy dawno się nie widzieli. Oczywiście domyśliłem się, że chce ze mną porozmawiać o sprawie rozwodowej. Gdyby ta sprawa miała dla mnie istotne znaczenie, to bym odmówił. Ale nie miała, więc chyba łatwiej mi było się zgodzić.

Spotkaliśmy się u Simpsona na Strandzie. Jeszcze zanim Clive - w połowie zupy - przystąpił do rzeczy, przypomniałem sobie, dlaczego

go nie cierpię. Pieniądze, dobra prezencja i nimb wojennego herosa wpędziły jego głupotę w kompleks wyższości i sprawiły, że ten osioł ryczał bardzo butnie. Słuchając go. znów jak dawniej dziwiłem się, czemu w okopach Francji któryś z prostych szeregowców o socjalistycznych ciągotech nie przestrzelił mu tego mózdzku.

- Rozwód może być paskudnym przejściem dla wszystkich zainteresowanych. Więc pomyślałem sobie, że musimy pogadać. Inteligentnie, że się tak wyrażę.

- Nie widzę, w którym punkcie to dotyczy ciebie.

- Dobro Angie, mój stary, zawsze przede wszystkim leży mi na sercu, wiesz o tym.

- Ona cię prosiła, żebyś porozmawiał ze mną?

- Boże drogi, nie. Wyłącznie mój pomysł. Mój i patera w każdym razie. Otóż nam się wydaje, że ty nie podchodzisz do rozwodu prosto.

- Pod jakim względem?

- No, o ile wiem, powiedziałeś Angie... to znaczy, dałeś do zrozumienia... że mógłbyś wciągnąć do sprawy nazwisko biednego Turnbulla.

- Gdyby nawet. Akurat na to ona i on zasłużyli.

- Słuchaj, stary. Wiem, że moja siostra nie jest aniołem. Nigdy nie była. Małżeństwo z nią to nie łożo usłane różami. Błędy z obu stron, powiedziałbym. To zrozumiałe samo przez się.

- Nie dla sądu.

- Właśnie. Utrafiłeś w sedno. Nie dla sądu. Tu problemem jest maltretowanie. Chytre słowo w całej rozciągłości. Zostawia paskudny smak w ustach. Więc po co wysuwać je na pierwsze miejsce?

Zabieranie talerzy po zupie przerwało ten wstęp. Potem Clive przybrał ton bardziej poufny.

- Stary, karty na stół. Nikt z nas nie chce walki, prawda? I brudnej bielizny trzepoczącej na wietrze. Nie to. Byle nie to. Więc po wiem ci, co ja proponuję. Daj Angeli rozwód... ale taktownie. Niech niekwestionowaną podstawą będzie twoje cudzołóstwo, jeżeli wybaczysz takie wyrażenie. Wiesz, o czym mówię, na pewno wiesz. Zaaranżowany weekend w Eastbourne. Twój adwokat chyba potrafi znaleźć odpowiednią dziewczynę. To najmniej przykry sposób. Raz, dwa, zanim się obejrzyysz, sprawa załatwiona. I wtedy wszyscy i każdy z osobna wypływamy na czyste wody. - Rozpromieniony uśmiechał się zachęcająco.

- Chcecie, żebym wziął winę na siebie?
- Tylko w sensie technicznym. Wszyscy będą wiedzieli, że to rżnięcie przyjacielski. Takie dowody są na porządku dziennym. A kiedy jako przyczynę maltretowania podaje się okrucieństwo... och, oskarżenia zaczynają fruwać, że coś straszno.

W tym momencie podjechał wózek z pieczeni. Clive umilkł, żeby oglądać odkrojenia wołowiny. Gdy już miał talerz napełniony, a ja dostałem o wiele większą porcję kaczki, niż chciałem, zaczął od pierożków, dziabnął jeden widelcem, trochę uszczknął niepewnie i zapytał:

- Więc jak myślisz, stary?
 - Myślę, że chciałbym wiedzieć, co na tym zyskam.
 - Odpowiedź łatwa. Tylko się zastanów, co byś stracił, gdybyś wziął tamten kurs. Reputację, pieniądze. Reputację prawie zupełnie i pieniędzy niemało.
 - Pieniądzy?
 - Proste. Jeżeli... pójdiesz na rękę, Angie nie wystąpi o alimenty.
 - Rozumiem. Gotowa być aż tak wielkoduszna, byle tylko uniknąć skandalu.
 - Właśnie. - Pierożek został pożarty, Clive zajął się z kolei kartoflami. - Tak znacznie ładniej, nie przyznasz?
 - Może bym przyznał... gdybym nie był pewny, że mam w swojej obronie mocne argumenty.
- Clive w pół kęsa przestał jeść i podniósł wzrok.
- Przegrasz z kretelem. I w dodatku popadniesz w skrajną nędzę.
 - Uśmiechnął się. - Więc mogę siostrzyczko oznajmić, że pójdiesz jej na rękę?

Patrząc mu w oczy, zastanawiałem się, czy zdołałby pojąć, że jest mi wszystko jedno. Cóż znaczą dla mnie teraz pieniądze i reputacja? Czy pomogłyby mi ocalić Consueę, kiedy każdy sposób zawodzi? Od Thorntonów chciałem tylko, żeby mnie zostawili w spokoju. To wyłącznie - nic innego - skłoniło mnie do przyjęcia ich propozycji.

- Chyba możesz - odpowiedziałem w końcu.
- Doskonale, doskonale. Nie wątpię, że się opamiętasz. Kamień spadnie Angie z serca.
- Co słyhać u... mojej żony?
- Osowiła ostatnio, powiem ci szczerze. - Clive zjadł pierwszy kawałek wołowiny z chrzanem. - Nawet myślimy, Celia i ja, żeby zabrać ją ze sobą tam, dokąd jedziemy w przyszłym tygodniu. Wiesz, żeby trochę się rozerwała.

- Dokąd jedziecie?

- Nie mówiłem ci? Na Cap-Ferrat. Do willi Turnbulla. On wyszukuje ewentualne tereny pod hotele Thorntona, więc pater chce mnie wysłać na szybką inspekcję. Tam są pewne ciekawe możliwości.

Jakie to zręczne, jak dogodnie i w samą porę moja zgoda na dostarczenie podstawy do rozwodu oznacza, że Angela może ciągnąć flirt z Turnbullem bez obawy, bo już nie będę mógł tego przeciwko niej wykorzystać. Cóż za ironia. Uśmiechnąłem się mimo woli, daleki od oburzenia.

- Bawi cię coś, stary?

- Twoja rodzina, Clive, nic poza tym.

Zmarszczył brwi.

- Nie bardzo łapię.

- Nieważne. - Wychyliłem swój kieliszek wina do dna. - To wszystko już nieważne.

Dwa tygodnie od ostatniego dnia procesu do wysłuchania apelacji wydawały się z początku nieznośnie długie. Gdy dobiegały końca, nagle stały się straszliwie krótkie. Z początku mogłem patrzeć na datę 7 lutego w kalendarzu ze ślepym optymizmem. Ale w miarę, jak ta data się zbliżała, łuski opadały mi z oczu. Czemuż by trzech starców zaskorupiałych w służbie prawa miało się ulitować nad jedną z zastępu niezliczonych skazańców stających przed nimi? I jeśli się nie ulitują, jakiej nadziei jeszcze się ucześć? Consuela zdecydowała, że nie będzie tam obecna. Zresztą nie mogłaby sama zwrócić się do sądu, bo żadnych zeznań nie przewidywano. Sir Henry miał tylko przedstawić jej sprawę z całą siłą przekonywania, na jaką go stać, powołując się na brak bezpośrednich dowodów winy. Jako powód apelacji miał podać to, że przysięgli, wprowadzeni przez sędziego w błąd, skupili się raczej na orzeczeniu, kto otruł Rosemary Caswell, niż stwierdzeniu, czy dostatecznie udowodniono Consueli winę, oraz że wątpliwości, jakie budziła autentyczność anonimowych listów, wystarczają, żeby uzasadnić uniewinnienie jego klientki. Były już precedensy, nieraz badano niuanse podsumowania sędziego. Funkcjonowanie prawa w najczystszy sensie należy sprawdzać.

Windrush mnie poinformował, że rodzina Caswellów *en masse* też będzie nieobecna. I ja osobiście nie zamierzałem tam być z powodów, których wolałem nie analizować. Po prostu chyba pragnąłem odsunąć do ostatniej możliwej chwili konfrontację z losem Consueli. Z daleka

od wydarzeń w Królewskim Sądzie Apelacyjnym mogłem przynajmniej wmawiać sobie, że przechylają się na jej korzyść.

Dzień 7 lutego był słoneczny i absurdalnie ciepły, przymilała się Londynowi fałszywa wiosna, aż przebiśniewi rozkwitły w Hyde Parku. Pamiętam, co myślałem idąc rano tamtędy. Czy Consuela ze swojej celi w Holloway widzi jakieś kwiaty? Czy czuje zapach wiosny w powietrzu, jakkolwiek nadzieję?

Na Frederick Place dopadł mnie Kevin, który przeczytał w „Sketchu” o apelacji, ale przykróciłem jego ciekawość bezpardonową obojętnością. Reg nie wiedział, jakie ta apelacja ma dla mnie znaczenie, już jednak się zorientował, że coś przecież znaczy. Giles, jeszcze bardzo układny po grudniowym incydencie, kiedy to omal nie wyleciał z pracy, nie pozwalał sobie na żadne komentarze.

Przed południem miałem spotkanie z klientem w Beckenham. Pojechałem tam z wielu względów zadowolony, chociaż oczywiście moje roztargnienie sprawiło, że ten klient potem poszukał sobie architekta gdzie indziej. Po południu znów znalazłem się na dworcu Victoria i stamtąd pieszo poszedłem do biura, wiedząc, że będę musiał przejść koło Sądu Apelacyjnego na Strandzie - wiedząc to i zastanawiając się czy się tam zatrzymam i wejść, czy po prostu będę szedł dalej. Mogłem przywołać taksówkę, powiedzieć kierowcy, dokąd ma mnie zawieźć, ale gdy mijałem Pałac Buckingham i szedłem przez Mail, pragnienie dowiedzenia się i lęk przed dowiedzeniem się były we mnie idealnie zrównoważone. Na Trafalgar Square fontanny tryskały migotliwie, ludzie karmili gołębie - wszystko niewzruszone, normalne pod przewrotnie dobrotliwym niebieskim niebem.

I Strand. Prosto, bezlitośnie chodnik poprowadził mnie, prawie zanim to sobie uświadomiłem, do wież z kamienia portlandzkiego, śmiertelnie białych w ukośnych promieniach słońca. Ten ogromny, wymyślny i misterny gmach Sądu Apelacyjnego był śmiercią swojego twórcy. Przypomniałem sobie nieszczęsnego starego Streeta, do którego dzieł, odkąd ten gmach po raz pierwszy zobaczyłem, odnosiłem się z pogardą. Street w kwiecie wieku zamęczył się na śmierć, projektując sale i korytarze, i klatki schodowe ukryte za tą wspaniałą fasadą. Ale teraz wreszcie zrozumiałem stworzoną przez niego metaforę. Prawo rezydujące tam w całym swoim pokrętnym majestacie to za dużo, żeby mógł je pokonać jeden człowiek.

Wszedłem. Wielki hall, znany mi dotąd tylko z fotografii, był wysoko sklepiony i pełen ech jak katedra. Dolatywały do mnie urywki

rozmów, migały postacie w togach pod łukami wznoszącymi się 7, obu stron i jak otwarte bramy prowadzącymi na schody. Wszędzie wokół i powyżej mnie byli prawnicy, rozzemrani i niedosięgli jak myszy - uderzyło mnie to nagle - które chroboczą i uciekają do dziur w ścianach domu.

Podszedłem do tablic z ogłoszeniami pośrodku hallu i zacząłem czytać wokół sali po sali, w poszukiwaniu apelacji Consueli. Nigdy dotąd nie przypuszczałem, że jeden dzień może pomieścić tyle sporów prawnych, tyle kontrargumentacji, tyle sprzeciwów. I gdzieś zagubiona w powodzi apelacji, Rex versus Caswell zbliżała się do rozstrzygnięcia. Przeszukałem jedną kolumnę i odwróciłem się, żeby przeszukać drugą. Spojrzałem przy tym na schody w głębi hallu i w gromadzie schodzących zobaczyłem sir Henry'ego i Windrusha.

Pięciu ich było, w togach i perukach. Prędko idąc rozmawiali, poważni i przejęci. Gdybym nie zaszedł im drogi, chyba by mnie nie zauważyli.

- Sir Henry!

Zatrzymał się i z nim zatrzymali się tamci. Przez chwilę milczeli. Ich twarze powinny mi być powiedzieć, czego mam się spodziewać.

- Panowie wychodzą?

- Tak, Staddon - potwierdził sir Henry.

- Odroczenie?

- Nie. Wyrok zapadł kilka minut temu.

- Więc? - Teraz unikał mojego wzroku. Patrzył na podłogę, przesuwając ręką po swym podwójnym podbródku. To, co przewidywałem, uwidoczniło się w zakłopotaniu ich wszystkich. - Apelacja odrzucona?

Sir Henry westchnął.

- Z punktu, niestety.

- Więc... jak...

Zmobilizował się.

- Windrush i ja musimy zaraz pojechać do Holloway. Ufam, Staddon, że pan rozumie konieczność zawiadomienia pani Caswell bezwzględnie. - Spojrzył na jednego ze swoich towarzyszy. - Panie Browne, zechce pan podać panu Staddonowi szczegóły. My musimy już jechać.

Tak to o wydanym przez Sąd Apelacyjny wyroku na los Consueli powiedział mi młody człowiek w cichym kącie piwiarni George po

drugiej stronie Strandu, gdy tylko otworzyli ten lokal wieczorem. On pił piwo z lemoniadą, ja piłem whisky. Denerwował się, chociaż nie rozumiałem, dlaczego. Może czuł się jak młody lekarz, oznajmiający rodzinie pacjenta, że jego choroba jest śmiertelna. To, co miał do powiedzenia, było zarówno logiczne, jak nieuniknione, ale dotyczyło śmierci, a on nigdy przedtem nie musiał tego mówić. Z czasem przykrość, jaką sprawia przekazywanie takich wiadomości, powszednieje, chociaż nie osobom, którym się je przekazuje.

- Niestety, panie Staddon, sąd nie chciał przyjąć argumentów sir Henry'ego. Nie tylko poparł, ale pochwalił sposób prowadzenia procesu przez sędziego Stillingfleeta. Jeśli już, to uwagi tych sędziów były nawet bardzo surowe.

- A wątpliwa autentyczność anonimów?

- Oni najwyraźniej uznali, że wcale nie ma wątpliwości. Nawet zarzucili sir Henry'emu sofistykę. To go rozgniewało, chociaż oczywiście nie dał po sobie poznać.

- Nie uwzględnili żadnych okoliczności łagodzących?

- Nie. Mówiąc między nami - pochylił się ku mnie i zniżył głos - czasami trybunał lubi przytrzeć rogów wybitnym adwokatom, żeby broń Boże nie mieli zbyt świetnej renomy. Obawiam się, że dziś przyszła kolej na sir Henry'ego. Przewodniczący nastawił się... bardzo krytycznie.

- Kolej na sir Henry'ego? Przewodniczący się nastawił? Mówi pan, że życie Con... pani Caswell zależy od takich rzeczy?

Browne poczerwieniał i pociągnął łyk piwa. Moje oburzenie go speszyło. Ostatecznie starał się jak mógł wyjaśnić mi, co się stało. Nie on ponosi odpowiedzialność za chimery sądownictwa.

- Przepraszam - powiedziałem już spokojniej. - Zostawmy to. Tylko niech mi pan powie jedno. Co teraz trzeba zrobić?

Z wyraźną ulgą Browne wrócił na bezpieczniejszy grunt.

- No, w pewnej mierze to zależy od pani Caswell. Ona może poprosić sir Henry'ego o zaapelowanie w Izbie Lordów. Muszę jednak panu powiedzieć, że tam ułaskawienie jest wysoce nieprawdopodobne.

- Dlaczego?

- Bo możliwe tylko na podstawie, że sprawa ma wyjątkowe znaczenie społeczne.

- Czy niesprawiedliwy wyrok nie ma wyjątkowego społecznego znaczenia?

Browne skrzywił się.

- Jestem pewny, że prokurator generalny nie dopatrzy się w tym wyroku niesprawiedliwości.

- Więc... co pozostaje?

- Sir Henry niewątpliwie poradzi pani Caswell wnieść petycję do ministra spraw wewnętrznych. To jej jedyne wyjście.

- Czy jedyna nadzieja?

- No tak. Jeżeli minister spraw wewnętrznych nie zmieni wyroku śmierci wydanego na panią Caswell, wyrok trzeba będzie wykonać. Teraz, kiedy apelacja zawiodła, może ją uratować tylko decyzja polityczna.

- Decyzja polityczna?

- Decyzja podjęta przez polityków, chociaż po rozpatrzeniu w świetle prawa. Ten nowy rząd chyba nie będzie tak się opowiadał za karą śmierci, jak poprzedni. Z drugiej jednak strony mógłby chcieć pokazać, że nie jest „miękki” wobec zbrodni. Partia Pracy, mówiąc między nami, to wielka niewiadoma, jeśli chodzi o prawo i porządek.

- Uśmiechnął się niespokojnie. - Ta sprawa to coś w rodzaju precedensu dla nich.

Sędziowie załatwiają porachunki, politycy zdobywają punkty. Gdzie w tej dżungli małoszkowych uczuć i wątpliwych pobudek - pomyślałem - może znaleźć się miejsce, żeby zakwitł delikatny kwiat litości?

- Jeżeli minister spraw wewnętrznych będzie wolał nie interweniować - powiedziałem - to kiedy... to znaczy, jak szybko...

- W takich sprawach jest odwieczny przepis. Od skazania do stracenia muszą minąć co najmniej trzy niedziele.

- Trzy? I już?

- Im krótsze czekanie, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych stron. Tak czy owak, opiera się to na takiej teorii. Oczywiście, wniesienie apelacji spowodowało pewną zwłokę. Więc będą to raczej nie trzy, ale cztery niedziele, może nawet aż pięć.

- Pięć? Dla pana to aż pięć?

Znowu był wyraźnie zdumiony tym, że jego odpowiedzi mogą wydawać się komuś upiorne.

- Przykro mi, panie Staddon, naprawdę mi przykro. Ja tylko podaję panu fakty tak, jak mi polecił sir Henry. Jeżeli wyrok wykonają, to prawdopodobnie przed końcem bieżącego miesiąca.

- A wykonają?

- Nie wiem. Nikt z nas nie wie na tym etapie.

- Ale jak pan myśli?

Biedził się przez chwilę, podniósł szklanę z piwem, postawił ją z powrotem i powiedział:

- Myślę, że pan powinien przygotować się na najgorsze.

Na najgorsze. Jak zdołałbym przygotować się na to, czego nie pozwa-
lałem sobie przewidywać? Śmierć Consueli nie wskutek wypadku czy
choroby, nieszczęśliwego trafu czy zrządzenia sił wyższych, tylko z rąk
prawa była już postanowionym wydarzeniem, które nieubłaganie się
zbliżało. Walcząc, protestując w każdy możliwy sposób, nie odwraca-
jąc się, nie uciekając, miałem temu wydarzeniu stawić czoło w przy-
szłości odległej zaledwie o kilka tygodni. Kropka na dalekim horyzon-
cie zmieniła się w czarny ogrom.

Gdy wyszedłem z piwiarni George w tamten wieczór, wstąpiłem
do kościoła St. Clement Dunes. W kościele było cicho, spokojnie jak
w grobowcu. Ukląkłem przed ołtarzem i po raz pierwszy po śmierci
Edwarda modliłem się do Boga o wstawiennictwo.

Nazajutrz rano zatelefonował do mnie aplikant sir Henry'ego Curtis-
Bennetta i poprosił, żebym o szóstej wieczorem przyszedł do kancela-
rii, gdzie sir Henry i Windrush chcieliby się ze mną zobaczyć. Zapyta-
łem o wiadomości, ale powiedział, że nie ma żadnych. Próbowałem z
tego zaczerpnąć tyle pociechy, ile mogłem. W gazetach podano wynik
apelacji jako z góry przesądzone zakończenie. Nie nadając temu ani
tonu triumfu, ani ubolewania, po prostu stwierdzono, że prawu sta-
nie się zadość.

W Plowden Buildings, gdy tam przyszedłem, było już pusto. Sir
Henry przyjął mnie grzeczny, przygnębiony. Poprzedniego dnia
wzburzony i szorstki, teraz przejawiał znużenie. Windrush siedział w
półmrocznym kącie i najwyraźniej nie chciał stamtąd wyjść. Powitał
mnie zaledwie skinieniem. Zanim zaczęliśmy rozmawiać, wiedziałem,
że nic z tego, co powiedzą, mnie nie pocieszy.

- Młody Browne nakreślił panu sytuację? - zagaił sir Henry.

- Tak. Mówił o możliwości apelowania do Izby Lordów.

Sir Henry potrząsnął głową.

- Niestety. Prokurator generalny nie chce wysłuchać petycji.

- Więc jedyną nadzieją jest złagodzenie wymiaru kary.

- Rzeczywiście. Minister spraw wewnętrznych to humanitarny,

religijny człowiek, pobożny metodysta, o ile wiem. Może by nie chciał rozpocząć swojej kadencji od stracenia kobiety.

- Ale są komplikacje - wtrącił Windrush.

- Jakże?

Sir Henry westchnął.

- Po pierwsze: pani Caswell stanowczo twierdzi, że jest niewinna. My jej wszyscy, rzecz oczywista, wierzymy, cóż, kiedy jesteśmy w mniejszości. Ci, którzy jej nie wierzą, będą bardziej skłonni okazać jej litość, jeżeli ona w zamian okaże skruchę.

- Jak można wymagać od niej skruchy z powodu czegoś, czego nie zrobiła?

- To właśnie jedna z tych komplikacji - powiedział Windrush - Chociaż nie najpoważniejsza.

- Pan Henderson jest ministrem spraw wewnętrznych dopiero od dwóch tygodni. Prawdopodobnie nie czuje się jeszcze dostatecznie pewny siebie, żeby uchylać decyzje swoich podwładnych. Co więcej, jak może pan czytał w gazetach, jemu jest pilnie potrzebny okręg wyborczy. Minister bez mandatu do Izby Gmin to trochę jak szybko-biegacz bez jednej nogi.

- Właśnie szykuje mu się okręg wyborczy - powiedział Windrush.

- Umarł Dan Irving, poseł Partii Pracy z okręgu Burnley. Henderson tam pojechał i teraz stara się wygrać wybory uzupełniające. Mają się odbyć dwudziestego ósmego lutego. Do tego czasu Henderson będzie wolał nie wzbudzać w nikim niechęci. To na pewno.

- A jego wiceministra ja od dawna znam - dodał sir Henry. - Sir John Anderson jest surowy i nieugięty. Nawet przez myśl mu nie przejdzie zalecić złagodzenie kary.

- Więc... mówi pan, że...

- Wyznaczyli datę, Staddon - powiedział Windrush.

- Kiedy?

- Czwartek dwudziestego pierwszego. Tydzień przed wyborami w Burnley. Za trzynaście dni o dziewiątej rano wyrok ma być wykonany.

Tępo patrzyłem na niego przez chwilę, potem spojrzałem na sir Henry'ego.

- Czy ona... Consuela wie?

- Dyrektor więzienia zawiadomił ją wczoraj wieczorem.

- Jak... Pan się z nią widział później?

- Byłem przy tym, Staddon. I Windrush był. Przyjęła to z takim

spokojem, jaki okazywała przez cały czas tej pożałowania godnej sprawy. Jest... niezwykle kobietą.

- Ale... Co możemy zrobić?

- Bardzo mało. Będziemy się odwoływać z całą mocą perswazji, na jaką nas stać. I należy zwerbować przyjaciół pani Caswell, żeby swoimi listami do ministra Spraw Wewnętrznych poparli naszą prośbę. Poza tym nie mam nic do zaproponowania.

- Nic?

- Prasa nie jest życzliwa - wtrącił Windrush. - Cudzoziemka, katoliczka i winna... tak to widzą. Na kampanię prasową nie ma nadziei.

- I nawet gdyby wszyscy redaktorzy naczelni na Fleet Street byli po naszej stronie - powiedział sir Henry - wątpię, czy cokolwiek by osiągnęli. Sir John nie lubi być przymuszany. Tym twardsze ma wtedy serce. Jego doradcy prawni przedstawili mu sprawę jasno: nie widzą podstaw do złagodzenia wyroku.

Patrzyłem to na jednego, to na drugiego.

- Dla panów już nie ulega wątpliwości, że ją powieszają, prawda?

Milczenie było odpowiedzią.

Nagle sir Henry odchrząknął i wstał z fotela.

- Muszę jeszcze coś powiedzieć mojemu aplikantowi, zanim pójdzie do domu. Darujcie. - To mówiąc szybko wyszedł, a Windrush i ja wpatrywaliśmy się w siebie poprzez cienie nad dużym dywanem.

- Ona jest zrezygnowana - powiedział Windrush po chwili. - Chyba zrezygnowała już wtedy, gdy ją postawili w stan oskarżenia. W odróżnieniu od nas, cynicznych Anglików, wcale się nie spodziewała, że ją oszczędzą, bo jest niewinna.

Pominałem to milczeniem. Wydawało się, że nie więcej jest do powiedzenia, niż do zrobienia. Za ostatnią deską ratunku rozciągały się odmęty rozpaczy.

- Prosiła, żebym panu powiedział, co załatwiła dla Jacinty. Ostatnio myśli głównie o przyszłości córki. Zależy jej na tym, żeby ta mała nie została u ojca. Przed paroma tygodniami złożyłem w jej imieniu prośbę do radcy prawnego Caswellów. Ku mojemu zdumieniu, odpowiedź była pozytywna. Caswell zgodził się, żeby Jacintę adoptował jej wuj, brat matki, senhor Francisco Manchaca de Pombalho, kupiec kawy w Rio de Janeiro. Facet bogaty, chociaż nie tak jak Caswell. W każdym razie, nowe życie w dalekim kraju to chyba najlepsza perspektywa dla tej dziewczynki. Jest dość młoda, może zapomnieć...

o tym koszmarze... nie sądzi pan? - Nie odezwałem się, więc po chwili mówił dalej. - Dostaliśmy depeszę z Brazylii. Wuj Jacinty i jego żona już są na statku. Zaopiekują się nią, kiedy tylko przyjadą. Zarezerwowałem już trzy miejsca na parowiec do Brazylii, który wypłynie z Liverpoolu dwudziestego drugiego, nazajutrz po...

Nie mamy żadnych słów - pomyślałem, gdy urwał - żadnych utartych konwencjonalnych zwrotów na określenie w pełni takiej sytuacji. Czy Windrush rozumie, dlaczego Consuela chce, żebym wiedział, co się stanie z Jacintą? Czy ja sam rozumiem? Wydawało mi się to teraz zgola nieważne.

- Chciałbym się z nią zobaczyć - mruknąłem tak bezbarwnie, jak tylko zdołałem.

Windrush uniósł rękę i czubkami dwóch palców zaczął masować sobie czoło, jak gdyby głowa go rozboleła.

- Miałem nadzieję, Staddon że nie będę musiał tego panu powiedzieć. Ona zdecydowanie nie chce pana widzieć. Prosiła, żebym tę sprawę postawił jak najbardziej jasno.

Tak więc ten zakaz miał pozostać w mocy. Otchłań, która się wytworzyła pomiędzy nami trzynaście lat temu, nie zamknęła się nawet w obliczu śmierci.

- Smutno mi, Staddon.

- Mnie też. Ale smutek nie pomoże, prawda?

- Nie pomoże.

- Pragnę... - Tylko że pragnienia, tak jak nadzieje i modlitwy, i każdy bezskuteczny wysiłek, były już na nic. Mrok za oknem i w pokoju, i w nas napierał, zasłaniał przyszłość. Mrok. Nie powiedziałem, czego pragnę. Wstałem i potykając się, bez słowa wyszedłem w tę mroczną noc.

XIX

Kiedyś, głupi, bo młody, uczestniczyłem w seansie spirytystycznym. To było na moim pierwszym roku w Oksfordzie, w mieszkaniu studenta, mojego sąsiada z tego samego piętra. Późnym wieczorem, zaopatrzeni w specjalne karty i w postawioną do góry dnem szklanekę, zaczęliśmy - siedmiu pijanych i usiłujących tego nie okazać, rozchichotanych kretynów - czynić wysiłki, żeby skomunikować się z kimś zmarłym. Powiodło nam się, czy przynajmniej tak się wydawało. Szklanka poszła w ruch, sunęła po wypisanych cyfrach i literach, z których odczytywaliśmy odpowiedzi na nasze pytania. Później Parkhause przysięgał, że ją popychał, co przyjęliśmy chętnie, by nie powiedzieć, skwapliwie. Ale w co każdy z nas rzeczywiście wierzył, to inna sprawa. Jeśli chodzi o mnie, nie mam co do tego większej pewności, niż miałem wówczas. Z początku to była nieszkodliwa zabawa. Miesiąc urodzin jednego z chłopaków. Panięskie nazwisko matki innego. I dalej beztrąsko byśmy to ciągnęli, gdyby jeden z nas się nie uparł, że koniecznie musi się dowiedzieć, w którym roku umrze. Szklanka znieruchomiała, bo duch (jeżeli to był duch) powstrzymał się od odpowiedzi, i seans zakończył się zgola niewesołym zwymyślaniem tego głupka.

Dlaczego - często się nad tym zastanawiam - zadałem takie pytanie? Co mnie opętało? Po diabła mi była taka informacja? Tylko dzięki niepewności śmiertelność jest do zniesienia. Śmierć to gość, którego wizytę można znieść łżej, tylko jeżeli jest niespodziewana. A przecież ja przez jedną chwilę obłędu usiłowałem odkryć, kiedy nastąpi. Jakie to uczucie otrzymać taką odpowiedź? Jakie to uczucie wiedzieć? Bogu dzięki, nie dowiedziałem się.

Ale Consuela się dowiedziała. Choć nie zadała pytania, otrzymała odpowiedź. Dziewiąta rano, czwartek, 21 lutego 1924 roku - czas i data jej egzekucji. Jedyny w swoim rodzaju przywilej skazańców: z góry znają dokładnie moment swojej śmierci.

Weekend po spotkaniu z sir Henrym i Windrushem spędziłem w Słonecznej Chacie, gdzie Imry już dochodził do zdrowia. Zrozpaczeni mówiliśmy sobie wszystko, co myślimy, i to nam przynosiło ulgę. Ni stąd ni zowąd przypomniałem sobie tamten zwariowany seans sprzed dwudziestu lat i nasunęło się inne pytanie, na które jednak nie chciałem otrzymać odpowiedzi. Czy śmierć Consueli ma być karą za moją podłość dawno temu? Czy to ja przypieczętowałem jej los, kusząc własny?

Jedynym światełkiem w mroku tego weekendu był fakt, że skończyły się między Imrym i mną sekrety. Opowiedziałem mu nie tylko, jak umarł Rodrigo, ale i o tych fałszywych pieniądzach znalezionych w sejfie Victora. Wyjaśniłem, co Malahide ściągnął na siebie próbując szantażu, i że list, który mi sprzedał, okazał się fałszerstwem. Wyznałem każdy haniebny szczegół sprzeniewierzenia się Consueli przed laty. Nie pominąłem, że chciałem uciszyć wyrzuty sumienia udzieleniem daremnej zresztą pomocy Doakowi. Wypowiadałem się nawet z tego, że dokładałem starań, by Imry'emu nie przypisano bodaj cząstki zasługi za hotel Thornton.

Ale uczciwością nie dało się zmienić sytuacji. Ani też nie mogliśmy zatrzymać czy przedłużyć skąpo przydzielonych Consueli dni życia. Pisaliśmy do ministra spraw wewnętrznych błagając, żeby pozwolił jej żyć. Pisaliśmy do prokuratora generalnego, do lorda kanclerza, do premiera, do samego króla. Nie spodziewaliśmy się - prawie nie mieliśmy nadziei, że któryś z nich zareaguje. Ich umysły były zamknięte, zabetonowane, żeby nie dopuścić do uznania, że prawo może się mylić. My, pewni, że w tej sprawie jednak się pomyliło, mogliśmy tylko trzymać się razem i dawać świadectwo prawdzie.

Czwartek, 14 lutego, dzień świętego Walentego. Pierwszy dzień tygodnia mającego być w myśl prawa ostatnim tygodniem Consueli na tym świecie. Fałszywa wiosna zniknęła, zimny wiatr ze wschodu niósł śniegi na ulice Londynu. W wagonie kolei podziemnej w połowie drogi pomiędzy Chancery Lane i Katedrą Świętego Pawła zobaczyłem na moim zegarku godzinę dziewiątą, tę właśnie, o której za tydzień... aż mi się wydawało że słyszę, jak bije dzwon. Czas odmierzany w coraz mniejszych ułamkach kładł się nękającym cieniem na moje wszystkie myśli i poczynania. Sir Henry powiedział, że o odroczeniu - jeśli będzie - zawiadomią go przed weekendem. Jeśli nie będzie, zgaśnie nawet ta wątła nadzieja.

Na Frederick Place, gdy przyszedłem, Doris zarumieniona chichotała nad walentynką, którą dostała od narzeczonego, a Kevin opłakiwał niedobrą formę Chelsea, klubu piłki nożnej, jak przystało na zawodzianego kibica. Równie dobrze mogliby mówić jakimś obcym językiem czy być w innym kraju, tak daleki się czułem od ich błahych zainteresowań.

Wycofałem się do gabinetu i usiadłem przy biurku. Wziąłem biurkowy kalendarz i zmieniłem datę 13 na 14, obliczając, że dokonam takiej zmiany jeszcze tylko pięć razy, zanim wszelkie obliczanie straci sens, skończy się zgrzytnięciem sworznia zapadni w innej części tego miasta, w którym bytuję z tysiącami takich jak Doris i Kevin, ale z jedną jedyną Consuela.

Plik korespondencji czekał i nie doczekał się, żebym się nim zajął. Patrzyłem na aparat telefoniczny: chyba jeszcze za wcześnie dzwonić do Windrusha, czy jest wiadomość. (Windrush po bezskutecznej apelacji zatrzymał się w Londynie na zaproszenie sir Henry'ego w jego kancelarii.) Spojrzałem na zegar: dochodziło dopiero wpół do dziesiątej. Wstałem, zdjąłem kapelusz i płaszcz, powiesiłem je na wieszaku, stanąłem przy oknie i zapaliłem papierosa.

Jakiś krępy niemłody mężczyzna w płaszczu nieprzemakalnym i w filcowym kapeluszu wkroczył na plac z Old Jewry i szedł w naszą stronę. Nie znałem go, przypuszczałem, że idzie do banku kupieckiego albo do Mercer's Hall, toteż trochę się zdziwiłem, gdy zboczył do naszych drzwi. Po dwóch minutach zdziwienie zmieniło się we wstrząs, bo Reg zaanonsował, że przyszedł do mnie naczelny inspektor Wright ze Scotland Yardu.

Wright, o nieco pomiętej, okrągłej twarzy z dużym nosem i gotowym uśmiechem, wyglądał raczej na folgującego sobie właściciela cukierni niż na bystrego policjanta. To wrażenie potęgowała wylewność, z jaką mi dziękował, gdy pomogłem mu zdjąć płaszcz, podsunąłem fotel i poleciłem Doris podać kawę. Ale jego sposób bycia wydał mi się podejrzany. Nie mogłem nie pomyśleć, że chce mnie wbić w nieuzasadnione poczucie wyższości.

- Jak pan zapewne wie, proszę pana, to ja prowadziłem śledztwo w sprawie otrucia u Caswellów.

Miałem chyba rację, będąc podejrzliwy. Po takim wstępie zawahałem się: czy przyznać, czy zaprzeczyć, że dobrze znam tę sprawę. Powiedziałem wykrętnie.

- Myślałem, zważywszy niedawny proces, panie inspektorze, że to śledztwo się skończyło.

- Rzeczywiście, proszę pana. Ale zostało jeszcze coś niecoś do wyświeślenia. Pan, o ile mi wiadomo, jest jednym z przyjaciół pani Caswell.

- Skąd to przypuszczenie?

- Lista tych, którzy napisali do ministra spraw wewnętrznych z usilną prośbą, żeby złagodził wyrok, nie jest, proszę pana, długa. Pana nazwisko tam figuruje i nazwisko pana Renshawa, pańskiego współnika.

- Przyszedł pan, bo napisaliśmy do ministra?

- Ależ nie! - Z uśmiechem na ustach umilkł, gdy weszła Doris i podała kawę. Zaczekał, aż ona wyjdzie, i podjął: - Policja się nie zajmuje tym, czy obywatele mają prawo wnosić prośby do swoich wybranych przedstawicieli. Boże broń! - Zamoczył sucharek w kawie i odgryzł klajstrowaty kawałek.

- Czemu więc zawdzięczam pana wizytę? - Postarałem się, żeby to pytanie zabrzmiało jak najobjętniej.

- Nazwałby się pan przyjacielem pani Caswell?

- No... W tym kontekście tak.

- Pan wierzy, że nie jest winna zbrodni, za którą ją skazano?

- Wierzę.

Przytaknął. Włożył do ust resztę sucharka. Przełknął.

- Czy pan znał jej brata, nieboszczyka senhora Rodriga Manchaca de Pombalho?

- Hmm... Spotkałem go przy paru okazjach, oczywiście.

- Przy jakich okazjach, proszę pana?

Teraz było dla mnie jasne, że trzeba Wrighta zmusić do wyłożenia kart.

- Panie inspektorze, chyba nie będzie nierozsądnie z mojej strony poprosić o wyjaśnienie celu tych pytań.

- To nawet bardzo rozsądnie, proszę pana. Wyjaśnię. - Urwał, żeby łyknąć trochę kawy. - Przyjmuję, że pan wie o niedawnej śmierci senhora Pombalho i o okolicznościach, w jakich zmarł?

- Wiem.

- Myśląc nieurzędowo, nie lubię werdyktów: zabójstwo usprawiedliwione. Budzą we mnie niepokój.

- Ja to zrozumiałem jako czystą sprawę samoobrony.

- Właśnie, proszę pana. Tak przysięgli zaopiniowali. Ale nie mam całkowitej pewności, czy wszystkie istotne fakty zostały im przedstawione.

- Naprawdę? No, nie przypuszczałbym.
- W przeddzień swojej śmierci senhor Pombalho mieszkał chwilowo w gospodzie U Zieleniarza w Fownhope. Cicha wiejska gospoda, gdzie zajeżdża niewielu opłacalnych gości, zwłaszcza zimą, toteż gospodarz dobrze zapamiętał senhora Pombalho. I jego towarzysza również. Ale oni nie podali mu swoich nazwisk i towarzysze senhora Pombalho się nie zgłosił, więc nie wiemy, kto to jest i gdzie go szukać. Naturalnie chcielibyśmy wiedzieć, pan rozumie. On może by nam powiedział, czy zeznanie pana Caswella w sądzie śledczym było zupełnie zgodne z prawdą.
- Współczuję panu, inspektorze, ale rzeczywiście nie rozumiem...
- Gospodarz Zieleniarza podał nam rysopis niezbyt pomocny, niestety. Głównie interesował się senhorem Pombalho. O tym drugim gościu mówił tylko, że to był dobrze ubrany Anglik w średnim wieku. Tak można określić spory procent dorosłej ludności płci męskiej, na pewno pan przyzna. Między innymi również i pana, na przykład, no nie?
- Tak, ale...
- Gospodarz zapamiętał auto tego gościa, chociaż numeru rejestracyjnego oczywiście nie zanotował. Morris „byczy pysk”. Prawie najpospolitszy samochód na jezdni. Nawet ja mam taki. Proszę pana, czy pan prowadzi auto?
- Tak. W istocie...
- Nie powie pan, że też ma takie? - wykrzyknął Wright z żartobliwym niedowierzaniem.
- Hm... owszem, mam.
- Jakiego koloru?
- Szafirowe.
- No, proszę. - Uśmiechnął się szeroko. - Coś już się wyłania.
- Co się wyłania, panie inspektorze?
- Zapytam tylko z ciekawości, proszę pana. Dwudziestego drugiego stycznia gdzie pan był?
- Hm... tu w Londynie, chyba. - Natychmiast pożałowałem tego kłamstwa, lękając się, że Wright zażąda udowodnienia. - Oczywiście, musiałbym sprawdzić... w moim terminarzu.
- Jasne. - Uśmiechał się jeszcze szerzej. - W trudnej sytuacji niełatwo mieć całkowitą pewność, prawda?
- Poczuję, że się czerwienię.
- Jeśli chodzi o pewność, inspektorze, to mam ją co do jednej kwestii. Nie byłem w Herefordshire.

- Nie spodziewałem się wyznania, że pan tam był.
- Pan sugeruje, że byłem?
- Skądże znowu, proszę pana. Nawet by mi się nie śniło. To tylko... no, musimy sprawdzać takie rzeczy. Pan rozumie?
- Nie bardzo. Czy będzie pan zadawać te pytania wszystkim, którzy napisali do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w sprawie pani Caswell?
- O nie, proszę pana.
- Więc dlaczego pan je zadaje mnie?
- Tak się składa, że pan ma auto tej samej marki i tego samego koloru, co auto owego towarzysza senhora Pombalho.
- Ale sam pan powiedział, inspektorze, że są setki szafirowych morrisów „byczy pysk” na jezdni. I pan przecież nie wiedział, że ja mam takiego morrisa, zanim pan tu przyszedł, prawda?
- Utrafił pan. - Swym uśmiechem Wright zaczynał mnie irytować, jak prawdopodobnie zamierzał. - Może powinienem panu wyjaśnić. Otóż dwa dni temu dotarł do Scotland Yardu anonimowy list zaadresowany do mnie. Z informacją, że to pan jest tym, który zatrzymał się z senhorem Pombalho U Zieleniarza w Fownhope.
- Ja? Ależ to jest...
- Co więcej, napisano, że pan razem z nim włamał się do domu Spod Obłoków nad ranem w środę dwudziestego trzeciego stycznia. Usłyszałem jak moja myśl skanduje: bądź spokojny, to jest podstęp. On niczego nie może udowodnić. Może nie wierzy w to, co mówisz, ale nie może tego podważyć.
- Nieprawda, panie inspektorze. Ja tam nie byłem.
- Z tym anonimem, wie pan, jest coś dziwnego. Charakter pisma zmieniony oczywiście, ale tak zwykle bywa. Ciekawe natomiast, że ten list, jak stwierdził nasz grafolog został napisany tą samą ręką, prawdopodobnie mężczyzny, co anonimy znalezione w pokoju pani Caswell, kiedy we wrześniu przeprowadziliśmy rewizję w domu Spod Obłoków. Nie ustaliliśmy, kto je pisał, i nie potrzebowaliśmy ustalać; to nie było istotne dla naszego śledztwa. Ale trochę mnie to zastanowiło, przyznaję. Dziwne, że napisał znowu po takim długim czasie, bardzo dziwne, doprawdy. I chyba jest w pobliżu domowników Caswellów, jeśli nie wśród nich. Inaczej skąd by wiedział, co się stało w domu tamtej nocy?
- Ale on nie wie, panie inspektorze. Myli się, bo mnie tam nie było.

- Tak pan mówi, proszę pana, tak pan mówi. - Patrzył na mnie przez chwilę bacznie. - Oczywiście moglibyśmy sprawdzić. Moglibyśmy zapytać U Zieleniarza, czy gospodarz pana rozpoznaje. Moglibyśmy zbadać pana alibi w tamtym czasie. Moglibyśmy nawet obejrzeć pana samochód, poszukać śladów gleby z Hereford. Czerwony piaskowiec łatwo odróżnić od londyńskiej gliny. Ostatnio było mokro, a błoto się przylepia.

Patrzyłem na niego wyzywająco.

- Nie mam nic do powiedzenia ponadto, co już powiedziałem.

Jego oczy złągodniały.

- Chyba jeszcze panu nie mówiłem, że urzędowo sprawa pani Caswell i sprawa śmierci jej brata są zamknięte.

- Więc dlaczego pan tu jest?

- Dlatego, że nie lubię być okłamywany.

- Ja nie kłamie.

- Ktoś kłamie, proszę pana. I dlatego panią Caswell może powieść w przyszłym tygodniu. O ile wiem, pan bardzo chce temu zapobiec.

- Chcę, ale... - Patrząc na uśmiechniętą twarz Wrighta, czułem się bezradny i niepewny. Nic z tego, co bym mógł mu powiedzieć o śmierci Rodriga, nie pomogłoby Consueli. A Victorowi, chociaż byłby w kłopotliwej sytuacji, na pewno by nie zaszkodziło. Victor i panna Roebuck po prostu zaprzeczyliby wszystkiemu, co bym powiedział. Najprawdopodobniej wyszłoby na to, że ja kłamie, a nie oni. - Bardzo chcę - dokończyłem niezręcznie.

Wright wyciągnął z kieszeni notes, wyrwał stronicę, napisał coś na niej ołówkiem i położył tę kartkę na biurku przede mną.

- Mój telefon wewnętrzny w Scotland Yardzie, proszę pana. Numer centrali Whitehall dwanaście dwanaście. Ale spodziewam się, że pan wie. To dosyć znany numer.

- Po co pan mi to daje, panie inspektorze?

- Na wypadek, gdyby pan chciał pilnie się ze mną skontaktować. W czasie od dzisiaj do... dwudziestego pierwszego w tym miesiącu. Potem, nie przypuszczam by pan uznał, że warto. Ale w tym czasie, jeżeli pan rozważy ponownie...

- Co rozważy ponownie?

- Swoją sytuację, proszę pana. Swoją... wersję wydarzeń. Prawda... cała prawda... jest chyba jedyną nadzieją pani Caswell. Dlaczego jej brat włamał się do domu Spod Obłoków? Czego tam szukał? Gdybyśmy wiedzieli, może właśnie to by pomogło. Szansa jest nikła,

muszę przyznać, ale realna. Byłoby szkoda, gdyby pani Caswell musiała umrzeć tylko dlatego, że jej tak zwani przyjaciele zatajają prawdę. Bardziej niż szkoda, rzeczywiście... hańba, tragedia. Nie zgadza się pan ze mną, proszę pana? Prawdziwa tragedia.

Nie mogłem pozostać na Frederick Place po wyjściu Wrighta. Potrzebowałem świeżego powietrza - przynajmniej tak świeżego, jakim służy Londyn - żeby wywietrzyć wątpliwości i niezdecydowanie, które Wright we mnie posiał. Więc wymyśliłem spotkanie z księgowym spółki i przez następnych parę godzin spacerowałem po zimnych, błotnistych od topniejącego śniegu ulicach, gdy wszędzie wokoło londyńczycy kotłowali się w pośpiechu, zajęci każdy własnymi sprawami.

Niedobrze było, że Wright mnie podejrzewa, o wiele jednak bardziej gnębił mnie fakt, że ów anonimowy osobnik znów pokazał swój zmieniony charakter pisma. Jeżeli - co teraz wydawało się prawdopodobne - on ma klucz do losu Consueli, trzeba ustalić, kim jest, ale treść ostatniego listu wszelkie przypuszczenia gmatwa. To nie może być Victor, któremu przecież zależy na zatajeniu mojej obecności w domu Spod Obłoków w noc śmierci Rodriga. Ale któż inny mógłby wiedzieć, że tam byłem? Nie widział mnie nikt poza Victorem i panną Roebuck. Tylko my troje wiemy, co wtedy zaszło. A jednak nie. Wie ktoś czwarty, kto podjął kroki, żeby policja też wiedziała.

Wcześniej po południu siedziałem w nawie katedry Świętego Pawła i podziwiałem ten niedościgły kształt dzieła Wrena. Moja niezdolność do wyobrażenia sobie i wykonania tak ogromnego i misternego zarazem projektu kojarzyła mi się z moją niezdolnością do wykrycia czy ogarnięcia intrygi, oplątującej Consuelę. I wstydziłem się, że jestem taki bezradny. Jedyna przysługa, jaką mógłbym Consueli oddać, to właśnie zadanie dla mnie niewykonalne. Nie lepszym jestem człowiekiem niż architektem.

Zmierzch już zapadał, gdy wróciłem na Frederick Place. Ku mojemu zdumieniu, Reg powitał mnie oznajmieniem, że mam gościa, który stanowczo zdecydował się na mnie zaczekać i usadowił się w moim gabinecie. Hermione Caswell.

- Mam nadzieję, że pan nie jest niezadowolony, panie Staddon. Ta pani się uparła.

- W porządku, Reg. Zorganizuj herbatę, dobrze?

- Oczywiście, proszę pana. Ach, byłbym zapomniał, pan Windrush do pana telefonował.

- Ma dla mnie wiadomość?
- Tylko taką, że nie ma żadnej. Powiedział, że pan zrozumie.
- Tak, rozumiem. Dziękuję, Reg.

Hermione, ubrana na czarno, była wyjątkowo ponura. Wydawało się, że nawet jej wrodzoną żywotność pokonały ostatnie wydarzenia. Przywitała się ze mną nieco oschle, chyba więc jeszcze nie darowała mi roli, jaką odegrałem w zawaleniu się naszych planów.

- Przykro mi, że mnie nie było, kiedy pani przysłała - powiedziałem, gdy tylko przyniesiono herbatę i zostaliśmy sami. - Co panią sprowadza do Londynu?

- Właśnie widziałam się z Consuelą.

- Ach tak. - Usłyszałem swój wymijający ton i gorzko go pożałowałem. - Nie wiedziałem, że ona przyjmuje odwiedziny.

- Wezwała mnie, nie mogłam jej odmówić.

- Victor prawdopodobnie by wołał, żeby pani odmówiła.

- Victor nie wie, że tu jestem.

- I nie dowie się?

- Nie. Wyjechał z kraju, panie Staddon... wróci nieprędko.

- Dokąd wyjechał?

- Na Cap-Ferrat.

- Rzeczywiście. Moja żona... - nabrałem głęboko tchu i postarałem się patrzeć na Hermione, nie odwracając wzroku. - Jak się czuje Consuela?

- Jest spokojniejsza niż pan czy ja, gdybyśmy byli na jej miejscu. Zrezygnowana, przypuszczam. Może zanadto zrezygnowana.

- Dlaczego chciała się z panią zobaczyć?

- Nie z tego powodu, którego się obawiałam.

- Jaki to był powód?

- Że ktoś może jej powiedział o zamiarach Victora.

- O jakich zamiarach?

- Victor zaprosił nas do domu Spod Obłoków w zeszłą niedzielę po południu na zebranie rodzinne. Mortimera, Marjorie, Spencera i mnie. Chciał nam powiedzieć, co planuje na przyszłość. To znaczy, dla Jacinty i dla siebie.

- Jeśli chodzi o to, że Jacintę ma adoptować żyjący brat Consueli, już wiem od Windrusha. To zostało załatwione na prośbę Consueli.

- Tak nam Victor powiedział. Zważywszy okoliczności - przez chwilę patrzyła na mnie złowrogo - to wydaje się najlepszą rzeczą,

jaką można dla Jacinty zrobić. Byłam zdumiona i zadowolona, że Victor się na to zgodził.

- Szczerze mówiąc, ja też.

- Może będzie pan mniej zdumiony, kiedy pan usłyszy, co jeszcze Victor nam oznajmił. Zamierza pozostać u majora Turnbulla na Cap-Ferrat do Wielkanocy, i wyjeżdża tam we wtorek. No i dwa dni temu wyjechał. Naturalnie zabrał ze sobą Gleasure'a. Raczej mniej naturalnie pannę Roebuck również. Ponieważ Jacintę zostawia w Hereford... ona teraz jest w Paprociarni... myślałoby się, że miejsce panny Roebuck jest przy niej, przynajmniej dopóki wuj Jacinty nie przyjedzie. Więc Marjorie i Mortimerowi bardzo to się nie spodobało, byli dotknięci w swoim poczuciu stosowności, ale nie oni, tylko ja poprosiłam Victora, żeby wyjaśnił, dlaczego ma być tak niemoralnie. Wcale go nie zakłopotало moje pytanie. Odpowiedział bezczelnie po prostu: „Wróć z panną Roebuck z Francji już jako jej mąż”.

- Co?

- On tam weźmie z nią ślub, panie Staddon, kiedy tylko... kiedy tylko będzie wolny.

Miałem pewność, że ta rewelacja jest rozwiązaniem, powodem wszystkiego, co się stało. Victor to ofiara Imogen Roebuck. Małżeństwo z nim to wybrana przez nią droga do bogactwa i wolności. Consuela, stojąca na tej drodze, została już usunięta. W odpowiednim czasie Victor może też zostanie usunięty. Tym się nie przejąłem. Na wszelkie cierpienia z rąk Imogen Roebuck w pełni sobie zasłużył. Ale Consuela cierpi niewinnie. Nie ona otruła Rosemary i oczywiście nie wie, jaki cel trucicielce przyświecał. Bo to był cel Imogen Roebuck.

- Ona nas pokonała, panie Staddon. Victor zgłupiał na jej punkcie. Widzi w niej jedyną sojuszniczkę, lojalną pocieszycielkę, kobietę bardziej godną pozycji jego żony niż kiedykolwiek była Consuela. Ożeni się z nią w Nicei na początku marca. Nic temu nie przeszkodzi... chyba że Consuelę ułaskawią.

- Czego nikt nie przewiduje.

- Właśnie. Zbliży się to najstraszniejsze.

- Musimy zawiadomić policję. Musimy się postarać, żeby wyciągnęli z tego wnioski.

- Ale jakie wnioski? Podejrzewamy, że panna Roebuck przeprowadziła to wszystko w celu wiadomym sobie i teraz nam. Że otruła Rosemary, żeby pozbyć się Consueli i przekonać Victora, że jego żona usiłowała go zamordować. Dobrze, ale nie mamy żadnych dowodów.

W istocie wszystkie okoliczności świadczą, że nie mogła tego zrobić. Więc co policja pomyśli? Tylko to, co już myślą z oburzeniem mój brat i bratowa. Że panna Roebuck jest chytrą damulką, która wykorzystowała sytuację, gra na uczuciach Victora, kiedy on zraniony, najbardziej potrzebuje serca, czyli postarała się wykorzystać okoliczności, ale ich nie spowodowała. Mortimer i Marjorie uważają jej postępowanie za haniebne, ale nie zbrodnicze.

Hermione miała rację. Instynkt nam mówił, że Imogen Roebuck jest trucicielką. Ale rozum, jeżeli w ogóle sięgaliśmy po rozum do głowy, mówił co innego. Skąd mogłaby Imogen Roebuck wiedzieć, że Rosemary i jej matka przyjadą do domu Spod Obłoków w tamto popołudnie? Gdyby nie przyjechały, Victorowi dostałaby się zabójcza doza arszeniku. I co wtedy z dążeniem panny Roebuck, żeby zostać jego żoną - czy może później wdową po nim?

- Cokolwiek pan zdecyduje, panie Staddon, myślę, że przedtem powinien pan poradzić się Consueli.

- Jakże mogę? Consuela nie chce mnie widzieć.

- Teraz już chce. Dlatego przyszłam tu dzisiaj. Mam dla pana wiadomość od niej. Chce się z panem zobaczyć. Jutro.

- Co?

- Chyba pan słyszy, co mówię.

- Ale... po tym wszystkim... Dlaczego?

- Dla tego samego powodu, dla którego chciała zobaczyć się ze mną. Chce znać prawdę o śmierci Rodriga. Wie, że policja usiłowała bez skutku wykryć, kto mu towarzyszył. Podejrzewa, że to pan. Zapytała mnie bez ogródek, czy tak było.

- I pani jej odpowiedziała?

- Moje zobowiązanie, powiedziałam, nie pozwala mi na to odpowiedzieć. Chyba znalazła w tym sformułowaniu odpowiedź. W każdym razie chce o to zapytać pana.

Cóż ja mógłbym powiedzieć Consueli? Żadne moje kłamstwo by jej nie zwiodło. Tego byłem pewien. A więc prawdę. Bezwzględnie prawdę. Że opuściłem Rodriga, gdy umierał. Akurat tak, jak opuściłem ją w życiu. Rodrigo umarł usiłując ją ocalić, a ja zdezorientowany tylko sprawiłem, że umarł na próżno.

- Czas odwiedzin: godzina wpół do trzeciej - powiedziała Hermione.

Patrzyłem na nią z nadzieją, że ona może wie, co powinienem zrobić.

- Myśli pani... myśli pani, że ja muszę...
- Consuela jest skazana na śmierć, panie Staddon. Czy trzeba pa-
nu o tym przypominać?
- Więc powiedzenie prawdy jest najmniejszą odrobiną tego, co jej
się należy ode mnie.

Hermione przytaknęła nieubłaganie.

- Absolutnie najmniejszą.

W nocy myślałem tylko o tym, co powiem Consueli. Już raz przygotowałem się na takie spotkanie, ale zostało mi odmówione. Od tamtego czasu sytuacja Consueli się pogorszyła, a we mnie pogłębiło się poczucie winy. Za wszystkimi prawniczymi wątpliwościami i sądowym rozmydleniem wznosiła się jedna niezaprzeczalna prawda. Gdybym trzynaście lat temu trwał przy Consueli tak jak jej przyrzekałem, teraz nie stałaby w obliczu śmierci. Gdybym postawił miłość i honor wyżej niż ambicję i bogactwo, nie miałyby czego się lękać. Ani ja też.

Windrush nadal nie miał wiadomości z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdy zatelefonowałem do niego nazajutrz rano. Nie powiedziałem mu, że później tego dnia odwiedzę jego klientkę. Nadal trudno mi było w to uwierzyć. Ale nadeszła pora, więc wyruszyłem posłuszny wezwaniu, z głową drętą od natłoku myśli, z niezbitą pewnością, że daremne były sposoby, jakich się chwyciłem, żeby przygotować się na tę chwilę.

Dojechałem koleją podziemną do Kentish Town i ze stacji szedłem na wschód i na północ w kierunku Holloway spokojnymi ulicami dzielnicy mieszkaniowej. Po śniegu padającym poprzedniego dnia nastąpiła odwilż, przyspieszana mdłym ciepłem słońca. Skręciłem na Camden Road i zobaczyłem z daleka więzienie: dym snuł się z komina w błękit nieba, mokre pochyłe dachy więziennych bloków jaśniały w słońcu oślepiającą luną. W połowie ubiegłego stulecia architekt miejski zarządził, żeby to więzienie jak większość zakładów karnych wówczas, zbudować w stylu średniowiecznego zamczyska. Zapewne nie mógł przewidzieć, że w siedemdziesiąt lat później inny architekt patrząc na te barbakany, blanki i groźne wysokie wieże, będzie miał mu za złe tak entuzjastyczne celebrowanie zemsty prawa, tak widoczną aprobatę kar wymierzanych w tych murach.

Zbliżając się, przyspieszyłem kroku. Droga do wartowni wydawała się nieskończenie długa, ogrodzona beznadziejnością, nie tylko strze-listym krenelażem więzienia. Raczej wyczułem niż zobaczyłem, że

porusza się kłapka judasza w bramie przede mną. Zanim zadzwoniłem, drzwi w bramie się otworzyły, stanęła w nich strażniczka z twarzą bez wyrazu.

- Pan w jakiej sprawie? - Pytanie było grzeczne, ale ton przerażająco surowy.

- Przyszedłem do więźniarki, do pani Caswell.

Nie okazała żadnej reakcji. Tylko skinęła głową i cofnęła się, żeby mnie wpuścić. Wartownia była ciemna, wysoko sklepiena. W kącie płonął ogień, ale ciepło stamtąd mnie nie dosięgało. Z drugiej strony wartowni żelazna brama prowadziła na brukowane podwórze. Z trzaskiem drzwi się zamknęły, strażniczka powiedziała:

- Proszę za mną.

Idąc wchłaniałem odgłosy kolidujące ze sobą, niewyraźne, przytłumione kamienną ścianą, schodami - zgrzyt klucza w zamku, szcęknięcie łańcucha - i zapachy: wilgoć sącząca się i rozszerzającą, ciekącą za tym wszystkim, wilgoć jak gdyby śmierci.

- Gość do skazanej - usłyszałem.

Zobaczyłem przed sobą inną strażniczkę przy biurku za rozsuwanym szklanym przepierzeniem. Na ścianie ponad nią wisiała obok zegara tablica z liczbami wypisanymi kredą w kratkach poniżej namalowanych nagłówków: „Więźniarki zarejestr. - 289”, „Odesłane z powrotem - 73”, „W szpitalu - 6”, „Uciekinierki - 0”, „Skazana na śmierć - 1”.

- Krewny czy przyjaciel? - zapytała strażniczka przy biurku.

- Och... przyjaciel.

- Spodziewany?

- Hm... Tak, chyba tak.

- Nazwisko?

- Staddon. Geoffrey Staddon.

Przejrzała jakąś listę, po czym podsunęła po biurku ku mnie starą grubą księgę.

- Proszę się wpisać.

Pióro było przywieszona na sznurku do grzbietu księgi. Sznurek się naciągnął nieomal do trzaśnięcia, gdy zanurzyłem pióro w kałamarni i wpisywałem drukowanymi literami w odpowiednich rubrykach imię, nazwisko i adres. Przy prawym skraju strony były kratki: „Czas przyjścia”, „Czas wyjścia”. Strażniczka, gdy skończyłem, szurnęła księgę ku sobie, mrużąc oczy spojrzała na zegar i wpisała godzinę: 2.27.

- Musi pan poczekać. Jest u niej radca prawny.
- Rzeczywiście? Nie...
- Ale ma pan szczęście. - Patrzyła teraz poza mnie. - Już wychodzi.

Odwrociłem się. Żelazna brama od strony podwórza szczęknęła, otwierana, i wyszedł Windrush. Brama się zamknęła, zgrzytnął klucz.

- Staddon! Więc pan będzie u niej ostatecznie. - Windrush wydawał się jeszcze bardziej chudy i blady, jeszcze bardziej zaniedbany niż zwykle, oczy miał podkrążone, włosy w nieładzie lepily mu się czoła. Nigdy dotąd go nie widziałem tak przytłoczonego ciężarem okoliczności.

- Pan wiedział, że mam być?
- Przed chwilą mi powiedziała.
- Ale pan myślał, że nie przyjdę?
- Raczej miałem taką nadzieję. Ze względu na pana.
- Co to znaczy?
Podszedł do mnie.

- To znaczy: nigdy bym nie przyjął tej sprawy, gdybym wiedział, że tak się skończy. Dzisiaj chyba jest najgorszy dzień w moim życiu. - Zapatrzył się w górę na cieniste sklepienie nad nami i westchnął. - Boże, co za straszne miejsce, naprawdę straszne.

Chwyliłem go za ramię.

- Dostał pan wiadomość z ministerstwa, czy tak?
- Dostałem definitywną odpowiedź. Właśnie przekazałem ją pani Consueli. - Zwiesił głowę. - Nie ma ulaskawienia, Staddon. Wykonanie wyroku w przyszłym tygodniu, jak zasądzone.

- Przecież...
- Nic już tego nie powstrzyma. Nic na świecie.
- Ale na pewno jest...
- Proszę pójść ze mną, panie Staddon. - Strażniczka, która mnie wpuściła, czekała przy bramie podwórza. - Musi pan wyjść o trzeciej, więc radzę nie tracić czasu.

Czas tak długi i tak krótki - trzynaście lat roztrwonionych, i pozostałe niecałe sześć dni - zamknął się wokół mnie, ciemniejszy i bardziej szczelny niż same te mury otaczające dwieście osiemdziesiąt dziewięć uwięzionych kobiet, których wkrótce, tak strasznie wkrótce, będzie dwieście osiemdziesiąt osiem.

- Panie Staddon!

Ręka mi opadła z ramienia Windrusha. Strażniczka obróciła klucz w zamku. Brama się otworzyła, żebym wszedł.

XX

Deprymujące podwórza, słabo oświetlone klatki schodowe, kręte korytarze. Jaki obszar przeszliśmy, w jakim kierunku i jakiej kolejności, nie potrafiłbym powiedzieć. Więzienie Holloway było dla mnie zawrotnym labiryntem pełnym przeciągów i ech, drzwi otwieranych kluczem i zamykanych na klucz, i właśnie kluczy, łańcuchów i rygli, niebieskich uniformów i szarych ścian, i zniżonych apatycznych głosów. Gdy doszliśmy do celu, czułem się tak, jakbyśmy przebyli, może nawet ryjąc pod ziemią, wiele mil i mieli jeszcze wiele mil do przebycia. Ale nie mieliśmy.

Strażniczka zatrzymała się przed otwartymi drzwiami, skinęła do mnie. Byliśmy w spokojniejszej części więzienia, pozornie pustej i cichej. Stałem na linoleum, goła żarówka paliła się nad moją głową, łąta światła dziennego podkreślona cieniem krat znaczyła się na ścianie przy mnie. Nagle pojąłem, że jesteśmy przed całą skazanej.

- Caswell, gość przyszedł - doleciał głos z głębi celi.

Wzdrygnąłem się słysząc to nazwisko bez „pani”. Więc pozbawienie wolności jest pozbawieniem wszystkiego. Powinienem być, oczywiście, przewidzieć: duża kara pociąga za sobą kary pomniejsze. Ale nie przewidziałem. Dopiero teraz objawiło mi się; codzienna egzystencja i poniżenie Consuela.

Postawiony w drzwiach stół tarasował dostęp do celi, przy stole stały naprzeciw siebie dwa krzesła. Za stołem zobaczyłem tylko kawałek gołej podłogi i ściany. Lada chwila, wiedziałem, Ona się pokaże. A ja jeszcze nie byłem gotów, jeszcze nie dorastałem do tego, cokolwiek mogło nastąpić. Podszedłem, odsunąłem krzesło i zmusiłem się, żeby spojrzeć. Na wprost mnie wysoko było zakratowane okno, a pod oknem stała jakaś kobieta. Przez sekundę myślałem, że to Consuela. Ale zaraz wzrok mi się oswoił z jasnością dnia. To była trzecia z kolei strażniczka.

- Nie wolno się dotykać. Nie wolno szeptać. Nie wolno nic dać więźniarce bez przedłożenia nam do inspekcji. Czy pan rozumie? - powiedziała ta, która mnie przyprowadziła.

Spojrzałem na nią i przytaknąłem, po czym znów spojrzałem w głąb celi.

- Witaj, Geoffrey.

Stała nie dalej niż o trzy stopy ode mnie, szczuplejsza niż ją pamiętałem, i jakaś - chociaż wiedziałem, że to niemożliwe - mniejsza. Włosy miała krótko ostrzyżone, policzki zapadnięte, oczy duże i błyszczące, cerę przezroczystą, może gorączkę, ale emanowała wielkim spokojem, pogodą ducha wśród przeciwności losu. Oczywiście, nieumalowana i bez biżuterii, była w luźnej przywiązanej w pasie za dużej szarej sukni ze zgrzebnej wełny. A jednak surowość tej odzieży i ponurego otoczenia tylko podkreślała jej urodę. Krasa młodości zaniżała, to prawda, ale zanikając odsłoniła doskonałość.

- Proszę, usiądź.

Usłuchałem. Consuela usiadła naprzeciw mnie i lekko oparła ręce o krawędź stołu. Nie nosiła obrączki - chociaż obrączkę ślubną chyba jej zostawiono, gdyby chciała. Za nią pomiędzy porządnie zasłanym wąskim łóżkiem i oknem stała pod ścianą strażniczka i patrzyła ponad nasze głowy na korytarz.

- Dziękuję, że przyszedłeś.

Nie usłyszałem w jej słowach ironii. To było rzeczywiście podziękowanie. A przecież zabolalo mnie bardziej niż wszelkie oskarżenia. Patrzyła na mnie bez uśmiechu, ale i bez niechęci, ani nie usprawiedliwiała mnie, ani nie ganiła. Napotkała mój wzrok i nie spuszczała oczu. Jedynym w nich wyrzutem była ich szczerość.

- Wiem, że chciałeś mnie odwiedzić przedtem. Tutaj i w Gloucester. Przykro mi, że nie mogłam na to pozwolić.

- Consuelo, ja...

- Proszę, nie wracaj do czasów, kiedy ostatnio się widzieliśmy. Nie próbuj wyjaśniać czy przepraszać. Stało się i tyle lat już minęło. Nie dlatego prosiłam, żebyś przyszedł.

- I tak...

- Uszanuj to moje życzenie, Geoffrey. Wiem, że mogę polegać na tobie pod tym względem.

- Pomimo że nie możesz pod żadnym innym?

- Tego nie powiedziałam i nie chciałam powiedzieć. Gdybyśmy się spotkali wcześniej, byłoby inaczej. Nienawidziłam cię za ten krzyż,

z jakim mnie zostawiłeś. Nienawidziłam, potępiałam i przeklinałam. Ale już nie czuję do ciebie nienawiści. To, co się ze mną dzieje, odsunęło na bok każdą taką myśl. Jesteś po prostu... byłem przyjacielem.

- I chyba czymś jeszcze? - Gdy zmarszczyła brwi, wyjaśniłem: - Mówię o Jacincie. - Spojrzałem ponad jej ramię na strażniczkę, która ostentacyjnie nie zwracała na nas uwagi. - Ona jest moją córką, prawda?

Consuela nie odpowiedziała. Wpatrywała się we mnie ze zdumieniem i politowaniem.

- Dlatego przysłałaś ją do mnie, prawda?

- Być może.

- Wiem, że nic mi nie jesteś winna... nawet mniej niż nic, ale chyba mi nie odmówisz pewności w takiej sprawie?... Nie teraz.

- Nie mogę dać ci pewności. Może jest twoja. Może nie jest.

Szukałem na jej twarzy jakiegoś znaku, czegoś, co by potwierdziło tę odpowiedź. Jeżeli nie ja, to Victor jest ojcem Jacinty.

Ale Jacinta została poczęta w lipcu 1911 roku. To wiedziałem na pewno. A w lipcu 1911 roku Consuela i ja... Absurdalnie poczułem nieomal oburzenie wobec zdrady. Ja, który straciłem wszelkie prawa do wymagania wierności, tak odczułem wątpliwość, którą wzbudziła we mnie Consuela.

- Wtedy - powiedziała powoli - wydawało się ważne, żeby Victor nie miał żadnych powodów do podejrzeń. Przypomnij sobie, dlaczego. - Spuściłem wzrok. Przeczytała w moich myślach, więc upomniała mnie tak, jak na to zasłużyłem. Cokolwiek zrobiła, chciała jak najlepiej. Podczas gdy ja... - Mam nadzieję, że jest twoja, rzeczywiście mam taką nadzieję. Stanowczo bym wołała, żeby odziedziczyła twój charakter niż charakter Victora.

- Miałem syna - mruknąłem. - Umarł.

- Nie wiedziałam.

- Skąd mogłaś wiedzieć.

- Przykro mi, Geoffrey. Straszna musi być utrata dziecka. Ale to sprawy nie zmienia.

- Nie myślałem, że zmieni. Twoja decyzja co do przyszłości Jacinty... jest najlepsza, jaką można podjąć.

- Tak uważam. Francisco to zacy człowiek i jego żona będzie traktować Jacintę, jakby była ich własna. Więcej nie mogę chcieć.

Oderwałem wzrok od stołu.

- Jeśli chodzi o Rodriga...

- Byłeś z nim, prawda? Nie zaprzeczaj, chyba że się mylę. Nie okłamuj mnie w tej sprawie. Nie chcę już kłamstw, zwłaszcza twoich. Wolę raczej milczenie. - Poczekała, żebym odpowiedział, ale nie odpowie działem. - Więc się nie mylę. Ty wiesz, co tam się stało i dlaczego.

- My... On starał się ocalić ciebie.

- Jak?

- Szukał testamentu Victora. Myślał, że sam sprytnie się dowiedział, gdzie testament jest ukryty. Myślał, że w testamencie może znajdzie klucz do wyjaśnienia tego, co się stało, i kto otrul bratanicę twojego męża. Ale to była pułapka, w którą wpadł.

- Victor zastawił pułapkę?

- Victor.

- Bo zamierzał zabić mojego brata?

- Możliwe, nie jestem pewny. W końcu to naprawdę mogła być samoobrona.

Dumała przez chwilę, po czym powiedziała:

- Geoffrey, chcę, żebyś wszystko powiedział Franciskowi. Jak i dlaczego Rodrigo umarł. I czym kiedyś byliśmy dla siebie. I nawet, że prawdopodobnie Jacinta jest twoją córką.

- Wszystko twojemu bratu?

- Chcę, żeby Francisco mógł to powiedzieć Jacincie, kiedy będzie na tyle dorosła, że zrozumie. Chcę, żeby знаła prawdę i wiedziała o mnie wszystko, chociaż ja wtedy już dawno nie będę żyła.

- Nie mów tak.

- Och, przecież muszę. Nie mogę wobec tego, co się stanie w przyszłym tygodniu, udawać że to się nie stanie. Stanie się na pewno. Definitywnie.

- Spotkałem tutaj Windrusha.

- Więc już wiesz. - Uśmiechnęła się słabo. - Widzisz, o ile łatwiej jest być uczciwym. Łatwiej dla siebie samego... i dla innych.

- Jeszcze jest nadzieja.

- Nie ma żadnej. Już się z tym pogodziłam. No, czy zrobisz to, o co cię proszę?

- Oczywiście. - Zebrałem wszystkie siły, żeby patrzeć jej w oczy bez drgnienia. - Solennie ci przyrzekam.

- Dziękuję.

- Nie miałbym ci za złe, gdybyś mi wypomniała, ile warte było moje poprzednie przyrzeczenie.

- Nie wypomnę. Myślę, że tym razem dotrzymasz słowa.

- Tak. Dotrzymam.

- Francisco i Ilidia przyplłyną do Liverpoolu w poniedziałek statkiem Hildebrand. Chciałabym, żebyś tam czekał na nich i towarzyszył im do Hereford. Bo chyba Hermione ci mówiła, że Jacinta jest w Pa-prociarni, teraz, kiedy Victor odpoczywa na Cap-Ferrat.

To był pierwszy ślad rozgoryczenia, jaki wyczułem w jej słowach. Czy wiedziała, że Victor planuje ożenek z Imogen Roebuck... czy dlatego nie miała na palcu obrączki - nie odważyłem się zapytać.

- Tak - mruknąłem. - Mówiła.

- Jak i kiedy powiesz Franciskowi to, o co cię proszę, pozostawiam tobie. Nie będzie ci łatwo. Zdaję sobie z tego sprawę i przykro mi. Ale kogo innego mogę poprosić? Kto inny wie, co mu powiedzieć?

Strażniczka za Consuela spojrzała na swój zegarek zawieszony na szyi. Odruchowo wyciągnąłem z kieszeni kamizelki swój i zląkłem się: pół godziny prawie minęło.

- Mamy tylko parę minut - powiedziałem przenosząc wzrok na Consuelę.

- Minuty, godziny, dni. Jaką to sprawia różnicę, Geoffrey! Mieliśmy dosyć czasu.

- Ale... Jest tyle jeszcze...

- Zostawmy to. Tak jak ja muszę wszystko zostawić.

Ona pogodziła się ze światem i z siłami na tym świecie, które postanowiły ją usunąć. Ale pod tym paktem ja nie mogłem się podpisać.

- Przeklinam siebie częściej i z większą zawziętością niż kiedykolwiek ty mnie przeklinałaś, Consuelo. Żałuję, że tak cię skrzywdziłem, żałuję bardziej niż czegokolwiek innego w całym moim życiu.

- Nie mów takich rzeczy. Nie teraz. Przestań się dręczyć. To bezcelowe. Ja ci wybaczam. Rozgrzeszam cię. To, co się dzieje ze mną, to nie twoja wina.

- Owszem, moja. Nie zasługuję na przebaczenie. Nie przyjmę twojego rozgrzeszenia.

- Musisz.

- Zrujnowałem tobie i sobie życie, Consuelo, tobie i sobie. Jestem mężem kobiety, która mną pogardza. Mój syn nie żyje. Hotel, który aż tak pragnąłem zbudować, że opuściłem cię, już nie istnieje. Spalił się... A Bóg świadkiem, powinienem był zaraz po napisaniu spalić mój przeklęty list. Teraz przeze mnie siedzisz tutaj w tym plugawym strasznym miejscu i czekasz...

- Czas się skończył. - Strażniczka dotknęła mojego ramienia, jej cień padł na stół. - Proszę już się pożegnać.

Consuela uśmiechnęła się jeszcze słabiej niż przedtem.

- Geoffrey, nie walcz z tym. Nie wygrasz. W dobrym znoszeniu kłęski jedyna nasza nadzieja zwycięstwa.

- Kto za tym stoi, Consuelo? Kto ci to zrobił?

- Nie wiem. Może Victor. Może ktoś inny. Może w ogóle nikt.

- Jeżeli kiedykolwiek wykryję...

- Nie staraj się. Niech to umrze razem ze mną.

- Pan musi już wyjść, panie Staddon - przerwała strażniczka. - Już!

Druga strażniczka podeszła do Consueli i odciągnęła od stołu jej krzesło. Consuela wstała, skinęła do mnie głową.

- Żegnaj, Geoffrey.

- Czy to tak? Żegnaj?

- Musi tak być.

- Ale...

- Byłeś przy Rodrigu, kiedy umarł, prawda?

- Byłem.

- Więc też ryzykowałeś dla mnie?

- Chyba, ale...

- W takim razie źle cię nazwałam: były przyjaciół. Jesteś przyjacielem przywróconym.

- Panie Staddon! - warknęła strażniczka.

- Będą miały przez ciebie kłopoty, jeżeli zostaniesz dłużej. Tego byś nie chciał, prawda? Idź już... ani słowa więcej. Odejdź w spokoju.

- Consuelo...

- Żegnaj, Geoffrey. - Uniosła lewą dłoń. Ten gest był zbyt lekki, żebym był pewny, co znaczy. Odprawa? Błogosławieństwo? Pożegnanie? Czulem, że to po trosze jedno, drugie i trzecie, połączone z ostatecznym zwolnieniem z długu, którego nigdy nie honorowałem.

Spróbowałem coś powiedzieć, ale nie znajdowałem żadnych słów. Consuela opuściła rękę, patrzyła na mnie przez chwilę, po czym odwróciła się i odeszła w stronę łóżka. Strażniczka pociągnęła mnie za łokieć. Zdałem sobie sprawę, że to skończone. Spotkaliśmy się i już się nie spotkamy. Pożegnaliśmy się poniewczasie. Teraz pozostaje mi tylko odwrócić się i odejść jak Consuela.

Na pewno wyszedłem z więzienia tak, jak wszedłem: po wpisaniu godziny w wartowni, zanim wypuszczony znalazłem się na Camden Road. Na pewno skierowałem się na południowy zachód w uchodzącym świetle zimowego dnia, przez Kentish Town na Primrose Hill, a potem przez Regent's Park, gdy zmierzch zapadł. Na pewno przebyłem taką trasę, świadom kierunku. A przecież pamiętam tylko - poza bolesną drętwotą myśli - piwiarnię na Marylebone, w której się schroniłem, ledwie ją otworzyli na wieczór.

Może pół godziny popijałem tam przy stoliku w kącie szkocką dla zapomnienia, bo w końcu musiała mi je dać - gdy poczułem, że ktoś stoi za mną i klepie mnie w ramię. Usiłowałem go zignorować, Ale nie ustawał, więc odwróciłem się i spojrzałem.

To był Spencer Caswell, szczupły, uśmiechnięty, ze szklanką dżinu w jednej ręce i dymiącym papierosem w drugiej.

- Dobrze mi się zdawało, że rozpoznaję ten pochylony grzbiet - wycedził. - Jak leci, Staddon?

- Idź do diabła!

- Prawdopodobnie pójdę, ale jeszcze nie teraz. Pozwoli pan, że się przysiędę? - Nie czekając na zaproszenie, usiadł naprzeciw mnie.

- Przyjechałem na jeden dzień w interesach. Jadę z powrotem o siódmej. Przyszło mi na myśl po drodze na dworzec coś łyknąć tutaj. Wcale jednak się nie spodziewałem spotkać tu pana.

- O ile o mnie chodzi, możemy udawać, że nie spotkałeś.

- Zbyteczny sarkazm. Ale nie ma obawy, ja się nie obrażę. Kładę to na karb napięcia nerwowego, w jakim pan jest obecnie.

- Co ty o tym wiesz?

- Och, daj pan spokój. Zalewa pan robaka, co? Z powodu Consueli. Gdybym miał czas, nawet wpadłbym do niej do Holloway dziś po południu. Nie na czułe pożegnanie, oczywiście, raczej z ciekawości, żeby zobaczyć, jak wygląda cela śmierci. W takich celach zawsze są ukryte drzwi, którymi tego dnia oczekiwanego ze strachem wchodzi kat. Ale może pan wie o tym. Pan tam był, prawda?

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Naprawdę? No, jak pan sobie chce. Słyszał pan, jaką bombą nas uraczył stryj Victor? Zabrał się do Francji z tą guwernantką cwaniarą, żeby ją pojąć za małżonkę, jak się okazuje. - Błysnął zębami w szerokim uśmiechu. - Kiedy tylko prawo usłużnie uczyni go wdowcem!

- Zostaw mnie, Spencer. Nie chcę słyszeć niczego, co pewnie masz do powiedzenia.

Pochylił się przez stół.

- Wszystko przyjmuje świetny obrót dla stryjaszka i tej dziwki Roebuck, no nie? Wariat Rodrigo wyprawiony na wielką plantację kawy w niebie... Consuela ma tam wkrótce dołączyć. Przeprowadzili swoje plany aż miło. Trzeba ich podziwiać, prawda? Otrucie mojej siostry i zwalenie winy na Consuelę to był majstersztyk. Pomysł panny Roebuck, przypuszczam; stryj Victor nie jest taki pomysłowy.

- Jeżeli rzeczywiście wierzysz, że...

- Och, przecież wierzę. Nie pamięta pan, mam ich w ręku. Wiem, że Victor został uprzedzony o przyjeździe gości na podwieczorek w tamto fatalne popołudnie.

Nagle whisky wyparowała mi z głowy. Przypomniałem sobie, jak Spencer mi mówił, że do Victora telefonował wówczas Grenville Peto. Gdybyśmy mogli udowodnić, że był taki telefon... jeszcze nie jest za późno... - Kto był twoim informatorem, Spencer?

- Pytał mnie pan o to już przedtem, a ja powiedziałem, że nie mogę zdradzić mojego źródła.

- Koniecznie powinienesz...

- Ale teraz myślę, że już mogę. Nie zaszkodzę mu, bo wyjechał z kraju, a kiedy wróci, będzie za późno na ratowanie szyi Consueli.

- Wyjechał z kraju? Victor?

- Nie, nie, Gleasure. Pan nie uważa, Staddon. To Gleasure mi powiedział, że odebrał telefon wuja Grenville'a na pół godziny, zanim Rosemary i mameczka pokazały się tam na progu. Przełączył do stryja Victora do gabinetu. No, nie będzie nagrody za odgadnięcie, co z tego telefonu wynikło. Wyobrażam sobie, jak ta gruchająca parka z arszenikiem pod ręką od tygodni czekała na taką sposobność. Ale i tak musieli wysilić spryt, żeby niepostrzeżenie wsypać arsenik do cukru. Myślę, że wtedy, gdy Consuela była w ogrodzie. Innej możliwości nie mieli.

Oczywiście. Gleasure znał ich sekrety. I był gotów oszukać Rodriga na ich polecenie. Z pewnością jest przekupiony. Jeżeli Gleasure'a można przekupić, żeby trzymał język za zębami, można go przekupić, żeby zaczął mówić. I ocalić Consuelę. Nie odważono by się jej powiesić, gdyby po jego zeznaniu powstały nowe wątpliwości.

- W porównaniu z tym podrzucenie listów i pakieciku z arszenikiem musiało być dziecinną zabawką - prawil Spencer. - Mogli je podrzucić w ostatniej chwili przed rewizją... Jak to, Staddon, pan już wychodzi?

Już pędziłem do drzwi. Usłyszałem dosyć. Dwa dni potrwa jazda na Cap-Ferrat. Wtedy zostaną niecałe cztery dni. Ale byłem pewny, że to więcej czasu niż potrzebuję, żeby wydusić prawdę z Gleasure'a, przywoździć kłamstwa Victora raz na zawsze.

Idąc w otrzeźwiająjącym zimnie opustoszałych ulic zacząłem kwestionować swoją nagłą ufność. Cokolwiek dałoby się z Gleasure'a wyciągnąć, Victor jeszcze mógłby się wymknąć, bo coś - w związku z pieniędzmi, które znalazłem w sejfie - mówiło mi, że Grenville Peto będzie nadal trzymał jego stronę. Jeśli tak, to najwyżej osiągnę odroczenie egzekucji. Obudzę w Consueli daremną nadzieję, co jest gorsze niż brak nadziei.

Na domiar trudności miałem, tak jak Consueli przyrzekłem, spotkać się z jej bratem w Liverpoolu w niedzielę, a przecież nie mógłbym tam być, gdybym chwytając się słabej możliwości ocalenia jej w ostatniej chwili, pojechał na Cap-Ferrat. Byłem między młotem a kowadłem. Albo porzucę Consuelę na pastwę losu, albo nie dotrzymam danego jej słowa. Kiedyś zrobiłem jedno i drugie, teraz wydawało się, że jest mi sądzone zrobić jedno z dwójga.

W mieszkaniu czekał na mnie list. Ciemnożółta koperta oznaczona „W służbie Jego Królewskiej Mości”. Myślałem, że to z urzędu skarbowego. Ale w kopercie było pismo z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - bezlitosne biurokratyczne potwierdzenie tego, co już wiedziałem.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych

Whitehall London SW 1

15 lutego 1924 r.

Szanowny Panie,

W odpowiedzi na Pańskie pismo z dnia 11 b.m. dot. będącego w mocy wyroku śmierci skazanej Consueli Evelyny Caswell, Pan Minister polecił mi zawiadomić Pana, że po starannym rozważeniu wszystkich okoliczności w. w. sprawy nie widzi żadnych podstaw, które by mu umożliwiły doradzenie Jego Królewskiej Mości, aby zainicjował w słuszną procedurę prawa.

*Z poważaniem
Sir J. Anderson KGCB*
Stały Podsekretarz Stanu*

*Kawaler Orderu Podwiązki.

Surowo i nieugięcie. Sir Henry mnie uprzedził, że Anderson jest taki. Chociaż wątpliwe, czy „pan minister” raczył bodaj podyktować tę odpowiedź. Było tylko faksymile podpisu. Treść pisma mógł równie dobrze sformułować ktoś z pomniejszych urzędników. Pewnie uznano, że moja prośba nie zasługuje na szczególną uwagę.

Jeszcze wpatrywałem się w ten maszynopis, gdy zadzwonił telefon. Aparat stał dość blisko, żebym podniósł słuchawkę przed drugim dzwonkiem.

- Halo?

- Panie Staddon, mówi Reg. Jestem w biurze.

- W biurze? Co, na Boga tam robisz o tej porze?

- No, właściwie czekałem na pana. Spodziewaliśmy się, że pan wróci po południu.

- Och tak, przepraszam. Coś mi wypadło. Ale i tak...

- Chodzi o to, panie Staddon, że jest do pana depesza z kontynentu. Doręczona zaraz po przerwie obiadowej. Pokwitowałem odbiór, bo myślałem, że pan wkrótce wróci. Czekałem, wolałem nie zostawiać jej do jutra.

- Od kogo ta depesza?

- Nie wiem. Nie otworzyłem.

- No to otwórz teraz, Reg, bądź tak dobry. - Zanadto się niecierpliwiłem, żeby nie wiedząc, kto tę depeszę nadał, zastanawiać się, czy mogę w to Rega wtajemniczyć. - Przeczytaj mi.

Nastąpiła przerwa. Słyszałem w słuchawce szelest. Po czym Reg powiedział.

- Od pana żony.

- Od Angeli?

- Tak. Z miejscowości jakiejś Biule-sir-mer we Francji, nadana o dziewiątej dziś rano. - Oczywiście, Beaulieu-sur-Mer. Dziwne, pomyślałem. Jeżeli sprawa jest taka pilna, że wymaga aż telegramu, dla czego Angela nadała go w Beaulieu, a nie w urzędzie pocztowym w St Jean-Cap-Ferrat. - Więc czytam. „Niepokojące odkrycie o Victorze Caswellu. Przyjedź natychmiast”.

- To wszystko?

- Wszystko. Mam nadzieję, że to nie jest zła wiadomość, panie Staddon.

- Zła? Nie. Chyba tak bym jej nie określił.

- Czy pan pojedzie? Do Biule-sir-mer, znaczy. Bo co z tą kwestią...

- Ty się tym zajmiesz. Reg. Nie będzie mnie w poniedziałek ani przez parę następnych dni.

- Dobrze, proszę pana. Jeżeli jest...

- Dziękuję za zawiadomienie. - Położyłem słuchawkę na widełki pewny, że Reg da sobie radę w czasie mojej nieobecności i że będzie dyskretny. Chociaż na dyskrecji już mi nie zależało. Wiedziałem tylko, że źlej zniosę działanie niż bezczynność i jakikolwiek jest powód depresy Angeli, nie można go zlekceważyć.

Dotarłem do Słonecznej Chaty koło godziny dziesiątej, ale Imry, po nury, wcale nie senny, jeszcze nie leżał w łóżku. Ponieważ on też dostał odpowiedź z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, chyba się zdziwił, że nie jestem bardzo przygnębiony. Gdy mu już wyjaśniłem, dlaczego, podzielił mój optymizm z nutą jednak zwykłej swojej ostrożności.

- Czegóż takiego Angela mogła się dowiedzieć o Victorze Caswellu?

- Nie wiem. Są od kilku dni pod jednym dachem. Może Victorowi coś się wypsnęło. Czy może Turnbullowi.

- Nawet jeśli tak, nie pasuje mi do Angeli kontaktowanie się z tobą w ten sposób. Czemu po prostu nie zatelefonowała?

- Przypuszczalnie bała się, że ją podsłuchają. Więc i ja raczej nie mogę przez telefon zapytać jej, o co chodzi.

- Musisz tam pojechać, Geoff. Rozumiem. Tylko usiłuję cię ostrzec. Bądź rozważny.

- Rozwaga nie pomoże Consueli.

- Popędliwość też nie. Naprawdę myślisz, że Spencer spotkał cię w tej knajpie przypadkowo?

- To zupełnie prawdopodobne. Na trasie do dworca Paddington. Cóż innego mam myśleć? Że mnie śledził? Po co by mu to było, u Boga Ojca?

- Nie wiem. Tylko że... Wydarzenia zaczynają wymykać się spod kontroli. Dlaczego raptem wszyscy chcą, żebyś przyjechał na Cap-Ferrat?

- Rzecz w tym, Imry, czy mnie zastąpisz, kiedy tam pojedę? W każdym razie pojechać muszę. Ale sumienie będę miał spokojniejsze, jeżeli dotrzymam słowa, które dałem Consueli. Dlatego jestem tu teraz.

- Mam czekać na jej brata i bratową w Liverpoolu i eskortować ich do Hereford?

Uśmiechnąłem się.

- O co innego mogę prosić?

Odpowiedział uśmiechem.

- Obraziłbym się, gdybyś poprosił o to kogoś innego. Zgadzam się, naturalnie.

- Zatrzymaj się w hotelu Północno-Zachodnim. Zatelefonuję do ciebie, zanim stamtąd wyjedziesz z nimi do Hereford we wtorek.

- Dobrze. - Westchnął. - To jest bardzo nikła szansa, Geoff. Zdasz sobie z tego sprawę?

- Wolałbyś, żebym nie próbował? Żebym siedział z założonymi rękami i czekał na czwartkowy poranek?

- Oczywiście, że nie. Musisz pojechać. To jasne. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz żałować.

- Nie będę. Uda się, czy nie uda, nie będę żałować niczego, co przyniesie ta podróż.

XXI

Pociągiem-promem, mającym połączenie z Ekspresem Śródziemnomorskim, wyjechałem z dworca Victoria w sobotę o godzinie jedenastej przed południem. W dwadzieścia cztery godziny później byłem w Nicei. Powietrze na Côte d'Azur, chłodne i czyste, jaśniało obietnicą wiosny. Ale mnie obciążały troski i zobowiązania, które przydźwigałem z londyńskiej zimy.

Z Nicei pojechałem miejscowym pociągiem do Beaulieu i zająłem pokój w Hôtel des Anglais niedaleko stacji. Tam zjadłem, chociaż bez apetytu, obiad i wziąłem kąpiel. Musiałem być spokojny, zorganizowany, pewny słuszności tego, co robię, zachowywać odwagę i zimną krew. Każdy krok był pilny, ale nie mogłem sobie pozwolić na pośpiech. A przecież gdybym zwlekał zbyt długo...

Przyszedłem do Willi d'Abriçot, drzemącej wśród wonnych kwiatów, późno po południu. Wolno idąc aleją wjazdową, wspominałem, jak Rodrigo wypadł z drzwi, jak wyglądał, gdy składałem tu poprzednio wizytę i zobaczyłem go pierwszy raz. Zaraz potem przypomniało mi się, jak wyglądał, gdy widziałem go po raz ostatni. Teraz on leży w nieoznaczonym grobie w Hereford, jego siostra cierpi w londyńskim więzieniu, a człowiek, który go zabił, wałkoni się tutaj ze swoją kochanką i swoim przyjacielem, i moją żoną.

Pociągnąłem za dzwonek, znów sobie powtarzając różne taktyki, jakie obmyśliłem na każdą ewentualność powitania mnie w tym domu. Przez cały czas długiej podróży pociągiem z Anglii zastanawiałem się, jak wykorzystać najlepiej to, co Imry trafnie nazwał „bardzo nikłą szansą”.

Drzwi otworzył mi Włoch, służący Turnbulla, wyraźnie zdumiony na mój widok i zaniepokojony naruszeniem ustalonego rozkładu dnia.

- *Signor* Staddon! Nie powiedziano mi, żebym się pana spodziewał.

- Dzień dobry, Enrico. Czy jest moja żona?

- Pana żona? Tak. To znaczy, nie. - Zmieszał się. - Pojechała, *signor*. Wszyscy pojechali, pan major, *signor* i *signora* Thornton, *signorina* Roebuck i... i *signora* Staddon z nimi.

- Popołudnie w kasynie, co?

- Nie... nie wiem. To nie... Czy pan życzy sobie poczekać na nich?

- Tak. Chyba poczekam.

- Więc proszę wejść, *signor*, proszę.

Wszedłem za nim do hallu. Gdy skierowaliśmy się w stronę pokoju śniadaniowego, wpadłem na pomysł. Turnbull i jego goście są nieobecni. Może już nie być lepszej chwili na poufną rozmowę ze służącym jednego z gości.

- Czy Gleasure jest tutaj, Enrico?

- Gleasure? - Enrico nie lubił Gleasure'a, to było widać. - *Si, signor*. Jest.

- Chciałbym się z nim zobaczyć, jeżeli można.

- Więc... Wezwę go. - Gapił się na mnie przez chwilę ze zdumieniem. - Jeżeli na pewno z nim pan chce się zobaczyć.

- Na pewno.

Wzruszył ramionami i wyszedł, a ja chodziłem po pokoju śniadaniowym i przerabiałem sposoby przeniknięcia fortyfikacji Gleasure'a. Wiedziałem, że to ostrożny i wierny sługa, ale zazdrości pozycji życiowej swemu panu. Więc jego wierność ma cenę, i ciekawe, jak on się zapatruje na perspektywę zostania wkrótce sługą Imogen Roebuck, nowej pani Caswell tak samo jak sługą Victora. Na nic się nie zda odwoływanie do jego sumienia, ale zraniona ambicja i myśl o przyszłości może sprawić, że da się pociągnąć za język.

Byłem sam nie dłużej niż parę minut, gdy drzwi się otworzyły i wrócił Enrico.

- *Mi scusi, signor*. Gleasure... nie może przyjść zaraz. - Zmarszczyłem brwi, bo to wydawało się lekceważeniem i nie wróżyło dobrze.

- Przyjdzie do pana za dziesięć minut. Przepraszam, ale... - Jeszcze jedno wymowne wzruszenie ramion.

- Dobrze. Czekam tutaj... dziesięć minut.

- *Si signor*.

Drzwi się zamknęły i znów byłem sam. Cokolwiek Gleasure chciał osiągnąć tą zwłoką, musiałem się postarać, żeby czekanie nie

nadwątlilo mojej i tak słabej pewności siebie. Zapaliłem papierosa i chodziłem po pokoju znowu podziwiając bogactwo domu Turnbulla. Połyskliwe atłasy i jedwabie obić, pastelowe odcienie dywanu i zasłon w oknach. Obfitość frędzli, kunsztownie wykonany każdy chwast. Intarsja konsolki wspaniale misterna. Na innej konsoli mała złota replika posągu stojącego w oranżerii. Na ścianie duży obraz, jeden z ulubionych Turnbulla tematów: igraszki nagich kobiet w mitycznej krainie. Jego gust - myślałem - nie jest w moim guście, ale bezsprzecznie jest kosztowny. Przez myśl mi się przesunęły: sejf Victora, kradzież w papierni Peto i śmierć Malahide'a wkrótce potem, jak Malahide rozpoznał w Turnbullu czwartego współlnika tamtego dawnego spisku. Czy to z tamtych pieniędzy major Turnbull czerpał na te luksusy?

Dopaliłem papierosa, zapaliłem następnego, patrząc przez okno na ogród, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Gleasure. Uśmiechał się ostrożnie.

- Przepraszam, że musiał pan na mnie czekać, proszę pana.

- Nie szkodzi. Jak się Gleasure ma?

- Hm... dziękuję panu. Trochę się dziwię, nie przeczę, że widzę pana tutaj.

- Dlatego że moja żona jest gościem... czy już nie wiem, czym... majora Turnbulla?

- Nie tylko. W tych wszystkich okolicznościach nie spodziewałem się, że pan do nas przyjedzie.

- W tych wszystkich okolicznościach? Oględnie powiedziane. No, ale chyba lokaj musi być trochę dyplomatą.

- Pewnie tak, proszę pana.

- Gleasure na pewno widzi i słyszy wiele rzeczy, o których należy dyplomatycznie zapomnieć.

Patrzył na mnie przez chwilę pytająco.

- Właściwie o czym, proszę pana, chce pan ze mną porozmawiać?

Teraz - powiedział mi instynkt - albo nigdy. Dalszą krętaniną niczego nie osiągnę.

- Przyjechałem tu, bo usiłuję ocalić życie niewinnej kobiety. I myślę że Gleasure może mi pomóc.

- Ja, proszę pana? Ja naprawdę nie...

- Mówię o pani Caswell. O pani Consueli Caswell. Gleasure chyba wie, że mają ją powiesić we czwartek?

- Wiem, proszę pana. - Jego twarz nie zdradziła żadnej reakcji. -
Wiem o tym.

- Na jej procesie Gleasure zeznał, że po południu w dniu otrucia
nie odbierał żadnych telefonów do pana Caswella.

- Mniej więcej, proszę pana, tak zeznałem.

- To nie była prawda?

- Pan mi zarzuca krzywoprzysięstwo?

Zduśliłem niedopałek w popielniczce i podszedłem bliżej.

- Daję Gleasure'owi możliwość, żeby się zastanowił nad tym ze-
znaniem na nowo. Straszne będą następstwa, jeżeli... nieporozumie-
nie nie zostanie wyjaśnione.

- Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi, proszę pana.

- Myślę jednak, że Gleasure dobrze rozumie. Spencer Caswell po-
wtórzył mi dokładnie, co mu Gleasure mówił. Grenville Peto telefo-
nował do pana Caswella co najmniej na pół godziny przed przyby-
ciem panny Rosemary i jej matki, a więc pan Caswell wiedział, że one
są w drodze.

- Ach - Gleasure zmarszczył brwi, zadumał się. - On panu powtó-
rzył, proszę pana? To nie dżentelmen, żeby mu coś mówić w zaufa-
niu, ten młody panicz Spencer. Niestety.

- Więc dlaczego Gleasure mu zaufał?

- Wypiłem, proszę pana. Ja pod dobrą datą nie zawsze jestem taki
dyplomatyczny, jak powinienem.

- Więc Gleasure przyznaje, że to prawda? Odebrał Gleasure tele-
fon pana Peto w tamto popołudnie?

- Och, proszę pana, nic nie przyznaję. Nic w ogóle. Dbam o swoją
pozycję.

- Pozycję? Panią Caswell mają powiesić, żeby tylko Gleasure, broń
Boże nie stracił posady? Na litość boską, człowieku! Jej ocalenie jest
ważniejsze niż twoja miesięczna pensja.

- Nie wiem, proszę pana, czy dla mnie może być ważniejsze. Panu,
takiemu co nigdy nie musiał się martwić, skąd wziąć na chleb, pewnie
się wydaje, że grunt to sumienie. Dla mnie to zbytek. Mnie na sumie-
nie nie stać.

- Więc wszystko sprowadza się do pieniędzy, czy tak?

- Życie w ogóle się do nich sprowadza, wiem z doświadczenia.

- Dobrze. Ile Gleasure chce?

Zmrużył oczy.

- Pan proponuje łapówkę?

- Ile Caswell Gleasure'owi płaci? Siedemdziesiąt funtów rocznie? Dziewięćdziesiąt? Sądzę, że nie więcej niż sto. - Wciągnąłem głęboko oddech. - Zapłacę pięćset, jeżeli Gleasure zgłosi się do władz i pod przysięgą złoży zeznanie, które doprowadzi do ulaskawienia pani Caswell.

- Naprawdę, proszę pana? Tyle by pan zapłacił?

- Wątpię, czy ta posada Gleasure'a będzie taka miła, kiedy pan Caswell ożeni się z panną Roebuck. Guwernantka nagle panią komfortowego domu, szacowną żoną bogacza... mogłoby to rozjątrzyć kogoś, kto tak wysoko ceni pieniądze, jak Gleasure.

Przytaknął.

- Może ma pan rację, proszę pana. Ale nie dosyć utrafioną, żebym się naraził na oskarżenie o krzywoprzysięstwo. Pięćset funtów słabo by mi wynagrodziło odsiadkę w więzieniu.

- Nie doszłoby do tego. Powie Gleasure, że zeznawał pod przymusem. Że pan Caswell groził zwolnieniem, jeżeli Gleasure się wygada. No bo tak było, prawda? Będę Gleasure'a popierał. Są wszelkie szanse, że oskarżenie nie zostanie wniesione.

- Ja się nie hazarduję, proszę pana. Szanse do mnie nie przemawiają.

- Więc może coś innego przemówi. - Spojrzałem mu w oczy i przytrzymałem jego wzrok. - Na rozkaz pana Caswella opowiedział Gleasure bratu pani Caswell niezłą historyjkę. Zarzucił Gleasure przynętę, która doprowadziła go do śmierci.

- Ja wcale...

- Przypuszczał Gleasure, że to tak się skończy? Może Gleasure nie przypuszczał. Ale tak się skończyło. I teraz jej drugi brat jest w drodze do Anglii. Wiadomo, jaki był pan Rodrigo. Otóż, Francisco nie jest inny, daję słowo. Będzie chciał zemsty. Jeżeli mu po wiem, jak Gleasure oszukał Rodriga, może Gleasure tę zemstę sobie wyobrazić.

W głosie Gleasure'a usłyszałem trochę niepewności, gdy powiedział:

- Pan mi grozi.

- Tylko następstwami tego, co Gleasure zrobił.

- Jeżeli złoży zeznanie, że pan Peto telefonował w tamto popołudnie...

- Francisco o niczym się nie dowie.

- I pan mi zapłaci pięćset funtów?

- Jeżeli panią Caswell ułaskawią, tak. Inaczej nie.
 Myślał przez chwilę.

- Skąd mogę mieć gwarancję, że pan dotrzyma takiej umowy?
 - Zdeponuję te pieniądze u notariusza, którego Gleasure sam wybierze. Będą wypłacone zaraz po spełnieniu mojego warunku.

- Aha. No, tak byłoby nie najgorzej. Na pewno.
 - Więc jaka odpowiedź?
 - Moja odpowiedź? Muszę pomyśleć. To nie jest prosta sprawa, no nie?

- Mnie się wydaje dosyć prosta.
 - Tak, ale... - Nagle pokręcił głową nasłuchując i podniósł rękę.
 - Co się dzieje?
 - Lanchester majora Turnbulla podjeżdża. - Teraz dosłyszałem daleki warkot, na który bez uprzedzenia nie zwróciłbym uwagi. - Wracają wcześniej niż się spodziewałem. Chyba nie powinni zastać nas razem, proszę pana. Nie w tych wszystkich okolicznościach.

- Ale Gleasure jeszcze mi nie odpowiedział.
 - Gdzie pan się zatrzymał?
 - Hôtel des Anglais w Beaulieu.
 - Wiem, który to. Będę tam jutro rano o dziesiątej. Do tego czasu coś zdecyduje.

- To jest wyścig z czasem, Gleasure. Nie mogę sobie pozwolić na czekanie.
 - Przecież pan wie, mało mam możliwości, żeby się wywinąć. Ale muszę ułożyć pewne sprawy. Niech pan mi da czas do jutra rana. Myślę, że nie będzie pan rozczarowany.

- To nadal znaczy...
 - Wejdą tu lada chwila. Lepiej, jak spotkam ich w hallu. Patrzyłem mu w oczy jeszcze sekundę i ustąpiłem.
 - Dobrze. O dziesiątej.
 - Będę tam, proszę pana, nie ma obawy. A teraz przepraszam...

Wybiegł z pokoju, zostawiając drzwi otwarte. Zastanawiałem się błyskawicznie. Czy on nie skrewi? Tymczasem muszę rozprawić się z jego panem. Kiedy już się dowiem, co Angela chce mi powiedzieć, zeznanie Gleasure'a może stanie się zbyt cenne, ale nie mogę na to liczyć. Jak dotąd wszystko dobrze. Ale jeszcze długa droga przede mną. W hallu drzwi frontowe się otworzyły. Usłyszałem głos Enrica i zaraz gwar, w którym najdonońsze były głosy: jękliwy Celii i warkliwy Victora. Potem wszystko zagłuszył tubalny głos Turnbulla.

Nastąpiła cisza - zapewne Gleasure szeptał - i nagle Turnbull ryknął moje nazwisko, raczej szyderczo niż gniewnie. Przerwała mu Angela, ale nie dosłyszałem, co powiedziała. Victor coś mruknął. I już wysokie obcasy stuknęły coraz bliżej otwartych drzwi pokoju śniadaniowego.

- Co ty tu robisz, Geoffrey? - mówiąc to Angela patrzyła na mnie z czymś, co, gdyby nie jej depeza, nazwałbym połączeniem szczerej furii i szczerego zdumienia. Była w długim kremowym płaszczu z kaszmiru i w przybranym kokardami purpurowym kapeluszu z opuszczonym rondem. Włosy miała modnie obcięte, na szerokiej klapie płaszcza lśniąca rubinami broszę-malpę, jeden z prezentów, którymi Turnbull ją obsypał.

- Wejź i zamknij drzwi - powiedziałem prawie szeptem.

Ze zmarszczonymi brwiami, z wyniosłym lekkim uniesieniem podbródka usłuchała i oparła się o drzwi, trzymając jeszcze rękę na kłamce.

- Wszyscy myślą, że mój przyjazd cię zdziwił?

- Co?

- Nie zostawia nas długo samych, więc powiedz mi prędko, czego się dowiedziałaś.

Przyjrzała mi się niedowierzająco.

- Zechciej łaskawie wytłumaczyć się natychmiast, Geoffrey. Clive mi powiedział, że zdecydowałaś się być rozsądny. Nie wydaje mi się, że jesteś.

Mówiła dość głośno, żeby ją było słychać w hallu. Uznałem to za sposób zmylenia Turnbulla i Victora. Podszedłem do niej.

- Jeżeli - nadal zniżam głos - wolisz porozmawiać gdzie indziej, możemy się spotkać u mnie w hotelu.

- Nie chcę z tobą rozmawiać tutaj ani nigdzie - syknęła. - Nie chcę ciebie już nigdy więcej widzieć. - Przesunęła się koło mnie, podeszła do kominka, odwróciła się. - W tej chwili się stąd wynos, bo poproszę Roystona, żeby zadzwonił po policję, i siłą cię stąd zabiorą.

- Ale...

- Wprost nie mogę sobie wyobrazić, co chciałaś osiągnąć tym przyjazdem tutaj.

- Przyjechałem na twoje wezwanie.

- Co takiego?

- Nie ma potrzeby dalej zaprzeczać. Czegokolwiek się dowiedziałaś, tylko mi powiedz, a ja postaram się, żeby nic ci się nie stało.

Teraz zbladła z wściekłości, usta jej drżały. A mnie pewność siebie szybko opuszczała.

- Powiem to tylko raz, Geoffrey. Nie wiem, o czym mówisz.

- Dostałem od ciebie depeszę. Tę, którą wysłałaś z Beaulieu w piątek.

- Nie wysłałam żadnej depeszy.

- Odkryłaś niepokojącą informację o Victorze Caswellu.

Angela, mówże!

- Zwariowałeś!

- Dlaczego miałbym kłamać w takiej sprawie?

- Więc pokaż mi tę depeszę.

- Nie mam jej przy sobie. Nie... - Urwałem patrząc jej w oczy. Nie wierzyła mi. Już nie mogłem nie widzieć prawdy - przecież oczywiście, odkąd weszła do tego pokoju. Ona mnie nie wezwała. Wcale nie chciała, żebym przyjechał. To wszystko, co powiedziałem, musiało rzeczywiście wydawać jej się wariactwem. - Bóg mi świadkiem, Angelo, jestem tu tylko dlatego, że dostałem depeszę z wezwaniem w twoim imieniu.

- Bzdura! Jesteś tu pod tym śmiesznym zmyślonym pretekstem, żeby mi narobić kłopotu. No, ja się nie dam nabrać, słyszysz? Nie dam się nabrać.

- Wysłuchaj mnie, na litość boską. Ty nie rozumiesz. To nie jest...

- Staddon! - szczeknął Turnbull od drzwi. - Dostyc tego! - Klatkę piersiową rozdymało mu oburzenie, twarz poczerwieniała gniewem. - Masz pan cholerny tupet, muszę przyznać. - Uśmiechnął się troskliwie do Angeli. - Może dołączysz do tamtych w salonie, moja droga... będzie lepiej, jeżeli pomówię z... naszym gościem na osobności.

Zgodnie przytakując, nie rzucając ani jednego spojrzenia w moją stronę, Angela wyszła. Turnbull starannie zamknął drzwi za nią i odwrócił się do mnie.

- No, Staddon! Co to ma znaczyć?

- Nie wiem. Może pan wie. - Coś mnie tknęło. - Pan nadał tę depeszę...

- Jaką depeszę?

- ...żeby na pewno Angela się ze mną rozwiódła? Czy ona zaczyna się rozmyślać? O to chodzi, majorze? Uznał pan, że trzeba trochę bardziej pogrążyć mnie w jej oczach?

Podszedł bliżej.

- Czy pan do cna oszalał, Staddon?

- Nie. Ale może pan chce, żeby Angela tak myślała.

- Jeśli chcę, moje życzenie się spełniło. Tym swoim popisem przekreślił pan ostatnie szanse odzyskania jej.

- Nie chcę jej odzyskać. Proszę bardzo, niech pan ją sobie weźmie. Patrzył na mnie jadowicie.

- Żeby oszczędzić Angeli przykrości, pozwolę panu stąd wyjść. Pod warunkiem, że wyjdzie pan zaraz bez dalszego rwetusu.

- Co pan robi, jeżeli nie wyjdę? Wynajmie pan tego samego snajpera, którego... - Nagle słowa zamarzy mi na ustach. Turnbull lekko unióśł brwi, zaciekawiony, trochę przechylił głowę, patrzył już nie tak agresywnie i nieskończenie bardziej drażąco.

- Nie przerywaj pan sobie. Dokończ. Mam nadzieję... ze względu na pana... że to nie to, co myślę.

Pamiętaj o Consueli - wrzasnął mi rozum. - Tylko ona jest ważna! Nie Malahide, nie Turnbull, ani Angela i przede wszystkim nie ty!

- Ma pan rację, majorze. Powiniennem już wyjść, zanim wszyscy powiemy coś, czego później moglibyśmy żałować.

Turnbull cofnął się o krok i zlągodniał.

- Rad jestem, że pan się opamiętał.

- Niech pan uważa moją wizytę na niefortunne nieporozumienie. Wyjdę od razu.

- Proszę. - Podszedł do drzwi i zanim nacisnął klamkę, spojrzął na mnie.

- Radzę panu, Staddon, postarać się we własnym swoim interesie, żebyśmy się już nie spotkali. Nigdy. - Otworzył drzwi na oścież. Mijając go, wyszedłem do hallu.

Teraz widać mnie było z salonu i ja ich zobaczyłem. Angela i Celia stały przy oknie. Victor i Clive obok siebie stali przed kominkiem. Siedziała tylko panna Roebuck - w fotelu pośrodku salonu. Przez sekundę kusilo mnie, żeby wejść i przypomnieć im te liczne powody, dla których wszyscy razem i każde z osobna są godni pogardy. Clive i Celia podtrzymywali na rzecz Angeli fikcję o moim okrucieństwie. Angela dała się Turnbullowi odciągnąć ode mnie, zwabiona obleśnym czarowaniem i bardzo szerokim gestem. Turnbull prawie na pewno kłamał, kradł i mordował. Imogen Roebuck przewyższała go, jeśli to możliwe, niegodziwością. A Victor był albo ich ofiarą, albo współnikiem, prawdopodobnie jednym i drugim naraz.

Popatrzyłem na nich kolejno. Angela i Celia odwracały wzrok, zajęte odgrywaniem sceny kobiecej solidarności. Clive z rozdziawionymi ustami gapił się tak łagodnie potępiająco, jak mogłem się tego spodziewać. Rozedrgana wrogość patrzącego groźnie Vieterà też mnie nie zdziwiła. A co do panny Roebuck, ta patrzyła na mnie spod opuszczonych powiek raczej w oszołomieniu niż obojętnie. Paliła cygaretkę - dotąd nie wiedziałem, że pali - i była w wytwornej sukni z ciemnoniebieskiego jedwabiu. Siedziała w fotelu głęboko, z nogą założoną na nogę i z łokciem ręki, w której trzymała cygaretkę, opartym na poręczy. Emanowała jak nigdy przedtem absolutną pewnością, że osiągnie i udoskonali przeobrażenie się ze skromnej guwernantki w bogatą żonę - właściwie pewnością, że już tego dokonała.

Teraz z niewidocznego kąta salonu wyszedł Gleasure niosąc tacę trunków. Podszedł do panny Roebuck, podał jej napełniony kieliszek i ruszył w stronę Clive'a i Vieterà. Zanim doszedł do nich, zerknął na mnie i lekko uniósł głowę, jak gdyby przytakiwał moim myślom. Oni wierzą, że są bezkarni, bezpieczni i niepokonani. Ale cierpliwości, może się ich zaskoczy.

- Enrico! - zawołał Turnbull spoza mnie. - Pan Staddon wychodzi.

Spojrzałem na drugi koniec hallu, skąd Enrico już śpieszył, żeby otworzyć frontowe drzwi. Musiałem wyjść, wiedziałem. Musiałem potulnie znieść upokorzenie. Oni wszyscy uważali mnie za głupca i na razie najlepiej pozwalać im na to. Jeżeli Turnbull nadał tę depeszę, żeby mnie wciągnąć w pułapkę, myślałem, popełnił poważny błąd, bo dał mi sposobność i ja ze sposobności tej skorzystam.

W salonie Victor лыknął trochę whisky, Angela odwróciła się od okna i dodała swoje pełne niesmaku spojrzenie do ogólnej odprawy niepożądanego gościa. Panna Roebuck nieomal się uśmiechała - ale tylko nieomal. Spuściłem głowę, próbując sam siebie zapewnić, że wkrótce będą żalowali swego wygodnego przymierza. Dla dobra Consueli musiałem w milczeniu zbywać ich pogardę. Nie mogłem się przejmować ich komentarzami po moim odejściu, ani tym bardziej się oburzać. Enrico przytrzymał otwarte drzwi. Na zewnątrz cienie się wydłużały. Jeszcze jeden dzień chylił się ku końcowi. Zdławiając słowa, które może bym był wypowiedział - naganę, oskarżenie - wyszedłem szybko w uchodzące światło dnia.

- *Arrivederci, signor Staddon* - powiedział Enrico. Ale nie odpowiedziałem.

Wczesnym wieczorem dzięki telefonicznym możliwościom Hôtel des Anglais, po kilku falstartach uzyskałem połączenie z Hotelem Północno-Zachodnim w Liverpoolu.

Poprzez trzaski na linii opowiedziałem Imry'emu, co się stało.

- Myślisz, że tę depeşe nadał Turnbull?

- Prawdopodobnie, ale to nieważne. Jeżeli Gleasure się zgodzi zmienić swoje zeznanie, będę miał to, po co przyjechałem. A on się zgodzi na pewno.

- Jak to załatwisz? Przywieziesz go ze sobą?

- Tak. Ale przedtem pojedę do konsula brytyjskiego w Monte Carlo i tam Gleasure podpisze zeznanie pod przysięgą w jego obecności. Konsul, kiedy tak go uzbroję, powinien czuć się zobowiązany natychmiast zawiadomić Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Londynie. O której jutro mają przyplłynąć Pombalho?

- O drugiej. Będę ich oczekiwał w porcie i przywozę ich tu do hotelu.

- Świetnie. Postaram się zatelefonować znowu, zanim po nich wyruszysz.

- Postaraj się. Tymczasem nie ryzykuj niepotrzebnie, Geoff.

- Nie obawiaj się, Imry. Mam przecucie, że z tej mąki będzie chleb. Muszę tylko, a to dla mnie najtrudniejsze, czekać... jeszcze trochę dłużej.

Baie des Fourmis była spokojna pod niebem bez księżycy, gdy późnym wieczorem spacerowałem po brzegu. Daleko wzdłuż ciemnego, prawie niewidocznego cypla widziałem małe jak ukłucia szpilka, rozsiane światełka, z których jednym była Willa d'Abrirot. Zastanawiałem się, jak zabawiają się teraz moja żona i jej nowi przyjaciele. Proszona kolacja, może? Brydż? Gdy te światełka zgasną, czy Angela pójdzie do łóżka sama? A Imogen Roebuck? One tam za zatoką są osnute oprzędem pięknych jedwabi i znakomitą dyskrecją, a w odległości setek mil Consuela leży pomiędzy sztywnymi więziennymi prześcieradłami, wpatrzona w ciemność, którą spodziewa się widzieć jeszcze tylko trzy razy przed końcem.

Zacisnąłem pięści i znów odparłem inwazję paniki. Ten koniec nie nadejdzie. Jeszcze zdążę uzyskać środki, żeby mu zapobiec. Gleasure nie ma wyboru, musi zrobić to, czego zażądałem. Już się przygotowuje do zburzenia urokliwej przyszłości mieszkańców Willi d'Abrirot, tak że gruz posypie się na ich głowy. A ja dopilnuję, żeby się nie zawałał.

Wróciłem do hotelu przed samą północą, znużony dostatecznie, by mieć pewność, że zasnę, ufny dostatecznie, by spokojnie się przespać przed przybyciem Gleasure'a. Ledwie zauważyłem, że drzwi mojego pokoju nie są zamknięte na klucz. Może tak je zostawiłem wychodząc, może w czasie mojej nieobecności weszła pokojówka. Tak czy owak, wydawało się to nieistotne. Nie myśląc o tym, położyłem się spać.

- *Ouvrer! Ouvrer la porte!*

Łomotanie i krzyki - za dużo tego raptownego hałasu, żebym wyrwany ze snu od razu oprzytomniał. Myślałem, że jestem w domu na Suffolk Terrace, i nie mogłem pojąć, co się dzieje. Dopiero po chwili wróciła mi świadomość. Wydarzenia ubiegłych pięciu miesięcy scaliły się i wciągnęły mnie w rzeczywistość pokoju hotelowego w Beaulieu-sur-Mer, gdy przez okno wsączał się błądy świt i zza drzwi napierał hałas.

- *Ouvrer la porte immédiatement!*

Podparłem się w łóżku łokciem i sięgnąłem po zegarek. Dochodziła godzina siódma. Cóż to za budzenie tak wcześnie? Chciałem to wrzasnąć, ale moja znikoma francuszczyzna wyleciała mi z pamięci. Usłyszałem szybkie kroki na korytarzu i wołanie:

- *J'ai la clé!*

Wygramoliłem się z łóżka, włożyłem szlafrok. Zanim zdążyłem podejść do drzwi, klucz obrócił się w zamku, drzwi się otworzyły. Światło z korytarza poraziło mi wzrok. Znalazłem się wśród wysokich postaci w mundurach. Słyszałem podniesione szorstkie głosy, czułem dżgające mnie palce. Niższa postać w cywilnym ubraniu i z łysiną machała mi przed nosem jakimś dokumentem. Zapaliło się światło w pokoju. Twarze tych mężczyzn stały się wyraźne, ich funkcja oczywi-
sta.

- Geoffrey Staddon? - szczechnął urywanie ten łysy siląc się na akcent angielski.

- Co? Tak. Ale...

- Jospin. Nice Sûreté.

- Nie rozumiem. Co... czego chcecie ode mnie?

- Myślę, że pan wie, monsieur. - Zwrócił się do swoich towarzyszy.

- *Fouillez la chambre!*

Raz, dwa zaczęły otwierać szuflady i szafki, na ogół puste. Moje ubranie było na krześle, mój płaszcz i kapelusz wisiały w szafie, rzeczy jeszcze nie wyjąłem z torby.

- Czego szukacie?
- Myślę, że pan wie, monsieur.

Jeden z policjantów już znalazł torbę i przetrząsał jej zawartość. Wyjął paszport i rzucił na łóżko. Jospin zaraz go stamtąd wziął. Chciałem zaprotestować, kazać im przestać, ale nie mogłem dość szybko zebrać myśli.

- Pan jest architektem, monsieur - powiedział Jospin jak gdyby dla zabicia czasu.

- Tak. Ale co...

- *J'ai trouvé quelque chose!* - wykrzyknął ten, który przeszukiwał torbę. - *Un petit paquet de papier, ici au fond du sac.* - Podniósł coś w ręce. Jospin pochylił się ku niemu.

- Co to jest, monsieur? - Na dłoni Jospina zobaczyłem małą tutkę kreślarskiego papieru. Nie rozpoznałem jej, ale o tutce takiego papieru była mowa w zeznaniach na procesie Consueli. Ta przecież nie może zawierać arszeniku jak tamten znaleziony w domu Spod Obłoków.

- Pierwszy raz to widzę.

Jospin ostrożnie rozwinął tutkę, tak że na jego dłoni utworzyła się papierowa miseczka. W miseczce była szczypta białego proszku. Spojrzał na mnie.

- *Monsieur?*

- Przecież panu powiedziałem. Pierwszy raz to widzę,

- Ale znaleźliśmy to w pana torbie.

- Ja tego do torby nie wkładałem.

- Jak się panu zdaje, co to za proszek?

- Nie wiem.

- Nie wierzę panu.

- Mówię prawdę.

- Mnie się zdaje, że to jest trucizna. *En réalité*, arszenik.

- To absurd.

- Jest pan aresztowany, monsieur. *Ce n'est pas absurde.*

- Aresztowany? Pod jakim, na Boga, zarzutem?

- Morderstwa.

- Co?

- Victor Caswell umarł pięć godzin temu w Willi d'Abricot pod St Jean Cap-Ferrat. Otruty. Przypuszczalnie arszenikiem - wskazał białą proszek na swojej dłoni. - *Comme ça. Comme ça exactement.*

- To nie może być prawda.

- Ale jest. Proszę się ubrać. Pójdzie pan z nami.

XXII

Jakież to dziwne, myślałem, jakaż ironia losu, a przecież jakże stosowne, że ostatnie dni Consueli mam przesiedzieć tak samo w celi, jak ona. Twarde łóżko, gołe ściany i zakratowane okienko, zupełnie tak samo. Co prawda nie ma stołu ani krzeseł tu, gdzie mnie wpakowali, żadnych strażniczek proponujących papierosa czy grę w karty i przede wszystkim nie ma drugiego, jeszcze nie używanego wejścia. A jednak, o setki mil oddalony od Holloway, czułem się bliższy Consueli niż kiedykolwiek dotąd. Dzieliłem z nią każdy jej moment, zgadywałem każdą jej myśl. Wyciągałem rękę i wydawało mi się, że mogę dotknąć czubków jej palców wyciągających się ku mnie.

Z początku niewiele pytań mi zadawano i odpowiadałem jeszcze mniej. Jospin nie mówił nic poza tym, że Victor nie żyje wskutek podania mu trucizny. Czekał na wyniki sekcji zwłok i laboratoryjne badania substancji znalezionej w mojej torbie. Musiał przesłuchiwać świadków, konsultować się z policją w Londynie. Musiał skompletować oskarżenie przeciwko mnie. Tymczasem potrzebował tylko mojego oświadczenia, gdzie byłem i co robiłem w niedzielę 17 lutego, oraz mojej obecności pod kluczem w nicejskim komisariacie policji.

Nie udzielano mi prawie żadnych informacji, więc postanowiłem mówić możliwie jak najmniej. W zeznaniu, które podpisałem, przyznałem, że złożyłem wizytę w Willi d'Abrirot, ale nie powiedziałem o depeszy jakoby nadanej przez Angelę ani o spotkaniu z Gleasure'em. Stanowczo twierdziłem, że nic nie wiem o tutce z papieru kreślarskiego z proszkiem, ale nie podsunąłem żadnego przypuszczenia, jak mogło to trafić do mojej torby. Wiedziałem, że jakiegokolwiek są prawdziwe okoliczności, będę musiał wkrótce powiedzieć więcej, na razie jednak głowiłem się sam, co się stało i dlaczego.

Victor Caswell nie żyje. Nie było powodu, żebym go oplakiwał. Nawet żywiłem w głębi ducha nadzieję, że umarł w mękach. Ale to

nie miało znaczenia. Wszystko sprowadziło się do pytania, dlaczego umarł. Rzeczywiście ktoś usiłował go zamordować we wrześniu zeszłego roku i teraz temu komuś się udało. Rosemary Caswell została otruta przypadkowo, z pewnością niezamierzenie. A Consuela jest niewinna bez cienia wątpliwości. Ale tylko ja wiedziałem, że jest niewinna, bo tylko ja wiedziałem, że nie zabiłem Victora.

Teraz odpowiedź nasuwała się sama. Według mnie tylko trzy osoby były podejrzane w domu Spod Obłoków 9 września i w Willi d'Abricot 17 lutego. Z tych trojga Victor nie żyje, a Imogen Roebuck jest pokonana - jej marzenia o świetnej przyszłości przecież umarły razem z nim. Więc pozostaje Gleasure. Tylko on może być mordercą. Jego motyw jest tajemnicą, ale jego wina jest niewątpliwa. Przy pierwszym zamachu przez pomyłkę zabił Rosemary i zwałił to na Consuelę. Jego drugie przedsięwzięcie powiodło się i zwałił je na mnie. Dlatego ta depesza i jego upór, żeby odłożyć udzielenie odpowiedzi na moje żądanie do poniedziałku. Dlatego te drzwi niezamknięte na klucz i ten proszek podrzucony do mojej torby. Badania wykażą, że to jest arszenik. Z całą pewnością. Gleasure po swoim ostrzegł mnie. „Muszę ułożyć pewne sprawy, proszę pana. Niech mi pan da czas do jutra rana. Myślę, że pan nie będzie rozczarowany.” No i nie byłem. Ale byłem bezradny, schwytany w potrzask. Też z całą pewnością.

W poniedziałek późnym wieczorem jeszcze raz zabrali mnie na przesłuchanie. Jospin miał tłumacza do wyjaśniania lingwistycznych niejasności i był gotów wreszcie przedstawić mi wszystkie fakty. Przeczytał moje zeznanie i wcale mi nie wierzył. Sądząc po jego twarzy o zapadniętych policzkach i latających ciemnych małych oczach, nie był człowiekiem, który zanadto wierzy swoim aresztowanym. Żeby go przekonać o czymkolwiek z wyjątkiem mojej winy, musiałbym przedrzeć się przez dwadzieścia lat urzędowych podejrzeń i odpowiednio podejrzliwą jego naturę.

Powiedział mi, że Victor w niedzielę pod wieczór poczuł się niedobrze. Poszedł do łóżka bez kolacji. Panna Roebuck przyniosła mu mleko i sucharek około godziny dziesiątej, ale nie chciał jeść ani pić i upierał się, że rano będzie mu lepiej. Przypuszczano, że ma ciężki atak niestrawności nękającej go co jakiś czas po zatruciu. Kolo północy panna Roebuck i inni goście w salonie usłyszeli dolatujący z góry łoskot. Gdy przybiegli zobaczyć, co się stało, Victor leżał nieprzytomny na podłodze w łazience sąsiadującej z jego sypialnią. Straszliwie

wymiotował. Zarówno znamienne ciemny kolor, jak obrzydliwy zapach wymiocin przypomniawszy Gleasure'owi i pannie Roebuck objawy zatrucia Victora we wrześniu. Przeniesiono go z powrotem na łóżko i Turnbull wezwał natychmiast swego lekarza. Ten doktor orzekł, że Victor stracił przytomność wskutek ataku serca i trudności z oddychaniem. Wezwał karetkę pogotowia z Nicei, ale zanim karetka przyjechała na Cap-Ferrat, Victor już nie żył.

Jospin przyjechał do Willi d'Abrirot w ciągu godziny i wyraźny obraz tego, co się stało, szybko się wyłonił. Ostatnim posiłkiem Victora było kilka oliwek popijanych dwiema dużymi szklankami whisky z wodą sodową w salonie późno w niedzielne popołudnie. Nikt inny nie pił szkockiej, której karafka stała na kredensie w salonie. Jedynym niezwykłym wydarzeniem, jak powiedziano Jospinowi, była moja niespodziewana, zgola niepożądana wizyta przedtem po południu. Wizyta pod pretekstem, że dostałem depeszę od Angeli - czyli jak sama Angela powiedziała, pretekstem kłamliwym. Wszedłem do tego domu, zastałem tylko lokaja, który zostawił mnie w pokoju śniadaniowym samego na dziesięć do piętnastu minut. Nic by mi wtedy nie przeszkodziło wejść do salonu i sypanąć zabójczą dawkę arszeniku w karafkę z whisky. Przecież znałem rozkład domu i ponadto wiedziałem, że Victor lubi whisky. Demonstracyjnie zarzucałem Victorowi, że to on ponosi winę za skazanie Consueli, i słyszano, jak mu groziłem. Proszek znaleziony w moim bagażu w Hôtel des Anglais jest, jak już wykazało badanie, tlenkiem arsenu. Ślady tego związku wykryto w whisky. I zgodnie z przedłożonym już raportem patologa, we wnętrznościach nieboszczyka jest dosyć arszeniku, żeby zabić go dziesięć razy.

Może powinienem był trzymać język za zębami i zażądać obecności adwokata. Ale ja tego nie zrobiłem, bo niewinność Consueli obchodziła mnie o wiele bardziej niż moja. Ją mieli powiesić za niecałe siedemdziesiąt dwie godziny. Wiedząc o tym, raczej nie mogłem traktować poważnie oskarżenia wysuniętego przeciwko mnie, a cóż dopiero kary, jaką ewentualnie takie oskarżenie za sobą pociągnie. Jeżeli Jospin będzie wiedział to, co ja wiem - rozumowałem - natychmiast pojmie, że winny jest Gleasure i tym samym niewinność Consueli zostanie udowodniona. Ale Jospin tego nie wiedział, a moje wysiłki, żeby zrozumiał, wydawały mu się tylko rozpaczliwą próbą skierowania podejrzeń gdzie indziej. Tak jak on to widział, chciałem po przybyciu do Willi d'Abrirot zobaczyć się z Gleasure'em tylko, żeby być

przez jakiś czas w tym domu. Nie dziwił mnie jego punkt widzenia, ponieważ nic nie potwierdzało prawdziwego powodu mojej wizyty. To prawda, oszust podszywający się pod Angelę mógł być nadać depeszę do mnie, cóż kiedy kierownik urzędu pocztowego w Beaulieu nieugięcie twierdzi, że nikt takiej depeszy nie nadał. Śledztwo, oczywiście, miało być przeprowadzone również w Anglii, ale na razie Jospin święcie wierzył, że ja wymyśliłem tę depeszę, tak samo jak to, że zastałem drzwi mego pokoju w hotelu niezamknięte na klucz. Zresztą - powiedział - śledztwo potrwa jakiś czas. A właśnie czasu Consuela nie miała. Perorowałem, dowodziłem, ale nie osiągnąłem niczego, nie przekonałem nikogo.

Odosobnienie jest chyba najgorszym ze wszystkich umartwień. Gdy siedziałem w wąskiej celi w Nicei, odcięty od świata, i wiedziałem tylko to, co policja uważała za stosowne mi powiedzieć, jedyną wolnością, jaką jeszcze się cieszyłem, była wolność wyobrażania sobie z coraz większą grozą, co się dzieje w Anglii. Dopiero później miałem się dowiedzieć, co rzeczywiście zaszło przez ten czas. Czytając dziennik Imry'ego z tamtych dni, miałem sobie odtworzyć wydarzenia, o których wtedy nic a nic nie wiedziałem.

Poniedziałek, 18 lutego 1924 r.

Od pierwszej chwili i potem nie wydawało mi się, że Geoff dopnie swego celu, jadąc na Cap-Ferrat.

Coś w jego przypadkowym spotkaniu ze Spencerem Caswellem i coś w depeszy, którą dostał od Angeli, nasunęło mi podejrzenie, że chcą go tam zwabić, chociaż komu może na tym zależeć i dlaczego, nie mam pojęcia. Drugi wieczór w hotelu Północno-Zachodnim w Liverpoolu zatrula mi ta myśl, już znajdująca uzasadnienie w faktach.

Spodziewałem się dzisiaj telefonu Geoffa i kiedy o dziewiątej wieczorem czekałem na próżno, zdecydowałem się sam zatelefonować do niego do hotelu w Beaulieu. Nieprędko dostałem połączenie. I kiedy wreszcie to nastąpiło, ktoś tam w hotelu powiedział mi, że Geoff zwolnił pokój dziś rano i nie wróci. Przecież gdyby Geoff miał taki zamiar, kiedy telefonował do mnie wczoraj, na pewno by mi o tym powiedział. Ponieważ nie powiedział, denerwuję się i nie wiem, co powinienem zrobić.

Ręce mam raczej związane, ponieważ już są tutaj senhor Francisco Manchaca de Pombalho i jego żona, doña Ilidia. Zabrałem ich z pokładu Hildebranda dziś po południu i wyjaśniłem tak przekonująco jak mogłem, że jestem znajomym Consueli i że ona mnie

prosiła, bym zajął się nimi w jej imieniu, pojechał do Hereford i przedstawił im Jacintę. Oboje byli bardzo przygnębieni i zdezoriontowani, więc na szczęście tego nie roztrząsali, ale czy długo będą się poddawać sytuacji, nie wiadomo. Mogę tylko mieć nadzieję, że dostane wiadomość od Geoffa, zanim stanę się zanadto ciekawi.

Francisco Manchaca de Pombalho to grubas po pięćdziesiątce, powściągliwy, uważający się za urodziwego i pompatyczny w sposobie bycia. Ale przy tym uprzejmy i ufny. Dobrze mówi po angielsku, chociaż słownictwo ma ograniczone, ubiera się nienagannie i chyba stanowił jaskrawy kontrast ze swoim ponurym bratem Rodrigiem, o którym mi opowiadał Geoff. Dona Ilidia żyje w cieniu męża, smętna, nieduża kluska, wciąż bliska płaczu. Jasne było dziś dla mnie, że oboje chcą mi zadać więcej pytań - o stan ducha Consueli, o śmierć Rodriga, o ich przyszłą wychowankę - niż w ich pojęciu to wypada na początku znajomości. Żałuję, że w żaden sposób nie mogę ich pocieszyć, sprawić, żeby mogli zrozumieć rozwój wypadków, tak straszny i bezsensowny, ale czy mógłbym, kiedy sam tego wszystkiego nie rozumiem.

Jutro jedziemy do Hereford. Serce mi zamiera na myśl, co tam nas czeka. Trudno przewidzieć, jak przyjmą nas Caswellowie, jakie będzie spotkanie z Jacintą, która musi i wie, że musi jakoś pogodzić się z tym, że jej matka we czwartek umrze.

We wtorek rano miałem gościa. Był to pan Lucas z brytyjskiego konsulatu w Marsylii. Zimny, bezbłędny, powiedział, że chętnie skomunikuje się z moim radcą prawnym w Anglii, żeby powierzyć moją obronę któremuś z adwokatów nicejskich. Również chętnie skontaktuje się z moimi krewnymi, czy przyjaciółmi. Ale mnie nie interesowała moja obrona. Chciałem tylko, żeby pan konsul zawiadomił Windrusha i sir Henry'ego, co się dzieje, żeby wyjaśnił Imry'emu, dlaczego nie telefonuję i przede wszystkim, żeby ponaglił Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, które powinno natychmiast odwołać egzekucję Consueli. Lucas był wymijający. Notował, służył radą w zakresie prawa francuskiego, uśmiechał się jak sfinks, a potem wyszedł.

Po południu znów zabrano mnie na przesłuchanie. Tym razem Jaspin nie miał tłumacza. Serce mi podskoczyło na widok swojskiego oblicza nadinspektora Wrighta. Wreszcie mogę porozmawiać z kimś, kto chyba doceni znaczenie tego, co mówię, myślałem. Wyłożyłem więc to wszystko ponownie z całą szczerością, na jaką było mnie stać.

Poprzednio Wright powiedział, że ja kłamię, teraz mu powiedziałem, kto rzeczywiście jest tym kłamcą. Gleasure popełnił dwa morderstwa. Wkrótce zostanie to niepodważalnie udowodnione. Tymczasem nie wolno dopuścić do wykonania niesprawiedliwego wyroku, bo ten wyrok mieliby na sumieniu wszyscy zainteresowani do końca swoich dni, jeżeli nie zainterweniują, zanim będzie za późno. Pan inspektor nie musi mi wierzyć. Nie proszę o to. Proszę tylko, żeby uznał możliwość, że mówię prawdę.

Wright czekał cierpliwie, aż powiedziałem wszystko, co chciałem powiedzieć, czy może nawet więcej. Zapalił fajkę i poczęstował mnie papierosem.

- Ja tutaj przyleciałem aeroplanem - oznajmił. - Z Croydon. Z przesiadkami, oczywiście. Czy pan kiedy latał, panie Staddon?

- Nie.

- Nie polecam tego. Hałas okropny. I ciasno w dodatku. Zdecydowałem się na to, bo mnie tknęło, że powinienem wnikać w to ostatnie otrucie przed egzekucją pani Caswell. Na wszelki wypadek, jeżeli faktycznie znów otruła ta sama osoba.

- Tak jest.

- Nie sądzę.

- Pan mi nie wierzy.

- W ani jedno słowo. Nie pana wina. Ma pan dar przekonywania jak nikt. Tylko, że ja za dużo wiem o panu. Pan był kochankiem pani Caswell, prawda? Przed wojną.

- Czyżby?

- Tak. Mam to czarno na białym. W tym anonimowym liście, o którym panu mówiłem. Przed wojną i możliwe, że po wojnie. Historia na swój sposób wzruszająca. Zdecydowanie trwał pan przy niej, chociaż pan wiedział, że usiłowała zabić męża. Nie mogę mieć tego panu za złe. W istocie podziwiam pana. Mało który mężczyzna zrobiłby to dla swojej dawnej flamy. Pana żona nie chciała tego tolerować, oczywiście. Wystąpiła, jeśli się nie mylę, o rozwód. Jej nazwisko kojarzy się z majorem Turnbullem, starym przyjacielem pana Caswella. To musiał być zgrzyt, na pewno. Ale pana to nie powstrzymało. Próbował pan wszystkiego... zgodnie z prawem i niezgodnie, żeby ratować panią Caswell przed strykiem. I kiedy wszystko zawiodło, zdecydował się pan na ostatni rozpaczliwy krok. Jeżeli Victor Caswell umrze taką śmiercią, jakiej ledwie uniknął we wrześniu zeszłego roku, to my będziemy musieli przyznać, że owa osoba dokończyła swego dzieła

rozpoczętego wtedy i że ową osobą oczywiście nie może być pani Caswell, ponieważ ma doskonałe alibi: celę śmierci w więzieniu Holloway.

- Pan się myli.

- Nie tym razem, panie Staddon. Ja pana już przejrzałem. Taki był cel włamania do domu Spod Obłoków, prawda? Zamordować Victora Caswella. Ale on się przygotował. Czy zamierzał zabić Pombalho... czy was obu... nie wiem. Tak czy owak, pan go jakoś przekonał, żeby pana puścił z życiem. Wielki błąd z jego strony, jak się okazało. Tutaj czuł się bezpieczny... zapomniał o ostrożności. Może dał się nabrać na pana kłótnię z żoną. Przyjął, że pan przyjechał do niej, a nie do niego. Jeśli tak, to niebywała pomyłka. Konając może tego żałował.

- Ja go nie zabiłem.

- Och, zabił go pan. Nie mógł pan wiedzieć, czy on wypije wystarczająco dużo tej whisky, ale to nie miało znaczenia, prawda? Nawet gdyby znów tylko chorował, wydawałoby się to jeszcze jednym zamachem na jego życie i może byśmy uznali, że trzeba wstrzymać egzekucję.

- Dlaczego nie odwołujecie?

- Dlatego, że pan nie dopatrywał szczegółów. To zrozumiałe. Nie miał pan czasu. Z tą depeszą nie zdał pan egzaminu, no nie?

- Była depesza. Mój asystent pokwitował odbiór. Rozmawiał pan z nim?

- Tak. Uczciwy człowiek, pan Vimpany. Ale łatwowierny. Ta depesza to fałszerstwo, panie Staddon. Dość dobre, żeby oszukać pana Vimpany'ego, ale nie dość dobre, żeby oszukać Dyrekcję Poczty i Telegrafów. Kim był ten goniec? Ile mu pan zapłacił? Spisał się znakomicie, więc mam nadzieję, że nie czeka jeszcze na należne pieniądze. Jeżeli czeka, grubo się rozczaruje.

- Skoro depesza była sfalszowana, sfalszował ją Gleasure. Tak jak te anonimy. Czy pan nie rozumie?

- Owszem, rozumiem. Jest pan gotów zrobić wszystko... i oskarżyć każdego, byleby przeszkodzić straceniu pani Caswell. Ale to nie przeszkodzi. Bo ona jest winna. I pan też.

- Gleasure był obecny przy obu tych morderstwach. Niech pan pomyśli o tym, inspektorze. Niech pan pomyśli, co to znaczy.

- To znaczy, że był lokajem Victora Caswella. Gdzie miałby być, jeśli nie tam, gdzie jego pan? Dlaczego miałby chcieć go zabić. Teraz został bez pracy. Co zyskał?

- Nie wiem.
 - Ja też nie wiem, panie Staddon. Ja też nie wiem.
 - Jest pan oskarżony o morderstwo - wtrącił Jospin. - Czy pan wie, jaką karę za morderstwo przewiduje prawo francuskie?
 - Karę śmierci, przypuszczam.
 - *Oui, monsieur*. Karę śmierci. Ale nie przez powieszenie.
 - Tutaj oni to robią inaczej - wtrącił Wright.
 - *La guillotine* - ciągnął Jospin. - *La veuve*.
 - Wdowa - przetłumaczył Wright z uśmiechem. - Tak nazywają gilotynę. Paskudny sposób odejścia, powiedziałbym. Złamany kark, no trudno. Ale kark przekrojony! Zbyt to prymitywne jak na mój gust.
 - Myśli pan, że mnie obchodzi, jaki sposób stosują?
 - Powinno pana obchodzić. Bo gra się skończyła, panie Staddon. Spróbował pan śmiało, przyznaję, ale to nie uratuje pani Caswell. Ona nie uniknie szubienicy. Powinien pan myśleć teraz o sobie, a nie o niej. Najlepiej dla pana mówić prawdę.
 - Przecież mówię prawdę, inspektorze. Ale pan nie chce słuchać.
 - Och, słucham. Cóż, kiedy prawdy nie słyszę. Jeszcze nie. Więc pozwolimy panu zastanowić się nad tym trochę dłużej. Potem znów z panem pogawędzimy.
 - Na litość boską, człowieku...
 - *Silence* - warknął Jospin. Spojrzał na młodego policjanta stojącego przy drzwiach. - *Amenez le prisonnier à son cachot*.
- Gdy policjant dotknął mojego ramienia, Wright mrugnął do mnie nad stołem.
- Do widzenia, panie Staddon.

Wtorek, 19 lutego 1924 r.

Raczej nie umiem opisać mojej reakcji na dzisiejsze wydarzenia. Myślałem, że już bardziej niespokojny i bezradny nie będę, ale myliłem się. Zdałem sobie z tego sprawę dzisiaj po południu, kiedy wysiadłem z pociągu w Hereford i zobaczyłem nabazgrany duży napis na ścianie kiosku z gazetami: Victor Caswell zamordowany. To oczywiście było tylko zdumiewające. Natomiast to, co zaraz potem przeczytałem w dodatku nadzwyczajnym „Czas Hereford”, który kupiłem w tym kiosku, naprawdę przejęło mnie grozą.

Victor Caswell zmarł wczoraj wczesnym rankiem. Został otruty najwidoczniej arsenikiem. A Geoff siedzi w areszcie w Nicei, podejrzany o to morderstwo. Spośród wyrazów oburzenia i współczucia

redakcji dla szanowanej miejscowej rodziny, którą prześladowuje nie-szczęście, wyłuskalem, że tylko tyle wiadomo dokładnie. Dowody przeciwko Geoff owi sprowadzają się do jego wizyty w niedzielę w Willi d'Abriocot pod naciągany pretekstem ido znalezienia w jego rzeczach substancji będącej, jak się przypuszcza, tlenkiem arsenu.

Chyba nigdy nie czulem się bardziej bezradny wobec wydarzeń i oghupiały niż teraz. Geoff wpadł w pułapkę. Moje złe przecucia co do jego podróży na Cap-Ferrat okazały się uzasadnione. Ale taka pułapka? Jaki jest jej cel? Czy to ów ktoś, kto usiłował zamordować Vie tora Caswella we wrześniu zeszłego roku, uderzył znowu, tym razem kierując podejrzenia nie na Consuelę, tylko właśnie na Geoffa? Jeśli tak, dlaczego właśnie teraz, na trzy zaledwie dni przed egzekucją Consueli?

Może bym jakoś usiłował odpowiedzieć sobie na te pytania, gdy-bym nie musiał poświęcić dziś tyle czasu i energii, żeby wytłuma-czyć to niewytłumaczalne państwu Pombalho. Kiedyśmy dojechali do Paprociarni, dowiedzieliśmy się, że Mortimer Caswell jest zajęty, rozmawia z policją i swoim radcą prawnym, panem Quartonem, o śmierci Victora, a Marjorie, wstrząśnięta, załamana, w ogóle nie może rozmawiać z nikim. W tych okolicznościach chyba to dobrze, że przyjęła nas Hermione Caswell, jedyna w rodzinie osoba, której nie mógł zrazić do mnie fakt, iż jestem przyjacielem Geoffa. Her-mione tak samo jak ja nie rozumie, co się stało, umocniła mnie jed-nak w podejrzeniu, że Geoff padł ofiarą spisku. Powiedziała mia-nowicie, że nie wiadomo, gdzie teraz się znajduje jej bratanek Spen-cer. Wyjechał do Londynu w zeszły piątek rano, tego dnia, gdy spo-tkał Geoffa, i miał wrócić wieczorem, ale nie wrócił. Chciała już zwrócić się do policji, ale Mortimer jej zabronił. Powiedział, że chłopa-ki zniknął już przedtem na długie weekendy w Londynie i na pewno się odezwie, kiedy przeczyta w gazecie o śmierci stryja. Mnie osobi-ście nie wydaje się, żeby zniknięcie Spencera było zbiegiem okolicz-ności. On jest na Cap-Ferrat, ręczę, jakoś wmieszany w tę sprawę. Hermione teraz, kiedy jej powtórzyłem, co mówił Geoffrey'owi, kiedy się spotkali w Londynie, myśli tak samo.

Jacinta to dzielna i dojrzała dwunastoletnia dziewczynka. Na pewno co noc płacze, dopóki nie zaśnie z ukochanym misiem w obję-ciach, ale nam, dorosłym, pokazuje buzię niezaplakaną i jest zdecy-dowanie spokojna. Wie, że jej ojciec nie żyje, wyraźnie jednak jej to nie porusza, prawie mógłbym uwierzyć, że spodziewała się tej wia-domości. Powitała nas z powagą, bardzo opanowana. O areszto-waniu Geoffa nie wie, ale nawet gdyby wiedziała, chyba nie bardzo

by się tym przejęła, skoncentrowana na jedynej ważnej dla niej sprawie: matka jest niewinna i zostanie ocalona. Cale szczęście, że to przekonanie chyba nie pozwala jej dopuszczać żadnych obaw. Przynajmniej Jacincie łatwiej przetrwać.

Kiedy rozmawialiśmy z Jacintą, przyszedł Mortimer. Do mnie odniósł się podejrzliwie - moje nazwisko powiedziało mu, że jestem współnikiem Geoff a, ale w obecności państwa Pombalho musiał powitać mnie uprzejmie. Ma sześćdziesiąt lat i jest surowy, zapięty na wszystkie guziki, chociaż w duchu aż kipi. Przyjmuje śmierć brata jako następny niezawiniony dopust losu. Kłamstw kryjących się za tym dopustem najwyraźniej nie chce roztrząsać. Okoliczności śmierci brata w wersji policji są dla niego dostatecznym nieszczęściem bez wyobrażania sobie spisku, który mógłby dotyczyć jeszcze kogoś z jego rodziny.

Dlatego doszło do kłótni Mortimera z Hermione, kłótni jak podejrzewam, wiszącej w powietrzu, odkąd dostali wiadomość o śmierci Victora. Hermione utrzymuje, że wobec wątpliwości, jakie budzi to wydarzenie, powinniśmy wszyscy wywrzeć nacisk na Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, żeby bodaj odroczone egzekucję Consueli, co może się udać, jeżeli utworzymy jednolity front. Poparłem Hermione i z niejakiim wahaniem stanął po jej stronie Francisco (więc i doña Ilidia). Ale Mortimer nie chciał nas słuchać. Od miesięcy nękają go reporterzy i plotkarze. Niechże to się wreszcie skończy: publiczny apel o życie Consueli tylko by to przedłużył. Nie znam go dość dobrze, nie wiem, czy chodzi mu rzeczywiście o to. W każdym razie Consueli nie pomoże upieranie się, że nic nie należy robić.

Dopiero wczesnym wieczorem, kiedy w końcu ulokowałem oboje Pombalho tutaj pod Zielonym Smokiem, mogłem rozważyć implikacje tego, co zaszło. Nie wierzę w winę Geoffa. Wnioskuje, że Victora zamordowała ta sama osoba, która próbowała go zamordować we wrześniu. Consuela nie może być tą osobą, mamy co do jej niewinności jeszcze większą pewność teraz, niż mieliśmy przedtem. Mój jedyne cel w tym krótkim czasie, jaki jej został, to zapobiec egzekucji. Przecież tego chce Geoff

W tym celu zatelefonowałem do kancelarii sir Henry'ego Curtis-Bennetta, ale telefonu nikt nie odbierał. W końcu od żony Windrusha tu w Hereford dowiedziałem się, w którym hotelu w Londynie Windrush tym razem się zatrzymał, ale gdy tam zatelefonowałem, powiedziano mi, że wyszedł. Wtedy raczej w poczuciu daremności

zamówilem połączenie z Willą d'Abricot na Cap-Ferrat. Służącemu, który odebrał telefon, powiedziałem, że chcę mówić z Anglą. Po długiej, chyba nadmiernej zwłoce podeszła do telefonu.

Spodziewałem się, że Angła jest wstrząśnięta ostatnimi wydanieniami i zlagodniała. Nie spodziewałem się jej wyraźnej złej woli w stosunku do Geoffa. Sądząc z jej tonu nie tylko uważa go za winnego, ale podejrzewa, że otrul Victora tylko jej na złość. Powiedziała, że ta depeza była czystą fantazją, że Geoff to niebezpieczny maniak i że byłoby wskazane, bym odsunął się od niego całkowicie.

Po tej nieprzyjemnej rozmowie ulgę sprawiła mi rozmowa z Windrushem, który już wrócił do swego hotelu. Nie mógł jednak służyć mi pociechą. Jest w kontakcie z sir Henrym, będącym teraz na sesji sądowej w Norwick. Za radą sir Henry'ego nalegał w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, żeby odłożono egzekucję Consueli do czasu wyjaśnienia okoliczności śmierci Victora. Jak dotąd, oni tam się opierają, ale może jutro zmiękną. Nie dopytywałem się, jaka jego zdaniem będzie decyzja. W głębi ducha bardzo się lękam, że ich niechęć do ingerencji w to, co nazwali w swoim piśmie do mnie „słuszną procedurą prawa” udaremni wszelkie nasze takie wysiłki, nawet jeżeli budzą w nich podejrzenie, że są usprawiedliwione.

Odkąd powiedziałem Windrushowi dobranoc, trapi mnie myśl jeszcze bardziej niepokojąca. Mam tylko słowo Geoffa, że w piątek spotkał Spencera i że dostał depezę podpisaną: „Angła”. Jest możliwe - chociaż przykro mi myśleć o tym - że sfabrykował takie powody wyjazdu na Cap-Ferrat. Jeśli tak, to jego prawdziwym celem mogłoby być otrucie Victora w nadziei, że to wywoła dostateczne wątpliwości co do winy Consueli, żeby wnieść o zmianę wyroku. Widział się z nią w piątek, rozmawiał z nią po raz pierwszy od trzy-nastu lat - w celi śmierci w więzieniu Holloway. Przecież nie wiem, jak podziałało na niego to spotkanie. Mogło go doprowadzić do rozpaczliwego działania, żeby uciszyć wyrzuty sumienia. Mogło go pchnąć do ratowania jej życia kosztem swojego...

Boże, obym się, mylił. Zaraz zapytałbym Rega, czy przyjął depezę z kontynentu dla Geoffa w piątek po południu. Ale Reg nie ma telefonu w domu. Muszę z tym czekać do jutra. Co on mi odpowie?

Środa rano w Nicei. Niebo za oknem mojej celi było bardzo niebieskie, bezchmurne, kryształowe. Zastanawiałem się, jakie jest niebo nad Holloway, co Consuela na nim widzi, gdy patrzy o świcie swego

ostatniego całego dnia. Ja jeszcze mogłem czerpać pociechę z niepewności, ale ona modłać się, myjąc, jedząc śniadanie, wie, że skąpo jej przydzielone światło dzienne o swojej porze zgaśnie i koniec - nagły, absolutny i przesądzony - nastąpi już tylko po tej jednej nocy.

Znow przyszedł do mnie Lucas, teraz w towarzystwie miejscowego *avocat*, który dał się namówić do przyjęcia mojej sprawy. Ów monsieur Fontanet nie wydawał się zgoła zachwycony tym, że ją przyjął, i zupełnie się zniechęcił, bo nie chciałem z nim omówić strategii, jaką powinniśmy przyjąć, gdy stanę przed sądem, żeby odpowiedzieć na oskarżenie o otrucie Victora Caswella. To wydarzenie zaplanowano na piątek, ale mnie interesowało tylko, co przyniesie czwartek. Czy Lucas jest w kontakcie z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych? Nie. Wysłał memorandum do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i tam podejmą należyte kroki. Czy rozmawiał z Imrym albo z Windrushem, albo z sir Henrym? Jeszcze nie, ale na pewno spróbuje znaleźć na to czas. Pojąłem, że nie zrozumiał - albo nie chce zrozumieć - nic z mojego wyjaśnienia.

Koło południa policjant znowu poprowadził mnie do pokoju przesłuchań, gdzie czekał nadinspektor Wright ze swoją fajką, gotowym uśmiechem i cierpliwością w oczach. Jospin był nieobecny, co od razu wytłumaczyło mi inną teraz postawę Wrighta. Eskortujący mnie policjant nie znał angielskiego. Uśmiech Wrighta tak szeroki, że twarz mu się zmieniła, oznajmiał: możemy, Anglik z Anglikiem, mówić swobodnie.

- Wczoraj panu już powiedziałem, panie Staddon, nie życzę gilotyny nikomu, a zwłaszcza rodakowi. Chcę panu pomóc w granicach moich możliwości.

- Więc niech pan poprosi ministra spraw wewnętrznych o wstrzymanie egzekucji.

Potrząsnął głową.

- To na nic by się nie zdało. Takie sprawy mają swój własny bieg. Tylko do pewnego punktu można je wstrzymać. Sprawa pani Caswell ten punkt minęła. Ale pana sprawa jeszcze nie. Niech pan spojrzy na to z tej strony. Zaprzeczenia nie chwycą. Nie przeskoczy pan faktu, że pan zamordował Victora Caswella. Ale może da się przeskoczyć konieczność odpowiadania za to w systemie prawnym, który, niechże pan zrozumie, rozprawia się ze skazanymi morderca mi jak w średniowieczu, chociaż taki bestialski sposób razem ze średniowieczem powinien od dawna przejść do historii.

- Co pan chce przez to powiedzieć, inspektorze?

- Niech pan się przyzna. Taka jest moja rada. Zamordował pan Victora Caswella i odegrał pewną rolę w usiłowaniu otrucia go we wrześnie zeszłego roku. - Wright znów się uśmiechnął, widząc moje zdumienie. - Nie wiem, dlaczego nie przyszło mi to na myśl wcześniej. Może już się starzeję. Ale czy nie było tak? To przecież prawda. Pani Caswell usiłowała zamordować męża, żeby się uwolnić i wyjść za pana. A teraz pan dokończył dzieła. Niestety, ślubu nie będzie.

- Nie. To wcale nie jest prawda.

- Anonimowe listy zbiły mnie z tropu. Sprawily, że przypisywałem niewierność panu Caswellowi, a nie pani Caswell. No, ale przypomniałem sobie, z jakim naciskiem sir Henry podkreślał w procesie religijność pani Caswell. Katolicy nie mogą się rozwodzić. Dlatego musiało to być morderstwo. Pan ją namawiał i nie zdołał namówić. Więc przysłał pan te anonimy. One zdziałały to, czego pan nie zdziałał. Kiedy tylko je przeczytała, jej skrupuły uleciały przez okno. Sprytny pan jest, doceniam. Bardzo sprytny. Ale i bezlitosny. Powiem nawet, okrutny.

- Ja nie napisałem tych anonimów.

- Tylko nie mogę zrozumieć, dlaczego pan napisał ten ostatni... ten adresowany do mnie. Czy dlatego, żebym na pewno nie podejrzewał pana o tamte trzy? Jeżeli tak, popełnił pan błąd. Kto inny mógłby wiedzieć, że pan był z Pombalho? Caswell wolał nie rozgłaszać tego faktu. Właśnie, to musiał napisać pan. Duży błąd, jak powiadam. Obawiam się, że ostatnio popełnia pan sporo błędów.

- Gleasure wiedział. On napisał te anonimy. On zamordował Victora. To jasne jak słońce, ale pan nie chce tego wiedzieć.

- Otóż, do czego zmierzam, panie Staddon. Gdyby pan się przyznał do udziału w otruciu Rosemary Caswell, to by miało pierwszeństwo przed późniejszą pana zbrodnią. Moglibyśmy wystąpić o ekstradycję i spodziewam się, że władze francuskie chętnie by się pana rzekły. Wtedy proces mógłby odbyć się w Anglii. O wiele lepiej by to było, zważywszy pana szanse, nie uważa pan?

Wpatrywałem się w niego, usiłując siłą woli zmusić go, by uwierzył w to, co powiem.

- Nie obchodzą mnie moje szanse, inspektorze. Obchodzi mnie tylko pani Caswell. Jeżeli ją powieszą, będzie pan tego żałował. Kiedyś prawda wyjdzie na jaw i jej sprawa stanie się *cause célèbre*. Świat

się dowie, że powieszenie jej to groteskowa omyłka sądowa. Będzie się pisać książki o tym, będzie się żądać śledztwa. Ona może nawet zostanie pośmiertnie niewinniona. Gdzieś w przypisach znajdzie się i pana nazwisko, jednego z tych, którzy się przyczynili i spokojnie patrzyli, jak państwo popełnia morderstwo. Wtedy przestanie się pan uśmiechać.

Już teraz przestał.

- Dokończymy tę rozmowę jutro, panie Staddon. Dam panu ostatnią sposobność do usłuchania głosu rozsądku i mam nadzieję, że pan z niej skorzysta. Jutro pani Caswell nie będzie potrzebowała pomocy pana... ani nikogo innego.

Powoli minęło popołudnie. Jasność śródziemnomorskiego nieba matowiała. Cienie się wydłużały. Znów myślałem o Consueli. Co robi? Spaceruje po więziennym dziedzińcu? Pisze list do Jacinty? Rozmawia z księdzem? Nie spodziewa się już niczego poza śmiercią, przedwczesną i niezawinioną. Spowiedź, którą kiedyś może uważała tylko za środek ostrożności, teraz jest dla niej zasadniczym przygotowaniem. Zapadał zmierzch. Patrzyłem, jak kolor spelza z nieba, aż ostatni przebłysk zniknął, i wiedziałem, że w Anglii zmierzch zapada jeszcze szybciej. Dostałem skromny posiłek. Bez wątplenia w Holloway byli bardziej szczodrzy. Ale nic nie zjadłem ani też chyba nic nie jadła Consuela. Wieczór się włókł. Bez zegarka już nie mogłem śledzić czasu. Inaczej Consuela. Ona miała wiedzieć, kiedy nadejdzie godzina dziewiąta i wskazówki zegarka zaczną zataczać swoje kółko po raz ostatni.

Środa, 20 lutego 1924 r.

Big Ben wybił godzinę dziewiątą wieczorem. Bardzo wyraźnie słyszeliśmy jego bicie w tym zimnym ponurym pokoju. To chyba jest miarą absolutnej ciszy naszego czekania. Siedzimy tu od dwudziestu zaledwie minut, ale wydaje się, że od wieków. Windrush wierci się w fotelu na lewo ode mnie i pali papierosa za papierosem. Pombalho zamyślony siedzi bez ruchu w fotelu na prawo. Nie wiemy, kiedy wreszcie drzwi z drugiej strony pokoju się otworzą i tym samym czuwanie się skończy, ani nie wiemy, czy to będzie koniec żarliwie upragniony, czy też taki, o jakim myśl przejmuje nas grozą. Możemy tylko czekać i mieć nadzieję.

Dziś rano zaraz po dziewiątej w sali restauracyjnej hotelu Pod Zielonym Smokiem jadłem śniadanie z obojgiem Pombalho, usiłując

bez powodzenia znaleźć jakieś słowa, żeby podnieść ich na duchu, kiedy ku memu zdumieniu zobaczyłem Hermione Caswell, która lawirując wśród stolików śpieszyła do nas. Jej pośpiech i wyraz twarzy powiedziały mi, że stało się coś niezwykłego.

Na naleganie Hermione zostawiłem senhora i doñę Pombalho przy śniadaniu i poszedłem z nią do małego gabineciku w tylnej części hotelu. Tam czekał na nas gość z rodzaju tych, jakich personel Zielonego Smoka normalnie odprawia od drzwi; brzydko pachnący i obszarpany, ze zmierzwionymi siwymi włosami i brodą, typowy włóczęga. Hermione go przedstawiła: Ivor Doak. Otóż Doak nocował dziś w zacisznej sieni w pobliżu katedry - jednym ze swoich stałych miejsc noclegowych. Rano, kiedy szedł stamtąd przez skwer przed katedrą, zauważył porzuconą na ławce gazetę, więc wziął ją, żeby poczytać. To był wczorajszy dodatek specjalny „Czasów Hereford” z wiadomością o śmierci Victora Caswella i o aresztowaniu Geoffa, podejrzanego o otrucie go arsenikiem. Doak przeczytał wiadomość prawie ucieszony, ponieważ śmierć w mękach to właśnie to, czego by życzył człowiekowi, który zabrał mu farmę Spod Obłoków. Ale zmartwił się posądzeniem o to Geoffa, bo nadal jest mu wdzięczny za hojną pomoc w dawnych czasach i zawstydzony, że te pieniądze poszły na marne.

Doak nie uwierzył w winę Geoffa. Tu doszliśmy do sedna sprawy. Najwidoczniej często bywa na terenie Spod Obłoków po części z tęsknoty, po części dla zadokumentowania samemu sobie, że ta ziemia wciąż jeszcze należy do niego. Lekceważy zabezpieczenia przed intruzami, wprowadzone ostatnio przez Victora, i pokonuje je bez trudu. Często nocuje w którejś z szop, przeważnie w warzywniku. (Podejrzewa, że Banyard od dawna wie o tym, chociaż udaje, że nie wie). W zeszły poniedziałek w nocy wybrał sobie owocarnię, gdzie mógł zarówno się pożywić, jak ogrzać. Tym razem coś mu nocny spokój zakłóciło. Ma dobre uszy i lekki sen człowieka przywykłego do wyrzucania go z legowiska, a zresztą nieraz - zaznaczył - budziło go jakieś podejrzane kręcenie się po terenie Spod Obłoków.

Ktoś przekradł się koło owocarni. Doak wyjrzał i w poświęcacie księżycy zobaczył postać przed jedną z przybudówek stojących wzdłuż północnego muru warzywnika. Ów ktoś otworzył drzwi i wszedł, podniósł tam pokrywą jakiejś puszki - Doak słyszał ten wyraźny odgłos - i po chwili nakrył puszkę z powrotem. Znow się ukazał, zamknął drzwi i ukradkiem odszedł.

Zaciekawiony Doak odczekał i kiedy zapanowała cisza, poszedł do tej szopy. Przy drzwiach stały w niej duże jednakowe puszki

„Chwasty precz”. To jedną z nich ktoś otworzył, przypuszczalnie żeby wziąć trochę tego proszku, użytego, jak Doak dobrze wiedział, do otrucia Victora, Marjorie i Rosemary Caswellów we wrześniu zeszłego roku. Niemniej Doak zdecydował się do tego nie wtrącać. Bo czy to jego sprawa? Jeżeli znowu ktoś chciał otruć Victora, Doak tylko życzył temu komuś szczęścia. Był uszczęśliwiony, kiedy przeczytał dziś rano, że tym razem się udało. Tylko wielka szkoda, że ma cierpieć za to pan Staddon, który swego czasu tak życzliwie wspomógł go materialnie. Niewinności Geoffa Doak jest pewny. Popędził więc do Paprociarni i powiedział to Hermione (ją jedyną z rodziny Caswellów raczej szanuje). Trucicielem musi być mężczyzna, którego widział tamtej nocy w warzywniku. John Gleasure.

Kiedy tylko Doak wymienił to nazwisko, moje myśli się rozszalały. Reakcja wahała się między uniesieniem i rozpaczą. W końcu naprawdę wiemy, kto jest tym mordercą. Niewinność Consueli została udowodniona. Tak samo Geoffa. Jak mogłem żywić wątpliwości co do niego? Ale zbyt szybko opadły mnie złe przeczucia. Czy władze uwierzą Doakowi? I nawet, jeżeli uwierzą, czy uznają ten dowód za wystarczający, by odwołać egzekucję Consueli? Czy będzie dla nich dostatecznie mocny - czy po prostu najslabszy ze wszystkich możliwych - i czy nie nadarzył się trochę za późno. Nie-stety, nadal nie wiem.

W tamtym momencie jedną rzecz przynajmniej wiedziałem dobrze. Trzeba wykorzystać to, co Doak nam powiedział, wykorzystać natychmiast. Wyjaśniliśmy znaczenie jego relacji obojgu Pombalho, po czym zostawiając doń Ilidię Pod Zielonym Smokiem udaliśmy się do komendy policji Hereford tak prędko, że przybyliśmy tam przed godziną dziesiątą. Wtedy jednak sprawa zaczęła się wlec i przez cały dzień były zahamowania i przeszkody.

Policjanci na służbie stwierdzili zgodnie, że tylko nadinspektor Weaver może nam pomóc. Pamiętałem go z procesu: zrównoważony, mówił powoli - wzór uczciwego policjanta - więc moje nadzieje wzrosły. Ale on miał konferencję z naczelnikiem i nie można mu było przeszkadzać. Tłumaczyliśmy, błagaliśmy i żądali. Nic nie pomagało. Ostatecznie Hermione oznajmiła, że albo wezwą Weavera, żeby nas przyjął, albo ona sama wtargnie na tę konferencję i będą musieli ją wyrzucić siłą. Wobec takiej groźby zgodzili się przesłać nadinspektorowi kartkę.

Weaver przyszedł wyraźnie zirytowany. Ale wysłuchał cierpliwie zeznania Doaka. Potem długo go wypytywał. Czas nie stał w miejscu. Minęła godzina jedenasta, zanim Weaver się zgodził, że

uzasadnione będzie dalsze dochodzenie. Tylko że ma kłopot, jak przyznał swobodnie, bo tę sprawę przejął Scotland Yard. Trudno więc mu działać bez aprobaty Scotland Yardu, a prowadzący dochodzenie nadinspektor Wright właśnie jest w Nicei. Poszedł poradzić się naczelnika policji. Wrócił i powiedział, że zatelefonuje do Wrighta. Uzyskanie połączenia trwało chyba wieki i w rezultacie tylko usłyszał francuskiego policjanta dukającego po angielsku, że Wright jest „nie do wzięcia”. Poszedł znów radzić się naczelnika. Dochodziło południe.

Od naczelnika Weaver wrócił w innym już nastroju. Pomimo jego zastrzeżeń co do celowości - powiedział - należy przeprowadzić rewizję w pokoju Gleasure'a w domu Spod Obłoków, bo może znajdą się tam ślady arszeniku czy inny jakiś dowód na poparcie oświadczenia Doaka. Nie ma nakazu rewizji, ale jest pewny, że Danby nie będzie się sprzeciwiał Pozostawiając Doaka, żeby podyktował i podpisał urzędowe zeznanie, pojechaliśmy tam z Weaverem.

Po raz pierwszy znalazłem się w tym domu zaprojektowanym przez Geoffa, ale nastąpiło to w okolicznościach, które zgola nie sprzyjały rozważaniom architektonicznym. Skromny kawalerski pokój Gleasure'a przeszukiwali bardzo dokładnie Weaver i jego dwaj asystenci, a Hermione, Pombalho i ja patrzyliśmy. Nie wydawało się, że wykryją dużo sekretów, bo wyraźnie jest to pokój człowieka schludnego, który utrzymuje w porządku swój nieduży dobytek. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się tam niczego, co by mogło Gleasure'a obciążać. I prawdopodobnie nic by ta rewizja nie dała, gdyby Pombalho nie stanął przypadkiem na wyjątkowo skrzypiącej klepce podłogi. Po odciągnięciu dywanu zobaczyliśmy dwa wcięcia, takie że bez trudu można wyjąć część tej klepki. We wgłębieniu poniżej stała wetknięta pomiędzy legary stara puszką po herbatnikach. Były w niej karty z pozdrowieniami na urodziny, na Boże Narodzenie, na świętego Walentego - i list. Karty w kopertach, wszystkie napisane tym samym charakterem pisma, opatrzone stemplami pocztowymi z okresu od jesieni 1910 do lata 1911 roku. Wszystkie adresowane do Gleasure'a i jeśli podpisane, to literą „L” pod wyznaniem najczulszej miłości dla „najdroższego Johna”. List natomiast wysłany 19 lipca 1911 roku był adresowany do Petera Thaxtera w więzieniu Gloucester. Poznałem go od razu, bo Geoff pokazywał mi jego falsyfikat. Ten list - o czym świadczył charakter pisma taki sam, jak na kartkach - był oryginałem: pożegnalny list Lizzie Thaxter do brata.

Weaver dobrze pamiętał samobójstwo Lizzie. Teraz wreszcie dowiedział się, dlaczego ona się powiesiła. Dowiedział się również,

że w dużej mierze winę za to ponosi Victor Caswell i że Lizzie była potajemnie dziewczyną Gleasure'a. Tak więc nagle objawił się motyw morderstwa: pomszczenie utraconej miłości. Wszystkie fragmenty tajemnicy złożyły się w całość. Malahide na pewno sprzedał Gleasure'owi list Lizzie, tym samym zapoznając go z całą prawdą o jej śmierci. Pan, któremu Gleasure od lat służył wiernie, doprowadził jego najdroższą do samobójstwa. Nic dziwnego, że Gleasure postanowił go zabić.

Wróciliśmy do komendy policji w Hereford o wpół do trzeciej. Weaver znów zatelefonował do Wrighta, tym razem skutecznie. Wright podjął się natychmiast przesłuchać Gleasure'a i przeszukać jego pokój w Willi d'Abriçot. Na propozycję Weavera, żeby skontaktował się z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, też od razu przystał.

„Więc już załatwione - powiedział Weaver. - Stanowczo będziemy się domagać ulaskawienia”.

Gdyby tylko to było już załatwione rzeczywiście. Ale nadinspektor, o czym mieliśmy się przekonać, mówił na wyrost. Jeszcze raz zasięgał rady naczelnika i po długim czasie przyszedł z wiadomością, że stały podsekretarz Stanu jest gotów rozważyć nowy materiał dowodowy, jeżeli będzie mu przedłożony przed siódmą dziś wieczorem. Nie pozostawało nic innego, tylko śmignąć do Londynu. Zanim wyruszyliśmy, zatelefonowałem do Windrusha i wyjaśniłem mu sytuację. Obiecał zawiadomić sir Henry'ego i spotkać się z nami w ministerstwie. Hermione uznała, że bardziej przyda się w Hereford, podtrzymując na duchu Jacintę i dońę Ildię. Doak tymczasem cieszył się „nowomodnym” obiadem w policyjnej kantynie. Ale już złożył i podpisał swoje pełne oświadczenie; nie wątpiliśmy, że nic więcej nie potrzeba. O czwartej byliśmy w drodze.

Dziwna podróż. Weaver polecił kierowcy jechać jak najszybciej, więc pędziliśmy, a jednak wydawało się to ślimaczym tempem. Zmierzch nadchodził powoli, a potem strasznie raptowny otoczył nas mrok. Niewiele mówiliśmy, Pombalho oszołomiony tym, co zaszło, Weaver, podejrzewam, skrycie przerażony, bo omal się nie przyczynił do powieszenia niewinnej kobiety, a wszyscy trzej boleśnie świadomi, że jeszcze musimy odwrócić to ostateczne nieszczęście, że jeszcze na radość za wcześnie.

Rzeczywiście pędząc wprost szaleńczo, dojechaliśmy do przedmieścia Londynu koło wpół do siódmej. Ale od tej chwili raz po raz hamowała nas mgła, chociaż litościwie nie zgęstniała jak grochówka. Godzina siódma już minęła, kiedy biegliśmy po schodach

Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Windrush czekał na nas. Sekretarz sir Johna Andersona z cierpkim upomnieniem, że się spóźni-
liśmy, od razu poprowadził nas przed oblicze szefa.

Sir John to szczupły brunet o głęboko osadzonych oczach i po-
ciąglych chudych policzkach, swoją postawą i sposobem bycia nie-
pozostawiający cienia wątpliwości, że jest par excellence nieprzy-
stępnym urzędnikiem państwowym. Przyjął nas uprzejmie, na dy-
stans, i słuchał milcząc sprawozdania Weavera. Ale obecny także
zastępca sir Johna, Blackwell, o wiele mniej od niego powściągliwy
i tolerancyjny, często przerywał Weaverowi ostrymi pytaniami.
Położył wielki nacisk na to, że nasz dowód jest powierzchowny, a
niektóre kroki podjęte przez Weavera są nieprawidłowe. Weaver
uparcie wysuwał kontrargumenty: musi działać z takim pośpie-
chem wobec rychłej egzekucji, która w wyniku dalszego śledztwa na
pewno, jego zdaniem, okaże się niesprawiedliwa.

Po tej półgodzinnej audiencji wyproszono nas z gabinetu na czas,
kiedy ci dwaj mandaryni będą deliberować. Kwadrans po ósmej
wezwali nas. Blackwell oznajmił, że w czasie naszej nieobecności
rozmawiał przez telefon z Wrightem w Nicei. Gleasure'a już się
przesłuchuje i przeszukuje się jego rzeczy. Ale nic podejrzanego jak
dotąd nie znaleziono i Gleasure do niczego się nie przyznaje. W tych
okolicznościach, powiedział sir John, doszli do wniosku, że „tak
zwany nowy dowód” nie wystarcza, by zarekomendować ministrowi
odroczenie egzekucji.

Porażony łagodną nieodwołalnością jego decyzji, nie mogłem
wykrztusić ani słowa. Tylko Windrush zachowując zdolność rozu-
mowania, zaczął prosić, żeby jeszcze raz się zastanowili. Ale oni nie
chcieli. Wylonilo się coś wstrętniejszego niż nieprzejednanie, kiedy
Blackwell burknął, że „wydobycie dowodu w ostatniej chwili” spro-
wadza się do „taktyki wymuszenia”, wobec której on się nie ugnie.
Wtedy jednak sir John mu przerwał. Są nam wdzięczni, powiedział,
za wszystkie wysiłki w dążeniu do sprawiedliwości, wszelako nie
mogą się zgodzić, że to, co im przedstawiliśmy, oczyszcza panią
Caswell. Skazano ją po wyczerpującym zbadaniu wszystkich moż-
liwych dowodów i pewność co do słuszności wyroku jest niezmqo-
na.

Czułem, że lada chwila nas odprawią. I nagle wszedł sekretarz
sir Johna oznajmiając, że przyjechał sir Henry Curtis-Bennett pro-
sto z Norwich. Zaraz potem sir Henry stanął przy nas zasapany, a
Blackwell powtórzył ich decyzję. Sir Henry nie okazał ani rozczar-
owania, ani gniewu, tylko zapytał, czy może z nimi wyjaśnić pewne

punkty. Sir John powiedział, że tak, oczywiście. Wtedy sir Henry zasugerował, że Pombalho i ja chyba byśmy woleli poczekać gdzie indziej. Z uspokajającym uśmiechem nie pozostawił nam wyboru. Wyszliśmy z gabinetu.

W dziesięć minut później dołączyli do nas Windrush i Weaver. Inspektor pożegnał się i pośpieszył do Scotland Yardu, żeby się dowiedzieć, czy ktoś tam rozmawiał z Wrightem. Po jego odejściu Windrush wyjął, że w gabinecie dyskusja zmieniła się w spór. Sir Henry rozwija swoją sądową wirtuozerię jak dotąd ze słabym skutkiem. Ale bitwa nie jest przegrana, dopóki się toczy. Jeszcze można mieć nadzieję.

Przed samą dziesiątą wyszedł z gabinetu Blackwell z twarzą jak gradowa chmura i zniknął w czeluściach gmachu. Czyli na polu bitwy zostało dwóch rycerzy i to rzeczywiście pasowanych przez króla. Windrush mruknął coś niejasno, że wypływają między nimi dawne różnice zdań i stają duchy klientów, których sir Henry'emu skosiła surowość sir Johna. Chociaż to nie powinno wpłynąć na taką decyzję, wydaje się, że na pewno wpłynie. Anderson może podejrzewa, że spreparowany dowód służy do nastraszenia go, żeby zalecił odroczenie egzekucji, chociaż wie, jak trudno jest przywrócić wyrok śmierci raz już zawieszony. Albo może nie chce być posądzony o brak zdecydowania zaraz na początku kadencji jego ministra. Albo może uważa swój upór za ostrożność. Czy też po prostu nie potrafi przyznać, że się myli.

Nie wiem, oczywiście, bo nie znam tego człowieka. Jest mi tak obcy, jak jemu obca jest Consuela. W ministerstwie, powiedział Windrush, nazywają go „Jehowa”. Chyba najbardziej to przezwisko jest stosowne dziś wieczorem, kiedy on ma w rękach to, czego moim zdaniem, nikt nigdy nie powinien mieć - moc decydowania o życiu i śmierci innej istoty ludzkiej.

Długa noc minęła mi w bezsennym transie. Leżałem na cienkim materacu wpatrzony w czarny mrok. I wyobrażałem sobie, nieomal widziałem - nieomal uwierzyłem, że naprawdę widzę - jak Consuela spokojnie odlicza ostatnie godziny. Ale widzieć jej nie mogłem. Ani słyszeć, ani dotknąć. Była poza moim zasięgiem i nigdy już w moim zasięgu nie miała być.

Śniadanie - czerstwy chleb i miskę mdłej kawy - dostałem przed świtem. Od tej chwili niemożliwością stało się wmawianie sobie, że

niebo się nie rozjaśni. Nadszedł świt, a potem nieubłagany poranek. Słońce weszło nad Niceą ponuro i groźnie. Dzień się pozbierał, zapanował, uczynił bezpowrotnym to, co dotychczas było tylko nieuniknione. Nie miałem po czym orientować się w czasie. Nie mogłem ani wyczuć, ani wyliczyć momentu dokonania tej zbrodni. A przecież ostatecznie zdałem sobie sprawę, że odliczanie na pewno się skończyło.

Już nie myślałem, czy jest poranek, czy popołudnie, doprawdy nie myślałem w ogóle o niczym, gdy później tego dnia zabrano mnie z celi do pokoju przesłuchań. Nadinspektor Wright czekał na mnie. Jak zwykle się uśmiechnął.

- Dzień dobry, panie Staddon.

- Która jest godzina?

- Godzina? - spojrzał na zegarek. - No, dochodzi dwunasta.

A więc stało się, dawno się stało. Pewnie już ją pochowali na cmentarzu więziennym i wywiesili przy głównej bramie wystukane na maszynie zawiadomienie o tym, co zrobili. „My niżej podpisani, oświadczamy niniejszym, że wyrok śmierci wydany na Consuelę Eveline Caswell został dziś wykonany”.

- Satysfakcja dla was - mruknąłem zarówno do tych niżej podpisanych, których nigdy nie widziałem, jak do człowieka stojącego przede mną.

- Och, dla mnie tak, panie Staddon, tak. - Nadal się uśmiechał. - Proszę, niech pan siada. Mam panu coś do powiedzenia.

Czwartek, 21 lutego 1924 r. (godz. 11 przedpołudniem)

Byłem zanadto zmęczony tej nocy, żeby dopisać do wczorajszych wydarzeń postscriptum. Właściwie jestem wciąż jeszcze zmęczony - może nawet bardziej niż mogę sobie na to pozwolić po tym ataku bronchitu. Ale co tam, lekko mi na sercu, jak nigdy od kilku miesięcy. Rozpiera mnie, czysta ożywcza radość!

Zaraz po dziesiątej wczoraj wieczorem sir Henry wszedł do pokoju, w którym czekaliśmy w ministerstwie, uśmiechnął się od ucha do ucha i powiedział.

- Panowie, mam dobrą wiadomość. Sir John skapitulował. Zatelefonował do ministra i zarekomendował odroczenie egzekucji. Pan Henderson udzielił zgody. I już w chwili, gdy sir Henry nam to mówił, wysłannik był w drodze do więzienia Holloway.

Ściskaliśmy sobie ręce, klepaliśmy się po plecach. Pombalho nawet pocałował sir Henry'ego. Śmieliśmy się, rozpromienieni. Cud, na który już nie liczyliśmy, jednak się zdarzył.

Sir Henry, Windrush i Pombalho zaraz wyruszyli do Holloway, żeby radować się z Consuelą. Nie pojechałem z nimi. Wystarczyło mi, że wyszedłem w ciszę Whitehall i spojrzałem na Cenotaffh, wiedząc, że państwo nie doda nazwiska Consueli do spisu swoich ofiar. To była moja radość.*

* Pomnik ku czci poległych w I wojnie światowej (przyp. red.).

XXIII

Główny Inspektor Wright skończył mówić o odroczeniu wyroku Consueli a ja wpatrywałem się w niego oniemiały, już uszczęśliwiony, jeszcze pełen niedowierzania, przez długą chwilę, zanim zapytałem:

- Kiedy pan się o tym dowiedział?

- Wczoraj w nocy. Nadinspektor Weaver zatelefonował ze Scotland Yardu po jedenastej.

- I pan mi nie powiedział? Pozwolił mi pan myśleć, że to się stanie... że to już się stało?

- Tak. - Uśmiechnął się potulnie. - Przepraszam, że zostawiłem pana w niewiedzy. Ale to było konieczne.

- Dlaczego?

- Ze względu na Gleasure'a. Przywieźliśmy go wczoraj wieczorem. Ledwie zacząłem go przesłuchiwać, wiedziałem, że to on. Przedtem myślałem, że to pan, ale tylko myślałem, zgadywałem, zestawiałem prawdopodobieństwa. Z Gleasure'em było inaczej. Czasami tak bywa, wie pan. Można to po prostu wyczuć na pół mózgiem, na pół nosem. Kiedy tak się dzieje, powinno być policjantowi łatwiej. I z jednej strony, tak jest łatwiej, ale z drugiej o wiele trudniej. Bo trzeba czegoś więcej niż wyczuwanie winy. Trzeba winę udowodnić. A jeśli się nie może, chociaż ma się pewność absolutną, to właśnie jest okropne, niech mi pan wierzy. Miałem na Gleasure'a tylko haczyk, który dał mi Weaver: dosyć wątpliwego świadka czegoś, co może było kradzieżą arszeniku, i list w kryjówce jako ewentualny motyw. Dowody zbyt wątpliwe. Ale uważałem, że dość dobre, żeby odwołać egzekucję. Toteż kiedy Weaver do mnie zatelefonował i powiedział, że grube ryby drapią się w głowę, byłem zdumiony. To znaczyło, że może jesteśmy bliscy powieszenia niewinnej kobiety. Więc znów przesłuchałem Gleasure'a. Było już późno. Po dziesiątej. W Londynie po dziewiątej. A Gleasure nadal nic nie mówił. Zastosowałem taki sam chwyt, jak

wobec pana. Że tu mają gilotynę i on jeszcze może jej uniknąć, jeżeli przyzna się do obu morderstw. Nie podziała. Zresztą nie spodziewałem się, że podziała. On jest z tych, od pierwszej chwili się zorientowałem, których dopiero po wielu dniach da się znużyć. Więc powiedziałem mu, że znaleźliśmy arsenik w mankietach jego spodni. Wiedział, że kłamie. Zanim przez cały czas się pilnował, żeby czegokolwiek nie dopatrzeć. Ale też wiedział, bo wyraźnie dałem mu to do zrozumienia, że naruszę wszelkie przepisy, byleby go przygwoździć, jeżeli dopuści do egzekucji pani Caswell. Był w rozterce, widziałem to. I właśnie o to mi chodziło. Ale uparty z niego drań. Wymagałem od niego za dużo i za wcześnie. Jeszcze nie przyszedł do siebie po wstrząsie aresztowania. Nie był gotów się poddać. W końcu musiałem go odesłać z powrotem do celi.

- Ale kiedy pan się dowiedział o odwołaniu? - przerwałem. - Dlaczego mnie nie można było powiedzieć?

- Nie powiedziałem nikomu, panie Staddon. Nie mogłem ryzykować, że Gleasure to zwietrzy. Fakt, zostawiłem pana w przekonaniu, że stanie się to najgorsze, i przykro mi, ale było warto, sam pan temu przykłaśnie. Gleasure pękł, rozumie pan, tak jak miałem nadzieję. Dziś rano o ósmej poprosił o widzenie ze mną i powiedział, że jest gotów przyznać się do zamordowania Rosemary i Victora Caswellów. Myślał, że przyznaniem się w porę, żeby zapobiec egzekucji pani Caswell, zapewni sobie proces w Anglii i poniekąd okoliczności łagodzące, bo ocali jej życie. No, pozwoliłem mu wierzyć, że za godzinę mają ją powiesić i że nie powieszają tylko dzięki niemu. Wciąż jeszcze nie powiedziałem mu prawdy. Nie wiem, jak zareaguje. Ale to nieważne. Zeznanie już podpisał. Nie ma odwrotu.

- Czy podał jakiegoś współnika?

- Nawet z przyjemnością. - Wright pokazał w uśmiechu zęby. - Może pan przeczyta jego zeznanie, panie Staddon? - Z walizki stojącej za swoim krzesłem wyjął spięte papiery i posunął je po stole ku mnie. - Właściwie nie powinienem panu tego pokazywać, ale jesteśmy od Scotland Yardu daleko i jakoś to się panu należy, zważywszy, jak pana maglowałem. - Pokazał jeszcze więcej zębów. - Myślę, że ten dokument bardzo pana zainteresuje.

Ja, John William Gleasure, uprzedzony przez nadinspektora Wrighta, że wszystko, co odtąd powiem, może być użyte jako dowód przeciwko mnie, chcę złożyć następujące oświadczenie.

Pracuję u Caswellów od roku 1891, kiedy to zacząłem w Paprociarni i byłem chłopakiem kuchennym. Miałem wtedy dwanaście lat, a Victor Caswell miał dwadzieścia trzy lata i dopiero co wrócił z

Cambridge, i irytował się, że musi pracować w rodzinnej firmie. Niewiele go widywałem w tym pierwszym czasie, ale ilekroć natknąłem się na niego, miał dla mnie dobre słowo, nie tak, jak inni w tym domu. Dawał mi pieniądze za pucowanie mu butów specjalnie dobrze. Później wysyłał mnie z sekretnymi poleceniami. Do totalizatora, na przykład, żebym postawił jego pieniądze na konie. W sekrecie, bo jego ojciec potępiał hazard. Jeżeli ten koń wygrał, Victor dawał mi coś z wygranej. Lubilem go za to. Pewnie można by powiedzieć, że on był moim bohaterem.

W 1895 wysłali Victora do Brazylii do pracy w jakimś banku. Dowiedziałem się później, że dlatego, że ściągnął na siebie nielaskę, chociaż do takich jak ja wtedy dochodziły tylko plotki. Parę lat minęło i dowiedzieliśmy się, że dostał wymówienie z tego banku i zniknął bez śladu. Potem po jeszcze paru latach doszły słuchy, że znowu się pokazał, i to bogaty, ponieważ zbił majątek na handlu gumą. Wrócił do Hereford w roku 1908 i przywiózł ze sobą piękną żonę Brazylijkę. Wtedy byłem już lokajem u jego brata Mortimera, głowy tej rodziny, odkąd stary pan George Caswell umarł. Victor z żoną zamieszkali w Paprociarni na czas, dopóki nie znajdą odpowiedniego kawałka ziemi, żeby sobie wybudować własny dom.

Cieszyłem się, że Victor wrócił, chociaż większość w domu wcale się nie cieszyła. Przy nim życie miało smak. I nadal byłem z nim dobrze, więc wcale się nie zdziwiłem, że zapytał, czy chcę pracować u niego, jak się przeniosą. Aż podskoczyłem na to. Wiedziałem, że u niego bardziej się obłowię niż u tego kutwy, jego brata.

Pani Caswell - Consuela - nie lubiła mnie od początku. Chyba dlatego że ja byłem jedynym służącym w dobrej komitywie z Victorem. Jej się to nie podobało. W tamtych czasach chciała go mieć dla siebie. Pewnie czuła się niepewnie i tęskniła do swojej Brazylii w tym nudnym starym domu w Hereford. I nic to dziwnego.

Specjalnie dla Consueli przyjęli pannę służącą. Ona nazywała się Lizzie Thaxter. Przyjęli ją na początku 1909 roku. Była ruda, żywa, aż iskry leciały, śmiała się perłście i w ogóle była taka, że mnie zawojowała. Zakochaliśmy się w sobie, ale musieliśmy to trzymać w sekrecie, bo Consuela od razu by ją zwolniła, gdyby to wykryła. Ufała jej, ale przestałaby ufać, gdyby wiedziała, że my się kochamy. I co do tego nie miałyby racji. Lizzie nigdy by nie zdradziła Consueli przede mną. Na przykład, nie pisała mi ani słowa o tym, że Consuela romansuje ze Staddonem.

W końcu Lizzie i ja zaczęliśmy myśleć, żeby się pobrać. Wydawało się, że to doskonała partia. Lokaj z widokami na przyszłość i panna służąca. Ale byliśmy pewni, że Consuela się sprzeciwi, a co raz bardziej było możliwe, że pogłoski o nas rozejdą się od kuchni. Więc się zdecydowaliśmy powiedzieć Victorowi i poprosić go o radę.

Victor był bardzo w porządku, tak mi się wydawało. Powiedział, że jeżeli wybierze odpowiedni moment, to chyba przekona Consuelę, żeby dała nam swoje błogosławieństwo. Ale nie wiadomo, kiedy nadarzy się taki moment, więc musimy być cierpliwi. No, ciągle jeszcze czekaliśmy cierpliwie, kiedy Peter Thaxter, brat Lizzie poszedł siedzieć za swój udział w kradzieży w papierni Peto. To było w lutym 1911 roku.

Byłem przerażony. Musiałem myśleć o przyszłości, a żeby dobrze mieć w służbie, trzeba się wykazywać dyskrecją i uczciwością. Ostatnia rzecz potrzebna mi do szczęścia to był szwagier w mamrze. Lizzie wtedy już wyjechała z Consuelą do Brazylii, ponieważ ojciec Consueli umarł, ale raczej nie mogłem czekać, aż ona wróci. Musiałem szybko porozmawiać z Victorem, żeby mi powiedział, co powinienem zrobić. Jego strasznie rozgniewała ta kradzież i to wydawało się naturalne. Greenville Peto jest szwagrem Mortimera, a jeden ze współników Petersa, cieśla... nazywa się Malahide... właśnie pracował przy budowie jego, Victora domu. Ale on zrozumiał moje trudne położenie. W końcu zgodziliśmy się, że Lizzie może zostać, jeżeli odrzeka się swojego brata i nie będzie z nim się dalej zadawać. Kiedy proces się skończy i ta sprawa ucichnie, będziemy mogli się pobrać, tak jak sobie marzyliśmy.

W kilka tygodni potem Lizzie wróciła z Consuelą. Wydawało mi się, że zupełnie taka jak dawniej. Tyle że bardziej zbliżyła się do swojej pani, kiedy były w Brazylii, a ode mnie się oddaliła. I gryzła się z powodu brata, jasna rzecz. Kiedy jej powiedziałem, co Victor i ja zdecydowaliśmy, wpadła we wściekłość i powiedziała, że to nie nasza sprawa decydować o niej bez niej i nikt nie może jej kazać, żeby przestała znać swojego brata. Uważała, że jest niewinny, chociaż złapali go na gorącym uczynku. To była nasza pierwsza i ostatnia kłótnia. Powiedziałem jej prosto z mostu, że jeżeli będzie się upierała przy bracie, to może się pożegnać z zamążpójściem i z miejscem panny służącej... A bardzo by się pogorszyło jej i jej rodzinie, gdyby straciła pracę i razem z pracą wszystkie widoki. Tak jej powiedziałem.

No to wpadła w rozterkę. Wyraźnie. Ale nie miałem zamiaru opuścić. Bo już był czas, żeby zrozumiała, że mnie się należy pierwszeństwo. I mówiłem prawdę o jej rodzinie. Jej ojciec i drugi brat

stracili pracę w papierni z powodu Petera. Liczyli na nią, że pomoże im przebiedować. Ja się ofiarowałem też im pomagać, jeżeli ona mnie usłucha. Więc w końcu się zgodziła. I wszystko się naprawiło między nami. Tylko że już nie było jak przedtem. Ona przestała mi ufać. Ale myślałem sobie: znowu będzie dobrze, kiedy z tą kradzieżą ucichnie. Myślałem: trzeba przeczekać. W każdym razie już jej pokazałem, kto tu rządzi. To mi się wydawało ważne.

W kwietniu wprowadziliśmy się do tego nowego domu Spod Obłoków. Victor przedtem mówił, że będzie potrzebował osobistego służącego, kiedy się wyprowadzi z Paprociarni, i mnie się to uśmiechało. Nie spotykałem się często z Lizzie w tamtym czasie. Była zajęta swoją pracą i widziałem, że gryzie się bratem. On miał stanąć przed sądem we wrześniu. Byłem pewny, że potem już będzie dobrze, więc myślałem: najlepiej dać temu spokój.

Ale wcale nie było dobrze. Jednej parnej nocy w lipcu Lizzie się powiesiła w sady Spod Obłoków.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego. Nie zostawiła żadnego listu, żadnego wytłumaczenia. Wiedziałem przedtem, jasna rzecz, że jest zgryziona, ale żeby aż samobójstwo... wydawało się to prawie obelgą dla mnie i dla moich planów na naszą wspólną przyszłość.

Obrosłem w twardą skórę po śmierci Lizzie. Trzymałem naszą miłość w sekrecie, więc i swoją rozpacz trzymałem w sekrecie. Zrobiłem się twardy. Postanowiłem już nigdy nie pokochać żadnej i nigdy nie mieć na względzie dobra czyjego, tylko moje własne. Tamtej jesieni zostałem osobistym służącym Victora. To oznaczało więcej pieniędzy i wyższe miejsce. Powoli zapomniałem o Lizzie i wszystkich naszych nadziejach. Zostawiłem to daleko za sobą. Kiedy wojna wybuchła, zgłosiłem się do wojska i przydzielili mnie na ordynarna oficera sztabowego, gdzie miałem jak u Pana Boga za piecem. Potem, kiedy wojna się skończyła, wróciłem do domu Spod Obłoków, jak gdyby nic się nie zmieniło.

Jednak coś niecoś się zmieniło, córka Victora wyrastała na małą mądralską. Jakoś nie czuł do niej tego, co ja bym czuł do swojej córki, gdybym miał. Myślałem, że się rozczarował, bo chciał syna. A Consuela stawiała się coraz bardziej zamknięta w sobie, żyła tylko dla Jacinty, coraz mniej z dnia na dzień odzywała się do Victora. Nie żeby mnie obchodziło, czy oni się kochają czy nienawidzą. Mnie cieszyło moje miejsce. Nic nie mogłoby już mnie dotknąć, tak myślałem.

Pewnego wieczora na jesieni roku 1922, kiedy popijałem Pod

Księżycem w Pełni w Mordiford, jakiś facet zapytał, czy może ze mną pomówić. Przedstawił się Tom Malahide, jeden ze współników Petera Thaxtera w tej kradzieży w papierni Peto. Powiedział, że go dopiero co wypuścili z więzienia i że Petera Thaxtera powiesili jeszcze w roku 1911 za zabicie strażnika. No, słyszałem o tym w tamtym czasie i niewiele się tym przejąłem. Ale Malahide powiedział, że Peter dał mu list Lizzie, napisany przed samą jej śmiercią, prosił, żeby dał ten list Thaxterom, kiedy wyjdzie. I powiedział, że wie od Petera, że Lizzie była w tajemnicy zaręczona ze mną. Nie owijał w bawełnę, o co mu chodzi. Wymiarkował, że mam więcej grosza niż rodzina Thaxterów, więc mnie zaproponował ten list Lizzie za pieniądze, bo mu potrzebne, tak powiedział, żeby stanąć na nogi.

Jednym słowem, kupiłem ten list od Malahide'a za dwadzieścia funtów. To był mus, ponieważ raz spojrziałem i już wiedziałem, że naprawdę ona ten list napisała. Musiałem wiedzieć, dlaczego się powiesiła. I ten list mi powiedział. Ona dalej odwiedzała swojego brata w więzieniu i pisała do niego, chociaż ja jej zabroniłem. Nie była posłuszna i oszukiwała mnie. A Victor jakoś to wykrył. Ale zamiast mnie powiedzieć, szantażował Lizzie, żeby szpiegowała Consuelę i donosiła jemu. Więc Lizzie musiała wybierać: albo straci i mnie, i pracę, albo będzie się sprzeniewierzać swojej pani. No i wybrała. I Victor nabrał pewności co do tego, co podejrzewał. Że Consuela romansuje ze Staddonem. Ale Lizzie nie mogła znieść swoich przymusowych kłamstw i przymusowego zdradzania sekretów. Nerwy ją doprowadziły do samobójstwa. Albo Victor. Zależy, jak się na to patrzy. Ale ja patrzyłem tylko w jeden sposób. To Victor zabił Lizzie. Zabrał mi ją. A ja przez lata byłem wdzięczny człowiekowi, który zrujnował mi życie.

Ciągle czytałem ten list i myślałem nad nim całym raz po raz. I kiedyś rano, kiedy golilem Victora, wspomniałem o Lizzie jak gdybym nigdy nic. Powiedziałem, że zaczynam myśleć, że to dobrze, że się z nią nie ożeniłem. Tak powiedziałem mu wtedy. I powiedziałem, że nawet nie byłem pewny, czy ona dotrzymuje słowa i zupełnie zerwała ze swoim bratem. A Victor odpowiedział: „Wiesz, Gleasure, myślę, że chyba masz rację”. No, tak to powiedział i wyłazło raptem jego draństwo. Właśnie w tamtym momencie, kiedy mu przesuwałem brzytwą po policzku i patrzyłem w oczy, zdecydowałem się zabić go, pomścić krzywdę Lizzie.

I nawet nie tylko zabić. Chciałem go także oszukać, bo on oszukiwał mnie. Zacząłem myśleć, jak mu się odplacić. I przyszedł mi pomysł do głowy. Wiedziałem z listu Lizzie, że Consuela i Staddon

byli kochankami do lipca 1911 roku. Jacinta urodziła się w kwietniu 1912 roku - dokładnie w dziewięć miesięcy później. Więc rzecz jasna, że Victora nie obchodziła nie jego córka. W kilka tygodni po jej narodzinach przyjechał do Victora Wharton, radca prawny z nowym testamentem, żeby Victor podpisał. Byłem świadkiem, ale nie wiedziałem, co jest w tym testamencie. Przypuszczałem w tamtym czasie, że to chodzi o zapis dla Jacinty. Ale teraz już myślałem inaczej. Teraz myślałem, że pewnie było wprost przeciwnie, że Victor wydziedziczył córkę, która nie jest jego, i może także wydziedziczył Consuelę, ponieważ urodziła dziecko innego mężczyzny. Jeżeli mam rację, tak sobie myślałem, to Victor zamiast nich wyznaczył innego spadkobiercę. Ale kogo? No, wydawało mi się, że mogę zgadnąć. Znałem sposób jego pomyslenia. I jeżeli utrafiłem, to dał mi taką sposobność, jaka mi była potrzebna.

Musiałem się upewnić, jasna rzecz. Musiałem zobaczyć ten testament. Był w ukrytym sejfie, co go zainstalowali jeszcze pierwszej zimy w domu Spod Obłoków. Wiedziałem, gdzie ten sejf jest. Widywałem dosyć często, jak Victor go otwiera. Tylko nie znałem kombinacji. Ale jak mówię, dobrze znałem Victora. On zawsze lubił bawić się liczbami. Stawiał pieniądze na konia, raczej nie faworyta, tylko jakiegoś ze szczęśliwym numerem - datą urodzin kogoś z rodziny, to znaczy, czy inną ważną datą. I żeby zapamiętać sumy czy liczby, raczej ich nie zapisywał, tylko mówił sobie, że to jakaś tam data. Więc kiedy tylko go nie było, wypróbowywałem pomysły z różnymi takimi liczbami. Ostatecznie udało mi się wpaść na tę kombinację.

Znalazłem w sejfie więcej, niż się spodziewałem. Testament był tam, jasna rzecz. Przeczytałem go i mogłem sobie powinszować: utrafiłem w sam raz. Ale pieniądze też były. Tysiące funtów w nowiusieńkich pięciofuntowych banknotach. Coś w nich wydało mi się podejrzane. Wziąłem jeden i poznałem po znaku wodnym, że wydrukowany na papierze z Papierni Peto. Wtedy pojąłem, że Victor jest jeszcze bardziej cwany niż myślałem. I pomyśleć, że groził Lizzie i zabronił jej wyjść za mnie z powodu hańby, co jej brat na nią ściągnął. Hańby! Teraz wiedziałem, to wszystko jego wina. Wystarczyło, jeżeli chodzi o mnie. Zdecydowałem się wtedy zabrać mu za jedynym zamachem i życie, i pieniądze.

Spadkobiercą Victora, i to wyłącznym, był i jest jego bratanek Spencer. Myślę, że Victor go wybrał, ponieważ rozpoznał w nim coś

z samego siebie. I Victor, i Spencer zawsze mieli w pogardzie Hereford i firmę Caswell i Spólka. Obaj chcieli więcej. I obaj by zrobili Bóg wie co, żeby więcej zdobyć.

I właśnie to chciałem wykorzystać. Spencer przyjechał z Cambridge latem 1922 roku i pracował w rodzinnej firmie akurat tak niechętnie, jak Victor trzydzieści lat przed nim. Zaznajomilem się ze Spencerem. To nie przyszło trudno. Musiałem tylko stawiać mu w knajpach w Hereford i wysłuchiwać jego narzekania i żalów, a już najwięcej pretensji do ojca. Tak, on był zupełnie taki jak Victor w jego wieku.

Kiedy mu wyłożyłem mój plan, aż podskoczył z uciechy. Powiedziałem mu o testamencie. Podsunąłem, żeby zamordować Victora i podzielić się spadkiem po połowie. Równo. I my obaj wtedy będziemy bogaci. Pięknie to było, ponieważ ten testament był sekretem, więc kiedy się okaże, że Spencer jest spadkobiercą, nikomu do głowy nie przyjdzie, że on się spodziewał dziedziczyć. Zresztą to ja się podjąłem faktycznie zabić Victora. A ja nie miałem ani trochę motywu, co by o nim ktoś wiedział.

Spencer się zapalił do tego. Nie tylko przez chciwość, nawet nie tylko, żeby się uwolnić od ojca. Jego cieszyło planowanie i że to takie bezpieczne, wprost się rozkoszował, że to będzie zbrodnia nigdy niewykryta. Bez sumienia podchodził do zamordowania Victora - bez ani śdźbła sumienia. Ja chciałem zemsty, ale Spencer - no, okazało się, że ma serce jeszcze bardziej kamienne niż myślałem. Jest czyste zło w jego duszy, naprawdę. I śpieszyło mu się, aż trudno mi było go powstrzymać. Ale musiałem, jasna rzecz, ponieważ wiedziałem, że co nagle, to po diable. Ponieważ wszystko porządnie obmyślałem, pan rozumie. Musieliśmy nie tylko zatrzeć ślady po sobie, ale podstawić winowajcę. Musieliśmy mieć alibi i kozia ofiarnego.

Wybraliśmy Consuelę, ponieważ wszyscy wiedzieli, że ona z Victorem nie żyje zgodnie i nie ma żadnych przyjaciół takich, co by się zebrali, żeby jej bronić. Ja już zdecydowałem, że najbezpieczniejszy sposób to trucizna. Ludzie jakoś łączą truciznę z kobietami. Więc jeszcze jeden plus za Consuelą. Te anonimy obmyślił Spencer. On ma dar do fałszowania.

Parę lat temu było w Hay-on-Wye jedno otrucie arsenikowym środkiem na chwasty. Dobrze to pamiętałem. Więc rozejrzałem się po warzywniku, czy tam nie ma czegoś takiego, i znalazłem puszki „Chwasty precz”. Wydawało się akurat idealne. Spencer zatelefonował do tego fabrykanta i potwierdzili, że główny składnik to arsenik, ostrzegli go, żeby z tym uważał. Odtąd to była tylko kwestia czekania na możliwość. Ja nie miałem zamiaru działać pochopnie.

Wolałem czekać tak długo, jak trzeba, na dobrą okazję. Nosilem przy sobie ten arszenik w papierku wszytym pod podszewkę kamizelki i czekałem na dzień, kiedy będę mógł go użyć na pewno bez wykrycia.

Taki dzień przyszedł w niedzielę dziewiątego września w zeszłym roku. Przyczałem się, kiedy Noyce przywiózł na wózku podwieczorek do salonu, gdzie Consuela była sama. Patrzyłem, jak on stamtąd wychodzi. Potem zobaczyłem, jak ona wychodzi do ogrodu. No i miałem możliwość. Zakradłem się, wsypałem arszenik do cukru i wyszedłem, zanim wróciła. Wiedziałem, że tylko Victor słodzi herbatę, a to oczywiście pogrążało jeszcze bardziej Consuelę, że mogła być pewna, że ten arszenik nie otruje ani jej, ani Jacinty. Myślałem, że to pójdzie jak z płatka. Arszenik był prawie na wierzchu. Dosyć, żeby zabić trzech ludzi, a co dopiero jednego. Victor już jakby nie żył.

Ale szczęście się od nas odwróciło. Przyjechały niespodziewanie Marjorie i Rosemary i zostały chętnie na podwieczorek, a obie łakomczuchy, lubiły dużo cukru. Nic nie mogłem zrobić, w żaden sposób ich powstrzymać. Mogłem tylko mieć nadzieję, że Victor jednak połknie tyle, żeby go zabiło. Ale nie było na to szans, bo tak się składa, że panie zawsze biorą cukier pierwsze. Więc Victor tylko się rozchorował, wcale nie na śmierć. Zamiast niego umarła Rosemary.

Spencer fatalnie to przyjął. Nie żeby się zmartwił tym, że przez pomyłkę zabiliśmy jego siostrę. Tyle go ona obchodziła co inni z jego rodziny. Z radością by załatwił ich wszystkich, gdyby to było konieczne. Nie, on fatalnie przyjął pokrzyżowanie się naszych planów. Miał do mnie pretensję, że sfuszerowałem. Ale szybko zrozumiał, że rozstanie ze mną byłoby fatalne. Musiał trzymać ze mną. Doszło do morderstwa, chociaż nie tego morderstwa, cośmy je planowali. Jeszcze trzeba było się postarać, żeby spadło na Consuelę. Więc podrzuciłem u niej w sypialni arszenik i anonimy tak, żeby policja na pewno je znalazła. I znalazła. Consuelę aresztowali i założyli sprawę.

Tylko było pytanie, co dalej robić. Znowu spróbować zabić Victora? No to udowodnimy, że Consuela jest niewinna, i udowodnimy, że ktoś sfalszował dowody przeciwko niej. A nie próbować go zabić? Wszystkie nasze wysiłki pójdą na marne. Spencer chciał czegoś gwałtownego, ale mu wytłumaczyłem, że musimy być ostrożni. Nic, tylko czekać, żeby gwałt ucichł, i dopiero wtedy wymyślić nowy plan.

Ale ja się nie liczyłem z Imogen Roebuck. Ona w tym, co się stało, zobaczyła okazję dla siebie. Przez parę tygodni wkradła się w łaski

Victora, z początku ponieważ go pielęgnowała, potem ponieważ okazała się przyjazną duszą, i w końcu została jego kochanką. Po tym zatruciu Victor się zmienił. Stał się jakiś wrażliwy. I na tym ona grała. Musiałem patrzeć, jak on coraz bardziej wariuje i zależy od niej. Nawet musiałem oszukać brata Consueli dla widzimisiej panny Roebuck. Ale nie mogłem pozwolić, żeby zaczęła wątpić, czy jestem wierny Victorowi, więc zrobiłem, co mi kazała. Zaznajomiłem się z Rodrigiem, udawałem, że dam się przekupić, a potem kiedy Rodrigo się zaciekaawił testamentem Victora, podpuściłem go, tak że był pewny, że kiedy włamie się do domu Spod Obłoków i otworzy sejf, to przeczyta ten testament. Musiałem mu wtedy powiedzieć, jaka kombinacja otwiera zamek sejfu - a jasna rzecz, ja kombinację znałem. Na pewno Victor myślał, żeby ją zmienić potem, kiedy Rodrigo się włamie. Oboje mówili, że chcą tylko deportacji Rodriga i że nikomu nic złego się nie stanie. Nie wiem, czy mieli zamiar go zabić. Panna Roebuck przysięgała mi później, że Victor go zastrzelił w samoobronie. Nie żeby mnie to w ogóle obchodziło. Ja się martwiłem tym, że ona ma zakusy na ten testament Victora i przez to jest niebezpieczna dla naszych planów. Ale za Boga nie wiedziałem, co mamy z nią zrobić.

To wszystko dojrzało po skazaniu Consueli. Jej apelację odrzucili 7 lutego. Wydawało się wtedy pewne, że czeka ją stryczek. W niedzielę 10 lutego Victor zwołał zebranie rodzinne w domu Spod Obłoków i powiedział, że wyjeżdża z panną Roebuck do Francji i tam się pobiorą, kiedy tylko będą mogli.

To nas zmusiło do działania od razu. Ponieważ po drugim ożenku Victora każdy jego testament napisany przedtem będzie zgodnie z prawem unieważniony. Panna Roebuck jako nowa pani Caswell automatycznie stanie się spadkobierczynią swego męża, Victora Caswella. Więc musieliśmy uderzyć, zanim oni się pobiorą. Ponieważ mogli się pobrać od razu po śmierci Consueli, to znaczyło, że musimy uderzyć przed jej egzekucją. Czyli przed dzisiejszym dniem.

Teraz plan był głównie Spencera. On już sobie na kozła ofiarne-go upatrzył Staddona i umówił mu, że to panna Roebuck i Victor spowodowali otrucie, żeby pozbyć się Consueli. Powiedział Staddonowi, że w niedzielę 9 września Greenville Peto telefonował do Victora przed samym przyjazdem Marjorie i Rosemary do domu Spod Obłoków, ale nie chciał powiedzieć, skąd o tym wie. Skłamał, jasna rzecz. Peto wcale wtedy nie telefonował. Ale Staddon na wszelkie sposoby starał się oczyścić Consuelę. Myślał, że właśnie to mu jest potrzebne: dowód, że Victor wiedział zawczasu o wizycie tych pań na podwieczorku. I Spencer, kiedy karmił Staddona takimi

kąskami, nie tylko odwracał go od prawdy, ale dawał mu motyw do zamordowania Victora. Gdyby Victora otruci w okolicznościach takich samych, jakie były wtedy 9 września, to by świadczyło, że ten sam truciciel spróbował znowu, i wtedy by się okazało, że Consuela jest niewinna. Kiedy data jej powieszenia się zbliżała, coraz bardziej było jasne, że nic jej nie uratuje. Więc należało przekonać policję, że z tego powodu Staddon zabił Victora. Z rozpaczki. Tylko musieliśmy go zwabić na Cap-Ferrat, żeby po tym otruciu był pod ręką jako gotowy podejrzany.

Wtedy, za pierwszym razem, nie należało się śpieszyć, ale za tym drugim razem trzeba było się pośpieszyć bardzo. Chociaż wiedziałem, że to zwiększa nasze ryzyko, nie mogłem znaleźć innego wyjścia. Tyle już planowałem i czekałem, że po prostu bym się załamał, gdybyśmy przepuścili taką możliwość.

Miałem wyjechać na Cap-Ferrat z Victorem i panną Roebuck we wtorek 12 lutego. Poprzedniej nocy wziąłem arszenik z puszki „Chwasty precz” w warzywniku. Po pierwszym otruciu Banyardowi kazali trzymać te puszki pod kluczem, ale on jest zbyt uparty, żeby usłuchać. Tymczasem Spencer wysłał anonim do nadinspektora Wrighta w Scotland Yardzie o tym, że Staddon był współnikiem Rodriga przy włamaniu do domu Spod Obłoków. Spencer wiedział, jak Staddon wychodzi z Paprociarni rano po tym włamaniu, i nie wierzył, że przypadkowo Staddon jest w Hereford w tym czasie. Byliśmy pewni, że nadinspektor Wright weźmie sobie anonim do serca i w rezultacie zacznie podejrzewać Staddona. Czekaliśmy parę dni, aż będzie podejrzewał na dobre. Potem w piątek 15 lutego Spencer opłacił jakiegoś ulicznika, żeby udawał gońca z poczty i doręczył sfalszowaną depezę do biura Staddona. Niby tę depezę nadała pani Staddon, bo ona jest od pewnego czasu gościem majora Turnbulla na Cap-Ferrat. I było w tej depeży, że ona coś odkryła niepokojącego o Victorze. Dla pewności, żeby Staddon dał się nabrać, Spencer niby przypadkowo spotkał go wtedy wieczorem. Powiedział mu, że to ode mnie usłyszał o rozmowie Victora przez telefon z Greenville'em Peto w niedzielę 9 września. A Staddon, ponieważ ciągle myślał, że to Victor i panna Roebuck zmajstrowali tamto otrucie, nabrał się całkowicie. Wyjechał na Cap-Ferrat na drugi dzień rano. Ale Spencer wyjechał z Londynu w nocy i przyjechał przed nim.

Spencer uprzedził mnie, że bym się spodziewał Staddona po południu albo wieczorem w niedzielę 17 lutego. Kiedy Staddon przyjdzie do willi, będziemy już mogli działać. Tak się złożyło, że

Staddon przyszedł, kiedy Victora i ich wszystkich nie było w domu, więc bardzo mi na rękę. Postarałem się, żeby czekał na mnie w pokoju śniadaniowym z dwóch powodów. Po pierwsze: mogłem przez ten czas wsypać arszenik do karafki whisky w salonie. Po drugie: dzięki temu wszyscy później mogli myśleć, że Staddon to zrobił. Co prawda była możliwość, że nic z tego nie wyjdzie, i będę musiał znaleźć inną sposobność, jeżeli Victor nie tknie tej whisky, ale on ostatnio, jak to powieszenie się zbliżało, pil mnóstwo, więc spodziewałem się, że nie będę musiał. Turnbull nigdy nie pije whisky, a Thornton prawie nigdy. Ostatecznie wszystko szło jak w zegarku. Victor się zdenerwował wizytą Staddona i kazał podać szkocką z wodą, zanim go zapytałem. Thornton, na szczęście dla siebie, poprosił o słodki gin. Miałem swoją cichą przyjemność, kiedy podałem Victorowi szklanekę i patrzyłem, jak pije do dna, i kiedy usłyszałem, że chce jeszcze.

Zaraz po wyjściu Staddona wykradłem się z willi do Spencera, ponieważ czekał na mnie przy tylnej bramie ogrodu. Potem obserwowałem hotel Staddona, aż mógł mu podrzucić arszenik do pokoju, tak żeby policja musiała znaleźć. Spencer potrafi otwierać zamki nie gorzej niż fałszować. Myślę, że wzięłyby się do działalności kryminalnej bez żadnego mojego zachęcania.

Victor umarł tamtej nocy w mękach. Patrzyłem, jak umiera. Przed końcem chyba poznał po mojej twarzy, że to ja go zabiłem, mam taką nadzieję. Ten arszenik jak nóż krajał mu wewnętrznosci i dobrze mu tak.

No, wszystko by się nam udało, gdyby nie pech. Nie zrobiliśmy żadnych błędów. Ale nie mogliśmy przewidzieć, że Marjorie i Rosemary przyjadą na podwieczorek 9 września, ani że Doak będzie spał w warzywniku 11 lutego. Gdyby nie te dwa pechy, wyładowali byśmy doskonale. Nie wiem, gdzie teraz jest Spencer. Miał wyjechać z Cap-Ferrat w poniedziałek i pokazać się w Hereford niby tak samo wstrząśnięty tą wiadomością jak wszyscy tam. Kiedy się dowie, że ja siedzę, zrozumie, żeśmy przegrali. Co robi, trudno mi powiedzieć. Jest cwany i naprawdę z nim nic nigdy nie wiadomo.

Złożyłem to zeznanie zupełnie dobrowolnie i bez przymusu w ogóle żadnego. Chciałbym mieć proces w Anglii. Ta zbrodnia tam się zaczęła, więc wypada, żeby tam się skończyła. Myślę, że zapłacę życiem za to, co zrobiłem. Myślę, że będę wisiał jak Lizzie. Ha, może w tym jest sprawiedliwość!

Więcej nie mam do powiedzenia.

J. W. Gleasure
21 lutego 1924 r.

Skończyłem czytać zeznanie, posunąłem je po biurku do Wrighta i zapytałem:

- Jakże to w panu budzi uczucia, inspektorze?
- Stosowną skruchę. - Wright nadal się uśmiechał. - Myliliśmy się co do tej sprawy od samego początku. Rad jestem, że wykryliśmy omyłkę, zanim zrobiło się za późno.
- Czy mogę porozmawiać z Gleasure'em?
- Niestety, muszę panu tego odmówić.
- No, to czy mogę już wyjść na wolność?
- Och, jak najbardziej. Byłbym jednak wdzięczny, gdyby pan został w Nicei na parę dni, dopóki nie będę wiedział, czy potrzebny pan jest jako świadek oskarżenia w tutejszym sądzie.
- A Consuela? Będzie wolna?
- Nie zaraz. Formalnie, oczywiście, jest skazana za morderstwo, więc może nastąpić pewna zwłoka. Ale wypuszczą ją, nie ulega wątpliwości.

Wstałem i już miałem wyjść, gdy przypomniałem sobie wszystkie pytania i oskarżenia, które musiałem znosić w tym pokoju.

- A gdyby Doak nie widział Gleasure'a tamtej nocy, inspektorze? - zapytałem. - Gdyby nie wziął wczoraj rano porzuconej gazety i nie przeczytał, że zostałem aresztowany?

Wright potrząsnął głową i wlepił wzrok w stronicę zeznania Gleasure'a, leżące na stole przed nim. Cóż mógłby mi odpowiedzieć? Prawdą było, że nikt, a już najmniej on czyja, nie mógł sobie przypisać zasługi ocalenia Consueli. Szczęście jej nie sprzyjało, a teraz nagle się odmieniło. I to właśnie, jakby Gleasure powiedział, było wszystko w ogóle.

Ale nad wyrzutami szybko wzięło górę rozradowanie. Gdy w parę minut później wyszedłem z komisariatu i głęboko w płuca nabrałem śródziemnomorskiego powietrza, wonnego od zapowiedzi wiosny, ogarnęła mnie czysta błogość. Consuela jest bezpieczna, wkrótce będzie wolna. Nic innego nie miało znaczenia. To było naprawdę wszystko. W ogóle!

XXIV

Dwudziesty pierwszy dzień lutego, o którym myślałem ze zgrozą, nagle stał się jednym z najmilszych dni mojego życia. Samotność mnie nie trapiła. Zająłem pokój w hotelu Negresco i stamtąd zatelefonowałem do Imry'ego. Jego głos w słuchawce był tym jedynym towarzyszem, jakiego potrzebowałem. Imry wydawał się tak pełen ulgi i uszczęśliwiony jak ja. Zgodziliśmy się, że jeszcze za wcześnie analizować niedawną przeszłość i rozmyślać o przyszłości. Raz wyjątkowo terażniejszość wystarcza, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości, spełnić wszystkie nadzieje. Nad Consuela nie ma już czarnej chmury. I nad nami także. Zamówiłem butelkę szampana, wziąłem ją na balkon swojego pokoju i wypilem powoli, cicho, z rozkoszą, gdy przedwieczne słońce za mną oświetlało horyzont najszczęśliwszym złotem.

Od tygodni nie spałem tak dobrze i długo. O jedenastej przed południem jeszcze jadłem późne śniadanie, gdy przyszedł do mnie nadinspektor Wright. Weselszy niż zwykle, powiedział, że ma dla mnie dobrą wiadomość poufnej natury. Wyszliśmy na Promenade de Anglais i tam patrząc w stronę dalekiego Cap-Ferrat za szafirem zatoki, oznajmił:

- Spencer Caswell aresztowany.
- Złapaliście go?
- Na stacji w Hereford wczoraj w nocy, kiedy przyjechał pociągiem z Londynu. Wracam do kraju natychmiast, żeby go przesłuchać.
- Myśli pan, że będzie bezczelnie się wykręcał?
- Myślę że tak. Jakoby spędził ten tydzień w Paryżu pomiędzy barami i burdelami. Naturalnie nie ma żadnych świadków, którzy by to potwierdzili. Może uważa, że świadkowie są niepotrzebni.
- No chyba. Wobec zeznania Gleasure'a.
- Zobaczymy, panie Staddon, zobaczymy. Młodego Spencera niech pan zostawi mnie. Właściwie odwiedziłem dziś pana nie tylko z jego powodu.

- Nie tylko?

- Już nie musimy zatrzymywać pana tutaj. Gleasure stanie przed sądem śledczym w poniedziałek, ale przyznał się tak wyczerpująco, że obejdzie się bez zeznań świadków. Formalne oskarżenie nastąpi automatycznie.

- Będzie miał proces tutaj?

- Ostatecznie chyba nie. Ale ekstradycja to trudna sprawa. Może trochę potrwać.

- I do tego czasu Consuela musi pozostawać w więzieniu?

- Mam nadzieję, że nie. Ale tacy jak ja nie znają się na tych formalnościach. Niech pan się tym zajmie z jej adwokatami, kiedy pan wróci do kraju.

- Zajmę się, inspektorze, na pewno.

- I bez obawy, panie Staddon. - Uśmiechał się szeroko. - Prawo stara się załatwiać kłopotliwe sprawy możliwie jak najciszej, jak najszybciej. A przypadek pani Caswell jest bardzo kłopotliwy. Będzie pan ją miał dla siebie, zanim się pan obejrzy.

Dopiero w kilka minut potem, gdy patrzyłem, jak Wright odchodzi promenadą, pojąłem naturalność jego założenia. On myślał, że kieruje mną miłość. I w pewnym sensie miał rację chociaż nie w takim, jak myślał. Consuela po wyjściu z więzienia nigdy nie wkroczy ponownie w moje życie. Nie będziemy usiłowali wskrzesić tego, co kiedyś czuliśmy do siebie.

Ale czy tak? Odwróciłem się i zapatrzyłem na zatokę. Wydawało się możliwe, że tam, gdzie niebo styka się z wodą, może czekać każda przyszłość, jakiegokolwiek postęпки pozornie ją zmarnowały. Consuela już mi przebaczyła. A ja cierpiałem dla niej. I wkrótce ona będzie wolna w każdym znaczeniu tego słowa. Gdybym bardzo się postarał, mógłbym sobie wyobrazić trzy postacie - Consuelę i siebie, i Jacintę między nami, jak spacerujemy po tej promenadzie, śmiejemy się, rozpromienieni. Rozejrzałem się; tych postaci nie było. Ale już nie miałem niezbitęj pewności, że nigdy ich nie będzie.

W tamten wieczór wyjechałem z Nicei nocnym pociągiem do Calais. Dopiero w wagonie restauracyjnym, gdy tam wszedłem, żeby zjeść kolację, zobaczyłem że jadą tym pociągiem również Clive i Celia. Usiadłem w drugim końcu wagonu i postanowiłem ich ignorować. Ale Clive, ku widocznej dezaprobachie Celi, uznał, że wypada jakoś

się zbliżyć. Zostawiając deser, wziął kieliszek z koniakiem i chwiejnie podszedł do mojego stolika.

- Cześć, stary. Chyba trochę to dziwne udawać, że się nie znamy.

- Czyżby?

- Przysiądę się na chwilę, pozwolisz? - Nie czekając na odpowiedź, usiadł naprzeciw mnie. - Cieszyliśmy się wszyscy jak diabli, kiedyśmy usłyszeli, że jesteś wolny od podejrzeń.

- Rzeczywiście?

- Nawet Angela. Ona by nie chciała, żeby stało ci się coś złego, wiesz.

- Czy jeszcze jest na Cap-Ferrat?

- Tak - skrzywił się. - Ja cholernie rad wyniosłem się stamtąd, ledwie tylko policja nam pozwoliła. Ale Angela została na pogrzeb, kompletnie ścięta z nóg śmiercią Victora. My też się zmartwiliśmy, oczywiście, ale już Turnbull przyjął to szczególnie ciężko, byli przecież od tak dawna z Victorem przyjaciółmi. Angie robi wszystko, co może, żeby go rozweselić.

- Malujesz mi wzruszającą scenę. A panna Roebuck?

- Szalala z początku, oczywiście. Ale wzięła się w karby.

- Z pewnością.

- Ja wcale, oczywiście, nie posądzałem ciebie. Ani przez chwilę.

- Przyzwoicie z twojej strony, że powiedziałaś to policji.

- Co? - Zmarszczył brwi. - Nie bardzo łapię, stary.

- Nikt z was nie ruszył palcem w mojej obronie. To właśnie miałem na myśli.

- Och. No cóż... Niech to diabli, przecież byśmy cię bronili, gdyby doszło do procesu. Na pewno, wiesz, że tak.

- Nie. Nie wiem.

Przyjrzał mi się z namysłem i powiedział:

- W kraju będzie duży rozgłos. Ułaskawienie skazanej i tak dalej. Nie dziwiłbym się, gdyby jakiś reporter starał się wyciągnąć cię na słówka, których potem mógłbyś żałować.

- Niby na jakie słówka?

- No, przykro mi myśleć, że Angie mogłaby przeczytać w gazetach coś niemilego o sobie, coś na przykład, co ty byś chlapanął.

- Swoją braterską troskliwością zasługujesz na uznanie. Ale wątpię, czy prasa brukowa będzie się interesować moim rozbitym małżeństwem. Tobie tak się zdaje?

Clive mrugnął i uśmiechnął się. Zniżył głos.

- Co do rozwodu, stary. Nasza umowa co do warunków... Ufam, że nadal jest aktualna.

- Nie wiem.

- Ale chyba...

- Posłuchaj mnie, „stary”. Dopiero co zostałem oczyszczony z zarzutu morderstwa. Kobieta, którą ja... i parę niezwykle wartościowych osób usiłowaliśmy ratować, uniknęła śmierci prawie w ostatniej chwili. Czy poważnie przypuszczasz, że wobec tego wszystkiego obchodzą mnie warunki, na jakich Angela ma nadzieję rozwieść się ze mną? Jeśli poważnie, to większy z ciebie głupiec niż myślałem. A szczerze mówiąc, myślałem, że już pobiliś rekord głupoty.

Clive zagapił się na mnie. Fakt, że go obraziłem, przeniknął warstwy jego gruboskórnej duszy.

- Słowo daję, do diabła, nie ma żadne...

- Oto, co proponuję. Wróc do Celi. Dokończ jeść. A potem przez resztę tej podróży rób to, co uznałeś za dziwne. Udawaj, że się nie znamy. Ja też będę udawał. To nietrudne. A nawet dla mnie osobiście to w gruncie rzeczy nie udawanie. - Skinąłem na kelnera. - Teraz, jeśli darujesz, muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Zapłaciłem rachunek i szybko poszedłem na korytarz sąsiedniego wagonu. Tam otworzyłem okno i wychyliłem się w chłodny powiew nocy, żeby bodaj trochę ochłonąć z gniewu. Biedny Clive, myślałem. Nie można od niego wymagać zrozumienia doświadczeń, jakie wyniosłem z mojego małżeństwa splamionego oszustwem, bo będącego następstwem oszustwa. Przeszłość była śmietniskiem, przyszłość łądem niezbadanym. Za sobą miałem żal, przed sobą tylko niepewność. Ale przynajmniej już wiedziałem, co jest lepsze.

Nazajutrz rano zjadłem śniadanie dosyć wcześnie, żeby nie spotkać Clive'a i Celi, i potem również nie widziałem ich w Calais. Zapewne Celia nalegała, żeby raczej poczekali na następny prom, niż ryzykowali, że popłyną ze mną. Byłem jej za to wdzięczny.

W Dover kupiłem wszystkie krajowe gazety i przeglądałem je, gdy pociąg niósł mnie na północ do Londynu. Dramatyczne okoliczności śmierci Victora, ułaskawienie Consueli i przyznanie się Gleasure'a najwidoczniej opisano w poprzednich dniach. Teraz o aresztowaniu Spencera donoszono tak, jak by to było blahe postscriptum do bardziej sensacyjnych wydarzeń. Były dwa artykuły redakcyjne, w których wychwalano policję i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych za

natychmiastowe naprawienie błędu, jeden artykuł potępiający łatwość nabywania arszeniku i trochę listów do redakcji z żądaniem zniesienia kary śmierci w sprawach o otruciu. Między wierszami tego wszystkiego wykryłem jednak nutę zakłopotania. Prasa przedtem tak się kwapiła, jak jej czytelnicy, do postawienia krzyżyka na powieszonej Consueli. Teraz wszyscy zdawali sobie sprawę, że bardzo się mylili, więc rzeczywiście chcieli szybko o tym zapomnieć.

W Londynie nie zatrzymałem się, żeby bodaj wstąpić do mojego mieszkania. Od razu pojechałem do Wendover, gdzie Imry czekał na mnie w Słonecznej Chacie z dobrze zamrożonym szampanem, którym natychmiast uczuliśmy powodzenie naszych wysiłków na rzecz Consueli. Mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. I powiedzieliśmy. Imry oczywiście wyczuł, że nie jestem tak rozradowany, jak staram się wydawać. On radował się, że zwyciężyła sprawiedliwość, bo dla niego skazanie Consueli na śmierć było tylko jaskrawą niesprawiedliwością. Ale dla mnie było ponadto przerażającym objawieniem prawdy: każdy zakręt w życiu brałem w złym kierunku, każdą decyzję podejmowałem źle. W Nicei rozmawiałem z Imrym przez telefon, tak jak on uszczęśliwiony i pełen wdzięczności. Teraz niezupełnie dzieliłem z nim ten nastrój. Mając wkrótce zatruć moją radość, już czaiło się we mnie uczucie, że ocalenie Consueli niekoniecznie jest ocaleniem moim.

Nocowałem w Słonecznej Chacie. Gdy nazajutrz wróciłem do Hyde Park Gardens Mews, to mieszkanie jak nigdy przedtem wydawało mi się opuszczone i przygnębiające - cóż za symbol życia, jakie sobie narzuciłem. Nie mogłem tam usiedzieć, więc zaraz wyszedłem. Przez park i dalej przez South Kensington powędrowałem na cmentarz Brompton. Zaniedbywałem ostatnio grób Edwarda. W zadośćuczynieniu za to i nie tylko za to wstawiłem do kamiennego wazonu świeże kwiaty, oczyściłem nagrobek. Śmierć biednego małego Edwarda była jeszcze jednym dowodem - myślałem - że nie powinienem być w żadnym razie porzucić Consueli. Gdybym trwał przy niej, Edward może byłby naszym drugim dzieckiem, bratem Jacinty. Nam dwojgu influenza nie zabiłaby Edwarda.

W drodze powrotnej w stronę Hyde Parku mijałem Muzea Historii Naturalnej i Nauk Ścisłych i patrzyłem, jak pobłażliwi rodzice wprowadzają tam swoje latorośle, żeby im wypełnić niedzielne popołudnie pełnym zadziwienia gapieniem się na dinozaura i wahałła. Zanim

zdażyłem się uzbroić przeciwko takiej wizji, już widziałem, jak we czworo: Consuela, Jacinta, Edward i ja w podskokach wchodzimy po tych schodach. Wydawało się, że gorzkie wyrzuty i upomnienia czyhają na mnie wszędzie.

Wiedziałem od Imry'ego, że Jacinta teraz, przed zwolnieniem Consueli, mieszka z wujem i ciotką w Londynie w hotelu Browna. Mówiąc sobie, że idę bez celu, ale doskonale wiedząc, że cel jest, szedłem wolno na wschód przez most Knight do Hyde Park Corner, a potem dalej po Picadilly, jeszcze wolniej. Nie wiedziałem, co zrobię, gdy dojdę do hotelu Browna, i uważałem, że nie powinienem w tamtą stronę iść, a przecież szedłem i trudno mi było zawrócić.

Doszedłem tam w porze podwieczorku. W hotelowej kawiarni krzatali się kelnerzy z bułkami i ciastkami na tacach. Stałem przy drzwiach rozważając następne posunięcie i zobaczyłem Jacintę. Siedziała pod oknem w towarzystwie Hermione i, jak się domyśliłem, Francis i Ilidii Manchaca de Pombalho.

Doña Ilidia poklepała Jacintę po ręce, uśmiechała się do niej, coś szepnęła i wszyscy przy stoliku się uśmiechnęli. Jacinta była rozpromieniona. Takiej nigdy dotąd jej nie widziałem. Oczywiście, teraz miała pewność - jak nigdy od początku naszej znajomości - że jej matce już naprawdę nic nie grozi. A przecież coś w wyrazie jej twarzy - coś w ufności, z jaką odnosiła się do tych trojga dorosłych - powiedziało mi, że ja nie mogę odgrywać żadnej roli w jej szczęściu, że jej dobro nie może być moją sprawą.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał kelner przerywając mi te pownure myśli.

- Co? Nie. To znaczy...

- Chce pan się napić herbaty, proszę pana?

- Nie. Nie, dziękuję. - Pośpieszyłem do wyjścia, nagle pragnąc znaleźć się daleko od wszelkich takich wywoływań widm tego, co utraciłem. Ale ucieczka była niemożliwa. Gdy dotarłem do końca Albemarle Street i popatrzyłem na Picadilly, cóż ujrzałem, jeśli nie arkady i miejsce, gdzie stałem przy wystawie marszanda w pewien poranek latem 1911 roku, zanim postanowiłem przyjąć zlecenie Ashleya Thorntona. Lato przechodzi w jesień. Czas mija. Ale naszych postępów nie da się wymazać.

Wróciłem w końcu do Hyde Park Gardens Mews. Mrok zapadł. Zaczęłem rozważać plusy rozmyślnego upicia się na umór. Już miałem

wyjsć, żeby ten pożądany stan osiągnąć, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. W pierwszej chwili nie chciałem otworzyć. Ktoś jednak dzwonił uparczywie. Ostatecznie zszedłem na dół i otworzyłem. Ku mojemu zdumieniu, przed drzwiami stała Hermione Caswell.

- Dobry wieczór, panie Staddon. Mogę wejść?

- No... tak. Oczywiście.

Wprowadziłem ją na górę do saloniku. Pomogłem jej zdjąć płaszcz i zaproponowałem trunek. Odmówiła, rozejrzała się po skąpym umeblowaniu i rozrzuconych rzeczach.

- Dawno pan tu mieszka? - zapytała.

- Od miesiąca mniej więcej. Od... No, pani mogę powiedzieć. Moja żona mnie wyrzuciła. Występuje o rozwód.

- Dlatego że pan się starał ratować Consuelę?

- Postawili tę sprawę na głowie, to na pewno.

Usiadła. Dorzuciłem węgla do ognia w kominku i zacząłem ją namawiać, żeby jednak coś wypić. Nadal nie chciała.

- Widziałam, jak pan dziś po południu wychodził z Browna, panie Staddon. Niech pan się nie obawia, nikt inny pana nie widział. Dlaczego pan do nas nie podszedł?

- Nie byłem pewny, czy... Nie chciałem przeszkadzać.

- Ale państwo Pombalho bardzo by chcieli pana poznać.

- Czyżby?

- I wiem, że Jacinta chce panu podziękować za wszystko, co pan zrobił dla jej matki. Odwiedziliśmy Consuelę dzisiaj.

- Jak się czuje?

- Niecierpliwi się, żeby już wyjść, teraz, kiedy jej niewinność potwierdzono. I ogromnie jest wdzięczna nam... łącznie z panem... za pomoc w ocaleniu jej życia.

- Ja nie wykazałem się niczym poza bezradnością tam, gdzie innym się udało.

Hermione zmarszczyła brwi.

- Nie przystoi panu, panie Staddon, litowanie się nad sobą. Spodziewałam się zastać pana w radośniejszym nastroju. Consuela uniewinniona. Czy serce pana się nie raduje?

- Oczywiście, raduje się. Gdyby pani mnie zobaczyła wtedy, gdy usłyszałam tę wiadomość, nie wątpiłaby pani o tym, proszę mi wierzyć.

- Ale później zaczął pan myśleć o przyszłości?

- Co? - Przez sekundę czułem, że ona mnie widzi na wskroś. - Skąd... skąd pani wie?

- Stąd, że ze mną jest tak samo. Następstwa udowodnienia niewinności Consueli są chyba niemniej przykre niż następstwa nieudowodnienia. Victor umarł tak jak Rosemary. Spencer jest wmieszany w oba te morderstwa. Moja rodzina w gruzach. Czy Marjorie i Mortimer kiedykolwiek dojdą do siebie po tym wstrząsie, wątpię. Oczywiście, nie chcą uznać winy Spencera, chociaż przypuszczam, iż w głębi duszy wiedzą, że muszą. Nic z tego nie jest łatwe, panie Staddon. Nikt nie jest dzięki temu szczęśliwy.

Hermione miała rację. O wiele więcej osób los doświadczył teraz niż w wypadku, gdyby Consuelę powieszoną pamiętali tylko jako trucicielkę. Dlatego oczywiście tak niewielu próbowało ją ocalić. Prawda i sprawiedliwość, długo nieosiągalne, objawiły się na swój sposób surowo jako własne przeciwieństwa.

- Przyszłabym tu dzisiaj nawet, gdybym pana nie zobaczyła w hotelu Browna - powiedziała Hermione. - Mam list dla pana. Od Consueli. - Wyjęła list z torebki. - Już nie cenzurują jej korespondencji, pan rozumie. Ani nie mają nic przeciwko temu, że ona prosi swoich gości o doręczenie rzeczy od niej.

Dreństwo wyciągnąłem rękę. Na kopercie było moje nazwisko, charakter pisma Consueli, który, chociaż go nie widziałem przez trzynaście lat, rozpoznałem tak, jakbym widywał codziennie. Rozerwałem kopertę, rozłożyłem list.

Więzienie Jego Królewskiej Mości

Holloway

23 lutego 1924 r.

„Drogi Geoffrey,

nie spodziewałam się doczekać dzisiejszego dnia. Za to dziękuję. To jest dar od Boga, ale także dar od tych, którzy stali przy mnie w czasie mojej ciężkiej próby. Ty jesteś jednym z nich. Dlatego dziękuję Ci z całego serca.

Sir Henry i pan Windrush usiłowali wyjaśnić mi, jak się to stało. Muszę przyznać, że wciąż jeszcze trudno mi uwierzyć. Jest tyle samo powodów do smutku, ile do radości. Siedzę tutaj w tej wygodnej celi, do której mnie przeniesiono, i zastanawiam się. Że też mogliśmy wszyscy być tacy ślepi! Biedny Victor, Biedna Rosemary. I biedna kochana Lizzie.

Jak mi powiedzieli, teraz pewnie jesteś już wolny. Cieszę się z tego. I powiedzieli, że ja też wkrótce będę wolna. Wprost nie mogę się

tego dnia doczekać. I zastanowiłam się teraz, mając czas na snucie planów, co zrobię, kiedy ten dzień przyjdzie? Dlatego piszę do Ciebie.

Jak wiesz, zdecydowałam się wysłać Jacintę do Brazylii w razie mojej śmierci. Teraz nadal uważam, że powinna wyjechać do Brazylii, ale chcę wyjechać z nią razem. Tylko tam mogę mieć nadzieję, że to, co się stało, zostanie daleko za nami. Tylko tam mogę mieć nadzieję, że zbuduję nowe życie - dla Jacinty, a także dla siebie.

Kiedys powiem jej prawdę, kiedy będzie dość dorosła, żeby zrozumieć. To nie usunie Ciebie z jej życia, przyrzekam. Kiedy będzie młodą panną, powiem jej wszystko. Może zechce wtedy poznać Cię lepiej. Jeśli tak, nie stanę jej na drodze.

Ale to sprawa przyszłości. Teraz wystarczy to, co Jacinta już wie. Więcej byłoby dla niej nie do zniesienia. Właśnie utraciła jednego ojca. Za wcześniej, by się dowiedziała, że ma drugiego.

Pożegnaliśmy się dziewięć dni temu, więc bezcelowe byłoby powtarzanie tego. Przebaczam Ci i dziękuję. Zrobiłeś dla mnie dosyć, uregulowałeś tym wszystkie długi, jakie kiedykolwiek były między nami. Dajmy im spokój. Nie staraj się odwiedzić mnie, błagam. Tobie tylko na nowo otworzyło rany, prawie zagojone po naszym rozstaniu w zeszłym tygodniu.

Jutro zobaczą się z Hermione. Poproszę ją, żeby doręczyła Ci ten list, kiedy tylko wrócisz z Francji. Dołączam moje z całego serca podziękowanie i szczerze życzenia wszystkiego dobrego w przyszłości.

*Żegnaj, Geoffrey
Consuela.*

Złożyłem list i wsunąłem z powrotem do koperty, po czym podniosłem wzrok na Hermione.

- Pani zna jej plany?
- Powiedziała mi dziś po południu. Zamierza wyjechać do Brazylii, z Jacintą oczywiście, kiedy tylko będzie mogła. To najlepsze wyjście dla nich obu, nie sądzi pan?
- Tak. Chyba tak.
- Pan może miał nadzieję, że ona zostanie? Wtedy byłaby szansa...
- Na co?
- Och, na nic. - Hermione wyprostowała się w fotelu z lekkim gestem irytacji wobec swojej czułości. - Zanim zapomnę, powinienam panu powiedzieć o Ivorze Doaku. Policja dała mu kwatery

w Hereford, żeby go na pewno znaleźć, kiedy jego zeznania będą potrzebne. Mieszka wygodnie jak nigdy od lat.

- Świetnie. Niech go pani ode mnie pozdrowi... podziękuję mu... kiedy go pani zobaczy, właśnie jemu ostatecznie zawdzięczamy ocalenie Consueli. Te pieniądze, które mu daliśmy, oddał po tysiącakroć, prawda?

- Tak uważam. Myślę o tym sporo w ostatnich kilku dniach. Pamięta pan, panie Staddon, jak Victor pana ostrzegwał, żeby pan mu żadnych pieniędzy nie pożyczał?

- Pamiętam. Powiedział, że będę tego żałował. Mylił się. Dosyć to dziwne, ale ze wszystkiego, co zrobiłem na terenie Spod Obłoków, to jest jedyna rzecz, której nigdy nie żałowałem.

- I jedyna, która zaowocowała największym dobrem. W tym jest morał, z pewnością.

- Doprawdy jest. Bardzo dobitny. Szkoda tylko, że nie zwróciłem na to uwagi wcześniej.

Po wyjściu Hermione znów nie mogłem usiedzieć w czterech ścianach. Nogi poniosły mnie na południe przez skwery i ulice Belgravii tam, gdzie mieszkałem, zanim się ożeniłem. Stałem pod latarnią naprzeciw wejścia do tego bloku, pod tą samą latarnią, pod którą stała Consuela w pewną noc w marcu trzynaście lat temu. Zapaliłem papierosa i patrzyłem w górę, na okno, z którego kiedyś patrzyłem w dół na nią. Okno było otwarte, światła się paliły, rozbrzmiewał jazz z płyty gramofonowej. Te dźwięki zaczęły się rozwlekać, coraz wolniejsze, aż prawie ustały, ale ktoś tam nagle nakręcił gramofon i muzyka znów nabrała tempa. Słuchając, pomyślałem, że obecnego lokatora na pewno nie obchodzi, co przeżywali w tym mieszkaniu ludzie mieszkający tu przed nim. A potem pomyślałem, że to słuszne - tak samo jak nie da się zmienić przeszłości, nie daje się uciec od teraźniejszości. Consuela patrzy w przyszłość niezmałym wzrokiem. Jakoś ja też powinienem.

Nazajutrz rano w biurze powitała mnie wątpa owacja. Wszyscy byli zadowoleni, że już zdjęto ze mnie podejrzenie o morderstwo, i troszczyli się, jak przetrwałem tę ciężką próbę. Zwłaszcza Reg się troszczył, wciąż przepraszając za to, że nie dopatrywał się w depeszy fałszerstwa. A przecież wyczułem ogólne zdenerwowanie. Chociaż byli po moim aresztowaniu oblegani przez reporterów, nadal wiedzieli niewiele

więcej, niż przeczytali w gazetach. Imry starał się ich uspokoić, ale jak się to odbije na reputacji Renshaw i Staddon, mogli tylko przewidywać. Nie winili mnie, oczywiście, ale wskutek tego, co się stało, czuli się mniej pewni jutra niż przedtem. Ani też niewiele ja mogłem zrobić czy powiedzieć, żeby podbudować w nich ufność i - skoro już o tym mowa - w sobie samym.

Po południu przyszedł do mnie Windrush i również mi gratulował. Wyjaśnił, jak delikatnej natury są rokowania sir Henry'ego z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych w sprawie zwolnienia Consueli, z czego wywnioskowałem, że to może się wlec przez całe tygodnie. Wynik nie ulegał wątpliwości, ale jaki bieg nadadzą sprawie czynniki urzędowe tak, by nie stracić twarzy, pozostawało pod znakiem zapytania. Windrush przypuszczał, że żadnej decyzji nie będzie, dopóki minister spraw wewnętrznych nie odniesie spodziewanego zwycięstwa w wyborach uzupełniających w Burnley, które mają odbyć się już za trzy dni.

Pod koniec naszej rozmowy Windrush napomknął siląc się na niedbały ton, że Francisco Manchaca de Pombalho stanowczo chce pokryć wszystkie koszty i honoraria obrony Consueli. Zakładają, że ja mu na to pozwolę, chociaż wcześniej podjąłem się pokryć je sam. Zresztą prawdopodobnie koszty zwróci Korona, z chwilą gdy zostanie zredagowana podstawa uniewinnienia. Wyczułem jednak, że nawet gdyby tak nie było, nikt już nie chce mojego wkładu. Nie sprzeciwiłem się, ostatecznie nie należę do rodziny czy bodaj do jej przyjaciół. Moja hojność wydaje się niekonieczna, prawie nie na miejscu. Tak więc zrobiłem jeszcze jeden krok w tył ku szeregowi obcych.

Początkowe oddalanie się od sprawy rodziny Caswellów przerwał w dwa dni później niespodziewany telefon. Właśnie wróciłem do biura po obiedzie, gdy Doris mi powiedziała, że jakiś pan Caswell chce ze mną mówić. W pierwszej chwili pomyślałem z niedowierzaniem, że to Mortimer. Ledwie jednak Doris go przełączyła, głos w słuchawce wprowadził mnie z błędu.

- Cześć, Staddon. Jak leci?
- Spencer? Co...
- Wypuszczony bez plamy na honorze. No, bez plamy nie do wywabienia, w każdym razie. Musieli przyznać, że nie mają przeciwko mnie dostatecznych dowodów.

- Ależ to nie...
- Niemożliwe? Cóż, kiedy tak jest. Potwierdzeniem jest fakt że dzwonię. Ale dzwonię nie tylko dlatego. Chcę panu podziękować.
- Podziękować? Mnie? Co za...
- Jestem teraz bardzo bogaty, Staddon. Dwa razy bogatszy niż miałem być. A to dzięki wysiłkom pana i pana kumpli. Już nie muszę się dzielić majątkiem stryjka Victora z parweniuszem lokajem. Przyjemne, prawda?

Słowa nie mogłem wykrztusić. Twarz Spencera wyłoniła się z jego głosu, jego oczy roziskrzone uciechą, uśmiech na tych pogardliwych ustach.

- Zatkalo pana? Nie powiem, żebym był zdumiony. Ludzie nigdy nie przyjmują grzecznie tego, że wygrywam. A ja wygrywam zawsze, wie pan. Wygrywam. Wszyscy inni przegrywają. Dziękuję jeszcze raz, Staddon.

Wyłączył się. Powoli położyłem słuchawkę i zrobiłem kilka głębokich wdechów, usilnie sobie powtarzając, że tak gniewem, jak urażą nic nie zdziałam. Może to, że Spencer został właścicielem Spod Obłoków, jest stosownym wyrokiem wydanym na architekta tego domu. Może powinienem się śmiać z takiej ironii losu, a nie zgrzytać zębami. I nagle znów usłyszałem dzwonek telefonu.

- Panie Staddon, nadinspektor Wright do pana..
 - Połącz go, Doris.
- Pstryknęło, Wright powiedział:
- Dzień dobry, panie Staddon.
 - Dzwoni pan w sprawie Spencera Caswella, czy tak, inspektorze?
 - No owszem, ale... Skąd pan wie?
 - On właśnie telefonował do mnie.
 - Rzeczywiście? Bezcelny mlókos... No, może należało się tego spodziewać. Triumfator.
 - Powiedział, że za mało macie dowodów, żeby go zatrzymać.
 - To prawda. Niestety, proszę pana. Próżna była nadzieja, że sypnie się na przesłuchaniach, zbyt jest chytry. Owszem, mamy przeciwko niemu zeznanie Gleasure'a. Ale zgodnie z żelazną zasadą prawa angielskiego, nikogo nie można skazać wyłącznie na podstawie niepopartego dowodami zeznania rzekomego współnika.
 - Przecież właściwie przyznał się do winy teraz przez telefon.
 - Nie wystarczy, proszę pana. Potrzebujemy tego, czego nie mamy:

naocznych świadków, konkretnych dowodów. Wiemy, że jest winny, oczywiście, ale nie możemy jego winy udowodnić.

- Zdaje pan sobie sprawę, co to oznacza?

- To, że on dziedziczy majątek Caswella? Tak. Aż człowieka podrywa, prawda? Ale powiadają, że pieniądze to nie wszystko.

I rzeczywiście nie wszystko. Nawet dla Spencera. A takie właśnie zwycięstwo wyraźnie sobie zapewnił na całej linii.

XXV

W piątek, 29 lutego - nazajutrz po wyborach uzupełniających w Burnley - Windrush zatelefonował do mnie z wiadomością, że tak jak przewidywał, sir Henry doszedł już do porozumienia z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych w sprawie zwolnienia Consueli. Windrush ma być u sir Henry'ego dziś wieczorem, wtedy dowie się szczegółów. I ja będę tam mile widziany. Wyczułem, że to zwiastuje nie tylko koniec niewoli Consueli, ale i koniec mojego zaangażowania w jakikolwiek aspekt jej sprawy.

Po południu zrobiło się burzliwie. O piątej niebo szerniało, wiatr zaczął deszczem o szyby. Pozwoliłem wszystkim w biurze wyjść wcześniej i gotów byłem samotnie czuwać, aż nadejdzie pora, żeby wyruszyć do Middle Temple, gdy w drzwiach zjawił się nadinspektor Wright. Był zmoknięty i wytarמושony wiatrem, ale odniosłem wrażenie, że nie dlatego nie ma na twarzy swego zwykłego uśmiechu.

- Czym mogę panu służyć, inspektorze?

- Przykro mi, panie Staddon, ale muszę zadać panu jeszcze kilka pytań.

- No, jeśli mogę panu pomóc w zebraniu dowodów przeciwko Spencerowi...

- To nie ma nic wspólnego ze Spencerem Caswellem. Przynajmniej nie bezpośrednio. - Usiadł, patrzył na mnie przez chwilę, po czym powiedział. - Thomas Malahide, proszę pana. Z zawodu cieśla, z nawyku przestępca. Znaleziono go martwego w jego mieszkaniu w Rotherhithe dziewiątego stycznia w tym roku.

- Rzeczywiście? Ja...

- To on sprzedał Gleasure'owi ostatni list Lizzie Thaxter. Wspólnik Petera Thaxtera w okradaniu papierni Peto. Zatrudniony, o ile wiem, przez łaskawego pana przy budowie Spod Obłoków.

- Zatrudniony przez przedsiębiorstwo budowlane, inspektorze, nie przeze mnie.

- Dobrze, pan przecież wie, o kim mówię. - W jego grzecznym tonie zabrzmiała nuta rozdrażnienia.

- Wiem. - Wiedziałem również, co on dalej powie, ale miałem nadzieję, że się mylę.

- Może więc już nie udawajmy. Zamordowanie Malahide'a było dosyć nisko na naszej liście priorytetów, dopóki Gleasure nie zainteresował nas tym na nowo. Rozmawiałem z córką Malahide'a, Alice Ryan. Przyznała, że nie przyszła sama do mieszkania ojca, gdzie znalazła jego zwłoki. Podała rysopis swego towarzysza, bardzo mi przypominający kogoś, kogo znam. Pana.

- Rozumiem.

- Ale ja nie, panie Staddon. Więc może pan by mnie oświecił. Dlaczego zabrał pan z mieszkania Malahide'a kopię listu Lizzie i przekonał Alice Ryan, żeby nic o panu nie mówiła?

- Dlatego, że ten list mógłby być użyty przeciwko Consueli na jej procesie. Wiem, to było głupie, ale...

- Tak też myślałem. - Po raz pierwszy Wright się uśmiechnął. - No, sprawa chyba jest nieaktualna.

- Tak, prawda? Ja...

- Ale pozostaje coś innego! - Nagle znów przybrał surowy ton. - Zdaniem Alice Ryan jej ojciec został zastrzelony w następstwie tego, że właśnie dowiedział się, kto był czwartym współnikiem kradzieży w papierni Peto. Zgadzam się z nią. Myślę, że ktoś mu pomógł w rozpoznaniu podając czyjeś nazwisko. Czy to przypadkiem nie pan, panie Staddon?

- Ja, inspektorze. - Znużył mnie już wszelki kamuflaż. Mógłbym prawdopodobnie tylko wybałuszać oczy na pytanie Wrighta i to by mi uszło, ale wydawało się, że już nie ma sensu. Zresztą niczego nie byłem Turnbullovi winien, a już najmniej ochrony. - Malahide zobaczył tego czwartego, kiedy odwiedził mnie w Szczęśliwym Gnieździe, domu mojego teścia w Surrey, w wigilię Nowego Roku. Chciał ode mnie pieniędzy za list Lizzie. Spotkałem się z nim dwa dni później w Londynie, żeby zakończyć tę transakcję. I właśnie wtedy mnie zapytał, kim jest człowiek, którego zobaczył w Szczęśliwym Gnieździe. Nie widziałem powodu, żeby mu nie powiedzieć. Nie wiedziałem, po co mu ta informacja. A nawet gdybym wiedział, wątpię, czy bym mu jej nie udzielił.

- Więc to nazwisko?
- Major Turnbull.
- Pańskiej żony... - Wright zachichotał. - Gdybym nie dopatrzył się w tym logiki, może bym pana posądził po prostu o złośliwość, panie Staddon.

- To jest prawda.

- Tak. Myślę że tak. Jak mówi Alice Ryan, jej ojciec zawsze podejrzewał, że ktoś stał za Burrigge'em, był mózgiem gangu, dostarczał pieniądze i informacje. Więc to Turnbull. A skąd on wiedział, że u Peto produkują papier na banknoty Banku Angielskiego? Skąd wiedział, jakie tam są luki w środkach bezpieczeństwa? No, Victor Caswell go informował, czyż nie? Byli współnikami afer w Ameryce Południowej i pozostali współnikami w Herefordshire. Turnbull zwerbował Petera Thaxtera. Tylko ci trzej zaryzykowali. Turnbull i Caswell spokojnie czerpali zyski. I kiedy nagromadzili tyle, ile w swoim przekonaniu mogli nagromadzić bezpiecznie, poufnym donosem położyli całej operacji kres. Sprawdziłem, wie pan. Był anonimowy donos, który naprowadził policję Herefordshire na ten gang. Dlatego Peto zarządził inwentaryzację. A oni obaj na pewno przez te lata gratulowali sobie sukcesu swojego przedsięwzięcia. Ale dzięki Gleasure'owi Victor Caswell musiał za to zapłacić.

- A Turnbull?

- Wnikniemy głęboko w jego sprawy, panie Staddon. Będziemy go nękać, jak tylko potrafiemy. Ale teraz, kiedy Caswell, Malahide i Burrigge nie żyją, obawiam się, że bez skutku.

- Niedostateczne dowody?

- Właśnie. Jedna z największych frustracji w pracy policjanta. Najpierw Spencer Caswell. Teraz major Turnbull.

- Nic się nie da zrobić?

- Nic. Chyba że któryś z nich albo obaj popełnią błąd.

- A jeżeli nie popełnią?

- Stara piła się ich nie ima, panie Staddon. Można poznać, co dobry Bóg myśli o pieniądzach, po ludziach, którym je daje.

Wspomnienie rozmowy z Wrightem jeszcze mnie trapiło, gdy parę minut po siódmej dotarłem do Plowden Building źle przygotowany na to, co mnie tam czekało. Sir Henry siedział przy biurku i rozmawiał z trzema gośćmi: Windrushem, Franciskiem Manchaca de Pomalho i Arthurem Quartonem. Chyba zobaczył, że drgnąłem na widok Quartona, bo uśmiechnął się do mnie promiennie i powiedział:

- Zaraz wszystko stanie się jasne, panie Staddon. Skoro pan już jest możemy przystąpić do rzeczy.

Dokonał prezentacji. Francisco Pombalho powitał mnie uprzejmie, ale bardzo chłodno. Chociaż zupełnie inny niż jego brat, wyraźnie miał z nim coś wspólnego - to mianowicie, że potępiał moją rolę w przeszłości Consueli. Uśmiech i uścisk ręki Quartona były o wiele cieplejsze, ale nie wyrażały nic. Czy sir Henry go zaprosił, czy on wprosił się sam, nie mogłem się zorientować.

- A więc cel naszego spotkania, panowie - powiedział sir Henry, gdy usiedliśmy. - Jak wiecie, przez kilka dni stałem na martwym punkcie w negocjacjach z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, co do ubolewania godnej zwłoki w zwolnieniu pani Consueli Caswell. Waham się domyślać, czy nie zaważył na tym wynik wyborów w Burnley, gdzie wyborcy już uznali, że pan minister nadaje się do reprezentowania ich w parlamencie. Faktem jednak jest, że dzisiaj nastąpił przełom w tych negocjacjach. Dotychczas sir John Anderson optował za królewskim ulaskawieniem, a ja się temu sprzeciwiałem, bo mówiąc ściśle, to by tylko uchyliło karę, a nie oczyściło z zarzutów. Nalegałem, żeby prokurator generalny rozważył ponownie swoją wcześniejszą decyzję, kiedy to nie zgodził się na wniesienie apelacji do Izby Lordów. Miło mi powiedzieć, że właśnie ta droga jest już otwarta. Piątego marca, czyli w przyszłą środę, milordowie wysłuchają apelacji pani Caswell w świetle zeznania Gleasure'a. Rezultat z góry przesądzony. Pani Caswell zostanie uniewinniona.

- Ale pan nie będzie musiał tak długo czekać na uwolnienie siostry - wtrącił Windrush zwracając się do Francesca Pombalho.

- Rzeczywiście - ciągnął sir Henry. - Sir John i jego polityczni szefowie pragną naprawić tę szczególną krzywdę możliwie jak najdyskretniej. Zależy im na uniknięciu rozgłosu wokół wypuszczenia pani Caswell. Dlatego... chociaż formalnie ona ma pozostawać w więzieniu, dopóki nie będzie odpowiedzi na jej apelację... zamierzają ją zwolnić w poniedziałek rano.

- O dziewiątej - dodał Windrush.

- *Espléndido!* - wykrzyknął Pombalho i klepnął się w udo. - Senhores, spisaliście się świetnie!

- Dziękuję, senhor Pombalho - powiedział sir Henry. - Rad jestem, że pan tak to ocenia. Pan Windrush odbierze panią Caswell i przywiezie do pana do hotelu Browna. Musiałem zapewnić sir Johna,

że nie będzie żadnego komitetu powitalnego przy bramie więzienia. Pan, mam nadzieję, nie ma mi tego za złe.

- *Claro!* Chcę tylko, żeby moja siostra była wolna.

- O ile wiem, panie Pombalho - zabrał głos Quarton - pani Caswell zamierza pojechać z panem i pańską małżonką do Brazylii?

- Tak, *senhor*. Consuela i mała Jacinta zamieszkają u nas w Rio de Janeiro.

- Mam nadzieję, że zdążę przed jej wyjazdem porozmawiać z nią o posiadłości. Przypuszczalnie będzie chciała albo sprzedać, albo wyznaczyć zarządcę.

- To już ona zdecyduje, *senhor*. Ale myślę, że będzie chciała sprzedać.

- Rozumiem. - Quarton spojrział na mnie i uśmiechnął się. - Pan ma taką zdumioną minę, panie Staddon.

- No, myślałem... To znaczy...

- Pan myślał, że właścicielem Spod Obłoków jest teraz młody Spencer?

- No, a nie jest? Chyba zgodnie z testamentem Victora...

Quarton przerwał mi podniesieniem ręki.

- Widzę, że trzeba to wyjaśnić. Za pozwoleniem panów... - Rozejrzał się po nich wszystkich, a oni przytaknęli. - Otóż, panie Staddon, Spencer myślał tak samo, kiedy odwiedził mnie przedwczoraj w kancelarii. Uważał się za spadkobiercę Victora Caswella. Dopóki mu nie powiedziałem tego, co powiem teraz. Jedenastego tego miesiąca pan Caswell w przeddzień wyjazdu na Cap-Ferrat był u mnie ze swoim testamentem, który sporządziłem dla niego w maju tysiąc dziewięćset dwunastego roku i na mocy którego jedynym spadkobiercą rzeczywiście był Spencer. Pan Caswell poinformował mnie, że zamierza ożenić się z panną Roebuck, kiedy tylko będzie wolny wskutek egzekucji pani Caswell, i że on i panna Roebuck wrócą z Francji już jako mąż i żona. Poprosił, żebym sporządził nowy testament na rzecz nowej pani Caswell. Załatwianie tej sprawy w takim czasie wydawało mi się szczególnie niesmaczne, ale my, radcy prawni, odpowiadamy tylko za legalność posunięć naszych klientów, a nie za ich przyzwoitość. Tu jednak na płaszczyźnie prawnej musiałem się sprzeciwić. Wykazałem panu Caswellowi, że małżeństwo z panną Roebuck będzie automatycznie unieważnieniem testamentu przedtem istniejącego. I żeby ją jako swoją małżonkę uczynić spadkobierczynią, powinien spisać stosowny testament dopiero po ślubie. Więc zdecydował się tak zrobić

i polecił mi przygotować dokument do podpisania, kiedy wróci z Francji. - Quarton umilkł na chwilę, pewnie dla efektu - Ponadto polecił mi istniejący testament zniszczyć. Dlatego więc go spaliłem w kominku w mojej kancelarii, przy czym pan Caswell był obecny.

- Spalił go pan?

- Pan Windrush potwierdził, że zniszczenie testamentu na polecenie i w obecności testatora to jak najbardziej należyty sposób unieważnienia.

- Tak jest - powiedział Windrush.

- A więc pan rozumie - ciągnął Quarton - pan Caswell zmarł osiemnastego w tym miesiącu, nie zostawiając testamentu. Jego majątek zatem podlega ustawie o zgonach bez testamentu. I zgodnie z tym, jedną trzecią dziedziczy wdowa po nim, a pozostałe dwie trzecie jego córka, które to dwie trzecie mają być w zarządzie powierniczym do czasu jej zamążpójścia albo pełnoletności, zależy, co nastąpi wcześniej. Nie ma w tej ustawie mowy o żadnych bratankach.

- Spencer nic nie dostał?

- Nic absolutnie, poza kosztowną nauczką, że lepiej nie liczyć kurcząt, zanim się wylęgną.

- Wielki Boże. Co... Jak on to przyjął?

- Niedobrze. Na ogół nie brakuje mu słów, ale tym razem zupełnie zaniemówił.

Nie tylko Spencer. Wsunąłem się w głąb fotela. Jakże niewiele było trzeba, żeby Spencer nie poniósł klęski. Gdyby Victor odłożył wizytę u Quartona na czas po ślubie z panną Roebuck, gdyby jadąc do niego, po prostu nie zabrał testamentu z sejfu...

- Myślę, panowie, że to zadowalające zakończenie - powiedział sir Henry. - Zadowalające ze wszech miar. - Wstał i my wszyscy zaczęliśmy się zbierać do wyjścia. - Życzę miłego wieczoru. - Znowu nastąpiły uściski rąk. Ruszyliśmy po swoje płaszcze i kapelusze. Chciałem wyjść za Quartonem i Pombalho, ale sir Henry mnie zatrzymał. - Jeżeli może pan na chwilę zostać, panie Staddon... - szepnął mi do ucha.

- Och, dobrze. - Drzwi zamknęły się za tamtymi. Zostałem z Windrushem i sir Henrym. Spojrzałem na nich pytająco. - To wszystko w końcu... kończy się szczęśliwie - zauważyłem niezręcznie.

- Tak - powiedział Windrush. - Dziwne, prawda? - Głos miał cierpki od sarkazmu.

Sir Henry zachichotał.

- James, nie powinieneś oczerniać kolegi po fachu.

- Co? - Przenosiłem wzrok z jednego na drugiego. - Co to znaczy?

- Trzeba przyznać, że są w relacji pana Quartona pewne niekonsekwencje - odpowiedział mi sir Henry. - Ale zniszczenie testamentu jest bardzo korzystne dla naszej klientki, więc nie wydziwialiśmy.

- Ale co tu może być do wydziwiania?

- Victor Caswell nie był głupcem, Staddon - wyjaśnił Windrush. - Musiał zdawać sobie sprawę, że zniszczenie testamentu da Consueli i Jacincie nikłe, ale zawsze szanse dziedziczenia. Więc roztropniej zostawić istniejący testament, który małżeństwo z panną Roebuck i tak unieważni.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Quarton, kiedy usłyszał o zamordowaniu Victora, lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, ile Spencer na tym zyska. Potem dowiedział się, że policja podejrzewa Spencera o udział w tej zbrodni. Otóż gdyby chciał, mógłby się postarać, żeby Spencer, nawet jeżeli się wywinie z oskarżenia o morderstwo, nie odziedziczył Spod Obłoków, prawda? Tylko Quarton wiedział, co Victor mu polecił zrobić, kiedy był w jego kancelarii jedenastego. Gdyby ten testament po prostu zostawił, dopóki Victor ponownie się nie ożeni...

- Mógłby go spalić rzeczywiście bez niczyjej wiedzy?

- Właśnie.

- Ale to by było...

- Wołające o pomstę do nieba naruszenie etyki zawodowej - powiedział sir Henry. - O co chyba żaden z nas nie podejrzewa kogoś tak statecznego i rzetelnego jak Arthur Quarton.

Zobaczyłem w jego oczach błysk i na twarzy Windrusha rozedrgany uśmiech. Quarton służył rodzinie Caswellów wiernie od ponad ćwierćwiecza. Patrzył na ich machinacje, spełniał ich zachcianki, ani razu nie podnosząc głosu w proteście „My, radcy prawni odpowiadamy tylko za legalność posunięć naszych klientów, a nie za ich przyzwoitość”. Owszem, trzymał się tej zasady. Ugryzł się w język i zachował swoje zdanie dla siebie, nawet gdy Victor wpadł na pomysł wydziedziczenia żony i córki na rzecz niegodnego bratanka. Ale ostatni wybryk Victora - oznajmiającego, że ożeni się z Imogen Roebuck, kiedy tylko Consuelę powieszą - nastreczył Quartonowi nieoczekiwaną sposobność, żeby pokrzyżować złe zamiary takiego

klienta. Prawie się śmiałem, wyobrażając sobie, jak on wrzuca ten testament w ogień i patrzy, a zwyczajstwo Spencera obraca się w dym i popiół. I nagle przyszło mi coś do głowy.

- Może to Quarton zamieścił ogłoszenie w prasie, że poszukuje się informacji o zamordowaniu Rosemary Caswell?

Windrush spojrzął mi prosto w oczy.

- A któż by inny?

- Więc myśli pan...?

- Ale niestety - powiedział sir Henry - zatrzymaliśmy tu pana, panie Staddon, nie po to, żeby snuć domysły.

- Tak - potwierdził Windrush, teraz poważny. - Chcieliśmy z panem porozmawiać o uwolnieniu pani Caswell. Jej brat i bratowa będą z Jacintą czekać na nią w hotelu Browne. Hermione Caswell też tam będzie.

- I ja też - powiedział sir Henry. - Będę miał wielką osobistą satysfakcję, gratulując pani Caswell odzyskania wolności.

- Ale ona nas prosiła - dorzucił Windrush - żebyśmy pana... No, co ja...

- W porządku - powiedziałem. - Napisała mi o tym. Nie chce mnie widzieć. Rozumiem to. Tak będzie najlepiej. Proszę się nie obawiać. Nie wtargnę na tę uroczystość.

- Ma pan takie samo prawo tam być, jak my wszyscy - powiedział sir Henry. - Jeżeli nie większe. Niepojęty jest dla mnie upór pani Caswell w tej sprawie.

- Ale dla mnie nie. - Nakazałem sobie przyjąć postawę filozoficzną. - Moja rola w tym wszystkim kończy się, panowie. Jeżeli wywiązałem się rzetelnie, jeżeli zrobiłem tyle, ile mogłem, żeby pomóc Consueli...

- Zrobił pan - przerwał mi sir Henry.

- To już jestem zadowolony. Tylko o to mi chodziło. Nie mogę chcieć więcej. Consuela będzie wolna, będzie mogła sama ułożyć sobie życie. To naprawdę mi wystarcza.

- Wystarcza? - pytająco powtórzył Windrush.

- Musi. - Zdobyłem się na żalony uśmiech. - A teraz powiem już panom dobranoc. Czy może powinienem powiedzieć: żegnam?

Żegnam? Tak, to było to. Pożegnanie tych pięciu miesięcy, w ciągu których moje życie rozdarło się beznadziejnie. I pożegnanie Consueli i Jacinty. One zamieszkają w Brazylii, już nigdy ich nie zobaczę. Nie

tego chciałem. Nie o tym od czasu do czasu marzyłem. Ale tak właśnie miało być. Świadomość tego faktu wiodła mnie ciemnymi, przeziębionymi wicherem ulicami Londynu i posępnie mnie powitała w zimnym, pustym mieszkaniu, czyli już w tak zwanym przeze mnie domu.

Nazajutrz rano przeczytałem w „Timesie”, że Arthur Henderson, minister spraw wewnętrznych, wygrał wybory uzupełniające w Burnley większością 7037 głosów. Nazwisko Consueli nie było wymienione.

Zadowolenie Imry'ego, gdy mu powiedziałem o zwolnieniu Consueli, było umiarkowane w porównaniu z radością, jaką okazywał, gdy dowiedział się, że ją uniewinniono. Wicher ustąpił, nastąpiło sobotnie popołudnie spokojne, zimne i słoneczne. Popijaliśmy piwo przy kominku w Słonecznej Chacie, słońce rzucało słabe promyki przez okna za nami. Imry siedział nastroszony, z twarzą zmiętą i przygryzał cybuch fajki, zanim zadał trapiące go pytanie:

- Co będziesz robić, Geoff, teraz, kiedy już jest po wszystkim?
- Nie wiem. Chyba dalej to samo, co robiłem przedtem.
- Ale czy będziesz mógł? Już nie jest tak, jak było. I nigdy nie będzie.
- Mhm. Myślę, że nie będzie.
- Ta nasza spółka, na przykład. Zastanawiam się ostatnio, czy jeszcze ma nogi?
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- No, przecież ja jestem dosłownie nadliczbowy.
- Nie sądzę, żeby...
- I tobie potrzebne jakieś nowe wyzwanie.
- Potrzebne?
- Słyszałeś ode mnie o kimś, kto nazywa się Phil Murray?
- Murray? Tak, słyszałem. Przyjaciel z wojny?
- Właśnie. Oficer łącznikowy w kanadyjskim pułku, który mieliśmy wspierać w Ypres w tysiąc dziewięćset piętnastym roku. Też architekt, jak się okazało. W Toronto. Wzięty, o ile mi wiadomo.
- Więc?
- Wciąż jeszcze z nim koresponduję. Często mi pisze, że chciałby przyjąć do spółki Anglika. Mnie, gdybym czuł się na siłach, ale się nie czuję. Albo kogoś, kogo mógłbym polecić.
- Myślisz o mnie?
- Myślę, że tobie i Philowi dobrze by się pracowało razem, to na pewno.

- Proponujesz, żebym wyrwał się z korzeniami i zaczął na nowo w Kanadzie?

- A jakie ty masz tu korzenie, Geoff?

Wpatrywałem się przez chwilę w ogień.

- Raczej żadne - przyznałem z uśmiechem.

- Może więc warto by to rozważyć?

Gdy jeszcze rozważając propozycję Imry'ego, wróciłem wieczorem do Hyde Park Gardens Mews, na słomiance czekał list od Hermione Caswell.

Szanowny Panie,

zanim zaczęłam pisać ten list do Pana, wahałam się bardziej niż to mam w zwyczaju, gdyż wiem, że wuj Jacinty miałby mi go za złe, i przypuszczam, że Consuela również. Ale jak Pan wie, ja się nie przejmuję niczym dezaprobatą!

Jacinta pytała mnie nieraz, dlaczego z tych wszystkich, którzy przyczynili się do uratowania życia jej matce, właśnie pana od tego czasu najmniej widać. Szczerze mówiąc, nie wiem, co jej odpowiedzieć. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ona wkrótce wyjedzie do Brazylii może na zawsze. Czy Pan chce, żeby wyjechała nie mając sposobności podziękować Panu i pożegnać się? Czy o to Pana prosiła Consuela w swoim liście?

Jeżeli tak, to prawdopodobnie nie powinnam tego listu pisać. Ale piszę, gdyż moim zdaniem, przynajmniej pożegnanie Panu i Jacincie od siebie nawzajem się należy.

Obiecałam zabrać ją jutro do zoo. Po południu o trzeciej wstąpimy na herbatę do kawiarni przy Mapin Tenaces. Jeżeli ktoś znajomy przypadkiem będzie tam wtedy, uznamy za szczęśliwy zbieg okoliczności. Prawda?

*Z poważaniem
Hermione Caswell*

Zasnąłem tamtej nocy przysięgając sobie, że tam nie pójdę. Bo i po co? Tylko znów sobie uprzytomnię, czego nieodwołalnie sam się pozbyłem. Jacinta jest moją córką, ale straciłem prawo powiedzenia jej o tym. Jej życie się zaczęło, gdy moja przeszłość prowadząca do jej życia już się skończyła. Najbardziej surowa lekcja czasu, której nie sposób udzielić i nie sposób się nauczyć. Nie ma odwrotu, nie ma możliwości naprawienia. Zostaje jedynie droga, jaką nieopatrznie kiedyś sobie wybrałem.

Tak więc oczywiście poszedłem tam. Popołudnie było zimne i bezchmurne. Słońce, coraz niżej na niebie, świeciło jaskrawo nad Primrose Hill. Od przekupnia w Regent's Park kupiłem różowy balon i niosłem go, idąc przez zoo, gdzie dzieci dokazywały przy swoich przesadnie troskliwych bonach, a słonie przy swoich dozorcach, kruki krakały, gibbony popiskiwały i wskazówka zegara na wieży Decimusa Burтона właśnie minęła trójkę.

W kawiarni Hermione i Jacinta siedziały przy stoliku niedaleko wejścia. Hermione pałaszowała bułkę. Jacinta nie jadła nic - wprost przeciwnie niż małe goście przy wszystkich innych stolikach, pozerający ciastka, podczas gdy dorośli pościli.

- Pan Staddon! - wykrzyknęła Jacinta na mój widok. - Jaka cudowna niespodzianka! Wydawała się taka mała w płaszczyku tweedowym, taka młodzusiętka w berecie i szaliku. Twarz miała wyszczypaną zimnym powietrzem. Oczy jej się iskrzyły. To były oczy Consueli.

- Dzień dobry, Jacinto, - Niezdarnie dałem jej balon.

- Dziękuję. - Zmarszczyła brwi. - Skąd pan wiedział, że tu będziemy?

- Och, nie wiedziałem. Zawsze kupuję balony, kiedy jestem w zoo. Bo nuż spotkam jakąś ładną dziewczynkę.

Jacinta zerknęła na Hermione i uśmiechnęła się do mnie. Wyraźnie bliska śmiechu, jednak się nie roześmiała.

- Mogę się przysiąść?

- Oczywiście.

- Mam lepszy pomysł - powiedziała Hermione i szelmowsko drgnęły jej usta. - Jacinta chce zobaczyć lwy i tygrysy. Ale jestem tak zmęczona, że na razie nie zrobię ani kroku. Więc może pan by się z nią przeszedł?

- Hm... chcesz pójść ze mną, Jacinto?

- Och, tak, proszę.

Niektóre dzieci wojażowały na grzbietach swoich ojców. Inne trzymały ojców za rękę. Jacinta i ja szliśmy oddzielnie, poważni, obcy sobie, przestrzegając konwenansów, nic nie ryzykując, na nic się nie narażając. W ciągu kilku lat, kto wie, co byłoby możliwe. Ale myśmy mieli tylko kilka minut spaceru obok klatek, w których lwy drzemały i kręciły się niespokojnie tygrysy.

- Chciałam tu przyjść - powiedziała Jacinta. - Prosiłam ciocię

Hermione, żeby mnie przyprowadziła. Ale szkoda, że te wszystkie piękne stworzenia muszą być za kratami. Wolałabym, żeby były wolne.

- Jak twoja matka?

- Tak. To cudowne prawda, proszę pana? Jutro moja mama będzie wolna.

- Cieszysz się, że wyjeżdżasz do Brazylii?

- Nie wiem. Patrzyłam dziś na niektóre takie zwierzęta, jakie będę tam widywała. Gady. Węże. Ogromne pająki. Nie, nie jestem pewna, czy je polubię. Ale to naprawdę nieważne, bo mama też tam będzie, więc wiem, że będę szczęśliwa.

- Będziesz, oczywiście.

- Proszę pana...

- Tak?

- Dlaczego mój ojciec zapisał w testamencie wszystko dla kuzyna Spencera?

- To już się zmieniło.

- Wiem, ale dlaczego zapisał? A dla mamy? A dla mnie? Nie chciał, żebyśmy coś dostały.

- Ja... Nie wiem.

- Wszyscy to mówią, kiedy pytam. Jakoś nikt nie wie. Albo wie, tylko nie chce mi powiedzieć.

- Na pewno tak nie jest.

- Och, jest. Wszyscy myślą, że mam za mało lat, żeby zrozumieć.

- Może masz za mało.

- A kiedy będę miała dosyć dużo?

- Wtedy, gdy twoja mama ci to powie.

- Kiedy?

- Nie wiem. Nie ja o tym decyduję. Ja nie jestem... kiedyś zrozumiesz.

- Naprawdę pan tak myśli?

- Och tak. - Dotknąłem jej ramienia i bardzo lekko je uścisnąłem.

- Kiedyś zrozumiesz wszystko.

Podniosła wzrok na mnie już bez uśmiechu i nie pytająco. I po chwili, wydawało się, że bardzo długiej, powiedziała:

- Pan musi mieć rację, panie Staddon.

- Dlaczego?

- Dlatego, że to pana mama mi kazała prosić o pomoc. I pan pomógł, no nie? Pan pomógł ją uratować. Pan dotrzymał słowa.

- Może. Ale nie zawsze dotrzymywałem.
- Zmarszczyła brwi.
- Nie wierzę panu.
- To dobrze. - Szybko odwróciłem oczy, o sekundę szybciej niż wezbrały w nich łzy. Nadal słońce świeciło, różowy balon połyskiwał kołyszając się przy nas na sznurku. - Wolę, żebyś mi nie wierzyła, Jacinto, stanowczo wolę.
- Napiszę do pana z Brazylii.
- A ja ci odpiszę.
- Przyjedzie pan do mnie kiedyś?
- Jeżeli mnie zaprosisz.
- Och, zaproszę. Kiedy będę miała dosyć dużo lat.
- Wtedy przyjadę.
- Daje pan słowo?
- Tak, Jacinto, daję słowo.

W pół godziny potem Hermione i ja siedzieliśmy na ławce nieopodal jamy niedźwiedzi. Jacinta poza zasięgiem słuchu stała przy parapecie i z przejęciem patrzyła na misie o smutnych pyskach. Hermione, która przyjechała z Hereford w piątek, opowiadała mi jaki ponury, pełen napięcia nastrój panuje w Paprociarni.

- Marjorie, obawiam się, jest niespełna zmysłów. A Mortimer mówi wyłącznie o interesach. Chyba w ten sposób usiłuje nie myśleć, że Spencer prawdopodobnie przyczynił się do zamordowania siostry i stryja.

- Przecież mógłby się pocieszyć tym, że policja nie podtrzymuje oskarżenia.

- Mógłby. Ale Mortimer nie jest ślepy, panie Staddon, jest tylko małowówny. Widział... wszyscy przecież widzieliśmy, jak Spencer triumfował, kiedy go wypuścili. Ten chłopiec był zaprzątnięty tylko jedną sprawą: wystąpieniem o spadek po Victorze.

- No, to teraz z pewnością jest przybity.

- Wyobrażam sobie. Od czasu rozmowy z panem Quertonem albo wychodzi z domu, albo siedzi w swoim pokoju. Raczej więc nie mam kiedy badać stanu jego ducha. Szczerze mówiąc, bardziej martwi mnie Mortimer. Jest zbyt dumny, żeby okazać, jak naprawdę się czuje. Rosemary i Victor nie żyją. Spencer skompromitowany i na domiar złego policja podejrzewa, że Victor był wmieszany w kradzież w papierni Peto. Mortimer nie może spojrzeć w oczy własnemu szwa-growi, a cóż dopiero światu.

- Więc Brazylia jest naprawdę najlepszym miejscem dla Consueli i Jacinty. Tak daleko od tego wszystkiego tutaj, jak tylko to możliwe.

- Tak. Nie wątpię, że tak. Życzę im obu szczęścia, na jakie zasługują. A co do tych z nas, którzy muszą zostać...

- Co ma być z nami?

- Właśnie, co? Zaryzykował pan przepowiednię, panie Staddon?

- Nie, chyba nie.

Miały być z powrotem w hotelu o piątej, Hermione nie chciała spóźnieniem wzbudzać w państwu Pombalho podejrzeń. Powiedziała, że zobowiąże Jacintę, żeby nic nie mówiła o naszym spotkaniu. Więc zaraz po wpół do czwartej sprowadziłem taksówkę przez główną bramę zoo i pomogłem im wsiąść.

Hermione mnie pocałowała, a Jacinta, jak gdyby ośmielona przykładem ciotki, zrobiła to samo. Lekko musnęła ustami mój policzek.

- Do widzenia, panie Staddon - szepnęła. - Dziękuję panu za wszystko, co pan zrobił dla mojej mamy.

Powiedziałem do kierowcy, dokąd ma je zawieźć, i taksówka ruszyła. Jacinta machała do mnie ręką, ja machałem do niej. Jej twarz zamazała się, oddalając. Potem już nie mogłem jej wypatrzeć. Taksówka jechała szybko. Niewidzialny łączący nas sznur rozciągnął się, naciągnął, naprężył i trzasnął. A ja stałem w miejscu samotny jak nigdy przedtem.

Powoli wracałem przez Regent's Park i cichymi ulicami Marylebone, a popołudnie zmieniało się w wieczór. Pociemniało i na niebie były chmury. Gromadziły się nisko na północy, ciężkie, dziwne, zabarwione fiołkowym różem i purpurą.

Gdy skręciłem na Hyde Park Gardens Mews, wyszedł ze swoich drzwi sąsiad, z którym moja znajomość dotychczas ograniczała się do ukłonów.

- Cześć - powiedział z uśmiechem. - Nie podoba mi się to. - Wskazał ruchem głowy ławicę chmur.

- Mnie też nie.

- I zimno się zrobiło.

- Tak. - Spojrzałem na niebo. - Może w nocy będzie padał śnieg.

EPILOG

- Dzień dobry, królu. Dokąd?
- Na Camden Road. Holloway.
- Przy którym końcu?
- Niech pan jedzie. Powiem panu, gdzie chcę wysiąść.
- Dobrze.

Ruszamy ostrożnie po świeżym śniegu, oślepiającym w blasku wschodu. Oto Londyn jak rzadko kiedy. Skamieniały i nietknięty. Prawie taki, jak gdyby znał końce i początki, które dzisiejszy dzień przyniesie - koniec uwięzienia Consueli i koniec moich wysiłków, żeby naprawić to, co kiedyś popełniłem, początek jej nowego życia i początek takiej mojej przyszłości, jaka ma być - tutaj czy daleko stąd. Consuela dziś zostawi swoją przeszłość za sobą, ja swoją też. Będę patrzył, jak ona odchodzi, a potem sam odejdę.

- Myślałem, że już po zimie - rzuca uwagę taksówkarz, gdy skręcamy na Edgware Road. - A znowu się pokazuje, co?
- Doprawdy.
- Człowiek zwykle ma to, czego się nie spodziewa. Wiem z doświadczenia.
- Tak.

Kierowca milknie, chociaż ma chęć na pogawędkę ze swoim małym mównym pasażerem. Cóż kiedy nie mam mu nic do powiedzenia. Chcę się skoncentrować na każdej chwili, każdym widoku w ciągu następnej pół godziny. Chcę moment pożegnania zachować w pamięci na zawsze. Nic mnie nie zmusza, żebym tam pojechał, poza tą potrzebą zaznaczenia końca, odejścia od tego wszystkiego, co Consuela znaczyła dla mnie przed trzynastu laty i co znaczy dla mnie teraz. Nie wystarczy relacje o tym, nie wystarczy wiedzieć nawet z całą pewnością, że to się stało. Tym razem, tym ostatnim razem muszę to zobaczyć na własne oczy.

Marylebone Road. Tramwaje i autobusy posuwają się wolno. Konie dostawców człapią uroczyście po chlapaninie tającego śniegu w rynsztokach i unosi się para ich oddechów. Sklepiarze w kaloszach zmiatają śnieg przed swoimi sklepami. Masa ludzka wgniata się w tunel, na stację kolei podziemnej. Jedziemy, a dzień nabiera siły i obejmuje władzę nad naszym życiem.

Albany Street. Teraz North, szereg domów przy Regent's Park z lewej strony, pokryte śniegiem dachy tych domów, różowe i złote w blasku coraz wyżej wysuwającego się słońca. Wokoło wszędzie gdzie okiem sięgnąć i jeszcze dalej, miasto ruchliwe, nieświadome dokąd jadę. Co ona myśli teraz, ona, do której z każdą sekundą się zbliżam? Co czuje wiedząc, że jej długie cierpienia skończą się za parę odmierzonych minut? Wkrótce te drzwi się otworzą. Wkrótce wypuszczą ją stamtąd, gdzie miały na zawsze pozostać jej zwłoki. Z jaką myślą ona wyjdzie tymi drzwiami na ulicę?

Park Street. Trasa biegnie teraz prosto na północny wschód, tam dokąd jadę. Osłaniam oczy przed błyskami słońca spomiędzy budynków i zastanawiam się nad dziwnością czasu. Wszystkie uczynki i słowa z przeszłości zostały zmagazynowane i zachowane na dzisiejszy dzień. Z chwilą, gdy ten dzień się dopełni, będą też dopełnione, roztopią się jak śnieg i wyschną, zostaną w pamięci, ale bez żadnych widocznych śladów, przebrzmiałe, niekonkretne.

Camden Town, most kolejowy. Już niedaleko. Już tylko chwila, żeby się przygotować. Spoglądam na zegarek. Chwila jest dostateczna. Nie długa. Ale dostateczna. Pochylam się do przodu, patrzę zza pleców kierowcy. Zaraz ukaże się więzienie. Tak. Już je widać. Stukam w szybę.

- Tutaj, proszę!

- Co? Och, dobrze.

Taksówka się zatrzymuje. Wsiadam. Płacę kierowcy. Napiwek dają hojny. Kierowca się uśmiecha. Wybacz mi.

- Do licha! Dziękuję, królu.

Odchodzi. On odjeżdża. Idę do ośnieżonego żywoplotu przy kraężniku i patrzę, jak taksówka sunie ze wzgórza, skręca w prawo i znika. Ale nie znika więzienie. Czeka zadumane i cierpliwe. Znow spoglądam na zegarek. Pięć minut. Nie więcej. Pięć minut. I wtedy się dopełni. Przechodzę przez podjazd, przystaję, żeby zapalić papierosa. Widzę stojącą taksówkę. To musi być taksówka Windrusha. Bylebym szedł blisko tych wybujałych ligustrów, Windrush mnie nie zobaczy.

A nawet gdyby zobaczył, nie rozpozna mnie z takiej odległości.

Przechodzę przez drugi podjazd i zatrzymuję się. Trzy minuty. Opieram się o niski mur pomiędzy drzewami, które tworzą sklepienie nad chodnikiem. Z nagich gałęzi kapie powoli topniejący śnieg. Przedemną spaceruje policjant, odkomenderowany przypuszczalnie do odstraszenia gapiów. Ale gapiów nie ma oprócz mnie, a on w moją stronę nie patrzy. Podchodzi do taksówki i pochyla się, żeby porozmawiać z pasażerem. Dwie minuty. Cofa się o krok. Z taksówki wysiada Windrush. Poznają jego wrzecionowatą sylwetkę. Wyciąga zegarek. Policjant tak samo.

Jedna minuta. Zduszam papierosa o mur i głęboko wciągam oddech. Koniec bardzo blisko. Ona przejdzie po tym chodniku przede mną, wsiądzie do tej taksówki i pojedzie do hotelu Browna, gdzie czeka ją serdeczne przyjęcie. I nie zobaczę jej już nigdy. Ten widok za minutę, ukradziony, przelotny widok ma być dla mnie pożegnaniem. A potem? Ani nie wiem, ani nie obchodzi mnie, co potem. Dowiem się gdy „potem” się zacznie, ale dopóki...

Jakiś zegar kościelny zaczyna wybijać godzinę. Raz. Dwa. Trzy. Chowam zegarek i prostuję plecy. Cztery. Pięć. Sześć. Odwracam się i patrzę. Windrush i policjant stoją na wprost bramy więzienia. Niemal słyszę szcęk zasuwy, skrzypnięcie otwieranych drzwi, chrzęst paczki z rzeczami w jej ręce. Siedem. Osiem. Dziewięć. Przejdź przez ten próg. W światło.

Cisza. Czas zawieszony w mroźnym powietrzu. Ani ptasiej piosenki, ani ludzkiego głosu. Teraz policjant odchodzi na bok. A Windrush podnosi rękę. Już ją widzi. Ona jest wolna. Za sekundę, za dwie sekundy zobaczę ją na własne oczy. Windrush robi krok naprzód. I ona się zjawia. Jest w długim ciemnym płaszczu, obszytym futrem, i w małym futrzanym kapeluszu. Windrush wyciąga do niej rękę. Ona do niego.

Kto to jest? Nagle z osłoniętego drzewami podjazdu pomiędzy mną i tymi trojgiem przy taksówce ktoś się wyłonił. Jak gdyby ukrywał się tam, czekał jak ja na tę właśnie chwilę. Szczupły mężczyzna w brązowym płaszczu z paskiem i w szarym filcowym kapeluszu. Rzucił papierosa w stronę rynsztoka. Patrzę na ulicę przed nim. Windrush przepuszcza Consuełę, żeby wsiadła do taksówki. Policjant otwiera przed nią drzwiczki. Patrzę znów na tego nieznajomego. A on wsuwa prawą rękę do kieszeni płaszcza, wyciąga coś i już nie jest nieznajomym. To Spencer Caswell.

Biegę za nim. Nabieram tchu, próbuję wrzasnąć. Wyciągnął rewolwer! Widzę lufę skierowaną w dół, widzę jego palec na spuście, kciuk przyciśnięty do cyngla. Niemożliwe, ale tak jest. Tego wcale się nie spodziewałem. Wcale.

- Uwaga! - wrzeszczę. Windrush i Consuela odwracają się do mnie, są niepewni, nie rozumieją. Consuela blada, zdumiona, marsz czy brwi. - Uwaga, on ma broń!

Spencer ogląda się na mnie przez ramię, a potem znów patrzy na Consuelę i unosi rewolwer. Policjant biegnie. I Windrush. I od bramy więzienia jeszcze jeden policjant. Ale oni nie zdążą. Spencer stoi za daleko od nich. Na wprost Consueli.

- Nie! - prawie nie wiem, czy to mój wrzask. Rzucam się na niego. Rewolwer wypala. W powietrze? Widzę Consuelę przed nami, nie-
tkniętą. Gdy obaj upadamy na chodnik, Spencer skręca się pode mną. Patrzy na mnie, twarz ma zniekształconą grymasem. Płacze? Dlaczego? Dlatego, że go powstrzymałem? Czy dlatego że sam nie mógł się powstrzymać?

- Niech cię cholera! - krzyczy.

- Spencer, na litość, bo...

Jakiś ryk zagłusza mój ryk. Pałace szarpnięcie bólu. A potem nagle uchodzą siły. I ciepło mi, i lekko. Przetaczam się, jak gdybym nic nie ważył. Śnieg się wznosi, żeby mnie przyjąć. Ramieniem uderzam o chodnik. Teraz leżę na wznak. Jakieś szuranie, krzyki tuż na prawo ode mnie. Ale wydają się dalekie, tak dalekie jak ten bezchmurny bezgraniczny błękit w górze.

- Staddon? - Twarz Windrusha. Jest zmartwiony. Widzę to w jego oczach. - Już dobrze. Policjanci założyli mu kajdanki.

- Consuela? - wymawiam jej imię, ale go nie słyszę. A potem nagle cud, nie muszę pytać. Ona kłęczy przy mnie. Zbliża twarz do mojej twarzy.

- *Guerido* Geoffrey. - To słowo sprzed trzynastu lat. Czy mnie słuch nie myli? Czy ona płacze? Dlaczego? I widzę krew na jej rękach. Czyja to krew? - Uratowałeś mnie. Miły, mój miły, najdroższy, uratowałeś mnie.

- Bogu dzięki, że tu przyjechałem. - Nadal nic z tego nie słyszę. Nic. Nie mogę mówić. I teraz, gdy usiłuję dotknąć Consueli, zdaje sobie sprawę, że nie mogę ruszyć ręką. - A mało brakowało, żebym nie przyjechał, wiesz. - Ale znowu nic nie słyhać. Więc jak jej wyjaśnić mój ostatni sekret?

- *Querido* Geoffrey. - Pochyla się i całuje mnie. Czuję jej usta na moich, jej policzek przy moim czole.

- Dlaczego się ściemnia? - Nikt mnie nie słyszy. Nikt nie odpowiada. - Za wcześnie na zmierzch. Prawda? - Ale nie tylko jasność dnia gaśnie. Twarze, łzy, smutek na tych twarzach, wszystko powleka mrok. Za wcześnie. To nie może być to, co myślę. Tak bez cierpienia? A przecież niebo zamyka się nade mną. Twarze zniknęły. Nawet twarz Consueli.